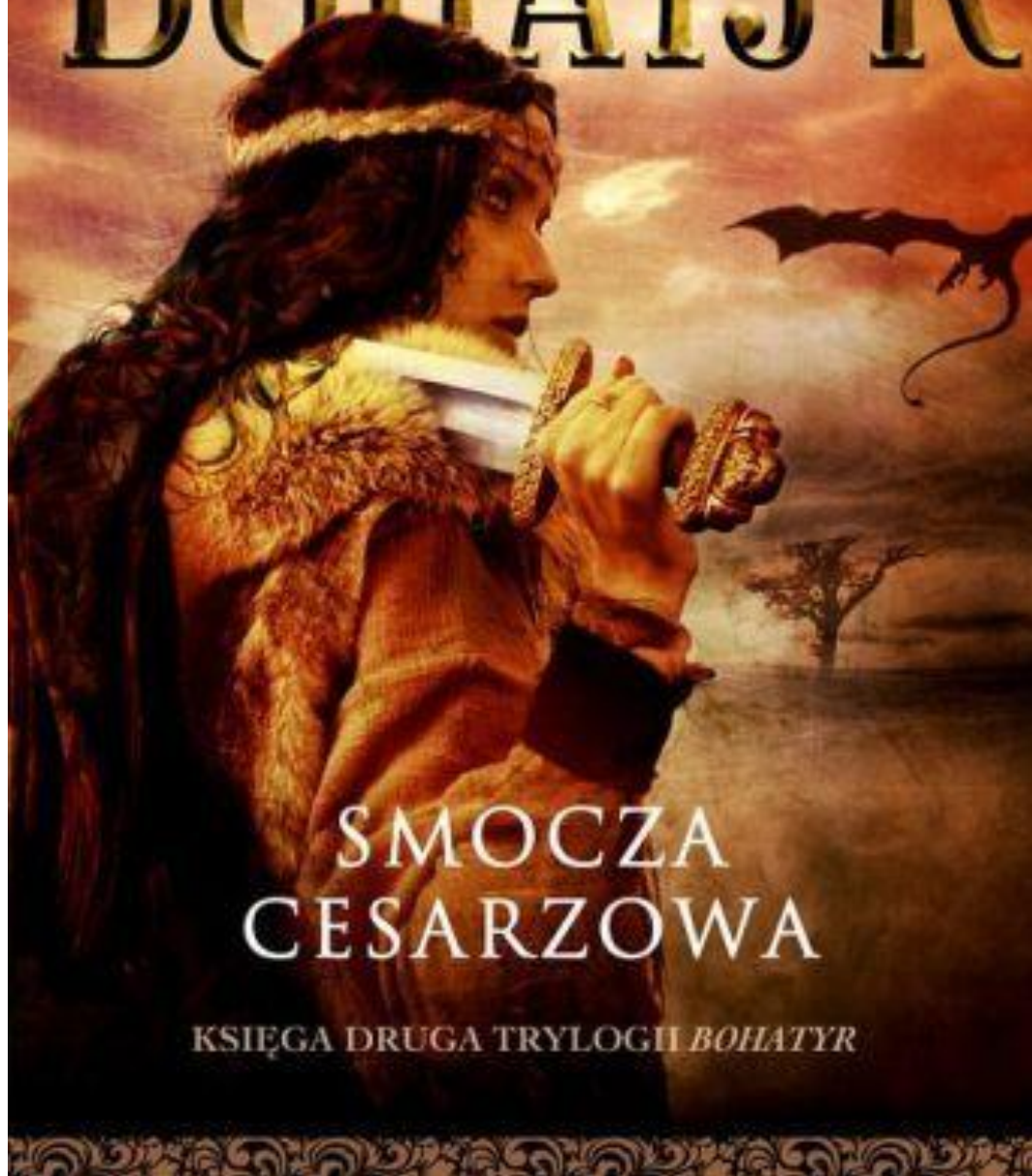


JURAJ ČERVENÁK

BOHATYR



SMOCZA
CESARZOWA

KSIĘGA DRUGA TRYLOGII *BOHATYR*

JURAJ ČERVENÁK
BOHATYR

Przekład
Ilona Lechowicz

SMOCZA CESARZOWA

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA



K

siążkę tę dedykuję swojej najbliższej rodzinie za odwagę i siłę w tych ciężkich czasach (oni wiedzą, o co chodzi) oraz, oczywiście, mej trójjedynej Zorii, która jest moją Jutrzenką, Wieczernicą i Północnicą.

Podziękowania tradycyjnie należą się Robertowi, Miszy i wszystkim, którzy brali udział w przygotowaniu książki, w tym nowemu redaktorowi językowemu, Jiřiemu Popiolkowi - witaj w zespole, Jirko;-). Dziękuję też przyjaciółom z dyskusji na mojej stronie internetowej za wsparcie, a dziewczynom z Biblioteki Miejskiej w Banskiej Štiawnici za cierpliwe czekanie na zwrot wymiętoszonego egzemplarza *Bohatyrskich bylin*, który wypożyczyłem.

Szczególne podziękowanie tym razem należy się Miloszowi Ferkowi, który przywiózł z wycieczki do krajów nadbałtyckich bardzo interesującą i niezmiernie przydatną książkę o mitach ugrofińskich, a potem był tak dobry, że mi ją pożyczył. Zaczerpnięte z niej wiadomości nadały mojej powieści zupełnie inną, bogatszą i, jak myślę, ciekawszą postać.

KSIEGA PIERWSZA

**Bohatyrska
straż**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Putapka na szkodnika



Itilu ciemna woda huczy, na krwawym niebie sokół krzyczy, a do was, bracia, na tych skrzydłach sokolich bylina bohatyrska leci. Posłuchajcie opowieści o Wołchu Wsiesławiewiczu i Mikule Sielaninowiczu, mężnych bojarach kijowskich.

Stało się tak w onej dobie, w pierwszym roku panowania wielkiego księcia Światosława, że na jego rozkaz Wołch Wsiesławiewicz ustanowił swą sławną drużynę. Zebrał trzydziestu jeńców, synów książąt plemion przez Kijów podbitych, zakładników trzymanyh w stołecznym grodzie, i nazwał ich goryncze - synowie smoka, aby w ich imieniu plemienna siła brzmiała i przestрах wzbudzała w sercach nieprzyjaciół. Każdy junak dostał mocnego, chyżego rumaka i broń tak połyskliwą, że jej blask docierał do samego Carogrodu, gdzie ludzie na mury wybiegali i dziwili się niezmiernie: „Spójrzcie, co tam daleko na północy tak lśni, że nawet blask naszych skarbów pałacowych przyćmiewa?”. Ech, to lśniły zbroje bohaterów, hełmy złote, kolczugi z czystego srebra, a miecze i topory z najlepszej kijowskiej stali, co jak zwierciadło błyszczą!

Światosław, chociaż mu ledwie pierwszy wąż się sypał, był władcą mądrym i szlachetnym, dlatego wielkodusznie obdarował tych dawnych niewolników wolnością i uczynił z nich obrońców stolca książęcego, przy swoim boku postawił.

Kiedy skończyły się żniwa i przyszedł czas dożynek, wsiadła chrobra drużyna na chyże rumaki i wyruszyła do podbitych plemion, do odległych grodów i miast, zbierać daniny i opłaty wielkiemu księciu należne. Złakł się ogromnie wszelaki zwierz, gdy postyszał, jak dudnią kopyta koni bohaterów. Jelenie i tury uciekły w lasy, sobole i bobry odpłynęły na wyspy, drobiazg zwierzęcy zaszył się w gęstwinie, ryby schowały się w głębinach rzek

i jezior.

I przyprowadził Wołch Wsiesławiewicz swych mężnych gorynychców do miasta Turowa. Książę plemienia Dregowiczów, co miał siedzibę za jego wałami, spieszył kijowskich wysłańców przywitać. Do ziemi się kłonił, Światosławową mądrość i łaskawość wychwalał, Wołchową drużynę wysławiał, dziw, że ich po rękach, nogach nie całował. Zdumiał się Wołch na taką czołobitność, przemyślał głową bystrą, lecz przyczyn żadnych nie odgadł. Weszli tedy gorynycze do pałacu, za stołami zasiedli, miodu się napili, pieczonymi łabędzmi z dregowickich mokradeł nakarmili. A gdy się gościna skończyła, przykazał Wołch księciu, by poszedł z nim razem przygotowane daniny przeliczyć.

Tedy się gospodarz znów zaczął kłaniać, kijowską władzę wychwalać, Wołchowi kraj szaty całować. Ten już wreszcie ścierpieć nie mogąc, krzyknął na Dregowicza, by przestał czas mitrzyć. Razem weszli do skarbcza, gdzie już była danina dla Światosława przygotowana.

Liczy Wołch sobole i lisie skóry, liczy worki żyta, dzbany miodu, beczułki piwa, poroża jelenie i grzywny złota. Naliczył ledwie połowę tego, co mu Światosław przykazał od Dregowiczów wybrać, chwycił przeto kostur swój czarodziejski, malachitem wykładany i tak nim władcę Turowa poczęstował, że wnet mu krwawe strzępy z nosa wyleciały i zęby na podłodze zachrzęściły.

- Tak szanujesz wielkiego księcia kijowskiego?! - krzyknął Wołch do kłęczącego nikczemnika. - Chwałę jego głosisz, dziw, że o ziemię czołem nie bijesz, a tak naprawdę oszukać go chcesz, łotrze jeden! Wiem ja, że Dregowicze takiej nędzy nie cierpią, żeby musieli na daninach skąpić! Gdzie reszta tego, co się księciu należy? Mów, bo ci tu na miejscu zetnę ten łeb przemądrzały i utuczone cielsko rzucę wronom na pole!

Pełzał turowski książę po ziemi, krwią z rozbitych ust Wołchowe buty ze źrebięcej skóry plamił, o zmiłowanie prosił. Że ponoć nie mógł napęlić wszystkich worków, skrzyń i dzbanów, bo jego władcy na zachodzie się zbuntowali, posłuszeństwo Turowowi i Kijowowi wypowiedzieli, Światosława ciemieżcą i zbójem wareskim nazwali, a i grozili, że jeśli ktoś przyjedzie do nich danin się domagać, na sztuki go posiekają i w bagno jego szczątki wrzucą, na pożarcie rybom i gadzinie.

Wściekłość wezbrała w Wołchu. Zaraz rano drużynników zbudził, konie siodłać kazał, a ostre miecze, tęgie łuki, okute kije i długie włócznie chwycić. Wyruszyli gorynycze z Turowa na zachód, do grodu Wilczyniec, gdzie przywódca tych zbuntowanych łotrów, co dobrego księcia Światosława szanować nie chcieli, rozpierał się na bogactwie chciwie zrabowanym.

Cwałuje drużyna ścieżką przez rozległe mokradła, od których dregowicka ziemia wzięła swoje miano, aż nagle słyszy, jak sobie ktoś w oddali piosnkę pogwizduje. A musi to być chłop, co swoje pole orze, bo oprócz jego gwizdania słychać i tupot kopyt, i pługa skrzywienie, i kamieni chrzęst na ostrej radlicy.

Ale chociaż drużyna cały dzień cwałem jechała, od świtu do zmierzchu, nijak do oracza dojechać nie mogła.

Drugiego dnia znów gorynycze na siodła skoczyli i cwałowali na zachód za tą piosneczką, tupotem kopyt i skrzywieniem pługa w ziemi. Ale choć popędzali konie aż do ciemnego wieczoru, do oracza znowu nie dotarli.

Tak wyruszyli i trzeciego dnia, a kiedy już się ku południu miało, nareszcie oracza znaleźli. Na polu tak wielkim, że końca nie widzieli, orał mateńkę ziemię pod jesienny zasiew, piosneczkę pogwizdywał, bruzdy głębokie jak rowy grodowe wyorywał, a pnie i glazy wielkie jak domy jedną ręką na bok odrzucał.

Z podziwem patrzą kijowscy bohaterzy na oracza, bo na jego kobyłce lejce i uzda z czystego jedwabiu, pług wykuty z najlepszej stali, lemiesz ma srebrny i rączki z czystego złota. A sam oracz? Aż radość bierze, gdy na niego spojrzeć! Włosy mu się wiją jak złote wióry, oczy błyszczą niczym perły, a po wargach czerwonych jajka by można taczać. Buty ma z zielonego safianu, czapkę z najdroższych soboli, a kaftan z czarnego aksamitu...

- Gówno prawda!

- Że... że co?



Chociaż gospoda była tak pełna, że i szpilki by nie wcisnął, aż do tej chwili panowała w niej niemal grobowa cisza. Każde ucho ciekawie chwytało słowa siwego gęślarza, który z odrapaną cytrą siedział na wiązce słomy i opierał się plecami o prostą przegrodę, za którą żuły siano konie, osły i wielbłądy. Zajazd był przestronny, ale zbudowany nadzwyczaj prosto - stajnię, karczmę i noclegownię upchnięto razem pod rozległą strzechą, nie oddzielając ich żadnymi ścianami, a jedynie przegrodami i grubo ciosanymi belkami. Odór gnoju mieszał się z wonią ludzkiego potu, tanich napitków i bździnami śpiących, tak że kto wszedł do środka późnym wieczorem, musiał nieledwie dobywać szabli, by się przerąbać przez ścianę smrodu. Jednak podróżni w tych stronach nie kręcili nosem ani na zapach, ani na liche trunki, a już w żadnym razie na głośne towarzystwo. Kupiecki szlak z Bułgaru do Bilaru słynął z napaści okrutnych rozbójników, zatem nocować pod dachem i z tyloma ludźmi znaczyło nocować bezpiecznie.

- Co ty mówisz? - znowu wyjąkał gęślarz, spoglądając czerwonymi oczami na zuchwalca, który przerwał mu opowieść.

- Mówię, że karmisz wszystkich obecnych bajędami!

Zajazd, jeszcze przed chwilą słuchający z przejęciem, bez jednego szeptu, teraz zahuczał ze wzburzenia. Wszyscy obracali się na ławach, zydlach i zwykłych pieńkach, żeby popatrzeć na bezczelnego pyszałka.

- Nie wtrącaj się, Waregu! - krzyknął ktoś śmiało. - Nie dosyć tego, że się rozpieracie w Bułgarze, tupiecie w pałacu samego emira, niech Allah da mu wieczny żywot, jeszcze i tutaj chcecie nas raczyć swoją pychą i zarozumiałstwem?!

- Zamknij dziób, mahometaninie - odparł dobrze zbudowany mężczyzna, którego postać czerniała w cieniu koło drzwi, gdzie nie docierało światło ogniska i olejnych kaganków. - Źle ci z tym, że masz czym gryźć wieczerzę? Mogę sprawić, że kto inny będzie ją musiał żuć dla ciebie, bo twoje zęby będą chrzęścić na podłodze jak suchy groch!

Więcej niż trzecia część gości natychmiast zmieniła zdanie i przeszła na stronę intruza. Powód był prosty - nawet tutaj, w sercu Bułgarii, kupcy i majątniejsi podróżni najmowali do straży wojowników z zachodu. Dzięki temu w żyłach niemal połowy obecnych płynęła wareska, kijowska lub nowogrodzka krew. W śmierdzącym powietrzu zaczęły latać soczyste wyzwiska, w jedną stronę: „mahometańscy rzezańcy”, w drugą: „pogańskie świniójady”.

- Poza tym - dodał intruz, a jego głos, podobny do niedźwiedziego ryku, z miejsca zagłuszył wzbierającą wrzawę - nie jestem Waregiem. Jestem Dregowiczem. Z drużyny księcia Światosława.

Gość, który odważył się krzyknąć na nieznanego, powtórnie potrząsnął głową w spiczastej skórzanej czapce i uderzył w stół ręką ręką kindżału, który ociekał tłuszczem z baraniej pieczeni.

- No i co z tego? To ci jeszcze nie daje prawa...

- Ja jestem tym oraczem.

Karczma ucichła, jakby stado niewidzialnych demonów zacisnęło naraz wszystkie gardła. Tylko w stajni obok zaryczał osioł.

Muskularny mężczyzna wyszedł z cienia. Światło ognia ukazało jego rumianą, opaloną twarz i lśniące rude włosy, nieposłusznie wymykające się spod hełmu, pogładziło błyszczącą od nowości kolczugę i napierśnik, w końcu otarło się o wystającą spod ciemnego płaszcza głowicę miecza.

- Mikuła? - z tłumy odezwał się chrapliwy głos. - Mikuła Sielaninowicz?

- We własnej osobie. - Olbrzym kiwnął głową. - A to - wskazał palcem za siebie, gdzie z cienia wynurzyli się dalsi dwaj rośli młodzieńcy, podobni do siebie jak dwie krople wody - są Diwlan i Borowej, bracia rodem z Połocka, ostatni żyjący gorynycze. Byli wtedy z Wołchem w dregowickim kraju i mogą wam potwierdzić, że to, coście tu słyszeli, niemal całe z palca wyssane.

- Bylina to bylina - wtrącił stary gęślarz. - Nie trzyma się prawdy jak wesz babskiego sromu, idzie swoją drogą. Mówią o tobie, Mikuło, chłopski synu, że i ty przy obozowym ogniu chętnie raczysz druhów pieśnią i opowieścią o bohaterach z dawnych lat, mógłbyś więc to zrozumieć. Powinieneś być rad, że my, gęślarze, igrcowie i skaldzi, przydajemy twym czynom sławy i wielkości.

- Może masz i rację - przyznał Mikuła, który opanował się trochę, a może i zawstydził. - Bylina bez upiększeń i przesady niewarta jest nawet złamanej żelaznej grzywny. Wybacz tedy, że ci przerwałem. Ale jest tak: tego wszystkiego, o czym tu śpiewasz, zaznałem na własnej skórze, więc śmiać mi się chce z tych wszystkich wspaniałości. Bo przedtem, wierzcie mi, zanim wstąpiłem na kijowską służbę, nigdy nie miałem w ręku aksamitu ani jedwabiu. Kiedy Wołch i jego bojarzy znaleźli mnie na polu - między nami mówiąc, jest to mały skrawek mokrej, nieurodzajnej gleby na środku przesłoniętych mgłą moczarów - cały byłem utyłany błotem i gnojem, a miałem na sobie tylko przepoconą rubaszkę i potargane spodnie. Orałem starym, pokrytym plamami rdzy pługiem o drewnianych rączkach i uprząży bez ozdób. O złocie i srebrze nawet mi się nie śniło. I, jak widzicie na własne oczy, wcale nie jestem tak piękny, jak mnie ten tu starzec odmalował.

Część gości, patrząc na minę Mikuły, ośmieliła się i zaśmiała z żartu. Zza długiego drewnianego stołu podniósł się mężczyzna o szerokich barach, z płowymi włosami splecionymi w warkocze, w charakterystycznej przesywanicy - na pierwszy rzut oka można było poznać, że to Wareg.

- Tutaj jest wolne miejsce, mężny Sielaninowiczu. - Wskazał miejsce naprzeciw siebie. - Przysiądź się i opowiedz, co naprawdę zdarzyło się w Wilczyńcu. I pozwól, że kupię ci jaki napitek.

- Na to chętnie pozwolę, przyjacielu. - Mikuła wyszczerzył zęby, skinął na bliźniaków i zaczął się przeciskać przez tłum do wareskiego stołu. Wyglądał przy tym jak lemiesz rozorujący pulchną dregowicką ziemię.

- Ale tylko jeden dzban. Wieziemy z Bilaru skrzynię pełną złota, którą tamtejszy bej posyła na znak szacunku naszemu gosударowi Światosławowi do Bułgaru. Nie mamy ochoty się z nią rozstać, dlatego raczej się tu głupio nie urzniemy.

- I wieiecie ten skarb tylko we trzech? - zdziwił się Wareg.

- Jest nas pięciu. Zostawiliśmy Koływana Wygnańca i Morofieja Tywerca, żeby pilnowali wozu.

- I tak jest was mało na taki ładunek. Nie boicie się rozbójników, którzy ponoć hojnie zlewają ten szlak krwią podróżnych? Nie słyszeliście o karawanach napadniętych i obrabowanych tu, w tej okolicy?

- Słyszeliśmy. - Sielaninowicz wzruszył ramionami, zdjął hełm i wcisnął się na ławę między jasnowłosych synów Północy. - No i co z tego? Nie boimy się żadnych parszywych zbójców. Poza tym większa drużyna tylko by zwróciła ich uwagę. Im mniejsza gromada, tym łatwiej się prześlizgnie.

- Wybacz, wielmożny - szepnął w ucho Mikuły karczmarz, który właśnie pochylał się nad jego ramieniem i stawiał na stole dzban z winem - ale naprawdę nie powinieneś tak trąbić wszem wobec, że wiesz złoto bilarskiego beja. A jeśli złodzieje mają tu swoich szpiegów?

- Coś mi brzęczy koło uszu! - Mikuła opędził się od niego i udał, że wypatruje jakiegoś dokuczliwego owada. Waregowie znów się zaśmiali. Nalali sobie, stuknęli glinianymi i drewnianymi pucharami i wypili szybko, aż rzadki, czerwony płyn zaczął spływać z wąsów.

- Nieźle chrzczone, tak po prawdzie. - Mikuła skrzywił się, kiedy odstawił puchar.

- Że jakie? - nie zrozumiał wareski naczelnik.

- Nooo, to taki chrześcijański wyraz. Podchwyciłem go od któregoś z nawiedzeńców z księżęcej drużyny - od Jegora, Aloszy lub Samsona, już nie pamiętam. Kiedy ktoś decyduje się pokłonić krzyżowi, chrześcijanie witają go w swym stadzie polaniem wodą. Albo od razu kąpią w rzece czy jeziorze. Brrr, już choćby dlatego nigdy nie przyjmę tej wiary! - Mikuła otrząsnął się przesadnie i zarechotał wraz z resztą towarzystwa. - Rozumiesz więc, jeśli ktoś powie, że wino jest chrzczone...

- W moim winie nie ma wody! - odburknął zgorszony karczmarz, ale Mikuła znów tylko odgonił niewidzialnego komara, czym uciszył i odpędził gospodarza zajazdu.

- Posłuchaj, przyjacielu - Mikuła spojrzał zezem na szczodrego Warega - z jakiegoś powodu wydajesz mi się znajomy. Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali?

- Owszem, spotkaliśmy się. W Bułgarze. Jestem Einar Sigmarsson i przypląnąłem tu z moimi chłopcami na jednym z helgardzkich drakkarów.

- Pod wodzą Bragiego Halvorssona?

- Uhm.

- Obaj więc walczyliśmy z suwarskim chanem Mutaharem.

- Tylko że każdy na innym placu boju. Kiedy ty z gorynyczami uderzyłeś na sam Suwar i tamtejszą smoczą wieżę, my pod dowództwem Światosława potykaliśmy się z główną armią.

- Tak czy owak, przelewaliśmy krew za wspólną sprawę. Musimy za to wypić.

- Zaiste. Za poległych druhów!

Uśmiechnięta dotychczas twarz Mikuły stężała.

- Za poległych druhów... - Westchnął, w oczywisty sposób ogarnięty przez złe, żalosne wspomnienia. - Za Wołcha, który był dla mnie jak brat. Połknął go suwarski czarny smok, niech mu łuski odpadną i mięso zgnije za życia aż do kości!

Waregowie spoważnieli i napili się w ciszy. Mikuła i bracia z Połocka łykali chciwie, jakby zapomnieli o zamiarze nieupijania się.

- To jak, opowiesz nam o spotkaniu z Wołchem i bitwie w Wilczyńcu? - rzucił Einar, ocierając grzbietem dłoni mokre wąsy. - Chcemy wiedzieć, co się tam naprawdę stało. Reszta gości także, mam rację? - dodał głośniejszym, tonem wyzwania, oznajmiając, że jeśli ktokolwiek odważy się zaprotestować, natychmiast dostanie po mordzie.

Karczma zaszumiała na znak zgody.

- Opowiadaj, Sielaninowiczu, nie każ się prosić - do próśb przyłączył się nawet stary gęślarz. - Jużem ze sto razy śpiewał i opowiadał tę bylinę. Dla odmiany rad sam posłucham opowieści, zwłaszcza z ust tego, kto jest jej bohaterem.

Brodaty woj z początku kręcił głową i wymawiał się, że nie ma nastroju, ale kiedy już było za dużo zachęt i poklepywania po szerokich plecach, z rezygnacją rozłożył ręce i wstał.

- Dobrze już, dobrze... Ale żeby ten staruszek nie doznał krzywdy i nie słuchał o suchym pysku, nalejcie mu za moje srebro kubek piwa!

Mikuła zdjął płaszcz, chwycił napelniony winem puchar i przecisnął się obok Waregów na skrawek wolnej przestrzeni przy przegrodzie, gdzie siedział też stary gęślarz. Tam wypiął pierś, rozejrzał się po twarzach gości, na których malowało się zaniepokojenie, i pokiwał głową.

- Widzę tu i kupców z dalekich stron, więc może między wami znajdzie się ktoś, kto już odwiedził mój ojczysty dregowicki kraj...

- Ja wędrowałem tamtędy przed trzema laty. - Ktoś w tłumie uniósł rękę z pucharem.

- Możesz więc potwierdzić, przyjacielu, że ziemie wokół rzeki Prypeci nie są szczególnie gościnne. Jak okiem sięgnąć, ciągnie się bezkresna równina, pełna mokradeł i zamglonych, wilgotnych lasów. Śmierdzą tam bagienne wyziewy, w zielonym kozuchu na stojącej wodzie roi się od węży, a dzieci, co się urodzą w tej smutnej krainie, kołysze do snu

rechoćanie żab. I ze mną tak było. Wyrosłem w biednej chłopskiej rodzinie, a moim przeznaczeniem było mozolić się całe życie na tym skrawku suchej ziemi między ślepyimi ramionami Prypeci. Za każdym razem, kiedy widziałem, jak rzeką płynęły kupieckie łodzie albo ścieżką nad brzegiem galopowali jeźdźcy, patrzyłem za nimi, póki nie znikli mi z oczu. I rozmyślałem o tym, jak też się żyje w innych krajach - w świetlistych lasach pod Kijowem, na wietrznych stepach w dolnym biegu Sławutyczy, w lśniącym od złota Carogrodzie, nad majestatycznym Itilem - gdziekolwiek poza granicami bezlitosnych dregowickich błot.

Pewnego dnia, kiedy od rana harowałem w polu i burczenie w brzuchu oznajmiało, że już pora na obiad, na drodze biegnącej wzdłuż Prypeci zadudniły kopyta koni trzydziestu bohaterów...



- Weles niech cię wspomaga, a Mokosz obdarzy obfitym plonem, człowieku!

Świsnął bat i zaprzężona do pługą kobyłka posłusznie stanęła. Mikuła Sielaninowicz podniósł wzrok.

- Pięknie mi życzysz, bojarze. Gdyby tylko się to spełniło! - burknął. - Ale ja się boję, że bogowie urodzaju i płodności zapomnieli jakoś o tym kraju. Zostawili go na pastwę wodników, rusalek, brzeziń i reszty tej hałastry, której służy wilgoć. Jaki to przykry obowiązek sprowadza was tu, na koniec świata?

- Jesteśmy bohaterami wielkiego księcia Światosława - odparł czarnowłosy, zielonooki przywódca zbrojnych, trzymający w garści wykładaną malachitem czarodziejską laskę z wetkniętym w główicę złomkiem srebrnej smoczej łuski - a zmierzamy do Wilczyńca, odebrać od buntowników zaległe daniny.

- Czyli Kijowianie, tak? - Mikuła uważniej spojrział na przybyszów. - Domyśliłem się po złotym toporze Peruna na waszych piersiach i trzygłowym smoku zdobiącym tarcze. To musi być smok Goryn, wy zatem jesteście gorynycze, a ja rozmawiam z Wołchem Wsiesławiewiczem.

- Tak jest. Ale dopiero niedawno zebrałem drużynę! Jak wieść o tym zdążyła dolecieć aż tutaj?

- Zdążyła, czemu by nie. Wszyscy mówią o tym, jak Światosław stworzył gwardię z byłych zakładników i jeńców, w większości synów książęcych z podbitych plemion. A oni mu teraz służą gorliwie, chociaż rodzice Światosława, zarówno okrutny Ingwar, jak bezlitosna Helga, podrzynali gardła ich ojcom i tysiącami mordowali współplemieńców.

Drużyna zahuczała gniewnie i nawet żelazo brzęknęło ostrzegawczo.

- Chcesz zwady, Dregowiczu? - Wsiesławiewicz wykrzywił usta, gdy stanowczym gestem uciszał drużynników. - Ja cię uczciwie pozdrawiam, uprzejmie rozmawiam, a ty nas opluwasz z pogardą? Może chcesz, żeby ta świeżo zorana ziemia stała się twoim grobem?

- Uspokójcie się i schowajcie miecze do pochew, mężczyźni bojarzy - parsknął Mikuła. Zdawało się, że wcale nie uląkł się groźby. - Nie chciałem was obrazić ani się z was wyśmiewać. Tylko powtarzam, com słyszał. W dodatku wcale się nie dziwię, że dumnie nosicie na piersi złoty topór, znak książąt kijowskich. Myślicie, że bym nie zamienił tej brudnej harówki na siodło prędkiego rumaka i nie pocwałował z wami do bitwy, a potem do złotych sieni kijowskiego dworu?

Wołch zmrużył oczy. Chwilę jeszcze się złościł, lecz potem zaproponował łagodniejszym głosem:

- Czemu więc tego nie zrobisz? Wiąże cię jakaś powinność względem rodu, matki czy może ojca?

- Te więzy są już zerwane. Matka zmarła dawno, ojciec odszedł do bogów zeszej zimy. Żyję sam i dla siebie.

- Nie rozumiem zatem, dlaczego się wahasz? Wyprzęgnij kobyłkę, ciśnij do Prypeci zardzewiały pług, weź bat i siekiere i jedź z nami. Przynajmniej poprowadzisz nas najkrótszą drogą do Wilczyńca.

Mikuła w zamyśleniu pochylił głowę.

- Naprawdę przyjąłbyście mnie między siebie?

- Dlaczego nie? Hardością udowodniłeś, że odwagi ci nie brak, widać też, że i siły masz dość. Muszę cię tylko ostrzec, że w Wilczyńcu poleje się krew. Tamtejszy władca zbuntował się przeciw księciu z Turowa i przeciw Światosławowi. Jedziemy nauczyć go pokory. Zdołasz patrzeć, jak ciecze krew synów twego ludu?

- Tych z Wilczyńca? Phi!



- Zanim rzekniecie, żem odszczepieniec, co zdradził własną krew - Mikuła rozejrzał się po zasłuchanych gościach karczmy przy bilarskiej drodze - muszę wam opowiedzieć, co się stało ledwie dwa dni przed przyjazdem Wołcha. Wybrałem się do Wilczyńca. Wcale mi się tam jechać nie chciało, bo grodem już od pewnego czasu rządził zbrojny, bojowy władca, który okrutnie pomordował poprzedników, w tym własnych krewnych. A innych członków plemienia, zwłaszcza prostych chłopów, rybaków i łowców z bagien, traktował gorzej niż sprzedawca niewolników swój towar - bezlitośnie ściągał daniny i opłaty, napadał na

podróżnych, rabował wozy z dobrami. Kto tylko mógł, trzymał się z dala od grodu. Ale ja musiałem kupić sól, żeby nasolić wieprzowinę na zimę. A sól mieli tylko w Wilczyńcu.

Raz dwa i bez długich targów kupiłem za swą ostatnią żelazną grzywnę woreczek soli. Cena była wysoka, ale co zrobić, sól jest u nas wielką rzadkością. Kiedy zmierzałem do bramy, naraz otoczyła mnie władykowa banda, śmierdzące stado najgorszych leni, pijawek i zbójów. Pytają, czy zapłaciłem myto za wstęp do miasta i podatek od kupionego towaru. Mówię im, że jestem wolny człowiek i że takie pierdoły jak podatki niech sobie łaskawie wsadzą w te swoje niemyte rzecie. Jeszcze dodałem coś o tym, że mają zadki w miejscu gęby, bo te ich słowa to mi tak brzmią, jakby się tutejszy chłop nażarł na obiad kapusty i potem pierdział cały wieczór głośno, dźwięk przy tym wydając jak bąble trujących gazów uchodzące z bagna.

Fala śmiechu przebiegła przez zajazd.

- Rzucili się na mnie jak osy na miód. Odepchnąłem ich, aż zamoczyli gęby w gnoju i błocie podwórca. No i dalej szedłem ku bramie. Wtedy zastąpił mi drogę ich naczelnik, dobył miecza, nieduży taki, a ja się w ostatniej chwili zasłoniłem przed klingą workiem z solą. No i ostrze go przebiło, jakże inaczej, a cała sól do ostatniego ziarnka wysypała się w błoto. Wściekłem się. Złapałem za bat i tak poczęstowałem tę wszawą zgraję, że nikt z nich nie ustał na nogach. Z posieczonymi twarzami i krwawymi pręgami na plecach krzyczeli za mną, że jeszcze po mnie przyjdą i nabiją moją głowę na ostry kół przed bramą.

To opowiedziałem Wołchowi, on zaś się zaśmiał i odparł, że jeśli pojedę z nimi, nie tylko pozbędę się tamtych, co mi grozili śmiercią, i nie tylko nie będę po nocach zrywał się na każdy szelest przed chatą, ale na dodatek wynagrodzę sobie poniesioną krzywdę. I że zamiast woreczka soli, przywiozę mieszek złota.

Nie muszę wam mówić, że nie namyślałem się długo. Nie z powodu obiecanych łupów, ale widoków na przygodę u boku sławnych kijowskich bohaterów. Chwyciłem bat i siekierę, wyprzągłem kobyłkę, wskoczyłem na jej nieosiodłany grzbiet i ruszyłem z gorynyczami wzdłuż Prypeci na zachód.

Jeszcze przed zmrokiem dotarliśmy do Wilczyńca. Na wałach, za wieńczącą ją palisadą, stała tylko zwykła straż i brama była otwarta na oścież. Wyglądało na to, że zbójcekiemu władyce nawet się nie śniło o przyjeździe Wołcha.

Jak się wnet okazało, były to tylko pozory...



- Naprzód, bracia! - krzyknął Wołch Wsiesławiewicz, a jego przyboczny zadał

w wygięty róg ze srebrnym ustnikiem. - W cwał, z łopotem i świstem, napędzić im strachu! Prostych ludzi oszczędzić, pozwolić na ucieczkę, ale ktokolwiek stanie wam na drodze z bronią w ręku, bez wahania ściąć łeb!

- Nie tak zaraz! - zawołał Mikuła, ale gorynycze już go nie słuchali. Razem wezwali imienia smoka Goryna, które stanowiło ich okrzyk bojowy, podnieśli włócznie, dobyli mieczy i w cwał ruszyli za Wołchem do bram Wilczyńca.

Wał z zębatą palisadą był otoczony głębokim rowem, pełnym mętnej wody z jednej z bocznych odnóg Prypeci. Nad nim do bramy prowadził drewniany most umieszczony na wysokich palach. Gdy tylko na belkach zadudniły końskie kopyta, podpory pękły z głośnym trzaskiem, złamały się jak słomki i most wraz z bohaterami zwałił się do mętnej wody. Odpowiedzią na krzyki zaskoczenia i żałosne rzenie koni był szydery śmiech na wilczyńskich wałach. Zza palisady wychylili się łucznicy, a z bramy wybiegli mężczyźni z długimi włóczniami w ręku. I wszyscy, posłuszni władcy, który wyszcze kiwał rozkazy z wysokiej wieży nad bramą, zaatakowali tonących gorynyców.

Była to pułapka, nie innego. Wilczyńska hałstra podcięła pale pod mostem i pozostawiła otwartą bramę, by zwabić nieprzyjaciół. A teraz zamierzała ich dobić jak tonące szczury. Na rów spadł grad strzał, włóczni i kamieni. Tylko że ta część planu już wilczyńskim nie wyszła. Wołch natychmiast wy dostał się z wody, uniósł malachitową laskę i coś wykrzyczał. Ze smoczej łuski w jej głowicy wystrzeliło srebrzyste światło, osłoniło gorynyców brodzących wśród szczątków mostu, a wszystkie strzały i kamienie odbiły się od tej niesamowitej jasności jak od żelaznej tarczy i nie czyniąc nikomu najmniejszej szkody, spadły do wody i na brzeg.

Mikuła zeskoczył z kobyły, rozwinął bicz, rzucił go gorynyciom do rowu, a kiedy dobrze chwycili, wyciągał ich po kolei z wody - w dodatku razem z końmi.

- Mówiłem wam, żebyście się tak nie spieszyli - wymawiał Wołchowi, który cały ociekał wodą. Przy każdym kroku śmiesznie chlupotało mu w butach ze źrebięcej skóry. - Władyka jest chytry jak lis. Czułem, że nie wpuści nas do grodu ot, tak.

- To pies, a nie lis - warknął Wsiesławiewicz. - Parszywy, śmierdzący pies. I jak psa go zmuszę, żeby żarł własne gówno!

- Chętnie w tym pomogę, ale najpierw musimy dostać się do środka. A bez mostu to tak łatwo nie pójdzie. Rów jest głęboki, a jego dno muliste i zdradliwe.

- To była jedyna droga?

- Jestem tego pewny. Rów zmienia gród w wyspę, a żadna inna brama nie wiedzie do środka.

Gorynycze na brzegu natychmiast chwycili łuki i mściwie odpowiadali na ostrzał. Ich grotów nie powstrzymywały żadne czary. Z palisady i resztek mostu przed bramą runęło kilku wilczyńskich, przeszytych na wylot, w związku z czym władca rozkazał prędko cofnąć się za wał i porządnie zamknąć bramę.

- Poczekamy do zmroku. - Wołch popatrzył na chłodne słońce, schwyte w lepką pajęczynę mgieł na zachodzie i wciągał bezlitośnie w najgłębszą topiel. - Do tego czasu na pewno coś wymyślimy. Klnę się na wszystkich moich przodków, którym Goryn dawał smoczą siłę, że do świtania Wilczyńców będzie nasz, a zbrojcy gorzko pożałują, że sprzeciwili się woli wielkiego księcia Kijowa!



Mikuła wlał w gardło resztkę wina z obtłuczonej glinianej czary i rozejrzał się. Pod okopconą strzechą gospody tłoczyły się ze cztery tuziny gości, ale nikt w żaden sposób nie zakłócał ciszy. Nieważne - Waregowie, Bułgarzy, Udmurci, Kijowianie czy Chazarowie, chrześcijanie, mahometanie czy poganie, wszyscy słuchali z przejęciem.

- Wiem, jak dostaliście się do grodu. - Stary gęślarz skorzystał z milczenia bohatera. - Wedle byliny wsiedli wy razem z Wołchem na rumaki, spięli je do skoku i przelecieli przez rów. Ponoć potem jednym ciosem pięści rozbiłeś bramę, ramię w ramię wdarliście się do grodu i siekliście zbrojów, każdego, który się tylko pod rękę nawinął, póki nie zostali wybici do nogi...

Sielaninowicz rzucił mu takie spojrzenie, że starzec pożałował, że w ogóle otwierał usta.

- Bardzo bym się cieszył, gdybym był takim półbogiem, co jednym ruchem rozwali okutą bramę dregowickiego grodu - powiedział trochę bardziej pojednawczym tonem i skrzywił się. - Tylko że takie rzeczy zdarzają się wyłącznie w bylinach. Tak naprawdę musieliśmy ruszyć głową i wymyślić chytry plan, jak przedrzeć się przez wał. Jakiś podstęp.



- Od przodu to nie pójdzie - mrucał zamyślony Wołch. - Strzegą tej bramy lepiej niż troskliwy ojciec wianka jedynej córki. Spróbujemy przejść wał w innym miejscu. Gdzie jest najsłabiej strzeżony?

- Na północnym zachodzie. - Mikuła wskazał krwawy widnokrąg za grodem. - Tam, zaraz za umocnieniami, zaczyna się szerokie mokradło. Tylko że jest głębokie, pełne zdradliwych topieli. Nie przebrodzimy go, choćbyśmy nie wiem jak chcieli. A zanim mężowie w zbrojach dopłynęliby do wałów, byłiby u kresu sił...

- A gdyby tak postarać się o łódzie?

Wzrok Sielaninowicza spotkał się z pytającym spojrzeniem zielonych oczu Wołcha. Mikuła skrzywił się i kiwnął głową.

- Kawalek drogi stąd, na brzegu Prypeci, stoi osada rybacka. Mam tam krewnego, brata stryjecznego mej biednej matki. I wiem, że tę bandę z grodu kocha tak samo jak ja. Jeśli go poproszę, bez wahania pożyczy łódź. A reszta rybaków też da swoje. Nawet nie trzeba ich będzie przenosić, bocznymi odnogami rzeki da się powiosłować prosto na bagna pod Wilczyńcem.

- Świetnie - ucieszył się Wsiesławiewicz. - Zaraz wsiądź na kobyłę i jedź odwiedzić krewnych. Ja pošę naszych do lasu, niech natną gałęzi i zrobią z nich długą drabinę.

- Ale - zdziwiony chłop zatrzymał się w pół obrotu - czy nie zdradzi nas chlupot wiosel? Straże na tym odcinku są wprawdzie słabe, ale jednak od czasu do czasu tamtędy przechodzą...

- Niczego nie usłyszą ani nie zobaczą. - Wołch mrugnął porozumiewawczo i znacząco postukał palcami w swój smoczy kostur. - To już zostaw mnie.

Olbrzym nie wypytywał już więcej, chciał mieć jak najmniej wspólnego z czarami i urokami. Dziarsko wskoczył na grzbiet kobyłki, aż zwierzę zarżało z wyrzutem. Chwilę później gnał już z wiatrem w zawody w stronę Prypeci, w objęcia szarego zmierzchu.



- Ledwie północ nastała, byliśmy gotowi - ciągnął Dregowicz. - Rybackie łódki cięży oleistą powierzchnię mokradła, ślizgały się między wysepkami łożyny i pod śliskimi, zielonymi zasłonami, które zwisały z chorych, krzywych drzew. Siedzieli w nich wszyscy bohaterzy i wieźli długą, naprędcie skleconą drabinę. Przyłączyło się nawet kilku odważnych rybaków, którzy chcieli odplacić łotrom z grodu za to czy tamto. Jednemu z nich władyka zabrał żonę i córkę, by sprzedać je w niewolę, drugiemu ukradł wszystko, co ten utargował ze sprzedaży ryb, a innemu znowu porąbał łódkę za odmowę posłuchu. Zebraliśmy małe, ale żadne zemsty wojsko, które dorównywało liczebnością grodowej zgrai. Kiedy wyrósł przed nami czarny zarys wału i palisady, Wołch Wsiesławiewicz chwycił czarodziejską laskę, wymruczał kilka zaklęć i w tejże chwili ku naszemu zdumieniu z moczaru uniosła się gęsta mgła. Ukryła naszą małą flotyllę, a dodatkowo jeszcze stłumiła odgłos wiosel i skrzypienie przepelnionych łodzi. Pod osłoną tej czarodziejskiej tarczy przemknęliśmy łatwo aż do grodu. Na brzegu z największą ostrożnością podnieśliśmy drabinę i chwilę później gorynycze leźli w górę, tak zgrabnie jak mrówki po źdźble trawy.

Straże na tym odcinku wałów nie zdążyły nawet zaskomlić, tak prędko noże, sznury konopne i dobrze mierzone strzały odebrały im głos. Wtedy przeszliśmy palisadę - i my z Wołchem, i rybacy. Drużyna rozbiegła się po umocnieniach, kierując się w stronę bramy, gdzie zebrała się już większość wilczyńskiej załogi. A myśmy po drodze rąbali, siekli i dźgali wszystko, co nam stało na drodze. Zanim nas dostrzegli i zatrąbili na trwogę, dobrych piętnastu chłopów przywitało się z Kostromą. No, a potem zaczęła się wielka bitwa - skończył Mikuła i przyjrzał się dnu swojego pustego pucharu.

- Opowiedz o niej! - zachęcił go Einar, żądny dalszego ciągu. - O wielkim zwycięstwie, odrąbywaniu łbów!

- No, to nie było znów takie sławne zwycięstwo. - Sielaninowicz wzruszył ramionami. - Raczej rzeź. Całkiem zaskoczyliśmy tych dumniów. A goryncze, co tu dużo gadać, bili się znacznie lepiej niż jakaś tam banda zbójców z mokradeł. Zanim zdążyłem trzy razy machnąć siekierą i tuzin razy smagnąć batem, było już po bitwie. Wołch stał na gardle leżącego i charczącego władcy i odgrażał się, jak strasznie i boleśnie mu odpłaci za bunt przeciw turowskiej i kijowskiej władzy, za krzywdy wyrządzone prostym ludziom z Wilczyńca i okolic. Wreszcie zwrócił się do mnie i zaproponował, żebyśmy my, jego własne plemie, wymierzili mu słuszną i sprawiedliwą karę. Zapoznałem więc tego psa ze swoim batem i wygnaliśmy go, zbitego i zakrwawionego, na moczary, żeby się nim pożywiły węże i pijawki. Rozbiliśmy skarbiec pełen zrabowanych bogactw, część podzieliliśmy między siebie, część załadowaliśmy na konie dla wielkiego księcia kijowskiego, a dobrą trzecią część rozdaliśmy ludziom jako odszkodowanie.

- Opowiedz - odezwał się od stołu Borowej - jak miejscowi chcieli cię zrobić władyką.

- A o czym tu opowiadać? - zachnął się olbrzym. - Taka była woła wilczyńskich, prawda, ale odmówiłem. Już się przecież umówiłem z Wołchem, że pojedę z nim do Kijowa. Dobrze zrobiłem. Zbrataliśmy się z Wsiesławiewiczem i od tej pory jeździliśmy razem. Równo dzieliliśmy się sławą, łupami i niewygodą w drodze, w bitwach nawzajem strzeżyliśmy swoich pleców...

Naraz Mikule załamał się głos i było widać, jak mu posmutniały oczy, zapatrzone w przeszłość, w te dni, które spędził przy Wołchowym boku. Nikt w karczmie nawet nie pisnął.

- Tak - westchnął - byliśmy wiernymi druhami, nawet braćmi, jakby nas jedna matka porodziła. Przejechaliśmy całe kijowskie państwo wzdłuż i wszerz, a byliśmy tak nierozłączni, że nawet nasze imiona wypowiedano razem. On wymyślał podstępny i czarował, ja batogiem zamiatałem drogę. Ech, przyszedł wreszcie kres tych sławnych dni. Źle skończył

brat Wsiesławiewicz, bardzo źle. W smoczym gardle, jak jakaś owca. I do dziś jest niepomszczony. To jest ze wszystkiego najgorsze, przez to zgrzytam zębami i czuję w sercu lodowe ostrze. Tugarin, ten parszywy skurwysyn, przeklęty czarnoksiężnik, uciekł gdzieś na północ, w lasy aż za Kazaniem. A my nie możemy wyruszyć jego tropem i odpłacić mu za zabójstwo naszego brata Wołcha, bo mamy zbyt wiele pracy tu, koło Bułgaru. Wielokrotnie błagałem Światosława na kolanach, żeby mnie puścił na północ, ślubowałem przynieść Tugarinową głowę, ale księżę za każdym razem odmawiał i zasypywał innymi rozkazami. Tak samo i teraz - uczynił ze mnie zwykłego wozaka, przewożę skrzynię ze złotem, a tam za Kazaniem tyle gardeł woła o naostrzoną klingę... Wybacz, bracie Wołchu, nie zostaniesz pomszczony.

Dregowicz ucichł i oderwał nieprzytomny wzrok od ziemi. Zdał sobie sprawę, że wszyscy spoglądają nań ze zdziwieniem, niezmiernie zakłopotani tym, że ujrzeli łzę, która zalśniła w oku bohatera. Sielaninowicz wyprostował plecy, zmusił się do uśmiechu, a jego głos znów przybrał na sile:

- Na Welesa, dość tych lamentów! Tyle się nagadałem, że wszystkie wróble nad Itiliem nie wyćwierkałyby więcej. Teraz niech was znów zabawia obecny tu starzec z cytrą. Ja muszę iść opróżnić pęcherz, bo nawet my, książęcy bohaterzy, nie mamy takiej zdolności, żeby móc żłopać i nie szczać.

Przy tych słowach uderzył pucharem o stół, wymienił nieznacznie spojrzenia z Diwlanem i Borowejem - obaj ledwie zauważalnie skinęli głowami - i skierował się ku drzwiom. Gospoda ożyła. Goście pokrzykiwali z uznaniem, wznosili zdrowie, a kiedy Sielaninowicz przechodził koło nich, wstawali i poklepywali go po plecach. Burcząc podziękowania, znikł w cieniu małego przedsionka i wyszedł na dwór.

Za progiem odetchnął głęboko, mimowolnie przetarł oczy i rozejrzał się. Trawiaste pagórki, tu i ówdzie upstrzone głazami i plamami piasku, typowymi dla ziem na wschód od wielkiego Itilu, zalewało światło gwiazd i księżycowego sierpa. Noc była chłodna, lato miało się ku końcowi i z wolna zbliżały się jesienne szarugi.

Mikuła odwrócił się, ale nie skręcił w najbliższy śmierdzący moczem ką, żeby sobie ulżyć. Dziarskim krokiem obszedł niewysoki budynek i podszedł do rozklekotanego dwukołowego wózka na tylnym podwórzu.

- Koływan? Morofiej? - syknął.

W ciemności pod zwisającym skrajem strzechy zabrzęczało żelazo i zza wozu wyłonili się dwaj rośli mężczyźni. W świetle księżycy zalśniły pancerze i hełmy, ukazały się łuki mocno trzymane w garści i pełne kołczany na plecach.

- Niesiesz nam pewnie dzban wina, Sielaninowiczu? - uszczypliwie spytał jeden ze strażników, pewien odpowiedzi przeczącej.

- Wybij to sobie ze łba, Koływanie - odszczeknął olbrzym zgodnie z oczekiwaniem. - Macie tu stróżować. Z pełnymi brzuchami i ożłopani zaraz byście posnęli!

- Co to za sprawiedliwość - burknął drugi bojar, któremu to widocznie mocno dojadło.
- Wy się tam w środku opychacie, opijacie, zabawiacie bylinami i pieśniami, a my tu siedzimy o suchym pysku i możemy co najwyżej posłuchać, jak nam kruczy w żołądku. A poza tym wypełniliśmy rozkaz i widzieliśmy już, co było trzeba.

- Właśnie o to przyszedłem zapytać. Rozgłaszałem na całą karczmę, że wieziemy do Bułgaru złoto bilarskiego beja. Musiałby się wmieszać jakiś demon, żeby to nie dotarło do właściwych uszu. Mówcie, coście widzieli?

- Człowieka, któremu karkołomna nocna jazda przez step milsza niż wino i barania pieczeń pod strzechą zajazdu. Chwilę temu wyprowadził konia przez boczne wrota, wskoczył na siodło i ruszył w stronę tych wzgórz na północy. W skok, jakby jego koniowi zaczął się dymić ogon.

- Ha! Doskonale! Chwycili przynętę. Widzieliście, jak wyglądał?

- Włosy jak słoma, dzwięcząca kolczuga, żelazny hełm. Wyglądał raczej jak Wareg niż miejscowy zjadacz baraniny albo zabłąkany koczownik.

- Co ty mówisz, naprawdę? - Mikuła obrócił się i spojrzał na północ, w stronę pagórków posrebrzonych gwiezdny pyłem. - A zatem wszystko idzie zgodnie z planem. Liczyłem na to, że te nienazarte zbóje się połakomią. Zdaje się, że i bez Wołcha możemy wymyślić niezgorszy podstęp. No, myśmy już swoje zrobili - dodał po chwili. - Teraz pozostaje mieć nadzieję, że nasi bracia czuwali i już siedzą parszywemu zdrajcy na karku.



- Widziałeś to, batiuszko Światogorze?

- Jakżeby nie, bracie Muromcu. Co się tak głupio pytasz?

- Na wszelki wypadek, bo stale się skarżysz, że masz już swoje lata i oczy nie służą ci jak dawniej. Podejrzewam, że tylko narzekasz, bo tak naprawdę widzisz lepiej niż my, młodzi, i stawy też wcale cię tak nie bołą, a sił ciągle masz za trzech.

- Może za trzech zwyczajnych, ale na pewno nie za trzech takich jak ty. Nawet za jednego. I to wcale nie jest próżna gadka. Naprawdę się starzeję, nawet Bóg nie zmusi czasu, żeby popłynął wspan. Widziałem tego głuptaka w żelazie, dostrzegłby go nawet chłop z wykłutymi oczami. Przecież on nie starał się ani trochę kryć, szukać tajnych drózek, mylić

tropów. Nawet się nie obejrzał, czy nikt go nie śledzi.

- Dziwisz się? On i jego kompania siedzą tu już dwa miesiące i aż do tej chwili nikt nie wystąpił przeciw nim. Zachowują się jak u siebie w domu, na pewno już im się zdaje, że to ich ziemia i nie ma na świecie takiej siły, która mogłaby im zagrozić.

- Czyli już czas najwyższy, by ukrócić ich swawolę i pokazać im, że panem tej ziemi jest ciągle... hmm... emir Ahmed albo książę Światosław. To zależy, czy ktoś Bułgarem, czy Kijowianinem i kogo uznaje za swego gosudara.

- W każdym razie nie rządzą tutaj rabusie i czas ich wyprowadzić z błędu. A najlepszym lekiem na takie mniemanie o sobie jest ostre żelazo. Raz dwa nauczy pokory największego zuchwalca. Jedziemy, batuszko Jegorze?

- Jedźmy, synku Iljo. Ale bardzo cicho. Nie chcemy przedwcześnie spłoszyć zdobyczy.

- Nie, tego na pewno nie chcemy. Niech nas zaprowadzi do swojego gniazda.

Dwaj dobrze zbudowani mężczyźni, aż do tej chwili skuleni za stosem głazów na trawiastym szczycie, zsunęli się ostrożnie w tył na stok, a kiedy już nikt nie mógł ich dostrzec, wyprostowali się i zbiegli w ciemną dolinkę między pagórkami.

W ciemności przez chwilę było słychać tylko sykliwe rozkazy i brzęk końskich uprzęży. Potem zabrzmiał tupot kopyt i z cienia jeden za drugim wyjechało dwunastu zbrojnych. U podnóża pagórka szturchnęli konie piętami i różnym kłusem wyruszyli stepem na północ.



- Co się mogło stać? - mruczał zafrasowany Mikuła, gdy wczesnym rankiem wyszedł w kompanii swych czterech druhów na zatłoczone podwórze zajazdu, gdzie już wszyscy podróżni zbierali się do drogi. Sielaninowicz jako jedyny z całej drużyny nie ziewał, nie odklejał od siebie ciężkich powiek, nie rozprostowywał kości - miał za to posiniałe policzki i podkrążone oczy, jakby w nocy nawet na chwilę nie zmrużył oka. Dłonią osłaniał twarz przed blaskiem wschodzącego słońca, a nerwowym spojrzeniem błędził po falistej krainie za szlakiem karawan.

- Już od dawna powinni tu być z głowami zbójców zatkniętymi na włóczniach. Mam nadzieję, że niczego nie przeoczyli. Bo jeśli tamten się przemknął i Światogor do tej pory tkwi z drużyną za najbliższym pagórkiem...

- Tylko spokojnie. - Koływan Wygnaniec położył mu rękę na ramieniu. - Gdyby ciągle czaili się gdzieś blisko, już by się pokazali, dali nam jakiś znak. Na pewno schwyтали

zdradzieckiego posłańca - przecież z Jegorem jest Muromiec, a on ma sokoli wzrok, nic mu nie umknie, sam wiesz.

Mikuła spojrział na niego. Wysoki, szczupły wojownik z plemienia Krywiczów miał dopiero dwadzieścia pięć lat, ale więcej rozwagi niż mężczyźni dwukrotnie odeń starsi. Nie był ani wybuchowy, ani porywczy jak jego rówieśnicy, znano go raczej z tego, że mało co mogło go rozjuszyć, a zimną krew potrafił zachować nawet w trudnych sytuacjach. Nie był z tych, co wszczynają awantury, a bitki kończył - jeśli się dało - mądrym słowem (wszyscy dobrze znali jego „tylko spokojnie”) bądź, kiedy nie było innego wyjścia, przemyślanym i dobrze wymierzonym, ogłuszającym ciosem.

A stał się taki dzięki własnemu przezwisku. Z początku go nie znosił, ale kiedy złościł się, gdy bojarzy go używali, ci mówili tak na niego jeszcze częściej. Dlatego uspokoił się na stałe i przywykł.

Koływan narodził się jako drugi syn władzyki znacznego krywickiego rodu. Pewnego dnia wdał się po pijanemu w spór ze swym starszym bratem, przyszłym naczelnikiem. Sprzeczka zmieniła się w bójkę, po chwili zgrzytnęło żelazo i zwykła z początku kłótnia między braćmi skończyła się prawdziwym rozlewem krwi. Mimo że dziedzic miał przy sobie czterech pachołków, Koływan wszystkich pokonał. Sam wywinął się z paroma draśnięciami, podczas gdy trzech jego przeciwników wyzionęło ducha na miejscu, a dwaj pozostali, w tym starszy brat, byli bliscy śmierci wskutek ciężkich ran. Stary władzyka, który nigdy nie darzył Koływana wielkim uczuciem - ubóstwiał natomiast swego pierworodnego i rad by mu nieba przychylić - wpadł w gniew i w pierwszej chwili chciał ściąć winowajcy głowę. Na szczęście jedna z jego żon, matka Koływana, zdołała go ubłagać na kolanach, by złagodził wyrok. Młodzieńcowi odebrano wszystko, co do niego należało, i wygnano go z grodu. Pół roku później był już drużynnikiem w Kijowie, a wszyscy mówili na niego „Wygnaniec”.

Nie był głupi, więc dobrze przyswoił naukę, którą zesłali mu bogowie. Zrozumiał, że ściągnął na siebie niedolę własną popędliwością. Od tego czasu ujął namiętności w twarde karby i uczył się rozwagi. Upust nagromadzonej dzikości dawał tylko w potyczce z nieprzyjacielem, kiedy ze spokojnego młodzieńca, zachowującego zimną krew, przeistaczał się w srogięgo, bezlitosnego zabójcę. Należał do tych, którzy w niedawnym boju z chanem Mutaharem odrabiali najwięcej suwarskich głów.

- To, że jeszcze nie wrócili, może mieć wiele przyczyn - myślał głośno. - A jeśli gniazdo zbójców jest zbyt daleko? Albo ich kryjówka jest dobrze chroniona i drużyna potrzebowała czasu, żeby wymyślić jakiś podstęp? Albo łupieżców jest zbyt wielu i w takiej liczbie im nie podołamy? Może będziemy musieli wrócić z posiłkami...

- Dobrze już, dobrze, Wygnańcze, pewnie masz rację - wysapał Mikuła. - Najpewniej nie ma powodu do obaw. Tyle że w nocy nie spałem za wiele, więc mam nerwy napięte jak struny w gęślarzowej cytrze, można by na nich zagrać skoczną melodię. Tak czy siak, dokończymy to, cośmy zaczęli. Gotujcie się do drogi.

- Jesteśmy gotowi - oznajmili Borowej i Diwlan z wózka, do którego właśnie solidnie przymocowali płachtę skrywającą ładunek. - Konie osiodłane, muły zaprzężone, skrzynia na swoim miejscu, porządnie zamknięta.

- Na siodła więc, bracia.

- Ciągle jeszcze nie nabraliście rozumu i chcecie jechać tylko w piątkę?

Bojarzy odwrócili się jednocześnie. Z szerokich bocznych wrót zajazdu wyszedł Einar Sigmarsson, prowadząc gniadosza z pysznym, brzęczącym rzędem. Za nim, z cienia, wynurzyło się gęsiego siedmiu uzbrojonych po zęby, chmurnych, milczących drużynników.

Sielaninowicz wzruszył ramionami.

- Masz może lepszy pomysł, synu Sigmara?

- Oczywiście, że mam. - Einar kiwnął głową, wkładając stopę w strzemień. - Możecie się przyłączyć do nas. My też zmierzamy do Bułgaru. Eskortujemy tamtych bilarskich kupców. - Wskazał głową za końskie siodło.

Nieopodal liczna karawana gotowała się do drogi - jakichś trzydziestu mężczyzn w drogich kaftanach i turbanach, mniej więcej dwa razy tylu niewolników i poganiaczy, trzy razy tyle koni, mułów i wielbłądów. Zwierzęta parskwały i burczały, kiedy czeladź przywiązywała do ich grzbietów ciężkie ładunki.

- No nie wiem, nie wiem. - Mikuła zamyślił się. - Pomysł jest dobry, tylko że my musimy jak najprędzej dotrzeć z naszą skrzynią do celu i wędrowka z taką karawaną mogłaby nas opóźnić.

Sielaninowicz rozejrzał się po swoich druhach i dał im do zrozumienia znaczącym spojrzeniem: „Na dodatek, jeśli się przyłączymy do tej wielkiej, dobrze strzeżonej grupy, jest mniej prawdopodobne, że przyciągniemy uwagę rozbójników”.

- Jakie opóźnienie? - Wareski naczelnik przeciągnął się w siodle. - Przyjrzyj się lepiej - nie mamy żadnych wozów. Cała karawana jedzie wierzchem, ładunek niosą zwierzęta. Ba, moim zdaniem to wasz rozklekotany wózek może nas spowalniać.

Dregowicz jeszcze raz spojrzął pytająco na swoich towarzyszy.

- Co mówicie, bracia?

- Przyłączmy się do karawany - rzucił Koływan. - Postępujemy rozsądnie.

Co dla odmiany zrozumieli jako: „Nie zachowujmy się dziwnie, żeby nie wzbudzać

podejrzeń. To by mogło jeszcze bardziej zniechęcić łupieżców”.

Olbrzym powoli skinął głową i podniósł wzrok na Einara. Odblask słońca na lśniącym pancerzu z północnej stali zmusił go do zmruczenia oczu.

- Zgoda. Pojedziemy z wami. Ale my, w odróżnieniu od tamtych kupców, nie zapłacimy ci za ochronę.

- Nie liczyłem na to. - Wareg zaśmiał się i ruszył konno w stronę głośnej gromady ludzi i zwierząt, żeby przyspieszyć wymarsz karawany.

- Plan był całkiem inny - burczał pod nosem Mikuła, nakładając hełm i dosiadając konia. - To mi się nie podoba. To mi się wcale nie podoba.

Przed zajazdem zadudniły kopyta, zazgrzytały koła, wzniosły się tumany kurzu. Kolumna ruszyła, śledząc własny cień.



Zgodnie z tym, czego się dowiedzieli od bilarskich kupców, rzeka nazywała się Aktaj. Miała źródła wśród pagórków gdzieś na południu i płynęła na północ, gdzie zasilala swoją mulistą wodą wielką Kamę. Teraz pod koniec lata w jej korycie, podobnie jak w korytach większości rzek w tych stronach, płynęło niewiele wody. Bohatyrom zdawało się z początku, że to dobrze, że przynajmniej łatwo przedostaną się na drugi brzeg.

Niestety, wóz ze skrzynią utknął w gęstym błocie, które pozostało przy brzegu po opadnięciu wody. Próżno siedzący na kozle Koływan uderzał lejcami i trzaskał z biczem, próżno muły miesiły kopytami miękkie dno i targały dyszel - koła ugrzęzły głęboko i wózek ani drgnął.

- A niech to zaraza - warknął Mikuła i przerzucił nogę przez siodło. - Z koni, chłopcy, trzeba popchnąć...

Gdy tylko zeskoczył, zapadł się prawie po kolana w brązową breję. Wrzasnął ze złości i zaczął przeklinać tę niedogodność, żeby ją tak wściekły parszywy pies porządnie...

- Co się dzieje? - przerwał mu Einar, który wraz ze swymi zabijakami pozostał na wschodnim brzegu, podczas gdy karawana brodziła na drugą stronę. Waregowie unosili się w strzemionach i rozglądali się czujnie po okolicznych pagórkach. Wyglądali jak wietrzące wilki, ale nic dziwnego - to miejsce było jak stworzone do napaści.

- Nic - warknął rozdrażniony Sielaninowicz i chwycił obręcz prawego koła. - Nasz wóz ugrzązł w błocie. Zaraz go wyciągniemy. Diwlan, Borowej, co się gapiacie jak cielęta na malowane wrota? Myślicie może, że wyciągnę to pudło sam, jedną ręką? Czy ja wyglądam jak Ilja? Potrzebuję pomocy! No już!

Połocczanie zsiadli niechętnie i ruszyli przez płytką wodę, aż błoto mlaskało im pod nogami.

Wareg i jego drużownicy już nie przyglądali się pagórkom, na których w południowym słońcu falował złoty ocean suchej trawy. Śledzili poczynania Kijowian przymrużonymi oczami drapieźców. Potem spojrzeli na swego wodza. Teraz nadszedł właściwy moment. Nie wolno im się zawahać.

I nie zawahali się, gdy Sigmarsson skrzywił się złośliwie, paskudnie i rażno skinął głową. Jednocześnie sięgnął po zakrzywiony róg, który wisiał u jego boku. Podwładni również sięgnęli błyskawicznie, jednak nie po rogi, ale po łuki, włócznie, miecze i topory.

Brzmienie rogu wleciało nad Aktaj wraz z niecierpliwym wyciem milczących dotąd Waregów.

- Co to ma... - Zaskoczony Mikuła odwrócił się. A wraz z nim obejrzeni się też Borowej, Diwlan, Koływan i Morofiej. Obejrzeni się też kupcy oraz ich czeladź - cała karawana gramoląca się przez rzekę.

Zrozumieli. Wszyscy. Natychmiast. W tej samej chwili wybuchł zamęt i wrzawa.

- Kryć się! - wrzasnął Mikuła, gdy ujrzał napinane łuki i włócznie w uniesionych rękach.

Morofiej, jedyny z pięciu Kijowian siedzący jeszcze w siodle, dobył miecza. W tej samej chwili upuścił go i spadł z konia, z gardłem przebitym na wylot wareskim grotem. Koływan prędko schował się za wóz - ledwie zdążył, bo chwilę potem w kozioł wbiła się opierzona strzała. Bliźniacy z Połocka starali się skryć za rżącymi końmi i jednocześnie gorączkowo brodzili w gęstej brei w stronę pojazdu. Koń Diwlana padł pod ciosem włócznie. Konwulsyjnie wierzgając kopytami, obryzgał wszystko wokół siebie gęstym, lepkiem błotem. Jeden z pocisków skrzesał iskrę z hełmu Mikuły. Siła uderzenia zerwała mu szłom z głowy. Sielaninowicz zatoczył się niepewnie, uwiązał nogami w bagnie i w tejże chwili padł twarzą w dół. Diwlan i Borowej zachowali się przytomnie, chwycili go i zaciągnęli za wózek. W drewnianą burtę, za którą schowali się w ostatniej chwili, wbiły się dalsze dwie strzały, żelazne groty przeszły deskę na wylot i zasypały ukrytych bojarów drzazgami. Spłoszone muły targnęły w przód, ale na nieszczęście koła uwięzły zbyt głęboko.

Karawana wpadła w panikę. Kupcy popędzali konie, a jednocześnie kopniakami i biciem popędzali czeladź, która starała się wyciągnąć z wody i błota spłoszone, stojące dęba zwierzęta. Rzemienie i powrozy pękały, a czasem przecinali je zdeorientowani ludzie, starając się ulżyć koniom i wielbłądom. Cenny ładunek z pluskiem wpadał do wody.

Pierwsi uciekinierzy wyjechali na zachodni brzeg w deszczu błota pryskającego spod

kopyt.

W tym samym momencie zjawili się i ci, których przyzwał głos rogu. Oczom usiłujących się wydostać z koryta rzeki nieszczęśników ukazało się około dziesięciu wyjących jeźdźców, którzy wynurzyli się ze wzburzonych fal spalonej słońcem trawy. Słońce odbijało się od ich pancerzy i hełmów podobnych do tych, którymi pyszniła się Sigmarssonowa drużyna.

Gdy dostrzegli to spóźnieni członkowie karawany, wciąż brodzący w mętnej wodzie, ogarnięci zgrozą zawrócili na wschodni brzeg. Stamtąd różnym klusem, wymachując bronią i zanosząc się śmiechem, jechała już Einarowa siódemka.

Zacisnęły się kleszcze. Nie było odwrotu.



- Gdzie, na wszystkich bogów, podziewają się Jegor z Ilią?! - wrzasnął Mikuła.

W tejże chwili, jakby w odpowiedzi na jego krzyk, znów zabrzmiał róg. Tym razem nie ten należący do Einara. Również tętent, który zabrzmiał po chwili, nie dobywał się spod kopyt wareskich koni.

Teraz na Sigmarssona i jego chłopców przyszła kolej, by obejrzeni się ze strachem. Ujrzany widok stał zwyczajnie uśmieški z ich twarzy. Przez szczyty pagórków gnało dwunastu jeźdźców - pół tuzina na zachodnim, druga połowa na wschodnim brzegu. Waregowie ciągle jeszcze mieli wyraźną przewagę liczebną, ale szybkość i zdecydowanie, z jakim nowe siły ruszały do boju, jasno świadczyły o tym, że nie liczą tylko na nią.

W powietrzu zaświszczał pierwszy pocisk. Wareg u boku Einara nie zdążył nawet westchnąć - strzała dosięgła go z taką siłą, że rosły chłop w żelaznej zbroi wyleciał z siodła jak szmaciana lalka i wpadł do mętnej wody dwa sążnie dalej.

- Muromiec! - radośnie krzyknął Mikuła, bo to Ilija dzierżył w mocarnej ręce łuk, z którego posłano tę strzałę. Muromiec wciąż ćwiczył i bojowa zdatność tego młodzika zwiększała się jak skarbiec chazarskiego kupca - potrafił już nawet strzelać w pełnym galopie, a jak się właśnie okazało, również trafiać do celu. Jego część drużyny przeleciała przez brzeg pokryty szczątkami ładunku i uderzyła z całą mocą na Sigmarssonowych podwładnych. Zarżały konie, zazgrzytała broń, trysnęła krew.

Jednocześnie na przeciwnym brzegu zaatakował Jegor - sześciu przeciwko dziesięciu, ale wyglądało to tak, jakby jastrząb spadł z nieba na stadko kur. Stał ze sławnych kijowskich kuźni wbiła się bezlitośnie w wareskie pancerze, w ludzkie i końskie mięso.

- Kijóóów! Bić ich!

- Na Odyna, bronić się!

- Naprzód! - wrzasnął Mikuła. Z biczem w jednej ręce i młotem w drugiej usiłował przedostać się przez bagno na plac boju. Wstyd, że nie przejrzał starej sztuczki z rabusiami udającymi strażników karawany, zmienił się w gniewną żądzę zemsty. Diwlan, Borowej i Koływan podążali za nim.

Na nic się zdała zbójcom liczebna przewaga, na darmo przywdziali dobre wareskie zbroje. Kijowianie w ciągu paru chwil dosłownie zmiotli ich z siodła. Kupcy, niewolnicy i słudzy tylko wytrzeszczali oczy i starali się jak najszybciej oddalić z miejsca zażartej walki.

- Nie poddawać się, tchórze! - Einar bronił się uparcie, jakby w jego ludzkiej z pozoru skórze skrywał się krwiożerczy troll z dalekich północnych lasów. Z tarczą na lewym przedramieniu rąbał każdego, kto podlaźł mu pod miecz. Złamał klingę na puklerzu jednego z Kijowian, więc wyrwał topór ze skórzanego uchwytu przy siodle. Gdy podniósł wzrok i zerknął nad skrajem tarczy, dostrzegł nowego przeciwnika - muskularnego, płowowłosego młodzieńca, unoszącego wielki miecz nad głową.

Poczuł, jakby ktoś wylał stągiew lodowatej wody na płomienie jego wściekłości. Znał tego młodzieńca. Słyszał, co o nim mówiono po bitwie ze sługami Mutahar-chana. Wiedział też, że miecz w jego dłoni zwano Gniew i mówiono o nim, że to dar samego Peruna Gromodzierzcy.

Sigmarsson wrzasnął niezrozumiale i skulił się za tarczą.

Muromiec uderzył. Z całej siły, zapierając się nogami w strzemionach.

Wareski wódz miał wrażenie, że spadł na niego gorący gład, ciśnięty z nieba przez jakieś mściwe bóstwo. Na jego twarz posypały się złomki drewnianej tarczy, poparzyły go iskry z gładko rozciętych okuć i umba. Padł razem z rżącym koniem, grzbiet zwierzęcia przygniótł go do dna, a mętna woda Aktaju zamknęła się nad nim niby spuszczone wieko trumny, w której chrześcijanie grzebią swoich zmarłych.

Chciał zginąć. Dla Warega nie ma większej hańby niż porażka i niewola. Nie zdążył jednak nawet łyknąć mułu, gdy koło niego rozległ się chłupot kroków, a mocne ręce chwyciły go i wyciągnęły z wody. Kaszłał, dusił się, szamotał, ale na nic się to zdało - wywlekli go na brzeg i związali jak owcę przeznaczoną na ołtarz ofiarny.

- Jegorze! Niech cię piorun! - wykrzykiwał Mikuła w stronę siwiejącego bohatera, który nadszedł na wronym koniu, opierając zakrwawioną klingę Śmierci w zgięciu lewego łokcia. Kupcy i ich słudzy, ciągle jeszcze niepewni, czy zwycięzcy nie są po prostu członkami jakiejś innej zbójckiej bandy, klękali przed nimi w płytkiej wodzie i pokornie spuszczały wzrok. Wyglądało to tak, jakby witali bóstwa, straszliwe demony wojny.

- Gdzie siedzieliście tak długo?! Jeszcze chwila zwłoki, a byśmy tu dali gardła!

- Wasze obawy były zbyteczne - burknął Światogor. - Wszystko było przemyślane i zaplanowane.

- Doprawdy? A czy przypadkiem nie chcieliście napaść na łotrów w ich zbójckim gnieździe, gdy tylko zawiedzie was tam szpieg z zajazdu?

- Chcieliśmy, ale na szczęście posłałem Samsona na zwiady. A on podsłuchał w bandyckiej kryjówce, jak łotry mówią o sprzymierzeńcach, którzy ponoć wędrują z jedną karawaną. Powiedzieliśmy sobie, że będziemy ich śledzić i dostaniemy całą bandę naraz. Co też się stało. Jakie są straty, Iljo?

Muromiec przykłusował. Chociaż przeciął całą tarczę Einara razem z okuciem, na ostrzu Gniewu nie było ani jednej szczyrby, ba, nawet rysy.

- Morofiej oberwał w szyję, już jest w objęciach Kostromy.

- Szkoda go. Kto jeszcze?

- Nikt więcej, bogom niech będą dzięki. Daniło spadł z konia i prawie się utopił, ale się wylize, Tyworowi krew ciecze z rozsiekanego ramienia, ale to też nie wygląda... - Ilja zamilkł nagle i wybuchnął śmiechem.

- Co jest?! - huknął Sielaninowicz, bo to akurat przed nim Muromiec zatrzymał swojego Buruszka.

- Szkoda, że się nie widzisz. - Ilja uśmiechnął się pod nosem. - Mniej więcej tak musiało wyglądać wtedy, kiedy Wołch zobaczył cię po raz pierwszy, jakieś orał to pole na moczarach, tylko że wtedy byłeś od stóp do głów ubabrany gnojem. To wprawdzie tylko muł rzeczny, ale nie pachnie ani trochę lepiej i wygląda dokładnie tak samo jak nawóz ze świńskiego chlewu.

- Bardzo śmieszne! Cha, cha! - odciął się olbrzym i wszedł do głębszej wody, żeby się opłukać.

- Dość próżnej gadki! Przewieź wszystko na zachodni brzeg! - Jegor, jak zwykle, był w złym humorze i groźnie marszczył gęste brwi. - Opatrzmy rannych, trochę odpoczniemy, ale nie będziemy tutaj sterczeć po próżnicy. Martwych zbójców nie brać, w zupełności wystarczą ich głowy. Ilu wzięto żywcem?

- Pół tuzina - natychmiast policzył Ilja. Nikt nie miał tak bystrych oczu jak on.

- Dobrze. Światosław chciał żywych jeńców, żeby ich przykładnie ukarać dla postrachu. Sześciu chłopów w zupełności wystarczy na taką pokazówkę. Hej, wyciągnąć ten wózek z bagna!

- A po co nam on?

- No, a jak myślisz? Odwieziemy na nim ciało Morofieja. - Przy tych słowach Światogor zawrócił konia i pognął go z powrotem na zachodni brzeg.

Ilja podjechał do dwukółki. Buruszko parsknął i podrzucał głową, by dać jeźdźcowi do zrozumienia, że chód w głębokim bagnie niezbyt mu się podoba. Muromiec nie zwracał na to uwagi, zatrzymał się przy burcie wozu i pochylił w siodle. Zaciśnął mocarną pięść na obręcz koła. Kiedy Koływan to zobaczył, podszedł, by natychmiast chwycić lejce i bat.

Siłacz uniósł się w strzemionach i pociągnął. Koło z młaśnięciem wydobyło się z bagna i cały pojazd się uniósł. Wygnaniec krzyknął na muły, smagnął lejcami, zwierzęta ruszyły i wóz wytoczył się powoli z błota.

- Co z tą skrzynią? - zapytał Mikuła, gdy mieli już położyć na wozie ciało Morofieja.

- A co ma być? - Ilja wzruszył ramionami. - Wyrzucimy.

Koływan wyszczerzył zęby.

- Ktoś będzie strasznie zawiedziony, kiedy się namęczy z otwieraniem, a w środku znajdzie tylko kupę kamieni.

Smugi wareskiej krwi skręcały się w brudnej wodzie jak potargane rude wstęgi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Złe wieści

P

rzysięgam na matkę Mokosz, nie ma na świecie nic przyjemniejszego.

- Mikuła mrucał z zadowoleniem, jednocześnie rozpinając sprzączki i zrzucając kolejne części zakurzonej, śmierdzącej krwią i potem zbroi. - Przynajmniej na tej wyprawie, póki co, nie spotkało nas nic miłszego. Nawet skrzynia pełna złota i drogich kamieni nie byłaby słodsza nagrodą.

- Na włócznię świętego Jerzego, czy ja dobrze słyszę? - Jegor Światogor, który w tym czasie zszedł po marmurowych schodkach i zanurzył się w przejrzystej wodzie, nagi jak go bogowie stworzyli, zaśmiał się donośnie. Jego długaśna, siwiejąca broda wiła się śmiesznie na powierzchni basenu jak jakieś włochate wodne zwierzę. - Mikuła, chłopski syn, od którego nawet po roku służby w Kijowie zalatywało gnojem z dregowickiej ojcowizny, przestał się bać wody i potrafi docenić okazję do kąpieli? Świat staje na głowie!

- A jak się wymawiał i gderał, kiedy pierwszy raz zobaczył emirowe łaźnie! - przyłączył się Koływan Wygnaniec. - Od tego dnia upłynęły dwa miesiące, a - jeśli dobrze liczę - przez ten czas Sielaninowicz wykąpał się przynajmniej pięć razy.

- Musi przecież zmyć z siebie wszystek brud, którym obrósł przez całe życie - dorzucił swoje Daniło Łowczanin, żyłasty trzydziestolatek, którego nigdy nie brakło, kiedy któryś z drużynników stawał się obiektem żartów. Nic nie złościło go tak bardzo jak bohaterские opowieści. Kiedy bojarzy umilali sobie wieczory przy obozowym ognisku albo za świątecznym stołem, opowiadając nadęte, pełne przechwałek historie, on głośno w nie wątpił albo z rozkoszą rzucał kąśliwe, jadowite uwagi. Bohatyrzy uważali je za zabawne - ma się rozumieć do czasu, kiedy zaczynał się natrzasać z nich samych. Poza tym niewyparzona gęba to jedno, a zręczność w boju to drugie - wszyscy wiedzieli, że na Danile można polegać, bo

posługiwał się równie zręcznie toporem, jak włócznią i należał do najlepszych wojów. - Żeby zedrzeć te warstwy brudu - ciągnął Łowczanin - będzie musiał wleźć do basenu emira jeszcze co najmniej tuzin razy. A potem, kiedy już zmyje wszystkie zaschnięte plamy, znajdzie pod nimi rubaszkę, o której myślał, że ją zostawił u jakiejś wiejskiej dziewczki!

Rechot bohaterów odbijał się od kolumn i wysokich, wykładanych polerowanym kamieniem ścian sali, osiągając głośność grzmotów.

Daniło był w swoim żywiole.

- A kiedy i jej się pozbędzie, zobaczy, że ma skórę białą niczym dziewica, którą ojciec całe życie zamykał w piwnicy w obawie przed zalotnikami...

- Zamknij wreszcie dziób, Daniło - warknął Suchan Radymicz i dla podkreślenia swych słów uderzył młodszego bojara łokciem. - We wszystkim trzeba znać miarę. Nigdy nie wiesz, gdzie się kończy żartowanie z druhami, a zaczyna zwykła obraza. Kiedyś trafisz na kogoś, kto wyrwie ci ten gadzi język i ugotuje z niego wieczerzę.

I Łowczanin rzeczywiście umilkł. W kijowskim wojsku było trzech ludzi, na których Daniło nie ostrzył swego dowcipu. Pierwszym był oczywiście książę Światosław, drugim wareski wojewoda Sweneld, który znał się na wielu rzeczach, ale na pewno nie na żartach, a trzecim Suchan, czterdziestolatek pokryty pajęczyną paskudnych blizn, o łysej głowie i gęstej, ciemnobrązowej brodzie.

Radymicz i młodszy o dziesięć lat Daniło tworzyli przedziwną parę. Pierwszy był wiecznie chmurny i mało mówny, drugi głośny i rozgadany. Mieli jednak coś wspólnego - obaj stracili rodziny wskutek nieszczęścia. Ukochana żona Daniły zmarła przy porodzie przed pięcioma laty, a dziecko odeszło do bogów razem z nią. Suchan stracił bliskich w jeszcze gorszy sposób. Pewnego dnia w domu, w jednej z leśnych osad plemienia Radymiczów, uczył swojego dwunastoletniego syna walki na miecze. Sam już nie pamiętał, jak właściwie do tego doszło, ale niechcący ciął chłopca w rękę. Przeciął żyły. Zanim udało mu się jako tako opatrzyć syna, dzieciak stracił zbyt dużo krwi. Całą noc gorączkował i majaczył, wreszcie zmarł w drgawkach. Żona Suchana zupełnie się załamała. Pewnego dnia, gdy spuścił ją z oka, poszła nad pobliskie jezioro i rzuciła się do ciemnej, lodowatej wody. Kiedy znalazł jej ciało, wyglądało potwornie, częściowo rozłożone i ogryzione przez głodne ryby. Rozpoznał żonę po brązowych kolczykach.

Daniło i Suchan wyruszyli szukać śmierci. Łowczanin na dnie dzbana, Radymicz w boju. Kostroma jednak jakby uparła się ich dręczyć. Próbowali wszystkiego, by trafić w jej objęcia, ale zawsze z okrutnym śmiechem odpędzała ich precz, do świata żywych. Suchan opuścił rodzinną ziemię i pojechał do Kijowa, gdzie wstąpił na służbę księcia. Wiedział, że

w wojsku młodego, wojowniczego Światosława nie zabraknie okazji, by postradać żywot w jakiejś potyczce. Z rozpaczliwą determinacją rzucał się zawsze tam, gdzie trwał najbardziej zacięty bój, był ranny tyle razy, że jego twarz i całe ciało zmieniły się nie do poznania, jednak śmierć go nie chciała. Kiedy pozostali bohaterzy zobaczyli, z jakich krwawych jatek uchodził, zaczęli go uważać za ulubieńca bogów. On sam był daleki od podobnej myśli - zanadto dręczyły go wspomnienia.

Pewnego dnia spotkał Daniłę. Łowczanin w ciągu pół roku od śmierci kochanych bliskich zmienił się w nędznego, cherlawego pijaka i żebraka, leżącego w błocie i gnoju bocznych uliczek Kijowa. Tam właśnie nieprzytomnego, ledwie żywego znalazł go Radymicz. Właśnie wracał z wyprawy przeciwko bandzie zbójców, w której ściął więcej niż tuzin głów, a sam wyszedł ledwie z paroma zadrapaniami. Od siedzącego nieopodal nieroba dowiedział się, jaki los spotkał młodego biedaka i dlaczego doprowadził się do takiego stanu. Zrozumiał, że Daniło szuka śmierci, tak samo jak on, i coś w nim pękło. Tknięty litością, zabrał go na dwór księcia, kazał umyć, ogolić, ostrzyć i nakarmić. Kiedy Łowczanin wytrzeźwiał, Suchan powiedział:

- Słyszałem, jak okrutnie potraktowali cię bogowie. Wierz mi, po tym świecie chodzą ludzie, z którymi obeszli się jeszcze srożej.

Ze ściśniętym gardłem, chrapliwym głosem opowiedział mu pokrótce, jak nieumyślnie zabił własnego syna, a jego żona rzuciła się do zimnej wody. Daniło był pierwszym człowiekiem, któremu się zwierzył od czasu przyjazdu do Kijowa.

- Im gorliwiej szukałem śmierci, tym staranniej mnie unikała. Tym sposobem niechcący zostałem jednym z najgroźniejszych bohaterów. Myślę, że mógłbyś kroczyć tą drogą razem ze mną. Nie szukaj śmierci w gorzałce i nędzy. Byłoby szkoda, gdybyś po prostu zamarł w zaspie pod jakimś chlewem. Szukaj Kostromy z mieczem w ręku, w książęcej służbie, a twoja żądza zniszczenia stanie się pożyteczna, bo przyniesie zagładę tym, którzy na nią zasłużyli. Walcz za Światosława, za jego sprawę. Albo w tej pogoni za śmiercią nabierzesz chęci do życia, albo spotka cię dobry, bohatyrski koniec.

- Czyżbyś znalazł w kijowskiej służbie nowy powód do życia? - zapytał go wtedy Daniło.

- Może. - Suchan wzruszył ramionami. - Ale raz na zawsze przestałem się bać śmierci. My, którzy nie mamy nic do stracenia, zazwyczaj więdziemy drużynę w sam środek szeregów wroga.

Nie było to łatwe, ale Łowczanin najwyższą siłą woli wydobyl się z pijaństwa. Nabral sił, dostał od Światosława konia i broń, po czym wyruszył do boju z nieprzyjaciółmi Kijowa

u boku Radymicza. Strząsnął z siebie przeszłość. Z dawnych żebraczych czasów, kiedy żył wśród najuboższych kijowskich wyrzutków, pozostała mu pogarda dla szlachetności możnych i bohaterskich ideałów. Dlatego z takim upodobaniem natrząsał się z pozostałych drużynników, dlatego jego jadownicze żarty ciążyły do żywego.

- Dziękuję, Suchanie, że uciszyłeś tych głuptaków - wyburczał Mikuła. - Przynajmniej nie musiałem im własnoręcznie nakłaść po mordach. Tak w ogóle nie zgadliście, żartownisie zasrani! Kto tu mówił o kąpeli? Miałem na myśli coś lepszego niż ta pieprzona woda!

Przy tych słowach Sielaninowicz spuścił wzrok i na jego zagniewaną twarz powrócił uśmiech zadowolenia. Na wykładany niebieskimi deskami skraj zbiornika wyskoczyły dwie szczuplutkie, zupełnie nagie ciemnowłose dziewczyny i ochoczo, wręcz niecierpliwie ściągały z bojara resztę zbroi i ubrania. Ich równie powabne siostry śmigały w basenie jak ławica rybek, kłębiły się pożądliwie wokół pływających bohaterów albo wychodziły z wody i gorliwie pomagały im rozebrać się i dołączyć do reszty. Wyglądało to prawie tak, jakby dziewczyny urządziły łowy na mężczyzn i dzieliły się nimi jak cenną zdobyczą. Wojów było jednak dużo mniej niż panien, dlatego na każdego przypadały dwie lub trzy. Drużynnikom wcale to nie przeszkadzało.

Również Ilja, rozbrojony i rozebrany, pozwolił się pojmać dziewczynom. Jedna ciągnęła go już do wody, a kolejne dwie niecierpliwie czekały. Były to szyszygi, wodne nimfy, które w górnym biegu Kamy, na ziemi Udmurtów, ściągały śpiewem nieszczęście na przechodzących mężczyzn, ale poskromione i pozbawione dziewictwa traciły zdolność rzucania zaklęć. Ich szczebiotanie stawało się zupełnie nieszkodliwe, ba, nawet miłe dla ucha. Zwłaszcza dla drużynników, którzy spędzili kilka dni w siodle, wśród niewygód i brudu.

- Nie martwicie się, że w ten sposób paskudnie nadużywamy gościnności emira? - zapytał Koływan, który przepłynął pod wodą całą szerokość basenu i z głośnym wdechem wynurzył się po drugiej stronie. - Ahmed ma słabość do rusalek, a każdy mahometański władca strzeże swego haremu jak oka w głowie. Zaproponował je nam po naszym przybyciu do Bułgaru, bo tak każe tutejszy obyczaj, ale na pewno nie myślał, że będziemy je dalej chędożyć. Ani że przyzwyczaimy się zmywać brud i krew, często wytoczoną z jego poddanych, w jego basenie. I gospodarzyć w jego komnatach i lać w siebie jego wino...

- Masz napad skrupułów, Wygnańcze? - wyburczał Jegor. Dwie szyszygi, które wyglądały tak, że mogłyby być jego wnuczkami, przyciskały się do starego bohatera nagimi ciałami i paluszkami rozczesywały mu brodę. Światogor, który często mówił o grzechu i potrafił cytować *Biblię*, jak nazywała się święta księga chrześcijan, najwyraźniej nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. - Niepotrzebnie mędrkujesz. Tak, nadużywamy

gościnności emira, co do tego nie ma wątpliwości, tylko że Ahmed ma teraz na głowie zupełnie inne sprawy. Co tam rusalki, nie ubędzie mu, jeśli się z nimi zabawimy, raczej przeciwnie - patrzcie tylko, te bestyjki czerpią z nas swoją siłę i wigor. Po naszym przyjeździe w Bułgarii zaczęły się dziać gorsze rzeczy. Dużo gorsze. Ta zgraja zbójców, którą rozbiliśmy przedwczoraj, to ledwie ułomek tego, cośmy tu przywlekli. Ale na wojnie tak już jest, bracia. Światosław zdecydował, że przeczekamy tu zimę, więc Bułgarzy muszą z nami jakoś wytrzymać.

- Piękna mowa, tylko pyszałkowata - burknął Mikuła, który również cierpiał na chorobę zwaną poczuciem sprawiedliwości. Zawsze, kiedy był świadkiem czyjejś krzywdy, przypominał sobie złodziei z Wilczyńca i krew burzyła się w nim na myśl, że będzie musiał patrzeć beczynn timer na niesprawiedliwość.

- Gówno tam pyszałkowata - skarcił go Jegor. - Ja tylko mówię, jak jest. Czego się spodziewaliście, kiedy przy odjeździe z Kijowa wielki księżę obiecywał, że podbijemy Bułgarię i państwo Chazarów? Że wszędzie będą nas witać śpiewem, zasypią naszą drogę kwiatami, chętnie otworzą mieszkania i bez oporu oddadzą nam swoje skarby i swoje córki? Dajcie spokój! Światosław i Ahmed zawarli sojusz, ale przecież wszyscy wiemy, jak jest naprawdę. Najechaliśmy Bułgarię, powaliliśmy ją na kolana i rządymy tutaj wedle naszej woli. Jeśli to się komuś nie podoba, powinien być zostać w Kijowie i schować się za spódnicą księżnej Helgi.

- A pozwoliłbyś na to? - Dregowicz skorzystał z okazji, żeby się odgryźć. - Przecież wszyscy wiemy, że to ciebie najbardziej obchodzą spódnice księżnej. Zwłaszcza to, jak dostać się pod nie i powąchać pachnącą książęcą...

- Kurwa twoja mać, zasrany wieśniaku! - wrzasnął Światogor i groźnie ruszył na Sielaninowicza. - Zejdź mi z oczu, inaczej przysięgam Bogu, że przemaluję te deski z niebieskich na czerwone. Krwią z twojego rozbitego łba!

Mikuła rzucił się do ucieczki, a bohaterzy wybuchli śmiechem. Przerażone szyszygi umknęły. Nie rozumiały, że dogryzanie sobie, wybuchy gniewu i pogrożki to dla bojarów zupełnie normalny sposób rozmowy.

Nagle radosne pozdrowienie zagłuszyło wrzawę:

- Bracia! Wróciliście!

Obejrzelimer się w stronę wysokich, otwartych na oścież drzwi, przez które mogli widzieć dalsze paradne komnaty bułgarskiego pałacu, dumer arabskich budowniczych.

- Aloszo! - Ilja pomachał kulejącemu chłopakowi. Od chwili, kiedy uratował młodemu Uliczowi życie, byli dobrymi przyjaciółmi. - Jak się masz? Jak twoje rany, goją się?

- Goją. Na mą duszę, ta maść od chazarskiego uzdrowiciela naprawdę działa cuda - odparł młodzieniec i przeciągnął końcami palców po twarzy. Lepki ogień smoka Zilanta pod suwarską wieżą odebrał mu większość junackiej urody, ale paskudne rany rzeczywiście goiły się pięknie, a strupy odpadały. Książewicz stracił też włosy na połowie głowy, a ponieważ nie było nadziei, że kiedykolwiek odrosną, zgolił resztę, pozostawiając tylko kosmyk na czubku, dokładnie tak, jak książę Światosław. Najważniejsze było to, że nie stracił wzroku - utrata sławy najlepszego łucznika w kijowskim wojsku zupełnie by go załamała. - Noga też już w porządku. Trochę utykam, ale już potrafię wdrapać się na siodło i mogę jeździć. A najbardziej mnie cieszy, że łuk znów jest mi tak posłuszny jak przedtem. Z pół gonu trafiam gołębia w locie, wczoraj próbowałem. Już nie wyruszyście beze mnie na wyprawę, mówię wam!

- Żal ci, że nie mogłeś jechać z nami na zbójców, co? - Ilja wyszczerzył zęby.

- Jak możesz w ogóle pytać! Wy zdobywacie sławę, przemierzacie cały kraj, a ja snuję się po pałacu jak jakiś kaleka, który nie może jechać na wojnę, tylko dokłada drwa do ognia i strzeże kobiet i dzieci.

- Zdobywamy sławę? - Mikuła skrzywił się. - Wierz mi, młody, niewiele tej sławy. Przywlekliśmy do Bułgaru raczej hańbę.

- Jak to?

- Myśleliśmy, że ci rabusie na szlaku karawan to gromada miejscowych szumowin, a może stado zabłąkanych koczowników, Pieczyngów albo Burtasów. Zamiast tego biliśmy swoich, wareskich łotrów.

- Naprawdę? - Alosza uniósł lewą, niespaloną brew.

- Naprawdę - potwierdził Muromiec. - Znudziło im się siedzieć w Bułgarze, więc ruszyli na wschód. Napadali na kupców i innych podróżnych, żeby zwiększyć zdobycz. Światosław kazał nam oczyścić okolicę, przekonać Bułgarów, że nie jesteśmy bandą chciwych najeźdźców, że potrafimy zadbać o porządek w kraju. Zamiast tego przywieźliśmy mu dowód, że to właśnie my robimy najwięcej szkód, że my odpowiadamy za zwiększającą się bezprawie. Dokładnie tak, jak twierdzą bułgarscy możni.

- A ci Waregowie to nasi? Rusowie Swenelda z Kijowa?

- Nie. Z Helgardu.

- Ach tak. - Alosza kiwnął głową. - Już rozumiem, dlaczego przed chwilą drakkar wodza z zachodniego brzegu, z obozu helgardczyków, wpłynął na Itil. Pewnie Bragi Halvorsson chce się wstawić za towarzyszymi broni.

Bohaterzy momentalnie spowaźniali, wystawili głowy z basenu i zaczęli się

niepokoić.

- Bragi tu zmierza? - zapytał Jegor, jakby nie dosłyszał.

- Przecież mówię. Przed chwilą byłem na tarasie i widziałem łódź wiosłową płynącą w stronę miasta. Teraz pewnie przybija do nabrzeża przy Agha-bazarze...

- Będzie z tego niezła awantura. - Światogor spochmurniał. - Zauważyliście, że ostatnimi czasy ostro zgrzyta między Bragim a Światosławem?

- Zauważyliśmy - przytaknął Ilja. - Bragi spodziewał się po wojnie z Suwarem więcej łupów i prawa do mieszkania w pałacu, może nawet śnił, że Światosław mianuje go namiestnikiem Bułgarii. Zamiast tego księżę go odepchnął i kazał jego drużynie tkwić w drewnianych budach na drugim brzegu. Kiedy ci dwaj się spotkają, powinniśmy na wszelki wypadek stać u boku gosudara.

- Dokładnie to miałem na myśli - potwierdził siwy drużynnik. - Wyłazić z wody, przypasać broń! Już!

Bojarom nie chciało się przerywać kąpieli, ale nie odważyli się sprzeciwić rozkazom starego woja. Bez marudzenia wyszli z basenu i czym prędzej włożyli na mokre ciała przepoczone przesywanice, zakurzone kolczugi i pancerze.

Rozczarowane, roznamiętione szyszygi kwiliły, ale ich głosy już dawno straciły magiczną moc, więc żaden z bohaterów nawet się nie obejrzał.



- Czyli Bragi jest już w drodze - mruknął księżę Światosław, władca Kijowa, Smoleńska, Nowogrodu, a od tego lata również Muromia, Mordwy i Bułgaru. W zamyśleniu kciukiem i palcem wskazującym podkreślał długiego wąsa, który zwisał aż na brodę. Pałacowy dziedziniec skąpany był w słońcu, a w jego promieniach lśniły srebrne hafty na książęcym kaftanie, złota główica miecza, wielki kolczyk w prawym uchu wielkiego księcia i jego świeżo ogolona głowa, z której spływał na plecy jedyny, tym razem spleciony w warkocz kosmyk płowych włosów. - Wieści doszły do jego uszu wcześniej, niżbyśmy chcieli... Słyszysz, emirze?

Ahmed ibn Dżafar był postawnym mężczyzną, niemal o głowę wyższym od krępego Światosława. Krucze włosy i broda nadawały mu groźny wygląd. Miał na sobie lekkie ubranie z najdroższego jedwabiu, a jego palce, szyja i uszy lśniły od złota, pereł i bursztynów. Mimo strojnej odzieży nikt nie ośmieliłby się go nazwać zniewieściałym, zwłaszcza nie po tym, jak w niedawnej bitwie z Suwarem widziano go z szerokim arabskim mieczem w mocnej ręce, rąbiącego szeregi nieprzyjaciół. Emirowi towarzyszyli jego wezyrowie, gwardia

przyboczna i syn Mumin, młodziutki, ale zdolny i już opromieniony wojenną sławą. Młodszy o rok Talib pozostał z silną załogą w Suwarze, by umacniać zwierzchnictwo Bułgarii i krzewić islam.

- Słyszę - potwierdził Ahmed. - Powinniśmy się pospieszyć z wyrokiem. Nie żebym się bał Halvorssona, ale jeśli zdążymy przed jego przyjściem, zapobiegniemy niepotrzebnej kłótni.

- Mocno w to wątpię - mruknął pod nosem Światosław i skierował spojrzenie jasnoniebieskich oczu na środek dziedzińca.

Tam, na splamionych krwią kamieniach, klęczało sześciu pojmanyh zbrojów ze związanymi z tyłu rękami i głowami pochylonymi ze zmęczenia. Pogromcy nie oszczędzali ich w drodze do Bułgaru. Tylko Einar miał dość sił, by unieść rozbitą głowę i popatrzeć nadchodzącemu Światosławowi w oczy.

Wielki książę zatrzymał się tuż przed więźniami.

- Zasłużyliście na śmierć, co do tego nie ma wątpliwości - przemówił chłodno. - Do wydania wyroku wystarczy mi ten jeden napad poświadczony przez moich drużynników. Nawet gdybyście się nie przyznali do pozostałych zbrodni...

- Przyznajemy się - Sigmarsson wszedł mu w słowo i wyprostował się dumnie. - Od dwóch miesięcy napadaliśmy na wszystkie karawany i, na Thora, nie wstydzimy się tego! Odkąd zaczęliśmy łupić na trakcie z Bułgaru do Bilaru, żadna inna banda nie odważyła się wejść nam w paradę!

Władca spojrział znacząco na olbrzymiego, rozebranego do pasa bułgarskiego strażnika. Ten natychmiast, z widoczną ochotą, zamachnął się biczem. Wszyscy obecni usłyszeli, jak rzemień przeciął skórę Warega aż do żywego mięsa. Herszt zbrojów ze zduszonym krzykiem skulił się, ale nie upadł, utrzymał głowę nad ziemią i zebrawszy wszystkie siły, zdołał się wyprostować. Bułgar wziął drugi zamach, ale Światosław pokręcił głową na znak, że wystarczy.

- To znaczy, synu Sigmara, że ty i twoi ludzie macie na sumieniu co najmniej pięćdziesięciu zabitych. Zasłużyliście na karę śmierci. Koniec sądu. W imię Peruna i waszych bogów oświadczam, że umrzecie jutro o świcie. Na placu przed pałacem, na oczach wszystkich.

- Trzeba jeszcze zdecydować - Ahmed podszedł do kijowskiego władcy - jaką śmiercią umrą. Biorąc pod uwagę ogrom ich zbrodni, proponuję jak najboleśniejszą.

Światosław spochmurniał, ale nie zdążył odpowiedzieć. W cieniowym korytarzu, który łączył dziedzińiec z główną bramą pałacową, zabrzmiał odgłos szybkich kroków.

Bohaterzy stojący w cieniu kolumnady obejrzeni się i odruchowo sięgnęli po broń. Bragi, w towarzystwie swoich najlepszych ludzi w pełnym uzbrojeniu, wszedł z takim impetem i z twarzą wykrzywioną taką złością, że bojarzy nie wahali się ani chwili i zagroźli mu drogę murem z własnych muskularnych ciał.

- Nie tak prędko, Halvorsson! - huknął Jegor.

- Z drogi! - warknął konung Waregów i uniósł topór na długim stylisku. Jego drużownicy też mocno zaciskali ręce na broni i rzucali wilcze, groźne spojrzenia. - Inaczej przerąbiemy się przez was, klnę się na Odyna!

- Możecie spróbować. - Ilja postąpił krok ku Bragiemu, na pięćz wysuwając miecz z pochwy. - Ale to twój łeb pierwszy spadnie na kamienie, klnę się na Peruna!

- Tylko spokojnie! - jak zwykle wykrzyknął Koływan, ale tym razem jego słowa nie odniosły skutku.

- Miarkuj się, Muromcze - warknął Halvorsson. - To nie pora na osobiste spory!

- Kto powiedział coś takiego? - Klinga Gniewu wysunęła się na kolejne kilka palców.

- Próżno zaprzeczasz, widzę to w twoich oczach. Pogódź się wreszcie z tym, że Dinara wybrała mnie. A tak w ogóle, to nie należy do sprawy. Przyszedłem na sąd! - krzyknął Bragi nad głowami bohaterów. - Mam prawo wziąć udział w rozprawie!

- Jako widz? - Światosław odezwał się lekko kpiącym tonem. - A może jako ktoś, kto chce wpłynąć na wyrok?

- Jako świadek!

- Świadek? Czyżbyś coś wiedział o zbrodniach tych szczurów? A może mordowali na twój rozkaz?

- Oczywiście, że nie! Działali na własną rękę. Mimo to chcę przemówić w ich obronie. Książę dumał przez chwilę. Potem rozkazał:

- Puśćcie go, chłopcy. Ale tylko jego!

Ilja jeszcze przez kilka uderzeń serca z wściekłością patrzył Bragiemu w oczy, potem jednak schował miecz do pochwy i przesunął się w bok. Pozostali bohaterzy też ustąpili, ale tylko na tyle, by przepuścić samego Halvorssona. Gdy jego drużownicy chcieli pójść za swym wodzem, bohaterzy znów zwarli szyk.

- Spóźniłeś się - przywitał go Światosław na słonecznym dziedzińcu. - Już nie potrzeba twojego świadectwa. Sąd skończony.

- Nie muszę zgadywać, jaki zapadł wyrok. - Helgardzki konung zatrzymał się przed klęczącą szóstką i omiół ją spojrzeniem. Einar popatrzył na wodza i uśmiechnął się krzywo.

- Wystarczyłaby połowa z tego, co zrobili, by skazać ich na śmierć - potwierdził pan

Kijowa. - Jeśli przyszedłeś prosić o łaskę, przyszedłeś na próżno. Nie mogę jej okazać, nawet gdybym chciał.

- Ale oczywiście nie chcesz, mimo że częściowo odpowiadasz za ich czyny.

Światosław przewiercił go wzrokiem.

- Jak śmiesz mówić coś takiego? Niby co ja mam wspólnego z ich zbrodniami?

- Na bogów, naprawdę tego nie rozumiesz? Kiedy się zgodziłem wypełniać twoje rozkazy i walczyć u twego boku przeciwko wojskom Suwaru, obiecywałeś mi złote góry. Zdobyć, zaszczyty, bogate pałace. W bitwie z Mutahar-chanem niemal połowa moich ludzi poległa w twojej sprawie. A co się stało po powrocie? Okazałeś nam swoją wdzięczność, obsypałeś kosztownościami? Gdzie tam. Niepostrzeżenie odsunąłeś nas od siebie. Naprawdę nie widzisz? Kiedy ty i twoi wypasieni bojarzy siedzicie w wygodnym pałacu, otoczeni przepychem, moi ludzie cisną się dalej w parszywej Thordarskalli na drugim brzegu i piją obrzydliwe, rozwodnione piwo. A łupy? Gdzie się podziały twoje obietnice? Rzuciłeś nam ochłapy z kijowskiego stołu. Też mi szczodrość! To przez twoje skąpstwo część moich ludzi rozjechała się po kraju i zaczęła węszyć za lepszą zdobyczą. A że przy tym łupili i zabijali? Na Odyna, przecież to Waregowie! Tacy sami jak moi i twoi przodkowie. Twój ojciec uderzył na sam Carogród, ty zdobyłeś Bułgar i szykujesz wyprawę na państwo Chazarów. Czym się różni napadanie na karawany od zdobywania miast i księstw? Tylko nazwą: jedno to rozbójnictwo, a drugie - wojna.

Syn Ingwara słuchał ze zmarszczonym czołem i chmurnym spojrzeniem. Wyraźnie brał poważnie słowa Halvorssona. Kiedy nastała cisza, upłynęła dość długa chwila, zanim przemówił.

- Bragi - wypowiedział imię konunga wyraźnie, z najwyższą powagą. - Rozważania, czym się różni prowadzenie wojny od napadania podróżnych na kupieckim szlaku, pozostawmy carogrodzkim i bagdadzkim mędrcom. Muszę wziąć pod uwagę przede wszystkim obecną sytuację, a ta, przyznaj sam, jest bardzo trudna. W Bułgarze wrze. Nie potrafimy utrzymać ludzi na smyczy. Ani Kijowian, ani Waregów z Helgardu. Codziennie krzywdzą tutejszych mieszczan, kradną, rabują, gwałcą. Wysłałem swoich bojarów przeciwko rozbójnikom, aby okazać, że nie przymykam na to oczu. Nie myśl, że mnie ucieszyło, kiedy wyszło na jaw, że ta krwiożercza banda składa się z twoich ludzi, ale tak czy owak wyrok zostanie wykonany. Na oczach wszystkich, na postrach tym spośród naszych, którym brak rozumu, by słuchać moich, twoich lub czyichkolwiek rozkazów. I żeby udowodnić Bułgarom, że w imię porządku w kraju nie wahamy się surowo karać złoczyńców, nawet gdyby wywodzili się z naszych szeregów.

Najbliżej stojący bohaterzy dosłownie rozkoszowali się tą przemową. Wiedzieli, że Światosław potrafi właściwym doborem słów zmrozić słuchacza lub przeciwnie, pobudzić go do działania. Było niemal widać, jak z Halvorssona uchodzi pierwotne zdecydowanie. Słuchał kijowskiego księcia ze zmarszczonym czołem i wzrokiem wbitym gdzieś w przestrzeń. Potem zapadła cisza.

- A rodzaj śmierci? - Bragi w końcu westchnął.

- Nabicie na pal - odpowiedział Ahmed ibn Dżafar, a tonem głosu dał do zrozumienia, że nie zamierza ustąpić. - W Bułgarii właśnie tak wykonuje się wyroki śmierci. A biorąc pod uwagę okropność ich uczynków, nalegam, by przedtem wziąć ich na męki. Biczowanie, palenie czerwonym żelazem, łamanie kości.

Konung pobladł.

- Nigdy - wycedził przez zęby, nie zaszczycając emira spojrzeniem. - Nigdy na to nie pozwolę. Rozumiecie? Nie pozwolę! Żaden Wareg nie może zginąć tak hańbiącą śmiercią. Cokolwiek uczynili ci ludzie, walczyli u waszego boku przeciw suwarskim parszywcom, przelewali krew za wspólną sprawę. Byłoby podłe, gdybyście tak się z nimi obesзли.

- Sami splamili swoją chwałę i wdeptali ją w krwawy piach - Ahmed był nieugięty. - Książę, sam przyznałeś, że na ulicach Bułgaru, ale też poza nim, nad Itilem i Kamą - wszędzie na kupieckich szlakach - panuje strach. Zgodziłem się, że na wiosnę razem ruszymy na Chazarów. Do tego czasu musimy jakoś ze sobą wytrzymać i nie pozabijać się nawzajem. Od waszego przybycia do Bułgaru minęły ledwie dwa miesiące, a już sytuacja jest nieznośna. Do wyprawy pozostało jeszcze więcej niż pół roku. Musimy coś zrobić. Musimy zadbać o porządek i sprawiedliwość, dać ludziom przynajmniej pozór bezpieczeństwa. To jedyna okazja. Tych ludzi trzeba przykładowo ukarać!

- Nie tak prędko, emirze. - W głosie Światosława było słycać niezgodę. - To, o czym tutaj mówiliśmy, to polityka. Znasz to słowo? W Carogrodzie nazywają tak umowy i knowania możnych...

- Wiem, co znaczy to słowo. Tylko co...

- Bragi częściowo ma rację. Nie powinniśmy zapominać o zasługach tych ludzi. Sam zawsze twierdzę, że dla woja drużyna jest najważniejsza.

- Że co? O czym ty mówisz? Przecież sam powiedziałeś, że ukarzesz ich dla przykładu...

- I tak zrobię, ale ci ludzie zginą wareskim sposobem.

- Co to znaczy?

Halvorsson, zaskoczony zmianą postawy Światosława, wyrzucił z siebie:

- Odynowa śmierć.

Ahmed uniósł brwi, dając znak, że wciąż nie rozumie.

- Powieszenie - wyjaśnił książe. - Może też być uduszenie. I tak właśnie wykonamy wyrok. Każdy ze skazańców dostanie tuzin razów biczem. Potem zostanie uduszony, szybko i pewnie. Później możecie nabić ich ciała na pale albo poćwiartować i wystawić w najbardziej uczęszczanych miejscach Bułgaru, jak chce wasze prawo. Zgadzasz się? Będzie to śmierć godna Warega, a jednocześnie zadośćuczynienie dla Bułgarów.

Ahmed sposepniał i zamyślił się. Zanim jednak odpowiedział, spojrział na Bragiego.

- A czy ty się zgadzasz, Halvorsson?

Helgardzki konung jeszcze raz omiół wzrokiem skazańców. Einar przymknął oczy i pochylił głowę, jakby poddawał się jego władzy.

- Podporządkuję się - chrapliwie rzekł wódz Waregów. - Nie zgadzam się z wyrokiem, ale skoro tych sześciu ludzi musi umrzeć, to lepiej tak niż w okrutnych mękach z rąk bułgarskich oprawców.

- W takim razie i ja się zgadzam. - Ahmed ibn Dżafar skinął głową.

Światosław odetchnął i przywołał strażników.

- Odprowadzić ich. Aż do rana nie wolno ich bić ani dręczyć. Dajcie im po raz ostatni dobrze się najeść i wypić dzban miodu. A wy, nikczemnicy, wykorzystajcie ostatnie chwile i módlcie się do bogów Asgardu, żeby walkirie znalazły was na miejscu kaźni i zaniósły wasze duchy do Walhalli.

Olbrzymi Bułgarzy złapali więźniów, zmusili ich do wstania i bezlitośnie wywlekli z dziedzińca. Władca Kijowa odwrócił się do konunga.

- Bragi, zostań ze swoją drużyną do rana. Każę upiec cielę, napijemy się i porozmawiamy o wszystkim, co nam obu leży na sercu.

- Nie mam ochoty świętować, kiedy rano czeka nas smutne przedstawienie... Ale niech będzie, zostanę. Tyle między nami niezłatwionych spraw, że gdyby zbudować z nich mur, zasłoniłby mój drakkar.

Światosław skinął na bohaterów. Pomału chowali broń i rozstępowali się niechętnie, umożliwiając wejście helgardzkiej drużynie.



Słoneczny rumak Dadźboga od dawna skubał trawę na nocnych pastwiskach za bramą mroku, kiedy do zachodniego brzegu Itilu, jakieś ćwierć wiorsty na południe od wareskiej osady, przybiło małe czółno rybackie. Wyskoczył z niego rosły mężczyzna, rzucił oba wiosła

na dno łódki i przeciągnął ją przez kamienistą plażę aż do kępy krzaków, które posłużyły za pewną kryjówkę. Potem narzucił na głowę kaptur ciemnego płaszcza i krokiem ostrożnego drapieżcy ruszył wzdłuż gęstego młodnika, rosnącego w miejscu wcześniejszego lasu, wyciętego do budowy wareskiej osady.

Ilja z plemienia Muromców nie wziął pancerza ani hełmu - dźwięczenie metalu mogłoby go zdradzić, a młody junak nie chciał, by ktokolwiek go słyszał, wolałby też, żeby nikt go nie zauważył. Jedyne skórzana pochwa skrywająca klingę Gniewu niesłyszalnie ocierała mu się o udo pod płaszczem.

Poruszał się szybko, mimo że przez całą drogę targały nim wątpliwości. Kiedy Jegor przyłapał go na przygotowaniach do nocnej wyprawy i zgađł, jaki jest jej cel, natychmiast nawymyślał mu od narwanych, niedojrzałych i nadętych głupków. Próbował go przekonać, by został w pałacu i nie szukał kwiatów, które od dawna kwitły dla innego. Powinien zapomnieć, odwrócić się do przeszłości plecami i skierować wzrok w stronę jutra.

- Na świecie jest tyle kobiet, ile drzew w lesie. Wystarczy pójść i nazbierać.

- W lesie rosną też śliczne brzoźki, które nie mają sobie równych na całym świecie. Wiesz o tym najlepiej, batuszko Jegorze. Pokochałeś kobietę, która nigdy nie mogła być w pełni twoja, a przecież się jej nie wyrzekłeś.

Wzmianka o księżnej Heldze uciszyła Światogora i wtrąciła go w ponure rozmyślania. Ilja przyznał jednak w duchu, że jego rada mogła być rozsądna. To, co zamierzał zrobić, najprawdopodobniej nie miało sensu. Nie odstąpił jednak od swego zamiaru.

Raz-dwa dotarł do Thordarskalli. Tutejsi Waregowie nie wystawiali straży, bo i po co? Kto by się odważył ich zaatakować? Bułgarzy unikali osady na zachodnim brzegu niczym pogański bies krzyża, jak mawiali chrześcijańscy bojarzy. Muromiec przemknął niezauważony między chatami, chlewami i stajniami aż do stojącego na wysokim pagórku majestatycznego dworzyszczu tutejszego naczelnika Thordara. Przez chwilę obserwował okolicę długiego domu, zerkał do środka przez szpary w okiennicach i szczeliny między belkami, aż wreszcie znalazł tylne wejście, podniósł nożem skobel i wślizgnął się do środka. Poruszał się jak duch, co było niezwykle, biorąc pod uwagę jego posturę oraz to, że jeszcze niedawno był niezgrabnym, kulawym biedakiem.

Znalezienie poszukiwanej izby nie było zbyt trudne - jeszcze stojąc na zewnątrz, dostrzegł przez szparę w okiennicy cel swojej wyprawy. Na szczęście we wnętrzu budynku nie było żadnych zamykanych na zasuwę drzwi - zgodnie z wareskim zwyczajem wszystkie wejścia zakrywano jedynie żubrzymi, łosiowymi lub niedźwiedzimi skórami. Prześlizgnął się ostrożnie pod jedną z nich i był na miejscu.

- Dinaro? - wyszeptał.

- Bragi?! - Z prostego posłania ze skór podniosła się wątła istota, na pół zasłonięta powodzią czarnych włosów. - Już myślałam, że zostaniesz w pałacu do rana...

- Ja nie jestem Bragi...

Oczywiście, jęknęła ze zgrozy, zatrzepotała rękami i bogowie wiedzą skąd wyciągnęła sztylet z obustronnie naostrzoną klingą.

- Pst! - syknął, zdjął kaptur i skoczył w stronę posłania. - To ja, Ilja!

- Nie zbliżaj się! - syknęła i przesunęła nogi na drugą stronę łoża.

- Nie poznajesz mnie? - uspokajał ją, nasłuchując jednocześnie, czy nikt nie podniósł alarmu.

- Poznaje - prychnęła jak dzika kocica, zagnana przez psa w koronę drzewa. - Jesteś tym, kto nieustannie twierdzi, że jest Ilją z naszej osady... Ale to niemożliwe!

- To ja. Ilja z Karaczarowa. Kaleki Ilja. Nie słyszałaś opowieści, jak Wołch Wsiesławiewicz zdjął ze mnie klątwę macochy i przywrócił mi zdrowie i siłę?

- Słyszałam, gęślarze śpiewają ją przy ogniu niemal co wieczór. Bajdy na dobranoc...

- To nie bajdy, Dinaro. Naprawdę jestem Ilja. Ten, który próbował cię obronić przed czeremiskim łowcą niewolników, ale padł pod ciosem zadany ogryzioną baranią kością. Pamiętasz?

Przez chwilę było cicho. Drobną dziewczyną wciąż pewnie trzymała sztylet.

- Tak, pamiętam, ale ciągle nie mogę uwierzyć. Nawet gdyby to była prawda... Czego tu szukasz? Ktoś, kto się tak skrada, musi mieć nieczne zamiary...

- Nie zrobię ci krzywdy. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Chciałem się z tobą zobaczyć. Przekonać cię, że to naprawdę ja. Opowiedzieć ci, jak z twojego powodu jechałem aż do Suwaru, do smoczey wieży, bo myślałem, że Czeremisi zawlekli cię tam i chcą cię rzucić czarnemu Zilantowi.

- To byłeś ty? Ten, który ciął mieczem smoczego boga tak, że kiedy ranny leciał na północ, zrosił krwią całą Bułgarię?

- Ja. I zrobiłem to wszystko tylko dla ciebie, żeby cię ocalić. Nie przypuszczałem, że Czeremisi sprzedali cię Waregom, że jesteś niewolnicą Bragiego...

- Nie jestem jego niewolnicą. Jestem jego żoną! Chyba nie zdajesz sobie z tego sprawy, skoro ośmieliłeś się wejść do mojej izby. Wystarczy jeden mój krzyk, a przybiegną strażę...

- Nie rób tego.

- Boisz się?

- Nie rób tego dla ich dobra. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

- Jeśli Bragi dowie się, że tu byłeś, utnie ci głowę. Zdążył już zauważyć, jak zerkasz na mnie ukradkiem. Wprawdzie o tym nie mówi, ale ja widzę, że w jego żyłach wre gniew...

- Bragi się nie dowie, jeżeli mu nie powiesz.

- Dlaczego miałabym milczeć?

- Powiedziałem ci przecież - nie chcę nikogo skrzywdzić. Nawet cię nie tknę, jeżeli nie chcesz...

- Nie mam najmniejszej ochoty, zapamiętaj to sobie!

- No to mów ciszej. Proszę. Chciałem tylko... Zamienić z tobą parę słów. Powspominać Karaczarowo. Dorastaliśmy razem, Dinaro, znamy się od dzieciństwa. Wszyscy nasi bliscy zginęli tej samej nocy, z ręki tych samych zbójów. Z naszego rodu zostaliśmy tylko my i parę dziewczyn, które rozpierchły się po Suwarze, gdy upadł Zilantaw. Mamy już tylko siebie nawzajem...

- Siebie nawzajem? Co za bzdury pleciesz?! Jeśli naprawdę jesteś Ilja, syn Wiatyczki, posłuchaj mnie uważnie. Los nas rozdzielił i już nas nie połączy. Zostałam żoną Bragiego z własnej woli, z miłości. Kocham go, bo dba o mnie najlepiej, jak potrafią mężczyźni jego rodzaju. Jedyne, co mnie z tobą łączy, to wspomnienia. A dzielić się nimi... Powiedz, co dobrego nam z tego przyjdzie? Już nie dbam o przeszłość. Spoglądam ku dniom, które dopiero nadejdą. Będę matką dzieci Bragiego. I będę się z tego cieszyć.

- Nie możesz wiedzieć, co się stanie. Zbliża się wielka wojna z Chazarami. W porównaniu z nią podbój Bułgaru i Suwaru był jak bójka między sąsiadami. Halvorsson weźmie w niej udział. Nie życzę mu źle, ale na wojennej wyprawie może się stać cokolwiek. Chcę, żebyś wiedziała, że w takim razie ja jestem gotów...

- Gotów na co? - przerwała mu gniewnie.

- Gotów się z tobą ożenić. Zadbać o ciebie.

- O dziecko Bragiego też?

Zamrugła.

- Co takiego?

- Jestem brzemienna, Iljo. I już nic mnie nie obchodzi, tylko to dziecko pod moim sercem i miłość męża.

Muromiec zamilkł, przestał nalegać. Dinara zupełnie go zaskoczyła.

- Dziecko? - spytał chrapliwie. - Nosisz jego dziecko?

- Owszem. Urodzenie potomka jest obowiązkiem żony względem męża, zwłaszcza jeśli ten jest wodzem. Może jeszcze zanim ruszycie na południe, przeciw Chazarom, urodzę

Bragiemu następcę.

Wziął głęboki wdech, cofnął się i pokręcił głową z poczuciem klęski. Uszło z niego całe zdecydowanie i upór. Czuł, jak coś się w nim łamie. Kiedy dostrzegła, że stoi jak rażony piorunem, uspokoiła się i wreszcie opuściła rękę ze sztyletem.

- Wszystko skończone, Iljo. Tam w domu coś do mnie czułeś, wiem, widziałam to w twoich oczach. Udowodniłeś to również tej strasznej nocy, kiedy chciałeś mnie bronić przed Czeremisami. Dziękuję ci za to, ale nie żądaj niczego więcej. Z Karaczarowem spłonęły wszystkie nasze więzi - i te między nami, i z naszym rodem, i z krajem nad Nieprą. Pozostały tylko cienie, które ciągle straszą nas we śnie. Przestań się ich trzymać i spoglądaj przed siebie. Zostań bohaterem, o którym wszyscy opowiadają. Znajdziesz miłość gdzie indziej, zobaczysz.

- Ja... - usiłował wykrztusić. - Myślałem, że moglibyśmy... Tylko że... Wybacz, Dinaro - wyjęczał nagle. - Zachowywałem się jak głupiec, jak opętany. Teraz to widzę, jakbym był pijany i w jednej chwili cudownie wytrzeźwiał. Nie powinienem był tu przychodzić.

- Nie powinienes. Teraz wiesz przynajmniej, jak się sprawy mają. Musisz o mnie zapomnieć. Wróć do pałacu, w objęcia emirowych rusalek, które ponoć lubią sprawiać wam przyjemność. Nie powiem Bragiemu, że tu byłeś. Nie musi wiedzieć. Zgoda?

Spojrzał w jej czarne oczy, w których kiedyś tonął jak w bezdennym jeziorze, i pomału skinął głową.

- Zgoda. I obiecuję, że już nie będę cię dręczył.

Jej twarz złagodniała.

- Przestań się czepiać przeszłości, Iljo. Łączyłam cię z nią, ale teraz więzy są już zerwane. Spoglądaj przed siebie, w swoją bohatyrską przyszłość.

- Będę. I niech cię bogowie strzegą, Dinaro. I twoje dziecko.

Uśmiechnęła się smutno na pożegnanie.

- Biorąc pod uwagę, co cię niedługo czeka, Iljo, będziesz potrzebował łaski bogów bardziej niż ja.

Prędko się odwrócił, by nie zobaczyła, że jego oczy zwilgotniały.



Przez całą drogę powrotną do czółna wymyślał sobie od głupców i nieudaczników. Nie przestał się na siebie złościć nawet wtedy, kiedy wyciągnął łódkę z ukrycia, spuścił ją na wodę i usiadł w środku na ławce. Uspokoilo go dopiero wytężone wiosłowanie, w które

włożył całe serce. Jego mały stateczek mknął po powierzchni Itilu szybko jak drakkar mający silny wiatr w żaglu i poganiany dodatkowo pięćdziesięcioma wiosłami.

Mniej więcej w połowie odległości między wareską osadą a Agha-bazarem, rozległym kupieckim przedmieściem pod murami Bułgaru, dostrzegł niewielką łódź z postawionym żaglem, która właśnie opływała jedną z wysepek pośrodku nurtu i prędko zbliżała się do przystani.

Niemal jednocześnie przybili do drewnianego pomostu. Ilja rzucił srebrną monetę rybakowi, który czekał tutaj na swoją własność, po czym zwrócił się do załogi łodzi. Składała się z trzech uzbrojonych po zęby bułgarskich wojów.

- Skąd przyłynęliście? - zapytał po waresku.

- Z kazańskiej twierdzy na północnej granicy. - Przywódca grupki udowodnił, że zna język, który już niemal od stu lat służył za wspólną mowę różnym plemionom zamieszkującym brzegi Itilu.

- Widzę, że wam spieszno. Coś mi mówi, że nie macie dobrych wieści.

- Żebyś wiedział. Po złotym toporku na twojej szyi poznaję, że musisz być drużynnikiem księcia kijowskiego.

- Owszem. Jestem Ilja z plemienia Muromców.

- Słyszałem o tobie. Należysz do drużyny Światosława, więc może potrafisz nam pomóc. Musimy natychmiast dostać się do pałacu i przekazać wieści twojemu albo naszemu władcy.

- Nic prostszego. Chodźcie za mną.

Razem szli przez kupieckie dolne miasto, mimo późnej pory ciągle ruchliwe i głośnie, w stronę bramy Bułgaru. Po drodze przybysze z Kazania pokrótce opowiedzieli Muromcowi, co ich sprowadza. Ilja już wcześniej był w złym humorze, ale teraz sposepniał do cna.



Wieści z Kazania nie ucieszyły też kijowskich, bułgarskich i helgardzkich wodzów i drużynników, siedzących przy długim stole w paradnej komnacie pałacu. Ucichł brzęk pucharów i naczyń, zamarły wrzawa, mlaskanie i siorbanie. Zapanowała cisza.

Ahmed ibn Dżafar otarł grzbietem dłoni zatłuszczoną brodę, pociągnął kilka głębokich łyków ze złotego pucharu i spytał głosem przypominającym pomruk świeżo obudzonego niedźwiedzia:

- Jakie szkody spowodowali?

- Olbrzymie, dostojny emirze. Dym ze spalonych osad zasnuł niebo, jakby chciał

ukryć zniszczenie przed wzrokiem Allaha. Czeremisi zabrali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, w tym ze dwie setki niewolników. Zabili więcej niż czterystu mieszkańców i rozbili jeden nasz oddział w sile piętnastu ludzi, który właśnie był na wyprawie i chciał im przeszkodzić w grabieniu. Łupieżcy wzięli ich konie, rumaki bojowe z najlepszego chowu. Ciała wojów wrzucili do Kazanki. Wyłowiliśmy je dopiero u ujścia do Itilu, spuchnięte i ogryzione przez ryby.

- Dowódca twierdzy nic nie zrobił?

- Oczywiście, że zrobił, panie. Sihadin-bej natychmiast uszykował oddział zwiadowców w sile pięćdziesięciu ludzi, przez co niemal opróżnił twierdzę, i na jego czele wyruszył na spustoszone ziemie. Od nieszczęśników, którzy przeżyli napad, dowiedzieliśmy się, że winna najazdu jest horda Czeremisów licząca około stu ludzi. Wychynęli znienacka z lasów za rzeką Kazanką, po czym zaczęli rabować i mordować niczym krwiożercze bestie. Na ich czele stał podobno sam Wargan, niech Allah rozpląta mu brzuch i powiesi go za trzewia nad ognistą piekielną przepaścią...

- Nie znam tego imienia - odezwał się Światosław. - Kim jest Wargan?

- Wargan - wycodził przez zęby Ahmed - to świeżo upieczony władca Czeremisów. Samozwaniec, morderca, okrutnik, zbój. Pobił plemiennych naczelników, którzy nie chcieli widzieć jego zadka na stolcu książęcym, a teraz rządzi wszystkimi rodami. Wszyscy się go boją, bo mówi się, że zdobył władzę dzięki ciemnym mocom czcicieli Zilanta.

- To musi być prawda, wielki emirze - przytaknął poseł. - W lasach na północ od Kazania szerzą się wieści, że czarownik Tugarin, niech będzie po stokroć przeklęty, przeżył i dzisiaj wraz z Warganem rządzi w grodzie Kokszağa. Sihadin-bej uważa, że to właśnie Tugarin kazał Warganowi zaatakować nasze pogranicze. Może to zemsta za klęskę w Suwarze...

- Czyli Tugarin żyje! - wrzasnął Mikołaj i walnął pięścią w stół, aż podskoczyły puchary i tace. - Mówiłem wam, bracia. Ten skurwysyn ciągle knuje, siedząc gdzieś w ostępach północy, i splata mroczne czary, a Wołch, nieszczęsny Wołch, wciąż nie został pomszczony...

- Zamilcz, Sielaninowiczu - Światosław uciszył go stanowczo. - Nie pora teraz na twoje płaczliwe lamenty po Wołchu.

- Co potem zrobił Sihadin? - ciągnął Ahmed. - Śledził tę zgraję? Doścignął zbójców, przywiózł do Kazania chociaż parę czeremiskich łbów?

- Nie, panie. - Poseł spuścił wzrok. - Jechaliśmy za nimi kilka dziesiątek wiorst na północ, ale zgubiliśmy się w ciemnej, gęstej puszczy nad rzeką Aszut. Sihadin nie chciał

ryzykować, że gdzieś w tej dziczy wpadniemy w pułapkę. Mieli przecież przewagę. Bej nakazał powrót do twierdzy, gdzie zamierzał porządnie zaplanować odwet. Jednocześnie wysłał nas, żeby cię prosić o posiłki, dostojny emirze. Mówi, że jeśli będzie miał dość ludzi, jest gotów zaatakować nawet samą Kokszałę.

Emir znowu podrapał się po brodzie.

- Posiłki, powiadasz? Sihadinowi łatwo powiedzieć, nam trudniej spełnić jego prośbę. Ponieśliśmy ciężkie straty w walce z Suwarem. Brakuje mi ludzi do obrony południowych granic, gdzie ciągle włóczą się bandy koczowniczych zbójców, Pieczyngów i Kipczaków.

- Panie, jeśli nie dostaniemy ludzi, Kazań nie zdoła się utrzymać przed Czeremisami. Według naszych zwiadowców napadu dokonała ledwie drobna część sił Wargana. Gadają, że jest w stanie zgromadzić znacznie liczniejsze wojsko, nie mówiąc już o posiłkach od Permiaków z jeszcze dalszej północy, których również zmusił do walki u swego boku. Właśnie oni zaatakowali już pograniczne osady Udmurtów, żeby ukarać ich za sojusz z Bułgarem.

- Nie pouczaj mnie, woju - warknął rozdrażniony Ahmed. - Zdaję sobie sprawę z zagrożenia, ale nie mam dość sił nawet na to, by zadbać o bezpieczeństwo na miejscu, w Bułgarze.

- Nie pozostawimy tego ataku bez odpowiedzi - wtrącił się Światosław. Było po nim widać, że w jego głowie kłębią się myśli i plany. - Inaczej wiosną, kiedy ruszymy na Chazarów, potężny wróg zostanie za naszymi plecami. Jeżeli Tugarin rzeczywiście ukrywa się u Czeremisów, mógłby ich poszczuć nie tylko na Kazań, ale nawet na sam Bułgar. Kto powstrzyma ten krwawy potop, kiedy będziesz wojował w obcych krajach za sławę Bułgarii?

- Masz pomysł, jak uniknąć tego zagrożenia, książę? - Emir zasępił się.

- Może i mam pewien plan. - Światosław uśmiechnął się, aż zafalowały jego długie wąsy. - Na pewno się zgodzisz, że najlepszym rozwiązaniem jest natychmiastowy odwet. Wyprawa na Kokszałę, zdobycie jej i bezlitosne zniszczenie potęgi Wargana. Przyszło mi do głowy, że zaproponuję to zadanie Bragiemu.

Halvorsson zamarł z pucharem wina w połowie drogi do ust. Widoczne było, że do tej chwili był myślami zupełnie gdzie indziej. Zamrugnął i spojrzał ze zdziwieniem na Kijowianina, który przerwał mu rozmyślenia.

- Co mówisz, książę? - odezwał się niepewnie. - Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałem...

- Oczywiście, że rozumiałeś, Bragi, przecież to bardzo proste. Weźmiesz swoich ludzi, powiedzisz im na północ, uderzysz na czeremiskich zdrajców i wdępczesz ich

w ziemię.

Konung uniósł brwi.

- Książę, czy to ma być żart? Bo jeśli tak, nie wydaje mi się śmieszny i nie widzę, by ktokolwiek z obecnych się śmiał...

- Po co to kołowanie, Bragi? Mówiłem poważnie.

- Tylko że ja nie rozumiem, czemu akurat mnie to proponujesz. Chcesz się pozbyć moich wojów? Wyślesz nas w jakieś zimne, mgliste i podmokłe lasy północy, podczas gdy sam będziesz się dalej wylegiwał w bułgarskim pałacu? Ja i moi ludzie będziemy walczyć i przelewać krew za sprawę twoją i emira, a wy będziecie całą zimę siedzieć w miłym cieple i popijać grzane wino? Ty naprawdę myślisz - Wareg mówił coraz głośniejszym głosem i z coraz większą wściekłością, aż wreszcie podniósł się z ławy - że jestem głupcem, który się zgodzi na takie błazeństwo?!

- Bragi, nie podnoś na mnie głosu i siądź z powrotem na poduszkach - odparł niewzruszony Światosław. - Chcę ci pójść na rękę.

- Niby co w tym dobrego dla nas?!

- Zamilcz wreszcie i wysłuchaj mnie do końca. Mówiłeś dzisiaj, że twoi ludzie skarżą się na brak zdobyczy i znudziło im się siedzieć bezczynnie. Twierdziłeś, że właśnie dlatego zmienili się w rozbójników i łupią kupców w całym kraju. Daję ci więc rozwiązanie. Weź ich na wyprawę wojenną. W Bułgarze zmniejszy się napięcie, a twoi ludzie zdobędą...

- A co można zdobyć w jakiejś zapyziałej głuszy?!

- Emirze, proszę - książę spojrział na Ahmeda - wyjaśnij mu to?

Bułgarski władca kiwnął głową i spojrział na helgardzkiego konunga.

- Halvorssonie, ta zapyziałą głusza jest pełna złotodajnych rzek i miejsc, gdzie można znaleźć drogie kamienie. Czyżbyś nie wiedział, że właśnie z kraju Czeremisów pochodzi większość adamantów^[1] sprzedawanych nad Itilem? Nie mówiąc już o tym, że tamte tereny obfitują w zwierzynę. Można stamtąd przywieźć całe góry futer i cennych poroży.

- I cała ta zdobycz, Bragi, będzie tylko twoja - dodał Światosław, nawet nie próbując ukryć szelmowskiego uśmiechu. - Kiedy zdobędziesz Koksagę, wszystko, co tam znajdziesz, włącznie z niewolnikami, stanie się twoją własnością. Nie wezmę z tego nawet kamyczka. Jako Wareg nie możesz odrzucić takiej propozycji.

Wszyscy obecni patrzyli na konunga. Ten usiadł i uspokoił się, ale ciągle jeszcze był nieufny.

- Może to i kusząca propozycja, ale w dalszym ciągu jest podstępem, dzięki któremu po prostu chcesz się nas pozbyć - wycodził przez zęby. - Masz to wypisane na twarzy. Czemu

nie pošlesz na północ Swenelda i jego Rusów? W służbie Kijowa pobili już bez liku plemion. Zmiotą Koksagę z powierzchni ziemi i wrócą z łupami do Bułgaru, zanim jeszcze spadnie pierwszy śnieg.

- Sweneld dostał już inne zadanie - odparł Światosław. - Pomaga Talibowi zaprowadzić porządek w Suwarze i na stepie wzdłuż południowych granic. Zresztą nie muszę ci się tłumaczyć. Co postanowisz, Bragi? W twoich żyłach krąży dzika wareska krew. Nie mów, że potrafisz siedzieć spokojnie, słysząc o boju i łupach. Co by pomyśleli twoi ludzie, gdyby przez ciebie stracili okazję do dobrej zabawy?

Wielu drużynników Halvorssona zamruczało jednocześnie i spojrzało pytająco na swego wodza. Ten jednak ciągle się wahał. Plan wydawał mu się kuszący, ale nie chciał po raz drugi tego dnia ulec władcy Kijowa.

- Jeśli nie chce, niech dalej siedzi na tyłku! - odezwał się Mikuła. - Książę, pošlij tam nas! Twoi bojarzy zdobędą Koksagę, nie po to, żeby łupić, ale żeby pomścić Wołcha. Naszą zdobyczą będzie wszawy łeb Tugarina!

- Siadaj, Sielaninowiczu - warknął Bragi. - Pojadę. Wezmę pięciuset ludzi.

Okrzyki zachwytu, trzaskanie kielichami i głošne toasty wznoszone przez helgardzkich drużynników stanowiły wystarczający znak, że wszyscy ludzie konunga pochwalają jego decyzję.

Światosław uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie pożałujesz, Bragi. Wrócisz objuczony łupami, poza tym twoi i moi ludzie nie będą tu sobie podrzynać gardeł.

- Mam tylko jeden warunek - Halvorsson przeciął szalejącą wrzawę.

Wielki książę zdumiał się.

- Mów.

- Okażesz łaskę tym sześciu skazańcom i puścisz ich wolno. Zabiorę ich na północ i będą walczyć u mego boku.

Na wargach Kijowianina zgasł uśmiech.

- Mam cofnąć wyrok? - warknął. - Czy ty przypadkiem nie uderzyłeś się w głowę?

- Potraktuj to jak handel. Pojadę walczyć z Czeremisami, włożę tarczę między tych krwiożerczych zbójów a wypięty tyłek Bułgarii, a ty w zamian za to ułaskawisz sześciu ludzi. W tych okolicach nikt nie pamięta podobnie korzystnej wymiany. Państwo za pół tuzina żywotów.

Władca pokręcił głową.

- Bragi, nie mogę ich uwolnić. Rozmawialiśmy już o tym, nie będę się powtarzał.

Muszę ich przykładowo ukarać, żeby zapewnić bezpieczeństwo w mieście i na szlakach karawan.

- Jak sobie chcesz. - Wareg wzruszył ramionami. - W takim razie sam jedź na północ. W skalli na zachodnim brzegu rzeki mam dość piwa, a chlewy i zagrody też są pełne. Spokojnie przeczekam do wiosny, nie tracąc ludzi. Niby z jakiej racji mam jechać zamiast ciebie w te parszywe czeremiskie lasy?

- Bragi - imię to zabrzmiało w ustach Światosława jak warknięcie wilka - nie mów mi takich rzeczy. Nie jestem żydowskim ani arabskim kupcem, żebyś stawiał mi warunki...

- Czemu nie? Zwróć uwagę, że w tej chwili to ty chcesz czegoś *ode mnie*. A ja nie jestem twoim sługą ani poddanym. Jestem najemnikiem. Za moją pomoc się płaci. Mógłbym zażądać części pałacowego skarbcza. Zamiast tego chcę ułaskawienia sześciu ludzi. Właściwie jestem uosobieniem umiarkowania.

Światosław, rozdrażniony przewagą, którą konung zdobył w rozmowie, a także czując utkwione w sobie pytające spojrzenia, złapał puchar i opróżnił go kilkoma haustami. Potem odchrząknął i rzekł:

- Bragi, sprawiedliwość nie zna litości. Wyrok zostanie wykonany. Tak musi być. To moje ostatnie słowo. Jedyne, co mogę zrobić, to ułaskawić jednego, najwyżej dwóch skazanych. Pozostali muszą zapłacić za swoje zbrodnie.

Teraz wszyscy skierowali wzrok na Halvorssona. Ponuro pokiwał głową.

- Uwolnij trzech. Tych, których wybiorę. Reszta niech weźmie udział w tym zastraszającym pokazie, który uparcie nazywasz wymierzeniem sprawiedliwości. Pół na pół. Uczciwa umowa, nieprawdaż?

- Dobrze. - Wielki książę skinął głową po dłuższej chwili milczenia. - Dopiąłeś swego. Ale pójdę z tobą do lochu i nacieszę oczy pewnym widokiem. Będę patrzył, jak niewybranej trójce oznajmisz, że muszą ponieść karę.

- Wiem, że to będzie przykry obowiązek - potwierdził Bragi. - Pewnie podążę na północ z kłutwą rozczarowanych ludzi na karku. Ale zgadzam się. Napijmy się za naszą umowę, synu Ingwara.

Siedzący za szerokim stołem wzniesli puchary.

- Książę! - Mikuła przekrzyczał rosnącą wrzawę i wstał szybko. - Pozwól mi jechać z Waregami!

- Nie, Mikuło - odparł bez namysłu pan Kijowa. - Chcę mieć was, bohaterów, pod ręką. To, jak poradziliście sobie z ostatnim zadaniem, świadczy o tym, że właśnie tutaj jesteście niezwykle użyteczni.

- Gosударze, panie - Sielaninowicz uderzył w błagalny ton. - Na Welesa, matkę Mokosz i wszystkich bogów proszę, żebyś mnie puścił. Jeśli nie dostanę szansy, by pomścić Wołcha, stracę rozum!

- To prawda. - Jegor zaśmiał się ponuro. - Myśli o Tugarinie i nieszczęsnym Wołchu żrą tego chłopskiego syna jak szybko postępujący trąd. Pozwól mu jechać, inaczej będzie marudził tak długo, aż odpadną ci uszy.

- Jeśli puścisz Mikułę - odezwał się Ilja - ja też chcę jechać. Miałem czarownika w zasięgu ręki, kiedy złamał kostur Wołcha. Rozprułem brzuch czarnego smoka, ale uciekli mi sprzed nosa. Chcę to dokończyć!

- A ja - Alosza Książewicz podniósł się z ławy - mam już dość siedzenia w pałacu. Gosударze, pozwól mi wsiąść na konia i szyć do czeremiskich zbójów, a nie do gołębi! Przynajmniej poćwiczę strzelanie przed wiosenną wyprawą na Chazarów.

- Hej, czekajcie, czyżbyście chcieli jechać beze mnie? - zawołał Koływan Wygnaniec.

- I bez nas? - krzyknęli jednym głosem Diwlan i Borowej.

- Dosyć! - Światosław walnął pucharem w stół, aż odpadła bursztynowa łaza zdobiąca czaszę. - Co to za bunt?!

Bohaterzy ucichli, jakby ktoś rzucił na nich czar. Rozgniewany książę utkwiał spojrzenie w milczącym do tej pory Jegorze, który założył ręce na mocarnej piersi, oparł się wygodnie i rozejrzał się, dając znak, że chce przemówić.

- To nie bunt, gosударze - powiedział w końcu spokojnie. - To chęć sprawiedliwej zemsty. Masz wystarczająco dużo ludzi, panie. Dziesięciu nie robi ci różnicy. Ja sam wybiorę, kogo wezmę ze sobą.

- Z tobą? - złowieszco powtórzył Światosław. - Ty też chcesz jechać?

- To oczywiste, że chcę. - Jegor uśmiechnął się, jakby właśnie powiedział jakiś udany żart. - Chodzi przecież o to, co wbijałeś nam do głowy od samego początku. Drużyna i jedność. Tugarin zabił wielu z nas, nie tylko Wołcha. Tam, pod suwarską smoczą wieżą, wybił niemal wszystkich gorynyców, kwiat kijowskich wojów. Oni wszyscy zasłużyli, by w zemście za ich śmierć wylać strugi nieprzyjacielskiej krwi. Poza tym ta gromada żadnych zemsty gorących głów - rozejrzał się po swoich druhach - potrzebuje rozumnego przywódcy.

Syn Ingwara odetchnął głęboko. Cisza, która zaległa w paradnej sali, zdawała się rozlewać po przyległych korytarzach, a nawet całym pałacu. Nikt nie wydał najlżejszego dźwięku.

Wreszcie władca Kijowa niechętnie skinął głową.

- Dziesięciu ludzi, Jegorze. Wliczając ciebie. Ani jednego więcej.

W napiętej ciszy rozległ się okrzyk radości Mikuły.



Zrobili to w tradycyjnie wareski sposób. Tak samo odchodzili z tego świata drużynnicy wielkich jarłów i konungów, którzy zdecydowali się towarzyszyć swoim wodzom w drodze do Walhalli. Mogłoby się wydawać, że uduszenie nie jest dobrą śmiercią dla syna Północy, że lepsze byłoby żelazo, ale skoro konopna lina była dość dobra dla najwyższego boga Odyna, każdy śmiertelnik chętnie odchodził w ten sposób do jego niebiańskiego dworu.

Kiedy trzech druhów Einara odwiązano od słupów, przy których każdemu z nich wymierzono tuzin razów biczem, każdemu z nich owinięto wokół szyi cienki konopny powróż. Końce każdej liny chwyciło dwóch Waregów. Bragi uparł się, by to jego ludzie, a nie bułgarscy kaci, ubiczowali winowajców i posłali ich w objęcia walkirii. Skazańcy nie byli mu jednak wdzięczni, wprost przeciwnie - przeklinali go. Jego i tych trzech, którzy zostali ułaskawieni, a teraz, już bez pęt i w pełnych zbrojach, przyglądali się wykonaniu wyroku. Halvorsson i stojący obok Sigmarsson widzieli nienawiść w spojrzeniach, które trójka biczowanych mężczyzn rzucała im ponad tłumem Bułgarów tłoczących się pod miejscem kaźni.

Bragi zacisnął zęby i popatrzył w stronę skazańców z nadzieją, że wyczytają w jego oczach, jak bardzo żałuje, że do tego doszło i że właśnie oni musieli podlec karze. Potem skinął na swego przybocznego. Ten podniósł do ust wielki, kręcony róg, wziął głęboki wdech i zadął.

Odgłos rogu wzleciał ponad plac przed bramą pałacu emira. Konung modlił się, żeby to wołanie usłyszano w samej Walhalli i wysłano jazdę po duchy trzech wojowników. Dobył z pochwy miecz, który błysnął w słońcu, i krzyknął gromkim głosem:

- Odyn!

- Odyn! - odkrzyknęli chórem Waregowie z Helgardu i tak głośno zadźwięczeli bronią, że wystraszeni Bułgarzy chowali głowy w ramiona.

- Odyn! - zawołał Einar. Spojrzenie miał chmurne, a usta aż do tej pory zaciśnięte.

- Odyn! - wrzasnęli skazańcy.

Bragi skinął na dusicieli.

Pociągnęły liny. Prędko, mocno, ze wszystkich sił. Pętle wpiły się w szyje trzech mężczyzn. Niespokojny tłum krzyknął z przejęciem. Niedawni druhowie umierających zaburzeli i zazgrzytali zębami na znak niezgody. Znowu zadźwięczała broń, by ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszają odchodzący druhowie, był szczęk żelaza.

Wódz Waregów nie odwrócił się, nie spuścił wzroku. Patrzył chmurnie na brunatniejące twarze, wybałuszone oczy, na języki wysunięte z zaślinionych ust. Przyglądał się konwulsyjnym poruszeniom ciał, daremnym próbom oporu, mokrym plamom rozlewającym się na spodniach. Nie odwrócił się, dopóki w oczach skazańców nie zgasło życie. Nie chciał, by odeszli do bogów z myślą, że ich konung tchórzliwie odwraca spojrzenie od tego, czemu nie tylko nie potrafił zapobiec, ale co w końcu wsparł własną decyzją.

Dopiero po tym, jak kaci rozluźnili powrozy i trzy bezwładne ciała zsunęły się na deski miejsca kaźni, Bragi obejrzał się w siodle i spojrzał na Światosława. Kijowski książę stał tylko parę kroków za nim. Jego twarz pociemniała, ale on również obserwował wykonanie wyroku bez drżenia. Teraz oddał Halvorssonowi spojrzenie. Z jego chłodnych, niebieskich oczu nie sposób było wyczytać, co myśli ani co czuje.

- Dobrze, że odjeżdżam - odezwał się konung niskim, lekko ochryplym głosem. - Przez jakiś czas i tak nie mógłbym nawet patrzeć na to miejsce.

Światosław nie odpowiedział, kiwnął tylko nieznacznie głową na znak, że rozumie.

- Mężowie z Helgardu! - Bragi zwrócił się do swoich ludzi. - Tutaj już wszystko dla nas skończone! Wyruszamy w drogę! Wszyscy na przystań!

Zastępy odziane w wareskie żelazo zahuczały na znak zgody. Bułgarscy kaci właśnie zajęli się ciałami skazańców i nikt nie miał ochoty patrzeć, jak ćwiartują zwłoki i nabijają je na przygotowane już zastrzone pale. Wojsko z Północy ruszyło szeroką ulicą w stronę głównej bramy.

Również kijowska drużyna szykowała się do odjazdu, wszyscy ludzie byli już w siodłach. Mimo że mieli płynąć w górę Itilu na drakkarach Bragiego, zabierali konie. Byli tu Jegor Światogor, Ilja Muromiec, Mikołaj Sielaninowicz, Koływan Wygnaniec, Alosza Książewicz i dwaj Połocczanie, Diwlan i Borowej. Do tej grupy Jegor dołączył Daniłę Łowczanina i Suchana Radymicza, którzy gorąco o to prosili.

- Zabiorę was, jeśli coś mi obiecacie - postawił im warunki. - Ty, Daniło, powściągniesz swój język. Nie chcę, żeby twoje szyderstwa wywołały niesnaski w drużynie.

- Powstrzymam się - obiecał Łowczanin, mimo że drgały mu kąciki ust.

- A ty, Suchanie - Światogor zwrócił się do okrytego bliznami woja - musisz mieć większy wzgląd na towarzyszy broni. Zachowuj się jak członek drużyny, nie jak samotny zabójca. Kiedy na własną rękę szaleńczo rzucasz się w sam środek nieprzyjacielskich szeregów i szukasz tam drogi do swego martwego syna, postępujesz wielce dzielnie, ale możesz zarazem narazić pozostałych. Musisz zrozumieć, to nie jest jedna z twoich wypraw w poszukiwaniu Kostromy. Jedność i braterstwo są ważniejsze niż liczba rozsiekanych

przeciwników. Rozumiesz?

Suchan kiwnął głową.

Ostatniego Jegor wybrał Samsona Samojłowicza, chrześcijanina z Armenii, który w przeciwieństwie do swego biblijnego imiennika był szczupły, a do tego okropnie brzydki. Znał się jednak na koniach i był świetnym łucznikiem, tropicielem oraz zwiadowcą, więc w pewnych okolicznościach był z niego większy pożytek niż z mężów o głowę od niego wyższych.

Tej dziesiątce Światosław rzekł na pożegnanie:

- Oszczędzajcie życie innych, ale przede wszystkim własne. Wiosną będę was potrzebować pod murami Chazaranu i Sarkelu, więc nie szukajcie zbędnego ryzyka, nie popisujcie się jeden przed drugim ani przed Waregami, nie gnajcie za bohatyrską sławą. I nie kłóćcie się z Bragim. Starajcie się wszystko łagodzić, nie dolewajcie oliwy do ognia.

- Mamy tylko jeden cel, gosudarze - odparł Mikołaj Sielaninowicz. - Chcemy ci przywieźć gnijącą, podziobaną przez wrony głowę Tugarina Drakowicza. Ten skurwysyn nie będzie się długo cieszył ze zwycięstwa nad Wołchem i gorynyczami.

- Wszystko podporządkujemy temu celowi - dodał Jegor. - Dopilnuję tego.

- Niech ci Perun dopomaga.

- Lepiej nie. - Siwy bohater uśmiechnął się i dotknął piersi, gdzie spod długiej brody błyszczał złoty krzyżyk. - Gdyby święty Michał i święty Jerzy zobaczyli go przy mnie, mogliby się ode mnie odwrócić.

Alosza Książewicz i Samson Samojłowicz przeżegnali się. Pozostali bojarzy ścisnęli w dłoniach topory Peruna, które wisały na ich szyjach.

Wielki książę omiół wzrokiem dziesiątkę bohaterów i nagle westchnął żałośnie.

- Nie macie pojęcia, jak wam zazdroszczę. Aż mnie serce boli. Najchętniej wsiadłbym z wami na drakkar i ruszył na nieprzyjaciół. Bez wahania zamieniłbym wygodne łóżko i poduszki wypchane pierzem na twardą ziemię przy obozowym ogniu, ba, zamieniłbym nawet te smakołyki z pałacowej kuchni na kawał naprędce opieczonemu, jeszcze krwistego końskiego mięsa. Naprawdę chętnie bym wyruszył, ale nie mogę. Muszę tu tkwić i utwierdzać mocną ręką kijowską władzę nad Bułgarami, inaczej prześlizgnie mi się między palcami jak wijący się węgorz. Myślałem, że będę nieustannie szerzyć sławę Rurykowego rodu z siodła, z mieczem w ręku i bojowym okrzykiem na ustach, tylko że na ogół politykę robi się inaczej.

- Wytrzymasz do wiosny, panie - burknął Światogor. - Potem znowu poprowadzisz wojsko. Będziesz z nami nocować przy ognisku i jeść końskie mięso na wieczerzę.

- Chciałbym, żeby to było już, nie potem. Jedźcie, bracia. Niech wam bogowie dopomagają.

Bohaterzy skłonili głowami na pożegnanie, po czym zawrócili konie i ruszyli za helgardczykami.

Poranne słońce wspięło się na niebo nad bułgarskim murem. Świeżo przelana krew skazańców rozjarzyła się jak rubiny. Na placu wzniesiono pierwszy kół, na którym wytrzeszczała oczy i pokazywała język głowa jednego ze straconych Waregów. Jego płowe włosy powiewały na lekkim porannym wietrze, który kawałek dalej, w przystani na itilskim brzegu, niecierpliwie uderzał w świeżo postawione żagle wareskich drakkarów.



Obserwował ich. W skupieniu patrzył, jak dźwięczące żelazem wareskie szyki zmierzają główną ulicą bułgarskiego Agha-bazaru w stronę rzeki, tupią na drewnianym pomoście i wsiadają na pokłady dwunastu łodzi kołyszących się na mętnej powierzchni wody. Na samym końcu ludzkiego potoku dostrzegł oddział jeźdźców z końskimi ogonami na hełmach i w pancerzach połyskujących w świetle porannego słońca. Opanowały go złe przecucia, ponieważ było w nich coś znajomego. Opadł niżej i przyjrzał się uważnie. Bogowie! Jego przypuszczenia okazały się prawdą. Nie miał wątpliwości. Poznawał tych, którzy niecałe dwa miesiące wcześniej wściekle zaatakowali suwarską smoczą wieżę. Jeden z nich, ten młody, jasnowłosy i niezwykle rosły, zadał śmiertelny cios samemu Zilantowi. Oznacza to, że wyruszyli szukać zemsty i zakończyć to, co zaczęli pod Zilantawem. „Żeby ich mór wybił!”.

Widział, jak Waregowie, będąc już na pokładach łodzi, wpychali swoją broń i zbroje do nieprzemakalnych skórzanych worków, na których potem siadali - gdyż ich drakkary nie miały ław dla wiosłarzy jak na przykład chazarskie galery - i chwytali wiosła stwardniałymi dłońmi. Statki jeden po drugim odbijały od przystani i zwracały rzeźbione dzioby pod prąd. Napędzane były nie tylko wiosłami, których od piętnastu do dwudziestu znajdowało się na jednej burcie, ale również sprzyjającym wietrzykiem, wzdymającym pstrokate żagle. Jeśli w najbliższych dniach bogowie ześlą wojom z Północy dobrą pogodę, wkrótce będą wyciągać łodzie na piaskach pod Kazaniem.

Jeszcze chwilę unosił się nad przystanią i rozkoszował się widokiem ruchu tam, w dole. Obserwowanie rojnego, leżącego na słonecznym południu miasta było przyjemną odmianą. W ciągu poprzednich nocy wysyłał swoją świadomość w dokładnie przeciwnym kierunku. Leciał na niewidzialnych skrzydłach czarodziejskiego snu nad bezkresnymi lasami

północy, tonącymi we mgle i martwej ciszy. Na setki wiorst wokoło rozpościerała się bezludna puszcza, której monotonię ożywiały jedynie widok lecących, wody chlupoczącej w gęstej sieci rzek i potoków czy łosi przemierzających rozległe mokradła. Całymi nocami szukał, śledził, obserwował, aż wreszcie w dali, na skraju północy, gdzie już ledwie sięgał myślą, znalazł wąską górską dolinę, która wiła się między stromymi zboczami aż do podnóża wielkiej góry. Tam, w niszy pod stokiem porośniętym gęstwiną, stała prosta, ale potężna okrągła chata z wysoką strzechą. W budynku znajdowało się coś niezwykłego. Ściany ze szerniałych, porośniętych mchem belek nie miały okien ani drzwi. Wydawało się, że do tego domu nie można wejść...

Ucieszył się. Tam! Właśnie tam! Znalazł miejsce, którego tak długo szukał! Cel wszystkich jego wysiłków, a zarazem początek nowej, niebezpiecznej i przy tym podniecającej wyprawy. A na końcu drogi... *Arkligu, Tangro, Erliku i wszyscy bogowie! Będę go dzien miejsca u waszego boku!*

Właśnie w takie wyczerpujące podróże wyruszała ostatnio jego świadomość. Za to dziś spoglądał na południe - by się przekonać, jakiej odpłaty za swój niedawny zbrojny wyczyn mogą się spodziewać jego gospodarze... *Gospodarze, phi!* Tylko oni tak myśleli. W rzeczywistości to on im rozkazywał i wpływał na ich decyzje, jakby byli jego własnością, nędznymi niewolnikami...

Zobaczył to, co chciał zobaczyć. Nadszedł najwyższy czas, by zawrócić. Jego myśl przestała krążyć nad Bułgarem i z zawrotną prędkością poleciała na północ - nad ujściem Kamy do Itilu, nad Kazanką, koło wielkiej bułgarskiej twierdzy u jej ujścia, potem nad lasami pełnymi rzek i jezior aż do głównego grodu Czeremisów...

Otworzył oczy i zamrugał. Ciągle jeszcze nie mógł przywyknąć. Po każdym ocknięciu się dziwiło go, że nie widzi nad sobą pierścieni suwarskiej wieży. Zamiast tego patrzył na kostropate, okopcone przez święte ogniska ściany przestronnej jaskini. Były gęsto pokryte prymitywnymi rysunkami, na ogół scenami z prastarych czeremiskich opowieści. Tam był Kugu Jumo, najwyższy bóg i władca niebios, zrzucający z niebieskiego sklepienia pana złych duchów Keremeta. Tuż przy nim Kudyczo, gromowładca, ciskał w ziemię ogniste włócznie i zabijał nimi szyrty, szkodliwe leśne demony. Dalej pan zaświatów Kijamat sądził duchy stojące w długim szeregu. Opodał onary, olbrzymy z prawieków, walczyły o władzę nad światem, na którym jeszcze nie narodzili się ludzie...

Nie, nie przeszkadzało mu, że jaskinię poświęcono bogom, których nie czcił. Ważne było tylko to, że znajdowała się nad źródłem mocy, którą mógł wykorzystać do własnych czarów. Dodatkowo łuska Zirnitry, zrosnięta z dwu złomków i umieszczona w głowicy

Żelaznego Kostura, dawała mu o wiele więcej mocy, niż miał kiedykolwiek przedtem.

Pomału, niezgrabnie podniósł się z poplamionego kamienia ofiarnego. Łuska zgasła, a widmowa srebrzysta tarcza, do tej pory okrywająca jaskinię, znikła, odsłaniając rysujące się cienie grubo ciosanych kamiennych figur. Przetarł twarz i zataczając się, ruszył w stronę wyjścia, starając się po drodze odzyskać równowagę i pewny krok. Światło słoneczne, przenikające do wnętrza przez zębaty otwór, kłuło go w oczy. Osłaniając je dłonią, wyszedł z podziemi na stok pagórka porośniętego rzadkim lasem.

W przesyconym słońcem powietrzu niosło się dalekie dudnienie, zagłuszane radosnym nawoływaniem. Spojrzał w dolinę i zauważył, że uliczkami Kokszaği biegną podnieceni Czeremisi. Po chwili dostrzegł przyczynę tej wrzawy. Z południa, wzdłuż brzegu Czerwonej Rzeki, liczna gromada jeźdźców rażno jechała do rozległego grodu.

- Wrócił kugurak! - wołanie tłumu odbiło się echem od zboczy.

Stojący przed jaskinią człowiek wydał wargi. Jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś tak tchórzliwie płaszczył się przed wodzem. Nawet najgorliwsi pochlebcy z Suwaru nie zachowywali się w podobny sposób. Czeremisi witali Wargana, jakby był ukochanym władcą, ale kolana trzęsły się im ze strachu, a trzewia skręcały się w brzuchach jak kłęby węży. Jedyne, z czego naprawdę się cieszyli, to powrót mężów i synów, ciągle wzywanych na wyprawę wojowniczego wodza.

Tugarin Drakowicz podszedł do wronka przywiązanego do jodłowej gałęzi przed wejściem do jaskini, wspiął się na siodło i ruszył w dół łagodnego zbocza do grodu.

Nie dopuści przecież, by ten parszywy śmiertelnik zgarnął dla siebie całą chwałę.

[1] Grecka nazwa diamentów.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przykuty do mroku

P

rastara czeremiska opowieść mówiła o biegłym łowcy i wojowniku Kuguraku, który władał Czeremisami w dobie Złotego Wieku. W tych błogosławionych dniach niebo znajdowało się tak nisko, że ludzie mogli go dotknąć i codziennie spotykali się ze swoimi bogami. Był to czas, kiedy wszystko kwitło, śmiertelnicy byli szczęśliwi, żyli w dostatku, ubierali się w złotogłów i śnieżnobiały jedwab. Niestety, Piambar, córka najwyższego władcy niebios Kugu Juma, zapatrzyła się w dzielnego wodza Kuguraka. Wbrew zakazom ojca zeszła na ziemię i postanowiła zamieszkać ze śmiertelnikiem. Wielki Kugu Jumo rozgniewał się, a kraina bogów oddaliła się od świata ludzi. W ten sposób skończył się Złoty Wiek, a rozwścieczeni niebianie zesłali na śmiertelników choroby, wojny i wszelakie nieszczęścia.

Kugurak nie zląkł się jednak. Przywołał na pomoc szyrty, złe duchy, podobno sprzymierzył się nawet z samym Azyrenem, demonem śmierci, który swoim niewidzialnym nożem podrzyna konającym gardła i w ten sposób oddziela duchy od ciał. Z nową czarodziejską mocą i w siodle pięknego, białego rumaka Kugurak ruszył do walki z samymi bogami. Przez całe życie uparcie bronił ludzi przed złośliwością i żądzą zemsty niebian. Kiedy skończył dwieście pięćdziesiąt lat - bo tak długo żyli ci, którzy urodzili się w czasie Złotego Wieku - kazał postawić na dziedzińcu swej twierdzy kumir, masywny święty kamień. Potem wczołgał się do jamy pod nim i rozkazał, by przywalono go głazem. Zanim go usłuchali, obiecał, że jego duch będzie żył w kamieniu i za każdym razem, kiedy Czeremisom coś zagrozi, będą mogli wezwać go na pomoc. Wystarczy, jeśli spryskają kumir krwią złożonego w ofierze konia, a wybrany wojownik trzykrotnie obiegnie kamień. Duch Kuguraka wstąpi wtedy w wybrańca i on sam znów będzie wiodł ich bojowe zastępy

i bezlitośnie gubił nieprzyjaciół plemienia.

Od tego czasu Kuguraka czczono jako demona wojny, a jego imię stało się tytułem wodza wybieranego na wyprawy wojenne. Nic dziwnego zatem, że kiedy Wargan w zeszłym roku triumfalnie wjechał do Kokszaży i zgniół ostatnich przedstawicieli starszyny, którzy jeszcze stawiali mu opór, pierwsze, co zrobił, to ruszył w stronę masywnego głazu na grodowym dziedzińcu. Kolduni, czeremiscy żyrzcy, przyprowadzili dorodnego białego ogiera, któremu wódz własnoręcznie przeciął żyły. Potem rozebrał się do naga i trzykrotnie obiegł kamień zalany świeżą krwią, przyzywając ducha dawnego bohatera. Dzięki temu obrzędowi uzyskał tytuł kuguraka, naczelnika wojennego, władcy złych duchów, którego słucha nawet straszny Azyren.

Tugarin śmiał się z tego. Czuł, że w kumirze przed dworzyszczem wodza rzeczywiście drzemie czarodziejska siła, być może duch jakiegoś kapłana z dawnych czasów, ale Wargan na pewno nie zdołał przejąć tej mocy. Czeremiscy głupcy mogli w to spokojnie wierzyć, ale w rzeczywistości ich władca nie rządził demonami i na pewno nie był w stanie połączyć sił z łowcą duchów. Zrobił tylko przedstawienie dla swoich dzikich, prymitywnych poddanych. Dzisiaj Wargan również zaczął od ofiarowania przy świętym kamieniu białego rumaka, zdobytego na kazańskim jeźdźcu.

Tugarin rozkoszował się chwilą, kiedy bezlitośnie przerwał obrzęd i udaremnił ten pokaz miernoty.

- Bądź pozdrowiony, Warganie, potężny kuguraku, władco ziem nad Czerwoną Rzeką!

Wysoki wódz obejrzał się tak szybko, jakby mimo całej wrzawy na swoją cześć złąkł się głosu Tugarina. Kto wie, może naprawdę tak było. Dumny uśmiech, z którym odpowiadał na pozdrowienia tłumu, zamarł na jego zbryzganej krwią twarzy. Na przekór ceremonialnemu powitaniu w głosie czarodzieja nie było śladu czci czy choćby szacunku. Pobrzmiewała w nim raczej mieszanka śmiechu i pogardy. Gdyby ktokolwiek inny odważył się mówić w ten sposób do Wargana, władca natychmiast własnoręcznie wyrwałby mu język i zjadł go na surowo na oczach winowajcy. Ale Tugarin... Tugarin miał Żelazny Kostur iskrzący się magią matki smoków Zirnytry. Kugurak już rozważał możliwość, że najmie kilku zręcznych złodziejskich zaklinaczy, którzy ukradną laskę najwyższego kapłana, ale to by raczej nie pomogło. Tugarin miał dość mocy nawet bez niej, był potomkiem długiej linii suwarskich smoczycy kapłanów i najwyraźniej chodził po tym świecie dłużej niż ktokolwiek inny. Gdyby władca odważył się mu sprzeciwić, natychmiast by tego pożałował.

- Najwyższy kapłanie - Wargan pozdrowił czarownika i skłonił lekko głowę. Starł

się, by w jego głosie zabrzmiały oznaki buntu, ale to, co burzyło się w jego sercu, nie przeszło mu już przez gardło, a jego słowa brzmiały raczej jak pokorne skomlenie zbitego psa. On, wielki kugurak Czeremisów, który zasiadł na stolcu książęcym, wylawszy rzeki krwi, który siał taką grozę, że w promieniu wielu wiorst każdy człowiek mdlał ze strachu na wieść o jego nadejściu, bał się tego białowłosego czarownika jak mysz polującej sowy.

- Poprzedzają cię wieści o wielkim zwycięstwie. - Tugarin rozejrzał się po gromadzie stojącej gęsto wokół kumiru. - Widzę, że posłowie się nie mylili. Twoje wojsko jest tak samo liczne jak wtedy, kiedy opuszczałeś Koksagę. Konie są objuczone łupami. Widzę też, że przez bramę przepływa strumień niewolników.

- Są wśród nich dziewice, które złożymy w ofierze smoczym bóstwom - powiedział Wargan i dodał w duchu:...mimo że Kijowianie zabili Zilanta, a jego ścierwo gnije w lesie nad Juszudem. Po chwili pożałował tej buntowniczej myśli, bo spojrzenie Tugarina zdradziło, że najwyższy kapłan ją usłyszał.

- Bardzo dobrze, nie można zapominać o bogach nawet w chwilach naszych ziemskich triumfów - burknął czarodziej. - Zwycięstwa mogą być krótkotrwałe, a my już wkrótce będziemy potrzebowali przyjaźni bóstw w kolejnych, cięższych bojach.

Wargan uniósł głowę.

- Tylko tak mówisz czy może zobaczyłeś coś swoim wszyszkowidzącym wzrokiem?

- Przecież wiesz, że nie rzucam słów na wiatr. Wieści o twych okrutnych postępkach już dotarły do Bułgaru. Widziałem to dosłownie przed chwilą, leżąc w świętej jaskini...

- Co postanowili? - Wódz przestąpił z nogi na nogę. - Wysłali do Kazania posiłki?

- Gdyby tylko o to chodziło...

Podczas gdy krople tężejącej na twarzy Wargana krwi ciemniały, skóra pod nimi nieznacznie zbladła.

- Wyprawa odwetowa? Mów!

- Powinieneś najpierw nalać sobie puchar mocnego wina - zaproponował Tugarin i zsiadł z konia.

Książę, chcąc nie chcąc, musiał powściągnąć ciekawość. Oddał kamienny topór ofiarny dziko spoglądającym koldunom, którzy trzymali w rękach bębenki i rzeźbione laski. Potem kugurak wraz z czarodziejem, odprowadzani okrzykami tłumu, jakby Drakowicz też przysłużył się zwycięskiej wyprawie, wspięli się po kamiennych schodach ku bramie dworzyszczą.

Właśnie w tej chwili okute brązem wrota otworzyły się ze zgrzytem i wysunęła się przez nie młoda kobieta, czy też raczej dziewczyna, mniej więcej siedemnastoletnia,

o kruczonych włosach sięgających pasa. Miała szerokie, krągłe biodra, obfite piersi i pulchne uda, ale mimo to wydawała się malutka - jej czoło, ozdobione opaską z naszytymi na obwodzie brzęczącymi srebrnymi spiralami, znajdowało się na wysokości piersi Wargana. Po chwili znalazło się jeszcze niżej, ponieważ dziewczyna szybko uklękła, pokornie skłoniła się aż do ziemi i wyciągnęła ręce w stronę butów wodza.

- Bądź po stokroć pozdrowiony, wielki kuguraku, mój panie i mężu! - zawołała między kamienie. - Bogowie wysłuchali moich modlitw i przywiedli cię z powrotem w moje objęcia!

- Gdyby bogowie wysłuchali prośb, które szepczesz potajemnie - skrzywił się Wargan - zaprowadziliby mnie pod niewidzialną klingę samego Azyrena. Dlaczego witasz mnie dopiero teraz?! Nawet ostatni pies w Kokszaдзе wybiegł mi na spotkanie wcześniej niż ty! Nie musisz się cieszyć z mojego powrotu, suko, ale będziesz mi okazywać szacunek, rozumiesz?!

- Chciałam się ładnie ubrać i przystroić, by mój widok sprawił ci przyjemność, mój panie! - zakwiliła dziewczyna.

- Przestań łąać, przekłeta Permiaczko! Gównu ci zależy na tym, czy mi się podobasz, a mnie tym bardziej wszystko jedno, jak wyglądasz. Przysięgam na bogów, że wybiorę sobie parę nałożnic spośród schwytanych Bułgarek, bylebym nie musiał wsadzać ptaka w twoją zimną szparę. I przestań się tu wic jak robak, idź nam uszykować jadło i wino. Niech będzie z ciebie jakiś pożytek!

Przy tych słowach oparł o jej ramię brudną podeszwę i pchnął nogą kobietę. Padła na ziemię i ze łzami w oczach odpełzła z powrotem do drzwi, gdzie prędko wstała i znikła w cienistym wnętrzu domostwa.

- Mylisz się, Warganie - niedbale stwierdził Tugarin, całkowicie obojętny na grubiaństwo naczelnika. - Iszora jest użyteczna. Gdybyś nie wziął jej za żonę, wódz Rotawar, jej ojciec, nigdy nie obiecałby nam wsparcia Permiaków w boju przeciw Bułgarom i Udmurtom. Jest bardziej twoją zakładniczką niż małżonką.

- Wiem o tym dobrze. Ona też. Dlatego mnie tak nienawidzi.

- A kogo obchodzi, co ona do ciebie czuje? Najważniejsze, żeby szybko urodziła ci następcę. Do tego czasu nie marnuj nasienia i nie napełniaj łon bułgarskich niewolnic. Po co płodzić łotrów, którzy będą się potem domagać twego tytułu, bo urodzili się wcześniej niż pełnoprawny dziedzic? Najpierw napełnij Iszorę, zapobiegiesz późniejszym rozłamom w plemienu.

Wódz uśmiechnął się krzywo.

- Mam nawet chędożyć na twój rozkaz?

- Rozkaz? - Uśmiech Suwara przypominał mieszanekę miodu i silnej trucizny. - Czyżbym wydawał ci jakieś rozkazy? Jakżebym mógł? Ja tylko dobrze radzę.

Samozwańczy kugurak nic nie odpowiedział, zmarszczył tylko czarne brwi i skierował wzrok ku drzwiom.

Jednocześnie przeszli przez wrota. Tłum przed dworzyszczem miał myśleć, że są najlepszymi przyjaciółmi.



- Jestem gotowy - wymamrotał Wargan z ustami pełnymi pieczonej jagnięciny. - Nawet na najgorsze wieści. Co widziałeś, najwyższy kapłanie?

- To, przed czym cię ostrzegałem. Mówiłem ci, że Bułgaria nie zostawi twoich poczynań bez odpowiedzi.

- Przecież na południu panuje zamęt, państwo emira jest wyczerpane wojną. Ahmed ledwie sobie radzi z utrzymaniem porządku...

- Nie myliłeś się co do tego, wodzu. Gdyby to zależało tylko od tego przekłętego mahometanina, Kazań nie doczekałby się posiłków. Jak już jednak podkreśliłem, nie wolno ci zapominać o Kijowianach i Waregach.

- Oni spoglądają łakomie na południe, w stronę państwa Chazarów, które chcą najechać na wiosnę. Dlaczego mieliby nagle kierować uwagę w przeciwną stronę, na nasze dalekie lasy?

- Właśnie w tym miejscu popełniłeś błąd, Warganie. Światosław nie jest zwykłym wareskim zbójcem, który napada, rabuje, po czym obojętnie rusza dalej. Już samo to, że zdobył Bułgarię niemal bez rozlewu krwi i łupienia, powinno cię ostrzec, że kijowski władca rozumuje inaczej, rozsądniej. Nie ma zamiaru spustoszyć Bułgarii, chce ją utrzymać i w przyszłości wysysać jej bogactwa jak pijawka. Na pewno pojął, że kiedy wiosną ruszy na Chazarów z Ahmedem i większością wojska, my możemy zaatakować ich od tyłu i zając więcej niż połowę bułgarskich ziem - od Kazanki aż po Kamę. Postanowił więc, że do tego nie dopuści. Wysłał ludzi, widziałem, jak opuszczali Bułgar. Mówię ci, że to nie posiłki dla Kazania ani zwykła rajza odwetowa. To regularna wyprawa wojenna.

W wielkiej sali zaległa grobowa cisza. Drużynnicy, starsi rodów oraz inni dostojnicy siedzący za długim stołem nawet nie pisnęli, spoglądali tylko na przemian to na czarownika, to na kuguraka.

- Mam jeszcze gorszą wiadomość. Idą tu nie wojowie Ahmeda - dodał Tugarin. -

Gdyby to byli jeźdźcy przywykli do walki w stepie, rozpaczliwie bezsilni w lesie, moglibyście ich rozdeptać jak robaki. Ale to nie oni.

- Waregowie? - spytał Wargan lekko ochrypłym głosem.

- Oczywiście. Spodziewałem się, że tak będzie, bo po tegorocznych bitwach niewiele zostało z bułgarskich wojsk. Oprócz tego rozkazy emira znaczą teraz tyle, co pierdnięcie unoszone wicherem. Światosław twardą ręką rządzi Bułgarią. Wysłał więc zabijaków z Helgardu.

- Czyli Waregów prowadzi Bragi Halvorsson, ten parszywy pies!

- Tak, właśnie on. Jest z nim również drużyna wojów Światosława, wprawdzie niewielka, ale złożona z najlepszych ludzi. Są wśród nich ci, którzy ośmielili się napaść suwarską świątynię, żeby ich Erlik wygubił!

- Skurwysyńskie bohatory - burknął naczelnik i rzucił ogryzioną kość psu siedzącemu pod stołem. Potem chwycił puchar, do którego hojnie dolewała roztrzęsiona Iszora, i zamoczył tłuste wąsy w drogim greckim winie. - Rzeczywiście, to nie są posiłki dla Kazania. Waregowie pragną łupów i sławy wojennej, nie będą sterczeć na granicy i czekać na nasz atak. Na pewno ruszą dalej na północ... Ilu ich właściwie jest?

- Po wodach Itilu mknie tuzin długich łodzi. Zwyczajny wareski drakkar mieści od czterdziestu do pięćdziesięciu ludzi, czyli w sumie będzie pięciuset, może sześciuset wojowników.

- Niemało.

- Niemało. A ty będziesz musiał z nimi walczyć, oczywiście nie w otwartym boju. Trzeba wciągnąć ich w zasadzkę - w lesie albo na bagnach, gdzie można się łatwo bronić mimo przewagi wroga.

- Nie będą mieć przewagi. - Książę otrząsnął się już i zamiast narzekać na złe wieści, od razu zaczął planować przeciwnatarcie. - Moje osady dadzą mi co najmniej trzystu ludzi, a suchodolscy Czeremisi przyślą setkę. Będę miał też Permiaków.

- Myślisz, że cię wesprą?

- Oczywiście! Wystarczy gwizdnąć albo pstryknąć palcami i ten posłuszny pies Rotawar przybiegnie do nogi razem ze swoimi ludźmi. Jeszcze dzisiaj wyprawię do nich posła na szybkim koniu.

Słyszac imię ojca, Iszora zamrugła, ale nie odezwała się ani słowem. Nauczyła się już, że lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Dalej czekała w ciemnym kącie z dzbanem w ręku, jakby nie była żoną wodza, ale ostatnią z jego niewolnic.

- Poza tym - dodał Wargan - pomogą nam twoje czary, prawda, synu smoka?

- Nie licz na to - chłodno odparł najwyższy kapłan.

- Co takiego? - Naczelnik omal się udławił. - Nie ruszysz z nami do boju?

- Sam sobie poradzisz, Warganie. Jak mówisz, będziesz miał przewagę, na twoją korzyść działa też znajomość terenu i zaskoczenie. Poza tym - dodał Drakowicz jadowitym tonem, z krzywym uśmiechem na twarzy - jako kugurak panujesz nad leśnymi demonami, czyż nie? Z ich pomocą łatwo pokonasz intruzów.

Oczy wodza zabłyśły gniewem. Rozejrzał się groźnie. Siedzący przy nim starsi rodów i drużynnicy wpatrywali się w swoje puchary, by władca przypadkiem nie zauważył wątpliwości w ich oczach.

- Masz rację. - Znów spojrzął na kapłana. - Ale gdybyś nam pomógł, zwycięstwo byłoby bardziej druzgocące, a nasze straty mniejsze. Dlaczego odmawiasz?

- Nie odmawiam. Po prostu myślę już o naszej wielkiej wiosennej wyprawie. Poprowadzę ją osobiście, ale przedtem muszę zwiększyć swoją moc. W ciągu najbliższych dni pojadę daleko na północ.

- Odjeżdżasz? Teraz, w przeddzień bitwy?!

- Nie udawaj zaskoczonego. Wiedziałeś, że dojdzie do tego prędzej czy później.

Wargan przestał jeść. Patrzył na czarownika spod zmarszczonych brwi i milczał złowieszczo. Pozostali uczujący również się nie odezwali. W wielkiej sali słychać było tylko trzask kości w psich zębach i pryskanie oleju w lampach zawieszonych na łańcuchach pod stropem.

Trwało dość długo, zanim książę znów otworzył usta.

- W końcu to znalazłeś - burknął i splunął na podłogę. - Źródło wielkiej mocy, o którym mi opowiadałeś. Wypatrzyłeś je swoim czarodziejskim wzrokiem?

- Właśnie tak. Nareszcie wiem, w którą stronę się udać. To miejsce leży głęboko w lesie, za waszymi najdalszymi osadami.

- Niebezpieczne okolice. - Kugurak zmrużył oczy. - Kolduni mówią, że w dalekich północnych lasach żyją Czudy, tajemniczy lud z prawieków, wrogi wszystkim ludzkim plemionom. To wprawdzie karły, potrafią skryć się w trawie niczym w lesie, ale są podstępne, umięją się zmieniać w zwierzęta albo drzewa, albo nawet stać się niewidzialne. Dogadują się z demonami, rusałkami i złymi leśnymi bóstwami...

- Znam te opowieści - przerwał mu Tugarin. - No i co z tego? Nie myślisz chyba, że złękne się waszych przesądów? Pojadę i już. Jeśli mam się dostać do cudzkich lasów, zanim śnieg zasypie wszystkie ścieżki, muszę ruszyć bez zwłoki. Potrzebuję też ludzi. Dasz mi tuzin najlepszych drużynników.

- Tuzin? Teraz, przed bitwą z Waregami, liczy się każdy woj...

- To nie była prośba.

Wódz zacisnął zęby, ale było po nim widać, że dostrzega jaśniejsze strony odjazdu Drakowicza. Przynajmniej na jakiś czas pozbędzie się władczego czarownika.

- Dobrze. Jak sobie życzysz. Dostaniesz swoją drużynę. Argyz!

- Panie? - Dobrze zbudowany, mniej więcej trzydziestoletni drużynnik uniósł głowę. Jego twarz przecinała blizna po źle zagojonej ranie. Głowę miał ogoloną, z wyjątkiem pasma włosów ciągnącego się od czoła po kark, i pokrytą groźnymi tatuażami.

- Wybierz sobie jedenastu ludzi i przygotujcie się do drogi. Będziecie towarzyszyć najwyższemu kapłanowi w drodze na północ...

- Wielki kuguraku! Miałem nadzieję, że ruszę do bitwy u twego boku...

-...będziecie też mu wiernie służyć i wypełnicie każdy jego rozkaz!

- Ale moja włócznia...

- Twoja włócznia na pewno przydałaby mi się w bitwie z Waregami, ale nie martw się, nie zardzewieje na tej wyprawie. Mam rację, Tugarinie?

- Mogę dać wam słowo. - Czarodziej się skrzywił. - W lasach północy czekają nas gorsze niebezpieczeństwa niż w bitwie ze śmiertelnymi wrogami. Twój ludzie będą mieli okazję, by zdobyć sławę.

Argyz wziął głęboki wdech. „I wiele okazji, by zginąć z twego powodu” - miał ochotę dodać, ale zmilczał i pokornie skłonił głowę. Jedynie po pulsowaniu blizny, przypominającej ciemnego robaka ryjącego pod ciemną skórą, można było poznać, że zaciska zęby ze złości.

- Dobrze. - Wargan pokiwał głową i spojrzał na Drakowicza. - Masz swoją drużynę, ale coś za coś.

- Czego chcesz?

- Zostawisz tu swojego jeńca.

Czarownik zmrużył oczy.

- Po co ci on?

- A jak myślisz? Będzie moim zakładnikiem. Powiedziałeś, że z Waregami ciągną kijowscy bohaterzy. Kiedyś był jednym z nich. Podobno ci głupcy cenią braterstwo i wierność drużynie wyżej niż zwycięstwo w boju. Zobaczmy, czy przypomną sobie te bzdury, kiedy zobaczą, jak trzymam ostrze noża na jego gardle.

- Tylko byś ich rozwścieczył.

- Też dobrze. Gniew jest złym doradcą i nie pomaga w boju. Zgadzasz się? Już jakiś czas temu chciałeś skończyć z Kościejem. Dla ciebie nie jest nic wart, ale mnie może się

jeszcze przydać.

Tugarin pokręcił głową.

- Mylisz się. Kościej ciągle jeszcze ma dla mnie wartość. Właśnie dlatego go nie zabiłem. Całe dwa miesiące niszczyłem jego rozum i łamałem wolę, a teraz mam go tak po prostu oddać, żebyś mógł poderżnąć mu gardło? Nie ma mowy.

- Nie rozumiem, po co ten cień czło...

- Nie twoja sprawa!

Przy tych słowach Suwar wstał i bez pożegnania, bez pozdrowienia, bez jednego dowodu szacunku pokazał władcy Czeremisów plecy. Wargan patrzył, jak czarownik odchodzi, a ci, którzy siedzieli blisko niego, słyszeli, jak zgrzyta zębami. Naczelnik chwycił puchar. Kiedy zauważył, że jest pusty, z gniewem uderzył nim o stół i zajazgotał:

- Iszora! Gdzie się podziałaś, leniwa suko?!

Permiaczka przydreptała posłusznie i dołała wina. Było czerwone i pieniało się jak krew w żyłach kuguraka.



Tonął w mroku. Całkowicie, nie tylko ciałem, z którego ciemność wysysała siły żywotne, ale też myślą i duchem. Wyczerpywały go powracające, straszliwe wspomnienia. To było jak niekończący się zły sen. Nieważne, czy spał, czy czuwał, koszmary dręczyły go bezustannie.

W panującym tu stale mroku przestał odróżniać dzień od nocy. Z początku liczył dni wedle tego, jak przynoszono mu jadło. Raz dziennie ktoś, kogo nie znał, schodził po z grubsza wyrzeźbionych kamiennych schodach do lochu, niosąc dzbanek wody i miskę kaszy, czasami doprawionej odrobiną miodu. Rzadko kiedy dostawał kawałek sera albo solonego mięsa, a i to tylko po to, by ciało wytrzymało dłużej, podczas gdy myśl pograżała się w otchłani szaleństwa.

Z początku cieszył się, kiedy raz dziennie w jednolitej, doskonałej ciemności zaczynało migotać światło pochodni. Wydawało mu się, że jakiś bóg zstępuje ku niemu w otoczce nadprzyrodzonego blasku z innego świata, mimo że był to zwykły sługa albo strażnik, który mu wymyślał albo nawet kopał go ochoczo.

Oczy dość szybko przywykły do stałego mroku, a światło zaczęło przeszkadzać. Potem jego blask ranił, aż wreszcie stał się torturą. Jakby więzień patrzył prosto w słońce, ba, nawet gorzej. Jakby płomienie pochodni były hakami, które wbijały mu się przez oczy do mózgu i rozrywały go na strzępy. Nawet lekki odbłask na wilgotnych, chropowatych ścianach

był męczącą powodzią jasności, jakby tuż obok słoneczny rumak Dadźboga stanął dęba.

Kiedy tylko rozlegały się kroki i u szczytu schodów pojawiała się luna, odwracał się w popłochu, kulił jak nienarodzone dziecko i osłaniał mocno zaciśnięte powieki chudymi rękami. Czasami bezlitosny strażnik ze śmiechem podtykał mu pochodnię pod nos i zmuszał go, roztrzęsionego i zrozpaczonego, by wcisnął się do śmierdzącej skalnej niszy, gdzie zwykle się wypróżniał. Leżał tam na kupie gówna i skomlał o łaskę, dopóki dozorca nie sprzykrzyła się ta okrutna zabawa.

Dzisiaj chyba postanowili doprowadzić go do ostatecznego szaleństwa. Był pewien, że nie minęła nawet połowa zwykłego czasu między jednym podaniem paszy a drugim - tak, podaniem paszy, bo był teraz podobniejszy do bydłęcia niż do człowieka - i w ciemności znowu rozległy się kroki. U szczytu schodów zabłysło światło. Jęknął, zacisnął zęby i odwrócił się szybko. Chętnie uciekłby w najdalszy kąt, gdyby nie ciężkie okowy na nadgarstkach, połączone grubym łańcuchem przewleczonym przez kółko wbite w skalną ścianę. Ten dźwięk również stanowił mękę. W jego przyzwyczajonych do doskonałej ciszy uszach brzmiał jak gromobicie na szczycie góry.

Odgłos kroków dobiegał z coraz mniejszej odległości, a światło rozlewało się po jamie. Skulony pod śliską ścianą więzień skomlał i rozpaczliwie zakrywał twarz rękami. Zdawało mu się, że kłująca jasność przebija powieki, zmienione w trakcie pobytu w lochu w cienkie błony.

Ktoś zatrzymał się u podnóża schodów i przez chwilę bez ruchu spoglądał na nieszczęśnika w kajdanach. Po chwili więzień usłyszał dmuchnięcie i świat znów pograżył się w rozkosznej, jedwabistej, przyjaznej ciemności.

- Tak lepiej, prawda?

Znał ten głos. Jego właściciel pojawił się w lochu chyba trzykrotnie i za każdym razem mówił w inny sposób. Najpierw twardo, wściekle, wrogo. Potem uszczypliwie, z pogardą. Później ze szczerym zainteresowaniem. Zadawał dziwne, wręcz bezsensowne pytania, wsłuchiwał się w bełkotliwe, ledwie zrozumiałe odpowiedzi więźnia i długo nad nimi dumał.

A dzisiaj... Dzisiaj mówił łaskawie, łagodnie, nieomal kojąco, jak matka do płaczącego dziecka, które w środku nocy przebudził zły sen. Coś zaszeleściło i metal zabrzączał o kamień. To gość usiadł na schodach i postawił obok zgaszony kaganek.

- I tak dobrze cię widzę - odezwał się cichym, miękkim głosem, który nie ranił uszu przyzwyczajonych do ciszy. - Czary, pamiętasz? Kiedyś moc płynęła w twych żyłach. Może znów będzie, o ile zdecyduję, że stąd wyjdiesz.

Więzień podniósł głowę i otworzył oczy. Mrok, słodki mrok. Bogom niech będą dzięki.

- Muszę przyznać, że przykro na ciebie patrzeć - ciągnął gość. - Właściwie, jeśli mam być szczery, wyglądasz koszmarnie. I, na bogów, jak ty śmierdzisz! Nie sądzisz, że najwyższy czas skończyć z tą hańbą?

Bez odpowiedzi.

- Ja myślę, że już czas. Myślę - w jego głosie pojawił się nacisk, który zmusił skutego nieszczęśnika do schowania głowy w ramionach - że jesteś gotowy.

W lochu zaległa cisza, w której dało się słyszeć jedynie oddechy - spokojny przybysza, przyspieszony i nerwowy na pół oślepego człowieka.

- Może jesteś ciekaw, dlaczego cię nie zabiłem - podjął ten, który siedział na schodach. - Ale może i nie, bo masz kaszę zamiast rozumu... Gdybyś jednak przypadkiem potrafił jeszcze myśleć, na pewno byś się dziwił, czemu tak długo zachowuję cię przy życiu. Prawdę mówiąc, na początku rzeczywiście chciałem cię unicestwić. Wyssać magiczną moc aż do ostatniej kropli, a potem rozkazać Czeremisom, żeby wbili twoje ciało na pal albo, jeszcze lepiej, zostawili w łańcuchach bez jedzenia i wody, żebyś tu zdechł i zmienił się w kupę gnoju zżeranego przez robaki.

Kulący się ze strachu mężczyzna słuchał w ciszy, bez ruchu. Nic nie świadczyło o tym, że przeląkł się tych słów ani że je w ogóle zrozumiał.

- Potem jednak dowiedziałem się o mankurtach. Słyszałeś kiedyś to słowo - *mankurt*?

Brak odpowiedzi.

- Mankurt to istota, która kiedyś była śmiertelnikiem. Podobno koldunowie dzikich plemion stąd, z północy, potrafią zmienić każdego człowieka w swojego sługę. Rzucają klątwy, dodają trucizny do jadła albo po prostu cierpliwie szepczą, co z początku wydaje się zwykłą radą, ale stopniowo zmienia się w nakaz, któremu nie sposób się przeciwstawić. Człowiek traci wolę i rozum, staje się tępym, bezwzględnie oddanym niewolnikiem koldunów.

Siedzący na schodach mężczyzna umilkł. Nie na długo.

- Spodobał mi się ten pomysł. Postanowiłem, że cię złamię, że zamiast zabijać, zrobię z ciebie mankurta. Zamienię w skomlącego, bezmyślnego psa, który spełni każdy mój rozkaz, nawet gdybym mu kazał zżreć własne gówna. I wiesz co? Udało się. Jesteś dokładnie tym, co chciałem z ciebie zrobić. Wydaje się, że dwa księżyce to za krótko, żeby całkowicie zniszczyć człowieka, ale ty wiesz, że wystarczy. Mrok, samotność, wilgoć, zimno i skąpe jedło potrafią odebrać hardemu, silnemu mężowi rozum i złamać jego wolę. Po dalszych

trzydziestu dniach zmienia się w pustą skorupę, z której można zrobić całkiem nową istotę. Własnego mankurta.

Więzień oddychał cicho.

- Już czas, Kościeju. Wiesz, że tak masz na imię, prawda? Kościej!

Nieszczęśnik wstrzymał na chwilę dech, czym potwierdził, że rozpoznaje to słowo.

- Masz okazję opuścić tę obrzydliwą, śmierdzącą dziurę. Będziesz mógł się umyć, dostaniesz porządne jedzenie i znowu przywykniesz do światła słońca. Oczywiście, oczekuję bezwzględного oddania. Będziesz mi służyć, wypełnisz każdy mój rozkaz. Oddam ci część twojej mocy. Wykorzystasz ją, by siać grozę w moim imieniu. Już wkrótce wyruszę w daleką, niebezpieczną drogę i będę potrzebował wiernego sługi, kogoś, na kim będę mógł całkowicie polegać. Będziesz mi wiernie służyć, prawda? Wiesz, że jestem twoim panem. - Gość wstał. - Odezwij się, Kościeju! Powiedz, że rozumiesz. Że każde moje słowo będzie dla ciebie prawem i wolą boską.

W lochu znowu nastąpiła cisza. Oślepy człowiek zacharczał cicho, próbując precyzyjnie jakieś słowa przez gardło.

- Dasz radę - zachęcił go stojący mężczyzna. - Skup się. Pozwól, by mój głos cię nappełnił i zatrzymał ten szaleńczy wir, który huczy w twoich myślach. Wtedy z echa mojego głosu powstanie twój nowy duch. Twoja świadomość będzie odbiciem mojej własnej. To dla ciebie jedyna droga z głębin nieświadomości z powrotem ku światłu. Kroc za mną.

Więzień wymamrotał coś niezrozumiale. Chwilę trwało, zanim wymówił pierwsze słowa:

- Bardzo... chętnie...

Przybysz uśmiechnął się.

-...zostałbym... twoim... posłusznym... psem, Tugarinie...

Uśmiech zamarł na wargach czarownika. Zadzźwięczały łańcuchy, a Drakowicz patrzył z niedowierzaniem, jak nędzna, ohydna, ubabrana własnymi odchodami ludzka ruina zbiera wszystkie siły i wstaje.

-...ale będziesz musiał... znaleźć sobie... innego głupca...

Więzień zachwiał się, ale odzyskał równowagę i wyprostował się, unosząc głowę.

- Ja nigdy... nie będę... nadstawiać ci zadka...

Mężczyzna w łańcuchach nie mógł tego widzieć, ale twarz Tugarina zmieniła się w woskową maskę, jakich Czeremisi używali na ucztach pogrzebowych. Jego spojrzenie stwardniało, usta się wykrzywiły, spoza warg dobiegł nienawistny syk.

- Ty uparty kurwi synu... - szczechnął. - Zdechniesz tu!

- Niczego więcej... nie pragnę...

Suwar rzucił się w stronę chwiejącego się na nogach rozmówcy, chcąc go zabić gołymi rękami, ale zatrzymał się po dwóch krokach. Nie, ten obdarty, cuchnący, gnijący za życia nędznik nie był wart, żeby go dotknąć.

- Jeszcze nie, szczerze. Śmierć byłaby dla ciebie zbyt wielką łaską. Zapowiadam - będziesz tak cierpieć, że jeszcze zatęsknisz za tym ciemnym lochem!

Po tych słowach splunął na nieszczęśnika. Na jego twarzy malował się gniew i najwyższa pogarda. Potem się odwrócił, podniósł kaganek i pstryknięciem palców zapalił knot. Więzień zakrył oczy rękami, ale opanował się, nie zaczął jęczeć, nie padł na ziemię i nie poczołgał się do śmierdzącej kryjówki. Chwiał się, ale stał, dopóki rozwścieczony czarownik nie wspiał się po schodach i w podziemiach nie zapanował gęsty mrok.

Wkrótce Tugarin różnym krokiem wszedł do wielkiej sali i stanął przed Warganem, który drzemał za stołem.

- Jest twój - warknął. - Możesz z nim zrobić, co ci się żywnie podoba, ale przysięgnij mi jedną rzecz: zanim zdechnie, ma cierpieć takie męki, jakich nie zaznał jeszcze żaden z twoich jeńców. A ja wiem, jak pomysłowi potrafią być twoi oprawcy.

- Myślę - władca Czeremisów ziewnął, rozparł się wygodnie, a na jego twarzy pojawił się pijacki uśmiech - że spokojnie mogę ci to przysiąc.



- Nie wydaje się wam, bracia, że płyniemy już za długo? - Mikoła Sielaninowicz mruknął, z jękiem wyprostował plecy i rozmasował krzyż. Tak jak wszyscy, siedział na skórzanym worku z bronią i osobistymi rzeczami. - Radość wyparowała ze mnie jak słabe wino. Kazań przecież nie jest tak daleko... Czy nie powinniśmy już dawno tam być?

- To dlatego, że nie przywykliśmy do pływania łodzią - powiedział Ilja, zgarbiony nad płachtą naciągniętą na pałubę na dziobie łodzi. - Człowiekowi się wydaje, że kraina ciągnąca się wzdłuż rzeki zmienia się nieznośnie wolno.

- To tylko takie wrażenie - pouczył go Jegor. - W rzeczywistości poruszamy się szybciej niż na grzbiecie galopującego konia. Poza tym przynajmniej nie obijamy sobie tyłków. Nie martwcie się i grajcie. Iljo, twoja kolej.

- Jeźdźca może i boli tyłek, ale przynajmniej tak się nie nudzi - odparł Muromiec, zgarnął kości do drewnianego kubka, przykrył dłonią, potrząsnął i rzucił.

Siedzący wokół bohaterzy skłonili się nad namiastką stolika. Ilja uśmiechnął się z zadowoleniem. Reszta burknęła coś albo zaklęła cicho.

- Może - wyszczerzył się Daniło Łowczanin, zerkając na wiosłarzy, którzy schylali się i prostowali w jednostajnym rytmie - powinniśmy powiedzieć naszym wareskim przyjaciółom, żeby wiosłowali szybciej.

Bojarzy natychmiast syknęli ostrzegawczo, zwłaszcza Jegor i Suchan. Za to młodszy, jak Muromiec, Alosza czy Koływan, zaśmiali się cicho.

- Nie tak głośno, głupcy - przestrzegł ich Światogor. - I bez tego ludzie Halvorssona patrzą na nas bykiem, jakby chcieli rzucić nasze wnętrza itilskim szczupakom na pożarcie.

- Wcale się im nie dziwię - Daniło nie dał się uciszyć. - Wiosłują jak niewolnicy na arabskiej galerze, podczas gdy my tu popijamy i gramy w kości.

- Tylko że my nie możemy wiosłować. - Wygnaniec śmiał się w kułak. - Wyobraźcie sobie, że posadziliby do wiosł naszego Ilję. Drakkar zacząłby się kręcić na rzece, bo nawet dwudziestu wiosłarzy na przeciwnej burcie nie dałoby mu rady.

Podczas gdy oni się śmiali, Mikuła złapał za kubek i kości. Potrząsnął, rzucił, policzył i zaczął kląć, bo właśnie stracił następny srebrnik.

- A niech to demony! - Płasnął dłonią w deski, aż kostki podskoczyły. - Mam tego dosyć. Od rana nie robimy nic innego. Borowej, podaj mi bukłak z winem!

- A ja nie. - Ilja chwycił świeżo wygraną monetę i schował ją zgrabnie. - Całkiem niezła gra.

- Sielaninowicz wyjątkowo ma rację - mruknął Jegor i wstał z westchnieniem. - Mam już tego po dziurki w nosie. Niedługo będziemy grać nawet w snach. Może by tak coś zaśpiewać albo opowiedzieć?

- O nie! - Łowczanin przewrócił oczami. - Znowu któryś będzie się przechwalał, jak to zjadł na śniadanie pięć wołów, popił trzema beczkami miodu, po czym złapał stupudową maczugę, poszedł bić się ze smokiem i jednym ciosem wbił go na trzy sążnie w kamienistą ziemię?!

- Marudo jedna, nic ci się nie podoba - warknął Radymicz.

- Tym razem ma rację - zgodził się Koływan. - Jeszcze za mało wypiliśmy, żeby opowiadać takie rzeczy. Wolałbym posłuchać o czymś, co się naprawdę wydarzyło...

- Lepiej pogadać o dziewczynach. - Daniło wyszczerzył zęby i wziął bukłak z winem. - O udkach, cycuszkach i słodkich całusach...

- Daj spokój - fuknął Mikuła. - Tylko zagrzejemy sobie krew, a potem co? Staniemy w szyku przy burcie i będziemy się ścigać, który pierwszy dojdzie? Poza tym jeszcze nie słyszałem, żeby chłop gadał o babach i nie przesadzał przy tym, więc jeśli nie chcesz słuchać

przechwałek, musimy mówić o czymś innym.

- Może opowiecie o Wołchu? - zaproponował Wygnaniec. - Odkąd wypłynęliśmy z Bułgaru, bez przerwy słyszę, że jedziemy na północ nie po łupy i sławę, ale pomścić Wsiesławiewicza. Nie siadywałem przy jednym ogniu z gorynyczami i nie znałem ich wodza tak dobrze jak większość was. Rzeczywiście zasłużył na to, żeby nasza dziesiątka nadstawiała karku, chcąc go pomścić? Kim właściwie był? Słyszałem wiele o jego czynach w książęcej służbie, ale nie mam pojęcia, skąd właściwie pochodził...

- Wołch przyszedł do Kijowa jak wielu z nas... - podjął Alosza Książewicz -...w kajdanach.

- Tak. - Mikuła, który wyraźnie posmutniał na wspomnienie nieszczęsnego przyjaciela, kiwnął głową. - To było wtedy, kiedy księżna Helga pobiła Drewlan. Staruszkę - spojrzał na Jegora - nie masz ochoty nam opowiedzieć? Jako jedyny z nas służyłeś już wtedy na kijowskim dworze. Brałeś udział w wojnie z Drewlanami.

Zapanowała cisza, którą zakłócał jedynie plusk wioseł. Obserwujący brzeg siwawy olbrzym obejrzał się i zauważył, że wszyscy spoglądają na niego pytająco. Pokręcił głową.

- Nie liczcie na to, chłopcy. Jak Bóg nade mną, nie powiem ani słowa o pokonaniu Drewlan.

- No już, batuszko - zaczął Koływan - nie każ się prosić...

- Powiedziałem: nie!

Zamilkli, zaskoczeni twardym tonem Światogora.

- Wiem, dlaczego wolisz milczeć. - Suchan Radymicz patrzył na niego spod najeżonych brwi. - Musiałbyś mówić o tym, jak okrutna potrafiła być księżna Helga, a tego nie lubisz. Dla ciebie ona jest święta.

- Owszem, jest święta, żebyście wiedzieli - przyznał Jegor i chwycił podany mu bukłak z winem. W jego tonie było coś wyzywającego i zarazem ostrzegawczego. - Na mą duszę, kto ośmieli się powiedzieć o księżnej coś złego, napije się itilskiej wody, bo wyrzucę go przez burtę!

- Widzicie. - Daniło wyszczerzył się. - Więc jednak o babie! Jaka była księżna za młodu? Ciągłe jest ognista i dziarska, chociaż ma już białe włosy. Kiedyś musiała być z niej niezła...

- Tylko spokojnie, bracia! - wtrącił się Wygnaniec, zanim Jegor zdążył poczęstować Łowczanina jakąś obelgą. - Nie trzeba się kłócić. Wy i tak znacie tę historię, a ja nie będę się przy niej upierał. Widzę, że tylko wszystkich rozwściecza...

- Żebyś wiedział - potwierdził Mikuła. - Zwłaszcza naszego gosudara. To przecież

opowieść o chciwości jego ojca i okrucieństwie matki...

- Ostrożnie, Sielaninowicz - najeżył się Światogor.

- Przestań burczeć. Taka jest prawda. Nadstaw uszu, Wygnańcze, opowiem ci, jak było. Drewlanie zabili Ingwara, ale to nie była zdrada, jak się zwykle mówi, ale uprawniony sprzeciw i samoobrona. Wiedzą to wszyscy nad Sławutyczą, chociaż mało kto odważy się mówić głośno. Ingwar pojechał do Drewlan zbierać daniny drugi raz w tym samym roku! Rozwścieczyła ich pazerność księcia, więc go napadli, zabili gosudarskich ludzi, a samego władcę przywiązali do dwóch przygiętych brzózek, które potem puścili. Rozerwały go na dwie części, aż trzewia wypadły i krew tryskała na boki...

- Dziwisz się - zamruczał siwy drużynnik - że po tak ohydnej zbrodni Helga zawrzała gniewem i zapragnęła odpłaty? To nie jest opowieść o zemście, ale o karze. I o miłości, i niezmiernym żalu, który zmusił księżną, by postąpiła tak, jak postąpiła. I o podstępie, i byстрыm rozumie.

- I okrucieństwie - odważył się dodać Mikuła. - Hej, młodzi, słyszeliście o tym, jak księżna postąpiła z drewlańskimi posłami?

- Ja nie - przyznał Koływan. - Opowiedz.

- A zatem - Sielaninowicz wypiął pierś - kiedy zgładzono Ingwara i jego bojarów, drewlański książę Mał wysłał do Kijowa swoich drużynników. Mieli przekazać, co następuje: „Wielka księżno, zabiliśmy twojego męża jak wilka, bo łupił i szarpał jak dzika bestia. Jestem dobrym władcą drewlańskiej ziemi, dbam o nią i zadbam również o Kijów, jeżeli zostaniesz moją żoną”. Helga przełknęła złość, uśmiechnęła się pięknie do posłów i powiedziała, że podoba jej się taka mowa i że chce uczyć tak zacnych gości przed zgromadzeniem wszystkich jej poddanych. Niech więc wrócą na swą łódź, a rankiem mieszkańcy Kijowa przyniosą ich w tej łodzi aż do książęcego dworzyszczu na wzgórzu nad Sławutyczą.

- Pachnie podstępem - wtrącił Wygnańcze. Pozostali bojarzy, którzy już słyszeli tę historię, tylko uśmiechali się pod wąsem.

- W nocy księżna kazała wykopać na dziedzińcu wielką jamę, a rankiem posłała swoich drużynników po niczego nieświadomych bojarów Mała. Ci już czekali w długiej łodzi, wystrojeni, w pełnych zbrojach, uśmiechali się i nadymali pychę. Wyobrażali sobie, jak wszyscy będą ich podziwiać, kiedy najlepsi kijowscy wojowie poniosą ich na dwór na własnych ramionach. Kiedy jednak bojarzy Helgi, dźwigając statek, dotarli na dziedziniec, bez litości wrzucili łódź z Drewlanami do jamy, a księżna zapytała posłów, czy podoba im się taka gościna. Odparli, że to los gorszy od Ingwarowej śmierci...

- Gówno prawda - burknął Jegor. - Zmyśliłeś to ty albo ten, za kim powtarzasz. Kiedy

Drewlanie trafili do jamy, nie było czasu na gadkę. Wrzeszczeli i usiłowali wyleźć z dołu, a my strącaliśmy ich na dno włóczniami i toporami.

- Byłeś przy tym, batuszko? - Ilja spojrzał na niego.

Światogor zasępił się.

- Byłem wśród tych, którzy nieśli drewlańską łódź na kijowskie wzgórze. Patrzyłem, jak czeladź zasypywała jamę. Niektórzy Drewlanie jeszcze żyli. Krzyczeli i przeklinali, dopóki glina nie zatkała im ust.

- Potem - ciągnął Mikuła po chwili ciszy, podczas której usłyszeli, jak Ilja przełknął ślinę - Helga wysłała własnych posłów i kazała przekazać: „Nie posyłajcie mi sług! Jeśli chcecie się ze mną układać, niech przyjadą wasi możni!”. Wkrótce do Kijowa zjechali starsi rodów i władcy. Helga kazała dla nich przygotować miód i łaźnię, jak każe gościnność. Drewlańscy możni poszli do łaźni, a kiedy się upili, kijowianie zabili drzwi gwoździami i podpalili budynek. Najlepsi ludzie plemienia spłonęli, został po nich popiół i szerniałe kości. Potem Helga ruszyła na Drewlan ze Sweneldem i starym Asmundem u boku. Ponoć wzięła ze sobą Światosława, chociaż miał dopiero trzy lata.

- To prawda - potwierdził Jegor. - Chciała, żeby już we wczesnym dzieciństwie przywykł do wojennej wrzawy.

- Helga złamała Drewlan - dodał Mikuła. - Spaliła wiele grodów do gołej ziemi. Księżciu Malowi odmierzone tą samą miarą, którą on wymierzył Ingwarowi - a w drewlańskich lasach łatwo o brzozy... Do Kijowa przywieziono bogate łupy i przypędzono setki niewolników. Wśród nich był też mały Wołch, syn zabitej drewlańskiej księżnej.

- Wołch pochodził z książęcego rodu? - Koływan wyglądał, jakby doznał olśnienia.

- Po matce. Jego ojcem był Wsiesławiew, potężny czarodziej, ostatni najwyższy kapłan gorynyców.

- Dziwne - Wygnaniec pokręcił głową - jak wielu z nas przyszło do Kijowa jako niewolnicy, jeńcy lub zakładnicy. Alosza, Diwlan, Borowej...

- Jedni jako niewolnicy - dodał Jegor, szczęśliwy, że przestali mówić o jego dawnej miłości - inni jako wyrzutki. Każdego z nas coś wyгнаło z domu. Ilji wymordowano bliskich, Mikuła umknął przed mozołem na błotnistym polu, ciebie, Koływanie, wyгнаła własna popędliwość, Suchan uciekł przed odpowiedzialnością, a Daniło przed smutkiem...

- Ja nie uciekłem - oburzył się Łowczanin. - Jako jedyny z was pochodzę z Kijowa. Po prostu pewnego dnia wyszedłem z domu, opilem się miodu i nie trafiłem z powrotem.

Bohatrzy zaśmiali się ponuro.

- A ty, batuszko Jegorze? - zapytał Muromiec. - Co właściwie wyгнаło ciebie z rodzinnej ziemi?

- W przeciwieństwie do was... - Światogor zaczął poważnie, ale kiedy zdał sobie sprawę, jak śmiesznie to zabrzmiało, uśmiechnął się od ucha do ucha -...miałem misję do wypełnienia.

Śmiech przybrał na sile.

- Oczywiście. - Mikule trzęsły się ramiona. - Na Świętej Górze było ci dobrze. Hodowałeś pszczoły, pasales kózki, popijałeś mleko z miodem, kłaniałeś się bogom i napychałeś sobie brzuch ofiarami, które okoliczni mieszkańcy składali w świętym miejscu. Powiedz, ale tak szczerze - dlaczego skończyłeś z tamtym życiem? Tylko bez bajęd o tym, jak to ukazał ci się jakiś święty i kazał ci jechać do Kijowa, by walczyć dla wielkiego księcia!

- To żadna tajemnica. - Jegor wzruszył ramionami. - Odszedłem, bo przy tych ulach, zagrodach i figurach odziedziczonych po ojcu żyrzcu nudziłem się jak pies w pustym dworze. Pewnie, dzisiaj za tym tęsknię, aż mnie serce boli, ale wtedy, za młodu, takie życie wydawało mi się jednostajne i bezsensowne. Poza tym figury Peruna i Welesa stojące na szczycie Świętej Góry nie były szczególnie rozmowne. Inni żyrzcy będą wam mówić co innego, ale bogowie nigdy do mnie nie przemówili.

- Za mało piłeś - dogryzł mu Koływan. - I jadłeś za mało dziwnych grzybków i korzonków. Żyrzcy i zaklinacze robią takie rzeczy i widzą potem bogów, rusalki i leśne demony.

- W to uwierzę. - Sielaninowicz zarechotał. - Kiedyś w Kijowie na uczcie u księcia tak się spałem, że widziałem białe myszy...

- Białe myszy? - prychnął Ilja. - Ja kiedyś widziałem białe prosię. Okrągłutkie, utuczone, z zakręconym ogonkiem, całkiem białe, jakby się wykapało w mleku. Biegało po ziemiance i szturchało mnie wielkim różowym ryjem... Na drugi dzień rano postanowiłem, że przestanę pić. Wytrzymałem całe trzy dni.

Bohaterzy znów się roześmiali. Wiosłujący z wysiłkiem, spoceni Waregowie rzucali im znad ramion spojrzenia pełne złości.

- A ty, Samsonie? - Jegor zwrócił się nagle do małego, chudego Ormianina, który jak zwykle siedział na uboczu i za pomocą spiczastego składanego nożyka opierał nowe strzały. Kiedy usłyszał swoje imię, z zaskoczeniem uniósł głowę. Nie mieli w zwyczaju się do niego zwracać, o ile nie wydawali mu poleceń.

- Mało kiedy o sobie mówisz - zachęcał go Światogor. - Właściwie nigdy. Jedyne, co o tobie wiemy, to że pochodzisz z dalekiej Armenii...

- Gdzie właściwie leży Armenia? - zapytał Mikuła.

- Daleko na południu - wyjaśnił Jegor. - Aż za państwem Chazarów, przy granicy z Arabią, między morzem Ponckim a Chwaliskim. Dobrze mówię, Samsonie?

Samojłowicz kiwnął głową.

- Dobrze mówisz, batiuszko Światogorze. Urodziłem się na południowych stokach Kaukazu, w ziemi wodospadów, winnic i końskich tabunów biegających po zielonych zboczach. Nie ma na świecie piękniejszego kraju niż Armenia.

- Każdy tak mówi o swojej rodzinnej ziemi - odezwał się Koływan.

- Oprócz mnie. - Sielaninowicz skrzywił się. - Niech piorun strzeli dregowickie bagna...

- Poza tym to starożytny kraj - ciągnął lekko rozmarzony Samson. - Przodkowie Waregów i plemion znad Sławutyczy żyli jeszcze w jaskiniach, odziewali się w skóry i tłukli się po łbach maczugami, kiedy my, Ormianie, stawialiśmy już na kaukaskich stokach twierdze z kamienia, a nasi królowie wojowali z Rzymem...

- Spójrzcie tylko na niego! - krzyknął oburzony Mikuła. - Człowiek odezwie się do niego przyjaźnie, a ten zaraz zaczyna się pysznić i obraża wszystkich wokół!

- Ja tylko mówię prawdę - odparł Samojłowicz i odwrócił wzrok, chcąc znów pogрузić się we własnych myślach, jednakże Jegor chciał wiedzieć więcej:

- Słyszałem, że twoi współplemieńcy to bogobojni ludzie.

- Najbardziej bogobojni, jacy kiedykolwiek żyli. Nasi kapłani twierdzą, że ormiańscy królowie przyjęli Jezusa więcej niż sześćset lat temu. Podobno byli pierwszymi chrześcijańskimi władcami na świecie, jeszcze przed Rzymianami i Grekami. Dlatego też Bóg błogosławi Armenii.

- Jeśli to naprawdę tak piękny kraj, jak twierdzisz - odezwał się Daniło, a mimo że zaczął poważnie, błysk jego oczu zdradzał, że zaraz zacznie szydzić - łatwo zrozumieć, czemu stamtąd odszedłeś. Ktoś tak brzydki musiał psuć całą tę krasę!

Znów się roześmiali. Samson z lekkim uśmiechem wrzucił ramionami. Nie obraził się, nawet nie uniół brwi.

- Z ojczystej wyżyny wyгнаła mnie wojna między Carogrodem a Bagdadem - ciągnął spokojnie. - Wstąpiłem do oddziału strzelców generała Jana Tzimiskesa, który w imieniu cesarza Nicefora pokonał Arabów i zmusił ich, by opuścili granice Armenii. Potem podążyłem za Tzimiskesem do Carogrodu, a kiedy Nicefor zasiadł na tronie, przez jakiś czas służyłem w jego gwardii.

- Służyłeś w carogrodzkiej drużynie cesarskiej? - zdziwił się Ilja, a wraz z nim

większość bojarów, bo nie spodziewali się tego po małym, brzydkim Ormianinie. - Jak trafiłeś do Kijowa?

- Jako osobisty strażnik patriarchy, którego kazała sprowadzić księżna Helga. Zostałem w Kijowie i wstąpiłem na służbę do Światosława. A teraz jestem tutaj. - Znowu skromnie spuścił głowę, jakby przeproszał za niezbyt zajmującą historię, i skupił się na swoim nożyku, piórach i strzałach. Chcieli zasypać go pytaniami i dowiedzieć się czegoś o tych wszystkich dalekich ziemiach, kamiennych miastach i wielkich bitwach, ale wtem nad Itilem, od brzegu do brzegu, zabrzmiał odgłos rogu. Natychmiast zapomnieli o kościach, winie i opowieściach. Rzucili się do burt drakkaru, wznoszących się ku dziobowi z rzeźbioną głową smoka.

Więcej niż pół wiorsty przed resztą płynęła łódź wysłana przez Bragiego na zwiady. Trwała wojna, a nie mieli zamiaru wpłynąć bezmyślnie prosto w pułapkę ani narażać się na zbędne kłopoty. Było wprawdzie mało prawdopodobne, by ktokolwiek odważył się ich napaść, ale przezorny zawsze ubezpieczony.

Szeroka rzeka skręcała przed nimi w prawo, na wschód, opływała delikatnym łukiem wysoki, porośnięty gęstym lasem brzeg, który zakrywał przed nimi widok. Płachta żagla zwiadowczego drakkaru wyginała się właśnie w tę stronę, więc jego załoga musiała już widzieć zakręt. Odgłosy rogu dawały znać, że podróż przestała być jednostajna.

- Nareszcie. - Koływan wyszczerzył zęby, odwrócił się i podniósł swój worek. Pozostali bohaterzy zrobili to samo - prędko wkładali kolczugi na przepocone rubaszki i przesywanice, przypasywali miecze, nakładali hełmy, podnosili włócznie, wieszali na plecach tarcze albo kołczany pełne strzał. Na pozostałych łodziach również zrobił się ruch. Waregowie mocniej nacisnęli na wiosła, a brzeg zaczął uciekać szybciej.

- Kazań! - krzyknął Bragi z pokładu pobliskiego drakkaru. Nie pierwszy raz pływał w tych okolicach, znał te ziemie.

Kijowianie z ciekawością spoglądali przed siebie. Wkrótce ich drakkar dotarł do zakrętu rzeki, zalesiony brzeg ustąpił, a przed nimi otworzył się widok na szeroką zatokę. Właśnie w tym miejscu Itil, spływający z zachodnich lasów, niemal pod kątem prostym skręcał na południe. Po wewnętrznej, północno-wschodniej stronie łuku było ujście Kazanki. Na jej południowym brzegu, na wzgórzu opływanym przez dwie rzeki, wznosił się gród o masywnych wałach zwieńczonych wysoką palisadą i dumnych wieżach z mocnych belek.

To był słynny Kazań, najbardziej na północ wysunięta twierdza emiratu bułgarskiego, ostatni bezpieczny przystanek przed drogą w dzikie, niegościnne lasy. Dokądkolwiek stąd wyruszą, będą znienawidzonymi intruzami. Za przejście zapłacą krwią, a może nawet

własnym życiem.



- Co na nich spojrzę, czuję gorycz w ustach - wysyczał Halvorsson przez zaciśnięte zęby. - Żółć się we mnie burzy. W tobie też, Einarze?

Stali obok siebie w najwyższym punkcie kamienistego brzegu i obserwowali, jak na rozległą plażę wyciąga się jedną łódź za drugą. W okolicy już dawno nie słyszano takiej wrzawy. Stojący w długich rzędach Waregowie trzymali grube liny, za pomocą których wydostawali drakkary na brzeg. Ich chóralne okrzyki mieszały się ze skrzypieniem wydobytych już łodzi, stukotem młotów wbijających w ziemię koły do mocowania statków, brzękiem uprzęży i rzeniem koni.

- O kim mówisz, konungu? - upewnił się Sigmarsson.

- Oczywiście o Kijowianach. - Bragi machnął ręką w stronę przechylonej łodzi. Jegor i jego drużownicy starali się właśnie wydostać z niej konie i nie połamać im przy tym nóg. - Nie mogę się pozbyć wrażenia, że Światosław wysłał ich z nami jedynie po to, żeby nas szpiegowali. Kiedy tylko zrobię coś, co niezupełnie będzie odpowiadać zamiarom kijowskiego księcia, będą się wtrącać i grozić, że opowiedzą to swojemu chlebodawcy. Nie sądzisz, Einarze?

- Nie wiem. - Ułaskawiony skazaniec wzruszył ramionami. - Nie zastanawiałem się nad tym. Pewien jestem jednego: zaprosiłem ich na dzban wina, a odplacili mi niewdzięcznością. Zastawili na mnie pułapkę, pozabijali najlepszych ludzi i doprowadzili do tego, że musiałem znieść chłostę i pełzać przed Światosławem jak wyorany kret.

Wódz Waregów przyjrzał mu się uważnie. Twarz Einara była jak wyciosana z kamienia, ale w jego oczach zagościł mrok, którego Bragi wcześniej nie widywał.

- Czyli nie będzie ci ich żal, jeśli coś im się stanie w czasie walk na północy? - spytał podstępnie, unosząc kącik ust.

- Wcale. Nie chcę jednak przedkładać zemsty nad cel twej wyprawy, konungu. Co prawda to świnię i parszywe pachołki Ingwarssona, ale jednocześnie dobrzy wojowie. Każdy z nich jest wart tyle, co trzech Waregowie lub tuzin Czeremisów. Przydadzą się nam przy zdobywaniu osad i grodów na północy.

- Bardzo rozsądnie, Einarze. Najpierw niech się nam przydadzą, potem się ich pozbedziemy. Światosławowi powiemy, że zabili ich Czeremisi.

- Jeśli rzeczywiście chcesz z nimi skończyć, chętnie się tym zajmę. Pomszczę swoich druhów i spłacę dług wobec ciebie - za to, że dzięki tobie uniknąłem uduszenia.

- Nie jesteś mi nic winien, Sigmarssonie. Stałem w obronie swoich ludzi, jak powinien zrobić każdy konung. Chodźmy już. Do szeregu! Tarcze na ramię, włócznie do ręki! Niech widzą, że nie jesteśmy bandą rabusiów!

Załoga łodzi Bragiego stanęła w trójszeregu, ramię przy ramieniu, po czym głośno, umyślnie tupiąc i dzwicząc żelazem, ruszyła za swym wodzem.

Wzdłuż Kazanki i na stokach pod murami twierdzy stało wiele domostw. W normalnych okolicznościach w osadzie musiał panować ruch, ale w tej chwili wyglądała jak wymarła. Nigdzie nie widzieli ludzi, wszędzie witały ich zamknięte drzwi, zasłonięte okna i szczekające psy. Nietrudno było odgadnąć przyczynę - gdy tylko mieszkańcy zobaczyli zbliżające się wareskie łodzie, spakowali co cenniejsze rzeczy i pognali na górę, by schronić się za wałami twierdzy. Ci, którzy nie zdążyli i zastali już zamknięte bramy, schowali się w oborach i piwnicach, zagrzebali się w stogach siana, w stajniach albo w kupach ziarna w spichlerzach.

Nie była to jednak wyprawa łupieżcza, Waregowie nie rozbiegli się więc między chaty, by szukać zdobyczy i niewiast. W szyku maszerowali za Bragim w stronę bramy Kazania. Kiedy byli tak blisko, że widzieli już końskie ogony, jakimi przyozdobiono szczyty palisady, coś zaświszczało w powietrzu. Po chwili zobaczyli strzałę, która wbiła się w ziemię parę kroków przed Halvorssonem. Ten zatrzymał się i uniesioną ręką dał znak swojej drużynie, by również stanęła. Spojrzeniem przymrużonych oczu omiółł obronne pozycje kazańskiej załogi i skinął na jednego z towarzyszy. Człowiek, który do niego podszedł, nie był Waregiem. Był to kazański poseł, który przywiózł emirowi prośbę o pilne wsparcie. Bułgar podszedł do strzały.

- Wielki Sihadin-beju! - krzyknął w stronę wałów. - Każ odłożyć broń! To nie jest atak nieprzyjaciół! Tak jak mi rozkazałeś, przyprowadziłem posiłki do walki z czeremiskimi psami! Potężny emir Ahmed ibn Dżafar, niech Allah ześle mu wieczną sławę, przysłał tu swoich wareskich sojuszników! Otwórzcie bramę!

- Poznaję cię, Mikail! - odkrzyknął ktoś z wałów. - I mam nadzieję, że jest tak, jak mówisz. Muszę jednak mieć dowód, że to nie jakiś wareski podstęp!

- Naprawdę nikt nam już nie wierzy? - warknął Bragi, uśmiechając się krzywo.

- Ale dlaczego? - odparł Einar z udanym oburzeniem i po chwili się roześmiał.

- Mam tu list z pieczęcią samego emira! - Mikail uniósł rękę ze zwitkiem przewiązanym czerwoną wstęgą. W wosku odcisnięto znak sokoła i półksiężyc. - Na pewno znasz jego pismo, beju! - Skłonił się, wyciągnął strzałę z ziemi i użył wstęgi, by przymocować list do pocisku. - Podajcie mi łuk.

Zza pleców Bragiego wybiegł jeden z trójki powracających bułgarskich posłów i podał przywódcy mocny, podwójnie gięty łuk. Mikail nałożył strzałę, napiął cięciwę trzema palcami, wymierzył i wystrzelił.

- Uwagaaa!

Strzała wleciała prosto pod daszek stanowiska strażników nad bramą, ale jeden z wojów w porę nadstawił tarczę. Pismo emira zostało doręczone.

Konung czekał i uśmiechał się lekko pod wąsem. Dobrze wiedział, jak brzmiały rozkazy zakłète w tych dziwaczkich arabskich gryzmołach, którymi Ahmed w jego obecności pokrył kawałek żółtego pergaminu. Bej miał nie tylko natychmiast otworzyć bramę twierdzy, ale też okazać im wszelką pomoc, co oznaczało, że ma nakarmić całe wojsko i wyposażyć je w zapasy na drogę. Kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że jego ludzie wyczyszczą tutejsze spichrze, wędzarnie i obory dokładniej niż czeremiscy najeźdźcy. Na wojnie tak już jednak było. Nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia, wprost przeciwnie, w jakiś sposób to go rozbawiło. „Chcecie, żebym za was wojował w jakimś ciemnym lesie? Liczcie się z tym, że nie ma nic za darmo!”.

Nie minęło wiele czasu, a na wałach zaczął się ruch. Ktoś gniewnym głosem wyrzucał z siebie rozkazy. To musiał być Sihadin, dowódca twierdzy. Zapewne przewidywał żądania Bragiego i już zaczął się złościć. Cóż, rozkaz emira to rozkaz emira.

Po chwili usłyszeli rumor i zgrzyty. W ciemnym tunelu, który wiódł przez wał do bramy z mocnym okuciem, pojawiła się jasna szczelina.



Była już prawie północ, kiedy Ilja wyszedł za drzwi na piętrze głównej budowli twierdzy. Znalazł się na pomoście okrytym spiczastym daszkiem. Drewniane poręcze i słupy były proste, bez jakichkolwiek ozdób. Cały gród wyglądał surowo - nie miał cieszyć oczu, ale spełniać zadania ściśle wojskowe.

Młodzieniec umknął z przepelnionej głównej sali, żeby pooddychać świeżym powietrzem, ale nawet nad dziedzińcem unosił się smród dymu, gnoju i ciał spoconych ludzi. Mieszkańcy osady ani myśleli wracać do domów. W dole, na brzegu i na stoku pod twierdzą, obozowało pięciuset wareskich zabijaków. Miejscowi woleli trzymać się od nich z daleka, bez względu na gadkę o sojuszu i obietnice Bragiego, że nie dojdzie do kradzieży ani gwałtów. Cała załoga twierdzy również była na nogach i nerwowo czuwała na dziedzińcu, pod bramą i na wałach. Ilji przyszło do głowy, że chyba żaden Bułgar nie zmrużył tej nocy oka.

W poszukiwaniu świeżego powietrza przeszedł po drewnianej kładce, długiej na jakiejś trzy sążnie, łączącej budowlę z wałem i palisadą. Strażnicy, którzy na niej stali, poczęstowali go podejrzliwymi, wnikliwymi spojrzeniami. Zdjął rękę z głowicy Gniewu i pokazał im dłonie, by dać do zrozumienia, że nie ma złych zamiarów. Pozwolili mu przejść.

Koły palisady sięgały więcej niż dwie piędzie nad głowę Muromca, ale co piąty był nieco krótszy, jedynie do piersi wojownika. Wyrzwał przez jedno z tych okienek.

Ujście Kazanki do Itilu tworzyło wielkie rozlewisko, nawet w środku nocy lśniące jak srebrne zwierciadło, od którego ostro odcinały się ciemne brzegi porośnięte gęstym lasem. Ilja spojrział na stoki pod wałami. Aż tu słyszał hałas dobiegający z obozu Waregów. Nie miał wątpliwości, że wbrew słowom Bragiego będą w nocy myszkowali w osadzie, głównie w poszukiwaniu jedzenia i gorzałki. Do rana popełnią mnóstwo kradzieży i gwałtów, może nawet poderzną komuś gardło.

- Już słyszę wycie wilków.

Zaskoczony Muromiec obejrzał się. Słyszał czyjeś kroki, ale myślał, że to tylko bułgarscy wartownicy. Zamiast nich podszedł do niego Światogor.

- Co takiego?

- Patrzysz na obóz Waregów, prawda? - Stary bohater podszedł do drugiego okienka.

- Prawda. Zastanawiam się, ile szkód spowodują tej nocy. Zostawimy za sobą większe spustoszenie niż Czeremisi.

- Coś w tym jest - przyznał Jegor. - Nasze przybycie naprawdę niewiele się różni od czeremiskiego najazdu. Nic na to nie poradzisz. Jesteśmy daleko od Bułgaru. Tam, w cywilizowanej okolicy, Bragi i jego ludzie umieli się powstrzymać, taki już mają charakter, że potrafią się dostosować. Tutaj jednak zaczyna się dzicz, barbarzyńskie ziemie, gdzie nie ma żadnych praw i gdzie będą mogli dać upust swym popędom. Czują to. Słyszysz ten hałas w obozie? Jakby odpowiadali wilkom wyjąłym w lesie. Waregowie też są wilkami i wietrzą za zdobyczą.

- Waregowie - prychnął Ilja.- Rządzą w całym znanym świecie. Odważyli się nawet zaatakować sam Carogród. Bogowie chyba nigdy nie stworzyli dzikszego plemienia. Czy oni się kiedyś zmienią?

- Wątpię. Może kiedy wreszcie przyjmą Chrystusa...

- Ha! Wierzysz w to, że kiedy zaczną się kłaniać innemu bogu, staną się mniej drapieżni?

- Nie wiem. Do tego nie wystarczy sama wiara, musieliby zrozumieć jej podstawę, a to nie będzie dla nich łatwe. Chrześcijaństwo oznacza jednak czas zjednoczonych królestw

i prawa. To ich poskromi i przywiąże do ziemi. Czas, kiedy przepływają morza, by nieść ogień i zniszczenie wszystkim znanym i nieznanym brzegom, prędzej czy później przemienie.

- O to trzeba by spytać wieszczka, który widzi odległą przyszłość, ja nie wybiegam myślą tak daleko. Martwią mnie najbliższe dni. Będziemy wędrować z tą hordą na północ i patrzeć, jak pustoszą czeremiskie osady. Nie podoba mi się to ani trochę. Jeszcze w domu, w Karaczarowie, słyszałem od kupców i pątników straszne rzeczy o wareskiej dzikości i wojowniczości. Mówiono mi, że nie ma na świecie ludu, który by się ich nie bał. Teraz jakby nigdy nic ciągnę z ich wojskiem. Bogowie, jak to się właściwie stało? Kiedy stałem się częścią tej krwiożerczej watahy? Niczym się nie różnią od zgrai, która spaliła Karaczarowo i wymordowała mój ród.

- Synku, jesteś jak liść na wietrze. Żrebie, które biegnie za tabunem. Znam to. Też przyszedłem do Kijowa, mając wielkie, szlachetne zamiary, śniłem o sławie i umacnianiu księstwa. Potem... Potem musiałem grzebać żywcem Drewlan lub słuchać, jak jęczą w płomieniach, nadzy, pijani i zupełnie bezsilni. Tak już jest. Przywykniesz, zobojętniejesz. Już dzisiaj nie przeszkadza ci wiele rzeczy, o których w domu wolałeś nawet nie myśleć, bo mroziły ci krew w żyłach.

Ilji nie podobało się to, co usłyszał, ale nie oburzał się tak, jak kiedyś, nie kipiał złością i nie próbował z jej pomocą zdusić wyrzutów sumienia. Jego głos był przeraźliwie chłodny.

- Chcesz powiedzieć, że zmienię się w bezwzględного zabójcę jak wszyscy Waregowie Bragiego i Swenelda? Przecież ty taki nie jesteś.

- Jesteś tego pewien? - Siwowłosy skrzywił wargi. Jeśli miał to być uśmiech, wyszedł niezmiernie smutny, wyrażał zmęczenie i rezygnację. - Zapytam cię o coś innego, synku. Co cię bardziej martwi? To, że weźmiesz udział w wareskiej wyprawie po łupy, czy może raczej to, że dzień w dzień będziesz blisko Bragiego? Nie potrafisz na niego patrzeć bez myślenia o swojej dziewczynie? Zżera cię zazdrość...

- Okropnie. - Muromiec westchnął. - Próbuję wybić sobie Dinarę z głowy, ale nie potrafię. Jej widok dręczy mnie we dnie i w nocy. Miałeś rację tam, w Bułgarze, nie powinienem był do niej iść...

- Wiedziałem. Mam dla ciebie dobrą wiadomość, Iljo. Halvorsson już nie będzie jątrzyć twoich ran. Jutro zniknie ci z oczu i przez jakiś czas go nie zobaczysz.

Młodzieniec odwrócił się od okienka i wbił w Jegora pytające spojrzenie.

- Co masz na myśli?

- Dobrze słyszałeś. Nie wyruszymy z Waregami.

- Nie wyruszamy? Jak to?

- Pojutrze konung spuści łodzie z powrotem na rzekę i popłynie na zachód. Jakies sześćdziesiąt wiorst stąd do Itilu wpływa Czerwona Rzeka. Przy jej ujściu znajduje się obozowisko kupców, przeważnie Waregów. Helgardczycy zostawią tam łodzie i podążą wzdłuż Czerwonej na północ, do Kokszaği. Większość pójdzie pieszo, poza tym będą mieli wozy, a im dalej będą wchodzić na ziemie Czeremisów, tym więcej łupów będą wieźć. Zaczną się wlec jak ślimaki, a ja nie mam zamiaru tracić tyle czasu. Nasza dziesiątka wskoczy jutro na siodła i pojedzie prosto na północny zachód. Już rozmawiałem o tym z Bragim. Oczywiście marszczył czoło jak chłop nad wzdętą krową i uparcie próbował zgadnąć, jaki podstęp planujemy. Przekonałem go, że powinien nas uważać za kogoś w rodzaju zwiadowców. Dotrzemy do Kokszaği o wiele wcześniej niż on. Jeżeli Czeremisi zbiorą dość sił i zastawią na Waregów pułapkę gdzieś w biegu Czerwonej Rzeki - a jestem pewien, że tak zrobią - możemy odkryć ich zamiary i na czas ostrzec konunga.

Ilja zmrużył oczy.

- Tak naprawdę nie o to chodzi, mam rację? Nie będziemy zwiadowcami. Nie przyszedliśmy tu po to, by zdobywać i rabować. Mamy inne zadanie.

- Oczywiście. Chcemy wyśledzić tego bezbożnego mordercę Tugarina i zdjąć mu głowę z karku. Zaczynam wierzyć, że go znajdziemy. Mamy już ślad.

- Jaki?

- Kazańczycy widzieli smoka.

Muromiec wstrzymał oddech.

- Zilanta?

- A jak myślisz? Przed chwilą Sihadin opowiadał mi przy winie, jak przed dwiema pełniami księżyca wartownicy stojący na wałach zobaczyli lecącego z południa ogromnego czarnego potwora. Przefrunął jakieś dwie wiorsty na wschód od twierdzy i zniżył lot nad lasem. Bej twierdził, że bestia wyglądała na zmęczoną, ledwie machała skrzydłami, wznosiła się i opadała. Ludzie, którzy mieszkają dalej w górę rzeki, opowiedzieli mu później o ciepłym czerwonym deszczu, który spadł na ich ziemie krótko po przelocie smoka...

Ilji zabłyśły oczy.

- Krwawił po ciosie, który mu zadałem na szczycie smoczej wieży! Bestia wymalowała czerwoną smugę przez całą Bułgarię!

- Wiem, synku. Jutro przewiożą nas przez rzekę i ruszymy na północny zachód szukać smoka. Poprosiłem już Sihadina, żeby dał nam przewodnika, kogoś, kto dobrze zna kraj Czeremisów. Znajdziemy padlinę Zilanta, a jeśli Tugarin przeżył upadek, wytropimy i jego.

Muromiec nawet nie próbował ukryć poruszenia.

- Ech, batuszko Jegorze, przyniosłeś naprawdę dobre wieści. Co prawda w dziesięciu wyruszymy na ziemie nieprzyjaciół, którzy pewnie teraz zbierają siły do walki, ale nie boję się. Poradzimy sobie. Przebijemy się. Mikuła mówi, że rozpoczętą pracę trzeba dokończyć i my właśnie to zrobimy. Parszywy Drakowicz wymknął mi się na Zilantawie, ale tym razem zetnę mu głowę Gniewem!

Jegor zaśmiał się, aż zadudniło mu w piersiach jak w pustej beczce.

- Nie mów tego pozostałym, a zwłaszcza Mikule, bo jeszcze pobijecie się o to, kto właściwie zabije czarownika!

- Jakoś się dogadamy. - Ilja wyszczerzył zęby od ucha do ucha. - Wracajmy do środka, batuszko. Musisz to zaraz powiedzieć reszcie. Mam nadzieję, że zostało jeszcze wino, bo nareszcie mamy powód, żeby się napić!



Światło wschodzącego słońca przedzierało się przez szpary w okiennicach i cięło mrok niby klinga ostrego miecza. Iszora załzawionymi oczami patrzyła, jak w snopie światła tańczą drobiny kurzu, unoszone rytmicznymi ruchami. W duchu prosiła Zarań, córkę boga słońca Szondiego, swoją obrończynię, by się nad nią zlitowała i skróciła jej cierpienie.

Iszora była naga, na czworakach, z głową opartą o kupę futer na łóżku. Za nią klęczał Wargan, ścisnął jej pulchne pośladki i wchodził w nią, postępując. Było jak zawsze - szybko, twardo, oschle, bez pieszczot czy choćby pocałunku. Posiadł ją bezwzględnie, a teraz starał się jak najszybciej dojść. To nie była namiętność, raczej wyraz nienawiści. Iszora czuła się niezmiernie poniżona, ale starała się opanować i zmienić szloch we wzdychanie. Już się tego nauczyła. Kiedyś nie wytrzymała i rozplakała się. Rozwścieczyło go to i jeszcze przed szczytowaniem uderzył ją kilka razy. Miał ręce jak z żelaza i ciosy okropnie bolały. Sińce nie znikły do dziś.

W końcu przyspieszył, z jego gardła wydobył się chrapliwy krzyk i Iszora poczuła, że jego członek pulsuje i wypełnia ją nasieniem. Pchnął jeszcze parę razy, aż plasnęło, a jej obfite uda zafalowały. Potem na chwilę znieruchomiał i w końcu się położył.

Ścisnęła obolałe uda i opadła na bok, plecami do niego, chcąc ukryć łzy, ale on już się nią nie interesował. Przez chwilę leżał, dysząc ciężko, po czym wstał i zaczął się ubierać.

- Na bogów, mam nadzieję, że w końcu zajdziesz w ciążę i nie będę musiał znowu tego robić. Już wolałbym chędożyć owcę. Jesteś marudna i głupia, całkiem jak twój słabowity ojciec.

Zacisnęła zęby. Jeszcze do niedawna prosiła Dzudzę, boską matkę rodzicielkę, by Warganowe nasienie zaczęło rosnać w jej łonie. Gdyby jej brzuch się zaokrąglił, na pewno dałby jej wreszcie spokój... Dziś jednak modliła się, by do tego nie doszło. Nie może zająć w ciążę! Nie chce nosić pod sercem jego przeklętego płodu!

Miała plan. Szalony i tak ryzykowny, że kiedy o nim myślała, brzuch zaczynał ją boleć ze strachu, nie zamierzała jednak się wycofać.

Usłyszała kroki i zza łosiowej skóry, skrywającej przejście z głównej sali do izby Wargana, dobiegł szorstki, ale pełen szacunku głos:

- Szlachetny kuguraku?

- Argyz? Mów.

- Jesteśmy gotowi do drogi. Najwyższy kapłan chce z tobą pomówić.

Książę wykrzywił wargi.

- Już idę.



- Argyzie - zwrócił się Wargan do drużynnika, kiedy wyszedł z izby i skóra zakryła widok na Iszorę, skuloną na łóżku. - Pożegnałeś się z rodziną?

Okryty bliznami wojownik wstrzymał na chwilę oddech - naczelnik nigdy przedtem nie rozmawiał z nim o sprawach osobistych.

- Ja... Tak, potężny kuguraku. Wczesnie rano, by móc się zająć przygotowaniem.

- Dobrze. Masz piękną żonę i dużego syna. Już wkrótce będzie mężczyzną. Wiosną wezmę go na wyprawę do Bułgarii. Wierzę, że nie zabraknie wtedy i ciebie pośród nas i że nauczysz syna ścinać głowy nieprzyjaciół.

- Mam taką nadzieję, wielki naczelniku - wykrztusił drużynnik, wciąż jeszcze zaskoczony - chociaż na północy może się stać wszystko. Znam straszne opowieści o Czudach i innych niebezpieczeństwach, które czyhają w tamtejszych lasach...

- Tak. Wiem. - Wargan wyglądał na zamyślonego. - Żał mi, że będziesz nadstawiać karku w tych przeklętych stronach i nie pojedziesz u mego boku do bitwy z Waregami. Zawsze mi wiernie służyłeś. Oczyszczyłeś mi swoim toporem drogę do włodarskiego stolca. Nikt nie zgniół tyłu moich rywali co ty.

Argyz pochylił podgoloną głowę.

- Jestem twoim oddanym sługą, kuguraku.

- Wiem, wiem. Właśnie dlatego cię wybrałem, byś towarzyszył czarownikowi. Tam, na północy, będziesz wypełniać rozkazy Tugarina, ale tak naprawdę mnie będziesz służyć.

Wojownik podniósł głowę, a w jego oczach pojawił się błysk.

- Rozkazuj, wielki naczelniku.

Wargan omiół wzrokiem salę aż do głównego wejścia, jakby próbował zgadnąć, czy Tugarin potrafi czytać w jego myślach na taką odległość i przez ściany z grubych belek. Nie był tego pewien. W końcu się zdecydował, znów spojrzął na drużynnika i zniżył głos:

- Służ Tugarinowi, jak ci rozkazałem. Wypełniaj jego polecenia i okazuj mu szacunek. Nie pozwalaj sobie na buntownicze myśli, bo on może je usłyszeć.

- Zrobię, co każesz, ale wciąż nie rozumiem...

- Daj mi skończyć. Jak sam powiedziałaś, na północy może się zdarzyć wszystko. W lasach czekają Czudy, szyrty, ludożercze biesy. Najwyższy kapłan łatwo może znaleźć się w niebezpieczeństwie i jego życie będzie zależało od twojej pomocy. A w takiej chwili - Wargan zaczął szeptać - ty i twoi ludzie wycofacie się. Niech zdycha.

Argyz przymrużył oczy.

- Jesteś pewien, że tego chcesz, wielki naczelniku? Mówiłeś przecież, że Tugarin będzie nam potrzebny wiosną, w czasie wojny z Bułgarami. Że jeśli posiadzie wyśnioną boską moc, powiedzie nas do wielu zwycięskich bitew i Czeremisi zapanują nad Itilem...

- Tak mówiłem. Teraz zmieniłem zdanie i mówię ci, że damy sobie radę i bez niego. Dopóki władał na południu, w Suwarze, był dobrym, potężnym sojusznikiem. Dzięki jego pomocy zdobyłem Koksagę, zostałem władcą Czeremisów i kugurakiem. Teraz jednak on sam panuje nad nami, a my skaczymy przed nim jak psy skomlące o resztki ze stołu. Jeśli jeszcze powiększy swoją moc, zmieni nas w niewolników, w zwykłe mankurty, dlatego ci mówię, gdy tylko nadarzy się okazja...

- Rozumiem.

- Bądź bardzo ostrożny, Argyzie. Musisz być pewny, że naprawdę pisana mu śmierć. Bo jeśli zdoła się wydostać z bagna, zemści się okrutnie.

- To dla mnie jasne, wielki kuguraku. Będę ostrożny. Nie będę się spieszył, poczekam na najlepszą okazję.

- Świetnie. Kiedy wrócisz z jego czaszką, dam ci tyle drogich kamieni, ile się w niej zmieści. - Wargan się wyprostował. - Chodźmy teraz i udawajmy, że wszystko idzie zgodnie z jego planem.

Obaj spiskowcy ruszyli w stronę wyjścia.



- Wrócę wiosną - zapewnił Drakowicz, siedząc w siodle rosłego wronka - i przyniosę

ze sobą moc, która powiedzie nas ku sławnym zwycięstwom. Do tego czasu postarajcie się utrzymać wojska Ahmeda i Światosława za Kazanką. Ale jeśli się przeprawią, musicie ich zmiążyć.

Czarownik szturchnął konia piętami i ruszył w stronę bramy grodowej, odwracając się plecami do tłumu zgromadzonego przed dworzyszczem wodza. Wargan zazgrzytał zębami. Nawet w chwili pożegnania Tugarin nie okazał mu odrobiny szacunku, wydawał tylko rozkazy. *Bogowie, nienawidzę tego sojusznika bardziej niż najgorszego wroga.*

Suwar jakby wyczuł jego złość. Niedbale odwrócił Żelazny Kostur, który trzymał w wyciągniętej prawej ręce, wsparty dolnym końcem o siodło koło swego uda. Światło słoneczne odbiło się od srebrnej smoczej łuski na końcu laski i oślepiło kuguraka. Zaskoczony wódz odwrócił wzrok, klnąc.

I dlatego nie zdołał zobaczyć, jak Tugarin uśmiecha się z rozbawieniem.

Argyz wymienił znaczące spojrzenia ze swoim władcą, pożegnał go, z szacunkiem schylając głowę, po czym dał drużynie znak do odjazdu. Jeźdźcy przejechali bramą dworca i pokusowali uliczką w stronę północnego końca osady.

Iszora stała przy oknie i wyglądała przez szparę między na wpół otwartymi okiennicami, przyglądając się odjazdowi czarownika i jego towarzyszy. Uśmiechała się lekko. Ból i poniżenie, jakiego zaznała dziś rano, straciły na znaczeniu.



Serce nigdy nie biło Iszorze tak głośno, jak w nocy po odjeździe Tugarina. Bała się nawet, że ktoś to usłyszy, co oczywiście nie miało sensu, zwłaszcza dziś wieczorem, kiedy w dworzyszczu trwała tak dzika hulanka, że aż się ściany trzęsły. Wargan z radości, że pozbył się znenawidzonego czarownika, wyprawił wielką ucztę dla drużynników i możnych plemienia. Lały się strumienie piwa, miodu, kwasu, nawet drogiego wina. Kiedy małżonka władcy po raz ostatni zerknęła ukradkiem do wielkiej sali, Wargan bezwstydnie chędożył posłuszną, roześmianą, pijaną bułgarską dziewczkę. Widok ten nie zranił Permiaczki, nie czuła najmniejszego ukłucia zazdrości, wprost przeciwnie. Niech ta śmierdząca świnia żłopie wino i obłapia dziewczuchy, ona w tym czasie wypełni, co zamierzyła.

Przemykała przez komnaty i oddzielone skórami korytarze wielkiego dworu, niosąc w rękach drewnianą miskę i gliniany dzbanek. Była pulchna i wyglądała na niezgrabną, teraz jednak skradała się cicho i niepostrzeżenie jak cień. Niebiańska córka Zarań, do której Iszora nieustannie modliła się w duchu, ochroniła ją - żona księcia przemknęła aż do ostatniej komnaty.

Izba miała ściany z kamienia, ponieważ tył domostwa Wargana opierał się o skaliste wzniesienie. Iszora wyjęła pochodnię z uchwytu na ścianie i zapaliła ją za pomocą krzesiwa. W świetle łuczywa ukazało się czarne zejście do podziemi. Weszła na wilgotne schody.

Serce nie przestawało jej łomotać w piersi. Była jednocześnie przerażona i podniecona. Pierwszy raz w życiu komuś się sprzeciwiła. Całe życie była posłuszna - najpierw władczej matce, zanim choroba odebrała jej siły i wpędziła ją do grobu, potem ojcu, który ze smutkiem w oczach, ale stanowczym głosem rozkazał, by wyszła za czeremiskiego wodza, wreszcie Warganowi. Pozwalała, by ją poniżał, obrażał, chędożył, nawet bił.

Miała już jednak dość wiecznego ustępowania, pełzania i skomlenia o litość. Odetchnęła, kiedy mąż wyruszył na pogranicze, ale gdy wrócił i wszystko zaczęło się od nowa, uświadomiła sobie, że nie zniesie tego dłużej. Woli umrzeć, niż cierpieć taką niedolę. Przez chwilę rozważała, czy się nie zabić, ale właśnie dzięki tej myśli nabrała chęci do działania. Kiedy człowiek pogodzi się z własną śmiercią, nie ma już nic do stracenia, a wtedy może nabrać odwagi, by coś przedsięwziąć. Iszora wzięła przykład z mitycznej Zarani, która z miłości do śmiertelnego łowcy Pera zbuntowała się przeciwko ojcu, bogu słońca, i zstąpiła po tęczy do świata ludzi. Permiaczka nie kierowała się miłością, gdyż los nie zesłał jej tej łaski, była jednak równie zdecydowana, jak jej niebieska obrończyni.

Układała plan przez kilka dni. Z działaniem musiała poczekać, aż Tugarin, przed którego drapieżnym spojrzeniem i mocą podsłuchiwania myśli nic się nie ukryło, wyruszy na zamierzoną wyprawę. Kiedy tylko wyjechał na północ - niechby zdechł gdzieś w puszczy i nakarmił swoją zgniłą padliną leśnego demona Worsę! - nadszedł właściwy czas...

Po chwili dotarła do rozwidlenia podziemnych ścieżek. Po prawej stronie wąski, lekko opadający korytarz bez schodów wiódł w przenikliwą ciemność. Wiał stamtąd wiatr, od którego chwiały się płomień pochodni. Iszora spojrzała w lewo. Tam schody, jeszcze bardziej strome niż te, po których szła do tej pory, prowadziły do wnętrza skały. Nie płynęło stamtąd świeże powietrze, wprost przeciwnie - z jamy strasznie cuchnęło. Zrobiło się jej niedobrze, ale zacisnęła zęby i opanowała się. Liczyła się przecież z tym, że więzień będzie w złym stanie, a Wargan i Tugarin nie przesadzali, mówiąc, że zostawili go, by „gnił za życia”.

Skierowała się w lewo. Schody były strome i wycięte byle jak, więc musiała stąpać bardzo ostrożnie, żeby się nie przewrócić. Upadek skończyłby się połamaniem kości. Na szczęście już po chwili w świetle pochodni ukazał się loch.

W jamie na dole coś się poruszyło, rozpaczliwie jęknęło i usiłowało schronić przed światłem. Wstrzymała dech, zarówno ze zgrozy na widok nieszczęsnego więźnia, jak z powodu okropnego smrodu. Omal nie zemdląła, schodząc po najniższych stopniach. Kiedy

znalazła się w lochu, zatknęła pochodnię w szczelinę skały i ostrożnie podeszła do wynędzniałej istoty, która ledwie przypominała człowieka.

- Nie bój się - powiedziała, mimo że w tej chwili to raczej ona potrzebowała uspokojenia. - Przyniosłam ci jedzenie, coś lepszego, niż zwykle dostajesz. Musisz nabrać sił.

Więzień podniósł głowę. Był wyraźnie zaskoczony, że słyszy głos kobiety.

- Kim... jesteś? - wychrypiął ledwie słyszalnie.

- Iszora. Kiedyś córka władcy Permiaków, dzisiaj żona czeremiskiego wodza. Nie mogę zostać tu długo, więc słuchaj uważnie. Wiem, kim jesteś. Słyszałam, jak Tugarin rozmawiał z Warganem. Należałeś do drużyny kijowskiego księcia Światosława, byłeś potężnym wojem i czarodziejem. Chcę, żebyś odzyskał siły, dlatego będę ci w tajemnicy przynosić jedzenie. To - postawiła w skalnej niszy miskę i dzban - tylko początek. Kasza z miodem, ser i woda. Jedz pomału. Nie możesz łykać łąpczywie, bo ci zaszkodzi. Później przyniosę mięso, mleko i miód. Musisz jak najszybciej wyzdrowieć.

Z tego, jak był przejęty, wywnioskowała, że go zaciekawiła. Odwrócił się w jej stronę, mimo że ciągle kurczowo zasłaniał rękami oczy.

- Dlaczego to robisz? - wyjąkał.

- Żebyśmy mogli razem uciec - odparła bez ogródek. - Nienawidzę tego przekłętego miejsca, tego gniazda demonów. Muszę się stąd wydostać, znaleźć współplemieńców i przekonać ojca, żeby się zbuntował przeciwko Warganowi. Już niedługo będzie dobra sposobność, by uciec i doprowadzić czeremiskie psy do kłęski.

Więzień milczał długo. Wreszcie znowu wychrypiął:

- Nie wydostaniemy się... z grodu...

- Wydostaniemy. Dowiedziałam się od starej koldunki, że te podziemne korytarze ciągną się pod całą Kokszałą aż do wzgórz za wałami. Łączą się ze świętymi jaskiniami, którymi można niepostrzeżenie uciec, ale do tego trzeba siły. Będę cię karmić i opatrywać. O, tutaj jest maść. - Wyciągnęła dłoń z małym, szczelnie przykrytym naczynkiem. - Posmaruj nią rany od kajdan, wszystkie otarcia i skaleczenia. Nie muszę ci mówić, że masz dobrze schować przed strażnikami naczynia i wszystko inne. Za każdym razem, kiedy przyniosę nowe, stare zabiorę.

Nieszczęśnik ciągle zasłaniał oczy jedną kościstą ręką, ale drugą wyciągnął ku niej, przez co częściowo odsłonił głowę i twarz. Kobieta przelknęła ślinę. Wyglądał dużo gorzej, niż się spodziewała. Jego skóra była blada, właściwie zielonkawa, pokryta strupami i bliznami, jakby przeszedł ciężką ospę. Wiedziała, co było powodem - ślina ze smoczej paszczy. Został na zawsze oszpecony i stracił naturalny kolor skóry. Prawie nie miał włosów,

z głowy zwisało tylko parę rzadkich, zbieleńszych kosmyków.

Musiała zebrać całą siłę woli, by się nie cofnąć. Włożyła naczynko z maścią w jego cienkie, wychudłe palce, przypominające palce kościotrupa.

- Muszę wracać - powiedziała. - Wrócę tu jeszcze, o ile zgadzasz się na mój plan. Powiedz, uciekniesz ze mną?

Nie zastanawiał się długo.

- Wydaje ci się... że coś mnie... tu trzyma? Prócz tego... - Zadzźwięczał łańcuchami.

- Zdejmę ci kajdany, nie bój się. Wiem, gdzie są klucze. Wygląda na to, że zawarliśmy umowę. Jutro przyniosę ci więcej jedzenia. Kiedy nabierzesz sił, spróbuj się trochę poruszać, poćwiczyć mięśnie. Będą ci potrzebne.

- Dlaczego... nie uciekniesz... sama?

Kiedy tak na ciebie patrzę i widzę, jak bardzo jesteś słaby, też się nad tym zastanawiam - pomyślała. Zamiast tego odezwała się:

- Sama nie dam rady. Potrzebuję pomocnika. Poza tym jesteś ważny dla Wargana. Chce cię wykorzystać jako zakładnika, a ja pragnę zrobić coś, co pomiesza mu szyki. Zemścić się za wszystko, co mi zgotował.

- Dlaczego... miałbym być zakładnikiem?

- Ach, ty przecież o niczym nie wiesz! Bo i skąd? Mam dobre wieści - z Bułgaru wyruszyło wojsko. Większość to Waregowie, ale jest też drużyna Kijowian, podobno to twoi dawni druhowie. Już naprawdę muszę iść. Przyjdę jutro, kiedy tylko będę mogła.

Wyprostowała się.

- Dziękuję... - wyszeptała.

- Podziękujesz później, jeśli uda się nam uciec. - Już chciała się odwrócić, ale się zatrzymała. - Jeszcze coś... Jak mam się do ciebie zwracać? Tugarin i Wargan mówili o tobie Kościej albo jeniec. Powiesz mi, jak się naprawdę nazywasz?

Więzień zastanawiał się chwilę. Potem pokręcił głową.

- Człowiek... którego imię nosiłem... już nie żyje... Jestem teraz... kimś innym...

Zaniepokoiła się.

- Też mam cię nazywać Kościej?

- Tak. Kościej.

- Jak chcesz. - Chwyciła pochodnię i unosząc jedną ręką spódnicę, spieszyła, by uciec z okropnego lochu, z cuchnącego grobu, gdzie nieszczęsny więzień miał zdechnąć jak chore zwierzę.

Kiedy wreszcie wydołała się na powierzchnię, wybiegła bocznymi drzwiami na

dwór, padła na kolana i zwymiotowała gwałtownie.

Usiłując stłumić kaszel, zastanawiała się, czy nie popełniła błędu nie do naprawienia. Wielkiego błędu, który doprowadzi ją do zguby.

KSIEGA DRUGA

Wojna
z kugurakiem

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mgła nad przepaścią

B

uruszko był bardzo niespokojny i wyraźnie dawał to Ilji do zrozumienia - rżał, aż z jego nozdrzy wylatywały śliskie krople, potrząsał gęstą kasztanową grzywą i tak mocno walił kopytami o kamienisty brzeg, że echo odbijało się od ściany gęstego lasu nad rzeką.

- Wiem, braciszku, wiem - uspokajał go Muromiec, pochylając się nad szyją konika i poklepując go. - Też tak się czuję, ale nie mamy wyjścia, więc przestań dokazywać.

Wierzchowiec nie pozwolił się jednak łatwo ułagodzić. Smagnął długim ogonem z taką siłą, że Ilja poczuł uderzenie nawet przez kolczugę. Rumak znów zaczął tupać, spod kopyt poleciały iskry.

- Ty uparciuchu! - burknął bohater. - Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Zachowujesz się jak dziki stepowy osioł! Trudno, skoro inaczej się nie da...

Muromiec i jego koń znali się już lepiej niż starzy małżonkowie. Obaj przeszli tego lata próbę ognia i żelaza, co uczyniło z nich wiernych druhów. W boju byli niczym jedno ciało, jakby nie oddzielało ich twarde siodło, jakby zrosli się w niezwykłą istotę stworzoną po to, by gromić nieprzyjaciół.

Drużynnik dobrze wiedział, jak sobie radzić z Buruszkiem. Sięgnął do lewego boku i zacisnął dłoń na rękojeści Gniewu. Konik wyczuł ten ruch, przestał rzeć i zastrzygł uszyna. Ilja zaczął powoli wyjmować broń, umyślnie ocierając klingę o okuty srebrem skraj pochwy.

Odgłos dobywanego miecza płoszył i denerwował większość koni, nawet należących do bohaterów, ponieważ zapowiadał bój i zapach krwi. Buruszko reagował dokładnie odwrotnie. Świadomość, że jego pan ma w ręku obnażone ostrze, dodawała mu odwagi. Już

się nauczył, że kiedy Ilja dobywa broni, mało co może im zagrozić.

- Zadowolony? - zapytał Muromiec i machnął mieczem, błyskając klingą przed oczami wierzchowca.

Buruszko podrzucił głową na znak zgody.

- Jesteście bardzo udaną parą. - Mikuła, jadący u boku Jegora na czele drużyny, uśmiechnął się. - Zupełnie jakby rozumiał każde twoje słowo.

- On naprawdę rozumie. - Ilja również się uśmiechnął.

- Ech... Z moją kobyłką było tak samo, tyle że ona już w zaświatach. Pasie się tam soczystą trawą i parzy ze słonecznym rumakiem Dadźboga. Szkoda mi jej, chociaż ten bułgarski koń też nie jest najgorszy.

- Gdyby koń Muromca umiał gotować - szydził Daniło - mogliby z Ilją założyć rodzinę...

- Zamknijcie wreszcie dzioby - skarcił ich Światogor. - Tylko głupoty wam w głowie. A to, że jego koń się spłoszył, jakoś umknęło waszej uwadze.

- Nasze konie też coś zwietrzyły. - Koływan Wygnaniec spochmurniał. Miał rację - rumaki bohaterów zaczęły grzebać kopytami i parskają niespokojnie, szarpiąc uzdy.

- Nic nie czujecie? - Ilja podniósł głowę i wciągnął głęboko powietrze.

- Nie mamy twojego wilczego nosa. - Węszący na próżno Alosza Książewicz pokręcił głową. - Co to?

- Padlina - zamiast Muromca odparł Samojułowicz, który właśnie przyklusował do reszty na swoim drobnym koniku. - Spójrzcie!

Skierowali wzrok tam, gdzie Ormianin wskazywał ręką. Mrużyli oczy, ale mimo że nie oślepiało ich słońce - wprost przeciwnie, już od kilku dni ponure jesienne chmury zasnuwały niebo - większość nic nie widziała. Tylko Ilja skinął głową.

- Masz dobre oczy, Samsonie. Nic dziwnego, że cieszysz się sławą świętego tropiciela i łuczника. Nawet ja nie zauważyłem tego wcześniej.

- Co tam widzicie? - spytał Jegor, który nawet nie próbował wypatrywać.

- Ejże, też to widzę, tam nad lasem! - ucieszył się Alosza, ale po chwili spowaźniał. - Z daleka wygląda jak stado much.

- To nie muchy. - Muromiec się skrzywił. - To wrony. Setki wron.

Bojarzy ucichli, pomyśleli chwilę i wymienili znaczące spojrzenia.

- Na Welesowe kopyta - rzekł Mikuła, wzdychając. - Stary pustelnik, którego spotkaliśmy wczoraj, mówił prawdę. Coś rzeczywiście spadło na las.

- Nie ma wątpliwości - potwierdził Światogor. - Ścierwo, które śmierdzi na taką

odległość i przyciąga tyłu padlinożerców, musi być wielkie, ba, olbrzymie!

Za ich plecami rozległ się zduszony śmiech. Bohatyrzy obejrżeli się. Bliźniacy Diwlan i Borowej byli dobrymi towarzyszami w boju, ale poza tym przez większość czasu trzymali się na uboczu i mało kiedy rozmawiali z innymi wojami. Nieustannie wszystko obserwowali i nasłuchiwali z ciekawością, po czym odchodzili na bok i cicho szeptali między sobą. Po chwili takiej rozmowy zaczynali się śmiać z czegoś, co pozostawało zagadką dla reszty. Tak jak teraz.

- Połócczanie! - huknął na nich Jegor, aż zadrżeli. - Skoro wam tak wesoło, pojedziecie przodem i porządnie to zbadacie!

Braciom natychmiast uśmiechy zamarły na ustach. Już chcieli posłusznie ruszyć, kiedy między nich a Światogora wjechał mężczyzna z długą, czarną brodą, w pancerzu z utwardzanej skóry i w hełmie z rogowych łusek.

- Ja pojedę - zaproponował. - Z rozkazu Sihadin-beja mam być waszym przewodnikiem i zwiadowcą, spełnię zatem swój obowiązek.

- Dobrze, Jarmanie - przywódca bojarów zgodził się po chwili wahania. - Rozejrzyj się. Pomału pojedziemy za tobą. W razie czego masz róg, zadmij.

Krępy jeździec ruszył kłusem wzdłuż brzegu rzeki. Bohatyrzy odprowadzali go nieufnymi spojrzeniami. Jarman należał wprawdzie do kazańskiej załogi, ale z pochodzenia był Czeremisem. A poruszanie się w kraju nieprzyjaciela z miejscowym przewodnikiem zawsze groziło zdradą.

- To już siedem dni, odkąd wyruszyliśmy z Kazania - burknął Sielaninowicz - ale ciągle mu nie ufam. Zawsze, kiedy wysyłasz go na zwiad, bracie Światogorze, spodziewam się, że wróci z hordą swoich współplemieńców i będzie razem z nimi podrzynać nam gardła.

- W Carogrodzie powiedzieliby, że masz obsesję - odparł Jegor. - Gdyby Jarman nie był godzien zaufania, Sihadin nie wysłałby go z nami. Nie chcę słyszeć żadnych bezpodstawnych podejrzeń i oskarżeń. Jedźmy.

Ruszyli bez słowa. Na czele kłusował Ilja z dobytym Gniewem w ręku. W odróżnieniu od pozostałych parszkających koni Buruszko był złowieszczo spokojny.



Nie usłyszeli rogu. Zwiadowca nie wypatrzył żadnego niebezpieczeństwa, mimo to wjechał im naprzeciw śmiertelnie blady, z mocno zaciśniętymi wargami.

- Na bogów, lepiej tam nie jedźcie - ostrzegł.

Bohatyrzy oczywiście nie posłuchali. Przedostali się na drugi brzeg brodem

z naniesionych przez rzekę kamieni i pokłusowali pod prąd wzdłuż wschodniego brzegu. Krakanie wron dobiegało z oddali, ale oni już teraz zaczęli kłąć, przyciskać dłonie do nosów i naciągać płaszcze, by zakryć nimi twarze.

- Na miłosierdzie Boże - Jegor mamrotał w rękawicę. - Kiedyś na Krymie jechałem przez pobojowisko, z którego nie zabrano trupów. Był środek gorącego lata, pięć dni po bitwie, ale nawet tam nie śmierdziało tak okropnie.

- Szczęście, że od rana nic nie jedliśmy - wychrypiał Mikuła - inaczej wyrzygalibyśmy te placki i suszoną wołowinę na sążeń daleko. Przysięgam, że dzisiaj nawet nie tknę zarcia.

Krakanie wron, gawronów, kruków i kawek przybierało na sile i wkrótce było nie do zniesienia. Ilja skręcił w las, między drzewa, nad którymi krążyły stada czarnych ptaków. Drużyna ruszyła za nim. Ścierwojady przysiadły wysoko na gałęziach, szeleściły piórami, trzepotały skrzydłami i przyglądały się intruzom oczami przypominającymi lśniące czarne perły. W ich spojrzeniu tkwiła groźba. Muromiec dostrzegł też rodzinę lisów, ale ruda samica ze szczeniętami błyskawicznie znikła w paprociach.

Przedzierali się przez gąszcz, omijali stosy wywróconych lub połamanych drzew. Wyglądało to tak, jakby las połamała wichura, ale bohaterzy dobrze wiedzieli, że wiatrołom nie był dziełem rozgniewanego Strzyboga. W chwili, kiedy gęstwina wreszcie się przed nimi rozstała, utwierdzili się w tym przekonaniu.

- Święta Matko Boża, stój przy nas. - Jegor przeżegnał się zamasyście.

Zobaczyli brudę rozcinającą las, długą na wiorstę, pełną połamanych drzew pokrytych hubami. Na jej końcu leżał on, martwy. Krążyło nad nim stado rozdrażnionych, krzyczących ptaków, rzucając ruchomy cień. Odpadały mu łuski, kości tonęły w resztkach dawno rozłożonego ciała. Żarły go larwy, robaki i brzęczące muchy.

Zilant, czarny smok, bóstwo Suwaru. Tutaj jego pycha została zmiażdżona. Z budzącego grozę potwora, który władał na ziemi i w przestworzach, zmienił się w długie na dwadzieścia sążni żerowisko małych leśnych stworzeń. Połamane skrzydła o rozerwanych błonach były wplecione w krzaki i korony drzew. W ich cieniu, na samym przedzie, bieląca czaszka.

- Niech to pioruny, jak on cuchnie! - zaklął Sielaninowicz. Jedną ręką przyciskał do twarzy skraj płaszcza, drugą odpędzał chmarę much, która atakowała jego oczy. - Uciekajmy stąd, inaczej tak prześmiardniemy, że nigdy nie zdołamy tego zmyć! Gorzej, możemy złapać od tego świństwa jakąś zarazę!

Książewicz nie zdołał się opanować, schylił się w siodle i zaczął głośno, gwałtownie wymiotować. Pozostali bohaterzy odwracali od niego wzrok. Niewiele brakowało, by się do

niego przyłączyli.

- Mikuła ma rację, zabieramy się stąd! - rozkazał Jegor i zawrócił konia. - Przekonaliśmy się, że smok zdechł. Możesz być dumny, Iljo. To twoje dzieło, ty zadałeś gadzinie śmiertelną ranę. Zostałeś prawdziwym smokobójcą, jak święty Michał albo święty Jerzy!

- Nie chcesz zabrać czegoś na pamiątkę? - Śmiech Łowczanina przypominał kaszel. - Może weźmiesz łuskę, kawałek kości, ząb? Spójrz tylko na jego czaszkę! Bogowie, te szczęki! Taka wielka paszcza! Musiał łykać panny jak maliny. Nie wahaj się, już nigdy w życiu nie zdobędziesz tak cennego łupu!

- Nie ma mowy. - Muromiec odwrócił się od padliny i odkaszlnął. - Gdybym cokolwiek zabrał, ten okropny smród włókłby się za mną wszędzie. Jedźmy stąd, zanim pożrą nas muchy albo kruki wydziobią nam oczy!

Pospieszyli z powrotem ku rzece. Po drodze klęli sprośnie, charkali i głośno pluli, bo mieli wrażenie, że zgnilizna przykleiła im się do języków.

- Wszyscy do mnie! - krzyknął nagle Jarman z pasma trawy nad wodą. Zgromadzili się wokół niego i patrzyli ponuro na ognisko obłożone kamieniami. Było widać, że dawno zgasło - deszcze i słońce zmieniły węgielki w delikatny czarny proch, rozsypujący się po ziemi.

- Spójrzmy - odezwał się Ilja. - Czy nie mówiłeś, Jarmanie, że w tych okolicach nikt nie mieszka?

- Mówiłem, bo to prawda, klnę się na Allaha - przysięgał zwiadowca. - Zamieszkane brzegi Jusztu znajdują się daleko na południowym wschodzie, u jego ujścia do Itilu, ale tutaj jest bezludna dzicz. Chata pustelnika, którą znaleźliśmy wczoraj, to może jedyna ludzka siedziba w promieniu wielu wiorst. Nie mam pojęcia, kto mógł rozpalić ten ogień.

- Ale ja mam - odparł chmurnie Muromiec.

- Ja również. - Jegor pokiwał głową. - Wieści, że Tugarin stoi u boku Wargana i razem rządzą Czeremisami, nie są wysane z palca. Czuję w kościach, że ten skurwysyn naprawdę przeżył i że znajdziemy go w głównym grodzie plemienia. Jarmanie, musimy jak najszybciej dostać się do Koksziagi.

- Rozumiem. Musimy wrócić w dół rzeki do chaty pustelnika. - Zwiadowca wskazał ręką na południowy zachód.

- Zawrócić? - burknął Mikuła, w którym znów odezwała się nieufność względem czeremiskiego przewodnika. - Stracimy cały dzień...

- Przeciwnie. - Jarman pozostał spokojny. - Wiem od pustelnika, że tuż za jego chatą

zaczyna się stara ścieżka, wiodąca od Juszutu prosto na północ, ku dolinie rzeki Kundysz. Jadąc nią, będziemy podróżować trzykrotnie szybciej, niż gdybyśmy ruszyli na przełaj przez las. W ciągu dnia, najwyżej dwóch znajdziemy się pod wielkim grodem Surok, który łączy z Kokszałą dobrze ubita droga. Pokonamy ją konno w niecałe dwa dni.

- Brzmi dobrze - zgodził się Światogor i spojrzał pytająco na bojarów.

- Nie podoba mi się to - sprzeciwił się Sielaninowicz. - Po ścieżkach i drogach jeździ się szybciej, ale możemy łatwo natknąć się na Czeremisów - i to nie tylko zwykłych chłopów czy myśliwych, ale też na uzbrojoną drużynę. Tutaj trwa wojna, pamiętajcie...

- A ty pamiętaj, bracie Mikoł - wszedł mu w słowo Ilja - że okoliczne lasy są gęste i nieprzyjazne, pełne wilków, rysi, niedźwiedzi i innych, może bardziej niebezpiecznych stworzeń - rusalek i demonów. Już wolę się bić z gromadą uzbrojonych Czeremisów, niż je spotkać. Myślę, że pomysł Jarmana jest dobry.

- Podjąłem decyzję - powiedział Jegor tonem, który kończył dyskusję. - Wracamy do chaty pustelnika, potem ruszamy ścieżką prosto na północ.

Drużyna przyjęła rozkaz bez protestu, tylko Mikoła jeszcze chwilę mrucał pod nosem. Pokłusowali wzdłuż rzeki z powrotem na południowy zachód. Towarzyszyło im krakanie wron, ohydna pieśń żałobna na cześć smoczego bóstwa.



- Gdzie, na wszystkie demony, podziewa się Iszora?! - wściekał się Wargan, podczas gdy dwie wystraszone udmurckie niewolnice pomagały mu włożyć pyszną zbroję. - Od rana nie widziałem tej parszywej Permiaczki. Nie żeby mi to przeszkadzało, przynajmniej nie musiałem zaraz po przebudzeniu oglądać jej spuchniętej, naburmuszonej gęby, ale przecież to moja żona i musi mi okazywać szacunek. Ma mnie wyprawić na wojnę, jak wszystkie porządne czeremiskie żony! Natychmiast ją znajdźcie!

Trzej pachołkowie ochoczo wybiegli z komnaty, szczęśliwi, że mogą zejść z oczu wściekłemu władcy. Jeden z nich niemal zderzył się w drzwiach z wchodzącym drużynnikiem, uzbrojonym po zęby czterdziestoletnim weteranem. Bojar ze złością podniósł rękę, ale młodzieniec przemknął zwinnie obok i znikł w sieni oświetlonej słabymi promieniami świtu.

- Wielki kuguraku! - zawołał drużynnik, zdjął hełm i skłonił głowę.

- Mów, Turulczaku.

- Przed chwilą przybył poseł od Rotawara. Jest brudny jak świnia i śmierdzi, jakby się skąpał w końskich szczynach, więc nie chciałem go tu wprowadzać, ale jeśli rozkażesz...

- Nie, dobrze zrobiłeś. Już i tak jestem w podłym nastroju, nie chcę go psuć jeszcze bardziej widokiem jakiegoś parszywego Permiaka. Chcę tylko wiedzieć, z czym przyjechał. Wysłuchałeś go?

- Oczywiście. Rotawar przyjdzie ci z pomocą, wyruszy z trzema setkami Permiaków.

- Najwyższy czas! Gdzie sterczeli tak długo? Kiedy przybędą? Jeszcze dziś opuścimy Koksagę. Jeśli będę musiał czekać na tego siwego szczura, każę go wychłostać za marnowanie mojego czasu, nawet gdyby to miało być na oczach wszystkich jego ludzi!

- Poseł powiedział, że Rotawar nie zmierza do Koksagi, ale wprost na południowy zachód. Całe jego wojsko wsiadło do łodzi i płynie po rzece Kundysz. Ma zamiar popłynąć koło Suroku aż do ujścia Czerwonej Rzeki. Tam się z tobą połączy i wiernie ruszy za tobą do boju z przeklętymi Waregami.

- Hm... - mruknął Wargan. Treść poselstwa uspokoiła go. - Dobrze. Rotawar może nie jest takim głupcem, za jakiego go miałem... Kończysz już?! - wrzasnął na jedną z niewolnic.

Ta raźno skinęła głową i mocno związała mu pod pachą ostatni węzeł na bocznym sznurowaniu łuskowego pancerza. Druga podała pas z zakrzywionym mieczem w pochwie i spiczasty hełm ozdobiony kitą z grzywy białego konia. Władca włożył wszystko niecierpliwie i skinął na podręcznego. Silny młodzieniec z jednego z podbitych czeremiskich rodów wziął wielką podłużną tarczę, uroczyście pomalowaną włócznię, łuk i kołczan pełen strzał - wszystko pysznie zdobione złotymi i srebrnymi okuciami - i tak objuczony pospieszył za Warganem. Zanim jeszcze przekroczył próg głównych drzwi, naczelnik przywołał Turulczaka.

- Zejdź do lochu, rozkuj Kościeja i przyprowadź go. Zabierzemy go ze sobą.

- Jest w strasznym stanie, wielki naczelniku. Będziemy musieli go umyć...

- Wykąpcie go w końskim korycie. Dajcie mu coś do jedzenia i znajdźcie czyste ubranie.

- Jak każesz.

Kugurak spojrział w stronę drzwi. Wypiął pierś, podniósł głowę, zmarszczył brwi, przybierając groźny wyraz twarzy i raźnym krokiem wyszedł na kamienny taras przed wejściem.

Chóralny okrzyk, którym pozdrowili go wojowie zgromadzeni na dziedzińcu, był ogłuszający. Książę dobył miecza i szybko uniósł zakrzywioną klingę nad głowę. Ludzie krzyknęli jeszcze głośniejsze i zaczęli tłuc kijami, siekierami i drzewcami włóczni o okucia tarcz. Wśród tej wrzawy i łoskotu wódz zszedł po schodach na dziedziniec, do wznoszącego się majestatycznie kumiru pierwszego, dawnego Kuguraka. Wokoło świętego kamienia, w kręgu

oddzielonym od tłumu rzędem członków osobistej drużyny naczelnika, już czarowała siódemka koldunów. Było ich siedmiu, ponieważ siódemka była świętą liczbą Czeremisów, objawioną przez samych bogów. Żyrzcy w futrach i maskach zwierząt, pomalowani w dzikie wzory i obwieszani amuletami z kości i piór, tańczyli w rytm bębenków i grzechoczących mieszków z ludzkimi kośćmi, śpiewali przy tym niezrozumiale i kogoś wzywali. Dwaj stali z boku i trzymali półnagiego, skatowanego bułgarskiego jeńca z rękami związanymi na plecach. Nie był to pierwszy lepszy niewolnik, ale członek kazańskiego oddziału, który natknął się na czeremiskich najeźdźców i poniósł druzgocącą klęskę w boju z wielokrotnie liczniejszymi siłami.

Uderzenia broni o tarcze nabrały rytmu. Główny koldun, szczęśliwy, że wreszcie może dokonać obrzędu bez szyderstw Tugarina, miał na sobie maskę drapieżnego ptaka i płaszcz z piór. Żyrzcy północnych plemion wierzyli, że pióra pomagają ich duchom wzlecieć do nieba, do świata bogów. Kapłan trzymał w dłoniach krawędzie płaszcza, machał nimi i dziko skakał wokół kumiru. Wzywał władcę niebios Kugu Juma, matkę Mland-awę, gromowładnego Kudyrca, ba, nawet śmiercionośnego Azyrena i jego brata, sędziego duchów i władcę zaświatów Kijamata. Pośród tej wrzawy i łoskotu niemal nie było słyhać wezwań kolduna, ale to nie było ważne. Dzisiaj przywoływano przede wszystkim bogów i demony wojny, a dla nich liczył się szcęk żelaza i dzikie krzyki.

Wargan nie przeciągał obrzędu. Ścisnął oburącz rękojeść miecza i ponownie go uniósł. Łoskot przybrał na sile. Kolduni przywlekli Bułgara do kamienia, podcięli mu kolana, zmusili, żeby ukląkł i pochylił głowę.

Książę ciął. Nie brakowało mu sił, a dobrze naostrzona klinga przeszła przez szyję jeńca jak gorący nóż przez grudę masła. Główny żyrzec miał już w ręku rzeźbioną drewnianą miskę i łapał tryskającą krew, podczas gdy jego pomocnicy przytrzymywali podrygujące w konwulsjach ciało. Kiedy prąd posoki osłabł, a bezgłowe ciało padło bezwładnie na ziemię, kapłan wyjął zza pasa wiązkę czarodziejskich ziół i gałązek i zamoczył ją we krwi. Najpierw opryskał z trzech stron kumir, po czym zwrócił się ku Warganowi. Czerwone krople pokryły twarz i pancerz władcy.

- To krew poświęcona bogom! - zawołał koldun. - Niech cię chroni przed bronią nieprzyjaciół! Stań się niezwyciężony jak sam wielki Kugurak, nasz praojciec!

- Kuguraku! Azyrenie! Kudyrczo! - wrzasnął wódz i uniósł głowę Bułgara wysoko w powietrze. - Także i ty, Keremecie z podziemi, władco złych duchów! Wzywam was, bezlitośni bogowie! Przyjmijcie w darze ten czerep nieprzyjaciela i dajcie nam przynieść z boju tysiąc takich!

Zgromadzeni krzyczeli jak opętani. Żyrzec odwrócił się, zanurzył miotełkę w misce i zamaszystymi ruchami skrapiał wojsko ludzką krwią. Wojowie pchali się, by padła na nich chociaż jedna kropla bożej łaski.

- Naczelniku?

Wargan odwrócił się. Błady Turulczak ze strachem w oczach padł przed nim na kolana.

- Co jest? - warknął władca Czeremisów, mając złe przeczucia. - Gdzie Kościej?

- Potężny kuguraku, zlituj się nad swym niegodnym sługą...

- Mów!

- Twój ważny jeniec... znikł.

Książę zamarł.

- Co takiego?!

- Znalazłem tylko otwarte kajdany i porzucone brudne ubranie. Przeszukałem podziemie. Głębiej w jaskini dostrzegłem ślady stóp odcisnięte w kurzu. Ktoś pomógł Kościejowi uciec. Ktoś... o małych stopach.

- Chłopiec?

- Raczej kobieta, wielki naczelniku.

Wargan zrozumiał niemal natychmiast. Kiedy po chwili pojawili się pachołkowie, których posłał po swoją żonę, i zobaczył na ich twarzach jeszcze większe przerażenie niż to, które widział w spojrzeniu Turulczaka, skończyły się wszystkie wątpliwości.

- Potężny kuguraku, nie możemy nigdzie znaleźć twojej małżonki - oznajmił jeden ze sług. - Strażnicy u bramy widzieli ją, jak po zmierzchu jechała kłusem w stronę świętych jaskiń. Wiozła wypełnione juki, powiedziała im, że w środku są ofiary dla bogów i że będzie się modliła w jaskini za twój szczęśliwy powrót z wyprawy wojennej...

- Następni wartownicy, którzy przejęli straż o północy - uzupełnił relację drugi pachołek, bijąc czołem o ziemię - widzieli ją, jak wraca na piechotę.

Wargan miał ochotę zatłuc sługi na śmierć bułgarską głową, którą ciągle trzymał za włosy. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że szalejące, kąpiące się w krwawym deszczu wojsko nie zauważyło nic szczególnego. Opanował się i zacisnął zęby. Nie chciał wszczynać niepotrzebnego alarmu. Jeśli jego ludzie zauważą, że coś się nie udało, będą uważali, że to zły znak.

Spojrzał na tych, którzy przynieśli mu wieści.

- Rozumiesz to, Turulczaku, prawda? - wycedził przez zęby. - Iszora, ta zdradziecka suka, najpierw przygotowała konia z zapasami. Potem wróciła do grodu, uwolniła Kościeja

i odprowadziła go podziemną drogą do świętych jaskiń. Teraz razem uciekają. Weź trzech ludzi, Turulczaku. Wyśledźcie tę dwójkę, złapcie i przywieźcie do mnie. Chcę ich żywych, rozumiesz?

- Rozumiem, wielki naczelniku. - Drużynnik kłaniał się aż do ziemi, szczęśliwy, że jego głowa nie spadła z karku ani nawet nie dostał batów. Księżę okrutnie karał tych, którzy przynieśli złe nowiny.

- Jeżeli złapiesz Iszorę - dodał władca z ustami wykrzywionymi nienawiścią - każ jej, żeby w drodze nacierała się mlekiem. Niech jej skóra ładnie zmięknie, bo kiedy tylko dostanę ją w swoje ręce, pasy z niej będę darł, dopóki nie zostanie kupa nagiego, jęczącego mięsa!

Wargan wziął głęboki wdech, odwrócił się ku zgromadzonym i znowu podniósł miecz oraz głowę Bułgara.

- Ruszamy, dzielni wnukowie Kuguraka! Zdobycz i sława wojenna już na nas czekają!

Okrzyk zdecydowania odbijał się echem od wzgórz nad Kokszałą, dudnił jak dalekie grzmoty. Było prawie tak, jakby władcy niebios rzeczywiście prowadzili Czeremisów na wojnę.



W środku ciemnego lasu palił się ogień. Co najmniej dwie wiorsty dzieliły Iszorę od drzew, w których koronach odbijało się niespokojne światło ogniska, ale i tak wstrzymała oddech i skuliła się ze strachu. Nawet przez chwilę nie wątpiła, że przy tym ognisku siedzą łowcy wysłani przez Wargana. Nie była zaskoczona, że znienawidzony mąż kazał ją ścigać, nie przypuszczała jednak, że dopadną ją tak szybko. Uciekli z Kościejem dopiero wczorajszej nocy, a prześladowcy już deptali im po piętach.

Odwróciła się i zbiegła z rzadko zarośniętego zbocza do gęstszego lasu w dolinie. U podnóża wzgórza kobyłka przywitała ją niepewnym parsknięciem.

- Spokojnie, to tylko ja. - Iszora złapała zwierzę za ogłowie i poklepała je po szyi. Potem zdjęła mu z pyska worek z obrokiem. Kobyłka zasłużyła na dobrą paszę - cały dzień niosła dwóch jeźdźców po drogach, a częściej po bezdrożach, na których Permiaczka starała się zgubić tropicieli, co się oczywiście nie udało.

- Kościeju. - Pochyliła się nad chudą postacią skuloną pod niedźwiedzią skórą między korzeniami starego dębu. - Słyszysz? Ocknij się! Nie możemy tu zostać całą noc. Zbójce Wargana depczą nam po piętach. Widziałam ich ognisko, ledwie kawałek za nami!

- Ja... - Spod futra wynurzyła się twarz, straszliwie blada w tej ciemności, bardziej podobna do oblicza umarłego niż żywego człowieka. - Nie mogę... Muszę odpocząć, Iszoro...

Chociaż do północy...

- Wiem, że jesteś słaby, ale musimy jechać dalej! - upierała się. Chwyliła go pod pachy, żeby pomóc mu wstać. - Musimy się od nich oddalić. Na pewno poruszają się szybciej niż my, więc jeśli będziemy tu sterczeć, złapią nas jeszcze jutro przed południem...

Kościej mamrotał coś w proteście, ale w ogóle go nie słuchała. Postawiła go na nogi, podparła i powlokła ku kobyłce. Oparła go o koński bok, schyliła się, uniosła jego nogę i wetknęła stopę w strzemię.

- No już. - Dysząc, pchała go w górę. - Dasz radę. Tylko wdrap się na siodło i jakoś to będzie.

Wbił palce w kulę siodła i zbierając wszystkie siły, spróbował zrobić to, czego od niego żądała. Kiedy już niemal dopiął celu, w lesie tuż obok zahuczała sowa, wierzchowiec drgnął, noga wyslizgnęła się ze strzemienia, a Kościej z Iszorą padli na trawę i mech.

- Wstawaj. - Permiaczka podniosła się, ciężko dysząc. - Jakoś damy sobie radę. Mój ojciec zmierza z wojskiem ku ziemi Czeremisów. Jeśli go odnajdziemy, będziemy bezpieczni...

Chwylił ją kościstymi palcami za rękę, którą próbowała podnieść go z ziemi.

- Nie... - wychrypiął słabo, ale mimo to dobitnie. - Musimy odpocząć. Ja, ty i koń. Zostaniemy tutaj i trochę się prześpimy... Przynajmniej do północy... Potem ruszymy dalej.

Wzięła głęboki wdech, by mu się sprzeciwić, nagle jednak uświadomiła sobie, jak bardzo jest wyczerpana. Determinacja wypłynęła z niej niczym krew z przeciętej żyły.

- Dobrze - wyszeptwała. - Ale tylko do północy. Potem musimy ruszyć.

Przyniosła leżącemu mężczyźnie derkę, ułożyła go na niej, położyła się przy nim i okryła ich oboje niedźwiedzim futrem. Jej towarzysz strasznie śmierdział, ale już do tego przywykła w ciągu dnia, kiedy razem siedzieli w siodle. Teraz musieli ogrzewać się nawzajem, ponieważ nie mogli rozpalić ognia.

Przez chwilę prosiła szeptem córkę słońca Zarań i bożą matkę Dzdudzję, by broniły ich przed złymi leśnymi duchami. Przed leśnym Worsą, pasterzem jeleni, przed wodnym Wakuljem, który miał straszne wojsko z utopionych dzieci, ukazujących się pod postacią czarnych karłów. Przed szyrtami, keremetami, menkwami i innymi złymi duchami czeremiskich i permiackich lasów. Drżała na samą myśl o nich, chociaż wiedziała, że w tej chwili większym zagrożeniem są zwykli śmiertelnicy.

Zdawało się jej, że kłębiące się w głowie myśli nie pozwolą zasnąć, ale już po chwili jej głowa opadła na ramię Kościeja, a zmęczenie objęło ciemnymi ramionami.



- Bogowie! - krzyknęła Iszora, kiedy jakiś dźwięk wyrwał ją z głębokiego snu bez marzeń. Zdała sobie sprawę, że przez korony buków przedzierają się słabe promienie świtu. Zaczęła szarpać towarzysza, który ciągle pochrapywał. - Kościeju, wstawaj! Spaliśmy zbyt długo! Już ranek!

Ze strachem otworzył oczy i natychmiast je zamknął, bo nawet słabe światło poranka w lesie raziło go w oczy. Zaczął macać koło siebie. Podała mu czarną szmatkę, którą w czasie ucieczki zakryła jego wrażliwe oczy. Zgrabiałymi palcami pomogła mu ją owinąć wokół pokrytej bliznami głowy.

- Prędko, musimy zaraz ruszyć! - Zerwała z niego futro i ruszyła w stronę kobyłki.

Nagle konik potrząsnął grzywą i parsknął niespokojnie. Żona księcia uświadomiła sobie ze zgrozą, że nie pierwszy raz słyszy ostrzeżenie zwierzęcia. Ten sam dźwięk wyrwał ją przed chwilą ze snu. Rzuciła futro i rozejrzała się, szeroko otwierając oczy. Jej serce waliło jak młot.

W gęstwinie na lewo od niej zabrzmiał tupot kopyt. Po prawej ktoś zaśmiał się triumfalnie. Iszora obróciła się i wydobyła z pochwy przy siodle kindżał o zakrzywionej klindze długości dwu piędzi. Usłyszała jeszcze więcej śmiejących się ludzi. Oszołomiony Kościej kręcił głową, próbując znaleźć źródło dźwięku. Rozległ się trzask pękających gałęzi i z lasu bez zbędnego pośpiechu wynurzyli się czterej jeźdźcy. Byli dobrze uzbrojeni, ale nie zadali sobie trudu, by dobyć broni. Z kim tu walczyć - z kaleką i babą?

- Turulczak. - Kobieta rozpoznała jednego z najwierniejszych drużynników Wargana. Wyciągnęła przed siebie rękę z kindżałem, dając do zrozumienia, że ma zamiar się bronić.

- Odlóż ten nożyk, Permiaczko - poradził jej i oparł się skrzyżowanymi rękami o kulę siodła. - Jeszcze zrobisz sobie krzywdę, a tego nie chcemy. Wódz kazał was przywieźć żywych i zdrowych.

Przebiegła spojrzeniem po ich szyderczo uśmiechniętych twarzach, rozumiejąc, że znalazła się w pułapce i nie ma najmniejszej nadziei na ratunek. Jednocześnie wyobraziła sobie, jak wloką ją z powrotem do kuguraka, który nie tylko będzie ją poniżał jak zwykle, ale do tego jeszcze okrutnie ukarze. Poczowała bolesne ukłucie, jakby ktoś wbił jej zardzewiałą klingę w nerki.

Zdecydowała się natychmiast. Skierowała zakrzywione ostrze kindżału w stronę własnej piersi i zacisnęła obie dłonie na rękojeści, by dźgnąć jak najszybciej i jak najgłębiej wbić klingę.

Dowódca pościgu wykrzyczał rozkaz. Rozległ się trzask i wokół nadgarstka Iszory owinął się koniec długiego bicia. Mocne szarpnięcie wydarło jej kindżał spomiędzy palców, a ona sama upadła na ziemię.

- Tak się bawić nie będziemy. - Turulczak zeskoczył z konia i pospieszył w jej stronę. Kościej spróbował zastąpić mu drogę, ale wódz uderzył go w głowę okutym brązem ochroniaczem nadgarstka. Wychudzony mężczyzna padł jak podcięty. Iszora rozpaczliwie starała się dosięgnąć kindżału. Turulczak kopnął nóż poza jej zasięg i mocno nadepnął na rękę kobiety, aż pękły kości dłoni. Krzyknęła.

- To, żebyś sobie zapamiętała, że nie oplaca mi się opierać, suko!

Pozostali Czeremisi skoczyli wódzowi na pomoc. Uciekinierzy już wkrótce zostali przywiązani do siodła kobyły i przygotowani do drogi.

- Wracamy do Kokszaży? - spytał jeden z drużynników, wsiadając z powrotem na konia.

- Nie, Ilmanie. Naczelnik kazał nam zawieźć te świnie tam, gdzie sam będzie. Pojedziemy dalej, aż nad Kundysz. Ruszymy wzdłuż rzeki na zachód, aż do jej zbiegu z Czerwoną. Tam poczekamy na kuguraka. Oddamy mu zdobycz i przyłączymy się do reszty wojska.

- Chcesz jechać wzdłuż Kundyszu? - zapytał najmłodszy wojownik z wyraźnym strachem w głosie. - Powiadają, że to wielce niebezpieczne okolice. Słyszałem, że w lasach nad rzeką czyhają szurale, straszne biesy. Włochate, silne, z pazurami zamiast palców i wielkim rogiem na czole. Podobno łapią tylko mężczyzn. Wloką ich w gęstwinę i tam łaskoczą na śmierć, a potem zjadają zwłoki.

Pozostali Czeremisi spojrzeli pytająco na młodzika, a kiedy zrozumieli, że mówił poważnie, roześmiali się gromko.

- To prawda, puste łby! - krzyknął na nich ze złością. - Opowiadał mi to sam koldun...

- Musiałeś jeszcze wtedy latać z gołym tyłkiem, Kurmasie. - Turulczak śmiał się. - Dlatego trochę uładził opowieść o szuralach.

- Uładził? Co ty gadasz, na wszystkich niebieskich bogów?

- Nie rozumiesz? To prawda, że szurale łowią prawie wyłącznie mężczyzn. I to, że zaciągają swoją zdobycz w krzaki. Kłamał, gdy mówił o łaskotaniu. Chodzi o coś całkiem innego. A ten straszny róg nie sterczy z czoła, ale spomiędzy nóg.

Twarz młodzieńca wydłużyła się.

- Chcecie powiedzieć, że te demony... - Umilkł i wybałuszył oczy.

- Właśnie tak, Kurmasie. - Wódz wyszczerzył zęby i szturchnął konia piętami. -

Chędożą ofiarę na śmierć. Rozrywają jej rzyć i wyrrywają flaki kutasem w kształcie zgiętego rogu. Człowiek wcale nie umiera ze wstydu, po prostu się wykrwawia, a wtedy szurale zjadają go ze smakiem. Oczywiście, o ile chcesz wierzyć w te bajędy. Ja tak czy owak nie zmienię rozkazu. Jedziemy ku rzece Kundysz, kłusem!

Ciągle roześmiani Czeremisi ruszyli przez bezkresne lasy na południowy zachód.



Następnego dnia wieczorem dotarli nad Kundysz. Kiedy krótko po zmierzchu wyjechali z gęstego lasu na trawiasty brzeg, młody Kurmas nagle zwiększył czujność, uniósł się w strzemionach i zapatrzył w górę rzeki.

- Patrzcie tam! - Wskazał ręką.

Wszyscy spojrzeli na północny wschód. Między drzewami na odległym zakolu rzeki błyskało niespokojne światło.

- Czyżby jakaś osada? - zastanawiał się głośno jeden z Czeremisów. - Chyba mówiliście, że nad tą rzeką nikt nie mieszka?

- To nie światło chaty, Bedenie - burknął Turulczak. - To ognisko obozowe.

- Czyżby Permiacy? - zgadywał Ilman. - Wygląda na to, że jest tylko jedno ognisko, ale reszta wojsk może być rozmieszczona dalej wzdłuż brzegu, za tym wzniesieniem i drzewami...

- Możliwe. I prawdopodobne. Stary Rotawar płynie ku Czerwonej Rzece na spotkanie z Warganem. Dokładnie tak, jak my.

- Ale nie będziemy na niego czekać i nie ruszymy razem?

- Oczywiście, że nie, głupku! Gdyby Rotawar zobaczył, że prowadzimy jego córkę w pętach, kto wie, co by zrobił. Musimy wrócić do lasu i rozbić obóz w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie nie wypatrzą naszego ognia. Jutro ruszymy jeszcze przed świtem. Łodzie płyną szybko, ale i tak będziemy się starali jak najbardziej je wyprzedzić. Teraz szybko pod drzewa, zanim zwiadowcy nas wypatrzą.

Znaleźli potok wpływający do Kundyszu i ruszyli w górę jego biegu. Jakieś dwa gony od rzeki trafili na ładny brzozowy zagajnik w osłoniętej kotlinie. Rozpalili ogień i zaczęli piec dwa zające, które Kurmas ustrzelił po drodze. Jego zręczność w obchodzeniu się z łukiem uciszyła wreszcie szyderstwa starszych drużynników. Od wczorajszego ranka nie dawali mu spokoju, bez przerwy go zaczepiali i w żartach wieszczili szczęśliwy żywot z szurałem w gąszczu nad rzeką.

Podczas gdy Kurmas obracał długi rożen, Beden i Ilman na rozkaz przywódcy zajęli

się końmi. Rozsiodłali je, wytarli, wyczesali zgrzebłem, a dopiero potem pozwolili im pochylić łby ku wodzie i trawie zieleniejącej jeszcze na brzegu.

Tłuszcz z piekących się długouchów przyskał głośno na węgle i pachniał na cały las.

- Długo jeszcze? - Ilman i Beden wrócili od wierzchowców, oblizując się łakomie.

- Jeszcze chwila. - Kurmas obrócił rożen.

- Całkiem nieźle sobie radzisz z polowaniem i szykowaniem jadła - pochwalił Beden młodzieńca, ale w jego głosie dało się słyszeć szyderstwo. - Mógłbyś już poszukać drugiej połówki. Na przykład szurale.

Ilman zaczął się śmiać i złapał bukłak z piwem.

- Musiałbyś się liczyć z tym, że to ty zostałeś panną młodą!

Obaj zaczęli rechotać. Kurmas spochmurniał, jego oczy zabłyśły gniewem. Turulczak uśmiechał się półgębkiem i dalej zajmował się swoją bronią.

Po chwili mogli zacząć jeść. Wieczera była skromna, ale za to ze świeżej dziczyzny, co nieczęsto trafiało się wędrowcom na bezdrożach. W milczeniu łykali mięso, z wierzchu spieczone, przy kościach jeszcze soczyste. Brańcy dostali tylko resztki zapasów, twarde ser i suche placki. Kurmas rozciął Iszorze pęta na nadgarstkach i kazał jej nakarmić również Kościeja. Nieszczęśnik opierający się plecami o jedną z brzoź nie przyjął jedzenia. W ogóle tylko siedział i gapił się nieprzytomnie gdzieś w bok, w ciemny gąszcz. Permiaczka żuła w milczeniu, niechętnie. Drobiła pożywienie lewą ręką, ponieważ prawa, na którą wczoraj nadepnął wódz pościgu, strasznie bolała. Kobieta wpatrywała się w ziemię i wydawało się, że jest myślami całe wiorsty stąd. Czeremisi przestali zwracać na nią uwagę. Ilman i Beden nie żalowali sobie piwa i byli coraz weselsi. Napitek był gorzki i mocny, a po całodziennej, męczącej wędrówce prędko szedł do głowy.

- Kiedy szurale powlecze cię do domu, do uwitego w krzakach gniazda - ciągnął Beden - zacznie się noc poślubna. Kobiety mogłyby ci potwierdzić, że pierwsza noc z mężczyzną bywa bolesna. To jednak nic w porównaniu z tym, jak cię będzie bolała twoja pierwsza miłość!

Pijani Czeremisi znowu się roześmiali.

- Tylko głupiec - warknął Kurmas, który miał już naprawdę wyżej uszu tych docinków - stale powtarza jeden dowcip. A ten już wczoraj przestał być śmieszny...

- No, no, no, tylko się zaraz nie obrażaj i nie gniewaj! - Ilman pogroził mu, podniósł się i ruszył w najbliższe krzaki, by się pozbyć nadmiaru piwa.

- Uważaj na szurale! - zawołał za nim Beden.

Ilman, stojący w rozkroku koło krzaka, rozwiązywał sznurek od spodni, śmiejąc się

przy tym do rozpuku.

- Niech sobie przyjdą! Zobaczymy, kto komu rozerwie rzyć!

- Przestańcie wrzeszczeć - skarcił ich Turulczak. - Nie zapominajcie, że zaraz za pagórkami obozuje ktoś, z kim nie chcemy się spotkać...

Nieopodał, między brzoźami, parsknęły konie. Przywódca oderwał spojrzenie od ostrzonego topora. Kurmas uniósł wzrok. Iszora przestała łykać.

Ilman odlał się, pierdnął głośno i zaczął się z tego śmiać.

Kobyłka Permiaczki zarżała ze strachu. Ilman, strząsający ostatnie krople, też zdał sobie z tego sprawę. Obejrzał się i zmrużył oczy.

- Ej, co te konie...

Nie dokończył. Mocny cios i straszliwy ból w kroczu odebrały mu dech. Przerażony spozjrzał w dół i zauważył, że z obsikanego krzaka wystaje włochata łapa i ściska jego obnażone męskie skarby. Ostre szpony wbiły się w ciało, trysnęła krew. Wojownik wreszcie odzyskał dech i wrzasnął.

Pozostali trzej Czeremisi skoczyli, trzymając włócznie. Wierzchowce rżały.

- Pomocy! - zawył Ilman, ale w tej chwili zakotłowało się w krzakach. Zniknął w nich tak szybko, jakby ktoś przywiązał go do konia i smagnął batem.

- Ilman! - krzyknął Turulczak, wyciągnął z ogniska płonąca smolną szczapę i ruszył do lasu. Beden i Kurmas biegli tuż za nim i bronią rozchylali krzaki. Odgłosy człapania biegnącego stwora, obijania się wlezonego ciała o pnie i skowyt drużynnika dochodziły z coraz większej odległości. Nieznany napastnik ciągnął zdobycz w mrok z niewiarygodną siłą. Jedno z głośnych uderzeń o pień na dobre uciszyło wycie ofiary.

Czeremisi potykali się w ciemności, rozjaśnianej jedynie przez prowizoryczną pochodnię przywódcy. Wokół roilo się od ruchliwych cieni. Wojownicy z lękiem wzniesli groty włóczni. Ciemne sylwetki jakby rozplływały się ze strachu, zmieniały się w zwykłe majaki.

- Ilman! - wrzasnął Turulczak.

Rozryta warstwa liści doprowadziła ich łukiem z powrotem do potoku. Na brzegu w bezruchu leżał Ilman, twarzą do ziemi. Spodnie miał spuszczone do kolan, uda i tyłek okropnie poharatane i zakrwawione.

- Bracie! - Beden zawył rozpaczliwie, skoczył ku druhowi i odwrócił go na plecy. Przy tym ruchu porwanemu drużynnikowi niemal odpadła głowa - jego gardło było rozerwane, może pazurami, może kłami. Wytrzeszczone oczy błyszczały w świetle pochodni.

- Już po nim - warknął wódz, uniósł głowę i rozejrzał się. W pobliżu nie poruszało się

nic z wyjątkiem cieni. - Noc poślubna z szurałem.

W dole potoku znów zarżały konie. Czeremisi obejrzeni się w tę stronę.

- Brańcy - wychrypiał Kurmas.

Po chwili wszyscy trzej biegli na wyścigi z powrotem do obozu. Kiedy zdyszani wbiegli w krąg światła, znaleźli tylko Kościeja, który siedział nieruchomo, oparty o brzozę. Po Iszorze zostały rozcięte powrozy, którymi była związana.

Turulczakowi krew ścięła się w żyłach, ale tylko na jedno uderzenie serca. Po chwili krążyła szybciej niż przedtem.

- Do stu piorunów, Kurmas! - zaklął. - Nie związałeś jej rąk, kiedy skończyła zreć?

Młodzieniec nawet nie zdążył przyznać, że naprawdę tego zaniedbał. W ciemności między brzożami rozległ się kobiecy okrzyk, popędzający konia. Za białymi pniami śmignęła czarna sylwetka jeźdźca.

- Dziwka! - krzyknął przywódca już z grzbietu konia. - Zostaniesz tutaj! Pilnuj Kościeja i czekaj, aż wrócę, żeby ci spuścić baty!

Dwaj Czeremisi z krzykiem wbili pięty w końskie boki.



Iszora pochyliła się nad szyją kobyłki. Kurczowo trzymała się grzywy i ze wszystkich sił starała się utrzymać bez siodła na umięśnionym, porośniętym gładką sierścią grzbiecie. Z obolałą ręką było to trudne, ale umykała prędko. Raz-dwa zjechała wzdłuż potoku do Kundyszu i wyruszyła trawiastym brzegiem rzeki, instynktownie klucząc między brzożami, olchami i grabami. Zmierzała na wschód, w stronę ogniska w zakolu rzeki. Wcześniej słyszała Czeremisów, którzy mówili, że jej współplemieńcy wędrują wzdłuż rzeki i że ten ogień może płonąć w ich obozie. Jeśli uda jej się tam dostać, będzie uratowana!

Właściwie miałam bardzo dużo szczęścia - przyszło jej do głowy, kiedy galopowała skrajem ciemnego lasu i uchylała się przed ciosami gałęzi. Ten młody Czeremis zapomniał związać jej ręce po wieczery. Potem pomogli jej bogowie, może nawet sam Worsa, wielki leśny duch, wysłał demona, by odwrócić uwagę strażników. Miała nogi związane w kostkach i dość długo trwało, zanim jedną zdrową ręką pozbyła się węzła, ale na czas dopadła konia. Wsiadając na kobyłkę, myślała o Kościeju. Musiała go zostawić. Jeśli dostanie się do obozu ojca, razem z drużynnikami wróci po niego...

Przed sobą zobaczyła ogień migoczący między drzewami. Zbliżała się do obozu. *Może bogowie mają mnie jeszcze w swej opiece...*

W chwili, kiedy o tym pomyślała, całkiem blisko zabrzmiało dudnienie kopyt

i okrzyki Czeremisów. Szybko obejrzała się za siebie. Zobaczyła czarne pnie drzew na tle lśniącej słabo powierzchni Kundyszu - między drzewami migały równie czarne sylwetki prześladowców...

Szlachetna Zarań, pierwsza kobieto, pomóż mi!

Byli od niej szybsi. Jeden z jeźdźców, galopujący bliżej rzeki, zdołał się już z nią zrównać. Wystarczyło, że skręci w las, a przetnie jej drogę. Zrozumiała, że w ten sposób nie ucieknie. Musiała coś zrobić. Szarpnęła grzywę zwierzęcia i skierowała je głębiej w las. Po przejechaniu kilku sążni uniosła lewą nogę na gładki koński grzbiet i po chwili z modlitwą na ustach, nie zwalniając, zsunęła się na ziemię.

Z hałasem i trzaskiem upadła w krzaki. Była podrapana i poobijała się o wystające korzenie pobliskiego buku, ale nawet nie pisnęła. Wstrzymała dech i znieruchomiła w kolczastych zaroślach, kuląc się na ziemi.

Coraz słabiej słyszała tętent kopyt kobyłki. Jednocześnie tętent kopyt konia jednego z Czeremisów stawał się coraz głośniejszy.

- Masz ją, Beden! - usłyszała okrzyk Turulczaka. - Wraca nad rzekę! Przetnij jej drogę!

Wiedziała już, że nie zauważyli, jak zeskoczyła. Tupot zabrzmiał tuż przy niej. Zanurzyła twarz w liściach i mchu, zamknęła oczy, by wódz nie dostrzegł ich błysku. Gdyby mogła, wstrzymałaby serce, które biło jak szalone. Na szczęście nie było takiej potrzeby - w ciemnym lesie i przy tej prędkości nie mógł jej zobaczyć. Jego koń rozrył kopytami ziemię ledwie pół sążnia od niej, posypały się na nią wilgotne grudki, ale już po chwili jeździec krzyknął i koń pognął dalej.

Nie czekała, aż głosy Czeremisów zupełnie umilkną w oddali. Wstała i ruszyła lasem wzdłuż rzeki. Kuląła, gdyż mocno uderzyła się w bok, ale to było nieważne. Musiała dostać się do obozu ojca. To już niedaleko...

Uszła ledwie dwadzieścia kroków, kiedy z kierunku, w którym pogalopowali Czeremisi, dobiegły okrzyki zaskoczenia. Po chwili zabrzączało żelazo, a okrzyk złości zmienił się w jęk bólu i przedśmiertne charczenie. Iszora zatrzymała się i nasłuchiwała uważnie. Kiedy nadstawiała uszu i starała się odgadnąć, do czego doszło w dole, nad rzeką, parę kroków od niej zaszeleściły liście. Zamarła i zacisnęła zęby, by nie jęknąć. Obejrzała się pomału. Od czarnego pnia drzewa, które przed chwilą minęła, oderwał się cień na dwóch nogach.

Kobieta cofnęła się i w tej samej chwili uderzyła plecami w coś, czego jeszcze przed chwilą na pewno tam nie było. Ktoś przytrzymał ją silną ręką, a pokrytą odciskami dłonią

prędko zakrył jej usta, by stłumić okrzyk strachu.



Chwilę wcześniej parszająca kobyłka wybiegła z lasu, zeskoczyła z wysokiego brzegu i z głośnym chlupotem ruszyła przez płytką wodę w stronę obozu i płonącego ognia. Beden zauważył w końcu, że nikt jej nie dosiada. Zaklął wściekle i wstrzymał swego konia na skraju lasu. Niedaleko zatrzymał się Turulczak.

- Żeby tak Keremet rozplątał jej brzuch! - wrzasnął przywódca. - Goniliśmy samego konia. Baba musiała spaść albo zeskoczyć gdzieś w lesie.

Popatrzyli, ponad zatoczką zdeptaną końskimi kopytami, w stronę obcego obozu. Wyraźnie widzieli ognisko, ale nie dostrzegli nikogo, kto by się przy nim grzał. Co najważniejsze, mieli stąd lepszy widok na okolicę i nie wyglądało na to, by płonęło tu więcej ognia.

- Tylko jedno - niepotrzebnie oznajmił Beden.

- Widzę, ale to nie ma nic do rzeczy. To mogą być permiaccy zwiadowcy, płynący przed głównym wojskiem. Ta dziwka tak czy siak nie może się do nich dostać. Wracamy, prędko! Musimy ją znaleźć wcześniej niż ci z obozu!

Przy tych słowach Turulczak zawrócił konia i ruszył przez nadrzeczny las. Myślał, że Beden jedzie tuż za nim, ale w ciemności rozległ się okrzyk zaskoczenia. Koń zarżał, zadźwięczało żelazo, zabrzmiał odgłos padającego ciała i krzyk zmienił się w charkot.

Wódz obejrzał się z bijącym sercem.

- Beden? - zawołał.

Odpowiedział mu jedynie tętent kopyt konia, który bez jeźdźca na grzbiecie gnał gdzieś między drzewami, powiewając grzywą.

Turulczak przełknął ślinę, odwrócił się i wbił pięty w boki wierzchowca. W tej samej chwili coś uderzyło go w pierś, aż mu dech zaparło. Spadł z konia w kupę liści i suchych gałęzi. Przeturlał się, wstał, zatoczył i wyrwał z pochwy u pasa długi nóż - włócznia wypadła mu z ręki przy upadku i zagubiła się w zaroślach.

Czeremis cofał się chwiejnie i starał się nie zwracać uwagi na dotkliwy ból w piersiach. Był pewien, że nie zawadził o gałąź, ale że to wróg zrzucił go z konia. W końcu uderzył plecami o pień drzewa. O dziwo, dodało mu to pewności siebie - teraz miał osłonięty tył, a cokolwiek przyjdzie z przodu, obroni się. Uniósł nóż.

W tej chwili zobaczył po swej lewej stronie ciemną sylwetkę jakiejś potężnej istoty. Miał wrażenie, że wyrosła spod ziemi jak jakiś ziemny demon, duch, szyrty czy keremet.

Zabłąkany promień światła odbił się od czegoś metalowego. To coś odcięło Turulczakowi brodę wraz z częścią dolnej szczęki i przeleciało przez jego gardło.

To coś było zimne jak lód.



- Przysięgam, to była najkrótsza walka w moim życiu. - Daniło wyszczerzył zęby i pochylił się nad ciałem człowieka, z którego sterczało drzewce włóczni. Czeremis charczał jeszcze i rył nogami ziemię. Łowczanin uniósł topór i uderzył mocno. Rozległ się trzask łamanych kości, po czym przeciwnik ucichł i znieruchomiał.

- Walka? - prychnął zniesmaczony Ilja i wyrwał Gniew z pnia buku, pod którym trzęsło się w konwulsjach bezgłowe ciało Turulczaka. - Tego nie można nazwać prawdziwą walką. Myśmy ich po prostu zamordowali.

- Chyba nie masz wyrzutów sumienia? - burknął Jegor, który wynurzył się z ciemnego lasu wraz z pozostałymi bohaterami. - Czasami trzeba wciągnąć wroga w zasadzkę i zadać cios w plecy. Wiecie, że musimy przemknąć przez las niezauważeni. Jeśli Czeremisi odkryją, że tu jesteśmy, już niedługo będziemy mieć tyłki nadziane ich strzałami.

- Właściwie co to za jedni? - Koływan wyrwał swoją włócznię z ciała Bedena. - I kogo ścigali? Przecież nie mogli tak gnać za tą nieosiodlaną kobyłą. Iljo, ty znasz ich język. Co mówili?

- Że ktoś, za kim galopowali, musiał zeskoczyć w lesie. Chyba chodziło o jakąś kobietę.

- Co nam po niej - burknął Mikuła. - Martwię się, czy ci trzej nie należeli do większej grupy. Jeżeli tak, już wkrótce ktoś zacznie ich szukać i las zaroi się od zbrojnych. Łatwo trafią na nasz ślad.

- To prawda - przyznał Światogor. - Musimy jak najszybciej zebrać rzeczy i zniknąć. Zapomnijcie o spaniu. Będziemy jechać całą noc, i to prędko. Borowej, Diwlan, przyprowadźcie konie! Jarman musi znaleźć drogę przez las w tej ciemności. Gdzie właściwie jest?

- Trzyma wartę gdzieś w lesie, z Aloszą i Samsonem.

- Świetni wartownicy, nie ma co mówić - prychnął Suchan Radymicz. - Gdybyśmy na czas nie usłyszeli tętentu i krzyku, Czeremisi zobaczyliby nas przedwcześnie i uciekli. Czemu wartownicy nas nie ostrzegli?

- Mieliśmy co innego do roboty - odpowiedział Książewicz, który właśnie wynurzył się z gęstwiny.

- Tak? Niby co?

- Polowaliśmy. Złowiliśmy zdobycz, która uciekła Czeremisom.

Zaskoczeni bohaterzy gapili się na młodą kobietę, którą wiedli między sobą Samson i Jarman.

- Kto to? - huknął Jegor.

- I co z nią zrobimy? - Mikuła spochmurniał.

- Wysłuchajcie jej - odparł Alosza i bojarzy zdali sobie sprawę, że jego głos drży ze wzruszenia. - Powiedziała nam coś, co bardzo was zainteresuje.



Kościej siedział na skraju czeremiskiego obozu, wsparty plecami o jedną z brzoź. Kurmas chodził nerwowo tam i z powrotem jak wilk zamknięty w klatce i mruczał coś gniewnie pod rzadkim młodzieńczym wąsikiem. Jeniec obserwował Czeremisa przymrużonymi oczyma. Turulczak zabrał mu czarną szmatkę, którą Iszora chronila jego oczy, ale światło ogniska nie raziło go już tak jak przedtem. Przyzwyczajał się. Odwracał wzrok tylko wtedy, kiedy płomienie nagle strzelały, poza tym mógł spoglądać w ogień bez bólu.

W odróżnieniu od strażnika był zupełnie spokojny. Tak czy owak nie mógł nic zrobić. Miał mocno związane ręce, a krótko po tym, jak pozostali Czeremisi ruszyli za Iszorą, Kurmas związał mu też kostki u nóg.

Czekali. Turulczak i Beden nie wracali. Kościej miał nadzieję, że to znaczy, iż Iszora uciekła, a oni bezskutecznie przeczesują las...

Nagle coś zaszeleściło w ciemności. Kurmas natychmiast się skulił i nastawił grot włóczni, którą do tej pory przekładał niespokojnie z ręki do ręki.

- Turulczak?! - zawołał, blady ze strachu.

- Nie jestem Turulczak - odparł ktoś w ciemności i z gęstwiny wynurzył się rosły młodzieniec w pełnej zbroi. Kościej przyglądał się mu z zainteresowaniem; inaczej niż Czeremis, który ledwie mógł ustać na nogach, a ręce trzęsły mu się ze strachu.

- Kim... kim jesteś? - wyjąkał. - I gdzie jest Turulczak?

- Odszedł do bogów. Jego towarzysz także. Teraz twoja kolej. Broń się. - Przybysz wznosił miecz. Nie miał tarczy, a obie dłonie zacisnął na długiej rękojeści.

Kurmas warknął, skoczył i dźgnął. Poruszał się błyskawicznie, ale intruz mimo potężnej postury uskokzył na czas. Jednocześnie wymierzył silny cios mieczem. Czeremis runął, jakby stupudowy głaz spadł mu na głowę. Z ciała rozciętego od ramienia po pas

trysnęła krew i skropiła wszystko wokół, łącznie z ogniskiem. Rozległ się syk płomieni.

- Teraz jesteś zadowolony, Iljo? - zapytał barczysty wojownik z długą, siwiejącą brodą, który właśnie wynurzył się z lasu. - Rozumiem, o co ci chodzi, sam cię tego uczyłem, ale... skutek jest taki sam, czy wróg się broni, czy nie.

- Przynajmniej zginął w walce, nie od ciosu w plecy - wyburczał młody bojar, strząsnął z klingi krople krwi i schował miecz do pochwy. - Będzie miał w zaświatach bardziej zaszczytne miejsce u boku swoich bogów.

Kościej bez ruchu, bez słowa i bezmyślnie patrzył, jak z lasu wynurzają się następni zbrojni. Płomienie ogniska odbijały się od ich kolczug, okuć tarcz i spiczastych hełmów, a także od krzyży lub złotych toporków na piersiach. Związany mężczyzna poznawał ich twarze, owszem, jednak wyraźnie czuł, że oddziela ich przepaść. Ci ludzie należeli do jego przeszłości, a jego wspomnienia zbladły, jakby utonęły we mgle.

- Jezu Chryste. - Jegor nie mógł się powstrzymać od westchnienia zgrozy. - Czy to naprawdę on? Popatrzcie tylko na jego twarz... Na całe ciało!

Kościej rozumiał, dlaczego patrzą na niego z taką odrazą i wątpliwościami. Wiedział, że jego skóra jest strasznie blada, pokryta ohydną pajęczyną niebieskich żyłek, pobrużdżona paskudnymi bliznami od żrącej smoczej śliny. Wiedział, że z jego gęstych czarnych włosów i brody zostało kilka rzadkich, zupełnie siwych kosmyków. Wiedział, że jego niegdyś urodziwe i silne ciało zmieniło się w ruinę. Był chudzielcem z zapadniętymi policzkami i wystającymi zębami. Rozumiał obrzydzenie w ich spojrzeniu.

Tak wyglądała istota, w którą się zmienił, przechodząc na drugą stronę przepaści. Człowiek, którym kiedyś był, został we mgle na tamtym brzegu.

- Puśćcie mnie do niego! Słyszycie, na piersi samej Mokosz? Dajcie mi przejść!

Krąg mężów rozerwał się i przed jeńcem stanął człowiek z rozczochraną rudawą brodą.

- Och... - westchnął, patrząc na nieszczęśnika i skrzywił się z zaskoczeniem. Kościej spojrzał na niego obojętnie.

- To on - oświadczył olbrzym. - Spójrzcie w jego oczy, tylko one się nie zmieniły. Zielone, jak wyrzeźbione z malachitu. Co tak stoicie, czemu go nie rozwiążecie?

Sam wyciągnął nóż, pochylił się nad Kościejem i kilkoma ruchami przeciął pęta.

- Wołchu - odezwał się do biedaka i w jego oczach zalśniły łzy. - Poznajesz mnie? To ja, Mikuła! Mikuła Sielaninowicz. Najdroższy bracie, myśleliśmy, że już po tobie! Że ten czarny potwór z Zilantawu połknął cię jak malinę! Ale ty żyjesz, bogom niech będą dzięki! Tamta dziewczyna powiedziała nam, że Czeremisi mają jeńca, którego ten nikkzemnik

Tugarin przywlókł ze sobą z Bułgarii. Od razu nam przyszło do głowy, że to możesz być ty!

Kościej zerknął na stojącą za Mikułą Iszorę. Uśmiechnęła się do niego zachęcająco. Uciekła zatem i przeżyła. To dobrze.

Potem znów spojrzął na Sielaninowicza.

- Mikuło - rzekł słabym głosem. - Poznaję cię. Oczywiście. Kiedyś jeździliśmy razem...

- Znowu będziemy jeździć, Wołchu, zobaczysz! - Dregowicz ucieszył się. - Wyliziesz się z ran, nabierzesz sił i znowu zostaniesz kijowskim bohaterem!

Oszpecony mężczyzna patrzył na niego, jakby nie rozumiał ani jednego słowa. Potem przemówił głosem, od którego ścisnęło się serce.

- Nie jestem Wołch.

Śmiech uwiązał Mikule w gardle.

- Co ty gadasz? Oczywiście, że jesteś Wołch. Wołch Wsiesławiewicz z plemienia Drewlan, wódz gorynychów, doradca i przyboczny wielkiego księcia Światosława!

Zielonooki pokręcił lekko głową.

- To było kiedyś. Wszystko znikło we mgle. Na zawsze. Moje imię również. To przeszłość. Teraz jestem Kościej. Braniec, niewolnik. Chcieli mnie poniżyć tym imieniem, ale ja je przyjąłem. Będzie mi przypominać o chwili, kiedy stałem się kimś innym. Ja jestem kimś innym. Człowiek, którego znaleźcie jako Wołcha, naprawdę nie żyje. Nie zginął w smoczej wieży, ale w czeremiskim lochu.

Zdezorientowany Mikuła wpatrywał się w niego ze strachem, nie mogąc słowa wykrztusić. Bohatryrzy za jego plecami wymieniali pytające spojrzenia.

- Tak go dręczyli, że stracił rozum - szepnął ktoś.

Leżącemu mężczyźnie było wszystko jedno. Nie obchodziło go, co o nim myślą. Uniósł się nieco, wyprostował i podniósł głowę.

- Po co tu przyjechaliście? - spytał.

- Znaleźć Tugarina i policzyć się z nim - odparł Ilja, również zaskoczony i w najwyższym stopniu zdenerwowany przemianą Wołcha.

- Dobrze. - Kiwnął głową ten, którego mieli od tej pory nazywać dziwnym, obcym imieniem. - Mamy zatem wspólny cel. Drakowicz uciekł na północ. Zamierza zrobić coś strasznego. Strasznego i groźnego, dla nas i dla wszystkich ludzi. Musimy mu przeszkodzić. Pojedziecie ze mną?

- Pojedziemy, Woł... ech, Kościeju - słowo to nie chciało przejść Mikule przez gardło, jakby było ostem - ale najpierw musimy wykonać inne zadanie. Światosław wysłał wojsko

przeciwko Czeremisom.

- Powinniście coś wiedzieć - odezwała się nagle Iszora.

Odwrócili się ku niej. Umilkła i niemal cofnęła się pod naporem chmurnych, pytających spojrzeń. Wahala się przez chwilę, po czym wzięła głęboki wdech i dodała:

- Wargan, mój mąż, niech zły Keremet wypruje mu trzewia, wie o zbliżających się Waregach i nie czeka na nich w Koksadze. Zwołał całe wojsko i ruszył im naprzeciw. Zamierza ich zaskoczyć.

- Kobieto, zdradzasz własny lud? - zapytał Muromiec, unosząc brwi ze zdziwienia. - Dlaczego?

- Czeremisi nie są moim ludem - odcięła się z błyskiem w oku. - Jestem Permiaczką. Ojciec musiał mnie wydać za Wargana. Jestem zakładniczką, a Permiaków zmuszono do posłuszeństwa groźbami i kłamliwymi obietnicami...

Przerwało jej przybycie zdyszanego Jarmana.

- Musimy natychmiast zniknąć! - nalegał, łapiąc dech. - Rzeką płyną łodzie, mnóstwo łodzi. Muszą w nich być setki ludzi. Niektórzy wyszli na brzeg koło naszego ogniska i zaczęli myszkować po lesie. Niedługo znajdą trupy, a potem dotrą do tego obozu...

- Słyszeliście! - krzyknął Jegor. - Zgaście ogień i prędko na koń. Musimy jak najszybciej zniknąć w głębi lasu...

- Poczekajcie - Iszora starała się powstrzymać gorączkową krzątanicę. - To nie Czeremisi! To musi być wojsko mojego ojca. Permiacy. - Odwróciła się do Jarmana. - Widziałeś znak jelenia?

- Owszem - potwierdził Czeremis. - Na każdej łódce umieszczono jelenią czaszkę albo przynajmniej poroże...

- To musi być mój lud! - Kobieta promieniała z radości. - Poroże zapewnia ochronę Mamonta, jelenia z dawnych wieków, przed złym wodnym duchem Wakuljem...

- No i co z tego? - Koływan odepchnął ją szorstko. - To twoi współplemieńcy. Nam to nie robi różnicy. Są sojusznikami Wargana, a zatem naszymi wrogami, tak samo jak Czeremisi.

- Ale nie muszą być! - krzyknęła i tupnęła, by przyciągnąć ich uwagę. Udało jej się. Bohatryzy przestali gotować się do drogi i popatrzyli na nią.

- Pozwólcie mi z nimi pomówić - ciągnęła. - Kiedy opowiem wszystko swojemu ojcu, na pewno zmieni zdanie. Wyruszył na wojnę, ponieważ byłam zakładniczką, ale w rzeczywistości śmiertelnie nienawidzi Wargana.

Bojarzy zaczęli szeptać między sobą. Nawet nie zauważyli, kiedy Kościej stanął

niepewnie na nogach, przytrzymując się pnia brzozy, ale wyraźnie usłyszeli jego głos:

- Zgadzam się - rzekł.

Wszyscy utkwili w nim wzrok. Mikuła, który stał najbliżej, chciał podeprzeć najlepszego przyjaciela, ale ten tak ostro spojrzał zielonymi, smoczymi oczami, że natychmiast go puścił i cofnął się o krok.

- Dziś w nocy możemy zyskać ważnego sojusznika, ale będziesz mi musiała pomóc, Iszoro.

Śmiało, zdecydowanie kiwnęła głową. Dobrze wiedziała, o czym Kościej myśli.



Rotawar był pewien, że śni. Na pewno usnął w łodzi kołyszącej się na niespokojnej powierzchni Kundyszu. Miał za sobą już niemal sześćdziesiąt zim i źle znosił wilgoć bijącą od rzeki i noclegi w dziczy. Po jego dawnych mięśniach nie został ślad. Był chudy, wręcz kościsty, jego skórę znaczyły blizny i starcze plamy, miał zapadnięte policzki i zupełnie siwe włosy. Zdrzemnął się pewnie ze zmęczenia. Kiedy się ocknie, wiosłujący z wysiłkiem ludzie będą się starali ukryć szydercze, pogardliwe lub najgorsze ze wszystkich - współczujące uśmieški.

Właściwie czemu ma nie nacieszyć się przez krótką chwilę tym, co właśnie widział podczas drzemki. Wydawało mu się, że przybili do brzegu i pomiędzy krzyczącymi ze zdziwienia wojami do łodzi zmierza Iszora, jego jedyna córka, żywa pamiątka po zmarłej ukochanej żonie. Ta Iszora, którą musiał wbrew jej - i właściwie też wbrew swojej - woli wydać za tego czeremiskiego kruka. Wargan miał go wówczas w garści. Tylko oddając mu córkę i ślubując wierność, mógł ocalić Permiaków przed straszliwą rzezią. We śnie córka spieszyła ku niemu, nieco szczuplejsza i bledsza, za to o wiele bardziej dorosła niż wtedy, kiedy wyrwali ją, zapłakaną, z jego objęć i powlekli do nieprzyjaznej, obcej krainy. W jej spojrzeniu nie było wyrzutu, najwyraźniej nie zamierzała obracać zardzewiałej klingi w otwartej ranie jego rozjątrzonego sumienia. Wprost przeciwnie, miała w oczach łzy radości. Za nią jechała drużyna nieznanomych wojów, rosnących półbogów w pancerzach, lśniących w świetle pochodni jak czyste złoto...

Rotawar wstał z ławeczki w łodzi, odepchnął ręce chcących mu pomóc drużynników i wyszedł na brzeg. Zaskoczył go tępy ból w stawach - w snach jego starcza słabość zwykle zniknęła, znów był silny i zręczny jak w młodości. Iszora niemal biegła po wąskiej kamienistej plaży, w końcu rzuciła mu się na szyję. Płakała w wilczą skórę na jego kościstym ramieniu i coś mamrotała. Nie rozumiał jej, ale w jej głosie brzmiały radość i niezmierna ulga.

Stary naczelnik zrozumiał wreszcie, że to nie sen.



- Musisz się zbuntować przeciwko Warganowi, wielki naczelniku! - upierał się Jegor Światogor.

- Musi? Musi?! - brodaty młodzieniec siedzący po prawicy Rotawara wybuchnął gniewem i wstał. - Wy, Kijowianie, za bardzo przywykliście narzucać swoją wolę władcom obcych plemion. Tu nie Kijów ani Bułgaria, nie stoi za wami wojsko Światosława! Jest was tylko dziesięciu, więc liczcie się ze słowami! Macie okazywać szacunek wodzowi!

Bohaterzy siedzący w przestronnym namiocie z łośiowych skór pomalowanych na pstre kolory przebili przybocznego Rotawara ostrymi spojrzeniami.

- Milcz, Szarzum! - warknął władca Permiaków. - Zamknij dziób, usiądź i najlepiej nic już nie mów. Wiem, że z niecierpliwością czekasz, aż zdechnę i będziesz mógł zasiąść na moim stolcu, ale póki co starszyzna rodowa słucha moich rozkazów. Rozumiesz?

Rotawar w milczeniu poczekał, póki młody woj nie pochylił głowy pod jego surowym spojrzeniem i nie usiadł, po czym zwrócił się do nieoczekiwanych wieczornych gości:

- Wybaczcie mojemu bratankowi, bohaterzy. Nie mam męskiego potomka, a mój brat przed dwoma laty zginął nieszczęśliwie, polując na bagnach, więc jego syn zostanie po mojej śmierci władcą Permiaków. Od czasu do czasu zapomina, że jeszcze oddycham.

- Wróćmy do sprawy - burknął Jegor, który prowadził układy w imieniu Kijowian.

- Wróćmy - zgodził się stary naczelnik i siorbnął łyk grzanego miodu z drewnianego kubka. - Namawiacie mnie do buntu. Przyznaję, że ta myśl nie jest mi wcale przykra. Wargan wszedł na stolec po schodach z kości i czaszek. Wszyscy się go boją, ale jego pozycja nie jest aż tak silna, jakby się mogło wydawać. W rzeczywistości wiele czeremiskich rodów go nienawidzi, bo większość z nich podporządkował siłą, podstępem lub za pomocą morderstw. Gdyby wszyscy naraz zbuntowali się przeciw jego okrutnym rządóm...

- Właśnie teraz nadarza się okazja - Światogor kuł żelazo, póki gorące. - Kiedy tylko Wargan zacznie tracić poparcie, wszyscy staną przeciwko niemu i zepchną go z tronu w krwawe błoto.

- To mi się podoba. - Zamyślony Rotawar gładził siwą brodę. - Tylko jak to sobie wyobrażacie?

- Popłyniesz ku Czerwonej Rzece, jak obiecałeś władcy Czeremisów. Padniesz przed nim na kolana i będziesz udawał, że wszystko idzie zgodnie z jego planem. Kiedy tylko nadciągną Waregowie i zacznie się bitwa, odwołasz swoich ludzi i zamiast pomóc

Czeremisom, uderzysz na nich od tyłu.

- To byłaby podła zdrada. Czeremisi będą nas za to nienawidzić po wsze czasy...

- Zdrada? - krzyknęła siedząca za ojcem Iszora. Wstała natychmiast. - Ojczy, tutaj nie można mówić o zdradzie! To sprawiedliwa zemsta! Zapomniałeś już, jak najechał nasze ziemie, palił, rabował i mordował, dopóki się przed nim nie pokłoniłeś i nie wydałeś w jego ręce własnego dziecka? - Permiackiej księżniczce załamał się głos, ale już po chwili wzięła głęboki wdech i dodała pewnie: - Ten skurwysyn dawno temu stracił prawo do śmierci w uczciwej walce! Niech zdechnie zabity zniecka, rozpruty od karku po rzyć jak zarżnięte prosię!

- Córeczko, twoja nienawiść...

- Moja nienawiść dowodzi, jaki naprawdę jest Wargan! Poznałam go dobrze, lepiej niż ktokolwiek z was, i mówię, że to demon w ludzkiej skórze, zły i krwiożerczy.

Przez chwilę panowała cisza. Rotawar rozważał słowa córki, aż zmarszczki na jego twarzy stały się głębsze. Potem pokiwał głową.

- Dobrze. Ten plan rzeczywiście może doprowadzić do jego upadku. Jest wszakże jedna rzecz, która ciągle mnie niepokoi.

- Jaka? - spytał Jegor.

- Waregowie.

- Właśnie - znów odezwał się Szarzum, bratanek i następca naczelnika. - Nie można im wierzyć.

Siwy bohater kiwnął głową.

- Rozumiem. Obawiacie się, że obalając Wargana, ułatwicie zadanie innym najeźdźcom. Że Waregowie osiadą w czeremiskich lasach i będą gorsi niż kugurak. Mam rację?

- Wypowiedziałeś nasze obawy bardziej dobitnie, niż ja bym się odważył - przyznał naczelnik.

- Pomówmy otwarcie. Obaj wiemy, że upadek Wargana nie zmieni tych ziem w kraj mlekiem i miodem płynący, a sprawiedliwości nie da się zaprowadzić z dnia na dzień. W kraju zapanuje straszny zamęt. Wilki rozszarpią zakrwawioną czeremiską padlinę. Waregowie przyszedli tu ze względu na łupy. Wy też będziecie mogli urwać coś dla siebie.

- Na pewno! - parsknął bratanek wodza. - Stryju, zatkaj sobie uszy, nie słuchaj tych kłamliwych obietnic! Słyszałeś kiedyś o Waregu, który miałby ochotę dzielić się łupami? Pomożemy jasnowłosym pokonać Czeremisów, a chwilę potem sami zostaniemy pobici. Będziesz musiał oddać Iszorę ich wodzowi, tak jak wcześniej musiałeś ją wydać za Wargana.

Tym razem Rotawar nie skarcił bratanka, zamiast tego spojrział pytająco na bohaterów.

- Coś w tym jest. Co powstrzyma Waregów, jeśli zechcą nas oszukać? Wszyscy dobrze znamy ich podstępny, zdradziecki charakter. Co zyskamy, pomagając im wygrać?

- Nie zapominaj, że Bragi Halvorsson nie decyduje o wszystkim - przypomniał mu Światogor. - My też mamy coś do powiedzenia, a chociaż jest nas tylko dziesięciu, reprezentujemy Światosława. Jeśli obiecamy, że twoje zasługi nie zostaną zapomniane, to tak, jakby sam wielki książę dał ci słowo.

- Czy to słowo będzie cokolwiek znaczyć tutaj, daleko od Bułgarii, w samym środku wojny i walki o łupy?

- Głupstwa gadacie! - odezwał się nagle oszpecony człowiek o białej skórze, którego nazywano Kościejem. Mimo że jego głos był słaby, słyszeli w nim złowieszcze syczenie, które uciszyło wszystkich. - Jesteście strasznie tępi. - Mężczyzna uniósł pochyloną dotychczas głowę. - Naprawdę tego nie rozumiesz, Rotawarze? Myślisz, że Wargan, nawet z waszą pomocą, jest w stanie pokonać helgardzkich Waregów? Zakutych w żelazo zabijaków, których już od dzieciństwa uczono, jak rozłupywać ludziom czaszki? Oni zwyciężą tak czy owak. Wszystko jedno, czy będziecie walczyć po stronie kuguraka, czy przeciwko niemu, Czeremisi i tak są skazani na klęskę. Przed tobą prosty wybór, Permiaku. Możesz stanąć po stronie zwycięzców lub przegranych. Wyślesz swoich ludzi na śmierć od wareskich toporów czy raczej wolisz zyskać potężnych sojuszników? Wiem, że przymierze będzie kruche, fałszywe i krótkie, ale jeśli będziecie działać szybko i mądrze, możecie na nim wiele zyskać. Poza tym wareska władza w czeremiskich lasach nie potrwa długo. Bragi Halvorsson na pewno nie zamierza się tu osiedlić i założyć księstwa nad Czerwoną Rzeką. Złupi te ziemie i ruszy z powrotem na południe, żeby na wiosnę pociągnąć ze Światosławem na Chazarów. Kiedy jego wojsko opuści kraj, ktoś będzie musiał przejąć władzę w Koksadze. To możesz być ty. Jeśli będziesz przygotowany.

Kościej umilkł, pochylił głowę i zaczął kaszleć. Mikuła podał mu kubek z rozrzedzonym winem. Kaleka napił się, łykając głośno.

Tym razem milczenie trwało znacznie dłużej. Rotawar w zamyśleniu przyglądał się oszpeconemu człowiekowi, który nie okazał mu szacunku. Właściwie powinien mu ostro odpowiedzieć, ale jego córka miała słabość do tego nieszczęśnika.

Kiedy wreszcie przemówił, jego głos był ochryply ze zmęczenia:

- Najchętniej kazałbym swoim ludziom wracać do domu jutro rano. Właściwie dlaczego mamy brać udział w tej wojnie? Niech Waregowie i Czeremisi rozpruwają sobie

brzuchy i niech bogowie zdecydują, kto wkroczy do Kokszaży jako zwycięzca. Koniec końców, moja córka wróciła, nie muszę już słuchać Wargana. Nie boję się jego zemsty. Nawet gdyby zwyciężył w tej bitwie, będzie tak osłabiony, że na pewno nie starczy mu sił, by wyruszyć w nasze lasy. Nie mam powodu, by narażać życie moich poddanych.

Naczelnik umilkł. Nikt się nie odezwał.

- Tylko że - ciągnął po chwili - Permiacy nie są aż tak słabi, by musieli się trzymać na uboczu. Nie jesteśmy tchórzami. Pochodzimy z rodu Pery i Kudyma, myśliwych i bohaterów z dawnych wieków, którzy odważyli się zbuntować przeciw samym bogom. Tak, popłyniemy ku Czerwonej Rzece i unurzamy broń we krwi tych, którzy w zeszłym roku palili nasze domostwa i mordowali naszych współplemieńców.

Uniósł wzrok i rozejrzał się po twarzach bohaterów.

- Zrobimy to. Przelejemy czeremiską krew.

Jegor skinął głową, a kiedy w milczeniu wznosił kubek, pozostali Kijowianie i permiaccy moi napili się z nimi w ciszy. Jedyne Szarzum skrzywił wargi, wylał resztę wina do ognia, cisnął kubek na ziemię, wstał i bez słowa rażnym krokiem wyszedł z namiotu.

Ciemność w oczach Rotawara nabrała jeszcze głębszego odcienia.



- Dobrze - sykliwie odezwał się Kościej, gdy późnym wieczorem kijowscy druzynnicy pozostali sami przy ogniu na skraju obozu i zebrali się w gromadę, by Permiacy nie słyszeli ich rozmowy. - Przyczyniliśmy się do klęski Wargana. Wykonaliśmy zadanie. Rano możemy jechać w swoją stronę.

- Co takiego? - Siedzący tuż obok Mikuła spojrzał na niego zaskoczony.

- Na północ. Zapomnieliście? Mamy ważniejsze zadanie.

- Tugarin. - Ilja kiwnął głową. - Nie zapomnieliśmy, wierz nam. Czarownik musi jednak poczekać. Najpierw dopilnujemy, żeby Czeremisi naprawdę zostali pokonani i żeby Bragi nie oszukał Permiaków.

- Chyba nie chcecie ruszyć ku Czerwonej Rzece? - warknął Kościej przez zaciśnięte zęby.

- Chcemy i zrobimy to - potwierdził Jegor.

- Głupcy! Stracimy na to wiele dni! Tugarin już ma ogromną przewagę! Jeśli nie powstrzymamy go na czas...

- Uważaj, co mówisz, Wołchu... Kościeju - odezwał się Światogor. Brzmiało to jak pomruk rozgniewanego niedźwiedzia. - Nie za prędko chcesz przejąć drużynę?

- Przecież nie o to chodzi - wysyczał oszpecony mężczyzna. - Przestańcie się zajmować bzdurami. W porównaniu z tym, co zamierza zrobić Drakowicz, wojna Czeremisów z Waregami jest jak bójka dzieciaków. Czemu jesteście tak tępi i nie chcecie tego zrozumieć?

- Może dlatego - warknął Sielaninowicz - że do tej pory nam nie wytłumaczyłeś. Co takiego planuje Tugarin, że stale nas przez to obrażasz?

- Zamierza zdobyć trzeci kawałek łuski Zirnytry.

Bohaterzy ucichli.

- Popraw mnie, jeśli źle zapamiętałem - odezwał się wreszcie Muromiec - ale czy trzeci złomek nie został wetknięty do Krwawego Kostura? Czy ty sam nie mówiłeś, że to pewnie zwykłe bajędy? Mówi się przecież, że Krwawy Kostur jest w rękach Baby Jagi...

- Baba Jaga? - parsknął Daniło Łowczanin. - Ten tutaj twierdzi, że marnujemy czas na bzdury, a przy tym chce szukać jakiejś jędzy, którą matki straszą nieposłuszne dzieci? Nie mam zamiaru tego słuchać, nie jestem jeszcze tak pijany. Idę się odlać, a kiedy wrócę, mówcie o czymś, co brzmi rozsądnie!

- Głupcze, nie masz pojęcia, z czego się śmiejesz - skarcił go Kościej ze złowieszczym błyskiem w oczach. - Drakowicz odnalazł w czasie wizji drogę do siedziby smoczej pani.

- Smoczej pani? - zdziwił się Ilja.

- To właśnie znaczy jej imię. Baba Jaga - Matka Węży. Tak jak gorynycze poskramiali zielonych żmijów Malachitowym Kosturem, a Tugarin panował nad czarnym Zilantem za pomocą Żelaznego, tak ona Krwawym Kosturem rozkazuje Rudrogowi o czerwonych łuskach.

- Rudrogowi?! - zawołał Daniło. - W takim razie pójdę się nie tylko odlać, ale i wysrać! Co ty gadasz, chłopie?! Przecież gęślarze śpiewają, że Rudrog to smok, który strzeże mostu do krainy umarłych!

Kościej kiwnął głową.

- Owszem. Most jest żelazny i prowadzi przez Smorodinę na wyspę Bujan, która wyrasta pośrodku czarnego nurtu tej rzeki. Właśnie o tym śni Tugarin. Chce pokonać Jagę, złamać Krwawy Kostur, połączyć wszystkie trzy kawałki łuski Zirnytry i zdobyć smoczą moc, dzięki której zapanuje nad Rudrogiem i dostanie się na Bujan. Tam, jak wszyscy wiecie, pod boskim dębem stoi ognisty kamień Alatyr, spod którego tryska źródło wiecznej młodości.

Drużynicy wymienili ukradkiem zakłopotane spojrzenia. Daniło za plecami wychudłego mężczyzny popukał się w głowę, ale nie odszedł za potrzebą. Niezmiernie go ciekawiło, co jeszcze usłyszy.

- Wiemy, Wołchu... Kościeju - zgodził się wreszcie Jegor. - Wszyscy słyszeliśmy te opowieści. Dawno temu, kiedy matki podcierały nam jeszcze tyłki. Chcesz powiedzieć, że to wszystko prawda? Że cudowny Bujan, wyspa wiecznej wiosny, rzeczywiście istnieje? Jako chrześcijanin nie mogę ani nie chcę wierzyć w te pogańskie przesady...

- Jako chrześcijanin nie wierzyłeś też, że w podziemiach suwarskiej wieży mieszka smok karmiony dziewczycami - odparł okaleczony mąż. - Baba Jaga naprawdę istnieje. Rudrog i Bujan również. Z siedziby Jagi w lasach na Dalekiej Północy można zapewne wejść na żelazny most.

- Słyszałem te opowieści - odezwał się Jarman z zamyślonym wyrazem twarzy. - Wśród Czeremisów mówi się, że Jaga mieszka daleko na północy, jedzie się do niej przez moczary pełne straszydeł i puszcze zamieszkałe przez Czudy. To bardzo niebezpieczne plemię. Pół ludzie, pół demony, obrzydliwe karły, które potrafią się zmieniać w zwierzęta. Ubierają się w skóry i do dzisiaj nie potrafią uprawiać ziemi, a żyją z tego, co upolują albo znajdują w lesie. Podobno najwyższy bóg niebios podarował im sierp, żeby nauczyły się siać zboże i zbierać plony. Czudy nie miały pojęcia, do czego sierp służy i uważały go za dzieło złych duchów. Ich wódz wysłał przeto siódemkę najsilniejszych, żeby zabrała tę tajemniczą rzecz i zatopiła ją w rzece. Czudy wypłynęły łodzią na środek nurtu, przywiązały do sierpa kamień i wrzuciły go do wody. Sierp zawadził o skraj łódki, przewrócił ją i cała siódemka się utopiła.

- Dziwna opowieść. - Mikuła nie wyglądał na zadowolonego. - Co znaczy?

- Jak to co? Że to plemię jest głupie, nieokrzesane, niebezpieczne i dzikie. Podobno spośród wszystkich bogów najbardziej czczą niedźwiedziego demona Konsyga. Nawet my, Czeremisi, boimy się ich i trzymamy się jak najdalej od ich ziem, a to coś znaczy, bo wieści o Złotej Babie od zawsze wabiły każdego żądnego łupów człowieka.

- Co ty gadasz, chłopie? Jaka Złota Baba?

- Posąg słonecznej bogini, cały ze złota. Podobno wznosi się w najświętszym miejscu Czudów. Wielu śniło o jego zdobyciu, ale mało kto odważył się powędrować w północne lasy. Ci, którzy to zrobili, już nie wrócili...

- Sram na Czudów i Złotą Babę - niecierpliwie warknął Kościej. - Podczas gdy my tu mielemy ozorami i marnujemy czas na bzdury, Tugarin bez wytchnienia wędruje w stronę siedziby Jagi. Nie rozumiecie, co się stanie, kiedy dopnie celu? Wróci jako półbóg o sile samej pradawnej smoczycy Zirnytry. I nie tylko znowu będzie miał na swe usługi latającego węża, ale też zyska nieśmiertelność...

- Tego już za wiele! - rozgniewał się Daniło. - Nie będę tego słuchać! Ani patrzeć, jak

zaczynacie w to wierzyć! - Odwrócił się i poszedł między ogniskami i prostymi namiotami Permiaków do lasu.

- Łowczanin ma rację - przyznał Mikuła. - Też nie potrafię tego przyjąć, Wołchu...

- Nie jestem Wołch.

- No to Kościeju! Do stu piorunów, co za różnica? Twierdzisz, że śmiertelnik może wejść do świata bogów i zdobyć moc, która uczyni go silniejszym niż sam Perun, Tangra czy - bo ja wiem - Allah albo Odyn. W imię naszej dawnej przyjaźni będę mówił otwarcie. Nie wierzę w to. W ani jedno słowo. Nie wiem, jakie męki wycierpiałeś w czeremiskim lochu, ale najwyraźniej straciłeś przez nie rozum i zacząłeś wierzyć w szalone wizje... kto wie, może zesłane przez samego Tugarina? Może czarownik chciał cię wpędzić w obłąd, żebyś ruszył w złą stronę. Długo byłeś jego więźniem, dręczył cię, a tobie się uroiło, że jest kimś więcej, że może się stać mrocznym bóstwem. Wszystko ci się pomieszało w głowie. Bracie, musisz się opamiętać, zebrać w sobie...

- Nie rób ze mnie szaleńca, Sielaninowiczu! - wściekle krzyknął Kościej. - Myślę jasno! Dobrze wiem, co mówię!

- Tylko że my mamy wątpliwości - odezwał się Ilja, a jego głos był chłodny. - Wszyscy. Myślimy, że musisz najpierw dojść do siebie po tym, co cię spotkało. Nie zostawimy Tugarina w spokoju, co to, to nie. Zemścimy się na nim. Znajdziemy go i odplacimy za wszystko, co zrobił. Teraz jednak mamy inne zadanie. Światosław kazał nam przypilnować Bragiego. Zrobimy to. Kiedy tylko Wargan zostanie pokonany, ruszymy na północ...

Oszpecony mężczyzna zazgrzytał zębami, ale Jegor go uprzedził:

- Zgadzam się z Sielaninowiczem i Muromcem - rzekł, a pozostali bohaterzy pokiwali głowami. - Posłuchaj nas, Kościeju. Kiedy tylko głowa Wargana spadnie w błoto, wyruszymy za Drakowiczem.

- Do tej pory zginą wszelkie tropy...

- Nie boję się, że zgubimy tego skurwysyna. Drogę wskażą nam ślady popełnionego zła.

- Głupcy - wycedził przez zęby były przywódca gorynychców. - Tępaki. Niczego nie rozumiecie...

- Masz. - Mikuła podał mu pełny kubek. W jego głosie dało się słyszeć, że traci cierpliwość i niedługo wybuchnie. - Utop te obelgi w winie, i to szybko. Inaczej klnę się, że zapomnę o naszej dawnej przyjaźni, o której ty sam mówisz, że „przepadła we mgle”, i tak cię walnę, że się trzy razy nogami nakryjesz.

Kościej odwrócił się z urazą, wstał i niepewnym krokiem oddalił się od ognia. Nieszczęśliwy Sielaninowicz westchnął i pochylił głowę. Radość z tego, że znaleźli Wołcha żywego, aż nazbyt szybko zmieniła się w gorzkie rozczarowanie...

Kaleka szedł chwiejnie, a w głowie mu huczało. Przepaść się rozszerzała i była coraz ciemniejsza. Z każdym uderzeniem jego serca gęstniała mgła po drugiej stronie. Czuł, że już niedługo przepaść będzie tak szeroka, iż nie dojrzy drugiego brzegu. Resztki tego, co jeszcze łączyło go z Wołchem, kijowskim bohaterem, znikną na zawsze...

Mrok zżerał jego serce. Czuł to wyraźnie. Chyba nigdy nie pozbędzie się ciemności, która przeniknęła go w lochu pod dworem księcia w Koksadze...

Z nocnego nieba spadły na obóz pierwsze krople zimnego jesiennego deszczu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Władca demonów

S

ciemniało się. Na wysokim brzegu Czerwonej Rzeki stali bohaterzy - dziesięć ciemnych sylwetek między tak samo ciemnymi pniami drzew na tle szarego, burzliwego nieba. Wiatr szarpał ich mokre płaszcze i zdmuchiwał liście przedwcześnie opadłe z drzewa. Oni jednak stali pewnie, bez ruchu, jak kamienne figury wkopane głęboko w ziemię.

Padał deszcz. Jarman ostrzegał ich, że na północ od Itilu jesienią przez dwie trzecie dni nieustannie siąpi, ale nie wierzyli mu, dopóki strugi zimnej wody nie zaczęły się łać z nisko wiszących chmur. Już prawie trzy dni bez ustanku padało, a do tego przedwczoraj zaczął wiać ostry, przybierający na sile wiatr. Permiacy nazywali go *szuwgej* i twierdzili, że pod jego postacią siła nieczysta przelatuje nad krajem. Na przekór niesprzyjającej pogodzie permiackie wojsko przyplłynęło do połączenia Kundyszu z Czerwoną Rzeką z zaledwie jednodniowym opóźnieniem.

Bohaterzy czekali. Podczas gdy za ich plecami Permiacy rozbijali obóz pod lichą osłoną lasu, oni patrzyli, jak szara woda, wzburzona przez wiatr, podmywa brzegi wezbranych rzek. Zarzucili kaptury na głowy, mimo że od dawna nie miało to znaczenia - tak czy owak byli przemoknięci do suchej nitki, woda wlewała się im pod kolczugi, na wskroś przenikała odzienie i ziębiła ciało aż do kości. Nie mogli się przebrać ani ogrzać przy ogniu. Groziła im gorączka, szczególnie starszym i słabszym - Jegor i Suchan już zaczęli pokasływać i smarkać. Kościej, który był wycieńczony i przez to wrażliwy jak małe dziecko, był w jeszcze gorszym stanie.

- Słyszeliście, jak wczoraj kaszłał? - rzucił Ilja. - Bałem się, że wypluje wnętrzności.

- Poszedłem mu się przyjrzeć - mruknął Światogor. - Księżniczka wycierała mu usta białą szmatką, wyraźnie widziałem na niej plamy krwi.

- Ta dziewczyna dba o niego jak o własnego brata albo męża - stwierdził Koływan. - Jak się właściwie nazywa?

- Iszora - przypomniał Muromiec.

- Iszora... Widać, że ma do niego słabość. Ciągle nie mogę zrozumieć, czemu go ze sobą zabrała. Chyba się w nim nie zakochała? W takim... no wiecie.

- Wiemy - potwierdził Jegor. - Wszystko jedno, czym się kierowała. Najważniejsze, że Wołch jest w namiocie naczelnika...

- Kościej - przypomniał Mikuła i brzmiało to jak szpetne przekleństwo.

-...gdzie jest dość sucho i ciepło. Byłby to okrutny żart losu, gdyby zmarł z powodu zwykłej gorączki po tym, jak przetrwał w smoczej paszczy i w czeremiskim lochu.

- Ale to może się stać - prorokował Alosza Książewicz. - Jest słaby jak kocię. Nie umiem sobie wyobrazić, że jedzie z nami na Daleką Północ. Jarman twierdzi, że deszcze potrwają aż do zimy, a wtedy zaczną się śnieżyce. Co będzie, jeśli Kościej tego nie wytrzyma?

- Tak was to martwi? - burknął Mikuła.

Odwrócili ku niemu głowy okryte mokrymi kapturami, na ich bladych twarzach odmalowało się zdziwienie.

- Co ty mówisz, Sielaninowiczu? - odezwał się Jegor. - Tobie najbardziej go brakowało, na każdym kroku wzdychałeś do dawnych dobrych czasów u boku Wołcha...

- To prawda, batiuszko Światogorze. Tęskniłem za Wołchem. Nadal tęsknię, bo Wsiesławiewicz nie żyje. Ten... stwór nie ma z nim nic wspólnego. Was martwi jego gorączka i krwawy kaszel. Ja bardziej się boję, że nie jest zdrow na umyśle.

- Zmienił się, to prawda - przyznał najstarszy z drużynników. - Ale nie powinniśmy go osądzać ani odrzucać. Nikt z nas nie wie, jakie męki wycierpiał w czeremiskim więzieniu. Nie mam na myśli bólu cielesnego, ale to, co Tugarin zrobił z jego myślą i duszą.

- Prawda. - Ilja westchnął zamyślony. - Weźcie pod uwagę, że Drakowicz utrzymywał go przy życiu więcej niż dwa miesiące. Dlaczego nie zabił go od razu? Myślę, że miał względem niego jakieś plany. Może chciał go złamać i przeciągnąć na swoją stronę, uczynić zeń swego sługę? Żeby dopiąć celu, musiał w nim zasiać zło.

- No właśnie - wystękał Mikuła. - To czarne nasienie kiełkuje w nim, nie widzicie tego? Kiedy z nami rozmawia, warczy i zgrzyta zębami, jakby nas nienawidził...

- Nie przesadzaj - sprzeciwił się Jegor. - Jest inny, to prawda. Tugarin chciał

pociągnąć go w mrok, my możemy go poprowadzić z powrotem ku światłu...

- Jak? - prychnął Mikoła. - Zawieszysz mu na szyi krzyżyk i nauczysz pacierza?

Siwiejący bojar spojrzał na niego karcąco.

- Nie wstyd ci, Sielaninowiczu? Szybko odtrąciłeś starego przyjaciela, a on właśnie teraz najbardziej cię potrzebuje. Potrzebuje nas wszystkich. Pamiętacie? Braterstwo. Wierność drużynie. I wierność drużyny. Każdy z nas musi mieć wzgląd na pozostałych, ale przychodzą też takie momenty, kiedy jest na odwrót i to drużyna musi wesprzeć któregoś z jej członków. Zdarza się to nie tylko w boju, ale też w takich chwilach jak ta. Jeden z nas zgubił drogę, ale jeszcze nie przepadł z kretešem. Myślę, że Wołch może pokonać Kościeja w wewnętrznej walce. Potrzeba tylko cierpliwości. Wierności. Zapomniałeś o prawach drużyny, Mikoło?

Sielaninowicz pochylił głowę. Było widać, że słowa Jegora zrobiły na nim wrażenie.

- Masz rację, bracie. Ja tylko...

Nie dokończył. W wilgotnej szarości na lewo od nich rozległ się tupot. Bohatryrzy ucichli, odruchowo zacisnęli dłonie na rękojeściach mieczy i styliskach toporów. Zza drzew wynurzył się jednak tylko jeden jeździec.

- I jak, Jarmanie? - Światogor wyszedł mu naprzeciw.

- Rotawar wraca - dobiegło spod mokrego kaptura. - Po jego odjeździe w obozie Wargana nie działo się nic szczególnego. Powiedziałbym, że mu uwierzyli.

Nie czekali długo i na błotnistej ścieżce biegnącej wzdłuż brzegu zabrzmiał odgłos kopyt sześciu koni. Jeźdźcy mieli płaszcze z kapturami. W tej szarości i ulewie wyglądali jednakowo, mimo to Kijowianie natychmiast poznali permiackiego naczelnika. Miał spuszczone ręce, zgarbione plecy i zwieszoną głowę, jakby na koniu siedział nie władca plemienia, ale wysuszony trup przywiązany do siodła.



- Śmierdziel! Parszywy śmierdziel! Przysięgam, że każę zrobić miskę z jego czaszki, łyżki z jego kości, i wyprawię ucztę, na której zjemy tymi łyżkami polewkę ugotowaną na jego mięsie! Niech go Keremet... - Atak duszącego kaszlu nie dał Rotawarowi dokończyć. Iszora podparła go i włożyła w kościste palce kubek z ciepłym miodem. Podczas gdy starzec pił małymi łykami ciepły napój i starał się pokonać gwałtowny kaszel, córka z zatroskanym wyrazem twarzy wycierała wilgotną szmatką błoto z jego oblicza. Bohatryrzy stłoczeni w namiocie zdejmowali kaptury z głów i spoglądali zaszępieni na rozgniewanego naczelnika.

- Kazał mi... - wyrzucił z siebie starzec - klęczeć przed sobą w błocie i końskim

gnoju... Paść twarzą na ziemię... Pokornie przysięgać wierność... Żądał ode mnie całkowitego posłuszeństwa... W jego oczach było szyderstwo... Czeremiscy władcy śmiali się pogardliwie... Nie tylko za mymi plecami... Prosto w twarz...

- Przykro mi, że musiałeś się tak poniżyć, wielki wodzu. - Jegor podszedł bliżej. - Ale to było konieczne. Nie zapominaj, to wszystko część naszego podstępu. Wargan nie przypuszcza, że ktoś, kogo uważa za pokornie skomlącego psa, skoczy mu do gardła i je rozszarpie. Mam nadzieję, że nie naszła cię pokusa, by się buntować...

- Nie... Krew mnie zalewała, ale przemogłem się... Wyzbyłem się dumy. Zapomniałem o tym, że pochodzę z rodu pierwszego łowcy Pery... syna mateczki tajgi i słonecznej córki Zarani... Udało mi się o tym nie myśleć i podporządkować się temu szczurowi...

- Doskonale. Jest jeszcze jedna korzyść z tej przygody. Przekonałeś się na własnej skórze, że musisz się uwolnić spod władzy Wargana.

- Tak... - Rotawar znów łyknął ciepłego miodu. - Przyznaję, że przez ostatnie dni walczyłem z wątpliwościami... Zastanawiałem się ciągle, czy aby na pewno dobrze robię, zdradzając kuguraka... Czy nie doprowadzę plemienia do zguby... Już się nie waham. Ta krwiożercza bestia musi zdechnąć!

- Właśnie! Już nigdy nie będziesz zginać przed nim kolan. Zemścisz się. Tym razem on padnie twarzą w błoto, a to błoto będzie zmieszane z jego krwią i trzewiami!

- Tak. Już jutro.

Światogor zmarszczył brwi.

- Dowiedziałeś się więcej o planach Wargana?

- Owszem... Poprosiłem, żeby wydał mi rozkazy... - Naczelnik wyszczerzył resztki zębów w paskudnym uśmiechu. - Waregowie dotarli wczoraj wieczorem i rozbili obóz jakieś dwie wiorsty na południe od Czeremisów. Wargan zaatakuje ich jutro rano... Z powodu deszczów ślepe odnogi rzeki rozlały się szeroko i utworzyły niebezpieczne mokradło między czeremiskim a wareskim obozem. Kugurak chce potajemnie przekroczyć je tuż po świcie... Waregowie na pewno nie będą się spodziewali ataku właśnie z tamtej strony.

- Oczywiście, że będą. - Jegor uśmiechnął się pod wąsem. - Zaraz pošlę Bragiemu wiadomość, żeby się liczył z porannym atakiem. Diwlan, Borowej?

Bliźniacy podeszli natychmiast.

- Musicie obejść ukradkiem Czeremisów i dostać się do obozu Halvorssona. Opowiedzcie mu wszystko, co tu usłyszeliście. Niech się dobrze przygotowuje na jutrzejszy bój, ale niech oszczędzi pierwsze zastępy atakujących. Zakładam, że Wargan wyśle przodem

Permiaków. - Światogor spojrzał pytająco na Rotawara, który pokiwał głową.

- Ten skurwysyn właśnie to planuje. Czeremisi mają zasypywać Waregów strzałami, stojąc bezpiecznie z tyłu, a moi ludzie tymczasem ruszą do ataku i padną w pierwszym, najbardziej krwawym starciu...

- Nie dojdzie do tego. Permiacy przejdą mokradło i przyłączą się do Waregów, potem razem zwrócą się przeciw Czeremisom. Ruszajcie z wieścią do Bragięgo.

Bliźniacy z Połocka bez słowa skinęli głowami i poszli w stronę wyjścia z namiotu. Bohatryrzy spojrzeli na wodza.

To, co stało się po chwili, zupełnie ich zaskoczyło.

Borowej odgarnął skórę i z pochyloną głową wyszedł na deszcz. Kiedy się wyprostował, nie zobaczył przed sobą błotnistej obozu pod roschatymi drzewami, ale rosłego, stojącego w rozkroku Permiaka z włócznią w ręku.

Połocczanin krzyknął ostrzegawczo, ale w tej samej chwili mężczyzna pchnął i krew zalała przebite płuco bojara, tłumiąc okrzyk.

- Bracie! - krzyknął Diwlan i sięgnął po zatknięty za pasem topór. Napastnik pchnął na niego przebite ciało Boroweja. Diwlan przewrócił się na ziemię. Permiak wszedł do namiotu z okrzykiem zdecydowania na ustach, pchając przed sobą charczącego strasznie Boroweja, a za nim wtargnęli kolejni zbrojni.

Iszora jęknęła. Bohatryrzy obejrzeni się z zaskoczeniem, błyskawicznie dobyli broni i rozchylili przeszkadzające im płaszcze. Konający Borowej runął na wilgotną ziemię. Jego zabójca puścił drzewce włóczni i wyrwał z za pasa topór, zanim jednak zdążył go wznieść, klinga Gniewu przecięła jego klatkę piersiową z ohydny chrupnięciem.

- Zdrada! - wrzasnął Ilja i kopnął drgające ciało, dzięki czemu zdjął je ze sztychu i jednocześnie rzucił pod nogi nadbiegającym Permiakom. - Brońcie się, bracia!

Śmierć Jegora i młot Mikuły uderzyły natychmiast. Dwaj kolejni napastnicy padli, brocząc krwią. W panującej wrzawie rozległ się odgłos darcia. Łosiowe skóry, z których uszyto namiot, zostały przebite i rozprute ostrymi klingami. Do środka najpierw wtargnęła szaruga i deszcz, potem wskoczyli kolejni zdrajcy z włóczniami w ręku.

- Skupić się, chłopcy! - rozkazał Jegor. - Otoczyli nas! Musimy się przebić!

Stanęli ramię przy ramieniu. Zadźwięczało żelazo, niewielką przestrzeń namiotu wypełniły krzyki konających. Rotawar wstał, starając się własnym ciałem osłonić Iszorę, ale wbito mu włócznię w brzuch. Ze skowytem padł na kolana. Młoda kobieta jęknęła, ale dostała drzewcem włóczni w policzek. Poleciały zęby, połała się krew. Omdlała dziewczyna padła na ziemię tuż obok ojca.

- Nie! - krzyknął Kościej, podnosząc się z futrzanego posłania.

- Wołch! - krzyknął Mikuła. Odbił młotem topór najbliższego Permiaka - przy czym mimochodem rozbił jego twarz na miazgę - złapał Wsiesławiewicza za koszulę, podniósł go jak kota i przycisnął do siebie. Wyciągał go z namiotu, jednocześnie drugą ręką zadając druzgocące ciosy.

- Zemstyyyy! - zawył Diwlan, zalewający się łzami z żalu i nienawiści. Wstając, wściekle ciął Permiaka w kolana. - Zabijajcie!

Bohaterzy zabijali. Bezlitośnie, bezwzględnie, twardo. Wymietli pierwszą grupę atakujących na zewnątrz i wyszli ze zniszczonego namiotu. Dużo gorzej uzbrojeni Permiacy padali im pod nogi, a ich ciała były straszliwie rozcięte lub rozbite. Obozowe błoto poczerwieniało w jednej chwili. Daniło, Suchan, Koływan i Alosza mieli tarcze - one wystarczyły, by odbić groty strzał i włóczni. Obóz zmienił się we wrzeszczące kłębowisko ciał pośród chlupiącego błota i czerwonego deszczu.

Zabrzmiał tętent kopyt i tabun osiodłanych koni bohaterów roztrącił rojących się Permiaków. Na czele galopował Jarman na swojej kobyle.

- Na koń!

Buruszko zatrzymał się przed Ilją, z rzeniem stanął dęba i kopnął. Głowa jednego z atakujących Muromca wrogów dosłownie pękła. Wierzchowiec opadł na cztery nogi. Bojar zaśmiał się, ściał głowę jeszcze jednemu napastnikowi i już po chwili ścisnął piętami boki Buruszka.

- Spieszcie się! - krzyknął Jarman. - Musimy się dostać...

Nie dokończył. Spadł z siodła, przebity strzałą. Nie było dla niego ratunku.

- Na wschód! - wrzasnął Jegor, rozdając z grzbietu wronka straszliwe uderzenia Śmiercią. - Do lasu! Galopem!

Mikuła wskoczył na konia, wciągnął Kościeja i przewiesił go przed sobą jak worek ziarna. Po chwili razem z resztą bojarów ruszył za Ilją i Jegorem. Przebili się przez permiackie zastępy i jeden za drugim znikali w szarym, mokrym od ulewy lesie. Wokół nich świszczwały strzały, kilka grotów wbiło się w pnie drzew, kilka odbiło się od pancerzy i hełmów. Jedna z nich przebiła krótki rękaw kolczugi zrozpaczonego Diwlana, który galopował na końcu i raz po raz wykrzykiwał imię zabitego bliźniaka. Z wściekłością wyrwał pocisk z rany i odrzucił.

Wreszcie ucichła wrzawa za ich plecami, a oni gnali w milczeniu przez mokry las, wystraszeni, zdruzgotani i gorzko rozczarowani.



Kiedy Iszorę i Rotawara wywleczono spod rozprutego namiotu, Szarzum wściekał się jeszcze z powodu nieudanego ataku. Chciał pozabijać te kijowskie psy, ale jego ludzie powalili tylko jednego bohatera. W dodatku podczas ataku na namiot zginęli najlepsi zabijacy Szarzuma. Wilki Światosława były sto razy zręczniejsze, niż podejrzewał!

Zimny deszcz ocucił Iszorę. Pełzała w błocie, jęczała i mamrotała coś rozbitymi, zakrwawionymi ustami.

- Mam jej poderznąć gardło? - ochoczo zaproponował buntownik, który jako jeden z pierwszych przyłączył się do młodego wodza.

- Nie - warknął Szarzum. - Zwiążcie ją. Podaruję ją Warganowi. Na pewno sam zechce odplącić jej za zdradę.

Powlekli ją za włosy, nie dbając o to, że jęczy i nogami rozchlapuje błoto. Nowy naczelnik pochylał się nad Rotawarem. Starzec mocno krwawił z rany na brzuchu, ale jeszcze żył, był nawet przytomny.

- Szarzum... - wycharczał, kiedy poznał twarz obramowaną czarnymi kosmykami zlepionymi deszczem. - Niech zły Keremet pożre twoje... zdraдлиwe serce... Nie mogę uwierzyć, że z nasienia mego brata, z naszej własnej krwi... wyrosła taka... podłość...

- Podłość? Zdrada? - młodzieniec wysyczał mu w twarz. - To ty sprzedałeś nas za bezwartościowe obietnice łupów i władzy nad Kokszażą! Sprzymierzyłeś się z Kijowianami i Waregami, z obcymi, którzy ruszyli w północne lasy tylko po to, by mordować i łupić. Wargan może i nie jest lepszy, ale Czeremisi przynajmniej są naszymi krewnymi. Mówimy tym samym językiem i czcimy podobnych bogów! Kiedy zaproponowałem bunt przeciw tobie, natychmiast poparło mnie dwie trzecie władyków i starszyzny. Wkrótce podporządkujemy pozostałe rody, nawet gdyby trzeba było ściąć parę głów. Jutro będziemy walczyć u boku Wargana. Pokonamy Waregów, jestem tego pewien!

Rotawar oddychał z coraz większym trudem, a kiedy znowu przemówił, na jego siwą brodę trysnęła krew.

- Oszczędź... przynajmniej Iszorę... To przecież... twoja stryjeczna siostra... Lepiej sam ją zabij... niż żeby miała... trafić w ręce... Wargana... Proszę...

- Teraz błagasz i powołujesz się na pokrewieństwo? - Szarzum wydał wargi. - Nie. Zanim zdechniesz, wiedz, że twoja córka zginie z ręki Czeremisa!

- Bądź przeklęty... - zaczął stary wódz, ale bratanek splunął mu w twarz, podniósł się i wziął zamach. Rotawar dostrzegł zakrzywioną klingę i rozpoznał własny miecz. Po chwili

ostrze świsnęło w powietrzu i siwa głowa spadła z karku.

Deszcz nie ustawał. Krople wpadały do otwartych ust pokonanego naczelnika i rozpryskiwały się o jego wytrzeszczone oczy. Krew tworzyła kałuże, ale zanim zapadła noc, ulewa dawno ją zmyła i zmieszała z błotem.



- W nadchodzącej wojnie północne plemiona muszą się zjednoczyć, potężny kuguraku. Jakikolwiek inny wybór jest zdradą własnej krwi. Permiacki jeleń musi bósć w tej samej chwili, w której czeremiski kruk zacznie dziobać, to jedyny sposób, by zatrzymać watahę wareskich wilków. Na dowód szczerości przynoszę ci te rzadkie dary. Nie lśnią od złota i drogich kamieni, ale jako wielki wojownik i wódz na pewno docenisz je bardziej niż błyszczące klejnoty.

Szarzum wyjął spod płaszcza poplamiony skórzany worek. Miał zamiar wstać i podać go Warganowi, ale jeden z drużynników kuguraka zastąpił mu drogę i wyszarpnął sakwę z rąk. Szarzum, zrozumiałwszy, że pozwolił sobie na więcej, niż powinien, znowu pokornie padł na kolana i spuścił wzrok.

Strażnik odwrócił się do Wargana. Władca Czeremisów, siedzący pośrodku pysznego namiotu na rzeźbionym krześle pokrytym skórą, skinął na niego bez słowa. Mężczyzna rozsznurował rzemień worka, sięgnął do środka i wyjął ludzką głowę. Światło płomieni z brązowego trójnogu odbiło się w wytrzeszczonych oczach, rozjaśniło rzadkie, siwe włosy, pogłębiło cienie na zapadłych policzkach i ukazało wyschnięty język w otwartych ustach.

Książę pokiwał głową.

- Rotawar stoi już przed Kijamatem, sędzią umarłych, ty więc, Szarzumie, jesteś teraz władcą wszystkich Permiaków. To wyjaśnia, dlaczego chcesz się do mnie przyłączyć. Sojusz ze mną przerazi twoich wrogów wewnątrz plemienia.

- Już się z nimi policzyłem, kuguraku. Po stronie Rotawara stało tylko paru starych władcyków, którzy kiedyś chodzili z nim na wojny z Udmurtami. Wszyscy zginęli dziś wieczorem, zaraz po tym starym zdechlaku. Nikt nie ośmielił się mnie zdradzić.

- Nie wątpię, że jesteś bezwzględny, Szarzumie. Nie na darmo twoi współplemieńcy przezywają cię po cichu Ojacobójcą.

Świeżo upieczony władca Permiaków podniósł wzrok.

- Chwasty - burknął. - Same chwasty i stare murszejące pnie, przez które młode drzewa nie mogą rosnąć i rozwijać się. Mój ojciec był starym próchnem i trzeba było...

- Daj spokój, Szarzumie! Mielesz ozorem jak wędrowny gęślarz. Jesteś zabijaką - i to

mi się podoba, nie musisz się przede mną usprawiedliwiać. Widzę, że w worku jest jeszcze jedna głowa. Czyja?

Na skinienie władcy drużynnik wyjął drugie krwawe trofeum. Czerep należał do młodego mężczyzny.

Wargan uśmiechnął się krzywo.

- Płowe włosy zdradzają, że to członek jednego z zachodnich plemion. Powiedziałbym, że to Kijowianin.

- Właśnie tak, wielki kuguraku. Jeden z drużynników Światosława. Jak widzisz, nie są niezwycięzeni, chociaż tak się o nich mówi.

- A reszta? Gdzie ich głowy?

Młody naczelnik kaszlnął nerwowo i skłonił się nizej.

- Ciągle na ich karkach, szlachetny Warganie. Tak naprawdę zabiliśmy tylko jednego, i jeszcze czeremiskiego zwiadowcę, zdradzieckiego szczura z Kazania...

- Co takiego?! - Książę podniósł głos i wyprostował się na stolcu. Jego dobry nastrój prysł w jednej chwili. - Czy to znaczy, że reszta uciekła?

- Przebili się...

- Jak to możliwe? Odgadli twój plan?

- Nie, wszystko przebiegało gładko. Dopadliśmy ich w chwili, kiedy byli w namiocie z Rotawarem...

- Jak zatem zdołali uciec? Przecież otaczały ich trzy setki wojów, którzy byli już wtedy na twoje rozkazy!

- Jak mówiłem, przebili się. Zabili przy tym tuzin moich najlepszych ludzi. Pewnie ten Czeremis, który był z nimi, zauważył, że coś się dzieje. Przyprował im konie...

Wargan znów usiadł wygodnie. Spojrzenie miał nieobecne.

- Czyli w opowieściach o tym, że są niezwycięzeni, jest jednak ziarno prawdy. Skoro potrafili w dziesięciu przebić się przez obóz... Na pewno ruszyli na południe, do Waregów. Do tej pory Halvorsson już wie, że zamierzamy rano zaatakować. Musimy zmienić plany, Rotawar je znał i na pewno zdradził Kijowianom. To wszystko przez twoją nieudolność, Szarzumie!

- Wybacz, potężny kuguraku! Nie doceniłem Kijowian, przyznaję. Pozwól mi złożyć ci jeszcze jeden dar i zmniejszyć twój gniew!

- Nie potrzebuję następnej śmierdzącej głowy...

- Ta głowa jeszcze trzyma się ciała. Przypuszczam, że sam zechcesz ją ściąć.

Młody naczelnik obejrzał się i skinął na przybocznego, który czekał wiernie przy

wejściu do namiotu. Permiak kiwnął głową i wyszedł. Po chwili wrócił, ciągnąc na powrozie pobitą, zakrwawioną istotę.

Wargan zerwał się na równe nogi, zacisnął szczęki, zaświeciły mu się oczy. Natychmiast poznał Iszorę, mimo że jej twarz była spuchnięta i zasłaniały ją mokre włosy.

- To rzeczywiście cenny dar, Szarzumie - wycedził przez zęby. - Nie ukarzę cię, ale nie przeceniaj mojego miłosierdzia. Jesteś mi potrzebny. Jutro rano poprowadzisz Permiaków do boju, będziesz mógł naprawić swój błąd. Jeśli jednak nie przyniesiesz mi głów kijowskich bohaterów, trafisz na śmietnik razem z resztą chwastów, o których mówiłeś. Teraz precz! Wszyscy, co do jednego. Tylko branka zostaje. Musimy porozmawiać... - Ostatnie słowa zabrzmiały jak warknięcie.

Wszyscy natychmiast wyszli na deszcz. Wargan i Iszora zostali sami w migotliwym świetle kołysanych wiatrem płomieni. Władca Czeremisów chwilę stał bez ruchu i mierzył spojrzeniem chwiejącą się Permiaczkę. Potem zbliżył się do niej. Na jego twarzy malowały się pogarda, złość i żądza zemsty.

- Najchętniej zabiłbym cię na miejscu - rzekł, wpatrując się w twarz z brzydko rozbitymi ustami, z których wciąż jeszcze kapłała krew. - Rozprułbym cię jak prosię, rozszarpałbym to przekłete, nieplodne łono, a gdyby jednak wzrastało w nim moje nasienie, rozdeptałbym płód jednym tupnięciem. Nie chcę, żeby taka suka jak ty była matką mojego następcy. Znajdę sobie inną żonę, z własnego plemienia.

Spojrzała na niego, ale się nie odezwała.

- Tylko że - dodał z pozoru spokojnie, a w rzeczywistości złowieszczo - to dla ciebie zbyt łagodna kara. Zanim zdechniesz, będziesz ostatnią z moich niewolnic. Każę ci zmywać gównem z moich podeszew i spać z moimi psami. Rozumiesz? Poniżę cię tak, że będziesz prosić o śmierć! Teraz padnij na kolana i żebrz o zmiłowanie!

Nie ruszyła się. Przestała się nawet chwiać, zwalczyła słabość i uniosła dumnie głowę. W milczeniu, twardo, uparcie patrzyła mu w oczy.

- Nie słyszysz, suko? - kipiał ze złości. - Na kolana i całuj moje nogi!

Skoczył ku niej, złapał ją za włosy i potrząsnął gwałtownie.

W tej chwili wrzasnęła. Strasznie, ogłuszająco i z taką nienawiścią w głosie, że zaskoczony książę ją puścił. Iszora z nieoczekiwaną przytomnością umysłu i zręcznością skorzystała z okazji. Miała wprawdzie związane ręce, ale mogła poruszać palcami. Sięgnęła naczelnikowi do pasa, chwyciła inkrustowaną srebrem rękojeść sztyletu i szarpnięciem obnażyła klingę.

- Zdychaj, skurwysynie, zdychaj! - krzyknęła, zamachnęła się błyskawicznie i dźgnęła

tak mocno, jak tylko pozwoliły jej związane ręce. Naczelnik, zupełnie zaskoczony atakiem tej wiecznie pojękującej i pokornie skomlącej nieszczęśnicy, ledwie zdążył się uchylić. Ostrze rozpruło rękaw jego koszuli i wyrło krwawą bruzdę w lewym ramieniu. Krzyknął.

W tej samej chwili rozchyliły się poły namiotu i do środka wpadł jeden z osobistych strażników. W ręce ścisnął włócznię. Kiedy zobaczył zakrwawionego władcę i sztylet w ręku branki, zmienionej nagle w szalejącą strzygę, nie wahał się ani chwili.

Ostry grot wbił się w jej nerki i wyszedł brzuchem. Wydała urywany okrzyk. Z ognistym spojrzeniem ciągle utkwionym w Warganie jeszcze raz spróbowała go dźgnąć, ale kugurak już się opamiętał, złapał ją za ręce i wydarł sztylet z palców.

Z jękiem padła na kolana.

- Przeklinam cię... - wychrypiała ostatkiem sił. - Żebyś padł... jak zaszczute zwierzę...

- Chciałabyś - warknął księżę rozwścieczony bólem. Złapał ją za włosy, odchylił głowę do tyłu i poderżnął gardło, aż ostrze zazgrzytało o kręgosłup.

Padła w drgawkach i powodzi krwi. Jej oczy zgasły, nim jednak pograżyła się na dobre w ból i mroku, przez chwilę oglądała dziwną wizję.

Zobaczyła Kościeja. Nie wyglądał jak cień człowieka, którym był, kiedy widziała go po raz ostatni. Galopował w jej stronę na roslym, czarnym koniu, w rozwianym futrzanym płaszczu na ramionach. Jego twarz wciąż była upiornie blada i pokryta paskudnymi bliznami, ale znikł z niej wyraz chorobliwej słabości. Jego oczy pałały straszliwie, biła z nich nieludzka, niemal nadprzyrodzona moc, tak samo zresztą jak z całej postaci. Wyszczерzone zęby i to, jak skurczył się w siodle, nadawały mu wygląd dzikiego zwierzęcia albo może demona. Kiedy był już blisko niej, podniósł jedną rękę. Iszora zauważyła, że jego kościste palce zmieniły się w mocne, długasne szpony. Machnął tą potworzą łapą w jej stronę. W tej samej chwili córka martwego naczelnika wreszcie pograżyła się w mroku.

W ciemności usłyszała czyjś głos. O dziwo, nie był to warkot Azyrena, złodzieja duchów. Nawoływanie nie brzmiało strasznie, ale łagodnie, wręcz kusząco. Zdała sobie sprawę, że może wstać i iść, że już nic jej nie boli. Spokojnie, z nadzieją w sercu i dumnie wzniesioną głową ruszyła w stronę, z której dobiegał głos. Zdecydowanie wyszła z mroku do szarości, potem z cienia do zielonkawego światła przenikającego rozkołysane korony potężnych drzew. Tam, na zalanej słońcem równinie, stał nie pochmurny i surowy Kijamat, wrzucający duchy niegodziwców do krwawej zaświatowej rzeki, ale niezmiernie piękna, uśmiechnięta młoda kobieta, odziana w oślepiającą złotawą jasność. Iszora poznała Zarań, córkę słońca, do której modliła się przez całe życie. W duchu dziewczyny zagościł spokój, jakiego jeszcze nigdy nie zaznała.

Była w domu.



- Czasami gorzko żałuję, że nie zostałem w domu, w chacie na środku dregowickich moczarów - mrucał Mikuła. - To jedna z takich chwil.

- Rozumiem cię, bracie - przyłączył się Daniło. - Też z lubością wspominam, jak leżałem pijany w błocie kijowskich uliczek. Teraz jest tak samo, tyle że wtedy przynajmniej grzał mnie miód, który płynął w moich żyłach zamiast krwi.

- Żeby wam języki kołkiem stanęły - warknął Koływan, ale jak się po chwili okazało, nie wyrzucał im małoduszności i marudzenia. - Mówić w tej chwili o miodzie to tak, jakby ogryzać pieczone jagnięce udko na oczach zerkającego przez okno wygłodniałego żebraka.

Bohaterzy siedzieli lub stali pod rozłożystym dębem, który już ledwie chronił przed nieustannym deszczem. Woda znalazła drogę przez gęste listowie, więc jej strumyczki lały się im na głowy i plecy z głośnym ciurkaniem.

- Czy ta ulewa nigdy się nie skończy? - spytał Ilja, który stał, wspierając się o długą włócznię, i westchnął. - U nas, w kraju Muromców, też dużo pada jesienią, ale to, co musimy tutaj znieść, to już złośliwość bogów.

- Gdyby przynajmniej on ucichł. - Mikuła wskazał głową Kościeja. - Jego kaszel może doprowadzić człowieka do szaleństwa. Przez całą noc nie zmrużyłem oka.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz mu robić wyrzutów z powodu choroby? - zezłościł się Jegor, oparty o pomarszczony pień. - Jest mu ciężko i bez naszych nieprzyjaznych myśli.

- Nie gadaj bzdur, bracie, nie można nikogo skrzywdzić myślą - odparował Sielaninowicz.

- Można - potwierdził Alosza. - Wrogie myśli są jak rzucona klątwa. Słabiutka, ale zawsze. Wołch by to potwierdził, gdyby tu... Ehm.

- Gdyby tu z nami był? - Dregowicz uśmiechnął się smutno. - Ty też uważasz, że Wołch nie wrócił? Też masz wrażenie, że on - znów wskazał głową kupkę nieszczęścia pod jednym z dębów - to ktoś obcy?

- Przestańcie - warknął Światogor. - Taką gadką wbijacie klin w mocny pień drużyny, który może przez to pęknąć. Jakby nie wystarczyło, że straciliśmy wczoraj dobrego towarzysza.

Wspomnienie biednego Boroweja kazało bojarom zerknąć kątem oka na Diwlana. Połocczanin siedział nieopodal, zgarbiony, z twarzą ukrytą pod kapturem płaszcza. Od śmierci brata bliźniaka nie odezwał się ani słowem, tylko w nocy słyszeli, jak cicho śpiewa.

Pieśń pogrzebowa z jego rodzinnych stron prędko zmieniła się w zduszony płacz. Diwlan starał się ukryć rozpacz, ale na próżno. Zresztą bohaterzy wcale nie uważali, że powinien się wstydzić łez. Dobrze wiedzieli, że bracia byli jak jeden duch w dwu ciałach, podobnych jak dwie krople wody. Połoczenie przez całe życie byli nierozłączni, w boju osłaniali swoje plecy, ba, dzielili się nawet kobietami. Mało kiedy włączali się do rozmów i narad całej drużyny, zazwyczaj szeptali gdzieś na uboczu. Kiedy jednak przy ognisku brzmiała pieśń, zawsze się przyłączali, ruszali też do boju razem ze wszystkimi i można było na nich polegać.

Teraz jeden z nich zginął, co stanowiło dla drugiego ciężką, bolesną stratę, o wiele gorszą niż śmierć najlepszego przyjaciela czy nawet kochanego dziecka. Diwlanowi odcięto połowę serca. Bojarzy czuli, że nieprędko przestanie cierpieć, ale nie próbowali go pocieszać. Kiedy Jegor się do niego odezwał, ten nie odpowiedział, zupełnie zamknął się w sobie. Mikuła zaczął się nad ranem zastanawiać, czy śmierć bliźniaka przypadkiem nie wpędziła młodzieńca w obłąd. Reszta natychmiast go zakrzyczała, by nawet tak nie mówił...

W ponurej ciszy zabrzmiało parsknięcie Buruszka, stojącego pod sąsiednim drzewem razem z rumakami pozostałych bohaterów, już osiodłanymi i obwieszonymi bronią. Bojarzy natychmiast zaczęli nasłuchiwać. Gdzieś w zwiastującej wstający dzień szarości rozległ się chlupot, jakby ktoś biegł po błocie. Sięgnęli po broń i tarcze. Obozujący w pobliżu Waregowie również się zaniepokoiли.

Z deszczu wynurzyła się tylko jedna szczupła postać.

- Spokojnie. - Ilja odłożył włócznię. - To Samson.

Ormianin przybiegł pod dąb i zdjął kaptur z głowy. Kiedy wieczorem dotarli do wareskiego obozu, Samojłowicz natychmiast zeskoczył z konia, wziął nóż, łuk i kołczan pełen strzał i bez długiego gadania pobiegł w stronę obozu Czeremisów. Przez całą noc był na zwiadach.

- Już nadchodzą? - spytał Bragi Halvorsson, który również zauważył przybycie szpiega i powodowany ciekawością natychmiast przyłączył się do bohaterów.

Samson kiwnął głową.

- Ustawili szyki za moczarami. - Wskazał na północ. - Wkrótce przejdą na drugą stronę i zaatakują.

Obóz Waregów znajdował się na niewielkim wzniesieniu. Na rozkaz Bragiego w jego podnóże wbito na ukos zaostrzone pale. Niżej rozciągał się las, zalany wodą z wezbranych bocznych odnóg Czerwonej Rzeki. W ten sposób powstały zdradliwe mokradła, które oddzielały pozycje wareskie od czeremiskich.

- Co jeszcze widziałeś? - posępnie zapytał Jegor.

- Nie mam dobrych wieści. - Samson wytarł nos w rękaw. - Po zmroku do Wargana dołączyli Permiacy...

- Można się było tego spodziewać po tym, jak zamordowali Rotawara...

-...a przed północą dotarły następne posiłki z zachodu. U ujścia Kundyszu przeszły w bród Czerwoną Rzekę i przywitały się gorąco z ludźmi Wargana.

- To pewnie Czeremisi z Suchodołu u ujścia Wietługi - zgadywał Halvorsson.

Ilja spochmurniał i przestąpił z nogi na nogę. Skurwysyn Styrwit, który wraz ze swoją bandą spalił Karaczarowo i wymordował jego mieszkańców, pochodził z suchodolskiej gałęzi Czeremisów. Ilja zabił go wprawdzie w trakcie walki o suwarską smoczą wieżę, ale wieści o zbójach znad Wietługi i tak ukłuły go w serce.

- Ilu ich przyszło?

- Myślę, że trochę ponad dwustu - zgadywał Samson. - Z nimi i trzema setkami Permiaków siły Wargana wzrosły do siedmiuset ludzi.

- Mają sporą przewagę - zauważył Światogor.

- I gównu im z tego. - Bragi smarknął głośno, wciągnął zawartość nosa do ust i wypluł wielką porcję śluzu. - Wdepczemy ich w błoto, nawet gdyby było ich tysiąc. Wierzcie mi - przez te trzy lata, kiedy rządziłem w Helgardzie nad ujściem Oki, dobrze poznałem tę zgraję znad górnego Itilu. Czeremisi, Muromcy, Moksze, Mszczercy - wszystko to jedna parszywa leśna banda. Mają włócznie, maczugi, cisowe łuki i siekiery z marnego, kruchego żelaza, tarcze z drewna i wołowych skór, zbroje z kości i warzonej skóry. My mamy kolczugi, hełmy i miecze, wszystko z północnej stali, której żadna nie może się równać. To mokradło, przez które zamierzają się przeprawić, jeszcze przed południem będzie czerwone od ich krwi i pociętego mięsa.

- Nie nadymaj się tak, Halvorsson - warknął Ilja, którego boleśnie dotknęły pogardliwe słowa o członkach własnego plemienia. - Wargan to twardy i niebezpieczny przeciwnik. Nie zapominaj też, że są u siebie w domu. Nauczyli się walczyć w tej krainie, przy złej pogodzie, w bagnie i w deszczu. Jestem pewien, że mają ze sobą miejscowych rybaków i myśliwych, którzy dobrze znają rozlewisko przed nami i wykorzystają tę wiedzę. Przy odrobinie zręczności i chytrych można obrócić przeciwko wam stal, z której jesteś tak dumny, i zmienić ją w waszą słabość...

- Nie pouczaj mnie, Muromcze! - odszczeknął konung. - Miałem za sobą dziesiątki zwycięskich bitew i widziałem połowę świata, kiedy ty jeszcze byłeś chromy i ledwie łączyłeś po tej swojej śmierdzącej gównem wiosce na jakimś muromskim za...

- Dość - przerwał Jegor, gdy zauważył, jak Ilja zaciska palce na drzewcu włóczni. -

Nie mamy teraz czasu na kłótnie. Stał dając przewagę, ale Muromiec ma rację, Halvorssonie. Nie wolno nam zlekceważyć Czeremisów. Szykuj ludzi. Bitwa zacznie się już wkrótce.

Bragi opanował się, odwrócił się bez słowa i zaczął wydawać rozkazy. W leśnym obozie natychmiast zaroilo się od zbrojnych, zazgrzytało żelazo, zabrzmiały okrzyki podniecenia. Waregowie, najpierw znudzeni beczynnym przesiadywaniem w Bułgarze, a potem rozdrażnieni niewygodą i upartym deszczem, nie mogli się już doczekać, kiedy będą mogli na kims wyładować złość.

Ich cel już się zbliżał. Kiedy tylko niebo nad lasem zmieniło barwę z czarnej na szarą, Ilja swym wyczulonym słuchem wyłowił pośród szumu deszczu odgłosy z mokradła.

- Już idą - powiedział, zdjął płaszcz, włożył hełm, a na lewe przedramię założył szeroką tarczę. - Słyszę, jak brodzą ku nam.

- Na razie trzymajcie się z tyłu - rozkazał Jegor. - Niech wilki Bragięgo odeprą pierwszy atak. Czuję w kościach, że przyjdą następne fale, a wtedy przydadzą się nasze wypoczęte ręce, świeżo naostrzone klingi i pełne kołczany. Diwlan? Zrozumiałeś?

Połocczanin już nie garbił się pod płaszczem. Stał przy nich, z łukiem w ręku, ze strzałą na cięciwie. Niecierpliwie przestępował z nogi na nogę - wprost biła z niego chęć, by utopić żalobę w strugach nieprzyjacielskiej krwi.

- Słyszysz, Diwlan? - Siwy bojar powtórzył głośniejszym głosem, dzięki czemu wreszcie zwrócił uwagę młodzieńca. - Skup się, chłopcze. Nie pozwól, by kierowała tobą żądza zemsty, nie daj się nią zaślepić i ogłuszyć. Będziesz miał okazję do zabijania, obiecuję ci, ale na razie oszczędzaj strzały. Rozumiesz?

Połocczanin niechętnie, ale kiwnął głową.

Waregowie już gromadzili się przy zaostrzonych palach na dole stoku. Rzeczywiście wydawało się, że nic nie może złamać ich żelaznego szyku. Bragi wskoczył na konia i wydawał rozkazy z jego grzbietu. Niedaleko czekał oddział jeźdźców, którym przewodził Einar Sigmarsson. Wszyscy z niecierpliwością wiercili się w siodłach i było po nich widać, jak bardzo chcą wyruszyć do bitwy.

Potem gdzieś za zasłoną deszczu ktoś zadął w róg, dając sygnał do ataku. Brzmiał niemal jak ryk boga wojny, może samego Kuguraka, którego ziemskie wcielenie wykrzykiwało rozkazy gdzieś po drugiej stronie mokradła.



- Do ataku! - wrzasnął Wargan, kiedy tylko jego przyboczny opuścił róg i znów było słychać jedynie szum deszczu w koronach drzew. - Napelnijcie rzekę wareską krwią, niech

stanie się godna swej nazwy!

Mniej więcej dwustuosobowy oddział Czeremisów zahuczał zdecydowanie, uderzył włóczniami i toporami o tarcze, po czym ruszył na przełaj przez zatopiony las. Woda sięgała im do kolan, ale poruszali się szybko, zdecydowanym krokiem, aż mętna woda tryskała nad ich głowy.

- Jaka szkoda, że nie ma dziś z nami Tugarina. - Księżę wyszczerzył się do drużynników, którzy garnęli się wokół na grzbietach nerwowo tupiących koni. - Byliście przy tym, jak wątpił w moją moc, jak kłamał, że nie jestem prawdziwym kugurakiem, że nie potrafię rozkazywać leśnym i wodnym demonom. Przekonałby się dzisiaj, że się mylił. Waregowie już wkrótce odkryją, że weszli do państwa złych duchów!

Drużynnicy zamruczeli z uznaniem i pokiwali głowami, ponieważ wiedzieli, o czym mówi wódz.

Tak, już wkrótce las zaroi się od szyrt, keremetów, menkw i wszystkich możliwych demonów.

To oni się w nich zmieniają.

Potem zacnie się rzeź.



Z podmokłego lasu najpierw dobiegł przeszywający krzyk, a po chwili przyleciały pierwsze strzały i włócznie. Z mokradła wraz z wezbraną wodą wylał się zastęp dzikich mężów. Wdrapywali się na brzeg, wskakiwali w szczeliny w rzadkiej palisadzie i z wrzaskiem uderzali na Waregów. Żelazo zadźwięczało o kamień, zabrzmiały pierwsze krzyki konających i po chwili oba nieprzyjacielskie oddziały były w pełnym zwarciu. Wzdłuż linii obrony brzmiała straszliwa bojowa wrzawa.

Bohaterzy wsiedli na konie i z siodeł obserwowali zamęt na brzegu. Co jakiś czas któryś unosił tarczę, by odbić zbłąkaną strzałę.

- Nie rozumiem tego - burknął Jegor wśród łoskotu, krzyku i jęków, zerkając to na jeden, to na drugi koniec placu boju. - Czeremisi naprawdę są aż tak głupi? Nie wiedzą, że nie złamią w ten sposób wareskiego szyku, nawet gdyby było ich tysiąc? Spójrzcie tylko, jak się rzucają wprost pod topory. Jakby owce wkładały szyje do niedźwiedzich pysków, becząc przy tym z zachwyty.

Nie można było tego ująć trafniej. Napastnicy nie mieli najmniejszej szansy na zwycięstwo. Ich włócznie, maczugi i młoty łamały się na okutych wareskich tarczach jak suche patyki. Wdrapywali się na brzeg tuzinami, nawet setkami - i w tej samej liczbie wpadali

do wody, ale już z rozbitymi głowami i rozprutymi ciałami. Stok poniżej linii zaostzonych pali zrobił się śliski od mózgow i trzewi. Straty helgardczyków były niewielkie, ich szyk nawet się nie zachwiał. Ludzie Bragiego odpierali rozpaczliwe ataki, śmiejąc się przy tym dziko, z pogardą.

- Coś tu się nie zgadza - Ilja przyłączył się do Jegora. - Wargan musiał się przecież dowiedzieć od tego zdradzieckiego psa Szarzuma, że wiemy o jego planie porannego ataku. Na pewno liczył się z tym, że będziemy się bronić, a mimo to posyła ludzi na pewną śmierć. Gdyby szybko zaatakowali i natychmiast wrócili na mokradło, zrozumiałbym, ale to... Na Peruna, co to za szalony pomysł?

Nagle w dole, w zatopionym lesie, znów zabrzmiał róg. Napór Czeremisów natychmiast ustał - napastnicy cofnęli się, unosząc tarcze nad głowy, po chwili odwrócili się i z głośnym chlupotem pędzili z powrotem na moczary. Pozostawili na zakrwawionym brzegu niemal stu zabitych i ciężko rannych.

W tej samej chwili Bragi również zadał w róg, a kiedy jego ludzie obejrzeni się pytająco, wskazał kierunek dwuostrzowym toporem.

- Naprzód! - wrzasnął. - Za nimi! Rozsiekajcie tę hałastrę!

Bohaterzy drgnęli. Wymienili spojrzenia, przekonując się, że wszyscy myślą to samo.

- Tak, już wszystko wiemy - wycedził przez zęby Światogor i szturchnął wronka piętami. - Przejrzeście plan Wargana? Liczył na wareską pychę i nie przeliczył się. Halvorsson! Słyszysz, Halvorsson?!

Bragi obejrzał się w siodle. Jego wojowie zdążyli już usłuchać rozkazu - żelazny szyk przedzierał się przez palisadę, skakał do wody i z krwiożerczym wyciem brodził za Czeremisami, siekąc ich w plecy i karki, dźgając w nerki.

- Co ty wyprawiasz?! - zawołał Jegor, zmierzając ku konungowi. - Oszalałeś?! Stójcie na miejscu, brońcie brzegu! Jeśli ruszycie za nimi, dostaną was!

Bragi spojrzał w bok.

- Einar?!

Rozbójnik podjechał bliżej, a tuż za nim około piętnastu jeźdźców, którym przewodził. Wjechali między konunga a starego bojara, który prędko ściągnął wodze. Marszczył przy tym czoło, w oczach mu pociemniało. Reszta Kijowian również miała złe przeczucia, więc za Światogorem zadźwięczały rzędy koni pozostałych bohaterów.

Drużyny stanęły naprzeciw siebie, mierząc się posępnyimi spojrzeniami.

- Ty głupcze, nie rozumiesz, że Wargan właśnie tego chce?! - krzyczał Jegor i wyciągał szyję, starając się spojrzeć Halvorssonowi w oczy. - Że usiłuje zwabić was na

bagna? To pułapka! Odwołaj ludzi, inaczej ich stracisz!

- Zamknij już dziób, staruchu! - uciszył go Bragi. - Kogo obchodzi, co ty byś zrobił? Nie będę tutaj czekać na następne rozpaczliwe ataki i zabijać ich po trochu. Chcą w ten sposób zmęczyć moich chłopców. Nie pozwolę na to. Przejdziemy od razu do przeciwnatarcia i ta wszawa hałastrza rozpierzchnie się po lesie! Einar! Pamiętasz, o czym mówiliśmy przed bramą Kazania?

- Oczywiście, konungu - potwierdził Sigmarsson, po czym zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Starał się to zrobić niepostrzeżenie, skryty za uniesioną tarczą, ale Światogor dostrzegł jego ruch.

- Myślę, że właśnie nadeszła odpowiednia chwila - złowieszczo rzekł Bragi. - Widać, że Kijowianie nie pomogą nam w boju. Zajmij się nimi.

Przy tych słowach helgardzki naczelnik odwrócił wzrok i ruszył konno ku palisadzie. Już po chwili jechał w dół po błotnistym stoku i parł na czoło atakujących wareskich oddziałów.

- Stój, Halvorsson! - Jegor wrzasnął i sięgnął po Śmierć.

Einar syknął i błyskawicznie dobył miecz z pochwy. Stojące naprzeciw siebie drużyny krzyknęły i zadźwięczały żelazem. Diwlan nie wahał się ani chwili - złośliwie wyszczerzył zęby i błyskawicznie wystrzelił. Mierzył w grdykę Einara, między krótko obciętą brodę a górną krawędź zbroi. Sigmarsson miał jednak wyczucie drapieżcy - na czas podniósł tarczę i strzała wbiła się w dębowy krąg.

- Na nich! - zawołał i machnął mieczem.

W tej samej chwili w zatopionym lesie zabrzmiały rogi. Nie jeden, ale trzy, cztery, może pięć, każdy z innego miejsca. Członkowie obu drużyn wstrzymali konie i spojrzeli w stronę mokradła.

Widzieli już tylko ostatnich ludzi, zeskakujących z brzegu do wody. Z pięciu setek helgardzkich wojów większość, w tym jadący kłusem Bragi, znikła w deszczowej szarości pod drzewami.

Nim jeszcze ucichło echo rogów, w lesie zabrzmiały krzyki. Straszliwe, dobywające się z gardeł setek drapieżców. We wrzasku Waregów, który zabrzmiał w odpowiedzi, było więcej zaskoczenia niż zdecydowania i waleczności.



Zdezorientowany Bragi rozglądał się i starał uspokoić rżącego, stojącego dęba konia.

Resztki czeremiskich napastników, gnane dotąd przez Waregów, zatrzymały się nagle,

zwarły szyki i rzuciły się odważnie na prześladowców. Jednocześnie tuż obok zabrzmiały rogi i w tejże chwili w zatopionym lesie zaroilo się od nieprzyjaciół. Z krzaków, rosochatych koron, nawet z pokrytej warstwą opadłych liści wody wynurzyli się skryci do tej pory wojowie. Były ich setki, wszyscy wymazani błotem, oblepieni liśćmi i mchem, z gałązkami i badylami przymocowanymi na plecach albo na głowach. Wyglądało to tak, jakby szara leśna gęstwina ożyła, jakby ziemne, wodne i leśne demony wynurzyły się spomiędzy drzew.

Po chwili na Waregów ze wszystkich stron, z góry, z boków i z tyłu, spadły strzały i włócznie. Większość wbiła się w tarcze albo złamała na pancierzach, ale helgardczycy i tak padali tuzinami. Pośród zamętu i na bagnistym gruncie okryci ciężkimi zbrojami synowie Północy stali się niezgrabni, niezdolni do skutecznej obrony. Kiedy tylko skończył się ostrzał, od którego jedna trzecia wojska Bragiego padła do ciemnej wody, znów zabrzmiały rogi i Czeremisi zaatakowali. Zeskakiwali z drzew, wynurzali się z topieli. Niektórzy robili to dokładnie pośrodku wareskich szyków i uderzali od razu, wykorzystując zaskoczenie wroga. Byli zręczni i szybcy, błyskawicznie rzucali się na ciężkozbrojnych, chwiejących się i zapadających w błocie, zadawali rany i znów się wycofywali, unikając wymierzanych na oślep ciosów toporów i mieczy.

- Skupić się! - wrzasnął Bragi, odrzucił tarczę rozłupaną grotem włóczni i ruszył w sam środek krwawego zamętu. - Zewrzeć szyk! Ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy!

Rozproszeni Waregowie usłuchali i cofali się prędko w stronę, z której dobiegał głos konunga.

Czeremisi atakowali ich jak rój wściekłych os. Pierścień napastników zaciskał się wokół helgardczyków niczym pętla na szyi skazańca.



Czekający na północnym brzegu mokradeł Wargan szczyrzył zęby w demonicznym uśmiechu. Usłyszał krzyk zaskoczonych Waregów i wiedział już, co się dzieje w okrytym deszczem lesie. Zaskoczyli najeźdźcę, ukarali jasnowłosych przybyszy za ich pychę, poczucie wyższości i zbytnią pewność siebie.

- Jesteś prawdziwym kugurakiem - zwrócił się do niego przyboczny; na jego twarzy malowały się podziw i trwoga. - Waregowie myślą pewnie, że atakuje ich las, ba, nawet twoi ludzie wierzą, że w ich ciała wstąpiły wściekle leśne duchy. Naprawdę przewodzisz wojsku demonów, potężny wodzu!

- Wiem. - Wargan zaśmiał się szczekliwie i dobył miecza. - Jesteśmy demonami. Jest w nas moc gniewu, moc tej ziemi i tego lasu, dlatego uderzymy! Naprzód! Niech Azyren

zbierze obfite plony!

Drużyna konnych zawyła, zazgrzytała bronią i już po chwili zjeżdżała ze wzgórza do zatopionego lasu. Około trzydziestu jeźdźców stopniowo nabierało szybkości. Mętna woda pryskała wysoko, jakby chciała się zmierzyć z ulewą atakującą z góry.



- Już po wojsku Bragiego - prychnął Jegor, oderwał wzrok od lasu, w którym rozbrzmiewały przedśmiertne okrzyki, i spojrział na Einara. - Co teraz zrobisz, zbóju?

Sigmarsson wyszczerzył zęby i wziął głęboki wdech, by wydać swoim ludziom rozkaz dokończenia tego, co zaczęli.

W tej samej chwili zabrzmiał szósty róg nieprzyjaciół. Tym razem z drugiej strony, z południa, zza obozu Waregów. Bohatryzy i ludzie Einara obejrzeni się, zaskoczeni. Pod drzewami zaroilo się od nadbiegających wrogów.

Bojarzy i helgardczycy natychmiast zrozumieli, że zostali otoczeni. Zamknęła się czeremiska pułapka. Ilja dostrzegł swoim bystrym wzrokiem co najmniej stu napastników, a była to tylko pierwsza fala. Z mokrej gęstwiny wciąż wybiegali kolejni.

- Obeszli nas! - krzyknął Mikuła i chwycił młot. - Samsonie?!

- Przysięgam na Boga, nie wiedziałem o nich! - zaklinał się Ormianin, unosząc łuk. - Musieli wyruszyć z czeremiskiego obozu krótko przed świtem, po tym, jak przestałem ich obserwować!

Jegor i Einar, jeszcze przed chwilą gotowi skrzyżować broń, wymienili spojrzenia. Po chwili obaj ruszyli na nieprzyjaciół. Swój spór rozstrzygną później, o ile uniosą głowy z pogromu.

- Na nich! - wrzeszczał mężczyzna jadący pośrodku zbliżających się sił na niewysokim, białym wierzchowcu w czarne łaty. - Zrzucić ich z koni i uciąć głowy!

Poznali Szarzuma. Atak na wareskie tyły powierzono Permiakom.

Diwlan krzyknął z radości i wściekłości zarazem. Ruszył na morderców brata. Jadąc, strzelał z łuku raz za razem. Mierzył celnie jak najlepszy koczownik - po każdym brzęku cięciwy padał jeden z napastników. Z permiackiego szyku wyleciały dwie włócznie. Jedna minęła Diwlana o włos, druga wbiła się w pierś jego rumaka. Koń zarżał, po czym padł na kolana i głowę. Połocczanin wyleciał z siodła, spadł na mokrą, udeptaną trawę, strzały wysypały mu się z kołczanu. Permiacy zawyli, chcąc się na niego rzucić, ale w tej samej chwili inni bohaterzy minęli zdychającego konia i oszołomionego, podnoszącego się z ziemi Diwlana, a po chwili zaatakowali gromadę pieszych.

- Kijóóów!

Po chwili Einar i jego ludzie zderzyli się z napastnikami.

- Odyyyyn!

Ilja w pełnym galopie przebił jednego z Permiaków na wylot, zwolnił nieco, wioząc wroga nabitego na włócznię, po czym obrócił drzewce i wraził wystający z pleców umierającego grot w ciało następnego piechura. Potem opuścił włócznię i wbił grot w ziemię. Obaj charczący wojowie przypominali teraz nabite na kijek żuki, machające konwulsyjnie kończynami. Muromiec dobył Gniew i przyłączył się do bezlitosnego rąbania permiackich głów, którym zajmowały się już dwa tuziny jeźdźców. W powietrzu latały złomki prostych hełmów, kawałki czaszek, śliskie strzępy mózgow, gałki oczne i zęby. Konie z gniewnym rzeniem gryzły i kopały, pomagając swoim panom obalać nieprzyjaciół na ziemię. Tryskało tyle krwi, że strugi deszczu, mimo że coraz gęstsze, nie nadały jej zmywać. Mimo ponadsześciokrotnej przewagi Permiaków była to więcej niż wyrównana walka. Zakuci w żelazo bohaterzy i Waregowie poczynali sobie pośród słabo uzbrojonych wrogów niczym wilki w owczej zagrodzie.

Diwlan przykląkł przy rozsypanych strzałach, podnosił jedną po drugiej i posyłał je nadbiegającym przeciwnikom. Cięciwa dźwięczała bez ustanku. Kiedy połocczanin sięgnął po ostatni pocisk, wreszcie zauważył Szarzuma. Zdrajca, jako jedyny z Permiaków walczący konno, przedostał się szczęśliwie przez wir wareskiego i bohatyrskiego żelaza. Diwlan zawył, by przyciągnąć jego uwagę. Szarzum spojrział na niego, po czym szturchnął wierzchowca piętami. Połocczanin, wciąż klęczący na jednym kolanie, naciągnął cięciwę aż do policzka. Świeżo upieczony naczelnik ludu z północnych lasów cisnął włócznię. Diwlan strzelił.

Strzała wbiła się Szarzumowi w oko z taką siłą, że grot przebił mózg i kości czaszki, na piędź wychodząc potylicą. Zdrajcę dosłownie zmiotło z siodła, jakby rzucono na niego dokładnie spleciony czar. Po chwili leżał na ziemi za końskim zadem i wił się w przedśmiertnych drgawkach.

Diwlan wydał okrzyk zwycięstwa, rzucił łuk, podbiegł do swojego zdychającego konia i zerwał z siodła tarczę. Uniósł ją akurat w chwili, kiedy spadł na nią cios topora. Jednocześnie wyrwał miecz z pochwy u boku i dźgnął atakującego go Permiaka w słabiznę. Mocno podciągnął ostrze w górę, aż z wroga wylały się trzewia. Połocczanin, zmieniony w demona zemsty, rzucił się między napastników. Rozdawał na lewo i prawo śmiercionośne cięcia i pchnięcia.

- Przebijając się! - wrzeszczał Jegor, rąbiąc Śmiercią permiackie głowy. Wyglądało to tak, jakby uderzał mieczem ogromne kadzie wina - za każdym razem tryskała czerwona

fontanna.

Masa Permiaków zwarła się w półkole. Piesi podnieśli włócznie i mimo upartego oporu jeźdźców zaczęli ich spychać z powrotem na mokradła. Kilka koni padło z rozprutymi brzuchami lub zębatymi grotami w piersi. Daniło Łowczanin, Koływan Wygnaniec i czterej Waregowie stracili konie. Musieli teraz walczyć pieszo, twarzą w twarz z nieprzyjacielem. Bohatry i drużownicy Einara zostali okrążeni przez nacierających Permiaków. Następnym pięciu jeźdźców zrzucano z siodła i przebito włóczniami lub zatłuczono kijami.

Konni ustępowali niechętnie. Zabili lub ciężko ranili ponad pięćdziesięciu wrogów, ale kolejna setka parła na nich nieustępliwie. Szybka śmierć nowego naczelnika niczego nie zmieniła.

Kolejny wareski rumak padł pod ciosem ciężkiej maczugi. Jeździec wraz ze swym wierzchowcem runął między nacierających. Jegor i Mikula, będący blisko, skoczyli pośród nieprzyjaciół i rozegnali ich uderzeniami Śmierci i młota. Dopiero wtedy poznali Warega - był to Einar. Dzięki ich pomocy zdołał się podnieść i teraz z uniesioną tarczą zmierzał ku swoim. Światogor dłużej nie zwracał na niego uwagi, bo jeden z Permiaków ciął go długim nożem w udo. Nie zdążył zadać drugiego ciosu. Jegor rąbnął go Śmiercią w ciemną tak mocno, że to, co wyrastało z szyi, straciło kształt i wygląd ludzkiej głowy.

Pół tuzina wściekłych współplemieńców skoczyło, by pomścić towarzysza.

- Odwrót! - zmienił rozkaz siwy bojar. - Ustępujemy!

- Na mokradła! - zakomenderował Einar, wymachując zakrwawionym mieczem.

- Oszalałeś? - warknął Ilja. - Tam jest jeszcze gorzej!

- Wrogowie są rozproszeni. Przebijemy się skrajem placu boju. Poza tym są pieszo, woda spowolni ich bardziej niż nas!

- W dół! Do wody! - krzyknął Jegor.

Sigmarsson szczęśliwie złapał konia jednego ze swych poległych druhów, zapanował nad nim i wskoczył na siodło. Koływan również zauważył puste siodło i złapał konia za ogłowie. W strzemieniu ciągle tkwiła noga przebitego strzałą Warega. Wygnaniec odciął ją nad kostką jednym dobrze mierzonym ciosem. Stopa sama wypadła z uchwytu. Koływan zgrabnie wskoczył na rumaka. Po kilku krokach schylił się, wyciągnął rękę i już po chwili siedział za nim Daniło Łowczanin.

- Precz! Z drogi! - wrzeszczeli jednogłośnie do wrogów.

Pod dębem chwiały się zlane potem, osłabiony gorączką Kościej. Jeden z Permiaków dostrzegł go, wyszczerzył zęby i pobiegł ku niemu, wymachując maczugą z wbitymi grotami z brązu. W zapale nie usłyszał tętentu po swej prawej stronie. Ilja jednym cięciem Gniewu

pozbawił go ręki z maczugą. Ranny zawył i zatoczył się. Od lewej podjechał Mikuła i obalił go na ziemię jednym uderzeniem młota. Z masywnego żelaznego obucha spadł strzęp mózgu.

Muromiec przerzucił miecz do lewej dłoni i pochylił się w siodle.

- Prędko, bracie!

Kościej resztką sił chwycił podaną mu rękę. Tuż obok Mikuła szarpnął wodze.

- Ja go wezmę!

Nie było czasu na dyskusje. Ilja łatwo podniósł wychudzonego mężczyznę, podał go Sielanowiczowi i pomógł mu przewiesić go przez siodło.

- Uciekajmy!

Szturchnęli piętami końskie boki. Pozostali zjeżdżali już po śliskim stoku, przeciskali się przez szczeliny w splamionej krwią palisadzie i skakali do płytkiej wody. Muromiec osłaniał tyły, obalał nadbiegających Permiaków druzgocącymi ciosami Gniewu. Na brzegu, tuż nad przewróconymi palami, zatrzymał Buruszka i odwrócił się w siodle.

- Diwlanie! - krzyknął.

Połocczanin nie usłyszał go albo nie chciał usłyszeć, kto wie. Został na miejscu, wokół niego roило się od wrogów. Nie cofał się ku brzegowi, stanął w rozkroku i uderzeniami tarczy i wyszczerbionego miecza powalał na ziemię jednego nieprzyjaciela za drugim. Napastnicy rzucili się na niego jak wilki na zgonionego jelenia i wkrótce skryli go przed wzrokiem uciekających bohaterów.

- Diwlaaan!

Ilja zawrócił Buruszka, chcąc jechać towarzyszowi z pomocą, ale w tej samej chwili Połocczanin krzyknął boleśnie i z kotłowaniny wyleciał jego zakrwawiony hełm. Po chwili głos młodzieńca ucichł jak nożem uciął.

Muromiec zaklął cicho, ale paskudnie. Szarpnięciem wodzy zawrócił konia w stronę mokradła i ruszył za pozostałymi bohaterami. Permiacy gonili go, wyjąc nienawistnie. Zasypali go strzałami, które jednak odbijały się od cudownej zbroi. Jeden grot wbił się w zad Buruszka, ale dzielny konik tylko zarżał w odpowiedzi, raczej ze złości niż z bólu, i biegł dalej.

Jeździec i jego wierzchowiec na pół zjechali, na pół ześlizgnęli się po najeżonym palami brzegu. Kopyta zachlupotały w wodzie. Ilja skręcił w prawo za swymi druhami, chcąc przemknąć między placem boju na mokradłach a brzegiem pełnym Permiaków. Zdał sobie sprawę, że został mocno w tyle - jadący klusem bohaterzy znikali już w ulewie. Buruszko też to zauważył i sam z siebie przyspieszył. Mętna woda tryskała spod kopyt, na jej niespokojnej powierzchni pływały zwłoki, strzały, połamane drzewce włóczni i strzępy odzieży.

Nagle gdzieś po lewej stronie, za drzewami, rozległ się łomot i krzyk. Mimo braku nadziei resztki helgardzkiego wojska uparcie stawiały opór nieprzyjaciołom. Ilja zmusił Buruszkę do zwolnienia biegu i obejrzał się. W tej samej chwili z gęstwiny kilka sążni od niego wyłonił się jeździec.

Muromiec poczuł się dziwnie.

Człowiekiem jadącym prosto na niego był Bragi Halvorsson.

Za konungiem brodziło kilku ocalałych Waregów. Jeden po drugim padali, przebici strzałami i grotami włóczni. Po chwili z krzaków za plecami uciekinierów wypadła gromada zabłoconych, rozbestwionych, nieludzko wyjących Czeremisów. Kiedy dostrzegli kolejnego umykającego jeźdźcę, rozkrzyczeli się jeszcze głośniejsze i nałożyli nowe strzały na cięciwy.

- Co tak stoisz, głupcze, uciekaj! - konung wrzasnął na Ilję.

Do odgłosów ulewy i mlaskania kopyt w błocie dołączył świst strzał. W szyi ostatniego wareskiego piechura utkwiał kościany grot. Mężczyzna padł twarzą do wody, lotki strzały sterczały mu z karku. Zaraz potem padł koń Bragięgo. Muromiec, odbijając strzały tarczą, zaklął.

I zawrócił Buruszkę.

Błyskawicznie znalazł się koło zdychającego konia Halvorssona i zsunął się z siodła. Woda sięgała tu ledwie do połowy uda, ale życie władcy helgardczyków i tak wisiało na włosku - leżał w bagnie, przygnieciony przez swego postrzelonego wierzchowca. Halvorsson znikł pod powierzchnią mętnej wody. Młócił rękami, chlapał i bulgotał, ze wszystkich sił starając się wynurzyć. Nie udawało mu się - jego noga uwięzła między siodłem a dnem bagna. Ilja, wciąż okryty tarczą, przyskoczył do rumaka, wbił Gniew w dno, wolną prawą ręką złapał kulę siodła i bez wysiłku uniośł zdychające zwierzę. Bragi poczuł, że ciężar się zmniejszył, więc wypelzł spod konia. Muromiec puścił siodło, złapał miotającego się rozpaczliwie Halvorssona za rękę i wyciągnął go na powierzchnię. Konung usiłował złapać dech, krztusił się i parsknął.

Nadbiegali Czeremisi. Ciągłe strzelali z łuków, ciskali włócznie i ze wszystkich sił wypatrywali wareskiego wodza, chcąc zyskać cenne trofeum - jego głowę. Ilja odwrócił się do nich lewym bokiem i osłonił tarczą zarówno siebie, jak i siedzącego w wodzie Bragięgo. Kościane i kamienne grotki odbijały się od lśniącego okucia.

- Na Odyna, złamałem nogę! - wyjął Halvorsson.

Jeden z czeremiskich grotów wbił się w siodło Buruszkę. Konik zarżał, ale o dziwo nie rzucił się do ucieczki. Zamiast tego zarżał z gniewu, rzucił się na Czeremisów i wpadł między nich jak demon. Połowa z nich padła w wodę. Żebra jednego z nich pękły pod

końskim kopytem, z jego ust trysnęła krew.

Bohater, wciąż skulony za tarczą, wyrwał Gniew z bagnistego dna i ruszył na Czeremisów. O tarczę zadudnił najpierw grot włóczni, potem maczuga. Bojar ciął na oślep. W bok poleciało coś zakrwawionego, drgającego i wściekle wrzeszczącego. Muromiec ciął znowu, i jeszcze. Pękały kości, zza skraju tarczy padały krople krwi. Nagle rozległ się odgłos kopyt i między Ilją a dzikusów wpadł jeździec. Bohater w pierwszej chwili pomyślał, że to któryś z jego towarzyszy wrócił, żeby mu pomóc. O ileż większe było jego zdziwienie, kiedy zobaczył Einara Sigmarssona. Rozbójnik bez ociągania zaczął rąbać mieczem czeremiskie głowy.

- Pomóż Bragiemu! - huknął Wareg.

Muromiec cofnął się do konunga, który tymczasem wstał z głośnym jękiem, przytrzymując się szorstkiego pnia brzozy.

- Wytrzymaj, Halvorsson! Wezmę cię na konia! Buruszko!

Konik zarżał i pobiegł z powrotem. Jego głos zagłuszył dźwięk ostrego metalu lecącego w powietrzu. Ilja w ostatniej chwili dostrzegł kątem oka cień ciśniętej włóczni i uniósł tarczę.

Grot minął go o pół sążnia. Nie on był celem.

Zadźwięczało żelazo. Muromiec obejrzał się. Czeremiski grot wbił się w pierś Bragięgo z taką siłą, że przeszył pancerz. Żelazne łuski z pluskiem wpadały do wody. Halvorsson zacharczał, zatoczył się i osunął się po pniu brzozy.

Czeremis, który cisnął włócznię, krzyknął zwycięsko. Po chwili jego głowa, ozdobiona dumnym uśmiechem, poleciała w bok, gładko ścięta mieczem Einara.

- Kijóóów! - wrzasnął ktoś. Z ulewy wynurzyli się wreszcie bohaterzy i ocalali druhowie Einara. Nagłym wypadem zmiotli pozostałych Czeremisów.

- Muromcze, wsiadaj! - krzyknął Alosza, wyraźnie zły na siebie, że zmarnował okazję, by odwdziżyć się druhowi za wcześniejsze ocalenie życia. - Permiacy nas gonią!

Ilja pochylił się nad padającym Bragim, złapał go za głowę i utrzymał ją nad powierzchnią.

- Dinara - wychrypiał Halvorsson. Może chciał powiedzieć coś jeszcze, ale na jego wargach pojawiła się spieniona krew i splamiła mu brodę. Zacharczał, zadrżał konwulsyjnie i jego spojrzenie zgasło. Po chwili skonał. Kiedy Muromiec go puścił, twarz helgardzkiego konunga znikła pod powierzchnią brązowej, nieprzejrzystej wody. Tylko sterczące drzewce i rozlewająca się krwawa plama wskazywały miejsce jego ostatniego spoczynku.

Buruszko niecierpliwie parsknął nad uchem Ilji. Z lasu rzeczywiście dobiegały

okrzyki i chlupot oznajmiające nadejście Permiaków. Muromiec odwrócił się i złapał za kulę siodła. Wspinając się na grzbiet wiernego konika, zauważył, że Einar wpatruje się w niego uparcie, nie potrafił jednak zgadnąć, co znaczy to spojrzenie.

To nie był czas na rozmowy. Obaj szturchnęli konie piętami i ruszyli przez mokradło na wschód. Prowadził ich Samson, który dzięki nocnej wyprawie zwiadowczej najlepiej znał okolicę. Gdzieś w zatopionym lesie za ich plecami wybrzmiewały przedśmiertne jęki helgardzkich Waregów. Stopniowo zagłuszał je zbiorowy okrzyk, dudniący w mokrej gęstwinie w widłach Kundyszu i Czerwonej Rzeki.

- Ku-gu-rak! Ku-gu-rak!



- Ku-gu-rak! Ku-gu-rak!

Wargan kłusował po placu boju z dumnie uniesioną głową i mieczem w zaciśniętej pięści. Spod kopyt konia tryskała krwawa woda. Szeregi jego zastępów mocno się przerzedziły, ale pijani zwycięstwem Czeremisi schodzili się ze wszystkich stron i rzucali przed naczelnika ścięte głowy Waregów, które pływały po powierzchni wody. Rumak władcy rozgarniał je nogami niby spadłe liście.

- Ku-gu-rak, ku-gu-rak! - grzmieli wojownicy i z szacunkiem pochyłali głowy, niektórzy nawet klękali w błocie.

Wargan czuł, że wszystko się zmieniło. Już nie kłaniali mu się tylko ze strachu. Dzisiaj okazywali prawdziwą cześć i podziw. Mimo ogromnych strat - zginęła niemal połowa jego ludzi - pobili strasznych Waregów. I to właśnie on poprowadził ich do zwycięstwa.

Tak - pomyślał, kiedy w środku podmokłego, zlanego krwią lasu wspiał konia na tylne nogi i wzniosł ku niebu rękę z mieczem - dzisiaj stałem się prawdziwym kugurakiem. Od tej pory jestem prawowitym władcą demonów!

Czeremisi wznosili okrzyki na jego cześć. Z nieba lały się strumienie wody.



Znowu tonął w ciemności, strasznej, mokrej, zimnej. Był pewien, że wrócił do lochu pod Kokszałą. Wydarzenia, które poprzedzały ponowne zanurzenie w mroku, stały się mieszaniną niejasnych, wyblakłych obrazów, pamiętał jednak, że bitwa w deszczu skończyła się źle. Potem wieziono go gdzieś, podczas gdy on nieustannie mdlał i pogrążał się w ciemności, tylko od czasu do czasu rozjaśnianej odblaskiem światła. Ostatnim razem widział bohaterów jadących szybkim kłusem przez niekończący się niegościnnie las. Niektórzy oglądali się ze strachem, klęli i krzyczeli coś o zbliżających się Czeremisach. Po

chwili rozległ się rozziewający uszy wrzask, zadźwięczała broń, zarżały konie, wszechobecna mokra szarość pokryła się plamami jasnej, żywej czerwieni. Wtedy właśnie pękły słabe więzy, łączące go z jasną stroną świata, i padł w objęcia ciemności. Coś mu mówiło, że zostali doścignięci i pokonani, a jego samego powleczono z powrotem do śmierdzącego lochu. Tym razem naprawdę zgnije za życia, bo już nie ma nikogo, kto by go oswobodził...

Mrok wokół niego wirował dziko, a w tym wirze obracały się i rwały czerwone pasma, słabe odbicie fontann krwi, które widział, zanim pogrążył się w ciemności. Nagle w czarno-czerwonym zamęciu zabłysło migotliwe światło płomieni. Starał się odwrócić wzrok. Kiedy się poruszył, wszystko go zabolalo. Usłyszał własny jęk. Ból i głos brzmiący tak, jakby próbował połknąć rdzę, przekonały go, że wreszcie się obudził i że ten ogień jest prawdziwy.

-...i kiedy tak galopowaliśmy pod górę, do wieży, pewni zwycięstwa, nagle czarne smoczysko wylazło ze swego stuletniego więzienia, rozpostarło skrzydła, otworło paszczę i...

Zdał sobie sprawę, że ten, kto opowiada, nie mówi po czeremisku. Zaświtał mu promyk nadziei, że może jednak nie znajduje się w lochu pod skałami Kokszaży. Kiedy wśród bóleści odzyskał do reszty przytomność, poznał mówiącego i nagle zrozumiał, że zdołali się przebić i umknąć prześladowcom.

Znow się poruszył i zachrypiał głośnie.

- Patrzcie, chyba się ocknął!

- Gówno prawda, znowu majączy w gorączce...

- Gdzie tam, naprawdę się budzi. Oho, próbuje otworzyć oczy!

Usłyszał tupot stóp, szum podniesionych głosów, widział cienie na tle niespokojnego światła ogniska. Pochylali się nad nim, podpierali mu głowę, zwilżali usta świeżą wodą i ocierali spocone czoło.

- Bogom niech będą dzięki, gorączka się zmniejszyła - powiedział ktoś. - Polepsza mu się.

- Sława! - odparł ten, któremu bezlitośnie przerwali opowiadanie o suwarskim smoku.

- Najwyższy czas.



Już wczoraj rano przestało padać, ale ziemia wciąż była nasiąknięta wilgocią. Gdziekolwiek człowiek stąpnął, chlupotało mu pod nogami, Muromcowi to jednak nie przeszkadzało. Kiedy wróci do chaty w leśnej kotlinie, gdzie drużyna znalazła schronienie, wyciągnie nogi w stronę ognia i buty wyschną raz-dwa.

Doszedł aż do skraju świerkowego lasu, wysoko na stoku, skąd rozciągał się widok ku zachodowi. Nad bezkresnym, jednolitym, gęstym leśnym kobiercem już zapadał mrok, ale rozerwane chmury, ocierające się o daleki widnokrąg, były jeszcze ognistoczerwone od promieni zachodzącego słońca. Wyglądały jak krwawa mgła wznosząca się nad miejscem niedawnej bitwy. Ale szcęk broni nad Czerwoną Rzeką ucichł już przed czterema dniami, a krew rozbitego wareskiego wojska dawno popłynęła na południe do Itilu...

Ilja spojrział w stronę lasu.

- Einar? - zawołał stłumionym głosem.

- Tu jestem, Muromcze - zabrzmiało z cienia pod drzewami.

Sigmarsson siedział na kozuchu rozłożonym między wystającymi korzeniami dorodnego świerka. Długą włócznię miał opartą o ramię. Nieopodal, na ułamanej gałęzi, wisiał róg, aby strażnik mógł natychmiast zadąć na trwogę, gdyby zauważył zbliżające się niebezpieczeństwo.

- Masz, najedz się. - Bojar podszedł do niego i wyciągnął rękę z prostą drewnianą miską.

- Sarnina? Z grzybami? - Wareg powąchał potrawę. - Myślałem, że rano wyjedliśmy wszystko aż do dna kociołka.

- Wyjedliśmy, wytarliśmy palcami, a niektórzy nawet wylizali garnek. To nowa porcja. Alosza i Samson polowali cały dzień i leśne duchy im sprzyjały.

- Ach tak. - Einar przytknął krawędź miski do warg i siorbał gorącą polewkę. Potem wybierał palcami kęsy chudego mięsa i miękkie kawałki grzybków, niecierpliwie wkładał je do ust i żuł, mlaszcząc.

- Nic się nie dzieje? - Ilja rozejrział się.

- Nic. Krótko przed zmrokiem w lesie u stóp wzgórza zabeczał kozioł.

- W nocy się ochłodziło, zaczęła się ruja...

- Wiem, ale i tak w pierwszej chwili się zląkłem, że przyszli Czeremisi z psami myśliwskimi. Że nas wytropili. Po chwili do mnie dotarło, że to niemożliwe. Ta przekłeta ulewa nas uratowała - splukała wszystkie ślady, zarówno odciski kopyt, jak i zapachy...

- Miejmy nadzieję, że wszystkie. Wargan pewnie się zastanawia, co się stało z dwoma tuzinami jeźdźców, których za nami wysłał.

W ciemności załśniły wyszczerzone zęby Sigmarssona.

- Ich też już nie znajdą. Przywiązaliśmy głaz do każdego trupa. Zostaną na dnie jeziora, dopóki ryby nie ogryzą ich do kości... Na Thora, to była niezła potyczka.

- Dobra... - Muromiec umilkł na chwilę, jakby nie chciał przeszkadzać towarzyszowi

w jedzeniu. Potem dodał: - Przykro mi, że straciłeś nad jeziorem ostatnich druhów. Wygląda na to, że z całego wareskiego wojska ocalałeś tylko ty...

- Na pewno ktoś jeszcze przeżył - ponuro burknął Wareg. - Rozproszyli się po lesie i Czeremisi teraz na nich polują. Tak samo jak na nas.

- Słuchaj, Einarze...

- Co?

- Zastanawiam się, dlaczego właściwie to zrobiliście, tam nad jeziorem, rano po bitwie. Podczas gdy my galopowaliśmy jak najdalej od wroga, wy trzej zawróciliście i zastąpiliście drogę Czeremisom. Zanim zdaliśmy sobie sprawę, że chcecie spowolnić pościg, i zawróciliśmy, żeby wam pomóc, już tylko ty walczyłeś...

Sigmarsson wzruszył ramionami i wysiorbał resztę polewki.

- Tak czy siak, deptali nam po piętach i dopadliby nas jeszcze tego samego dnia. Nie miałem ochoty dłużej uciekać. Zatrzymałem konia i zapytałem moich ludzi, czy chcą umrzeć jak zające, czy jak wilki. Nie muszę ci mówić, co odpowiedzieli.

- Nie, nie musisz. Uczę się myśleć jak wy. Dziwię się tylko... zrozum... to wygląda, jakbyście się dla nas poświęcili. Dzień wcześniej staliśmy naprzeciw siebie na brzegu mokradła i gdyby nie atak Permiaków, pewnie byśmy się pozabijali, a ty nagle robisz coś, co być może ocaliło życie Kijowianom, nam wszystkim. Nie mogę tego pojąć.

- Ja też nie. - Woj z Północy zaśmiał się chrapliwie, niewesoło. - Może przypomniałem sobie wtedy, że ty zawróciłeś po leżącego Bragiego i odbijałeś własną tarczą czeremiskie strzały. Potrafisz wyjaśnić, co tobą kierowało?

- Nie - szczerze przyznał Ilja. - Ale... tak bywa w czasie bitwy.

- Właśnie. W boju wszystko może się zdarzyć. Stojąc twarzą w twarz z prawdziwym wrogiem, zdajesz sobie sprawę, że nie możesz pozwolić, by twój towarzysz broni utonął pod zdychającym koniem, nawet jeśli wcześniej odebrał ci kobietę. Możesz też zrozumieć, że nie ma sensu się mścić, bo wszystko się zmieniło. Nawet najwięksi zapaleńcy w końcu stygną i zaczynają myśleć rozsądnie. Spotkała nas klęska, nas wszystkich. Tkwimy w lesie gdzieś na ziemiach nieprzyjaciela i dokądkolwiek pójdziemy, grozi nam śmierć. W tej sytuacji naprawdę nie ma sensu dłużej się kłócić.

- Mówisz rozsądnie - zgodził się zadumany Muromiec. - Powiedz, co właściwie zamierzasz? Zostaniesz z nami? Dołączysz do drużyny?

- Słyszałem, co zamierzacie zrobić. Kiedy tylko ten chory... ten, jak on...

- Kościej.

- No. Dziwne imię... Kiedy minie mu gorączka, ruszycie na północ, jeszcze głębiej

w paszczę nieprzyjaciela, właściwie w samo gardło. Spróbujecie pojechać wzdłuż Czerwonej Rzeki, której brzegi roją się od czeremiskich zbójów jak padlina od czerwini... Ostrożnie przemkniecie koło Kokszi i pojedziecie dalej, w ponure czudzkie lasy, gdzie zamierzacie walczyć z czarodziejami, smokami i innymi potworami z bylin...

Ilja zaśmiał się sykliwie.

- Nasze plany nie wyglądają ani zbyt zachęcająco, ani rozsądnie.

- Ani trochę. - Einar wyszczerzył zęby. Wybierał ostatnie grzyby, przylepione do ścianek miski. - Ale to na pewno będzie świetna zabawa. Poza tym słyszałem opowieści o wielkiej złotej figurze pośrodku czudzkich lasów, o wyspie Bujan, na której wznosi się Alatyr, wielki kawał bursztynu. Chciwy wareski łupieżca, taki jak ja, nie powinien się oprzeć. Kusi mnie to, i to mocno, przyznaję, ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi „nie”, Muromcze.

- Aha. Czyli ruszysz swoją drogą?

- Tak. Tam, nad jeziorem, spłaciłem dług Bragiego wobec was. Rany też mi się prawie zagoiły. Myślę, że już jutro rano wsiądę na konia i pojedę z powrotem na zachód, ku Czerwonej Rzece...

- Szukać rozproszonych wareskich wojów, tak?

- Owszem. Ci ludzie potrzebują mnie teraz bardziej niż wy. Pojadę wzdłuż rzeki na południe i po drodze będę zbierać uciekinierów. Na pewno jakichś spotkam, modłę się o to do wszystkich bogów Asgardu. Najważniejsze jednak to ostrzec wareskie obozy nad Itilem. Czeremisi wsiedli na konie, mogą postanowić, że ruszą w stronę Długiej Rzeki, spustoszą kupieckie osady i opanują jej brzegi aż po Kazań. Postaram się ostrzec tamtejszych mieszkańców.

- Rozumiem. - Bohatyr kiwnął głową. - Właściwie to znowu mnie zaskakujesz. Nie spodziewałbym się tak szlachetnych zamiarów po... zwykłym... No wiesz.

- Po rozbójniku? - Sigmarsson uśmiechnął się pod nosem i oddał bojarowi miskę. - Wszyscy jesteśmy zbójami, Muromcze. Jak myślisz, co robimy w samym środku obcej ziemi, z zakrwawionymi mieczami w rękach? Nie myśl sobie, że jesteś lepszy niż ja.

- Nie myślę. Naprawdę nie. - Ilja zabrał pustą miskę. - Czyli rano wyjeżdżasz.

- O świcie.

- Przypuszczam, że nie masz zamiaru nikogo ścisnąć ani ronić łez. - Muromiec uśmiechnął się półgębkiem. - Lepiej pożegnam się z tobą już teraz.

Einar popatrzył na wyciągniętą rękę, jakby się wahał, ale po chwili mocno uściśnął dłoń Ilji.

- Życzę ci szczęścia, Sigmarssonie. Może się jeszcze kiedyś spotkamy. Mam nadzieję,

że w miłszych okolicznościach. Niech cię chronią bogowie.

- Ciebie też, Muromcze. Was wszystkich. Kto wie, czy moc bogów sięga tak daleko na północ, w cudzkie lasy. Możliwe, że panują tam biesy.

- Wszędzie są jacyś bogowie, bracie. Zmieniają się w demony, kiedy my, śmiertelnicy, ich rozniewamy. Ale postaramy się tego uniknąć.



- Cztery dni - wychrypiał Kościej i siorbnął z miski, którą Mikuła regularnie przystawiał mu do ust. - Tyle... straconego czasu...

- Niewiele brakowało, byś wyzionął ducha. - Jegor podszedł bliżej. Wyraźnie utykał, a jego udo było obwiązane długim pasem białego płótna. - Gdybyśmy galopowali dalej, już byś gryzł leśną ziemię. Wolałbyś to? Na szczęście uwolniliśmy się od Czeremisów i znaleźliśmy tę opuszczoną chatę myśliwego. Nie myśl sobie, że zatrzymaliśmy się tylko ze względu na ciebie, my też musieliśmy odpocząć, wylizać się z ran i pomyśleć, co dalej. Może tego nie pamiętasz, ale wyprawa wojenna przeciw Warganowi nie była szczególnie udana.

- Szczerze mówiąc - wtrącił Sielaninowicz i znów pomógł choremu napić się polewki - skończyła się klęską. Helgardzkie wojsko zostało rozproszone i wybite, zginął nawet sam Halvorsson. Nikt się nie spodziewał, że dostaniemy takie baty.

- Czeremisi ciągle rządzą nad brzegami Czerwonej Rzeki - ciągnął Światogor. - Podróżowanie na północ oznacza narażanie się codziennie na śmiertelne niebezpieczeństwo. Powinniśmy się dobrze zastanowić, co mamy robić.

- Co... to znaczy? - Kościej zaczął kaszleć i dość długo trwało, zanim przestał. - Że się boicie... ruszyć na północ?

- Strach nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu nie wiadomo, czy mamy tam po co jechać.

Błady chudzielec spojrział na niego bystro.

- Czyli twoim zdaniem... nie ma po co jechać? - zaatakował, a mimo że ciągle miał słaby głos, słyszeli w nim ostrzeżenie, może nawet groźbę. - Myślisz, że nie trzeba... ścigać Tugarina? Myślałem, że to już... wyjaśnione. Ten sukinsyn jest w stanie...

- Bardzo dobrze wiemy, do czego jest zdolny Tugarin - ostro przerwał mu Mikuła. - Nie musisz nas ciągle pouczać jak małych chłopców. Zdajemy sobie sprawę z zagrożenia i zrobimy wszystko, by pokrzyżować Drakowiczowi plany, tylko że staruszek ma rację. Powinniśmy oszacować nasze siły.

- Przede wszystkim musimy się zastanowić - myślał na głos Koływan - czy właściwie

możemy jeszcze przeszkodzić Suwarowi. Ma ogromną przewagę, poza tym właściwie nie wiemy, którądy pojechał. Już go pewnie nie wyśledzimy.

- Trzeba też pomyśleć o tym - dołączył Alosza - czy gdzie indziej nie będziemy bardziej użyteczni. Co się stanie, jeśli Czeremisi, ośmieleni zwycięstwem, ruszą na południe i zaczną łupić ziemie nad Itilem? Czy nie powinniśmy...

- Nie powinniśmy - przerwał mu Ilja, który właśnie wszedł do chaty, skrzypiąc drzwiami. - Einar pojedzie rano na zachód i nad Czerwoną Rzeką skręci na południe. Pojedzie nad Itil i ostrzeże wszystkich, obiecał mi to.

- Obiecał? - Alosza się skrzywił. - Ten wareski rozbójnik? Gdyby Bragi się za nim nie wstawił, jego głowa już dawno sterczałaby z murów Bułgaru i wrony wydziobywałyby jej oczy. Ty wierzysz w jego obietnice?

- Wierzę - powiedział Muromiec tonem, który zakończył wszelkie spory na temat wiarygodności Einara. - Nie wątpię też, że potrafimy wytropić Tugarina. Ktoś taki jak on nie może zniknąć. Deszcze zmyją jego ślady, ale nie uczynki.

- Uważasz więc, że powinniśmy się trzymać pierwotnego planu i naprawdę pojechać na północ? - Jegor zapytał poważnie, z widocznym zainteresowaniem.

- Zdecydowanie. - Ilja pochylał się nad wiszącym u ognia kociołkiem i nabrał do pustej miski Warega resztę polewki z sarniny. - Jeśli chodzi o czary, wierzę Kościejowi. Skoro on uważa, że należy się bać, znaczy to, że zamiary Drakowicza są niezwykle groźne. Nie powinniśmy się w ogóle wahać, czy za nim jechać. Możliwe, że w naszych rękach jest los nie tylko Bułgarii, ale nawet samego Kijowa.

Bohaterzy zaczęli mruzczyć, w większości na znak sprzeciwu lub wątpliwości. Tylko Jegor, który słuchał Muromca zamyślony i groźnie zasepiony, zaśmiał się nagle głośno, choć niewesoło, i pokręcił głową. Umilkli i spojrzeli nań pytająco.

- Słyszycie go? - Rechotał i wskazywał na Ilję, który usiadł na stołku i zaczął jeść. - Jest najmłodszy w drużynie, właściwie zielony, a mimo to jako jedyny z nas rozumie jak prawdziwy bohater!

- Co masz na myśli, na zadek Welesa? - burknął Mikuła. - Rzadko się zdarza, że wzniosła młodzieńcza gadka jest oznaką męstwa!

- Doprawdy, bracie? Ależ Ilja trafił w sedno! Dostaliśmy zadanie. Tak, jest bardziej niebezpieczne niż cokolwiek, w czym do tej pory braliśmy udział, wliczając atak na suwarską smoczą wieżę. Wiedzieliśmy od początku, że wypełnienie misji jest niezwykle ważne, że Tugarin to wróg, którego musimy zniszczyć. Teraz zaczynamy się wahać, wzdychać i lamentować jak stare baby z bolącymi plecami. Chcemy się wycofać. Ukrywamy to,

udajemy, że kierujemy się rozsądkiem, a tak naprawdę to zwykle samolubstwo i słabość. Po prostu mamy powyżej uszu tych deszczowych, niegościnnych lasów, lichej stawy, zimna i tutejszych śmierdzących dzikusów, którzy tylko czyhają, żeby nam wyrwać serce. Chcielibyśmy wrócić do Bułgaru, do wygodnych pałacowych komnat, dzbanów wina, pieczonych łabędzi i przymilnych rusalek z haremu emira. Wstyd, bracia! Wstyd, że tak myślimy. Nie wstąpiliśmy na służbę u księcia, żeby się wylegiwać w pościeli i napełniać brzuchy dobrym jadem. Jesteśmy bohaterami, kwiatem kijowskiego wojska, nie możemy myśleć o własnej korzyści. Najważniejsza jest nasza wzniosła misja, czyli walka z nieprzyjaciółmi Kijowa i naszego gosudara, wielkiego księcia Światosława. Ostrzegam cię, Daniło! - Spojrzał z ukosa na Łowczanina. - Jeśli ośmielisz się wtrącić jakieś szyderstwo albo uszczypliwość, tak cię walnę w łeb, że ockniesz się jutro rano!

Daniło zrozumiał, że Jegor mówi poważnie, więc czym prędzej zamknął usta.

- Kiedy byliśmy młodzi - Światogor zwrócił się do pozostałych - też myśleliśmy jak Ilja. Wierzyliśmy w coś. To jest chwila, w której powinniśmy sobie o tym przypomnieć. O prawdziwym celu bohatera. To próba, bracia, i musimy wyjść z niej zwycięsko. Machniemy ręką i podkulimy ogon czy zdobędziemy się na odwagę, pojedziemy i będziemy walczyć ku chwale Kijowa i naszej drużyny?

Bojarzy milczeli ponuro, ale to był dobry znak, ponieważ świadczył o głębokim zamyśleniu. Słowa Jegora rzeczywiście ich zawstydziły.

- Z drugiej strony - przywódca drużyny spojrział na Kościeja - to prawda, że przed tą wyczerpującą i niezwykle niebezpieczną wyprawą musimy dojść do siebie, wszyscy jak tu siedzimy. Wyruszymy dopiero wtedy, kiedy będziemy zdrowi, silni i gotowi.

- Ale tymczasem Tugarin...

- Wiem, Kościeju, wiem. Ale nie możemy jechać od razu. Lepiej dotrzeć do celu później i stawić czoło skutkom spóźnienia, niż nie dotrzeć w ogóle.

Mikuła spojrział na niego.

- Ooo, cóż za mądrość. Czy tak mówią w tej carogrodzkiej szkole, w której uczą myśleć?

- Kiedyś dostaniesz w pysk, Sielaninowiczu, i przestaniesz się z tego śmiać. Kościeju? Zgadzasz się na nasz plan?

- A mam jakiś wybór?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Niech więc będzie po waszemu... Ale pamiętajcie, że was ostrzegałem.

- Uwierz nam, nie lekceważymy twoich złych przeczuć. Teraz się połóż i śpij, żebyś

jak najprędzej wyzdrowiał i nabrał sił. My też nie chcemy tkwić do wiosny w tej zapchlonej czeremiskiej dziurze.



Nad ranem zaczęło mżyć, a zanim rozedniało, w koronach drzew znowu zaszumił deszcz. W chacie, przycupniętej w dzikich ostępach gdzieś między rzekami Juszut a Kundysz, palił się ogień, a przy nim rozbrzmiewał smutny śpiew Mikuły Sielaninowicza:

*Przed moimi oczami
ciemność ponura.
To włosy mej milej
czy burzowa chmura?*

Bohaterzy siedzieli wokół ogniska ramię przy ramieniu, ze zwieszonymi głowami, każdy pogrążony we własnych myślach. W milczeniu wspominali Diwłana i Boroweja, stopniowo przypominali sobie innych bliskich, którzy odeszli już do bogów. Każdy z nich kogoś stracił. Suchan i Daniło myśleli o swoich biednych żonach i dzieciach. Koływan gorzko wspominał śmierć brata, zabitego po pijanemu w ataku gniewu. Jegor Światogor zbłądził myślami ku kijowskiej księżnej Heldze z czasów, kiedy miłość budziła w nich młodzieńczą namiętność. Samson pędził stado owiec po zielonych stokach Kaukazu, a pomagała mu jego najmilsza - to było na długo przed tym, jak arabscy najeźdźcy zabrali ją w niewolę i powlekli do Bagdadu. Alosza znowu widział Uliczów poległych w bitwie z Rusami Swenelda, w tym własnych braci. Ilja martwił się o Dinarę, która gdzieś tam w dolnym biegu Itilu śniła o ukochanym Bragim i nie miała pojęcia, że jej dziecko nigdy nie zobaczy ojca. Przypominał sobie krewnych ze spalonego Karaczarowa, zwłaszcza biedną matkę...

Tylko Kościej nikogo nie wspominał. Przeszłość nic dla niego nie znaczyła. Gorączkowo myślał o przyszłości i zastanawiał się, co mu przyniesie. Czy na dobre pogrąży się w mroku, czy może wróci do światła? Był gotów na wszystko, ponieważ wiedział, że przeznaczyli mu to bogowie.

*To nie ciemna chmura
i nie milej włosy,
tylko czarne skrzydła
i okrutne głosy.
Wrona głośno kracze,
oczy mi wykluwa,
w polu leży ścięta*

moja młoda głowa.

KSIĘGA TRZECIA

Matka Weży

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Złota Baba

K

iedy tuż przed nimi rozległo się głośnie plaśnięcie, Alosza zląkł się i skulił. Naciągnął cięciwę łuku, który do tej pory niósł swobodnie, mimo że nałożył strzałę.

- Spokojnie. - Ilja uśmiechnął się, choć sam też w pierwszej chwili schował głowę w ramionach. - To tylko bóbr.

- Bóbr? Na pewno?

- Na pewno. Spójrz, tam są ślady.

Książewicz obejrzał się w kierunku wskazanym przez Muromca. Zauważył wśród gęstwiny świeżo ogryziony pieńek w kształcie ociosanego krańca bala palisady. Ziemia wokół była pokryta warstwą trzasek, wyrwanych silnymi siekaczami.

- Nie gadaj, to one zrobiły? - zdziwił się Alosza. Pochodził z plemienia Uliczów, które mieszkało w stepowych okolicach nad dolną Sławutyczą, więc widział coś podobnego pierwszy raz w życiu. - Myślałem, że bobry to po prostu takie przerośnięte szczury, a ty twierdzisz, że zdołały przegryźć tamto drzewo? Pień jest gruby na jakieś dwie piędzie...

- Bóbr potrafi powalić takie drzewo w ciągu jednej nocy. To bardzo uparte stworzenie. I bardzo ostrożne. Ma śmieszny płaski ogon, a kiedy widzi zbliżające się niebezpieczeństwo, uderza nim głośno o powierzchnię wody. Plaśnięcie, które słyszeliśmy, to ostrzeżenie dla innych zwierząt.

Bohaterzy przeszli obok ogryzionego pnia i weszli w gęstwinę rozdartą przez powalone drzewo. Było pozbawione niemal wszystkich gałęzi - stworzenia odgryzły je i wykorzystały do budowy swojej siedziby. Młodzieńcy zauważyli ją w momencie, gdy wyszli z chaszczki na brzeg niewielkiej rzeki.

- A niech mnie piorun. - Książewicz wytrzeszczył oczy. - To zbudowały zwierzęta?

Przecież to prawdziwa tama!

Ulicz nie przesadzał. Rzekę przegradzała masywna konstrukcja ze starannie splecionych gałęzi. Dzięki niej wąskie skaliste koryto zmieniło się w jezioro, a pomysłowe stworzenia mogły wygodnie pływać, pracować i rozmnażać się.

- Może by tak upolować jednego? - przyszło do głowy Aloszy. - Skoro potrafia powalić takie drzewo, muszą być wielgachne...

- To prawda. Niektóre ważą trzy pudy - potwierdził Ilja. - Ale teraz trudno byłoby je upolować. Wszystkie schowały się w żeremiu, a wejście jest pod powierzchnią wody. Gałęzie są tak mocno splecione, że nawet głodny niedźwiedź nie dałby sobie z nimi rady. Żeby się dostać do środka, trzeba mieć dobrze naostrzoną siekierę i nieźle się przy tym napocić. Nie warto. Chodźmy lepiej na ryby.

Obeszli bобрzą tamę, wypatrując stworzeń pod falującą powierzchnią wody. Rzeczywiście, migają tam cienie.

- Naprawdę się znasz na leśnych zwierzętach - zauważył Książewicz. - W ogóle jak na człowieka, którego bracia znaleźli gdzieś w dalekich muromskich lasach, jesteś bardzo mądry. Odkąd się poznaliśmy, uważnie cię obserwuję. Wiesz dużo o krajach, których nigdy nie odwiedziłeś, znasz mnóstwo starych opowieści, mówisz po waresku i w języku plemion znad Sławutyczy. Powiedz, skąd ci się to wzięło?

- Bo ja wiem? - Muromiec wzruszył ramionami, nieco zakłopotany. - Może przez to, że jeszcze do niedawna byłem kaleką. Nie mogłem swawolić jak inni junacy, nie biegałem za dziewczynami, nie brałem udziału w polowaniach, chociaż bardzo tego chciałem, możesz mi wierzyć. Zamiast tego uważnie patrzyłem i nasłuchiwałem. Wzdłuż Oki wędrowali cudzoziemscy kupcy, kijowscy, chazarscy, ba, nawet arabscy, i nie omijali Karaczarowa. Często zachodzili do mojej matki, sławnej wiedźmy, po wróżbę albo jakiś cudowny lek, czasami też po cielesną uciechę. Słuchałem ich opowieści o dalekich krajach, uczyłem się mowy... Nie jestem mędrcom, Aloszo. Mam tylko dobrą pamięć i to wszystko... Hej, tam przy kamieniu! Widziałeś ją?

- Widziałem. Głowacica, wielka, waży przynajmniej pół puda, wystarczyłaby na wieczerzę dla wszystkich. Spróbujesz ją ustrzelić?

- Jeżeli spróbuję, wszyscy będziemy głodni. - Ilja zaśmiał się. - Nieszczególny ze mnie łucznik.

- Nie bądź taki skromny! Od chwili, kiedy zacząłeś ze mną ćwiczyć, zrobiłeś widoczne postępy. Poza tym masz cudowny łuk, którego nikt poza tobą nie potrafi napiąć. Widziałem, jak w lesie za Kokszażą zastrzeliłeś czeremiskiego zwiadowcę, który próbował

się schować za własnym koniem. Strzała przeleciała przez zwierzę i miała jeszcze dość siły, żeby przebić chłopa...

- To, że mam dobry łuk, jeszcze nie czyni ze mnie strzelca. Wtedy trafiłem właściwie przypadkiem. Łowisz ty, koniec rozmowy.

- Jak chcesz.

Ulicz wyraźnie się ucieszył, jak zawsze, kiedy towarzysz przyznawał, że ustępuje mu pod jakimś względem. Od chwili, kiedy Muromiec uratował go przez krwiożerczymi strzygami i wyniósł na własnych plecach z lochu w lasach nad Mokszą, Książewicz starał się spłacić dług. Nie udało mu się, a co gorsza, w Suwarze to Ilja ponownie uratował jego, a podczas niedawnej ucieczki przed Czeremisami Alosza zmarnował okazję, żeby mu się odwdziaczyć. Stale trzymał się blisko Muromca i czekał na nową sposobność, jednocześnie czuł się przy nim trochę jak młodszy brat, którego starszy musi nieustannie wybawiać z kłopotów. Chętnie przeto uczył Ilję strzelać z łuku - w tym miał przewagę, mógł wydawać polecenia i dzięki temu czuł się równy przyjacielowi. Ilja czasami umyślnie podnosił go na duchu - tak jak teraz.

Alosza stanął w rozkroku z prawą nogą na brzegu, a lewą na kamieniu wystającym nad powierzchnię wody. Znieruchomiał i wycelował w fale przed sobą. Jego strzała była zakończona grotem z haczykami, a w jednej trzeciej promienia łucznik przywiązał długą linkę, której koniec podał druhowi.

Czekali w skupieniu, wstrzymując dech z napięcia. Potem koło kamienia pod stopą Ulicza pojawił się ciemny kształt.

- To ona - syknął Ilja i mocniej chwycił sznurek.

Książewicz oblizał wargi i pomału naciągnął cięciwę aż do policzka. Ryba przepłynęła pod nim, mącąc wodę wielkim ogonem.

- Teraz - szepnął Muromiec.

Alosza wahał się, mierzył starannie, mrużąc oczy.

- No już! Ucieknie ci...

Prędko puścił cięciwę. Rogowe ramiona łuku odskoczyły i strzała z pluskiem znikła w rzece. Ryba zaczęła się rzucać, biła ogonem powierzchnię, aż pryskała woda.

- Trzymaj ją, Iljo, trzymaj! - krzyknął strzelec i zeskoczył na brzeg.

- Trzymam!

Postronek napiął się natychmiast - głowacica usiłowała odpłynąć na głębszą wodę, na próżno. Muromiec pociągnął, uśmiechając się zwycięsko. Zdobycz zaczęła się rzucać jeszcze mocniej, zmącona woda zaczerwieniła się od krwi. Ryba nie miała szans - promień wykonano

z dobrego drewna, sznurek z mocnego lnu, a haczyki wbiły się głęboko. Ilja wyciągał głowacicę na brzeg bez pośpiechu, od czasu do czasu popuszczając linkę jak doświadczony rybak. Kiedy tylko zaczęła plaskać ogonem między kamieniami na brzegu, Alosza wyciągnął topór zza pasa i uderzył ją obuchem w głowę, aż chrupnęło głośno.

- Będzie rybna polewka - cieszył się, podnosząc drgającą jeszcze zdobycz. - Popatrz, co za okaz! Jak ręka Mikuły... - Zerknął na towarzysza i natychmiast ucichł. Muromiec spoglądał w inną stronę, gdzieś w górę rzeki, ponad bobrzą tamą. Ulicz nawet nie musiał widzieć niepokoju w oczach Ilji - wystarczyło, że zobaczył, jak lewą ręką podnosi tęgi łuk, a prawą sięga do kołczanu.

- Co się dzieje? - Rzucił rybę na brzeg i również sięgnął po łuk.

- Tam coś jest - szepnął druh i nałożył strzałę na cięciwę. - Bobry nie plaskały ogonami ze strachu przed naszą dwójką. Wyczuły coś innego. Groźniejszego.

Alosza usłyszał szelest zarośli nad rzeczką. Po chwili rozległo się mruczenie i jakieś dwanaście kroków przed nimi z krzaków wypadło coś krępego, włochatego, a przede wszystkim niezgrabnego.

- Niedźwiadek! - Książewicz zaśmiał się i opuścił broń. - Taki mały kudłacz, a tak nas wystraszył...

- Milcz, głupcze - warknął Muromiec. Było po nim widać, że zaniepokoił się jeszcze bardziej. Niemal strzygł uszami, uparcie wsłuchując się w odgłosy lasu. - Tam, gdzie jest niedźwiadek, musi być też niedźwiedzica, a w tutejszych lasach nie ma nic groźniejszego od niedźwiedzicy z młodym.

Ledwie wymówił te słowa, z cienia pod drzewami dobiegło mruczenie. Nie było jednak miłe i beztroskie jak u niedźwiadka, wprost przeciwnie - brzmiała w nim śmiertelna groźba.

Ilja zamarł i pomału odwrócił głowę. W krzakach ledwie parę kroków od nich złowieszczo lśniły oczy drapieżnika. Kiedy przyjrzeni się dokładniej, zauważyli potężne, ciemne cielsko. Zwierz kołysał się z boku na bok, jakby miał zamiar zaatakować. Muromiec przełknął ślinę. W jego rodzinnej wsi wierzono w wiele przesądów. Jeden z nich głosił, że każdy niedźwiedź jest ucieleśnieniem złego boga Erlika, władcy zaświatów i łowcy duchów.

- Wszyscy święci, brońcie nas... - wychrypiął Alosza i ze strachem cofnął się do wody. Plusk zabrzmiał w grobowej ciszy jak odgłos gromu.

- Nie ruszaj się - syknął Ilja. Zwykle nie wierzył w podobne bajędy, ale tym razem coś mu mówiło, że naprawdę stoi twarzą w twarz z samym władcą demonów. W jaki inny sposób dorosły niedźwiedź mógłby się podkraść tak blisko nich? Bohatyra miał dobry słuch, na pewno

usłyszałby zwierzę tej wielkości poruszające się w gęstym lesie. Musiało w tym być coś nadprzyrodzonego...

Ogromny stwór nie ruszył się na razie z miejsca, tylko obserwował. Słyszeli niski warkot wydobywający się zza ostrych zębów. Niedźwiedziatko, głupiutkie i bardzo ufne, ruszyło wzdłuż brzegu prosto w ich stronę.

- Nie idź tu! - wyjęczał Ulicz przez zaciśnięte zęby. Słyszysz, uszaty łbie? Sio! Wracaj do lasu i zabierz ze sobą mamę!

Malec nie rozumiał i nie posłuchał, wciąż szedł kołyszącym się krokiem prosto na nich. Ostrzegawczy warkot niedźwiedzicy przybrał na sile. Majestatyczny cień w gęstwinie poruszył się, gałązki popękały pod ciężkimi łapami, usłyszeli też odgłos drapania.

- Nie ruszaj się, Iljo - wycedził przez zęby Książewicz. Zdał sobie sprawę, że wreszcie ma okazję spłacić dług. Opanował strach i pomału uniósł łuk. - Uratuję cię. Powalę tego potwora jedną strzałą!

Niedźwiedzica zatrzymała się, jakby wiedziała, co jej grozi. Młode tymczasem przydreptało aż do stóp bohaterów, wiedzione zapachem martwej głowacicy. Wietrzyło głośno, potem zaczęło szturchać rybę nosem, zlizywać rzadką krew z rany od strzały, a łapką o krótkich pazurkach obracać łuskowate ciało.

- Kiedy zaatakuje - wydyszał Muromiec, wpatrując się w potwora w zaroślach - musisz ją trafić prosto w serce.

Leśny potwór uniósł głowę i głośno, mrukliwie zaryczał. Jednocześnie grzebnął łapą w ziemi, aż z zarośli wyleciały połamane gałązki, kawałki mchu i grudki ziemi. Alosza skulił się i lotka strzały połaskotała go po policzku. Teraz! Teraz bestia wreszcie wylezie z cienia i będzie mógł wycelować. Wystarczy jedna dobrze wymierzona strzała...

Zwierzę nie zaatakowało, na przekór wyraźnym groźbom i okazywanej złości pozostało na miejscu. Muromiec wyprostował się i przymrużył oczy. Coś tu się nie zgadzało. Słyszał wystarczająco wiele historii o krwawych atakach rozwścieczonych samic, by zrozumieć, że w tym wypadku jest inaczej.

Nagle zrobił krok w bok, przez co wszedł między niedźwiedzicę a strzałę Aloszy.

- Co ty wyprawiasz?! - syknął Ulicz.

- Chodźmy stąd - odparł stłumionym głosem. - Ona nie ma zamiaru atakować, tylko grozi i próbuje nas odpędzić. Posłuchamy. Oddalimy się powoli, ostrożnie. Zostawimy rybę. To będzie ofiara, okup za nasze życie.

Książewicz chciał zaoponować, ale druh już cofał się wzdłuż brzegu bobrzeżnego jeziora. Ulicz posłuchał i szedł za nim z łukiem wciąż gotowym do strzału. Niedźwiadek nie

zwracał na nich uwagi, szturchał rybę i próbował ją gryźć. W miarę jak się oddalali, jego matka wynurzała się krok za krokiem z półmroku lasu. Zatrzymała się wreszcie przy brzegu, między cofającymi się ludźmi a młodym. Była ogromna, pokryta ciemną, niemal czarną sierścią. To rzeczywiście Erlik - pomyślał Ilja.

- Niech mnie pioruny... - wycedził przez zęby, kiedy dotarli do przewróconego pnia, wzdłuż którego zeszli do rzeki.

- Co?

- Nie widzisz? To niedźwiedź, samiec. Bardzo stary, spójrz tylko na siwe włosy na jego pysku.

- Uhm. Rzeczywiście ciekawe - uciął Alosza. - Możemy już iść? Jeszcze trochę, a będę potrzebował czystych spodni.

Kiedy się wreszcie odwrócili i weszli szybkim krokiem między drzewa, niedźwiedź parsknął gniewnie po raz ostatni, po czym spojrzął na młode, pochylił głowę i jednym kłapinięciem rozerwał rybę na pół.



- Czyli dzisiaj znowu pójdziemy spać głodni - wymruczał Mikoła i głośno zaburczało mu w brzuchu, jakby dla podkreślenia złego humoru woja.

- Spać? - parsknął Daniło. - Pomyśl dobrze, Sielaninowiczu. W pobliżu kręci się niedźwiedź, może rozszarpać konie, będziemy musieli ich pilnować przez całą noc.

- Jeszcze lepiej. Jutro będziemy głodni i niewyspani, pospadamy z siodeł z wyczerpania. Niech zaraza weźmie taką...

- Zamknijcie dzioby, co? - uciął rozdrażniony Ilja. - Mówicie tak, jakby to była wina Aloszy i moja, że nagle pojawił się niedźwiedź i zabrał nam zdobycz. Jeśli chcesz z nim powalczyć o rybę, Mikoła, mogę ci wytłumaczyć, jak dojść do bohrzej tamy. Właściwie jesteś bardzo podobny do tego niedźwiedzia. Może to twój daleki krewny...

- Nie złość się, Muromcze, i nie obrażaj mnie. Ja tylko... Przecież mnie znasz. Kiedy jestem głodny, muszę zaraz coś zjeść, inaczej jestem ponury i złośliwy jak stara panna. Może zostało nam trochę placków? Albo kawałek sera?

- Nic - odparł Koływan, który zajmował się zapasami. - Dobrze wiesz, że jedzenie skończyło się już dawno. Nie mamy nawet okruszków, które można by wydostać z dna juków poślinionym palcem. Możemy zjeść tylko to, co złowimy. Obrok dla koni też się kończy, zostało tylko trochę na dnię worków. Przydałoby się znaleźć jakieś ludzkie osiedle i uzupełnić zapasy.

- Możesz pomarzyć. - Sielaninowicz mlasnął, jakby miał nadzieję, że znajdzie resztki jedzenia w przerwach między zębami i chociaż trochę się nasyci. - Policzyłem. Od siedmiu dni nie widzieliśmy żadnych oznak ludzkiej obecności i przestaję wierzyć, że je zobaczymy. Hej, Kościeju, daleko jeszcze? Wedle tego, co mówiłeś, powinniśmy już być na ziemi Czudów...

- Jesteśmy - odezwał się zgarbiony mężczyzna, zakutany w futrzany płaszcz. Jak zwykle siedział na uboczu, pogrążony we własnych ponurych rozmyślaniach. Odezwał się tylko wtedy, gdy ktoś go o coś zapytał, a i wtedy skąpił słów, zupełnie jakby nie był członkiem drużyny, mimo że to właśnie on wskazał im drogę, którą wspólnie wędrowali. - Nie pomyliłem się.

- Doprawdy? - szydził Mikuła, którego najbardziej drażniły małomówność i samotnictwo Kościeja, może dlatego, że wyczuwał w nich pychę. Czasami rzeczywiście wyglądało na to, że były czarownik nie rozmawia z nimi, bo uznaje, że nie są tego warci. - Zostawiliśmy Koksagę za plecami już... dziesięć dni temu. Później widzieliśmy jeszcze parę czeremiskich osad, a dalej już tylko niegościny, bezludny las. Drzewa, drzewa, tu i tam jezioro, rzeka albo polana, a potem znowu drzewa, drzewa, drzewa. Właściwie skąd wiesz, że jedziemy we właściwym kierunku? Już dawno zgubiliśmy trop Tugarina. Jeśli będziemy jechać dalej na oślep, któregoś dnia zajedziemy na koniec świata.

- Nie boję się tego - odezwał się Suchan Radymicz. - Powinniśmy się raczej martwić, że w tej dziczy zastanie nas zima.

- Też tak myślę - zgodził się Łowczanin, co było niezwykle, bo przeważnie kłócili się z Suchanem i dogryzali sobie. - Musimy znaleźć jakieś osiedle.

- A co potem? - rzucił Alosza. - Przecież nie mamy za co kupić zapasów...

Popatrzyli na niego, z początku podejrzliwie, przypuszczali bowiem, że żartuje, kiedy jednak zrozumieli, że Ulicz mówi poważnie, zaczęli się krzywo uśmiechać.

- Kupić? - złowieszco odezwał się Radymicz. - Dlaczego mielibyśmy kupować?

- Może dlatego, że nie jesteśmy parszywymi rozbójnikami? - Ilja stanął w obronie Książewicza.

- Tylko młodość - szyderczo zaczął łysy Suchan - usprawiedliwia waszą prostoduszność. Z czasem zrozumiecie, że życie jest całkiem inne niż w bohatyrskich pieśniach. Szlachetność to wymysł gęślarzy. Nie mamy nic na wymianę, to prawda, więc będziemy musieli napadać i kraść. A może wolicie zdechnąć z głodu?

- Możemy coś upolować, a potem sprzedać futro i poroże - zaproponował Ulicz, uparcie trwając przy swych zasadach. - Poradzimy sobie...

- Jak z tym niedźwiedziem?

- Słuchaj, Radymicz, nie było cię tam, więc wsadź sobie łaskawie te docinki w...

- To naprawdę był samiec? - Jegor, który myślał o czymś zupełnie innym, przerwał zaostrażający się spór.

Ilja spojrzał na niego.

- Wierz mi, batuszko, umiem odróżnić niedźwiedzia od niedźwiedzicy.

- Dziwne. Stary niedźwiedź z młodym, to naprawdę niezwykle...

- Wiem, dlatego nie pozwoliłem Aloszy strzelać. Coś mi mówiło, że... - Wzruszył ramionami.

- Co?

- Nie wiem. Takie dziwne uczucie...

- Bałeś się, że strzeli do samego Erlika? Że go wcale nie zrani, bo to nieśmiertelny demon, który natychmiast się zemści i powlecze wasze dusze do jakiejś piekielnej jamy, gdzie będą się wiecznie wić w okrutnych mękach?

- Jak na chrześcijanina opisałeś to bardzo barwnie, batuszko... Tak, może przyszło mi to do głowy, ale może być i tak, że czułem się dziwnie z innego powodu...

Wtedy rozległ się tętent. Bohatryzy podnieśli głowy i sięgnęli po broń.

- Tylko spokojnie - rzekł Koływan. - To Samson.

Rzeczywiście, z pogrążającego się w ciemności lasu wynurzył się Samojłowicz na małym koniku. Spojrzeli na jego siodło z nadzieją, że zobaczą przytroczoną sarnę albo chociaż zająca czy cietrzewia. Zręczny łucznik rzadko kiedy wracał z wypraw zwiadowczych bez zdobyczy, ale tym razem czekało ich rozczarowanie. Ormianin niczego nie upolował. Miał za to ciekawe nowiny.

- Znalazłem ślady.

- Niedźwiedzie? - burknął Mikuła. - To już wiemy, Muromiec i Ulicz natknęli się na...

- Ludzkie.

Bojarzy z przejęcia zeskoczyli z kamieni i kłód, na których siedzieli.

- Gdzie? Ile? Jak daleko? - przekrzykiwali się.

- Nie wrzeszczcie tak. - Światogor odepchnął ich i złapał konia Samojłowicza za ogłowie. - Mów, Samsonie, co widziałeś?

- Ścieżkę wiodącą w stronę wzgórz na północnym wschodzie. - Ormianin wskazał kierunek przez las. - Jest dobrze udeptana, codziennie ktoś nią chodzi. Na jej skraju stoją kamienie, ledwie obrobione, ale widać, że ktoś próbował im nadać postać niedźwiedzi.

- Erlik. - Ilja się zasepił. - Demon z zaświatów. Jarman mówił, że to bóstwo Czudów.

Jeżeli są tam figury, w pobliżu musi być święte miejsce, jaskinia, może gaj, coś takiego. Może tam żyje prawdziwy niedźwiedź i miejscowi zanoszą mu ofiary.

- Ten potwór, którego dziś spotkaliśmy, może tam mieć swój barłóg - rzucił Alosza. - To wcale nie tak daleko...

- Też mi to przyszło do głowy - zgodził się Muromiec. - Powinniśmy się dobrze zastanowić, czy tam jechać. W miejscu składania ofiar może na nas czyhać prawdziwy drapieżnik, mogą nam też grozić czary złego Erlika. Albo jedno i drugie.

- Iljo, przestań już, skąd w tobie tyle przesądów? - skarcił go Jegor. - Niedawno cię chwaliłem, że rozumiesz jak prawdziwy bohater, a teraz skomlesz niczym wieśniak, który się boi własnego pierdzenia, bo uważa, że to oznaka działania sił nieczystych. Powiadam, pojedźmy ścieżką, zobaczymy, dokąd prowadzi. Nie zapominajcie, że każda droga ma dwa końce. Jeśli na jednym jest święte miejsce, na drugim musi być ludzkie osiedle, jakaś wioska lub obóz. Już się ściemnia, a my musimy gdzieś przenocować. Siedziby Czudów mogą być blisko...

- Wszyscy już zapomnieliście, co Jarman opowiadał o tutejszych mieszkańcach - odezwał się Koływan Wygnaniec. Zazwyczaj mówił rozsądnie i trzeźwo, ale w ostatnich dniach on też nasłuchiwał się strasznych opowieści. - Podobno Czudy to złe karły, które rzucają czary, rozmawiają z demonami i zmieniają się w zwierzęta...

- Przestańcie wreszcie powtarzać te pogańskie bajędy! - mruknął rozdrażniony Światogor. - To wszystko brednie, karmione strachem przed obcymi. Coś wam opowiem. Kiedy Światosław miał jeszcze mleko pod nosem, a Helga twardą ręką rządziła księstwem, spędziłem jedną zimę z małym księciem w Nowogrodzie. Spotkałem tam Waregów, którzy mieszkają nad Jeziorem Białym. Przypominam sobie, że przywieźli wielki ładunek pięknych futer oraz łośiowych i jelenich poroży. Twierdzili, że kupili je od małych ludzi z głębokich lasów na wschodzie. Na pewno mieli na myśli Czudów. Nie wspomnieli ani słowem o tym, że z nimi walczyli ani że coś im groziło. Dlatego myślę, że to zwykli ludzie, tyle że mieszkają daleko od innych plemion, czczą innych bogów i mają dziwne zwyczaje, dlatego sąsiedzi opowiadają o nich same głupoty. To tak, jak z Wiatyczami. Przypomnijcie sobie tylko, jak przy wyjeździe z Kijowa niektórzy przysięgali, że Wiatycze to ludożercy i wilkołaki. Dopiero w ich kraju przekonaliśmy się, że to ludzie tacy jak my i że nawet kłaniają się podobnym bogom. No to jak, jesteście kijowskimi bohaterami czy zasranymi tchórzami?

- Coś w tym jest. - Ilja podrapał się po długo niegolonej twarzy. - Na południu mówi się wprawdzie, że Czudowie są podli i podstępni, ale nie pamiętam, by ktokolwiek rzeczywiście u nich był i widział jakiś ich zły uczynek na własne oczy. Same opowieści

z drugiej ręki.

- Z drugiej? - Siwy bojar uśmiechnął się. - Co najmniej z ósmej. Poza tym, skąd wiemy, że Samson rzeczywiście natrafił na ślady Czudów?

- Jeśli to oni, naprawdę są mali, batuszko - odezwał się Samojułowicz. - Ślady na ścieżce były bardzo małe, jakby kobiece albo dziecięce...

- Karły czy nie, w tej chwili jest mi wszystko jedno. Jestem głodny jak wilk i chcę zjeść wieczerzę - dobitnie powiedział Mikuła. Jakby dla podkreślenia tych słów spod jego kolczugi znów dobiegł dźwięk przypominający tarcie smyczkiem źle nastrojonych gęśli. - Jeżeli droga prowadzi na miejsce ofiarne, tym lepiej. Na pewno znajdziemy jakieś jedzenie przyniesione dla bogów. Do Czudów pojedziemy później, kiedy już będziemy syci i wypoczęci.

Ilja spojrzał na niego karcąco.

- Słyszysz, co mówisz, bracie? Najpierw chcesz zbezcześcić ich święte miejsce, a potem się z nimi bratać? Myślisz, że przywitają nas z otwartymi ramionami?

Sielaninowicz jakby nie słyszał, wkładał już nogę w strzemię swego rumaka. Pozostali bohaterzy też się nie ociągali i prędko wsiadali na konie. Po tylu dniach wędrówki przez jednostajną, bezludną dzicz serca były im z podniecenia na samą myśl, że zobaczą ślady ludzkiej obecności. W tej chwili nie wyobrażali sobie, że spotkanie może zagrozić ich życiu.

Buruszko z Ilją w siodle biegł klusem na samym końcu drużyny.



Ścieżka wiła się między wysokimi sosnami. W miarę jak bohaterzy wędrowali na północ, stopniowo znikwały lasy liściaste, typowe dla kraju Czeremisów. Nie było tu gajów brzozowych, tak częstych w dolinie Czerwonej Rzeki, a dąbrowy i buczyny poprzerały świerkami i jodłami. Pstre kolory jesiennych liści zastąpiła ciemna zieleń igieł. Widzieli coraz więcej śmigłych sosen z niemal gołymi pniami i postrzępionymi wierzchołkami.

Ściemniało się z wolna. Do lasu wkradał się wieczorny chłód. Z nozdrzy koni oraz nosów i ust ludzi wydobywała się biała para.

- Jesteśmy już blisko - uprzedził Samson.

Bohaterzy zauważyli zgrubsza obrobione kamienie i bez jego ostrzeżenia. Mocno zacisnęli palce w skórzanych rękawicach na drzewcach włóczni, majdanach łuków, rękojeściach mieczy, styliskach toporów i uchwytach tarcz. Zwolnili. Jechali stępa, by konie nie robiły zbędnego hałasu.

Nagle w gęstniejącej przed nimi szarości coś zamigotało. Drużyna zatrzymała się jak

na rozkaz. Rumaki parskały niespokojnie - zwierzyły coś złego lub nadprzyrodzonego.

- Popatrzmy. - Mikuła uniósł się w strzemionach. Kręcił głową i starał się lepiej dostrzec źródło blasku między sylwetkami smukłych sosen. - Ten twój niedźwiedzi bies, Iljo, musi mieć niezwykle zręczne łapy, skoro potrafi rozpalić ogień.

- Czy to na pewno ogień? - powątpiewał Jegor i mrużył krótkowzroczne oczy. - Faluje jak odbicie słońca na powierzchni wzburzonej wody. Kościeju? Ty tu jesteś od tego, żeby wiedzieć. Masz pojęcie, co jest przed nami?

- Nie wiem - odparł białowłosy człowiek, garbiący się na grzbiecie stojącego na uboczu konia. - Musimy podjechać bliżej i przekonać się na własne oczy.

- Najważniejsze, żeby to nie był jakiś czarodziejski błędny ogień - zauważył Sielaninowicz. - Taki, który wabi przypadkowych podróżnych i wiedzie ich do zguby. Omami nas, przytępi wzrok, a kiedy pojedziemy za nim bezmyślnie, spadniemy z końmi w przepaść albo utoniemy w bagnie...

- To ogień - przerwał mu Ilja, który przedarł się na Buruszku na czoło drużyny. - Odbija się od czegoś błyszczącego, stąd to dziwne migotanie. Jedźmy dalej.

Ruszyli stępa. Konie niezbyt chętnie szły po ścieżce, która z każdym krokiem robiła się bardziej kamienista i podkowy dzwoniły na niej tępo. Tajemnicza złotawa jasność rozlewała się migotliwie w rzadkim lesie, a ponieważ wraz ze zmrokiem kraj okryła mgła, światło było nieziemsko łagodne.

- Mocni bogowie. - Muromiec westchnął, kiedy wreszcie wyjechali spod sosen.

- Matko Boska. - Alosza przeżegnał się. Pozostali bojarzy również szeptali cicho. Ogarnął ich święty zachwyty.

Zatrzymali się u podnóża niewysokich skałek, porośniętych u góry sosnową gęstwiną. Ścieżka bynajmniej się tu nie kończyła. Ginęła w wąskim, złowieszco ciemnym korytarzu, rozcinającym szare głązy. Bohatyrzy przyglądali się przede wszystkim nieruchomemu strażnikowi, stojącemu przed wejściem do wąwozu. Mimo że wszyscy byli wysocy i siedzieli na grzbietach roslących rumaków, musieli dobrze wyciągać szyje, by go dokładnie obejrzeć.

- Ten przeklęty Czeremis miał rację - wychrypiął Jegor, mając na myśli nieszczęsnego Jarmana. - Wiecie, co to jest?

- Oczywiście - spokojnie odezwał się Kościej. - Złota Baba.



O skały opierała się kamienna figura, wysoka na więcej niż trzy sążnie. Miała kształt siedzącego człowieka i była tak zniszczona przez wiatr, wodę i mróz, że nie sposób było

stwierdzić, na ile jest dziełem przyrody, a na ile rąk ludzkich. Między podkurczonymi nogami, w niszy łona, płonął święty ogień. Jego światło odbijało się od całego splotu metalowych łańcuszków, którymi obwieszono kumir, a także huśtających się na nich amuletów, posążków i klejnotów, na ogół w postaci świętych zwierząt.

- Czy to złoto? - spytał Daniło, który najmniej z całej drużyny poważał i bał się bogów, zarówno własnych, jak i obcych. Pod tym względem wyprzedzał nawet chrześcijańskich bojarów, którzy pierwsi powinni czuć niechęć czy wręcz wstręt do pogańskiego bałwana. Było jednak widoczne, że tak nie jest.

- Złoto i srebro - potwierdził Mikuła tonem, który zdradzał, że myśli teraz o wszystkim, ale nie o zdobyczy. - W każdym razie ogień świadczy o obecności ludzi, więc nie musimy się bać, że leziemy prosto w paszczę niedźwiedzia.

- Jesteś taki pewny? - burknął Ilja i głęboko wciągnął powietrze. Nie patrzył przy tym na kumir, ale na wąż. Czuł zapach podobny do tego, który wywęszył na dole koło bobrzego jeziora. Zapach drapieżcy, władcy lasu. Konie też go zwietrzyły, wybałuszały oczy, parskaly ze strachu i próbowały się cofać. - Czuję coś innego. To może być niezwykle niedźwiedź, który nie boi się ognia. Założę się o sto złotych grzywien, że ten czarny potwór, którego spotkaliśmy dzisiaj z Aloszą, nie zląkłby się płomieni.

- A skąd byś wziął sto złotych grzywien, synku? - Jegor zlekceważył jego słowa. - Widać, że to święty ogień, ktoś musi podsycać płomienie. Wygląda na to, że mieszka tam. - Przyjrzał się ścieżce. - Kto pójdzie na zwiady?

- Ja - odparł Muromiec, mimo że musiał wcześniej przełknąć ślinę. Od samego patrzenia na czarny korytarz robiło mu się zimno. Wstydził się jednak, że wyszedł dziś na przesądny strachajkę, chciał więc udowodnić, że jego serce nie zmieniło się w kupę gnoju.

- Pójdę z tobą. - Samson zsunął się z siodła.

- Ja też - dołączył Alosza. - Będziemy strzec twoich pleców.

Muromiec, Ormianin i Ulicz ostrożnie weszli do korytarza w stromej skale, wzięli głęboki wdech, wymienili spojrzenia i po chwili wkroczyli na straszną drogę. Muskularny Ilja zabrał tarczę i włócznię, drobniejsi południowcy jak zwykle polegali na swoich łukach - nieśli je ze strzałami nałożonymi na cięciwy.

W wąwozie Ilja czuł się tak, jakby miał we wnętrzościach węgorza, który wije się niespokojnie. Ze wszystkich pęknięć i szczelin w ścianach wystawały zęby ludzkie i zwierzęce czaszki. Te pierwsze były nieco mniejsze niż zwykle, ale nie wyglądały na dziecięce, należały raczej do dorosłych, w pełni rozwiniętych ludzi. Kolejny dowód, że opowieści o Czudach były prawdziwe.

Już po kilku krokach skinął na łuczników, by poruszali się jeszcze ciszej. Nie musiał im wyjaśniać dlaczego. Do wąskiego korytarza skądś wnikało słabe światło. Pomału, ostrożnie szli w jego stronę. Wkrótce skręcili i wąwóz zmienił się w niewielką kotlinę, zamkniętą ze wszystkich stron skośnymi skalnymi ścianami.

Tam, na wprost nich, pod ogromnym skalnym nawisem, stała ludzka siedziba.

Patrzyli na nią w milczeniu. Była to prosta, niska chata z grubych kłód, z trzciniową strzechą i ścianami obwieszonymi skórami oraz łośiowym i jelenim porożem. W przedniej ścianie rysował się otwór bez drzwi, zakryty kolejną skórą. Przez szczeliny było widać światło ogniska. Za domkiem czerniał kolejny wąwóz, ten jednak wspinał się ostro w górę, w stronę skalnych wierzchołków. I coś się w nim wiło. Muromiec przyjrzał się dokładnie i zauważył, że w skalnej wnęce wisi solidny łańcuch.

Podkradali się do chaty coraz wolniej i ostrożniej. Już wkrótce migotliwe światło, przenikające koło skóry, świeciło im pod nogi. Samson zatrzymał się nagle, skinął na druhów i wskazał im ziemię. Ilja i Alosza przyjrzeni się uważnie. Zamarli.

Tuż pod progiem chaty ziemia była miękka, ilasta, przez co zostawały na niej ślady. Muromiec wytrzeszczył oczy na ich widok. Odciski łap ogromnego niedźwiedzia mieszały się ze śladami bosych ludzi, przy czym niektóre były małe, jakby kobiece, niektóre zupełnie małe.

Bohaterzy wymienili spojrzenia. Wszyscy zadawali sobie to samo pytanie: „Dziecko? Tutaj?”. Co najdziwniejsze, ludzkie i niedźwiedzie ślady były jednakowo świeże.

Trójka bojarów spojrzała po sobie. Z chaty nie dobiegały odgłosy rozmowy ani wykonywania jakiegokolwiek czynności, mimo że wyraźnie słyszeli trzaskanie drew w ognisku. Podeszli jak najbliżej z uniesioną bronią. Już rozpoznawali obrzędowe obrazy, wypalone w drewnie na przedniej ścianie budynku. Bezpośrednio nad wejściem prosty okrąg z promieniami, znak słońca, po bokach wizerunki łośia, niedźwiedzia i człowieka-łowcy. Słaby wiatr wiejący w wąwozie poruszał kośćmi, piórami i rzeźbionymi drewniakami rozwieszonymi pod strzechą.

Nagle coś poruszyło się wewnątrz chaty i zasłoniło światło migoczące po bokach skóry. Samson i Alosza napięli cięciwy łuków, wystraszony Muromiec się cofnął. Jedno uderzenie serca później odzyskał odwagę. Wziął głęboki wdech, odgarnął skórę grottem włóczni i przygotowany do zadania ciosu, przekroczył próg. Otwór drzwi był niski, więc musiał mocno pochylić głowę. Zanim zdążył się wyprostować, ktoś odezwał się zaskakująco miłym głosem, w którym brzmiało rozbawienie:

- Nareszcie, Iljo. Wejdz śmiało, czekam na ciebie od dłuższego czasu.



- Skąd znasz moje imię?! Mów, bo inaczej...

- Nie szafuj groźbami, bohaterze. Odłóż włócznię. Nie godzi się, by gość groził bronią gospodarzowi. Możesz też zawołać swoich druhów, którzy czekają na zewnątrz z łukami gotowymi do strzału. Niech schowają strzały z powrotem do kołczanów i siądą przy ogniu. Jak widzisz, miejsca jest dość.

Ilja nie przestawał grozić włócznią i nie zawołał towarzyszy.

- Najpierw mi wyjaśnij, skąd znasz moje imię! Jesteś czarownikiem, prawda?

Odpowiedzią był uśmiech pełen zaskakująco zdrowych, dziwnie spiczastych zębów.

- Prawda. Jestem koldunem. My, Czudowie, nazywamy tak ludzi, którzy panują nad niewidzialnymi istotami. Potrafię rozmawiać z duchami i bogami, ale nie dopatruję się cudowności we wszystkim, czego nie umiesz wytłumaczyć. Nie potrzebowałem czarów, żeby poznać twoje imię. Usłyszałem po prostu, jak nazwał cię twój przyjaciel, ten, z którym łowiłeś głowacice na dole, przy bobrzej tamie, a który teraz stoi za progiem. Przy okazji, dziękuję za rybę.

Bojarowi zaczęła drżeć ręka, w której trzymał włócznię - i to nie dlatego, że solidna broń była dla niego za ciężka.

- Ty... - wykrztusił w końcu. - Chcesz powiedzieć... Te niedźwiedzie...

- Tak. Odłóż wreszcie włócznię. Czy naprawdę wyglądamy na takich, którzy mogliby zrobić ci krzywdę? Właściwie dlaczego mielibyśmy cię atakować? Nie zrobiliśmy tego w niedźwiedziej postaci, więc czemu teraz?

Grot włóczni, połyskujący w świetle ognia, teraz naprawdę opadł. Ilja przyglądał się dwójce ludzi, którzy patrzyli na niego spokojnie zza wesoło strzelających płomieni.

Mężczyzna, z którym rozmawiał, nie był już najmłodszy, ale mimo że jego włosy i broda pobielaly ze starości i skóra lekko obwisła, ciągle trzymał się prosto, a ciało wciąż miał umięśnione. U jego boku siedział chłopiec w nieokreślonym wieku z długimi włosami spadającymi na oczy, chudy, wręcz kościsty. Obaj byli półnaczy. Ich ciała pokrywały obrzędowe rysunki i tatuaże, we włosy mieli wplecione kości i pióra, na ich szyjach wisiły naszyjniki z kłów, a bransolety z niedźwiedzich pazurów zdobiły ich nadgarstki i kostki nóg. Narzucili na ramiona ciemne, niemal czarne futra. Łapy skór były zszyte na podobieństwo rękawic - tak, że dało się wsunąć w nie dłonie - z tyłu z kolei zwisały górne połowy zębanych, kudłatych głów, ni to straszne kaptury, ni hełmy.

Najbardziej rzucającą się w oczy cechą obydwu był bardzo niski wzrost. Muromiec

zgadywał, że gdyby mężczyzna stanął przy nim, sięgałby mu tylko nieco powyżej pępka. Chłopiec również był mały i wątły, rówieśnicy z innych plemion na pewno zaczęliby go natychmiast wyśmiewać.

- Kim jesteście? - podejrzliwie spytał Ilja.

- Jestem Oszlajkin, najwyższy koldun Czudów - przedstawił się staruszek. - Jestem żyrzecem boga niebios Toruma i jego żony Kaltasz-ekwy, której figurę widzieliście przed wejściem do wąwozu. Nazywacie ją Złotą Babą. - Spiczaste zęby zalsniły w uśmiechu. - Moi współplemieńcy wierzą, że mieszka we mnie duch Konsyga, wielkiego niedźwiedzia... I poniekąd mają rację - jak już wiesz, potrafię przybrać jego postać. A oto Sarczak, mój wnuk i zarazem uczeń.

- To niedźwiedziątko, które...

- Tak. Zachowywał się nieostrożnie i porządnie oberwał za nierozwagę. - Chłopiec schował głowę w ramionach, jakby chciał potwierdzić słowa dziadka. - Zapomniał, że w boskiej postaci musimy bardzo uważać na ludzi. Iljo, czy znasz opowieść o Konsygu?

Młodzieniec tylko pokręcił głową. Koldun mówił spokojnie, mimo że miał przed oczami grot wymierzonej w siebie włóczni. Bohater nie wiedział, co o tym myśleć, więc się niepokoił.

- Nic nie wiem o żadnym Konsygu - wyrzucił wreszcie z siebie. - Plemię Muromców, z którego pochodzę, zna tylko jednego niedźwiedziego boga, Erlika, pana śmierci i zła. To potężny, podstępny bies. Wszyscy się go boją i starają się go odpędzić mocnymi czarami...

Sarczak wytrzeszczył oczy, słuchając obcego, po czym spojrzał pytająco na dziadka - ostatnie zdanie było dla chłopca zupełnie niezrozumiałe. Pierwszy raz słyszał podobne słowa. Jak ktoś mógł uważać niedźwiedziego ducha, obrońcę lasu, za złego demona?

- Już rozumiem twoje obawy i nieufność. - Oszlajkin pokiwał w zamyśleniu głową. - Myślałem, że w dole rzeki powstrzymałeś swojego druha z pokory i szacunku. Mówimy podobnym językiem, myślałem więc, że czcimy też tych samych bogów, ale jest inaczej. Tak naprawdę bałeś się zemsty. Słyszałem, że duzi ludzie, którzy mieszkają w dalekich krajach na południu, zabijają niedźwiedzie ze strachu, a nie po to, żeby pomóc im wrócić do nieba. Wszystko wiąże się z opowieścią o Konsygu.

- Już drugi raz o niej wspominasz. Co to za historia?

- Chętnie ci ją opowiem. Czudowie szanują mnie nie tylko jako kolduna, ale też najlepszego opowiadacza. Myślę jednak, że powinniśmy to odłożyć na później. My tu sobie miło rozmawiamy, a twoi przyjaciele, którzy czekają za drzwiami albo przy kumirze Kaltasz-ekwy, martwią się, że stało się coś złego. Zawołaj ich do chaty. Nie bardzo mam was

czym ugościć, w tych złych czasach nie mamy zbyt wiele jedzenia, ale jest tu przynajmniej ogień, przy którym możecie się ogrzać. Noce są coraz chłodniejsze.

Bohater przestąpił z nogi na nogę. Jeszcze przez chwilę się wahał, w końcu jednak zupełnie opuścił włócznię, którą aż do tej pory trzymał w mocno zaciśniętej dłoni. Grot zarył się lekko w podłogę z udeptanej gliny.

- Samsonie?! - krzyknął przez ramię. - Aloszo?!

Ulicz odgarnął skórę zdecydowanym ruchem, a Ormianin wszedł do środka ze strzałą na cięciwie, gotów w każdej chwili wystrzelić. Oszlajkinowi nie drgnęła nawet brew.

- Zawołajcie resztę - polecił im Muromiec. - Myślę, że nic nam nie grozi.



- To prawda? Rzeczywiście umiesz się zmienić w niedźwiedzia? - z ciekawością dopytywał się Koływan Wygnaniec. Ilja na szczęście nie musiał przekładać, gdyż okazało się, że nowogrodzkie wspomnienia Jegora pokrywają się z prawdą. Czudowie rzeczywiście handlowali z Waregami znad Jeziora Białego na północnym zachodzie, więc Oszlajkin całkiem nieźle mówił w ich języku.

- Obaj umiemy. - Żyrzec wskazał siebie i siedzącego tuż obok wnuka. Sarczak przyglądał się bohaterom szeroko otwartymi oczami, w których nie było widać strachu, raczej podziw i zachwyt. - Syn mojej córki jest bardzo zdolny. Pewnego dnia zostanie najwyższym kapłanem wszystkich Czudów i najpotężniejszym koldunem północy. Będzie strzegł kumiru Kaltasz-ekwy i niebiańskiego łańcucha. Na pewno zauważyliście jedno i drugie.

- Kiedy mówisz „niebiański łańcuch” - zaciekawił się Muromiec - to znaczy, że... ehm...

- Że łączy ten świat z niebiańską krainą bogów, tak. - Oszlajkin uśmiechnął się, jakby tłumaczył oczywistą rzecz głupiutkiemu dziecku. - Obiecałem ci opowiedzieć o Konsygu. - Oczy kolduna zaczęły dziwnie błyszczeć, było widać, że snucie historii dostarcza mu jeszcze większej przyjemności niż jego słuchaczom. - Wiedz, że Konsyg był synem władcy niebios Toruma i słonecznej bogini Kaltasz-ekwy. W dawnych czasach żył z nimi w niebie. Pewnego dnia spojrzął na ziemię i zobaczył rozległe lasy, bogate w zwierzynę. Bardzo mu się spodobały, zapragnął więc w nich zamieszkać i polować. Torum zgodził się i spuścił na ziemię łańcuch. Konsyg zszedł po nim i wyruszył na swoje pierwsze polowanie. Trafił na gromadkę dzieci, które zbierały maliny w lesie. Nie wiedział, że ludzie są ulubieńcami Toruma i Kaltasz-ekwy, zaatakował więc dzieci i zjadł jedno. Władcy niebios rozgniewali się i pozwolili wstrząśniętym śmiertelnikom na zemstę. Ci urządzili łowy i zabili Konsyga. Kiedy

zdarli z niego skórę, uwolnili ducha, który wspiął się po łańcuchu z powrotem do nieba. Łańcuch ten pozostał i ciągle tu jest. A duchy wszystkich niedźwiedzi są częstkami ducha Konsyga. Kiedy Czudowie upolują zjadacza miodu, zdzierają z niego skórę i przynoszą ją w to miejsce. Duch zwierza idzie za swoją skórą, znajduje łańcuch i wraca do niebieskiego ojca. Kaltasz-ekwa pilnuje, by żaden z jej synów nie zabłądził.

- A ty? - zapytał Ilja. - Czy w tobie też mieszka duch Konsyga?

- Oczywiście, a przynajmniej jego część. Inaczej nie mógłbym się przemienić.

- Jak to robicie? - zainteresował się Daniło. - Czy te skóry, które nosicie, są czarodziejskie?

- Nie są zwyczajne, ale jeśli myślisz, że możesz pożyczyć moje futro, włożyć je i od razu zamienić się w niedźwiedzia, jesteś w błędzie. Trzeba mieć wrodzone zdolności i całe lata ćwiczyć. Żaden koldun na ziemi Czudów poza mną i Sarczakiem nie umie przybrać postaci Konsyga.

- Jak właściwie przebiega przemiana? Możesz nam to pokazać?

Kapłan uśmiechnął się dobrotliwie i pokręcił głową.

- Wybacz, przyjacielu, ale nie zmieniam się na życzenie, a już zwłaszcza nie dla zabawy. To święty obrzęd i nie wolno znieważać ducha lasu lekkomyślnym używaniem jego mocy.

- Dzisiaj chodziliście po lesie w zwierzęcej postaci bez powodu - zauważył Muromiec.

- Nieprawda. Mieliśmy powód - cierpliwie wyjaśniał koldun. - Szukaliśmy pożywienia. W postaci boskich drapieżników mamy o wiele lepszy węch i słuch, więc łatwiej nam znaleźć coś na ząb. Teraz bardzo trudno o jedzenie, więc zaklęcie przemiany ratuje nam życie...

- Zauważyłem, że nie masz nas czym ugościć - burknął Mikuła i nawet nie starał się ukryć rozgoryczenia.

- Wybacz mi, bohaterze. Wiem, że to występki przeciw prawom gościnności...

- Nie bierz sobie tego do serca - przerwał mu Sielaninowicz, który zawstydział się trochę, słysząc szczery żal w głosie starca. - Nie czynię ci wyrzutów. Dziwię się tylko, dlaczego potężny czarownik i - jak sam twierdzisz - najwyższy kapłan całego plemienia cierpi taką biedę. Czy Czudowie nie składają ci ofiar, nie płacą jadłem za czary i zamawianie? Przecież tak zwykle bywa, nie? Słudzy bogów muszą z czegoś żyć. Zazwyczaj nie potrzebują zbierać malin ani kraść ryb.

- Poza tym przed wąwozem stoi ta figura - Łowczanin zmienił temat na ten, który brzęczał mu w głowie jak rój pszczół. Starał się mówić niedbale, ale było słychać, że tylko

udaje i usiłuje zamaskować swoją ogromną ciekawość. - Ta... jak ona...

- Kaltasz-ekwa - spokojnie wyjaśnił Oszlajkin.

- Ona jest... To znaczy jej ozdoby...

- Są złote - potwierdził koldun z uśmiechem wszechwiedzy na ustach. - Niektóre ze srebra. Wiem, co ci chodzi po głowie, bohaterze, może nawet wam wszystkim. Słyszałem, że duzi ludzie z południa i zachodu pożądają złota i uważają je za cenną zdobycz. Waregowie znad Jeziora Białego czczą je podobno bardziej niż bogów. Kiedy raz do roku przyjeżdżają tu wymieniać towar, ich naczelnik Gudleif zawsze wypytuje o Kaltasz-ekwę, czyli Złotą Babę, jakby nie zależało mu na niczym innym. Zawsze mu powtarzamy, że to zwykłe bajędy. I pilnie ukrywamy święte miejsca przed jego poszukiwaczami. Nie mogę ich zrozumieć. Drogie metale należą się przecież bogom, podkreślają ich piękno i łaskawość. Na co się przydają śmiertelnikowi? Nie zje ich, nie ogrzeją go w czasie długiej zimy, nie pomogą na polowaniu. Ma się nimi upiększać? Czyżby chciał być równy bogom? Nawet gdyby człowiek zawiesił na sobie całe złoto świata, pozostanie tym samym lichym śmiertelnikiem, który się zestarzeje i umrze.

- Rozumiem - rzekł Mikuła i wrócił do swojego pierwszego pytania: - Nawet gdyby było ci wolno zabrać trochę boskiego złota, w tych stronach na nic by ci się nie przydało. Dlaczego cierpisz biedę?

- Jeszcze do niedawna miałem mnóstwo jedzenia i wszelkiego dobra. - Oszlajkin spoważniał. Najwyraźniej zamierzał opowiedzieć o czymś niezbyt przyjemnym. - Wszystko się skończyło, kiedy ten przeklęty obcy czarownik przyjechał do Parangi.

Bohaterzy nadstawili uszu.

- Paranga to wasza osada? - upewnił się Jegor.

Starzec kiwnął głową.

- Dworzyszczce wielkiego naczelnika Burmelaka, główna siedziba plemienia.

- Czy to daleko?

- Nie bardzo. Właściwie tuż za górą. Musielibyście wrócić tą samą ścieżką, która was tu przywiodła, objechać skały i zjechać w dolinę, w stronę Jeziora Niedźwiedziego. Tam stoi Paranga...

- Opowiedz o tym obcym czarowniku - zabrzmiał głos zza pleców bohaterów, z cienia, który rzucały ich barczyste postacie. Kapłan spojrział w tę stronę i przymrużył oczy. Człowiek, który odezwał się do niego tak ostro i bez śladu szacunku, miał skórę bladą jak u trupa, w dodatku pokrytą paskudnymi bliznami. Resztki włosów i brody spływały mu z głowy i twarzy rzadkimi, siwymi kosmykami, ale nie była to siwizna starca, raczej kogoś,

któ cierpiał straszną niedolę. W mizernej twarzy gorączkowo świeciły oczy, zielone jak malachit.

- Kim jesteś, przyjacielu? - Oszlajkin spochmurniał. Jako czarownik wyczuł, że oszpecony mężczyzna jest pełen bólu i wciąż na nowo podsycanej żądzy zemsty.

- Nie jestem twoim przyjacielem, Czudzie - kaleka cedził słowa przez zęby, co jeszcze bardziej upodobniało jego twarz do czaszki kościotrupa. - Odpowiedz! Jak nazywa się ten czarodziej?

- Myślę, że już to wiesz. Tugarin Drakowicz.

Grobowa cisza zmieniła się w szum podnieconych głosów.

- To - Ilja uznał, że wypada odpowiedzieć na pytanie żyrzca - jest Kościej...

- Niewolnik? To nie jest jego prawdziwe imię. Kim był wcześniej?

- Wołchem Wsiesławiewiczem.

Kapłan natychmiast uniósł głowę i wziął głęboki wdech.

- Ach tak. - Westchnął. - Już rozumiem. Jesteś ostatnim koldunem zielonych zmijów. Tugarin przechwalał się, że złamał twój kostur i zdobył drugi kawałek cudownej smoczej łuski. Brakuje mu tylko ostatniego złomka. Gdy go zdobędzie, zyska moc pramatki smoków...

- Gdzie jest? - niecierpliwie przerwał mu Kościej.

- Tugarin? Ciągle w Parandze - odparł staruszek, co sprawiło, że bohaterzy zamilkli z przejęcia. - Czekaj. Splata pajęczynę czarów, opanowuje jedną głowę za drugą. Wielu uwierzyło w jego smoczycy bogów i odwróciło się od Toruma, Kaltasz-ekwy i pozostałych niebian, dlatego cierpię nędzę. Nikt nie ma odwagi składać ofiar staremu bogu, kiedy łuskowaty bies panuje w osadzie...

- Na co czeka Drakowicz? - wszedł mu w słowo Ilja.

Gospodarz zawahał się. Przez chwilę przyglądał się bohaterom, jakby nagle zaczął się zastanawiać, czy już nie zdradził zbyt wiele. Kiedy się wreszcie odezwał, mówił stłumionym głosem i tak niewyraźnie, że ledwie rozumieli jego wareski:

- Chcę zdobyć trzeci złomek łuski, wetknięty w Krwawy Kostur przeklętej Baby Jagi, która mieszka w Górach Północnych za moczarami. Początkowo Tugarin zamierzał tylko uzupełnić zapasy i wypytać nas o drogę, ale Burmelak niemądrze zdradził, że wcale nie musi jechać do Jagi, bo ona co roku przylatuje do Parangi. W czasie nocy duchów łupi osadę, żeby zdobyć zapasy na zimę dla siebie i swoich córek czarownic. Co roku zabiera też trzynastu niewolników. Podobno karmi ich krwią żyjące na moczarach menkwy, a także olbrzyma Sjudbeja i oczywiście swojego smoka...

- Rudroga? - spytał Kościej, na próżno usiłujący opanować podniecenie.

- Rudroga - potwierdził Oszlajkin. - Strażnika żelaznego mostu na cudowną wyspę Bujan.

Daniło roześmiał się, ale kiedy nikt się do niego nie przyłączył, udał, że kaszle, po czym ucichł.

- Noc duchów - chrapliwie odezwał się Mikuła. - Kiedy to jest?

- To nasze Radunice - odparł Kościej.

- U nas Zaduszki - dodał Alosza.

- Aha - zrozumiał Sielaninowicz. - Święto Mokoszy.

- Albo Wszystkich Świętych - dodał Jegor. - Noc, kiedy zmarli wracają na ziemię i szukają drogi do mieszkań swoich krewnych.

- Albo tych, którzy spowodowali ich śmierć - uściślił koldun. - Wszystkie plemiona wierzą, że to noc cudów. Że duchy i demony wyłażą z ciemnych kryjówek i chodzą straszyć śmiertelników, mścić się albo nawet zabijać. Cudowie boją się tej nocy bardziej niż jakiegokolwiek inne plemię, bo to czas ofiar dla okrutnych obydy, sześciu siostr-czarownic, i ich matki Jagi. O północy ich drużyna przylatuje na tulparach do Parangi. Od dawna nie muszą zabierać zdobyczy siłą. Po kilku krwawych lekcjach sami posłusznie przygotowujemy zapasy i niewolników.

- Co to są tulpary? - chciał wiedzieć Ilja.

- Latające konie. Należały do stada Wojpela, boga północnego wiatru. Pewnego razu podstępne obydy zawitały do Gniazda Wiatrów, siedziby boga wysoko na stokach Uralu. Przywiozły mu cenne dary - białego byka i beczkę boskiego miodu z liści Wielkiego Dębu na Bujanie. Wojpel zjadł byka, opił się miodu, po czym namiętnie współżył ze wszystkimi siedmioma czarownicami. Tak się tym wszystkim zmęczył, że zasnął na całych siedem dni. Obydy ukradły wtedy siedem rumaków z jego stada i odleciały na nich z powrotem do swej siedziby w Górach Północnych...

- Tugarin czeka, aż Krwawy Kostur sam do niego przyleci - Kościej zastanawiał się na głos. - Koniec końców, po co miałby się przedzierać przez moczary pełne demonów i jechać gdzieś na koniec świata, skoro wie, że Jaga przyleci tutaj? Nareszcie uśmiechnęło się do nas szczęście, bracia.

Spojrzeli na niego. Nazwał ich braćmi po raz pierwszy od czasu, kiedy go uwolnili. Jakby dopiero teraz był w stanie oderwać się od myśli o zemście i przypomnieć sobie, że kiedyś był pełnoprawnym członkiem drużyny, ba, przewodził jej. Z drugiej strony wyglądał w tej chwili niczym obłąkany. Jego oczy błyszczały, jakby wróciła gorączka, która minęła mu ledwie parę dni temu.

- Tugarin przekonał naczelnika, że potrafi pokonać jędze - zwierzał się Oszlajkin. - Zrobił na nim wrażenie paroma czarami z kosturem. Wszyscy od razu uwierzyli, że naprawdę może złamać potęgę Jagi, zaczęli się też odwracać od starych bogów. Burmelak powiedział nawet, że nie pokłoni się więcej Torumowi, bo to słaby bóg, który nie potrafił obronić Czudów przed złymi obydami, i że najwyższy czas zwrócić się do nowych, mocniejszych bóstw. Do smoków, których ziemskim wcieleniem jest Tugarin.

- Czyli nie możemy wejść do osady, oskarżyć Drakowicza i zażądać od waszego wodza, żeby nam wydał tego nikczemnika, hm? - domyślił się Ilja.

- Na pewno nie. Jeśli chcecie go dopaść, radzę wam, żebyście to zrobili jeszcze przed nocą duchów, bo potem przyleci Jaga. Jeśli Tugarin naprawdę ją pokona i połączy trzy kawałki łuski...

- Stanie się coś strasznego. Wiemy o tym. Coś wymyślimy, ale do tego czasu musimy się gdzieś schronić.

Kapłan rozłożył ręce, aż cień rozlał się po całej ścianie za jego plecami.

- Widzę, że mamy wspólnego wroga, więc właściwie możemy zawrzeć przymierze. Obiecacie mi, że pomożecie pokonać mojego największego wroga i nawrócić Czudów na wiarę w prawdziwych, starych bogów...

- Na pewno możesz na to liczyć - Muromiec nie pozwolił mu dokończyć.

Starzec uśmiechnął się.

- W takim razie czujcie się w mojej chacie jak u siebie w domu.

- Doprawdy? Żyrzcom często wadzi obecność cudzoziemców w świętych miejscach. Poza tym nie mogę zrozumieć, skąd u ciebie to bezgraniczne zaufanie...

- Nie jesteście w stanie ukryć przede mną swoich zamiarów. - Oszlajkin ze znaczącym, wszechwiedzącym uśmiechem popatrzył po twarzach gości. Wyraźnie sięgnął każdemu do myśli, by ich przekonać o swej mocy. Niektórzy zadrżeli ze strachu i spieszenie sięgnęli po zawieszane na szyi amulety, a Alosza i Samson przeżegnali się. - Nie zagrażamy sobie nawzajem, bohaterzy. Nie mam zamiaru was zdradzić. Daję wam słowo, że nikt was tu nie znajdzie.

- Doskonale. - Jegor Światogor pokiwał głową, po czym przeczesał grubymi palcami kosmyki dłuższej siwej brody. - Mamy już kryjówkę, teraz potrzebujemy tylko planu. No, chłopcy, najwyższy czas zacząć sobie łamać głowy. Zdaje się, że naszym największym kłopotem nie jest czarodziej, ale raczej laska, zgadza się, Kościeju?

- Owszem. Połączył dwa kawałki łuski Zirnytry, więc w Żelaznym Kosturze znajduje się wielka moc. Otwarta walka oznaczałaby samobójstwo...

- Tak właśnie myślałem. W dodatku czarodziej znalazł bezpieczną kryjówkę w Parandze. Wiemy, że ma przy sobie drużynę Czeremisów i kto wie ilu Czudów... Koldunie? Ilu zbrojnym przewodzi wasz naczelnik?

- Wielu. Ma na dworze trzy tuziny stałych drużynników, gotowych w każdej chwili wyruszyć do boju. Oprócz tego w osadzie nad jeziorem znajdzie się co najmniej stu mężów zdolnych do walki. Wystarczy, że władca zadmie w róg i natychmiast przybiegną...

- Uhm. Nie możemy więc po prostu wsiąść na konie, dobyć broni i z krzykiem zaatakować Parangi...

- Nie pozwoliłbym wam na to - odparł gospodarz tak spokojnie, jakby było oczywiste, że może wpływać na ich decyzje i czyny. - Pamiętajcie, chcę pokonać Tugarina i jego drużynę. W żadnym wypadku nie możecie skrzywdzić Czudów.

- Rozumiemy... Byłoby też trudno zakraść się cicho po nocy. Jeśli Tugarin rzeczywiście ma taką moc, jak mówi Kościej, a ja mu wierzę, na pewno odgadłby z wyprzedzeniem nasze zamiary. Co zrobimy?

Było widać, że Jegor już układa w duchu plan i nie oczekuje odpowiedzi, ale Oszlajkin rzekł:

- Byłoby najlepiej, gdyby ktoś ukradł Drakowiczowi jego przeklęty kostur. Już wcześniej o tym myślałem. Sarczak jest zręczny i podkrada się jak kuna. W nocy wślizgnie się do Parangi...

- Nie - przerwał Światogor. - Niepotrzebnie narażalibyśmy życie chłopca. Sam mówiłeś, że plemię go potrzebuje. Zrobimy to inaczej. Ponieważ nie możemy dostać się do osady...

- Wywabimy z niej Tugarina - dokończył Ilja.

Jegor z uśmiechem skinął głową.

- Zmusimy go, by walczył w miejscu, które wybierzemy sami i pieczołowicie przygotujemy. Stępimy jego zmysły za pomocą czarów. Zadba o to obecny tu koldun.

- Czy ja dobrze słyszę? - Daniło zaśmiał się. - Światogor, oddany sługa Chrystusa, który okazuje innym bogom wyłącznie pogardę, nagle chce używać pogańskich czarów?

Niektórzy bojarzy wyszczerzyli zęby, ale siwy przywódca drużyny spojrział na nich tak, że uśmieszki natychmiast zamarły im na wargach.

- Głupcy, wiem, kiedy muszę ustąpić. To bezbożne okolice, nikt tu nie słyszał o chrześcijaństwie i dobroci Boga. Niech Wszchemogący odpuści mi to, co teraz powiem, ale tam gdzie nie sięga światło serca Jezusowego, ciemności trzeba rozjaśnić innym cudownym płomieniem. Żyrzcu, zajmiesz się tym? Potrafisz opleść święte miejsce pajęczyną czarów,

które zmylą nawet Tugarina?

- Postaram się - obiecał Oszlajkin.

Bohaterzy zaczęli dyskutować z przejęciem. Jeszcze niedawno uważali, że ich wędrówka staje się coraz dziwniejsza i martwili się, do jakich to niebezpiecznych okolic zajadą. Teraz zaś wydało im się, że cel jest w zasięgu ręki i już wkrótce będą mogli wrócić do domu. Zapomnieli nawet o głodzie i zimnie. Zaczęli snuć plany.

Tylko Mikula wpatrywał się w płomienie w zamyśleniu, ze zmarszczonym czołem.

- Baba Jaga - mruknął. - Jej córki czarownice. Bagna pełne ludożerczych biesów i olbrzymów. Ofiary dla smoka. Dlaczego tylko mnie się wydaje, że próbujemy ugryźć zbyt wielki kęs i w końcu wszyscy się udławimy?!



- Modlisz się, batuszko? - odezwał się Ilja.

Jegor podniósł głowę. Do tej pory dotykał czołem palców splecionych na bursztynowej główicy Śmierci. Miecz był wbity w dno kotliny i siwy bohater klęczał przy nim pokornie. Oczywiście podłożył sobie derkę pod kolana. Ilekroć tego zaniedbał i ukląkł bezpośrednio na zimnej ziemi, rankiem jego stare stawy wypominały mu to boleśnie.

- Modlę się i kajam, chłopcze. W ostatnich dniach karygodnie zaniedbywałem Boga. Trzeba się do niego zwracać przynajmniej raz dziennie, poza tym złączenie się ze świętymi mocami pomaga mi zebrać myśli. Po dzisiejszym dniu mam dziki zamęt w głowie. Pomyśl tylko, przebywamy w miejscu poświęconym pogańskim biesom i nasiąkniętym bezbożnymi czarami. W dodatku dopuściłem się bluźnierstwa. Muszę prosić Wszechmogącego, by odpuścił mi grzech i zrozumiał, że nie mogłem postąpić inaczej.

- Rozumiem. Nie będę ci przeszkadzał w modlitwie. W ostatnich dniach rzadko zwracasz się do swojego Boga.

Jegor niemal zadrżał, tak ubodły go słowa Muromca. Młodzieniec nie miał zamiaru robić mu wyrzutów, ale Światogor tak to odebrał. Sam uważał, że była to prawda. I nie chodziło tylko o ostatnie dni.

Bohaterzy nie mogli nie zauważyć zmiany. Całe lata znali Światogora jako gderliwego, wiecznie burczącego pod nosem samotnika. Rzadko siadał po wieczery przy ognisku, rzadko słuchał pieśni i bylin o bohaterach, nie ciekawiły go gadki o kobietach i zdobyczach, które zajmowały pozostałych drużynników. Zazwyczaj trzymał się wieczorami na uboczu, a czas poświęcał na modlitwę i ciche rozmyślenia.

Wszystko się zmieniło, kiedy Ilja dołączył do drużyny i Światosław zdecydował, że

Jegor ma go uczyć. Stary bohater najpierw się złościł i przez jakiś czas był jeszcze bardziej niezdolny i mrukliwy niż przedtem, ale jego twarda skorupa wyraźnie miękła z każdym dniem. Między nim a nowym członkiem grupy stopniowo wytworzyła się silna więź. Zaczęli się do siebie zwracać „batuszko” i „synku”, prowadzili coraz serdeczniejsze rozmowy, a bohaterzy z zaskoczeniem stwierdzili, że siwy woj potrafi się uśmiechać, a nawet śmiać. Myśleli, że tylko miłość do młodej kobiety potrafiłaby tak zmienić starego, zgorzkniałego zrzędę, ale o dziwo wystarczyła zwykła męska przyjaźń. Ilja znalazł w Światogorze ojca, którego tak naprawdę nigdy nie miał, a Jegor zdał sobie sprawę, że na stare lata może mu jeszcze na kimś zależeć. Poweselał, stał się bardziej towarzyski i przestał stronić od pozostałych. Po wieczernych siadał z nimi przy ognisku, śpiewał i opowiadał o starych dziejach, a coraz mniej czasu poświęcał na modlitwę.

- Widziałeś może Kościeja? - Ilja rozejrzał się po kotlinie. - Znikł gdzieś...

- Tak, widziałem. Nie odezwał się ani słowem, minął mnie i ruszył w stronę wąwozu za domem kolduna.

Nawet w słabym świetle było widać, że młodzieniec szeroko otworzył oczy.

- Tego z łańcuchem?

- A jest jakiś inny? Jest tam ścieżka, prowadzi pewnie aż na szczyt skały. Jest wprawdzie stroma, ale jeśli trzymasz się łańcucha...

- Przecież to zbeczeszczenie świętego miejsca! Gdyby Oszlajkin się o tym dowiedział...

- Myślisz, że nie wie? Wątpię. Jest bystry. To dziwne, ale nie jest wcale ograniczony, nie upiera się przy swoich zasadach. Jeśli trzeba, potrafi ustąpić. Nie wadzi mu, że tu jesteśmy, dlaczego miałby się przejmować, że ktoś łązi po łańcuchu? Poza tym nie wierzysz chyba, że ta ścieżka prowadzi do świata bogów, prawda?

- Oczywiście, że nie, ale... Nie powinien tam chodzić. Czemu go nie zatrzymałeś?

- Dlaczego miałbym to robić? Dla mnie to tylko pogańskie przesady. Gdybym okazywał temu miejscu szacunek, byłoby to bluźnierstwo.

Muromiec odwrócił się ku stromym skałom.

- Przeprowadzę go z powrotem, zanim tutejsi bogowie naprawdę się na niego rozniewają. Słuchaj, batiuszko - Ilja obejrzał się po raz ostatni, a gdyby Jegor widział w półmroku, zauważyłby szelmowski uśmiezek na jego twarzy - pomódl się za nas wszystkich.

- Jeszcze czego! - wybuchnął stary bohater, ale w jego głosie brzmiało tłumione rozbawienie. - Wiesz, ile trudu mnie kosztuje przekonanie niebieskiego Ojca, że wędruję

z waszą bandą pogan i sekciarzy tylko dlatego, że muszę? Że właściwie nie mam z wami nic wspólnego i kiedy będzie nas sądzić po śmierci, nie powinien mnie wrzucać razem z wami do kotła Lucyfera?

Wraz z Ilją oddalał się jego sykliwy śmiech.



- Trzymasz wartę, bracie?

Kościej nie zląkł się na dźwięk głosu za swoimi plecami. Już od dłuższej chwili słyszał brzęczenie łańcucha i chrzęst kamyków pod stopami człowieka wspinającego się po stromej ścieżce na szczyt wzgórza.

Ilja wyszedł ze szczeliny i otrzepał dłonie pokryte rdzawym prochem. Przypuszczenia bohaterów się potwierdziły - łańcuch nie wznosił się aż do nieba. Jego ostatnie masywne ogniwo łączyło się z solidnym żelaznym kółkiem, wbitym w wielką figurę na płaskim szczycie skały. Nadano jej kształt człowieka, a na piersi wyryto znak słońca. Najwyraźniej miał to być Torum, władca niebios, witający duchy swoich niedźwiedzich synów.

- Żyrzec powiedział przecież, że oplótł święte miejsce pajęczyną czarów. - Muromiec podszedł do zakutanego w futrzany płaszcz człowieka, skulonego na krawędzi skały. - Nawet gdyby ktoś się zbliżał, on wyczułby go na długo przedtem, zanim coś rzeczywiście by nam groziło...

- Wiem - burknął Kościej. - Nie miałem zamiaru trzymać warty, nie chciałem też kłaść boskiego łańcucha. Chciałem tylko zobaczyć cel naszej wyprawy.

- Hmm... Rozumiem.

Razem zapatrzyli się na północ od świętej góry. Ze skalnych szczelin wyrastały sosny, ale rosły rzadko i marnie, więc mieli dobry widok na dolinę. Pośrodku czarnych lasów migotał rój światełek, zwielokrotniony przez odbicia na powierzchni jeziora. Ilja przyjrzał się uważnie i dostrzegł więcej szczegółów. Chaty Czudów były rozrzucone w lesie wokół jeziora. Serce osady - czyli siedziba naczelnika i domy dostojników plemiennych - znajdowało się na wysepce. Wąska grobla stanowiła jedyną drogę na ostrów, a budynków chronił wysoki wał z palisadą.

- Jesteśmy naprawdę blisko.

- Bardzo blisko - potwierdził blady, niemal łyśy mężczyzna.

- Słuchaj - młodzieniec nagle poczuł strach - czy Tugarin nie może nas wyczuć? Przekonaliśmy się już, że potrafi śledzić wrogów z dużej odległości. Kiedy oddziela ducha od ciała, widzi czarodziejskim wzrokiem rzeczy oddalone o tuziny wiorst...

- Musimy mieć nadzieję, że ten karłowaty Czud się nie myli. Twierdzi, że skały są okryte taką warstwą czarów, że nawet Tugarinowi byłoby trudno przez nie przeniknąć.

- Ale czy mamy pewność? Nie mógłbyś...

- Nie - ostro uciał Kościej. - Nie mógłbym. Dlaczego w ogóle o to pytasz? Wiesz dobrze, że nie mam już mocy. Mrok w podziemiach Kokszaży wyssał ją ze mnie do cna. Lepiej mi o tym nie przypominaj, Muromcze, dobrze ci radzę. Wzbudza to we mnie gniew i chęć zemsty, a silne uczucia to coś, co Drakowicz mógłby wysledzić nawet przez zasłone czarów Oszlajkina. Zwłaszcza te uczucia, które są skierowane wprost na niego. Musimy poskromić nienawiść, jak najgłębiej skryć złe zamiary w naszych sercach...

- Rozumiem.

Długo przyglądali się w milczeniu Parandze, skrytej częściowo przez rzadki sosnowy las. Noc była chłodna, ale spokojna, ich twarze owiewał tylko słaby wietrzyk. Światło gwiazd przebijało się przez potargane chmury.

- Dlaczego mnie śledziłeś? - spytał Kościej.

- Nie śledziłem cię. Chciałem tylko uciec z chaty, bo Mikuła postanowił oszukać głód śpiewem. Wybrał oklepaną pieśń o walce ze smokiem na suwarskiej wieży. Koldun okazał się wdzięcznym słuchaczem...

- Dobrze, że mnie tam nie było, nie znoszę tej byliny, ale dlaczego ty wyszedłeś? Przecież to opowieść o twoim męstwie, o tym, jak zadałeś Zilantowi śmiertelną ranę. Większość bohaterów uwielbia przesadzone historie o własnych śmiałych czynach...

- Ale nie ja - parsknął Ilja. - Czuję się przy nich nieswojo. Może nie jestem bohaterem wystarczająco długo. Nie zdążyłem się zakochać we własnej sławie.

Kościej spojrział na niego po raz pierwszy i w zamyśleniu pokiwał głową.

- To dobrze, Muromcze. To znaczy, że jeszcze nie wbiłeś się w pychę. Nie masz złudzeń, że kijowscy bojarzy są wyjątkowi i wszechmocni. Wierz mi, dobrze to znam. Ja też kiedyś byłem pyszny i zadufany w sobie. Myślałem, że jestem niezwyciężony. Los wyleczył mnie z tych urojeń w bardzo okrutny sposób.

Wojownik spojrział na niego kątem oka i nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie zmieniłeś się, Muromcze - ciągnął po chwili chudzielec. - Ciągłe jesteś tym samym prostym młodzieńcem, którego znaleźliśmy na brzegu Nieprzy, kiedy lamentował nad rozsiekanymi ciałami swoich bliskich. Zyskałeś pewność siebie, owszem, ale zostało w tobie dużo skromności. Nie upajasz się własną sławą, chociaż już dokonałeś wielkich czynów. Inny na twoim miejscu myślałby, że został wybrany przez bogów. Do tej pory nie udało się nam wyjaśnić dziwnego snu, z którego się obudziłeś zakuty w cudowną zbroję. A ty nie

powoływałeś się na to cudowne zdarzenie, niczego nie żądałeś, nie starałeś się zostać wodzem. Spokojnie przyjąłeś dary, które naprawdę mogą pochodzić od bogów. Zostałeś wiernym sługą...

- Dość, bracie. - Ilja skrzywił się. - Od słuchania twoich słów robi mi się prawie tak samo głupio, jak od śpiewu Mikuły...

- Mylisz się, Muromcze, nie chciałem ci schlebiać, wprost przeciwnie. Chcę ci dać do zrozumienia, że się martwię. Boję się, że się zmienisz, zakochasz we własnej sławie, nadmiesz się pychą i zaczniesz wypinać pierś jak kogut...

- To się nie stanie.

- Owszem, stanie się, prędzej czy później. Może mówię ci o tym dlatego, że chcę to trochę opóźnić. To wszystko, co można zrobić. Opóźnić, nie powstrzymać. Ludzie się zmieniają, nic na to nie poradzisz.

- Dobrze, masz rację - posępnie zgodził się drużynnik i natychmiast skorzystał z okazji, by zmienić temat rozmowy: - Ty też się zmieniłeś. Nie do poznania.

- Wiem - chłodno odparł Kościej.

- Nie jestem pewien, czy to dobrze. Stronisz od dawnych przyjaciół, nie masz dla nich dobrego słowa. Mikuła był kiedyś twoim wiernym druhem w bitwie i na uczcie. Kiedy siedzieliśmy w Bułgarii i myśleliśmy, że nie żyjesz, był jak ciało bez ducha. Ciągłe jęczał i lamentował, wspominał stare dobre czasy u twego boku, a teraz? Teraz zupełnie cię znienawidził. Nie widzisz tego, Wołchu?

- Nie nazywaj mnie tak! - wycedził przez zęby czarodziej. - Już nigdy nie wymawiaj przy mnie tego imienia!

- Ale dlaczego, bracie? - równie ostro odparł Ilja. - Dlaczego tak się upierasz, żeby cię nazywać tym głupim, okropnie brzmiącym imieniem?

- Nie jest głupie. Wprost przeciwnie! Wyraża zmianę, która zaszła we mnie w podziemiach Kokszaği. Drakowicz doprowadził mnie na skraj szaleństwa i zmienił w zupełnie nową osobę. Nie jestem już nawet cieniem człowieka, którym kiedyś byłem, Muromcze. Ten gorynycz, władający mocą dawnych żmijów, znikł. Jestem teraz zwykłym, słabym śmiertelnikiem, który raczej obciąża drużynę, niż się przydaje...

- Przecież nie zawsze tak będzie. Możesz odzyskać moc, prawda? Kiedy pokonamy Tugarina, w twoich żyłach znowu popłyną czary. Zaspokoisz żądzę zemsty, wróci twoja moc i wyzdrowiejesz...

Spojrzenie Kościeja było jak cios zadany niewidzialnym biczem z cierni.

- Wyzdrowieję? Chcesz powiedzieć, że jestem chory? Szalony? Obląkany?

Ostry ton w jego chrapliwym głosie uciszył Ilję, ale nie na długo.

- Podobno przyjaciół poznaje się po tym, że są szczerzy w każdych okolicznościach. Ciągłe uważam się za twojego przyjaciela, więc mówię: tak. Myślę, że męki, które wycierpiałeś w czeremiskim lochu, zostawiły niezagojoną ranę na twym duchu. Złamałeś się pod naciskiem Tugarina i wszystko widzisz wykrzywione...

- Mylisz się! - zaprzeczył kaleka. - Nigdy nie myślałem tak jasno jak teraz. Tak, moje ciało jest chore, słabe, oszpecone, ale umysł jest zdrowy. Widzę świat taki, jaki jest naprawdę. Rozumiesz? Właśnie ten człowiek, którym byłem wcześniej, był maską, oszustwem, pozłacaną skorupą. Wołch Wsiesławiewicz, potężny czarodziej! Phi! Nieprzyjaciel o równej mi mocy wyleczył mnie z tego złudzenia. Wraz z Malachitowym Kosturem przepadła bohatyrska pycha. Sławni gorynycze! Też coś! Światosław zdjął im wielkodusznie obroże niewolników, ale w rzeczywistości stali się jego posłusznymi psami i zdechli jak psy. Jako jedyny przeżyłem, by zrozumieć, że to wszystko była ułuda. Ku chwale Kijowa! Co za głupstwo! Wszyscy jesteśmy zbójami, buntownikami, wygnańcami i złodziejami! Przed chwilą udawałeś skromność, Muromcze, dlatego myślałem, że widzisz rzeczy takie, jakie są, ale nie! Już jesteś jednym z nich. „Kiedy pokonamy Tugarina!”. Na bogów, skąd u was ta pycha?! Czy wy zdajecie sobie sprawę, że Drakowicz może zabić nas wszystkich jednym ruchem Żelaznego Kostura? Rozumiesz to, Muromcze? Rozumiesz?

- Wołchu... Kościeju! O czym ty, na bogów...

- Nie rozumiesz. Widzę, że nie. Tak, zmieniłem się. Już nie jestem jednym z was. Widzę świat inaczej. Dla was ciągle lśni złotem, sławą i pychą. Dla mnie świat jest jednolicie szary, a jedyny kolor, które może mnie trochę ożywić, to czerwień krwi!

Odwrócił się tak prędko, że skraj jego futrzanego płaszcza uderzył Ilję. Przy figurze Toruma niemal zderzył się z Jegorem, który właśnie wdrapał się na skałę, dysząc głośno. Minął go, sycząc niezrozumiale, i znikł w ciemnej szczelinie. Słyszeli tylko brzęk łańcucha, po którym schodził szybko w dół, do kotliny.

- Na miłosierdzie Boże, co to miało znaczyć? - posępnie zapytał Światogor.

Muromiec zamrugął i wziął głęboki wdech.

- Klnę się na bogów, że nie wiem. Jakby nagle stracił rozum. Zaczął pleść trzy po trzy...

- Słyszałem jego ostatnie słowa. Zwłaszcza to, że już nie jest jednym z nas. Obawiam się, że w tej sprawie ma rację.

Ilja spojrział na przywódcę bohaterów.

- Coś ci powiem, batiuszko. Zaczynam się bać.

- O niego?

- To było wcześniej. Teraz zaczynam się bać jego.

Jegor pokiwał głową.

- Wreszcie zrozumiałeś, co gryzie mnie już od kilku dni. Powiem ci coś. Może będziesz się z tego śmiać, bo to zabrzmiało jak lamenty wystraszonego chrześcijanina, który wszędzie widzi czyhające zło...

- Śmiało. Po tym, co właśnie usłyszałem, nic mnie nie zaskoczy.

- Kościej - siwy wojownik wziął głęboki wdech - jest niebezpieczny. Czasami myślę nawet, że pomyliłem się wtedy, kiedy was przekonywałem, że powinniśmy go wspierać. Może Mikuła miał rację. Może w tym nieszczęśniku nie zostało nic z dawnego Wołcha. Może jest... opętany przez demona.

Muromiec nie śmiał się z niego. W ogóle nie było mu do śmiechu. Spojrzał chmurnie na dalekie światła Parangi.

- Mikuła miał rację, batuszko, wtedy w jaskini, kiedy wzdychał, że mamy zbyt wielu nieprzyjaciół. Tugarin Drakowicz, Baba Jaga i jej córki... Możliwe, że również Kościej. Wygląda na to, że nie zdołamy wygrać tej bitwy.

- Chyba nie zdołamy - mruknął Światogor. - Ale to jeszcze nie znaczy, że się poddamy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pod władzą kostura

n

iech to zaraza... Zaraza, krosty, świerzb i wszy!

Tego dnia Targyltysza naszły złe przeczucia. Miał wrażenie, że los go ostrzega. Owe przeczucia bulgotały w nim jak gęste błoto albo krew, która cieknie z ukrytej rany i zalewa wnętrzności. Czasami zdawało mu się, że go uduszą, wtedy zdejmował z ramienia spłaszczony bukłak z miodem i pociągał spory łyk. Wczoraj przed wyjściem z domu napełnił go, dziś chlupotało w nim tylko parę ostatnich łyków. Mimo że był już lekko nietrzeźwy, wcale nie czuł wesołości, wprost przeciwnie - na jego ciemnej, dziko zarośniętej twarzy malowało się coraz większe zasepienie.

Nie chodziło o to, że potargane chmury zrosły się w nocy i o świcie spadł z nich zimny deszcz, który obudził Targyltysza w jego lichym szałasie z choiny. Przywykł do tego, jesień w tych okolicach zawsze była paskudna, poza tym jego dwudniowa piesza wędrówka miała się ku końcowi. Już wkrótce dotrze do Parangi. Wprawdzie nie liczył na zbyt ciepłe przyjęcie, ale ktoś na pewno przyjmie go pod swój dach. Oczywiście był wygnańcem i wielu uważało go za złego leśnego ducha, ale na pewno ktoś sobie przypomni, że kiedyś był prawowitym dziedzicem poprzedniego naczelnika i w młodości uważano go za dzielnego wojaka...

Martwiło go coś innego.

Kiedy w Parandze pojawił się potężny czarodziej z południa i zapowiedział, że zamierza powstrzymać coroczny najazd obydwu, wydawało się, że to dobra wiadomość. Starszyzna z leśnych osad od dawna przeklinała zbrojeckie daniny, wydzierane co roku i odwożone do głównego osiedla, aby wiedźmy mogły je wziąć. Każdy ród musiał oddać trzecią część ubieranych płodów leśnych i upolowanej zwierzyny, czasami dziewczynę albo

młodego junaka. Nikt nie robił tego z lekkim sercem. Wszyscy wiedzieli, że to właściwie okup dla zniechęconych jędz z północy, które mogłyby rzucić na nich klątwę albo od razu ich pomordować, mimo to w czudzkich lasach coraz głośniejsze przeklinano Burmelaka. Na co komu władca, który nie potrafi obronić poddanych przed bandą chciwych strzyg?

Teraz sytuacja miała się odwrócić, a przynajmniej tak się zdawało. Burmelak przysiągł, że jarzmo obydwój zostanie złamane. Nie pomogą im cudowne latające tulpary ani czarna magia Jagi, ponieważ ten, który sam siebie nazywa synem smoka, pomoże Czudom i złamie potęgę czarownicy. W pierwszej chwili w osadach zapanowało radosne podniecenie.

Potem Burmelak rozkazał, by tak czy owak zbierano daniny, a co gorsza, każdy ród miał posłać do Parangi najlepszych łowców. Oczywiście Targyltysz wcale nie musiał się tym zajmować. Mieszkał sam, decyzje i rozkazy wodza nie miały żadnego wpływu na jego los. Chodziło o jego sąsiadów. Niedaleko jego chaty w głuchych lasach mieszkał ród Kłów Dzika. Wygnaniec ucinał sobie czasem pogawędkę z jego naczelnikiem Jarpusem, słyszał więc, jak ten zgrzyta zębami, przeklina niedołęstwo i chciwość Burmelaka. Jeśli czarodziej z kraju wielkich ludzi rzeczywiście ma zamiar obalić okrutną władzę obydwój, po co naczelnikowi daniny i niewolnicy? Czy nie będzie tak, że ten przybędzie z południa zajmie miejsce jędz? Może nawet nie będzie potrzebował czarów. Wystarczy dwunastu wielkich wojów, uzbrojonych w ostre żelazo, których przywiódł ze sobą.

W Targyltyszu wzburzyła się krew. Mógłby machnąć na to wszystko ręką i dalej wieść życie pustelnika, ale nie potrafił tak postąpić. Co prawda Czudowie odrzucili go i wygnali, ale on w dalszym ciągu, nawet po tych wszystkich latach, czuł się odpowiedzialny za los plemienia. Stale żyła w nim część tego mężczyzny, który kiedyś miał zostać wodzem.

Ciągle był starszym bratem Burmelaka.

Tak naprawdę nie nazywał się Targyltysz. Przybrał tylko miano, którym Czudowie określali duchy ludzi zmarłych wskutek choroby. Tarsem - takie imię nadał mu ojciec, poprzedni naczelnik - niemal stał się jednym z nich. Miał wtedy dwadzieścia lat, był w pełni sił, miał piękną żonę i uważano go za najlepszego łowcę w plemieniu. Potrafił upolować jelenia i jednym ciosem włóczni powalić łosia albo nawet niedźwiedzia. Dni jego ojca powoli dobiegały kresu, a Tarsem miał odziedziczyć po nim stolec włodarza Parangi.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, zachorował. Dostał gorączki, na całym ciele pojawiły się rude plamy, zaczął się wypróżniać krwią. Wkrótce jego młoda żona zaległa w łóżku z podobnymi objawami. Koldun Oszlajkin czarował, zamawiał, karmił ich dziwnymi grzybami, dawał do picia mocne ziołowe napary, ale choroba nie ustępowała. Wtedy Burmelak, młodszy brat Tarsema, ochoczo skorzystał z okazji. Oznajmił, że choroba to kara

zesłana przez bogów i kazał ojcu wygnąć chorych z Parangi. Nawet Oszlajkin się z nim zgodził - w obawie, że zaraza przeniesie się na innych Czudów i wybije całe plemię.

Burmelak został następcą, a Tarsem i jego żona musieli odejść w dalekie lasy. Trawieni gorączką, osłabieni, ledwie żywi, dotarli do opuszczonej chaty myśliwego i czekali na śmierć. Dziewczyna rzeczywiście się jej doczekała po trzech dniach. Tarsem obudził się obok zimnego, nieruchomego ciała. Złamany żalobą czekał, aż duchy przyjdą i po niego, ale gorączka z czasem ustąpiła, a jego stan się poprawił. Plamy zmieniły się w strupy, które w końcu odpadły. Pod nimi ukazała się skóra, pokryta wprawdzie bliznami, ale zdrowa. Kiedy Tarsem nabrał sił, pogrzebał szczątki żony i ruszył z powrotem do Parangi. Gdy współplemieńcy go zobaczyli, zaczęli uciekać i krzyczeli ze strachu: „Targyltysz! Targyltysz!”. Czudowie wierzyli, że duch człowieka, którego zabiła choroba, przychodzi do ludzkich domostw tylko po to, by złośliwie rozsiewać zarazę.

Uważali go za widziadło, chciwego zemsty demona, i wygnali po raz drugi czarami Oszlajkina, a dla pewności również grotami włóczni i dobrze mierzonych strzał. Wszystko, oczywiście, na rozkaz Burmelaka. Stary naczelnik zdążył tymczasem umrzeć i wodzem plemienia został jego młodszy syn. Tarsem nie miał wyboru i uciekł z powrotem do lasu. Rozczarowany i rozgoryczony wrócił do myśliwskiej chaty. Został Targyltyszem.

Minęło siedemnaście lat, wystarczająco dużo, by zubożył mu los plemienia, ale mimo wszystko nie przestało mu zależeć, wciąż czuł się synem naczelnika. Postanowił wrócić do Parangi. Chciał być blisko, kiedy zacznie się walka z obydami i okaże się, czy czarodziej z południa jest ich obrońcą, czy tylko nowym, może jeszcze straszniejszym i bardziej okrutnym panem.

Kiedy tak maszerował przez zalewany deszczem las prężnym i pewnym krokiem człowieka przywykłego do wędrówek po puszczy, nagle wyszedł spośród drzew i zatrzymał się na szerokiej, lekko wznoszącej się ścieżce. Zaskoczony, rozejrzał się na wszystkie strony i zauważył na stoku ponurą figurę strzegącą okolicy. Natychmiast rozpoznał kumir świętego niedźwiedzia Konsyga, co oznaczało, że musi być blisko złotej Kaltasz-ekwy i kotliny z łańcuchem do nieba! A siedziba kolduna Oszlajkina, o ile ten stary czarownik jeszcze żył, znajdowała się w odległości strzału z łuku od Parangi.

Targyltyszowi od razu poprawił się humor. Był niemal u celu wyprawy. Znów sięgnął po bukłak, by to uczcić.

- Tylko poczekaj, braciszku! - zagroził. - Już wkrótce się policzymy. Oskarżę cię o niedołęstwo i chciwość. Zobaczymy, za kim się opowie rozgniewana starszyczyna!

Oburącz chwycił bukłak. Musiał go unieść bardzo wysoko, by wycisnąć z niego

ostatnie krople miodu. Przymrużył oczy, by nie wpadał mu do nich deszcz...

W tej chwili gdzieś na lewo od niego, niżej na stoku, parsknął koń.

Targyltysz usłyszał to natychmiast. Błyskawicznie oderwał bukłak od warg. Przycisnął rękę do ust, by stłumić kaszel, odwrócił się i wpełzł z powrotem w gęstwinę. Tam odrzucił puste skórzane naczynie, wyjął łuk z łubia, naciągnął cięciwę, założył strzałę i czekał skulony.

Lasów nie przecinały niemal żadne ścieżki zdatne do konnej jazdy, więc rumaki były tu rzadkością. Mieli je tylko najwybitniejsi ludzie, starszyzna rodowa i najdzielniejsi łowcy. W Parandze hodowano małe stadko potrzebne przy obrzędach - raz do roku należało ofiarować rosłego żrebca władcy niebios Torumowi.

Tym większe było zaskoczenie Targyltysza, gdy po dzwonieniu podków na kamienistej ścieżce poznał, że koni jest więcej. Żyjąc w lesie, nauczył się rozpoznawać różne rzeczy po wydawanych dźwiękach, więc wkrótce wiedział, że zwierząt jest pół tuzina. Po chwili usłyszał też głosy jeźdźców i spochmurniał. To nie była mowa Czudów. Brzmiała raczej jak warczący język wielkich ludzi znad Jeziora Białego, którzy jeździli do Parangi kupować futra i poroża.

Zobaczył sylwetki jeźdźców, skrytych w gęstwinie szeleszczącej od ciągłego deszczu. Targyltysz widział, jak są rośli - każdy był o dwie głowy wyższy od niego. Uszy go nie zawiodły - to naprawdę była mowa wielkich ludzi. Zobaczył lśniące, szlachetne żelazo, którego Czudowie nie potrafili obrabiać, usłyszał dźwięczenie kropli deszczu na dobrze wykutej zbroi. To na pewno Waregowie...

Nagle konie zaczęły wietrzyć, podrzucać grzywami i parskać ostrzegawczo. Wygnaniec wytrzeszczył oczy, wstrzymał dech i skulił się jeszcze bardziej. Jeśli go teraz zobaczą...

Waregowie właśnie w tej chwili dostrzegli figurę niedźwiedzia na górze koło ścieżki, po czym wszyscy, jak na rozkaz, podjechali bliżej siebie. Rozmawiali o czymś z przejęciem, a Targyltysz zasmucił się, że dawno temu, kiedy jeszcze dobrze się dogadywał z Oszlajkinem, nie nauczył się lepiej ich języka.

Jeźdźcy ruszyli ścieżką. Czud, skulony w gęstwinie, zrozumiał nagle, dlaczego od rana prześladowały go złe przeczucia...

Cudzoziemcy jechali prosto do kumira Kaltasz-ekwy. Pamiętał, jak jego współplemieńcy starali się ukryć słoneczną boginię przed Waregami, ponieważ wielcy ludzie byli opętani żądzą złota. Na pewno nie wahałoby się zbecześcić najcenniejszej figury plemienia...

Myśli wiły się w głowie Targyltysza jak węgorze w czasie tarła. Co powinien zrobić? Biec do Parangi i ostrzec Burmelaka, że Waregowie znaleźli drogę do świętego miejsca? Zanim przyprowadzi drużynę, zbóje będą już za górami ze zrabowanym złotem. Przygryzł wargi.

Potem zaklął w myśli i ostrożnie, krokiem drapieżcy na nocnym polowaniu, ruszył za jeźdźcami w górę stoku. Jeśli dojdzie do walki Waregów z Oszlajkinem, pomoże koldunowi. Przy odrobinie szczęścia może mu nawet uratować życie.

Warto by było zostać bohaterem w przeddzień powrotu do Parangi.



- To figura ich parszywego niedźwiedziego demona! - krzyczał Halldor Pęknięta Czaszka i z podnieceniem wskazywał stojący kamień. - A tam, pod sosną, następna! Na zroszone miodem gałęzie Yggdrasila, już musimy być blisko! Konungu, miałeś rację!

- Nie drzyj się tak, Halldorze - ostrzegł go Gudleif, ale nie potrafił być wystarczająco surowy, ponieważ na widok obramowanej kumirami ścieżki jemu też zaczęło szybciej bić serce. - Jesteśmy na właściwym tropie, ale nie cieszymy się przedwcześnie. Bądźcie czujni, nie róbcie niepotrzebnego hałasu. Jesteśmy zbyt blisko Parangi, a święte miejsca Czudów mogą być strzeżone.

- Niech sobie będą - prychnął jeden z sześciu drużynników. - Rozproszymy te parszywe karzełki niby stado susłów...

- Zapominasz, jak dobrze strzelają z łuków - przypomniał mu wódz. - Od razu naszpikowaliby nasze plecy strzałami. Ostrożnie.

Waregowie usłuchali i sięgnęli po miecze oraz topory. Najchętniej ruszyliby galopem, by dotrzeć jak najszybciej do celu wyprawy, ale opanowali się i jechali stępą. Wszędzie wokół szumiał deszcz, a sosnowy las na kamienistym zboczu tonął w szarości. Nagle rozbłysło przed nimi złotawe światło. Wymienili spojrzenia i wyszczerzyli zęby w pożądlivych uśmiechach jak wilki, które po długim pościgu osaczają wreszcie zmęczoną sarnę. Gudleif pozostał czujny i podejrzliwy. Rozkazał, by byli w pogotowiu i nie odzywali się bez potrzeby.

Jechali dalej, z bronią w rękę. Niecierpliwie próbowali wypatrzeć źródło światła. W końcu wyjechali zza sosen i zatrzymali się pod pękniętymi skałami.

- Na wszechwidzące oko Odyna - wychrypiął Halldor z głupkowatym uśmiechem na wargach. - Znaleźliśmy! Karzełki próbowały nam wmówić, że to tylko przesadzone bajedy... Ale Złota Baba naprawdę istnieje! I jest olbrzymia!

- Przecież mówiłem. - Konung uśmiechał się z zadowoleniem, ale stale miał przymrużone oczy i niemal obmacywał okolicę natarczywym spojrzeniem. Czy mu się zdawało, czy tam na dole pod stokiem zachwiały się gałęzie? Dokąd prowadzi wąwóz, w którym zanurza się ścieżka?

Pozostali wpatrywali się z przejęciem w masywny kumir. Najciekawsze było to, że w jego łonie ciągle palił się ogień. Głaz obrobiono bardzo sprytnie - ognisko chronił nawis, który podkreślał potężne piersi bogini, a wszystkie pozornie przypadkowe pęknięcia i wyżłobienia w kamiennym ciele odprowadzały wodę deszczową gdzieś w bok, więc nie spływała do niszy z ogniem.

- Nie jest cała ze złota, jak powiadają - zauważył jeden z ludzi rozczarowany. - Jest ze zwykłego kamienia, tyle że cała obwieszona klejnotami...

- Głupcze, czego byś jeszcze chciał? - skarcił go Halldor. - Tylko popatrz, ile tu złota i srebra. Tak czy siak, wrócimy do Biełooziera jako bogacze!

- Powinniśmy jak najszybciej wrócić - warknął Gudleif. - Musimy działać. Halldor, złap worek, wleź na figurę i wszystko z niej zerwij. Im prędzej się stąd zabierzemy, tym lepiej. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że ktoś nas obserwuje. I to nie jedna para oczu. Widzicie? Ścieżka prowadzi do wąwozu. Na pewno mieszkają tam kapłani, którzy strzegą figury i podtrzymują ogień. W każdej chwili mogą nas zobaczyć. Bądźcie gotowi do obrony.

Halldor Pęknięta Czaszka zdążył już podjechać do kumira, wyjąć stopy ze strzemion, wdrapać się na siodło i przeleźć z niego na masywne udo bogini. Jeden z Waregów podał mu pojemny płócienny worek. Halldor go rozwiązał, nabrał do niego powietrza, dzięki czemu sakwa otworzyła się szeroko, po czym wyciągnął rękę. Zaciśnął dłoń na posążku łosia wiszącym na srebrnym łańcuszku. Wystarczy mocno pociągnąć, a i cała sieć z drogich kamieni się posypie...

W tej samej chwili Złota Baba wściekle wrzasnęła.



Nawet gdyby zabrzmiał róg Heimdalla oznajmiający nadejście Ragnaröku, nie mogliby się bardziej przerazić.

Wystraszony Halldor cofnął się po masywnym udzie, poślizgnął na mokrym kamieniu i spadł z figury na ziemię, przy czym otarł się boleśnie i rozciął twarz. Spłoszone konie zaczęły rzeć i stawać dęba. Gudleif spadł z siodła na plecy, zaparło mu dech w piersi. Kolejny Wareg runął na bok razem z wierzchowcem i złamał nogę - wyraźnie słyszeli, jak pękła mu kość.

Wojownicy krzyczeli jeden przez drugiego, starali się uspokoić zwierzęta i zdezorientowani machali bronią na oślep.

- Uciekajmy! Rozgniewaliśmy bogów!

Konung podniósł się na czworaka, próbując złapać dech. Chwycił leżący miecz i wstał chwiejnie. Wrzask, który tak go przeraził, osłabł na chwilę, ale już po chwili zabrzmiał znowu, aż zadrżały sosny na skałach.

Gudleif zasłuchał się, a po chwili spojrzął na czarne wejście do rozpadliny.

- Cicho! - wrzasnął na panikujących ludzi. - To nie głos Złotej Baby! Dochodzi stamtąd! - Wskazał wąwóz sztychem miecza. - To zwykłe echo. Sztuczka, by zastraszyć przesądnych głupców!

Waregowie spoglądali w stronę wąwozu. Głos, który się z niego wydobywał, przybierał na sile. Ktokolwiek go wydawał, zbliżał się wyraźnie.

- Uważaj, konungu! - Halldor ostrzegł naczelnika.

Gudleif nie został wodzem Waregów znad Jeziora Białego przez przypadek. Odetchnął, zdusił w sobie strach, stanął w rozkroku i uniósł miecz.

Po chwili zachwiał się i mimowolnie cofnął jedną nogę.

W ciemności zabłyśły oczy drapieżnika. Biło z nich niezwykle, demonicznie czerwone światło. Wkrótce zobaczył ciemną sylwetkę, a po chwili ogromny niedźwiedź o niemal czarnej sierści wynurzył się z wąwozu. Parę kroków przed Gudleifem stanął na tylnych nogach i zaryczał, szczerząc zęby, a jego czarne łapy ostrzegawczo przecinały powietrze.

Jeden z jeźdźców za wodzem odważnie uniósł włócznię. Zamachnął się ze wszystkich sił...

W tej samej chwili w jego plecy wbiła się strzała, która nadleciała cicho z zarośli pod stokiem. Mężczyzna jęknął i zsunął się z siodła.

Dwa następne pociski wystrzelono z góry, spośród skał, może nawet z samego nieba. Jeden trafił w hełm Gudleifa, ześlizgnął się po nim i rozciął mu lewy policzek - zaledwie o palec mijając oko. Konung zatoczył się. Za sobą usłyszał okrzyk bólu. Jednemu z jego ludzi strzała przeszła udo i przyszpiliła je do siodła.

- Jesteśmy otoczeni! - wrzasnął Halldor, rozglądając się na wszystkie strony i nie wiedząc, gdzie się schować, ponieważ kolejne strzały nadlatywały ze skał i z lasu koło ścieżki.

- Przebijemy się! - krzyknął Gudleif, złapał swego wierzgającego konia za ogłowie i starał się wdrapać na siodło.

- Co ze zdobyczą? - wyjęczał Halldor, wsiadając na wierzchowca jednego z zastrzelonych, ponieważ jego własny spłoszył się i uciekł do lasu.

- Srać na nią! Ocalmy głowy!

Ruszyli konno w dół ścieżki. Świst strzał nie ucichł. Kolejny człowiek zaczął charczeć, kiedy grot wypuszczony z gęstwiny przebił mu szyję. Spadł z rumaka prosto na jednego z kamiennych niedźwiedzi przy drodze. Strażnicy świętego miejsca starali się nie tylko odpędzić intruzów, ale też nie pozwolić im, by wywieźli tajemnicę Złotej Baby z cudzkich lasów.

Na przekór temu czterej Waregowie, ranni i zakrwawieni, znikli w rzadkim sosnowym lesie. Tętent kopyt ucichł w oddali.



Przyczajony w mokrych krzakach Targyltysz dyszał ciężko i starał się uspokoić serce, które waliło jak młot. Kiedy jeden z dużych ludzi zamierzył się włócznią na Konsyga - łowca wiedział, że to w rzeczywistości przemieniony Oszlajkin - nie wahał się ani chwili i posłał mu strzałę w plecy. Był gotów chronić kolduna, jak potrafi najlepiej. Zanim jeszcze jeździec spadł na ziemię, łowca zdał sobie sprawę, że stoi sam przeciwko pięciu jeźdźcom i że nie ma z nimi szans. Jeśli się teraz odwróci i ruszą na niego...

Po chwili w powietrzu zaświszczały kolejne pociski. Targyltysz spojrział w górę, na skały nad wąwozem. Zauważył dwie niewyraźne sylwetki na tle szarego nieba.

Kapłan nie był sam! Chroniło go więcej strzelców!

Kiedy Waregowie rzucili się do ucieczki, samotnik strzelił za nimi jeszcze raz i znowu trafił. Im mniej cudzoziemców znających tajemnicę Kaltasz-ekwy ucieknie, tym lepiej.

Teraz kulił się w gęstwinie i czekał. Widział, jak niedźwiedź przed wąwozem zgiął się, zachwiał, a po chwili spod futra wynurzył się Oszlajkin. Znacznie się zestarzał od chwili, kiedy wygnaniec widział go po raz ostatni, ale to na pewno był on. Koldun odwrócił się i krzyknął coś w stronę wąwozu. Po chwili zaczęli się z niego wynurzać ludzie.

Targyltyszowi na moment stanęło serce. To również byli duzi ludzie, niemal olbrzymy, kapłan wyglądał przy nich jak dziecko. Mieli na sobie żelazne zbroje podobne do wareskich, a w rękach miecze lub solidne topory. Łowca pomyślał w pierwszej chwili, że Oszlajkin jest ich jeńcem, że pobity się tutaj dwie drużyny Waregów, ale koldun wcale nie zachowywał się jak osoba wzięta do niewoli. Przyglądał się zastrzelonemu z łuku Waregowi, coś im wyjaśniał, po czym wskazał ręką w stronę kryjówki Targyltysza. Wielcy wojowie jednocześnie spojrzeli na zarośla na zboczu.

Czud skulił się ze strachu. Zaczął ostrożnie cofać się ze stale napiętym łukiem w rękę. Wielbił w duchu niebieskich bogów za deszcz i za to, że szum zagłuszył odgłos jego kroków. Mężczyźni przy kumirze Kaltasz-ekwy nie poszli za nim, rozmawiali o czymś z przejęciem. Wygnaniec nie czekał, by się dowiedzieć, co postanowią. Kiedy tylko zszedł ze wzgórza, odwrócił się i z wiatrem w zawody pobiegł do lasu.

Musi jak najszybciej dotrzeć do Parangi i ostrzec Czudów. Obecność cudzoziemców w świętym miejscu mogła rozzłościć bogów. Jego współplemieńcy gotowali się do rozstrzygającej bitwy z obydwami i z pewnością woleli uniknąć boskiego gniewu.



- Jestem pewien, że to czudzki pocisk - zapewniał Oszlajkin, obracając w palcach zakrwawioną strzałę. - Strzelał z krzaków na dole stoku. Pewnie przypadkiem natknął się na Waregów i przyszedł za nimi aż tu. Jakiś zabłąkany myśliwy.

- Myślisz, że był sam? - rzucił Ilja.

- Niech Samson obejrzy ślady, kiedy tylko zejda z Aloszą ze skały - rozkazał Jegor. - Byle szybko, zanim deszcz wszystko zmyje.

- Czy ich liczba robi nam jakąś różnicę? Nawet jeśli jest tylko jeden, teraz pewnie biegnie już do Parangi, gdzie rozgłosi, że nas widział - zmartwił się Suchan Radynicz. - Nie powinniśmy jechać za nim i go uciszyć?

- Nie. - Światogor pokręcił głową. - Pomyślcie, chłopcy. Chcieliśmy wywabić Tugarina z osady? Chcieliśmy. Los dał nam wyjątkową okazję, by rzucić Drakowiczowi przekonującą przynętę.

- Tak - zgodził się Koływan Wygnaniec. - Tugarin dowie się o nas, ale jednocześnie nie będzie podejrzewał, że zastawiamy na niego pułapkę. Nie przyjdzie mu do głowy, że to część naszego planu. Po prostu jakiś Czud przypadkiem nas zobaczył. Czarodziej będzie chciał nas zaskoczyć, ale tym razem to my zaskoczymy jego.

Mikuła Sielaninowicz pokiwał kędzierzawą głową.

- To może się udać. Jestem prawie gotów uwierzyć, że sami bogowie zesłali nam tych Waregów.

- Oczywiście, że oni ich przyprowadzili. - Oszlajkin uśmiechnął się i spojrzał na lśniąca figurę. - Zwabiła ich Kaltasz-ekwa. Jest po naszej stronie.

- Miejmy nadzieję, że ochroni nas też przed czarami Tugarina - odezwał się Kościej z mroku wąwozu i spowodował, że rozjaśnione twarze bohaterów znów się zachmurzyły.



Było już ciemno, kiedy Targyltysz dopłynął na odległy cypel wyspy pośrodku Jeziora Niedźwiedziego. Woda była lodowata. Chwilami myślał, że nie da rady, że jego ciało stężeje w połowie drogi i padnie bezsilnie w głębinę. Nie miał jednak wyboru. Nie mógł tak po prostu przejść po grobli usypanej między brzegiem a wyspą, zapukać do bramy grodu i oczekiwać, aż ktoś go serdecznie przywita i zaprowadzi do Burmelaka. Co to, to nie. Strażnicy na palisadzie zlekliby się i podnieśli alarm. Mógłby łatwo zarobić strzałę między żebra.

Wylazł na zarośnięty trzcinań brzeg po przeciwnej stronie wyspy. Przez chwilę wyżywał zimną wodę z prostego futrzanego okrycia i tarł ciało, żeby się trochę rozgrzać. Potem znowu włożył skórzaną czapkę z przymocowanymi różkami kozła sarny i ruszył ku wałowi. Wszedł nań zręcznie jak łasica, przechylił się przez ostre wierzchołki bali palisady i zeskoczył na pomost. Skulony, obserwował i nasłuchiwał. Spokój. Wartownicy byli daleko, najpewniej z przodu, koło bramy. Po co mieliby strzec umocnień od strony jeziora?

Zeskoczył z pomostu na dziedziniec. Biegł od chaty do chaty, od drzewa do drzewa - Czudowie nawet po wybudowaniu grodu zostawili na wyspie kilka sosen. Ich rozczapierzone korony miały strzec dachów domostw.

Podpełzł w cieniu aż do siedziby naczelnika, masywnej budowli z okrągłych kłód uszczelnionych mchem i obwieszanej porożem oraz zwierzęcymi czaszkami. Otworzył nożem jedną z okiennic i wemknął się do środka. Poruszał się jak duch. Niepostrzeżenie dostał się aż do posłania Burmelaka. Naczelnik obudził się dopiero wtedy, kiedy dobrze naostrzona kościana klinga połechtwała go po gardle.

- Nawet nie piśnij - wysyczał nocny intruz. - Nie chcę ci zrobić krzywdy, braciszku, ale jeśli spróbujesz wołać o pomoc, uciszę cię bez wahania.

- Tar... Tarsem - wychrypiął wódz Czudów, potężny mężczyzna o czarnej, rozczochranej brodzie i czole przechodzącym w wielką łysinę.

- Nie. Jestem Targyltysz. Tak jak chciałeś. Możesz mnie dalej uważać za widmo. Wiedz, że każdego dnia będę blisko ciebie i będę śledził każdy twój krok. Nie pokazałbym ci się dzisiaj, ale przynoszę ważną wiadomość. Ostrzeżenie. Od ciebie zależy, co zrobisz z tą informacją, czy podzielisz się nią ze swym sprzymierzeńcem-czarownikiem i spróbujesz coś z tym zrobić. Tak czy owak, powinieneś to wiedzieć. Wytęż słuch i skup się dobrze, braciszku...

Wygnaniec mówił, a już i tak wytrzeszczone oczy Burmelaka otwierały się coraz szerzej.



- Jeszcze tylko dwa dni. - Argyz westchnął ciężko i popił kawałek baraniny łykiem mocnego kwasu. - Kugu Jumo na niebiosach mi świadkiem, że już nie mogę się doczekać. Bezczyenne przesiadywanie strasznie działa mi na nerwy...

- Myślisz, że nam nie? - przyłączył się jeden z drużynników. Czeremisi siedzieli wokół ogniska pośrodku obszernej chaty lub wylegiwali się na prostych posłaniach wzdłuż ścian. Dwaj zabijali czas w towarzystwie młodych Czudek, czyli chędożyli je bezwstydnie na oczach reszty. - Już od dawna mamy dość całej tej wyprawy. Bogowie, niech to się wreszcie skończy, żebyśmy mogli wrócić do domu.

- Muszę jednak przyznać - odezwał się najstarszy z wojowników - że właściwie nie powinniśmy się skarżyć. Mamy pod dostatkiem jada i napoju. Prawda, jedno i drugie liche w smaku, ale na pewno nie cierpimy biedy. Dostaliśmy dla siebie całą chatę, niemal tak wielką jak siedziba Burmelaka. Dali nam nawet kobiety, i to nie najgorsze. Tamta, którą Szabir właśnie bierze od tyłu, uszczęśliwiła już połowę z nas lepiej niż nasze baby w Koksadze. Ma doświadczenie trzydziestolatki, ale przez to, że jest taka mała, tam w dole jest drobna i ciasna jak trzynastoletnia dziewczica. Naprawdę rozkosz. Widzę, że mamy się o wiele lepiej, niż gdybyśmy mieli ciągnąć za Drakowiczem gdzieś na północne mokradła, tak jak pierwotnie planował, pamiętacie? Dziękujcie bogom, że zmienił zdanie.

- No, co prawda, to prawda - przyznał Argyz i oderwał zębami kolejny kawałek pieczonego udka. - Mamy się całkiem nieźle. Tugarin poczyna sobie z tymi wszawymi karłami jak pies pasterski ze stadem owiec. Kiedy zaczyna szczekać, rozbiegają się i robią wszystko, czego sobie życzy. Właściwie strach na to patrzeć.

- Zwłaszcza kiedy sobie człowiek przypomni, że tak samo ganiał naszych współplemieńców w Koksadze - przypomniał najstarszy drużynnik, pokazując rzadkie, a do tego krzywe i paskudnie zbrązowiałe zęby. - Czy kiedy zagrał Tugarin, Wargan nie tańczył dokładnie tak, jak teraz Burmelak?

- Ciszej. - Argyz pokręcił się niespokojnie na zydlu i zerknął na drzwi do drugiej izby, jakby się obawiał, że mogą się w każdej chwili otworzyć i wyjdzie z nich rozwścieczony, żądny zemsty Drakowicz. - Wiem, że służba czarownikowi niezbyt was raduje, ale nie mówcie o tym głośno, przeciwnie, starajcie się trzymać język za zębami. Unikajcie nawet myśli o zdradzie, bo inaczej je usłyszycie i odkryje nasz plan.

- Plan? - prychnął jeden z młodszych wojów. - Nie wiedziałem, że mamy jakiś plan.

- Pewnie, że mamy. Wszyscy wiecie, co mi rozkazał kugurak. Musimy tylko poczekać

na okazję. A nadejdzie już za dwa dni, w czasie nocy duchów. Jeśli w miejscowych opowieściach jest ziarno prawdy i z północy rzeczywiście przyleci stado czarownic, Drakowicz będzie miał pełne ręce roboty. Wtedy nadejdzie nasza chwila. Na razie nie musicie wiedzieć nic więcej. Jak mówiłem, czarodziej słyszy nawet myśli, więc jeśli odgadnie nasze zamiary, będzie po nas.

Mężczyzna imieniem Szabir, zabawiający się z drobną, ale ochoczą Czudką, właśnie osiągnął szczyt. Jęknął głośno, zaklął, zaśmiał się i w końcu padł między futra. Wśród pozostałych Czeremisów przebiegła fala dudniącego, ponurego śmiechu. Nagle Argyz podniósł głowę.

- Cicho - rozkazał i wsłuchał się w odgłosy.

Poszli za jego przykładem. Aż do tej chwili słyszeli tylko szum deszczu i kapanie wody, która wpadała do chaty przez nieszczelny dach. Teraz do tych dźwięków dołączyły podniecone głosy i chlupot kroków. Ktoś szybko zbliżał się do chaty. Przywódca drużyny ukradkiem sprawdził, czy ma topór pod ręką.

Po chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł przysadzisty, okrągły, łysiejący Czud. Wyglądał jak chodząca beczka przykryta mokrym futrzanym płaszczem.

- Burmelak - przywitał go Argyz i wstał. Niemal uderzył głową o krokiew, ponieważ sklepienia w czudzkich budynkach były, ma się rozumieć, bardzo niskie.

- Gdzie jest Tugarin? - bez wstępu zaczął władca Czudów.

- Jak zwykle u siebie, pogrążony w czarodziejskim śnie. Zbiera siły do walki z obydami...

- Muszę się z nim natychmiast zobaczyć. - Mały naczelnik ruszył w stronę ogniska.

- Nie mogę na to pozwolić. - Argyz zastąpił mu drogę.

Pozostali Czeremisi również wstali. Jakby od niechcienia wsparli się na włóczniach albo położyli ręce na rękojeściach mieczy i styliskach toporów. Wyglądało to tak, jakby olbrzymy z początku wieków otoczyły pierwszego człowieka. Czud nie zląkł się jednak ludzi wyższych od niego o jedną albo i dwie piędzie.

- To nie może czekać!

- Musi zaczekać. Szlachetny Tugarin prawdopodobnie oddzielił duszę od ciała i wędruje poza granicami tego świata. Zakazano nam mu przeszkadzać pod groźbą śmierci. Chcesz ryzykować, że w gniewie rzuci na ciebie klątwę?

- Posłuchaj mnie dobrze, Czeremisie...

Już się nie dowiedzieli, jakimi pogroźkami chciał ich poczęstować Burmelak, gdyż za plecami Argyza otworzyły się drzwi i z tylnej części chaty wynurzył się wysoki, białowłosy

mężczyzna, wsparty na Żelaznym Kosturze.

- Co to za pilna sprawa, Burmelaku? - zapytał zmęczonym, znudzonym głosem, nie okazując zainteresowania.

- Właśnie dostałem ważne ostrzeżenie.

- Od kogo?

- Czy to ważne? To nieoczekiwany poseł z dalekich krajów, ale myślę, że mogę mu wierzyć.

- Nie jestem w nastroju, żeby się z tobą kłócić. Mów, o co chodzi?

Wódz Czudów rozejrzał się po dużych ludziach.

- W lesie w pobliżu osady pojawili się obcy - powiedział.

- Jacy obcy?

- Duzi ludzie jak wy. Wyglądają na Waregów znad Jeziora Białego. Tegoroczna wyprawa była dla ich naczelnika Gudleifa tylko pretekstem, by wysledzić kumir Kaltasz-ekwy. Teraz wrócił potajemnie z pięcioma zbrojnymi...

- Waregowie znaleźli Złotą Babę?! - zawołał Argyz z oburzeniem, którego nawet nie musiał udawać. Jego plan zakładał, że kiedy pozbędą się Tugarina, przed powrotem do Koksziagi dokładnie obiorą ze złota figurę, która wznosiła się wśród skał na południe od Parangi.

- Znaleźli. - Naczelnik kiwnął głową. - Ale musieli uciec bez zdobyczy.

- Uciec? Chyba nie przepędził ich ten stary koldun, który mieszka na wzgórzu?

- Owszem, tyle że nie sam. Ktoś mu pomógł. - Czudzki władca spojrzał Tugarinowi w twarz. - Inni duzi ludzie.

Drakowicz lekko uniósł brwi, czym zdradził, że jednak zaczęło go to interesować.



- To oni - burknął smoczy kapłan, kiedy Burmelak barwnie i z pewną przesadą opowiedział mu przeżycia Targyltysza.

- Jacy oni? - nie rozumiał Czud.

- Kijowianie - odparł Argyz.

Tugarin kiwnął głową.

- Reszta tej zgrai, która uderzyła na suwarską smoczą wieżę. Pamiętasz, Burmelaku? Opowiadałem ci o tym. Światosław posłał z Waregami dziesięciu największych zabijaków. Jestem pewny, że twój człowiek właśnie ich widział pod figurą słonecznej bogini.

- Mówiłeś, że ta wyprawa wojenna skończyła się klęską - wtrącił naczelnik. - Że

władca Czeremisów zwabił wareskich intruzów na mokradło i tam zniszczył ich wojsko. Widziałeś to swoim czarodziejskim wzrokiem, może nie?

- Oczywiście, że widziałem - odszczeknął Drakowicz. - Waregów spotkała zasłużona klęska, bagno połknęło ich pychę, ale widocznie garstka Kijowian umknęła i dalej jechała na północ moim śladem. Na chwilę spuściłem ich z oka i nagle są tuż za mną. W dodatku sprzymierzyli się z tym parszywym... jak on się zowie?

- Oszlajkin - przypomniał władca.

- Tak, on. - Suwar podrapał się po policzku, który porastało ściernisko równie białe, jak jego włosy. - Naczelniku, kiedy prosiłeś, bym go oszczędził, posłuchałem cię. Już wtedy ostrzegałem, że może zaszkodzić naszej sprawie, a teraz moje słowa okazały się wieszczę. Ukrył naszych głównych nieprzyjaciół, zdradził ciebie i mnie. Tylko dzięki czarom, którymi obłożył skalną świątynię, nie wyczułem Kijowian wcześniej.

- Co zrobimy? - zapytał Argyz. - Pojedziemy i zaatakujemy tę skalną kryjówkę?

- Oczywiście. Nie możemy tak po prostu siedzieć i nie zwracać na nich uwagi. - Najwyższy kapłan spochmurniał. - Co prawda nie stanowią dla nas poważnego zagrożenia, ale są jak ciernie w tyłku. Nie spostrzeżemy się, kiedy rana zacznie gnić. Czeka mnie walka z siedmioma jędzami, nie chcę więc, żeby czyhali gdzieś z tyłu na okazję do ataku...

- Musimy się ich pozbyć przed nocą duchów - rzekł wódz Czeremisów.

Tugarin skinął głową i spojrzał na naczelnika.

- Widzisz, Burmelaku? Okazałeś Oszlajkinowi miłosierdzie, broniłeś jego życia, a teraz muszę przez niego marnować czary, których mógłbym użyć przeciwko Jadze...

- Przecież nie musisz tam iść - zauważył Czud. - Jeśli naprawdę jest ich tak mało, mogę wysłać do lasu swoich wojowników i kazać ich schwytać. Jesteś zbyt ważny, synu smoka, nie powinieneś narażać życia ani marnować czarów na stado zwykłych, chociaż niebezpiecznych śmiertelników...

- Nie zapominajcie o tym żyrzcu z jaskini - szybko wtrącił Argyz. - Wiem, że nim gardzicie, ale ten szalony czarownik ma jednak jakąś moc. Z jego pomocą Kijowianie mogliby stawić twardy opór i zadać wam ciężkie straty. Obawiam się, najwyższy kapłanie, że jednak będziemy potrzebowali twych czarów.

Tugarin wpatrzył się w niego pytająco. Czeremiski wódz musiał zebrać wszystkie siły, by spojrzeć mu prosto w oczy. Wprost czuł, jak wbijają się w niego niewidzialne kolce świadomości czarodzieja. Uparcie tłumił zdradliwe myśli, które mu podszeptowały, że jeśli Drakowicz się zgodzi i pójdzie do lasu polować na Kijowian, Czeremisi będą mieli świetną okazję, by wypełnić rozkaz Wargana. Poza tym pozbędą się skurwysyna jeszcze przed nocą

duchów i będą mogli pogalopować do domu, zanim Jaga z córkami zaatakuje osadę.

Niemal zaciskał zęby, starając się zataić te zamysły przed czarownikiem. Kiedy najwyższy kapłan wreszcie odwrócił wzrok, omal nie westchnął głośno, zdołał się jednak opanować.

Niegdysiejszy władca suwarskiej wieży zapatrzył się w płomienie ogniska. Nikt nie odważył się mu przeszkadzać w podejmowaniu decyzji. Na zewnątrz szumiał deszcz. Przez szpary w ścianach chaty wdzierła się ciemność nocy.

Wreszcie Tugarin podniósł głowę i uderzył tyłcem kostura o glinianą, udeptaną na kamień podłogę.

- Wyruszymy o świcie - ogłosił. - Argyz, ty i twoi ludzie pojedziecie ze mną prosto do świętego miejsca. Burmelaku, weźmiesz wszystkich ludzi, których zdołasz zebrać, i przyczaicie się w lesie. Otoczycie wzgórze szerokim kręgiem i zadbacie o to, by nawet mysz nie wydostała się z kotliny.

- Rozumiem, wielki czarodzieju, ale czy na pewno chcesz...

- Na pewno - uciał Drakowicz i wstał. - Kijowianie wystawiają moją cierpliwość na próbę. Jutro się przekonają, że jestem znacznie potężniejszy i bardziej niebezpieczny niż podczas walki w Suwarze.

Odwrócił się do nich plecami i znów znikł w drzwiach swojej izby. Szedł, uderzając Żelaznym Kosturem o twardą podłogę.

Kiedy zamknęły się za nim masywne drzwi, Argyz odkasznął, oswobadzając ściśnięte strachem gardło, i oblizwał wyschnięte wargi. Poczul na brodzie wilgoć i słony smak. Dotknął twarzy i zdał sobie sprawę, że z czoła kapie mu pot zimny jak jesienna ulewa na zewnątrz.



- Zachowujecie się tak, jakbyście jeszcze nic nie zauważyli - burknął Daniło i zawiesił na plecach kołczan ze strzałami. - Zamiast jednego nadprzyrodzonego przeciwnika stoją przeciw nam całe zastępy...

- Myślałem, że od marudzenia i złych przeczuć jest Sielaninowicz - odpowiedział Ilja, po czym wypróbował palcem ostrze Gniewu i z zadowoleniem schował miecz do pochwy u lewego boku. Właściwie nie musiał sprawdzać. Miecz z zaświatów nie mógł się stępić, nawet gdyby ktoś wytrwale uderzał nim o granitowy głaz. - Bardzo cię proszę, nie zaczynaj...

- Łowczanin ma rację - poparł przedmówcę Mikuła, dokładnie tak, jak oczekiwano. - Mają zbyt wielką przewagę. Może to nie był najlepszy pomysł, żeby zwabiać Tugarina i Czudów do naszej kryjówki. To jak tupać bosą nogą i liczyć na to, że w ten sposób

przepędzi się syczącą zmiję...

- Skończcie już z tym jęczeniem - wtrącił się Jegor. - Jesteśmy kijowską drużyną, sławnymi bohaterami, wilkami Światosława czy stadkiem gdaczących kur?

- Zawsze to mówię. - Suchan pokiwał łysą, pokrytą bliznami głową. - Najgorsze, co może nas dzisiaj spotkać, to śmierć. A kto by się przejmował takim głupstwem?

Światogor spojrział na niego i po chwili zaśmiał się dźwięcznie.

- Dobra postawa, Radymiczu! Odwagi, bracia! A zwłaszcza wiary! Zwycięzimy. Wydostawaliśmy się już z gorszych opałów. Wszyscy mamy już wyżej uszu sterczenia w tych zimnych, mokrych, pustych lasach. Wiem, sam niedawno robiłem wam wyrzuty, że nie myślicie o bohatyrskim posłannictwie, tylko uciekacie w myślach do bułgarskich piwnic z winem i szyszyg. Dzisiaj i ja nie pragnę niczego więcej.

- Najwyższy czas to skończyć. - Ilja Muromiec wyprostował się. - Zetnijmy Tugarinowi głowę i wynośmy się stąd.

Bohaterzy zaszumieli na znak zgody i sięgnęli po broń. Właśnie w tej chwili od skał odbiło się echo dźwięczenia podków. Drużyna zgromadzona pod domem kolduna zerknęła w górę. Samson wjechał kłusem do kotliny przez ciemny wąwóz.

- Już jadą - zameldował. - Widziałem, jak opuszczają osadę i dzielą się na dwie grupy. Na pewno chcą otoczyć wzgórze. Czudowie i Czeremisi, wszyscy uzbrojeni po zęby, w sumie ponad siedemdziesięciu ludzi.

- A Tugarin? - Kościej wyszedł zza skóry zawieszanej w drzwiach chaty Oszlajkina. Starał się mówić spokojnie, ale i tak usłyszeli, jak jego głos drży z napięcia. Oni też chcieli to wiedzieć i czekali na odpowiedź ze ściśniętymi gardłami.

Ormianin kiwnął głową.

- Jedzie z nimi.

- Świetnie! - ucieszył się Ilja. - Dał się złapać.

- Nie mów hop... - pouczył go Koływan.

Jegor rozejrzał się.

- Wszyscy wiecie, co macie robić. Na miejsca. Czekać na znak.

- Dajcie mi łuk - poprosił Kościej.

- Chcesz wziąć udział w walce? - Muromiec spojrział na niego. - Czujesz się na siłach?

- Przecież nie będę próżno czekać gdzieś na tyłach. Nie mam jeszcze dość sił, by walczyć mieczem lub toporem, ale mogę się przyłączyć do Aloszy i Samsona i strzelać z łuku. Kto mi go pożyczy?

- Masz, weź mój. - Mikuła podał mu kołczan z więcej niż dwudziestoma strzałami

i łuk z nienaciągniętą cięciwą. - I tak nigdy nie używam tej przeklętej rzeczy. Muszę czuć, jak głowa nieprzyjaciela pęka pod moim młotem, inaczej nie wierzę, że go pokonałem.

Kościej sięgnął po kołczan. Spojrzenia dwóch druhów spotkały się na moment. Były czarownik z wdzięcznością pokiwał głową. Mikuła odpowiedział czymś, co nawet pod gęstwiną długo niestrzyżonej brody wyglądało jak miły, zachęcający uśmiech.

- Chodźmy.

Podczas gdy bohaterzy rozchodzili się w pośpiechu, Światogor wrócił do chaty, odgarnął skórę z wejścia i zajrzał do środka. Przy mocno rozpalonym ogniu siedzieli Oszlajkin i mały Sarczak i uparcie wpatrywali się w płomień. Zdawało się, że są w innym świecie, ale Jegor i tak zapytał:

- Jesteś gotów, koldunie?

Staruszek zamrugał i spojrzał przytomniej. Z jego twarzy można było wyczytać wahanie i niepewność, ale i tak kiwnął głową.

- Konsyg wyszczerzy dzisiaj zęby. Wierzmy, że wystarczająco mocno, by przegryźć kręgosłup smoka.

Siwy bohater również kiwnął głową i odwrócił się. Kiedy szedł w stronę koni, żyrzec zaczął za jego plecami uderzać kośćmi w bęben. Razem z młodym uczniem rytmiczne mamrotał zaklęcia. Jegor przeżegnał się i wezwał Wszechmogącego, Matkę Bożą i wszystkich świętych, zwłaszcza swoich obrońców, Michała i Jerzego. Na wszelki wypadek wezwał ich tylko w duchu - nie chciał zniweczyć mocy pogańskich czarów, od których zależało ich życie.



- Ta cisza - odezwał się stłumionym głosem Argyz - jest podejrzana.

- A czego oczekiwałeś? - Tugarin uniósł kącki ust w ohydnej parodii uśmiechu. - Że przywitają nas śpiewem i tańcem?

Czeremiski wódz zacisnął zęby i zdusił opryskliwą odpowiedź. Nie chciał, by Drakowicz odkrył w jego słowach zdradę, która stale kołowała się w jego głowie. Odwrócił się i zapatrzył się przed siebie.

Stali ramię w ramię na ścieżce, która prowadziła między coraz rzadszymi sosnami w stronę popękanych skał. Z niskiej mgły, która przelewała się cicho między pniami, wynurzała się figura słonecznej bogini, pokryta cennymi ozdobami, błyszcząca w świetle wiecznego ognia. Argyz gapił się na nią, dziw, że zdołał trzymać usta zamknięte.

W złowieszczej ciszy tylko od czasu do czasu rozbrzmiewało parskanie

zaniepokojonego konia. Czasem burknął coś któryś z czekających niżej na ścieżce Czeremisów. Poza tym nic nie słyszeli - igliwie nie szeleściło, ptaki nie śpiewały.

- Nie mogę się pozbyć przeczucia, że wiedzą o nas - mruknął wódz drużyny.

- Oczywiście, że wiedzą. - Drakowicz się skrzywił. Przeczesał spojrzeniem tonący we mgle las. Oparł laskę o siodło tuż koło uda. Smocza łuska rozsiewała promienie srebrzystego światła wysoko nad jego głową. - Są blisko. Wyczekują. Czyhają. Kiedy tylko zbliżymy się do świętego miejsca, zaatakują.

Za ich plecami rozległ się tupot. Czeremisi obejrzeni się ze strachem i unieśli broń pewni, że zaczął się oczekiwany atak. Potem zdali sobie sprawę, że słyszą tylko jednego konia.

Za czarnych sylwetek drzew wyjechał kłusem mały kędzierzawy konik z Burmelakiem na grzbiecie. Mgła za jego plecami kłębiła się strasznie, jakby tworzyła wizerunki leśnych duchów i biesów.

- Moi ludzie zostali rozmieszczeni i przygotowani - zameldował wódz Czudów.

- Dobrze. - Tugarin skinął głową i spojrzał na swego przybocznego. - Argyzie, kto jest najodważniejszym wojem w twojej drużynie?

- Najodważniejszym czy najlepszym?

- Pytanie było jasne!

- Chyba Szabir. Właściwie trudno powiedzieć, czy to odwaga, czy szaleństwo. Zawsze rzuca się pierwszy do bitwy. Nie boi się duchów ani czarów, a kiedy się upije, wyśmiewa nawet bogów...

- Doskonale. Zawołaj go. Niech weźmie włócznię. Pojedziecie ze mną do figury.

Argyz wbił w czarodzieja buntownicze spojrzenie.

- Chyba nie chcesz, żebyśmy tam jechali tylko we trzech?

- Słyszałeś dobrze.

- Potężny, przecież przed chwilą powiedziałeś, że te psy...

- Rób, co mówię!

Przywódca Czeremisów zacisnął zęby, wziął głęboki wdech, by zdmuchnąć płomień nienawiści w swym sercu, i obejrzał się.

- Szabir!

Tugarin poczekał, aż młody wojownik przyklusuje do nich. Potem podniósł kostur. Łuska zaświeciła tak przenikliwie, że musieli zmrużyć oczy.



- Zaczyna się - wyszeptał podekscytowany Alosza. - Jadą tamtędy.

Kościej chwycił łuk i przesunął się ostrożnie w stronę Ulicza. Szczupły Książewicz skulił się za wielkim głazem na szczycie skały nad wylotem wąwozu. Samson kucnął naprzeciwko, dokładnie nad głową Kaltasz-ekwy. Między nimi ziała przepaść, szeroka ledwie na dwa sążnie, ale piekielnie głęboka. Wszyscy trzej mieli dogodny widok na drogę.

Do tej pory niczego nie zauważyli. Z lasu dobiegały ukradkowe szelesty i czasami tupot, więc było dla nich jasne, że nieprzyjaciele są blisko i że stopniowo okrążają święte wzgórze, ale z powodu mgły nie widzieli żadnego ruchu.

Aż do teraz. Między sosnami na stoku zajaśniało białe światło i przeniknęło przez mgłę. Wyglądało jak zimne słońce przebijające się przez cienką warstwę chmur. Kościej zacisnął wargi i jego oszpecona twarz zbladła jeszcze mocniej, mimo że wydawało się to niemożliwe.

- To on - wycedził przez zęby. - Tugarin. Starajcie się nie patrzeć prosto w światło. Moc łuski Zirnytry mogłaby osiągnąć waszych myśli i was sparaliżować.

Usłyszeli tupot koni. Powoli przybierał na sile, jeźdźcy poruszali się stępa, spokojnie, bez pośpiechu. Światło jechało ścieżką pod górę, mgła rozstępowała się przed nim, chowała za święte kamienie i drzewa rosnące wzdłuż drogi. Wkrótce łucznicy zobaczyli trzech zbliżających się jeźdźców, jednak zgodnie z radą Kościeja nie patrzyli prosto w światło, więc widzieli tylko zarysy postaci nadjeżdżających mężczyzn. Na przedzie podążał sam Drakowicz z Żelaznym Kosturem w ręku, kawałek za nim dwóch Czeremisów, jeden okryty tarczą i z mieczem w ręku, drugi z włócznią opartą o siodło, której grot celował w niebo.

Alosza sięgnął do kołczanu opartego tak, by mógł jak najszybciej wyjmować strzały. Nałożył jedną z nich na cięciwę, po czym uniósł się lekko. Miał zamiar wystrzelić, ale Kościej położył mu rękę na nadgarstku.

- Nie - wyszeptał niemal niesłyszalnie i w tej samej chwili stanowczo skinął na Samsona po drugiej stronie. - Chronią ich czary. Na pewno mogą odbić strzałę. Musimy poczekać.

- Na co? - syknął Książewicz, ale kaleka znowu spoglądał w dół.

Dwóch Czeremisów zatrzymało się jakieś siedem końskich długości przed końcem wąwozu. Tugarin pojechał dalej. Przyklusował blisko szczeliny, zatrzymał się i zsiadł z konia. Po chwili wahania ujął kostur oburącz i wszedł do rozpadliny. Postawą przypominał pieszego woję, który nastawia włócznię, oczekując starcia z jeźdźcem.

- Teraz - szepnął niecierpliwie Alosza, chwycił cięciwę trzema palcami i zaczął naciągać. - Zastrzelmy tych dwóch...

- Nie. - Kościej znów go powstrzymał. - Nie widzisz? Nad Czeremisami ciągle migoce niezwykle światło. Czarodziejska tarcza dalej ich chroni. A niech to...

W tejże chwili jeden z Czeremisów, ten z włócznią opartą o siodło, spojrzał podejrzliwie w górę. Trzej łucznicy cofnęli się od brzegu skały, klnąc cicho.

- Na co jeszcze czekamy? - warknął Samson, unosząc róg do ust. - Teraz nastąpi właściwa chwila. Sukinsyn wlaź w pułapkę...

- No właśnie - wycedził przez zęby wychudzony mężczyzna. Na jego twarzy i w spojrzeniu malowały się złe przecucia. - Zrobił to jakoś zbyt szybko...

- Bo jest pewny siebie. Myśli, że nic nie może mu się stać.

- Owszem, ale nie jest głupcem. Coś tu jest nie tak. - Kościej zazgrzytał zębami. - Tylko nie wiem co...



Srebrzyste światło łuski Zirnytry rozlało się po czaszkach, porożu i prastarych obrzędowych rysunkach pokrywających ściany wąwozu, po czym wlało się do kotliny. Białowłosa czarodziej podszedł ostrożnie do chaty kolduna i trzymanym oburącz kosturem odgarnął skórę z wejścia.

- Powinienem cię przywitać, Drakowiczu - odezwał się siedzący za gasnącym ogniskiem Oszlajkin. - To byłby jednak przejaw szacunku i przyjaźni, a nie doczekasz się ode mnie czegoś takiego. Na przekór temu jestem rad, że znowu widzimy się twarzą w twarz. Nastąpił czas, by wyrównać rachunki.

Czarownik nie odpowiedział, pochylił tylko głowę i wszedł do chaty. Za progiem przybrał postawę bojową i zamierzył się głowicą laski prosto na żyrzca.

- Nie boję się twoich gadzich czarów - warknął koldun. - Chroni mnie moc Konsyga i jego matki Kaltasz-ekwy!

Wymawiając te słowa, podniósł ręce i zacisnął w palcach niedźwiedzią skórę na swoich ramionach. Był gotów w każdej chwili błyskawicznie naciągnąć na głowę jej górną część wraz z połową niedźwiedziej czaszki i zamienić się w dziką bestię.

- Dlaczego nic nie mówisz? - zapytał Oszlajkin z rosnącym gniewem. - Kiedy wypędzałeś mnie z Parangi, mieliłeś ozorem niemal bez przerwy. Obwiniałeś mnie, kłamałeś, wymyślałeś mi, rzucałeś klątwy. Teraz milczysz jak skała. Na co czekasz?!

Czarodziej nie odpowiedział, tylko stanął w szerszym rozkroku i przygarbił się. Czudzki kapłan zmrużył oczy. Uważnie przyjrzał się nieprzyjaznemu gościowi, przebił spojrzeniem i ostrym grotem myśli żarzącą się srebrzyście magiczną tarczę...

Nagle zrozumiał.

- Nie jesteś Drakowicz! - krzyknął zaskoczony. - Jesteś zwykłym...

W tejże chwili rzekomy Tugarin wydał okrzyk bojowy i zaatakował. W ruchu zmienił się w czeremiskiego wojownika, kosturowi także wróciła jego prawdziwa postać - Oszlajkin zobaczył grot ciężkiej włóczni.

Koldun odskoczył i błyskawicznie zarzucił sobie niedźwiedzią czaszkę na głowę. Ciało zgarbiło się, nabrało potęgi i masy, futro przyrosło do skóry, okryło całą sylwetkę i zasklepiło się z przodu jak rana uleczona zaklęciem. Krzyk zaskoczenia zmienił się w zwierzęcy ryk.

Wszystko to nie powstrzymało Szabira. Argyz nie mylił się co do niego - młody wojownik był nieustraszony. Przeskoczył ognisko i pchnął z całej siły. Dźgnął niedźwiedzia w górną część piersi. Grot wbił się w potężne ciało.

Oszlajkin - albo może sam Konsyg? - zaryczał boleśnie.



Kiedy tylko ze środka skalnego wieńca dobiegł niedźwiedzi ryk, cudowne światło przed jaskinią zaczęło się chwiać, pulsować i zwijać. W tej chwili wszystko, co do tej pory widzieli łucznicy, rozerwało się i poleciało na bok. Jak wichher rozmiata jednolitą warstwę opadłych jesienią liści i pojawia się goła ziemia - tak oczom bohaterów ukazała się rzeczywista postać rzeczy. Jeden z Czeremisów, najwyraźniej przywódca drużyny, nie zmienił się, ale człowiek siedzący obok niego owszem. Włócznia oparta o siodło z grotem wymierzonym w niebo stała się nagle Żelaznym Kosturem.

- Teraz! - rozkazał Kościej i unióśł się lekko z napiętym łukiem w rękę.

Samson prędko wziął głęboki wdech i zadał w róg. Donośny odgłos wzleciał między poszarpane korony sosen.



- Naprzód, chłopcy! - krzyknął Jegor Światogor i wskoczył na wronka tak dziarsko, jakby miał dwadzieścia lat, a nie prawie sześćdziesiąt. - Za Kijów!

- Za Diwlana i Boroweja! - przyłączył się Mikuła, wsuwając nogę w strzemię.

Bohaterzy, do tej pory skuleni bez tchu w zamglonej gęstwinie, trzymający konie za ogłowie i przyciskający im dłonie do nozdrzy, by nie zdradziło ich nawet jedno nerwowe parsknięcie, szybko wskakiwali na siodła.

- Kijóóów!

Konie zarżały, zadudniły kopyta, zadźwięczało żelazo.



Tugarin spojrział w górę akurat w chwili, kiedy Kościej i Alosza puścili cięciwy. Uniósł trzymaną w pogotowiu laskę. Srebrzysta jasność przybrała na sile. Poryw mocy zmiotł strzały w bok, jakby dmuchnął na nie sam Wojpeł, bóg północnych wichrów.

Drakowicz zaśmiał się pogardliwie, podjechał bliżej skały i skupił się.

Argyz, który dotąd kulił się odruchowo za tarczą, teraz nieco opuścił okuty krąg i wbił spojrzenie w plecy czarownika. Tugarin był w pełni zajęty łucznikami na skałach. Nadeszła najlepsza okazja, by wypełnić rozkaz kuguraka Wargana!

Wojownik mocniej zacisnął dłoń na stylisku topora i zaczął się zbliżać do Drakowicza.



- Kijóóów!

Czeremisi czekający niżej na stoku obejrzeni się z zaskoczeniem na lewo i prawo. Krzyk napastników rozbrzmiewał z obu stron ścieżki. Po chwili z mglistego lasu wynurzyli się majestatyczni jeźdźcy w dźwięczących żelaznych zbrojach. Trzech z jednej, czterech z drugiej strony. W mgnieniu oka byli przy zastępie Czeremisów, wpadli na nich w pełnym galopie i rozproszyli ich jak atakujący sokół stado gołębi.



Czarny niedźwiedź, stojąc na tylnych nogach, znowu zaryczał. Szabir z całej siły pchnął włócznią. Zwierzę zamachało łapami, ale nie dosięgło mężczyzny, drzewce broni było zbyt długie.

W tej chwili rozległ się ohydny trzask i Szabir strasznie jęknął. Obejrzał się i zobaczył niedźwiedziątko, które wgryzło się w jego łydkę tuż nad prawą piętą.

Oszlajkin natychmiast skorzystał z wahania przeciwnika, cofnął się i uderzył łapami drzewce włóczni. Grot nareszcie wyśliznął się z rany. Czeremis spojrział na przeciwnika wystraszonymi, pełnymi bólu oczami. Niedźwiedź opadł na cztery łapy - potężne cielsko zafalowało przy tym - i ruszył na człowieka. Ten nie zdążył unieść włóczni do drugiego pchnięcia. Błyskawiczny cios obalił go na plecy. Sarczak puścił jego nogę i odskoczył. Żyrzec wspiął się na tylne łapy, a przednimi naparł na pierś Szabira. Szybkim ciosem pazurów pozbawił go ubrania i skóry. Krew trysnęła spomiędzy biało świecących żeber. Czeremis zawył ogłuszająco.



Kościej, Alosza i Samson strzelili jeszcze raz, ale i te strzały zmieniły tor lotu tuż nad jeźdźcem i nie czyniąc mu szkody, spadły na kamienie przed wejściem do wąwozu. Tugarin, szczerząc zęby, wyciągnął rękę w stronę wierzchołków skał. Kostur zaatakował jak głowa węża, z łuski wystrzeliła przenikliwa jasność.

- Uwaga! - krzyknął Kościej, błyskawicznie odwrócił wzrok i rzucił się za głaz. Samson i Alosza nie zdążyli, czar dziabnął ich prosto w oczy. Z krzykiem runęli na plecy, łuki wypadły im z rąk. Broń Samsona ześlizgnęła się z krawędzi skały i spadła do wąwozu.

Argyz tymczasem zbliżył się od tyłu do Tugarina. Kiedy miał go tuż przed sobą, rozpędził się, gotów rozłupać mu głowę toporem.

W tej samej chwili Drakowicz obejrzał się i uderzył zdradzieckiego Czeremisa spojrzeniem, w którym tkwiło nieopisane zło i wszechwiedza, przede wszystkim jednak była z niego potęga. Ruchy Argyza stawały się coraz wolniejsze, jakby próbował pływać w kadzi z miodem. Zaskomlał z rozpaczy.

W innych okolicznościach Tugarin odpłaciłby mu za zdradę znacznie okrutniej, ale teraz nie miał czasu. Po prostu odwrócił się w siodle i mocno uderzył kosturem. Żelazna smocza łapa na jego końcu rozbiła Czeremisowi twarz i naszpikowała jego mózg ułomkami czoła.



Krew w żyłach Ilji kołowała jak szalona.

- Kijów! - krzyknął bojowo i zadał cios mieczem. Zarośnięty, mocno śmierdzący Czeremis uniósł tarczę, ale to mu nie pomogło. Muromiec bezlitośnie przeciął Gniewem dębowy krąg i rękę pod nim. Z kikuta trysnęła krew. Mężczyzna zawył, zachwiał się, ale utrzymał w siodle. Dopiero drugi cios bohatera, którym rozciął mostek i parę żeber oraz niemal oddzielił głowę od ciała, posłał wroga na ziemię. Koń wierzgnął, zarżał i pogalopował do lasu.

Ilja mocnym szarpnięciem wodzy zawrócił Buruszka. Walka w wirującej mgłę była krótka i bezlitosna. Broń już cichła. Czeremisi nie byli wprawdzie tchórzami, ale szybkość i zaciekłość bohaterów zupełnie ich oszołomiła. Stawiali za słaby opór, by którykolwiek z Kijowian doznał poważnych obrażeń.

Daniło walczył z ostatnim drużynnikiem Argyza - prosty, dwusieczny kijowski miecz przeciw krzywej klindze koczownika. Czeremis bił się jak wściekły pies, więc ataki Łowczanina, chociaż szybkie i mocne, nie mogły przebić się przez jego osłonę. Nagle we mgłę trzasnął bat Mikuły i owinał się przeciwnikowi wokół ręki, w której ten trzymał szablę.

Szarpnięcie zrzuciło go z konia. Po chwili Suchan przejechał tuż obok i przepołowił głowę wstającego Czeremisa masywnym toporem.

- Co robicie, do pioruna jasnego?! - krzyknął rozdrażniony Daniło. - Już go miałem!

- Wcale nie - warknął Radymicz. - I nie mamy teraz czasu na przydługą szermierkę.

We mgle rozległ się tętent galopujących koni. Bohatryrze obejrzeni jak jeden mąż. Między drzewami, w kłębach białego oparu, mignęła sylwetka jeźdźca w futrzanym płaszczu.

- Czudzki naczelnik! - krzyknął Jegor. - Zatrzymajcie go!

Koływan Wygnaniec obrócił w palcach włócznię, przedtem trzymaną tak, by zadawać pchnięcia, uniósł się w strzemionach, rozpedził się i rzucił akurat w chwili, kiedy Burmelak pochylił się nad końską szyją i szturchnął konia piętami. Zakrwawiony grot ledwie o piędź minął koński zad, odciął parę kosmyków z ogona i znikł w gęstwinie. Zanim bojarzy zbliżyli się do jeźdźca, ten rozplątał się w leśnej gęstwinie jak duch. Koływan zaklął i chciał ruszyć za nim, ale Jegor go zatrzymał.

- Daj spokój! Później zajmiemy się Czudami. Teraz prędko do Złotej Baby!

Zawrócili konie i ruszyli w górę stoku, między sosnami i czarnymi figurami, po ścieżce albo przez krzaki. Zza drzew już wynurzał się jasny, obwieszony złotem kumir, kiedy we mgle rozblęskło srebrzyste światło i uderzyło ich w oczy. Jadący na czele drużyny Światogor ściągnął wodze i chcąc nie chcąc, musiał podnieść tarczę, by chronić wzrok. Pozostali również zatrzymali się i zasłonili oczy.

Słyszeli, jak w dół ścieżki jedzie ku nim samotny koń. Zacisnęli dłonie na broni. Białe światło zaczęło mrugać, mgła opadła i rozdarła się jak pajęczyna w przeciągu.

W stronę bojarów lekko, niewzruszenie kłusował Tugarin Drakowicz.

Zatrzymał się kilka kroków przed nieruchomym zastępem. Po Żelaznym Kosturze spływała świeża krew, płamiąc kościste palce czarownika.

Przez chwilę wszyscy stali zupełnie nieruchomo i mierzyli się spojrzeniami. Oni nie skrywali nienawiści, on miał dla nich tylko pogardę i dumny uśmiech. W ciszy parskały konie zaniepokojone czarami, które syczały w wilgotnym powietrzu - cicho, ale złowieszczo.

- Sukinsynu!

To Ilja pierwszy przerwał pełną napięcia ciszę. Klnąc, szturchnął piętami Buruszka i ruszył na Tugarina. Uniósł Gniew nad głowę, gotów rąbać i kaleczyć.

Czarodziej nie dał się zaskoczyć. Chwycił Żelazny Kostur oburącz i machnął nim ukośnie, z góry na dół. Rozjarzona smuga srebrzystego światła zalała szyk bohaterów jak migocąca fala lecąca po wodnej głębinie. Uderzyła w oczy wszystkich jeźdźców i konie.

Rozległ się łoskot, rzenie, okrzyki bólu. Spłoszone rumaki stawały dęba, a osłepieni,

zdezorientowani bojarzy spadali z siodeł. Buruszko, który stał najbliżej Tugarina, z żalonym rzeniem runął w przód, na kolana, jakby ostra klinga podcięła mu kolana. Ilja krzyknął głucho i z metalicznym brzękiem sturlał się pod kopyta konia Drakowicza. Gniew wypadł mu z ręki.

Tugarin roześmiał się, przerzucił prawą nogę przez kulę siodła i zsunął się z wierzchowca. Klnący drużynnicy starali się opanować, ale czarownik zatoczył laską nad głową - kolejna fala światła dźgnęła ich w oczy i obaliła na ziemię jak powiew huraganu. Najbardziej uparty był Jegor. Warczał i drżał jak dąb podczas wichury, ale w końcu i pod nim ugięły się kolana.

- Nic nie widzę! - skomlał Mikołaj Sielaninowicz.

- Ja też nie! - zawył Koływan Wygnaniec i dodał kilka soczystych obelg.

- Niech ktoś go zabije! - krzyczał Światogor i po omacku szukał Śmierci. - Niech ktoś przebije ten worek gówna!

Ilja z najwyższym wysiłkiem podniósł się na czworaka. Starał się dostrzec Tugarina, ale tak jak wszyscy widział tylko białą próżnię - jakby mgła wokół nich zgęstniała i zmieniła się w mleko, w którym zatoneły wszystkie kolory i kształty. Tylko szczęściu zawdzięczał, że namacał rękojęść Gniewu i zacisnął na niej rękę. Skupił się z całych sił. Pocztał, że z cudownego miecza wlewa się w niego siła. Znowu zamrugał, przymrużył oczy. Z przenikliwej bieli wynurzyła się wreszcie niewyraźna sylwetka. Zaczął się podnosić.

Suwar wyciągnął czarodziejską laskę przeciwko wstającemu Muromcowi. Ilja zachwiał się, upadł i musiał się przez chwilę oprzeć ręką o ziemię. Zacisnął zęby i podniósł się znowu. Po chwili stał na nogach. Czarodziej wyraźnie się zaniepokoił i cofnął o krok. Łatwo złamał pozostałych bohaterów, ale przeklęty zabójca Zilanta znowu udowodnił, że tkwi w nim jakaś tajemnicza moc, zdolna stawiać opór nawet najmocniejszym czarom...

Bohater zrobił niepewny krok do przodu i uniósł rękę z Gniewem. Wtedy Tugarin zrozumiał. Tego miecza nie wykuto na ziemi. Pochodził z... innego miejsca. Czarodziej skulił się i mocniej chwycił kostur. Srebrzysta luna stała się jaśniejsza - jakby w lesie rzeczywiście zaświeciło małe, zimne, białe słońce.

Muromiec wyszczerzył zęby i uderzył. Drakowicz mocno machnął laską. Żelazny Kostur i miecz zderzyły się z gromowym, ogłuszającym brzękiem. Rozbłysło tak silne światło, że sam dawny władca smoka omal się nie przewrócił. Ilja krzyknął i upadł na kolana. Gniew wyslizgnął się z omdlałych palców. Muromiec pokręcił głową, chcąc odegnąć oszołomienie, ale w tej chwili Drakowicz z całej siły uderzył go w twarz dolnym końcem laski. Bojar zalał się krwią. Po chwili bezgłośnie omdlał i padł na plecy. Lśniący hełm zleciał mu z głowy.

Wokoło brzmiały rogi, krzyk, tętent kopyt, tupot biegnących ludzi. Tugarin, zdyszany i wycieńczony, rozejrzał się po lesie.

Kiedy Burmelak i Czudowie zobaczyli, jak czarodziej sam jeden stawia czoło drużynie bohaterów, rozkrzyczeli się i zadźwiczeli bronią, przeważnie włóczniami i długimi nożami.

- Nie! - powstrzymał ich Tugarin. Przeszedł nad nieruchomym Muromcem i pospieszył na spotkanie Czudów. - Nie trzeba. Złamałem ich, unieruchomiłem na pewien czas. Chcę ich żywych, rozumiecie? Zwiążcie wszystkich porządnie!

Burmelak zatrzymał konia ściągnięciem wodzy i opuścił rękę z toporem. Na to skinienie zastęp Czudów rzucił się na bohaterów. Kijowianie wyli z nienawiści i zgrzytali zębami, ponieważ zachowali jeszcze resztki własnej woli, ale atak czarodzieja odebrał im siły, więc nie byli w stanie bronić się przed małymi ludźmi. Ci szybko zrobili z nich starannie związane pakunki.

- Doskonale. - Suwar wyszczerzył zęby. Łuna bijąca z łuski Zirnytry, do tej pory przyciskająca bohaterów do ziemi, osłabła. - Inni skrywają się na skałach. Oczywiście chcę też dostać kolduna. Pospieszcie się!

Czudowie wahali się przez chwilę, ponieważ wykonanie rozkazu wymagało, by wtargnęli z bronią w rękę na święte miejsca plemienia, ale Burmelak zdecydowanie ruszył w górę stoku i krzyknął, by biegli za nim.

Usłuchali.



- Prędko, bracia! - nalegał Kościej. - Musimy stąd zniknąć!

Alosza i Samson leżeli na skałach, zwinięci niczym płody w łonie matki, drgali kurczowo i chowali twarze w dłoniach, jakby stale chronili oczy przed oślepiającą jasnością Żelaznego Kostura. Przez ich zaciśnięte zęby przedzierało się bolesne skomlenie.

- Słyszycie? Ocknijcie się! Książewicz, wstawaj! - Kaleka złapał Aloszę za ramię i potrząsnął.

Od skały odbił się gromki okrzyk. Wystraszony Kościej wyjrzał zza głazu. Z zamglonego lasu wybiegały zastępy małych Czudów i spieszyły ku szczelinie skalnej.

Chudzielec chwycił Ulicza pod pachami i spróbował go podnieść, ale młodzieniec był zupełnie bezwładny, a Kościej nie miał jeszcze dość sił, by go wlec. Zaklął i puścił druha. Czudowie przebiegli koło Kaltasz-ekwy i wtargnęli do kotliny.

Były władca Malachitowego Kostura znów zaczął kłąć. Rzucił Samsonowi i Aloszy

jeszcze jedno spojrzenie, ale kiedy się upewnił, że nie odzyskali przytomności, wziął łuk i jeden z pełnych kołczanów, odwrócił się i ruszył na szczyt. Zmierzał ku figurze niebieskiego Toruma nad ścieżką. Nie wątpił, że Czudowie odważą się wspiąć na łańcuch i odetną im w ten sposób drogę ucieczki. Musi uciec inaczej. Może po przeciwnej stronie wzgórza skały nie są tak strome i uda mu się zejść na dół, do lasu...

Właśnie dobiegł do kumira Toruma, kiedy usłyszał dochodzący ze stromej rozpadliny z łańcuchem chrzęst kamieni. Na moment stanęło mu serce, ponieważ przyszło mu do głowy, że to zręczni Czudowie już pną się na górę. Cofnął się ze strachem i sięgnął do kołczanu. Jeśli będzie trzeba, przeszyje strzałą pierwszego napastnika, a spadające ciało obali następnych albo przynajmniej bardzo utrudni im wspinaczkę...

Już wyjmował strzałę, kiedy usłyszał głębokie, warkotliwe dyszenie. Znowu zerknął w szczelinę i bardzo mu ulżyło. Najpierw zobaczył małego Sarczaka w ludzkiej postaci, wchodzącego zręcznie po łańcuchu. Miał zakrwawione usta, ale najwyraźniej nie była to jego krew. Za chłopcem sunęła w górę ogromna czarna masa. Oszlajkin zmieniony w niedźwiedzia ze wszystkich sił piął się w górę stoku. Zacisnął szczęki na ostatnim ogniwie łańcucha. W miarę wchodzenia stopniowo wciągał go za sobą. Kościej uradował się w duchu. Bez łańcucha było bardzo trudno dostać się na szczyt skały, jeśli w ogóle byłoby to możliwe.

Oszlajkin, dysząc ciężko i drapiąc kamienie, przebiegł koło figury Toruma i pospieszył na przeciwną stronę wzgórza, od strony Jeziora Niedźwiedziego i Parangi. Łańcuch dźwięczał za nim. Koldun zatrzymał się na skraju wzgórza i wypuścił ostatnie ogniwo z zębów. Łańcuch wypadł za krawędź skały. Pomógł mu łapą, szturchał, dopóki ciężar własny metalu nie pociągnęły łańcucha w dół. Zsunął się po stromym stoku z głośnym brzęczeniem, w końcu targnął ostatnim kręgiem, wbitym w figurę Toruma.

Niedźwiedź stanął na tylnych łapach, zgarbił się, zatoczył i zmienił w człowieka wysuwającego głowę spod zwierzęcej skóry. Kijowianin podszedł do niego, by podziękować, ale w tej samej chwili poczuł zapach krwi.

- Jesteś ranny. - Spojrzał przymrużonymi oczami pod futrzany płaszcz i zauważył czerwoną strugę spływającą po ciele. - Dasz radę zejść?

- Muszę - wychrypiął Oszlajkin. Jego twarz była spocona i śmiertelnie blada. - Kto inny obroni Sarczaka? Tylko my pozostaliśmy na wolności, Kościeju. Czudowie pojmali twoich druhów. Ściśle mówiąc, nie oni, tylko ten przeklęty czarownik...

- Wiem. Co zrobimy? Ludzie Burmelaka otaczają całe wzgórze. Na razie umknęliśmy, ale na pewno czyhają też u podnóża skał pod nami...

- Nie bój się. Przepadniemy w lesie. Znam miejsce, gdzie nas nie znajdą, ale najpierw

musimy bezpiecznie zejść. Idę pierwszy, żeby nie spaść wam na głowy, gdybym nie utrzymał się na łańcuchu.

Kościej nie miał zamiaru się spierać. Pomógł koldunowi przekroczyć krawędź skały. Potem ruszył Sarczak, zgrabnie jak wiewiórka. Błady mężczyzna przewiesił sobie łuk przez pierś, mocno zacisnął palce na łańcuchu i ostrożnie schodził za Czudami.

Zejscie było wyczerpujące, ale szybkie. Oszlajkin dał sobie radę, chociaż chwilami wyglądało na to, że omdlewa i wypuści z chudych palców metalowe ogniwa. Na dole trójka zsunęła się po szczyrku i schowała się w gęstej, ciemnej zieleni. Wokół było cicho - okrzyki Czudów dobiegały z daleka.

- Chodźmy - wychrypiął kapłan. - Nie potrwa długo, a przyjdą węszyć aż tutaj...

- Czekaj, pomogę ci. - Kościej powierzył łuk Sarczakowi i podparł kolduna. - Tak będzie szybciej.

Razem ruszyli przez cienisty las - słaby, oszpecony mężczyzna ze starym, rannym żyrzecem i małym chłopcem. Ostatnia wolna trójka, w której rękach spoczywał teraz los całej reszty drużyny.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wojsko z nieba



Chata, w której zamknięto bohaterów, była okrągła jak wiele cudzkich budynków. Ściany z kłód, skośnie wbitych w ziemię, zostały uszczelnione mieszaniną błota i słomy, a od zewnątrz obciążone skórami jeleni i łosi. Dach miał formę namiotu ze skór, naciągniętych na prosty drewniany szkielet i pokrytych grubymi wiązkami gałązek i trzciny. Szczyt namiotu ścięto, ale otwór, który w ten sposób powstał, już nie był użyteczny, gdyż ogień, zwykle płonący w obłożonym kamieniami dole na środku chaty, dawno zgasł. Z tłących się węgielków unosiła się ostatnia smużka białego dymu.

Na obwodzie chaty wznosiło się siedem słupów. Bohaterzy zdążyli już zauważyć, że liczba siedem miała szczególne znaczenie dla wszystkich północnych plemion, czasami była wręcz uważana za świętą. Czudowie podzielali to przekonanie. Siedem lub wielokrotność siódemki - tyle musiało być przedmiotów używanych przy obrzędach, dlatego też w chacie było siedem świętych rzeźbionych słupów, obwieszonych porożem i czaszkami zwierząt.

Kijowian posadzono plecami do owych bali, a ręce związane im za słupami. Nogi, wyciągnięte w stronę ognia, również starannie skrupowano. Jeńców było ośmiu, więc Alosza i Samson siedzieli przy jednym palu. Niektórzy co bardziej przesądni Czudowie uważali liczbę jeńców za zły znak i chcieli się pozbyć jednego, ale Tugarin stanowczo zabronił.

Chłodna ciemność wlewała się do wnętrza chaty przez otwór w dachu i szpary wokół drzwi. Noc przejęła władzę nad Parangą. Bohaterzy siedzieli w milczeniu, ze zwieszonymi głowami, spojrzenia mieli nieobecne, w głowach ponure myśli.

Mikuła nucił pod nosem:

Przed moimi oczami

ciemność ponura...

- Przestań to wreszcie śpiewać - warknął Suchan. - I bez tego nasze serca są ciężkie jak kamienie...

- Co jest, Radymicz? - Mikuła spojrział na niego. - Czyżbyś był niezadowolony? Bez ustanku szukasz niebezpieczeństw, niecierpliwie wyglądasz śmierci, czekasz, aż Kostroma się do ciebie uśmiechnie...

- Może i pragnę umrzeć - ostro odparł Suchan - ale to jeszcze nie znaczy, że cieszy mnie wszystko, co los przyniesie. Jeśli mam ruszyć ku brzegom Smorodiny, niech moja droga prowadzi przez kałuże nieprzyjacielskiej krwi. Szukam śmierci w boju, nie mam zamiaru zdechnąć w niewoli!

- Coś mi się wydaje, że narobiliśmy sobie wstydu jak jeszcze nigdy. - Daniło, który był w stanie szydzić nawet w takiej chwili, uśmiechnął się krzywo. - Kto by pomyślał, że dostaniemy takie baty? Ten sukinsyn obalił nas jak gromadkę dzieci. W dodatku jesteśmy jeńcami śmierdzących czudzkich karłów. Jak myślicie, czy jakiś gęślarz ułoży bylinę o naszej przygodzie? O tym, jak dzielni bohaterzy, kwiat kijowskiego wojska, niemal bez boju wpadli w niewolę o połowę mniejszych gamoni uzbrojonych w kamienne siekiery i kościane noże!

- Zamknij dziób, Łowczanin - burknął Jegor. - Pleciesz trzy po trzy. Nie Czudowie nas pojмали, tylko Tugarin, a wiesz dlaczego? Dlatego że nie posłuchaliśmy ostrzeżeń Kościeja i nie liczyliśmy się z nową, zwiększoną mocą Drakowicza. Zdradziła nas bohatyrska pycha, jak w starych pieśniach. Dostaliśmy nauczkę...

- Skoro już mówisz o Kościeju - wtrącił Koływan - gdzie właściwie podział się ten drań?

- Był z nami na skałach - odparł Alosza. - Potem czary Drakowicza nas obezwładniły, a kiedy się ocknęliśmy, stali koło nas Czudowie, a po nim ani widu, ani słyhu.

- Myślicie, że już po nim? - rozważał Mikuła z wyraźną obawą w głosie. - Że zginął przy próbie ucieczki? Mógł spaść z urwiska...

- Możliwe. - Światogor westchnął. - A może nie zginął. Po walce nie widziałem też Oszlajkina. Mam nadzieję, że stary koldun uciekł. Kto wie, może Kościej jest z nim.

- Jeśli jest wolny - odezwał się Alosza z nadzieją w głosie - może coś wymyśli i nam pomoże...

- On? - Daniło zaśmiał się. - Ocknij się! Nawet palcem dla nas nie kiwnie. Jeśli chcemy stąd uciec, sami musimy coś wymyślić.

- Uciec? - Wygnaniec pokręcił głową. - Na bogów, jak niby chcesz to zrobić? Nie oswobodzimy się z pęt, te karłowate dranie umieją wiązać bardzo mocne węzły, poza tym te rzemienie są z surowej skóry. Nawet gdybyśmy dali sobie radę, co potem? Jesteśmy

w osadzie otoczonej palisadą, na wyspie pośrodku jeziora. Dobrze się tu pilnują - nie słyszycie kroków? Wokół nieustannie chodzą wartownicy. Co najmniej pół tuzina ludzi...

- Siedmiu - uściślił Ilja.

- Że co?

- Jest ich siedmiu, tych wartowników. Wystarczy uważnie słuchać.

- Nie wystarczy - zauważył Sielaninowicz. - Trzeba jeszcze mieć twoje rysie uszy.

- Pół tuzina czy siedmiu, dla nas to bez różnicy - ciągnął Koływan. - Nawet gdybyśmy oswobodzili się z pęt i zdołali przemknąć, zanim wartownicy podniosą alarm, pozostaje Tugarin. Na pewno jest gdzieś blisko i kiedy tylko czegoś spróbujemy, natychmiast to wyczuje. Stanie nam na drodze i obali nas tak samo jak na wzgórzu koło Złotej Baby...

- Słuchaj, Koływanie, chyba nie powinniśmy cię przezywać Wygnaniec, ale Maruda - rozgniewał się Jegor. - Taka beznadzieja...

- To nie marudzenie, batuszko. Po prostu trzeźwo oceniam nasze szanse.

- Może masz rację... i wpadliśmy w bagno... z którego się już... nie wygrzebiemy - wycedził przez zęby Ilja - ale to jeszcze nie znaczy... że nie spróbujemy...

Wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na Muromca. Mówił z przerwami i był zdyszany jak człowiek, który właśnie się z czymś siłuje. Rzeczywiście tak było - zaciskał zęby i napinał mięśnie, aż wiły się pod brudną rubaszką niby zmię w worku.

- Synku? - odezwał się Światogor. - Co chcesz zrobić?

Ilja nie odpowiedział. Zebrał wszystkie siły, aż poczerwieniał na twarzy. Z jego gardła wydobył się warkot. Rzemienie na nadgarstkach zaskrzypiały. Coś pękło. Bohatry zaczęli hałasować z przejęcia. Jeśli ktokolwiek z nich był w stanie wydostać się z pęt, to tylko siłacz Muromiec...

- Tylko spokojnie! - syknął Koływan. - Jeśli strażę usłyszą, że coś się dzieje...

Ilja rozluźnił się na chwilę, zwiesił głowę i oddychał szybko. Kiedy Mikuła, przywiązany do sąsiedniego słupa, przyjrzał się dokładnie, zauważył, że na udeptaną glinę za Muromcem spadają ciemne krople. Pęta rozcięły mu ręce, po jego dłoniach spływała krew. Nie poddawał się jednak. Wziął głęboki wdech, pochylił się, aż broda niemal dotykała piersi i napiął się jak żelazna sprężyna. Nabiegły mu żyły na skroniach, na szyi zaczęły pulsować, zza zębów dobiegł jęk, z kącika ust skapnęła ślina...

Wtedy rozległ się trzask i ręce bohatera uniosły się gwałtownie. Na boki poleciały strzępy rzemieni i gorące krople krwi.

Bojarzy musieli przygryźć języki, by nie krzyczeć z zachwyty.

- Świetnie, Ilja. - Jegor stłumił chichot. - Pospiesz się. Musisz nas wszystkich uwolnić.

Razem jakoś się przebijemy!

Muromiec rozwiązał zakrwawionymi palcami węzły na nogach i wstał z trudem. Omal nie zawył, kiedy krew popłynęła do zdętwiałych kończyn. Przez chwilę nie mógł się poruszyć, usiłował opanować ten dziwny ból. Potem, ciągle niezgrabnie, przydreptał do Mikuły.

- Prędko, bracie - zachęcał go Sielaninowicz.

Ilja pochylił się nad jego rękami.

W tejże chwili drzwi otworzyły się rażno i do okrągłej izby wszedł Tugarin Drakowicz z pogardliwym uśmiechem na ustach.



Muromiec nie wahał się. W jednej chwili zwalczył odrętwienie, zdarł ze słupa szerokie poroże łosia i ruszył na najwyższego kapłana z tą groźnie wyglądającą bronią w ręku. Rozpędził się...

Tugarin cofnął się o krok, lekko zgiął kolana i zamachnął Żelaznym Kosturem. Głowica z łuską Zirnity trafiła Ilję w pierś. Srebrzysty błysk zmusił pozostałych bohaterów, by odwrócili wzrok, powiew mocy rozczochrał im czupryny. Muromiec przeleciał przez całą izbę, jakby nie był wysokim na sążen siłaczem z mięśni i kości, ale strachem na wróble wypchanym słomą i starymi szmatami. Upadł koło wyciągniętych nóg Jegora i nie ruszał się. Poroże łosia spadło w ognisko, wzniesając wir iskier i szarego popiołu.

- Iljo! - krzyknął Światogor, a po chwili uniósł głowę i wbił nienawistne spojrzenie w Tugarina. - Ty parszywy skurwysynie...

Drakowicz ze śmiechem machnął laską. Wyglądało to tak, jakby uderzył starego bohatera w twarz niewidzialną pięścią i przybił jego głowę do słupa. Siwy woj umilkł natychmiast, broda opadła mu na pierś.

- Co sobie myśleliście, głupcy? - Czarodziej rozejrzał się po klnących wściekle bojarach. - Że naprawdę mi uciekniecie? Opamiętajcie się! Cały dom jest pokryty pajęczyną moich czarów. Wiem o każdym waszym zamiarze, słyszę echo każdego waszego słowa z odległości kilku gonów. Wiedziałem, co planuje Muromiec już w chwili, kiedy ta myśl zrodziła się w jego głowie, czyli wcześniej niż wy!

- W co ty z nami grasz, białowłosa świnió?! - wrzasnął Mikuła. - Czemu nas nie zabiłeś? Co zamierzasz z nami zrobić?

- Dlaczego miałbym was zabijać? - Tugarin uśmiechnął się. - Trzeba przyznać, że jesteście zręcznymi wojami. Byłoby mi szkoda po prostu poderżnąć wam gardła. Na wzgórzu

koło świętego miejsca pobiliście moich drużynników, potrzebuję nowych.

Sielaninowicz drgnął i poczerwieniał.

- Nie myślisz chyba, że będziemy twoimi pacholkami, przeklęty czarowniku?!

- Oczywiście, że będziecie - zapewnił go tamten lodowatym tonem. - W chwili, kiedy odbiorę Jadze trzeci złomek łuski Zirnytry, zdobędę taką moc, że wystarczy mi jedno mrugnięcie, kiwnięcie ręką albo nawet zwykła myśl, żeby nad wami zapanować. Zostaniecie mankurtami - tępyimi, bezmyślnymi i całkowicie posłusznymi niewolnikami. Cieszcie się własną wolą, dopóki ją jeszcze macie. Jutro wszystko się zmieni. Rano po nocy duchów nie będziecie mieli ani jednej własnej myśli, będziecie robić tylko to, co wam rozkażę i na co wam pozwolę. Kijowscy bohaterzy zmieniają się w morderczą, siejącą grozę jazdę. Czy to nie zabawne? Właściwie jestem rad, że pojawiliście się tutaj i wpadliście w moje ręce.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Przywołani czudzy strażnicy spieszyli do Ilji, by znowu solidnie go związać.

Po ich wyjściu zapanowała grobowa cisza. Przez długi czas żaden z bohaterów się nie odezwał. Wreszcie Daniło Łowczanin przerwał milczenie:

- Wpadliśmy w gówno - powiedział zwięźle.

- Owszem, w gówno - zgodził się Suchan. - Hej, Mikuło! Jak szła ta piosenka, którą ci przerwałem? „Przed moimi oczami ciemność ponura?”. Spokojnie śpiewaj ją dalej. Słyszysz? Wygląda na to, że jutro rzeczywiście stanie się coś takiego. Ten parszywiec właśnie skazał nas na wieczną ciemność.



Kiedy coś zaszleściło w krzakach przed jaskinią, Kościej błyskawicznie chwycił łuk. Już sięgał do kołczanu, kiedy Oszlajkin złapał go kościstymi palcami za rękę.

- Czekaj - wychrypiał koldun. - To Sarczak.

Starzec, mimo że dygotał w gorączce i bez przerwy mamrotał niezrozumiale pod nosem, miał rację - przez gęstwinę, która szczelnie zasłaniała wejście do podziemnej kryjówki, przecisnął się drobny chłopiec. Niósł w ręku miedziany kociołek pełen świeżo zerwanych ziół i grzybów.

- Sarczak! - Kapłan przeraził się, gdy zobaczył naczynie. - Byłeś w naszej chacie! Wyraźnie zakazałem ci zbliżać się do skał! Mogli się tam kręcić ludzie Burmelaka...

- Nie ma tam ani jednego, dziadku - odparł chłopiec. - A nawet gdyby byli, i tak by mnie nie złapali.

- Dlaczego nie posłuchałeś? Miałeś tylko nzbierać ziół...

- I co byś z nimi zrobił? Przeżuwał je jak owca? Musimy ugotować leczniczy wywar, a niedźwiedź, który w zeszłym roku miał tu swój barłóg, nie zostawił żadnego kociołka.

Oszlajkin wziął głęboki wdech, żeby porządnie skarcić wnuka za pyskowanie, ale chłopiec pospieszył już do tylnej części niewielkiej skalnej komnaty, gdzie po kostropatej ścianie ściekała woda i zasilala przejrzyste jeziorko.

Kościej odłożył łuk, wziął garść suchych gałązek i podsycił ogień.

- Co się dzieje? - spytał, bo ni w ząb nie rozumiał mowy Czudów.

- Chłopiec był w świętym miejscu - koldun odpowiedział po waresku. - Podobno nie ma tam żywej duszy.

- Czyli nikt nie pilnuje. - Kijowianin w zamyśleniu pokiwał głową.

Chłopiec wrócił z kociołkiem pełnym wody i razem zaczęli robić z grubszych gałęzi podporę dla rożna. Sarczak znów powiedział coś do dziadka.

- Wciągnęli łańcuch - przetłumaczył kapłan. - I spuścili z powrotem do szczeliny nad chatą. Zapewne chcieli udobruchać bogów... Tamtędy nie wejdziemy. Będziemy musieli dostać się do świętego miejsca od przodu, koło Kaltasz-ekwy...

Oszpecony mężczyzna spojrzał na niego z zaskoczeniem.

- Dlaczego chcesz tam iść?

- Sam przed chwilą mówiłeś, że musimy coś zrobić...

- Myślałem raczej o sobie. Jesteś ranny i osłabiony, kilka dni przeleżysz w gorączce...

- Nieprawda. Wywar doda mi sił i wypędzi ze mnie złe duchy. Będę do rana spał w postaci niedźwiedzia. Czarodziejska siła Konsyga pomoże mi się jako tako wyleczyć. Jutro będę mógł wrócić na skały.

- Ale dlaczego?

- Nie chcesz pomóc swym druhom?

- No... - Zawahał się. - Jasne... Bez nich sobie nie poradzę.

- Z kolei moim obowiązkiem jest opieka nad Czudami. Muszę ich obronić przed Jagą, obydam, przed tym przeklętym czarownikiem, a jeśli będzie trzeba, również przed ich własną głupotą. Wrogowie mają nad nami wielką przewagę. Potrzebujemy pomocy.

Kościej zmarszczył czoło i przymrużył oczy.

- To jasne, że przydałaby się nam pomoc. Nie rozumiem tylko, skąd chcesz ją wziąć.

Oszlajkin uśmiechnął się.

- Może znajdziemy ją na drugim końcu łańcucha Konsyga?

Kaleka spojrzał na niego. Wiedział, co starzec ma na myśli, więc przyszło mu do głowy, że nie jest już przy zdrowych zmysłach i że zaczął po prostu majaczyć w gorączce.

Koldun zachowywał się jednak zupełnie przytomnie i mówił śmiertelnie poważnie.



Ściemniało się. Niebo nad Parangą wciąż pozostawało zasnuwane jednolitą warstwą chmur, słońce nie pokazało się od kilku dni, więc nie było widać promieni zachodzącego słońca. W lasach było szaro, mokro, nieprzyjemnie, a koniec dnia, jak zwykle, zwiastowała gasnąca szarość.

Burmelak obszedł po pomoście cały wał z palisadą, chroniący osadę na wyspie. Zatrzymał się na chwilę od strony jeziora, naprzeciwko bramy, i zapatrzył na oddalony brzeg. W miarę jak niebo ciemniało, czerniała również rozległa tafla wody, jakby ciemne odbicie nadbrzeżnego lasu rozlało się po całej powierzchni jeziora. Wszędzie panowała cisza, co po całodziennym ruchu, krzyku i gonitwie było niezwykle; aż dziwnie dzwoniło w uszach. Wśród chat, rozrzuconych nad brzegiem jeziora i pod osłoną okolicznych lasów, nic się nie poruszało. Jeszcze po południu między okrągłymi chatami ze skór i gałęzi roilo się od ludzi, ale pod wieczór wszystko ucichło, ruch na błotnistych ścieżkach i podwórkach zamarł zupełnie. Znikały wstęgi dymu wydobywające się z otworów w dachach. Opuszczone ogniska gasły, w izbach zapanowała ciemność.

W ciszy zabrzmiał skowyt i na brzegu, na lewo od wodza, mignęła sylwetka biegnącego psa.

To nie było tylko wrażenie, osada rzeczywiście się opróżniła. Wszyscy starcy wraz z kobietami i dziećmi poszli na rozkaz Burmelaka do lasu, do starannie ukrytych obozów i jaskiń. Niektórzy mężczyźni chcieli umieścić rodziny w dworzyszczu na jeziorze, ale naczelnik stanowczo zabronił.

- Nie zapominajcie, że to nie jest zwykły najazd nieprzyjaciół. To nie atak Waregów znad Jeziora Białego ani Wesów z lasów na zachodzie. Palisada nie powstrzyma obydwu, może nawet ich nie spowolnić. Bez trudu wleczą do osady i z miejsca rozpęta się walka, będą straszne zniszczenia. Nie chcecie chyba, żeby wasze żony i dzieci były wtedy w pobliżu, prawda?

Przyznali mu rację. Na wyspie zostali tylko mężczyźni zdolni do walki, wszyscy inni musieli odejść z przyszłego placu boju.

Mrok zapadał prędko. Burmelak wziął głęboki wdech i skinął na przybocznego. Młody Czud podniósł róg do ust i ze szczytu wału zabrzmiał przeciągły, ponury, niemal żalony odgłos. Był to znak dla zabłąkanych wojowników, by natychmiast wrócili do dworzyszczu. Naczelnik odwrócił się i ruszył pomostem w stronę bramy. Tam zszedł na

ziemię po skrzypiącej drewnianej drabinie. Gromadka ludzi czekała na jego rozkazy. Burmelak przez chwilę stał z nimi w milczeniu, a kiedy nikt się nie pojawił na drodze łączącej brzeg z wyspą, rozkazał zamknąć bramę.

Dwa skrzydła z mocnych sosnowych kłód ze zgrzytem zamknęły otwór w umocnieniach. Masywne drewniane zawory wpadły w metalowe zawiasy. W końcu przyniesiono dwa z grubsza obrobione bierwiona. Podparto nimi wrota.

Wódz w towarzystwie kilku wojów zmienionych w łowców wracał do zabudowań pod kłującymi sosnami. Chaty i szałas, służące jako mieszkania naczelnika, jego krewnych i drużynników, stały w ciasnym kręgu, a odbiegała od nich jedna szeroka ścieżka prowadząca w stronę bramy. Właśnie w tym przejściu czekała gromadka czudzkich władków i starszych.

- Gotujcie się do boju, bracia. - Naczelnik przebiegł spojrzeniem po ich twarzach. - Jestem wdzięczny każdemu, kto przyjechał do Parangi z bronią w ręku. Wiem, że nie ma między nami serdeczności i braterstwa, jakie winny panować między synami wielkiego Toruma, ale dzisiaj w nocy musimy walczyć ramię w ramię...

- Daj spokój, Burmelaku - bezceremonialnie przerwał Jarpus, starszy rodu Kłów Dzika. - Nie musisz wygłaszać próżnej przemowy o jedności plemienia i wzbudzać w nas odwagi. Jesteśmy tu, by walczyć za swoje rody, nie za ciebie, dlatego chcemy ci powiedzieć o swoich obawach...

Wódz zmarszczył czoło.

- Wszyscy się boimy, Jarpusie. Gdybym twierdził, że ze mną jest inaczej, kłamałbym. Wiem, do czego Jaga jest zdolna, może nawet lepiej niż wy...

- Nie mówimy o jędzach - jeden z młodszych władków wszedł mu w słowo.

Burmelak spochmurniał jeszcze bardziej.

- O czym zatem?

- A jak myślisz? Musiałeś być pijany albo opętany przez złego ducha, kiedy zawierałeś sojusz z tym przybłądą...

- Z Drakowiczem?

- Z tego przymierza nie wyniknie nic dobrego, naczelniku - ciągnął Jarpus. - Rozmawialiśmy dziś o tym. Twoje postanowienie nikogo nie cieszy...

- Nie chcecie się uwolnić od Jagi?

- Oczywiście, że chcemy, ale za jaką cenę? Jesteś pewien, że na tym czarodzieju można polegać?

- Bardzo dobrze wiecie, że tylko z jego pomocą pokonamy obydy. Oszlajkin ani inny czudzki koldun nie był w stanie z nimi walczyć. Drakowicz ma moc. Wielu z was widziało na

własne oczy, jak powalił na ziemię wielkich wojowników z południa. Nawet ich nie dotknął, wystarczyły same czary. Teraz siedzą w tamtej chacie, związani i bezsilni, niedługo zostaną niewolnikami czarodzieja. Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę, jak potężny jest Tugarin?

- Oczywiście. - Jarpus spojrzał mu prosto w oczy. - Właśnie o to chodzi, że zdajemy sobie z tego sprawę. I to nas przeraża. Stale myślisz tylko o tym, jak czary Drakowicza pomogą nam pokonać Jagę, ale co będzie później? Sam przyznajesz, że czarodziej już teraz jest bardzo potężny, a słyszałem, że chce przejąć moc Jagi. Kim wtedy zostanie? Bogiem? Demonem? A jeśli zechce zapanować nad nami i zmienić nas w posłuszne psy, które przybiegną natychmiast, kiedy tylko zagwiżdże? Tego chcesz? Jeśli ci rozkaże, żebyś jadł własne gówno, bez gadania ściągniesz portki?

- Nie opowiadaj bzdur, Jarpusie, nie przesadzaj. Nie przyszedł zmieniać nas w niewolników...

- Doprawdy? Skąd ta pewność? Nie widzę żadnego powodu, dla którego by nie zechciał albo nie mógł tego zrobić. Czy jesteś ślepy, Burmelaku? Albo może już zniewolił cię blask smoczey łuski? Zamieniłeś jedną władzę na drugą, tyle że zamiast składać ofiary Jadze, która przylatuje ledwie raz do roku, codziennie będziemy się kłaniać temu obcemu ze świata dużych ludzi...

Wódz już szykował się do ostrej odpowiedzi, ale musiał zacisnąć zęby i zamilknąć. Otworzyły się drzwi chaty przydzielonej gościowi i Tugarin wyszedł na zewnątrz. Kostur w jego ręce świecił delikatnie.

- Jeśli wam życie miłe - syknął Burmelak na Czudów - nawet przed nim nie piśniecie.

- Nasz czas się zbliża - powiedział czarownik, kiedy dotarł do gromadki małych ludzi. Rzekł to zupełnie zimno, niewzruszenie, jakby ucztował z pucharem wina w ręce i dziś w nocy zamierzał się zajmować tylko wypróbowywaniem nowych niewolnic. - Jesteście gotowi?

Wódz wziął głęboki wdech. Chcąc nie chcąc, pod wpływem słów Jarpusa zaczął wątpić. Oczywiście już przedtem zdawał sobie sprawę z zagrożenia, ale dopiero teraz, kiedy starszyzna odważyła się wypowiedzieć na głos swe obawy, zaczął dygotać w środku.

- Nie czas teraz na myśli o buncie, naczelniku. - Tugarin wyszczerzył zęby. Udowodnił, że naprawdę umie czytać w myślach. - Widziałeś przecież, jak skończyli Czeremisi. Od początku planowali, że mnie zabiją - i co wyszło z ich podstępnych zamiarów? Skup się na obronie osady przed Jagą. Czy wszyscy są już na miejscu?

Burmelak westchnął ciężko. Jarpus spojrzał na niego wyzywająco. Władca Czudów spuścił wzrok i zwiesił głowę.

- Wszystko przygotowane, o potężny.

Suwar uśmiechnął się lekko i rozejrzał po dostojnikach. Ci stopniowo pochylali głowy lub odwracali wzrok. Jarpus najdłużej opierał się spojrzeniu czarownika, ale po chwili opanowało go uczucie, że Drakowicz za chwilę go spopielili. Spuścił oczy. Drżał przy tym jak osika.



- Powinienem był to przewidzieć - kwaśno powiedział Oszlajkin. - Pozwolili zgasnąć świętemu ogniovi Kaltasz-ekwy. Taki brak szacunku! Powinniśmy go zaraz rozpalić...

- Nie mamy czasu - popędzał go Kościej. Z łukiem w ręku przeszedł koło figury, której bogate ozdoby bez ognia w łonie lśniły słabo i raczej odbijały cienie wieczornego lasu.

- Bogini będzie się gniewać, a to niedobrze dla naszych czarów...

- Bogini to zrozumie. Wie, że ogień nie zgasł z naszej winy. Na pewno wie też, że zamierzamy walczyć z tymi, którzy się od niej odwrócili. - Kijowianin zajrzał do wąwozu wiodącego ku chacie żyrzca i niebiańskiego łańcucha. Wyteńczył słuch. We wnętrzu skalnego pierścienia panowała cisza, ciemność i bezruch. - Chodź. - Kiwnął głową. - Wygląda na to, że jest bezpiecznie. Dzisiaj w nocy wszyscy Czudowie zdolni do walki są na dole, w Parandze. Nic nam tu nie grozi.

Oszlajkin szturchnął konia kolanami i wjechał za oszpeconym mężczyzną do wąwozu. Niski konik z kędzierzawą sierścią należał do jednego z zabitych Waregów. Trafili na niego przypadkiem w lesie, nad brzegiem potoku. Koldun uspokoił go łatwo i złapał. Zwierzę się przydało, bo kapłan przy każdym kroku odczuwał ból w ranie, poza tym jazda konna oszczędzała jego siły. Miał też pewne plany co do konika.

- Przynajmniej nie musimy się martwić o Sarczaka - wymamrotał ledwo słyszalnie wśród stukotu podków roznoszącego się echem po wąwozie.

- No. To był dobry pomysł, żeby poczekać na uciekinierów z Parangi i powierzyć chłopca twojej córce. To, co nas czeka dzisiejszej nocy, byłoby dla niego zbyt niebezpieczne. Z matką nic mu nie grozi.

- Mam taką nadzieję. To dzielny chłopak. W ostatnich dniach zajmował się mną zamiast ja nim. Uratował mnie przed Czeremisem w jaskini, pomógł opatrzyć ranę...

- Skoro już o tym mowa... Jak się czujesz?

Oszlajkin dotknął lewego ramienia i kiwnął głową.

- Już jest lepiej. O wiele lepiej. W niedźwiedziej postaci prawie nie czuję bólu ani utraty sił. Dam radę walczyć.

- To dobrze. Polegam na tobie. Musimy wydostać moich druhów z niewoli Tugarina, a ja mam tylko łuk. No i po wystrzeleniu pięciu strzał brakuje mi sił w rękach.

Żyrzec patrzył na niego z tyłu, z wysokości siodła.

- Właściwie czemu to robisz, przyjacielu? Obserwowałem was tego wieczoru, kiedy zawitaliście do mojej chaty. Podczas gdy inni siedzieli razem przy ogniu i żywo rozprawiali, ty usiadłeś z boku i pograżyłeś się we własnych myślach, nie odezwałeś się słowem. Między tobą a resztą ziele przepaść.

- Owszem, wiem o niej. Wyraźnie czuję chłód, jaki z niej wionie...

- Mimo to ryzykujesz życie, żeby im pomóc.

Kościej obejrzał się. Jego twarz wykrzywił dziwny, niepokojący uśmiech.

- Dlaczego myślisz, że zależy mi na bohaterach? Może staram się ich uwolnić tylko po to, by osiągnąć własne cele?

- Mam nadzieję, że masz na myśli pokonanie Drakowicza.

- Oczywiście.

- Zapewne chcesz odzyskać to, co zabrał ci czarownik - dodał ciszej kapłan.

- To też prawda.

Prześlizgnęli się między skałami obwieszonymi niedźwiedzimi czaszkami i weszli do kotliny. Nie zauważyli śladów ludzkiej obecności. Łańcuch rzeczywiście był na swoim miejscu, jak twierdził Sarczak. W chacie kolduna panowała ciemność, z otworu w dachu nie wydobywał się dym. Obawy, że wyczekują tu łowcy Burmelaka, okazały się płonne.

- Nikogo nie ma - spokojnie powiedział chudzielec, włożył strzałę z powrotem do kołczanu i podszedł do konia, by pomóc towarzyszowi zsiąść. - Możesz przyzywać duchy.

Gdzieś w lesie przenikliwie zawył wilk. Dwójka sojuszników podniosła wzrok i wsłuchała się w przeciągłe, niepokojące dźwięki. Konik parsknął niespokojnie.

- Noc duchów - rzekł stary czarownik i ostrożnie, z zaciśniętymi zębami, zszedł na ziemię. - Jedyna noc w roku, kiedy łączą się światy żywych i umarłych. Na jakiś czas znika granica, a duchy i demony mogą się włóczyć po naszym świecie.

- Nie będą się włóczyć bez celu - ponuro dodał Kościej. - Pójdą za przewodnikiem. Za tobą. Dzisiaj zostaniesz prawdziwym Konygiem. Nie tylko przybierzesz jego postać, ale też zyskasz świadomość i boską moc.

- Może będę potem przeklinał chwilę, w której taka myśl przyszła mi do głowy. Nie odważyłem się na to przez całe życie, nawet kiedy cudzka starszyzna prosiła, żebym w ten sposób przeciwstawił się Jadze...

- Ucisz wątpliwości, koldunie. Kiedy zaczniesz obrzęd, nie możesz się zawahać, a tym

bardziej wycofać, inaczej przebudzone potęgi obrócą się przeciwko tobie i zemszczą w okrutny sposób, tak że będziesz prosił o śmierć jak o błogosławieństwo...

- Dzięki za zachętę. - Żyrzec się skrzywił. Zaprowadził konika w róg chaty i starannie przywiązał wodze do wystającego końca belki. - Zdajesz sobie sprawę, że grozi ci takie samo niebezpieczeństwo? Może powinieneś trzymać się na uboczu. Jeżeli zostaniesz w pobliżu mnie, możesz...

- Nie bój się o mnie. W ostatnich miesiącach ciemność stała się moją wierną towarzyszką. Nie lękam się istot z zaświatów. Rób, co trzeba, nie oglądaj się na mnie.

Oszlajkin przez chwilę spoglądał spod gęstych siwiejących brwi na swego niezwyklego sojusznika. Kościej nie patrzył w jego stronę. Podszedł do drzwi i odgarnął skórę, by kapłan mógł przejść. Starzec przygarbił się pod niedźwiedzim futrem i przeszedł przez próg.

- Witam cię, koldunie!

Omam nie krzyknęli ze strachu.



Oszlajkin zamarł, zaskoczony zdradą własnych zmysłów, które nie uprzedziły go o obecności nieproszonego gościa. Kijowianin błyskawicznie sięgnął do kołczanu.

- Zostaw strzały w spokoju! - chrapliwy głos szczerknął w ciemności. - Mierzę do was z łuku, a jeśli spróbujecie coś zrobić, strzelę bez wahania!

Kościej wprawdzie nie rozumiał słów, ale na rażne skinienie kapłana puścił lotki strzał.

- Wejdźcie do środka! - rozkazał niewidoczny przybysz. - Obaj!

Usłuchali. Kiedy futro zakryło otwór drzwi, objęła ich ciemność. Były gorynycz mrużył oczy i usiłował dostrzec nieprzyjaciela, ale nie umiał stwierdzić, który ciemny kształt w izbie należy do niego. Kiedy nieznajomy znów się odezwał, wysoki mężczyzna w przybliżeniu ustalił, skąd dobiega głos. Jeśli uda mu się niepostrzeżenie wyjąć strzałę...

- Kim jesteś? - zapytał żyrzec. - Twój głos brzmi znajomo...

- Jestem tym, którego piętnaście zim temu wygnano ze strachu przed zarazą.

- Tarsem? - wyrzucił z siebie zaskoczony koldun.

- Od dawna już nie. Teraz jestem Targyltyusz.

- Jesteś więc duchem? Leśnym demonem? Przyszedłeś się zemścić?

- Nie jestem zjawą. Przeżyłem. Choroba nieoczekiwanie ustąpiła. Wróciłem, ale wypędziliście mnie znowu, nie pamiętasz?

- Pamiętam. Przyszedłeś mnie zabić? Ostrzegam cię, zamordowanie kolduna...

- Już dawno zwalczyłem żądzę zemsty. Chcę tylko być przy tym, kiedy Czudowie zaczną walczyć z obydami... Hej, powiedz temu dużemu, żeby zostawił strzałę w spokoju. Widzę jego ruchy nawet w ciemności.

Oszlajkin zwrócił się do Kościeja i powiedział po waresku:

- Niczego nie próbuj. Nie trzeba. Znam tego człowieka. Pomówię z nim.

- Odkryłem twoją zdradę, koldunie - ciągnął Targyltysz.

- O czym ty mówisz?

- Śledziłem Waregów, którzy chcieli ukraść złoto Kaltasz-ekwy. Widziałem tych dużych ludzi w lśniących żelaznych zbrojach, z którymi się sprzysięgłeś i którym pozwoliłeś wejść do naszego świętego miejsca...

- Czekaj chwilę. To ty zastrzełeś dwóch Waregów? Ty pobiegłeś potem do Parangi i ostrzełeś Burmelaka?

- Tak, ja.

- Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego chcesz pomóc tym, którzy cię wygnali? Liczysz na to, że przyjmą cię z powrotem?

- Może, ale tu nie chodzi tylko o mój powrót. Bardziej mnie martwi los Czudów, całego naszego plemienia. W ostatnim czasie dzieje się zbyt wiele zła. W takiej sytuacji trzeba zapomnieć o dawnych sporach i krzywdach, trzeba wspólnie stanąć przeciw zagrożeniom, które przywlekli złośliwi cudzoziemcy...

- Twoje zamiary są mądre i szlachetne - poważnie rzekł starzec. - Wierzę, że mówisz szczerze. Mylisz się jednak co do cudzoziemców, których tu wpuściłem. Nie przyszli łupić ani bezcześcić. Jadą tropem czarownika, który przybył z południa i pod pretekstem walki z Jagą zawładnął Burmelakiem i całą Parangą. Udaje, że chce nam pomóc, ale to on przywłókł tu zło.

Człowiek w ciemności zamilkł zaskoczony.

- Nie mamy na to czasu - warknął Kościej. - Pozbądź się go, Oszlajkinie...

- Co zamierzasz zrobić, Targyltyszu? - zapytał koldun. - Chcesz nas wydać smoczemu kapłanowi? Nie radzę, o ile nie chcesz ściągnąć na Czudów klęski, niewoli i władzy obcych, krwiożerczych bogów. Posłuchaj mnie uważnie. Odłóż broń. Nie zrobimy ci krzywdy. Wiem, że miałeś dobre chęci, ale nie zdajesz sobie sprawy, w co się wplątałeś. Powinieneś naprawić swój błąd.

Wygnaniec milczał długo, co świadczyło o tym, że rozważa słowa żyrzca.

- Jak?

- Tak, że pomożesz nam uwolnić wielkich wojów. To porządni ludzie i nie mają złych zamiarów. Chcą głowy Drakowicza, więc właściwie stoją po stronie Czudów, tyle że zostali pojmani. To źle. Bardzo źle. Musisz szybko zdecydować, po czyjej stronie stoisz.

- Jeśli się do was przyłączę i ci duzi ludzie zabiją czarodzieja, kto nas obroni przed obydami?

- Musimy to zrobić tak, żeby się pozbyć jednocześnie jędz i czarownika.

- Ale jak? Zostałeś sam, masz tylko tego słabego cudzoziemca...

- Już wkrótce zgromadzę wojsko. Wojowników, którzy nie pochodzą z tego świata. Musisz mnie posłuchać i pozwolić czarować. Nie zostało wiele czasu. Zapada zmrok, a o północy Jaga i jej parszywe córki przylecą na tulparach. Teraz rozpalę ogień, a ty odłóżysz łuk. Zgoda?

- Skąd mam wiedzieć, że nie próbujesz mnie oszukać?

- Musisz mi uwierzyć, Targyltyszu. Ja wierzę, że wyzdrowiałeś i nie stałeś się demonem, że wracasz jako zwykły śmiertelnik. Mam wyrzuty sumienia, bo przyczyniłem się do twego wygnania. Chcąc to naprawić, postaram się, żeby Czudowie przyjęli cię do plemienia. Znowu będziesz Tarsemem.

Kościej zerknął na ciemną sylwetkę kolduna u swego boku. Usłyszał nieznaczną zmianę w głosie Oszlajkina, a jednocześnie poczuł skurcz w brzuchu, zjeżyły mu się resztki włosów na głowie. Zrozumiał, że kapłan użył nadprzyrodzonej mocy, by przyspieszyć decyzję Czuda. Ponieważ oczy Kijowianina przywykły już do ciemności, zobaczył, jak czarny cień w kącie chaty opuścił łuk.

- Wierzę ci, koldunie - wychrypiał niezupełnie przytomnie Targyltysz.

- Dobrze.

Staruszek dowlókl się do ogniska pośrodku izby, schylił się i coś wymamrotał. Pod kolistymi ruchami jego ręki o rozczapierzonych palcach coś zasyczało i trzasnęło w zimnym palenisku. Zgasłe resztki zwęglonego drewna rozżarzyły się jak od mocnego dmuchnięcia. Z ogniska wyskoczyły pierwsze płomyki.

Kościej spojrział w kąt izby. Stał tam dziko zarośnięty, brudny, ubrany w lisie i bobrze futra Czud. Miał na głowie skórzaną czapkę z przymocowanymi sarnimi różkami. Targyltysz patrzył na dużego człowieka równie śmiało. Obaj byli gotowi w każdej chwili unieść łuk.

- Możemy mu zaufać? - zapytał były gorynycz kolduna.

- Nie bój się. Zrobi, co mu rozkażę. To on zabił Waregów i pobiegł do Parangi ostrzec Burmelaka. Przekonałem go, że to był błąd, i czuję, że chce go naprawić.

- Powiedz mu, żeby zabrał mnie do Parangi. Na pewno wie, jak wślizgnąć się

ukradkiem do dworzyszczu na wyspie.

- Chcesz tam iść? Teraz?

- Owszem. Już mnie tu nie potrzebujesz. A może jednak?

- Nie... raczej nie.

- Sam widzisz. Bardziej się przydam w Parandze, ale potrzebuję przewodnika. Załatw to.

- Jak chcesz.

Oszlajkin spojrział na wygnańca i przez chwilę coś mu wyjaśniał. Brodaty Czud patrzył przy tym na Kościeja. W jego spojrzeniu nie było ani krzty zaufania, ale kiedy koldun skończył i spytał o coś szybko, łowca kiwnął głową bez ociągania. Potem obszedł ognisko, skinął na wysokiego obcego i wyszedł z chaty.

Oszlajkin w tym czasie krzątał się w chacie i przygotowywał wszystko do obrzędu.

- Dasz radę? - spytał chudzielec, stojąc w drzwiach.

- Jeśli bogowie i duchy będą mi sprzyjać, owszem. Idź już. Wyglądaj mojego przybycia.

Blady Kijowianin kiwnął tylko głową i wyszedł. Koldun słyszał, jak dwaj nieoczekiwani sojusznicy się oddalają. Dołożył do ogniska parę kawałków przygotowanego drewna i zawiesił nad rosnącymi płomieniami kociołek z mieszanką miodu, starannie dobranych ziół i suszonych muchomorów. Obszedł całą chatę, smagając ściany miotłą z piór i coś przy tym mamrocząc. Potem podniósł bębenek obciążony ludzką skórą i rzeźbioną niedźwiedzią kość. Usiadł przy ogniu. Zaczął bębnić i śpiewać.

Po jakimś czasie płomienie zahuczały.



Tugarin, kroczący przez osadę z Burmelakiem u boku, nagle drgnął i obejrzał się prędko. Białe światło Żelaznego Kostura zachwiało się, cienie wokoło podskoczyły niespokojnie.

- Na zęby Zilanta... - mruknął i przymrużył oczy.

- Co się dzieje? - zaniepokoił się władca Czudów. - Wyczułeś zbliżającego się nieprzyjaciela?

- Nie bój się, naczelniku. To nie Jaga przyspieszyła swoje przybycie. Ten powiew czarodziejskiej mocy przyleciał z południa. Spójrz w stronę skał.

Burmelak się odwrócił. Między domami i sosnami, nad zębatą krawędzią palisady i ciemnym murem lasu dostrzegł wzgórze ze skałami na szczycie. Wytrzeszczył oczy. Już

zapadł zmrok, więc wzniesienie powinno tonąć w ciemności, ale tak nie było. Tuż nad nim przybierał na sile dziwny niebieskawy blask, który o dziwo nie wydobywał się z ziemi, ale jakby spadał z chmur.

- Wszechmocny Torumie... - wychrypiał wódz i położył rękę na obuchu topora zatkniętego za pasem. - Zaczyna się noc duchów. Martwi wędrują z zaświatów między śmiertelników...

- Mylisz się. To nie są duchy waszych przodków.

- A kto?

- Jeszcze nie wiem. W każdym razie to nie dzieje się przez przypadek. Czuję źródło magii tam, pośród skał. - Po chwili zmarszczki na twarzy Tugarina wygładziły się, a jego usta wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu. - Już rozumiem. To tylko ten stary wariat...

- Oszlajkin?

Suwar kiwnął głową, przeszedł parę kroków i przemówił w próżnię, jakby rozmawiał z kimś niewidzialnym.

- Czego ty próbujesz, parszywcu? Nie myślisz chyba, że te czary, dobre dla dzikusów, mogą mi jakoś zaszkodzić? Słyszysz?! To, co nam pokazujesz, jest dla mnie nieszkodliwą dziecięcą zabawą. Teraz nie mam czasu, ale kiedy tylko uporam się z Jagą, wytropię cię i rozdepczę!

Głos czarodzieja brzmiał tak dziwnie, że Burmelaka rozboleła głowa. Cofnął się odruchowo i przypomniał sobie ostrzeżenie Jarpusa. Bogowie, a jeśli ta skomlała starszyzna miała rację i przymierze z czarownikiem naprawdę przywiedzie Czudów do zguby?



Oszlajkin drgnął i zza jego wyszczerzonych zębów wydobył się jęk bólu.

- Słyszę cię... - wycedził. - Czuję twoje czary... Nie powstrzymasz mnie, przeklęty wężu. Nie powstrzymasz!

Żyrzec wziął głęboki wdech i skupił się ze wszystkich sił. Odłożył bębenek, ale nie przestał rytmicznie mamrotać zaklęć. Mieszanina w kociołku już bulgotała, chatę napełniła para o dziwnym zapachu. Koldun wziął przygotowaną drewnianą miskę z zimnym miodem, nabrał kościanym czerpakiem trochę wrzącej mieszaniny i wlał do naczynia. Dokładnie zamieszał i oburącz podniósł rzeźbioną miskę do ust.

- Przybądźcie, duchy! Przybądźcie, demony! Ukaż mi się wielki Torumie! Przyjdź potężny Konsygu, wstąp w to śmiertelne ciało i daj mu nadprzyrodzoną siłę!

Potem opróżnił naczynie paroma łykami. Przez chwilę czuł ciepło napoju rozlewające

się po wnętrznościach, po czym znów chwycił bębenek. Uderzenia niedźwiedziej kości o naprężoną ludzką skórę przybrały na sile, rytm przyspieszył. Na zewnątrz konik parskął ze strachu i szarpał się, ale koldun przewidział to, mocno przywiązując zwierzę do belki.

Języki ognia skoczyły jeszcze wyżej, pod strzechą zawirowały iskry.



- Już się zaczęło. - Kościej westchnął, oglądając się przez ramię. Zatrzymali się z Targyltyszem wśród sosen u podnóża leśnego pagórka pod świętym miejscem i patrzyli na skały. Widzieli niezwykłą jasność, która połączyła skały z niebem i rozpędziła nisko wiszące chmury.

- Uda mu się - ucieszył się Kijowianin i znów spojrzął na Czuda. - Chodźmy! Prędko!

Wygnaniec nawet nie musiał rozumieć słów. Odwrócił się i ruszył ścieżką krokiem drapieżcy.



Oszlajkin niestrudzenie bębnił, śpiewał i kiwał się przy ogniu. Jego oczy były wytrzeszczone i błyszczące jak kulki bursztynu, źrenice rozszerzone do granic możliwości. Widział, jak wokół tańczą cienie o dziwacznych kształtach, jak dym z ogniska i para z kociołka przybierają postać istot o częściowo ludzkich, częściowo zwierzęcych rysach. Duchy wysłuchały jego wołania i przyszyły dać mu swoją siłę. Rana zupełnie przestała boleć. Wyczerpane, przygarbione ciało wyprostowało się i nabrało sił, słabość minęła. Koldun warknął nisko, nieludzko, jakby wstąpił w niego Konsyg i ogłaszał swoje przybycie.

Najwyższy czas.

Sięgnął obiema rękami na plecy i nie przestając mamrotać zaklęć, narzucił na głowę straszny kaptur z niedźwiedziej głowy. Potem wsunął ręce i nogi w łapy z groźnymi czarnymi pazurami. Futro okryło żylaste ciało, które znikło pod gęstą sierścią i w ciągu kilku uderzeń serca wyraźnie spotężniało. Nadprzyrodzona moc wirująca w chacie rozdmuchała ognisko. W jego świetle ukazał się ogromny czarny bies.

Konsyg padł na czworaka, potrząsnął głową i prychnął, pokonując w ten sposób krótkotrwałe omamienie przemianą. Po chwili wyszedł z chaty.

Kosmaty konik uwiązany do belki rżał rozpaczliwie, podskakiwał, kopał i szarpał uzdę, aż budynek chwiał się od jego ruchów. Wszystko na próżno. Niedźwiedź zaryczał, wyszczerzył zęby i bez litości rzucił się na rumaka. Rżenie zmieniło się w przeszywający wrzask śmierci. Zabrzmiał odgłos rozdieranej skóry, rwanych mięśni i pękających kości. Nieszczęsne zwierzę padło, wierzgając gwałtownie. Czarny olbrzym bezlitośnie bił je łapami,

zanurzał w jego ciele kły i pazury, głośno chleptał tryskającą krew, dopóki wrzask nie ucichł. Konik jeszcze raz kopnął konwulsyjnie i znieruchomiał.

Niedźwiedź jednym szarpnięciem rozluźnił wodze, zacisnął szczęki na końskiej szyi i pociągnął zakrwawione ciało w kierunku stromej ścieżki prowadzącej na górę, na skały. Przesunął zwłoki do końca łańcucha, stanął na tylnych łapach, skierował pysk ku niebu i ryknął ile tchu w piersi. Głos straszliwej bestii zahuczał w kotlinie i zwielokrotniony przez echo wleciał ku szczytom popękanych skał. Niebieskawe światło nad pagórkami zapulsowało, chmury zaczęły się kłębić, po czym nagle się rozerwały i otwały.

Konsyg znów ryknął, aż zza ogromnych kłów wyleciała ślina zmieszana z końską krwią.

Niedługo później łańcuch zafalował i zabrzączał.

Ktoś po nim schodził.



Sarczak pierwszy zdał sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego. Wydostał się z objęć sennej matki, zanim spłoszony koń jego ojca parsknął po raz pierwszy, psy się rozszczękały, a stado owiec zaczęło niespokojnie tupać i beczeć ostrzegawczo.

- Synku? - Zaspana kobieta wyciągnęła rękę, ale chłopiec wyślizgnął się, narzucił na ramiona niedźwiedzią skórę i przeszedł koło budzących się ludzi. Zmierzał do lasu. Wykonał szybki gest, warknął dziwnie i wszystkie psy ucichły, zaczęły skomleć i cofnęły się.

Obóz leżał w dolince wyżłobionej przez bystry potok. Sosny rosnące na okolicznych stokach tworzyły nad obozem gęste iglaste sklepienie. Dobrze chroniły przed spojrzeniem z góry kilka obozowych ognisk, przy których kuliły się kobiety, dzieci i starcy.

Uciekinierzy z Parangi natychmiast zrozumieli, że dzieje się coś niezwykłego. Zabrzmiał płacz dziecka, głosy niespokojnych kobiet i uspokajające przemowy starców, którzy czuli się obrońcami obozu.

- Sarczak! - krzyknęła córka Oszlajkina.

- Ciszej, mamó. - Chłopiec obejrzał się przez ramię. - Przyciągniesz ich uwagę.

- Czyją? - Nie rozumiała, ale posłusznie ucichła.

- Ich. - Odwrócił się i wskazał ręką gdzieś między drzewa.

Wszyscy w obozie ze strachem gapili się w tę stronę. Między ciemnymi pniami załśniły krwawe ślepie i pojawiła się wielka, czarna sylwetka. Przerazone kobiety zaczęły łkać i przyciskać dzieci do piersi. Starcy chwycili za broń - łuki, włócznie i kije.

- Nie! - Sarczak wyciągnął rękę. - Pozwólcie mu przejść!

Usłyszeli, jak suche gałązki pękają pod uzbrojonymi w pazury łapami i jak niedźwiedź węszy głośno. Bies zwietrzył ludzkie mięso. Psy, które w innym wypadku rzuciłyby się na każdego leśnego drapieżnika, skomlały ze strachu.

W gęstwinie zaszeleściło i zjawa ruszyła na obozujących ludzi. W tej chwili Sarczak skulił się i narzucił na głowę niedźwiedzie futro. Przemiana była zaskakująco szybka. Zanim zdali sobie sprawę z tego, co chłopiec właściwie robi, padł na czworaka i zmienił się z ludzkiego dziecka w niedźwiadka. W tej postaci ruszył na spotkanie demona, stanął na tylnych łapach i zaryczał groźnie. Miał głos nedorostka, ale mroczna istota na pewno nie uznała wyzwania za śmieszne. Zaskoczona, cofnęła się, skręciła i obeszła obóz szerokim łukiem. Czudowie słyszeli dobiegające z lasu chrzęsty, trzaski i warczenie. Demonów było o wiele więcej i wszystkie szły w tę samą stronę. Żaden nie zbliżył się do obozu, czasami tylko widzieli, jak w górze potoku ogromny cień przechodzi na drugą stronę.

Niedźwiadek jeszcze raz warknął groźnie w stronę dziwnego stada. Potem sięgnął łapkami do uszu i już po chwili przed zdumionymi Czudami znowu stał mały Sarczak, zdejmujący futro z głowy.

- Jest noc duchów - oznajmił poważnie. - Mój dziadek przywołał na pomoc duchy wszystkich niedźwiedzi, braci Konsyga. Sam Torum pozwolił im, by zeszyły po łańcuchu z nieba i ruszyły na pomoc Czudom. W Parandze zacznie się tej nocy wielka bitwa.

Ludzie z otwartymi ustami patrzyli na chłopca.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Północny wicher

N

ie widzieli gwiazd, więc trudno było zgadnąć, że zbliża się północ. Czudowie dostali jednak inny znak, że obydy są już w drodze.

Lasy, przez cały wieczór nieruchome i ciche, nagle przemówiły.

Strażnicy na wałach poczuli, jak chłodny powiew czesze ich włosy i brody, zobaczyli roztańczone cienie w niespokojnym świetle pochodni. Z bijącymi sercami rozejrzeli się i wsłuchali w odgłosy nocy.

Wiatr najpierw delikatnie, jakby nieśmiało, pogładził korony sosen i oparł się lekko o spiczaste wierzchołki jodeł i świerków. Drzewa w grodzie i lasy wokół Parangi zaszumiały posłusznie, jak śpiący człowiek, który nuci przez sen kawałek piosenki.

Potem płomienie pochodni na wałach zaczęły mocniej trzepotać, a cienie zatańczyły dziko. Prędkie poryw wiatru spowodował, że bór zaszumiał niespokojnie. Sosny na wyspie zaskrzypiały.

- Już się zbliża - powiedział Tugarin, spoglądając gdzieś w górę, w bezgwiezdną ciemność. Potem zerknął na Burmelaka. - Wszyscy na miejsca - rozkazał.

Naczelnik prędko odwrócił się w stronę przybocznych i nad Parangą rozległ się odgłos rogu.



- Zaczęło się - wychrypiał Kościej, kiedy pierwszy poryw wiatru uderzył w pustą chatę, w której znaleźli tymczasowe schronienie. Pomosty cumownicze jęknęły, fale wzburzonego jeziora rozbijały się z pluskiem o niedaleki brzeg. - Północ się zbliża, Jaga razem z nią. Chodźmy.

Wyślizgnęli się z budynku i zbiegli do jeziora. Targyltysz bez ociągania wszedł do wody. Kijowianin słyszał, jak Czud zaczyna dzwonić zębami. Wziął głęboki wdech i poprosił bogów o siłę. Od wyspy dzieliło ich jakieś dziesięć sążni, a woda na pewno była zimna. Uświadomił sobie, że nie będzie mu łatwo przepłynąć taką odległość, zwłaszcza że ciągle jest słaby.

Cedząc przekleństwa przez mocno zaciśnięte zęby, wszedł do wody i przekonał się, że się mylił. Nie była zimna.

Była lodowata.



Lasy huczały coraz głośniejszy i groźniejszy. Pod naporem wiatru drzewa kiwały się niebezpiecznie, skrzypiały przeraźliwie i uderzały o siebie gałęziami, jakby chciały wyładować złość za lata bezruchu. W powietrzu wirowały połamane gałązki i suche igliwie.

Uciekinierzy z Parangi kulili się wystraszeni w dolince nad potokiem. Dzieci kwiliły, psy skomlały, owce beczały żałośnie. Iglaste sklepienie nad nimi szumiąco złowieszczą i falowało jak wzburzona woda. Gdzieś w pobliżu rozległ się przenikliwy trzask, nie było to jednak uderzenie Kudyrca, który ciska gromy. To tylko jakieś drzewo nie wytrzymało naporu wichru i pękło - słyszeli trzask gałęzi i łoskot padającego pnia.

Przycisnęli się do siebie mocniej. Kobiety zaczęły się wspólnie modlić do Kaltasz-ekwy, starając się odpędzić strach, ich głosy zlewały się w jeden rytmiczny zaśpiew.

Sarczak znów wyślizgnął się z objęć matki, wyskoczył i podbiegł do potoku.

- Już nadchodzą! - krzyknął, a wietrzny wir, który przetaczał się wściekle przez las, oderwał mu słowa od ust. - Muszę iść do Parangi! Dziadek potrzebuje pomocy!

W tej samej chwili kolejny, o wiele silniejszy poryw wiatru przyniósł do ich uszu daleki dźwięk. Brzmiał jak chóralny jęk mający źródło gdzieś wysoko nad lasem. Sarczak obejrzał się ze strachem. Starł się przeniknąć spojrzeniem zasłony sosen falujące nad obozem.

Wiedział, co oznaczają te urywane okrzyki. Były głosami jędz popędzających dziko galopujące rumaki. Po chwili usłyszał przenikliwe, lecące w dal końskie rzenie.

- Sarczak!

Matka krzyczała, ale wnuk kolduna nie mógł oderwać oczu od tego, co działo się na górze. Przez dziko bijące gałęzie przedarło się światło. Błady, widmowy blask przybierał na sile, jakby niecierpliwy księżyc przebił warstwę chmur i leciał teraz nisko nad krajem, rozsiewając swe srebrzyste promienie. Światło przybierało na sile, głosy latających rumaków

i poganiających je jędz były coraz wyraźniejsze.

Wiatr wył szaleńczo i łamał drzewa jak patyki. Niedaleko obozu wielka sosna padła z łoskotem w poprzek doliny. Dopiero wtedy strach wziął u Sarczaka górę nad ciekawością - chłopiec odwrócił się i pognął do matki, niedźwiedzie futro powiewało za nim. Rzucił się w objęcia kobiety i razem spojrzeli na rozbujane wierzchołki drzew, przytuleni i pochlipujący.

Wysoko nad nimi zarżał koń - tak głośno, że wręcz ich ogłuszył. Źródło srebrnego światła przeleciało nad drzewami z szybkością rzuconej włóczni. Czarne, ostro zarysowane cienie sosen okrążyły obóz, zdradziły postacie skulonych ludzi u podnóża stoku, w gęstwinie i pod splecionymi korzeniami. Z drzewa bezpośrednio nad nimi z trzaskiem odłamała się gruba gałąź i wpadła do potoku, który zmienił się na krótko w strumień płynnego srebra.

Po chwili nad lasem mignęły postacie dalszych jeźdźców. Demoniczne obydy ruszyły za światłem. Krzyczały, zarówno na postrach, jak z uciechy, trzaskały przy tym z bicza, aż człowiekowi wyskakiwała gęsia skórka.

Sarczak skulił się w objęciach matki. Jeszcze przed chwilą był zdecydowany biec do Parangi, do dziadka. Teraz czuł, że odwaga przeszła mu na dobre.



Bohaterzy, przywiązani do siedmiu rzeźbionych słupów, podnosili głowy, wsłuchiwali się w jęk wichru i wymieniali spojrzenia pełne nieskrywanych obaw.

Jegor modlił się głośno.

- Święta Maryjo, Matko Boża, błogosławionaś ty między niewiastami...

- Na Peruna, Welesa i mateczkę Mokosz - dodał Mikuła w imieniu tych, którzy wieszali na szyjach pogańskie toporki zamiast krzyżyków. - Co w nas uderzy?

Ściany chaty skrzypiały. Ze szpar między skośnie wbitymi pniami sypała się pokruszona glina. Dach trzął się niebezpiecznie - wyraźnie słyszeli, jak wiązki trzciny odrywają się i fruną. Wkrótce skóry rozluźniły się i zaczęły plaskać o tyczki, na których były rozpięte. Poryw wiatru, który wdarł się do chaty, wybił drzwi i złowieszczo targnął nimi w zawiasach. Na zewnątrz strażnicy wrzeszczeli, wiatr szarpał ich włosy i futrzane płaszcze.

- Tulpary galopują! Niosą na kopytach gniew Wojpela!

- Co oni krzyczą? - zawołał do Ilji Koływan.

Muromiec odpowiedział dziwnie spokojnym, niskim głosem:

- Zbliża się boski gniew.



Kościej i Targyltysz kulili się na brzegu, niedaleko wału otaczającego dworzyszcze. Byli przemoczeni, trzęśli się z zimna, ich oczy łzawiły od silnego wiatru. Widzieli, jak porywy wyjącego wiatru przelatują między stojącymi na brzegu chatami Czudów, zrywając z dachów całe snopy słomy, gałęzie i skóry, przewracając płoty, stojaki do suszenia ryb, poidła i kupki porąbanego drewna. Wszystko, co nie zostało dokładnie przybite, przywiązane lub wkopane w ziemię, latało w powietrzu albo toczyło się z hałasem po błotnistych, brudnych od gnoju podwórkach. Oswobodzone okiennice i drzwi trzaskały głośno, ściany chat skrzypiały i pękały groźnie. Wiatr był tak silny, że zdmuchnął płomienie pochodni na wałach i cała Paranga na dobre pograżyła się w ciemności. Nawet cudowny blask nad świętymi skałami na południu już dawno zgasł.

Nadszedł najwyższy czas działać. Dwaj sprzymierzeńcy wymienili spojrzenia i po chwili ruszyli brzegiem ku wałowi. Targyltysz z łatwością wspiał się na górę i podał Kościejowi koniec łuku. Błady mężczyzna z trudem się wdrapał i przekroczył zaostrome końce pali. Padł na pomost, dysząc ciężko. Na szczęście w pobliżu nie było straży.

W tej chwili w ciemności zabłysło światło. Kościej i wygnaniec z przejściem wyjrzeni za palisadę. Nad niewysokimi pagórkami na północy jaśniała biała zorza. Wyglądało to tak, jakby nad lasem wstawał świt, ale nienaturalnie szybko i po niewłaściwej stronie widnokregu. Potem blade światło wspięło się nad drzewa i pogłaskało nisko lecące, rozerwane chmury. Po chwili zaczęło schodzić nad gęsto zarośniętymi stokami w stronę jeziora.

- Obydy - powiedział Targyltysz.

- Krwawy Kostur - wychrypiął Kijowianin.

Blask przybierał na sile. Jak falujący czarny ogon gromada jędz leciała na boskich rumakach za źródłem światła. Nad lasami rozbrzmiewało rzenie koni. Zwierzęta z opowieści o bogach uderzały kopytami powietrze z prędkością błyskawic i w ten sposób powodowały wicherę.

Demoniczna drużyna przyleciała nad jezioro. Światło trzeciego złomka łuski Zirnytry odbiło się od dziko falującej powierzchni wody, która przez chwilę przypominała srebrne zwierciadło zmarszczone od niezmiernego żaru. Jędza na czele grupy skręciła, a jej śnieżnobiały rumak zniżył lot nad północnym brzegiem, gdzie drzewa rosły daleko od wody i można było bezpiecznie przystanąć. Koń po raz ostatni grzebnął kopytami w powietrzu i po chwili z ogłuszającym rzeniem zeskoczył na plażę. Ziemia zadudniła i zatrzęsała się tak, że Kościej i Targyltysz poczuli, jak zachwiały się pomost, na którym się znajdowali. Chatka z gałęzi i gliny, która stała na drodze rumakowi przewodniczki, rozpadła się niby dziecięcy słomiany domek.

Czud położył wysokiemu człowiekowi rękę na ramieniu, a kiedy Kijowianin się obejrzał, łowca ze strachem wskazał mu przeciwną stronę. Kościej zapatrzył się na południowy brzeg i zacisnął zęby, dzięki czemu wreszcie przestał nimi szczekać.

W widmowym, ruchomym świetle Krwawego Kostura zobaczyli wielki, czarny cień, który wyszedł z lasu na czworakach i przebiegł między chatami. Mocarne ciało falowało przy każdym ruchu. Cień zatrzymał się w pobliżu wody, stanął na czterech łapach i zaryczał. Na ten znak las ożył.

Blady mężczyzna miał wrażenie, że jego krew staje się zimniejsza niż woda w jeziorze i przestaje krążyć w żyłach.

Z ciemnej gęstwiny na południowym brzegu wynurzały się sylwetki strasznych czworonogów. Niektóre zwierzęta były nawet mocniej zbudowane niż niedźwiedź przewodnik. Ciała na brzegu zlewały się w jedną czarną masę. Tylko błyszczące krwią oczy pozwalały wyodrębnić pojedyncze sztuki.

Nadchodziło wojsko Konsyga. Nie istniało nic, co mogłoby je powstrzymać. Wielka czarna plama rozerwała się na dwoje. Jedna gromada widmowych niedźwiedzi ruszyła brzegiem, druga po prostu wbiegła do wody. Nie zabrzmiał żaden plusk. Zwierzęce duchy zanurzyły się pod powierzchnią, nie mącąc jej ani trochę bardziej niż magiczny wichur.

- Musimy iść - odezwał się Targyltysz. - Nie zostało wiele czasu.

Kościej nie musiał znać czudzkiego, by zrozumieć. Skinął prędko głową. Zeskoczyli z pomostu na dziedziniec i pobiegli do najbliższych chat.



Jędze stawały na brzegu jedna za drugą i galopowały drogą prowadzącą na wyspę, pokrzykując i śmiejąc się dziko. Rumak na czele już skręcił na groblę. Srebrzyste światło zalało wał z palisadą i zamkniętą bramę. Pierwsza obyda, niewyraźna i niemal niewidzialna w potopie czarodziejskiego blasku, zwolniła nieco, ale ciągle się wydawało, że w pełnym galopie uderzy o bramę, że koń i człowiek na jego grzbiecie połamią sobie wszystkie kości.

Odległość się zmniejszała. Jeszcze parę sążni i...

Jędza machnęła kosturem. W wybuchu ostrego światła nie było widać, czy laska ze smoczą łuską rzeczywiście dotknęła wrót, czy tylko rozcięła powietrze i z bliska uderzyła porywem wiatru. W każdym razie brama rozdarła się z gromowym trzaskiem i wpadła do środka. Zadudniły końskie kopyta i wiedźma przebiegła przez chmurę drzazg z rozłamanymi belek i podpór. Obydy przegalopowały przez groblę, pędząc za przywódczynią. Za nimi gnał okrutny wichur, który obalał ludzi na kolana i niszczył wszystko wokół.



Serce biło Burmelakowi tak mocno i szybko, że wódz aż się zląkł, że wyskoczy mu z piersi, a wokół spadnie mieszanina krwi i okruchów żeber. Starał się pokonać obezwładniający strach, zdusić go dzięki wierze w bogów, do których modlił się bez ustanku, to jednak nie pomagało. Nie wiadomo, gdzie byli bogowie, podczas gdy groźne jędze pędziły prosto na nich. Wystarczy tylko parę dudniących końskich kroków, a jego serce ucichnie na dobre...

Stał na progu swego domu, pośrodku szyku najlepszych, uzbrojonych po zęby drużynników. Zza uniesionej tarczy przyglądał się przymrużonymi oczami, jak zbliża się światło. Jeździec, który tak łatwo strzaskał bramę i wtargnął do osady, galopował prosto na niego, a przed nim pędził wicher, który targał ludzi za włosy, szarpał płaszcze i sprawiał, że lzy ciekły z oczu. Wydawało się, że wódz atakujących nie zatrzyma się, że nawet nie zwolni i wpadnie w pełnym galopie na oczekujących Czudów. Szyk zachwiał się. Drużynnicy cofnęli się, gotowi w każdej chwili uskoczyć w bok...

Jeździec szarpnął wodze, aż rżący koń stanął dęba. Uniósł kostur wysoko nad głowę - światło, do tej pory oślepiające, zamrugało i schowało się na powrót w smoczej łusce.

Wtedy zobaczyli przywódcę, a ściśle mówiąc - przywódczynię atakujących. Na grzbiecie lśniący białego rumaka, bez siodła, mocno ściskając końskie boki nogami, siedziała kobieta.

Baba Jaga, Matka Węży, smocza pani, postrach północy.

Nie była stara, jak twierdzili ci, którzy przecież nigdy nie widzieli jej na własne oczy, a już na pewno nie była brzydka. Miała postać kobiety w wieku trzydziestu lat - ciągle młodej i dumnie wypinającej pierś, ale przy tym dojrzałej, z oczami pełnymi dobrych i złych doświadczeń, z których wyciągnęła naukę i które przekuła w kobiecą moc, potęgę, której nikt nie mógł się oprzeć. Jej ciało wciąż było jędrne, chociaż może niezbyt szczupłe. Twarzy nie szpeciły brodawki, nie miała też wielkiego, haczykowatego nosa - przeciwnie, jej oblicze było ładne, choć groźne - a to przez pałające drapieżnie oczy.

Jej niewątpliwy, choć specyficzny powab ani trochę nie umniejszał dzikości wyglądu. Wzniosła się nad Czudami na stającym dęba koniu. Potargane czarne szaty i bujne krucze włosy powiewały na wietrze. Na szyi, nadgarstkach i we włosach chrzęściły ozdoby ze smoczych pazurów, zębów i kości. Jasne uda i ramiona pokryte były splotami czarnych tatuaży. Szczupłą talię ściskał pas z białych krążków, które wycięto z płaskich kości - łopatek albo czaszek.

Sześć bardzo podobnych dziewczyn, które zatrzymywały za nią rumaki z krzykiem, tupotem i rzeniem, wyglądało jeszcze bardziej dziko. Miały na sobie ubrania z futer i grubego płótna, ozdoby z kości i rogu, twarze pomalowane tak, że nie wyglądały na ludzkie, końskie rzędy obwieszane czaszkami. Ich najgroźniejszą broń stanowiły bicze obciążone na końcu kawałkami brązu w kształcie węzowych główek. Na ostatnim sążniu długości miały przymocowane małe, ale piekielnie ostre klingi, groty i kolce. Raz takiego bicia był nie tylko palącym ponagleniem, ale też zagrożeniem dla życia.

Siwek Jagi opadł przednimi nogami na ziemię, aż zadudniło. Tak jak sześciu jego braci nie nosił siodła, a miał jedynie ogłowie i wodze lśniące od złota.

- Burmelaku! - krzyknęła jędza, błyskając białkami oczu i ukazując spiczaste zęby, podobne do wilczych kłów. - Co to ma znaczyć, na trujący dech Rudroga? Jak śmiesz mnie witać za zamkniętą bramą i z bronią w ręku?!

Naczelnik zachwiał się. Już niemal zapomniał, jaka moc i groza bije z czarnowłosej czarownicy, jak okrutna i wściekła potrafi być. Gdyby to było możliwe, najchętniej cały schowałby się za tarczą, skulił jak płód w łonie matki...

- Słyszysz?! - wrzasnęła, kiedy nie otrzymała odpowiedzi. Jej córki zjeżdżały na boki na złowieszczo parskających rumakach i przyglądały się wszystkiemu czujnie, z groźbą w oczach. - Gdzie daniny? Gdzie niewolnicy? Gdzie moja część zbiorów i zdobyczy? Mam rozumieć, że postanowiłeś stawić opór? Straciłeś rozum, że chcesz dostać nauczkę? Na kolana, inaczej przysięgam, że zabierzemy zdobycz siłą. Jezioro zaczerwieni się od waszej krwi! Pozabijamy was bez wahania i będziemy jadły wasze mięso! Nie jadłam tego przysmaku co najmniej od... trzech dni!

Burmelak nie odpowiedział, skulił się tylko jeszcze bardziej i mocniej zacisnął dłoń na stylisku topora. Zastanawiał się, co zrobi, jeśli ten drań go zdradzi...

Nie zdradził. Gdzieś między domami zabrzmiał róg. W bocznych uliczkach między domami rozległ się tupot biegnących ludzi. Z cienistych kryjówek między chatami wybiegły całe tuziny Czudów. Otworzyły się okiennice i drzwi, z otworów wynurzyły się groty strzał i włóczni. W cieniu zaskrzypiały napinane łuki. Kilku strzelców pojawiło się też na górze, na dachach, skąd mieli doskonały widok na dziedziniec.

Zaskoczone obydy rozglądały się na wszystkie strony. Usłyszały krzyk i tupot za swoimi plecami, a kiedy spojrzały w tył, zauważyły, że dojdzie do bramy zagroził szyk Czudów z tarczami i włóczniami w rękach.

Baba Jaga otrząsnęła się z początkowego zdumienia, znów spojrzała błyszczącymi z gniewu oczyma na Burmelaka i uniosła kostur. Laskę wykonano z jakiegoś czerwonego

drewna, na całej długości rzeźbionego tak, że wyglądała na pokrytą łuskami. Na końcu kostur przechodził w smoczy ogon, który owijał się wokół srebrzystej łuski. Złomek zamigotał magicznym światłem.

- Nie wierzę własnym oczom! - rozdarła się czarownica. - Naprawdę myślicie, że zdołacie nas pokonać? Nie było mnie okrągły rok i przez ten czas wasze rozумы zmieniły się w łajno? Nie macie z nami najmniejszych szans, Burmelaku, nawet gdybyś powołał jeszcze trzystu ludzi. Ostrzegam cię po raz ostatni, tchórzliwy karzełku! Odłóżcie broń i klękajcie przede mną, inaczej gorzko pożałujecie własnej śmiałości!

Naczelnik wciągnął powietrze, syknął i głośno zazgrzytał zębami. Nagle zapłonął w nim gniew i chęć oporu. Strach wypalił się w jednej chwili, jego miejsce zajęła długo poskramiana nienawiść. Lata wymuszonej pokory trysnęły z niego w postaci okrzyku złości:

- Mylisz się, parszywa strzygo! To wy pożałujecie, że przyleciałyście w nocy do Parangi i wlałyście na oślepa w pułapkę! Zapłacicie za rabowanie, mordowanie i poniżanie nas! Żadna z was nie odejdzie stąd żywa!

Ładna twarz Jagi o wystających kościach policzkowych i pełnych wargach najpierw wydłużyła się lekko - księżna latających czarownic wyraźnie nie spodziewała się takiej odwagi. Trwało to jednak tylko chwilę. Po chwili wiedźma znów gniewnie zmrużyła szeroko otwarte ze zdumienia oczy, a spod wydętych warg błysnęły ostre kły.

- Bić ich, dziewczęta! - wrzasnęła i machnęła kosturem, rozpościerając nad drużyną ochronną tarczę z magicznego światła. - Rozpruwajcie im brzuchy, urywajcie głowy, łamcie kości! Nie oszczędzajcie nikogo!

Obydy bez ociągania ruszyły w stronę nieprzyjaciół. Naczelnik Jarpus, który chciał udowodnić młodszym mężczyznom z rodu Kłów Dzika, że jeszcze nie brak mu sił żywotnych, śmiało wyszedł z szyku. Jedna z czarownic smagnęła biczem. Skórzany rzemień z metalową głową węża na końcu owinął się Jarpusowi wokół szyi. Ostrza wetknięte w bicz zrobiły swoje - głowa naczelnika odpadła od ciała, ciemna struga trysnęła wysoko.

Mali wojownicy zahuczeli z żądy zemsty. Kilku niecierpliwych strzelców puściło cięciwy, ale prąd czarodziejskiego światła zmiotł strzały i spadły w błoto, nie wyrządzając nikomu krzywdy. Nawet jeśli obydy miały pewne obawy, teraz poczuły się potężne i niezwyciężone. Zaczęły szcze kliwie rechotać w oczekiwaniu dobrej zabawy. Krwawej gry, w której rozbrzmiewały jęki konających i okaleczonych, w której śmierdziały wyrwane wnętrzności - właśnie to stanowiło najwyższą rozkosz dla tych okrutnych istot.

Stojąc naprzeciw demonicznych, groźnie dyszących koni i trzaskających z bicza strzyg, Czudowie stracili zapał i zaczęli się cofać.

W tejże chwili pojawił się Tugarin.



Pod trzaskającą ostrzegawczo starą sosną stała okrągła chatka, której dach zniszczyła wichura. Znaczne rozmiary i bogato rzeźbione belki budynku świadczyły o jego znaczeniu. Jeszcze wyraźniejszy dowód stanowiła gromada strażników przed drzwiami. Kościej i Targyltysz popatrzyli po sobie i skinęli głowami, czym potwierdzili domysły, że bohaterzy na pewno są więzieni właśnie tutaj.

Po chwili wyszli z cienia między dwiema mniejszymi chatami i zaczęli strzelać z łuków. Wygnaniec, mimo wiatru, zranił jednego strażnika w nogę. Czum wrzasnął i upadł na ziemię. Kijowianin nie trafił, ale prędko nałożył drugą strzałę. Wartownik, do którego mierzył, spróbował skryć się za tarczą, ale pocisk przeleciał tuż koło skórzanego kręgu i przebił mu ramię.

Wojownicy wrzasnęli i unieśli broń - trzy łuki, dwie włócznie.

- Uwaga! - krzyknął Targyltysz, zrobił prędko unik i skoczył za pękającą sosną. Jedna z czudzkich strzał z drzeniem wbiła się w pień. Kościej rzucił się na ziemię i zwinął w kłębek. Wszystkie pociski wysypały się z jego kołczanu, ale były gorynycz unikał grotów dwu strzał i jednej włóczni, które stanowiły poważne zagrożenie, mimo że silny wiatr zmienił ich lot.

Blady mężczyzna zręcznie podniósł się na kolana. Usłyszał krzyk i spojrzał. Jeden ze strażników rzucił się na niego, ściskając oburącz włócznię. Kijowianin błyskawicznie sięgnął za pas i dobył noża...

Nie miał jednak okazji sprawdzić, czy tak krótką bronią można pokonać człowieka uzbrojonego we włócznię. Przeciwnik zatrzymał się nagle i zapatrzył na coś za plecami Kościeja. Po chwili rzucił włócznię, odwrócił się i z wraskiem pobiegł przed siebie. Pozostali Czudowie zrobili to samo i gnali ile sił w nogach.

Wysoki człowiek obejrzał się. Mimo że zgadywał, co zobaczy, i tak omal nie narobił w portki ze strachu.

Ogromne niedźwiedzie, wszystkie czarne jak węgiel i z demonicznie świecącymi oczyma, przenikały przez wał, ściany chat, nawet przez pnie drzew. Mając przed sobą wielkie pyski pełne lśniących zębów, Kościej przysiadł na tyłku. Targyltysz, skulony za starą sosną, padł na ziemię, zakrył głowę rękami i zaskomlał.

Widma jakby ich nie zauważyły. Obojętnie przeszły koło Kijowianina i Czuda, po czym zmierzały dalej, w stronę okrągłego dziedzińca.

Oszpecony woj przestał chować głowę w ramionach i rozejrzał się. Niedźwiedzie się

oddalały. Westchnął, skinął na Targyltysza i z nożem w ręku pobiegł w stronę drzwi chaty.

Sosna znów groźnie zatrzeszczała.



Tugarin zaatakował bez uprzedzenia, bez zbędnych przemów, podstępnie. Wynurzył się z przejścia między chatami na grzbiecie swego konia, z dziko rozwianymi białymi włosami, z Żelaznym Kosturem wzniesionym wysoko nad głowę. Jaga obejrzała się błyskawicznie, jej oczy załśniły przenikliwie spod rozczochranych czarnych włosów, które spadały jej na twarz. Nie zdążyła nic zrobić.

Żelazny Kostur przeciął powietrze ze świstem słyszalnym mimo wycia wiatru. Fala światła przeleciała przez dziedziniec, dosięgła Jagi, połowy jej córek i stojących w pobliżu Czudów. Poryw czarodziejskiego wiatru odgarnął włosy z twarzy wiedźmy, załopotał połami jej szat i zmusił siwka, by stanął dęba. Jędza nie zdążyła złapać się grzywy ani ścisnąć nogami boków konia, z jękiem spadła z nieosiodłanego grzbietu i runęła na zabłocony dziedziniec. Jej kostur uderzył o ziemię, a łuska natychmiast zgasła. Dwie obydy spadły z siodła, trzecia przewróciła się razem z rżącym koniem. Kilku Czudów, w tym Burmelak, padło na kolana albo na plecy. Błysk ich oślepił.

- Na nie! - wrzasnął Tugarin. - Pozabijać te źmije!

Widząc padające strzygi, Czudowie nabrali śmiałości. Krzyknęli gromko i ruszyli do ataku. W powietrzu zaświszczały bicze trzech czarownic, które utrzymały się w siodłach, i dwóch uparcie próbujących podnieść się z ziemi. Okute końce batów zabrzęczały o tarcze, zaznaczyły krwawymi szramami ręce i uda. Czudowie krzyczeli i padali. Strzelcy w chatach i na dachach znów zaczęli szyc z łuków. Nad zamęt na dziedzińcu mignęły włócznie, świsnęły strzały, a ponieważ wraz z upadkiem Jagi ochronny czar stracił moc, ostre groty dosięgły celu. Jedna ze wstających obyda padła ze strzałą między piersiami, druga zgięła się, gdyż pocisk wbił się jej między łopatki, pod trzecią padł przebity włócznią koń i przygniótł wiedźmę swoim ciałem.

Tugarin niemal nie zwracał uwagi na zamęt i wrzawę wokół niego. Ruszył konno w stronę Jagi, która już podnosiła się z błota.



- Kościeju, braciszku! - wrzasnął Mikołaj Sielaninowicz. - Do stu piorunów, to naprawdę ty?!

- A niby kto? - odparł były czarownik, który tymczasem obchodził słupy i przecinał nożem rzemienie na rękach bohaterów. - Chyba nie przemieniony Tugarin? On ma teraz dość

własnych kłopotów... Prawdę mówiąc, jesteśmy dziś jego najmniejszym zmartwieniem.

Bojarzy spiesznie zrywali pęta z nóg, wstawali chwiejnie i próbowali rozruszać zdrętwiałe ciała, klnąc przy tym i jęcząc boleśnie.

- Potrzebujemy broni! - huknął Jegor.

W tejże chwili do okrągłej izby wpadł Targyltysz - mała, dziko wyglądająca figurka w futrze i z sarnim porożem na głowie.

- Uwaga! - krzyknął Alosza, bo myślał, że to jeden ze strażników.

- Nie! - Kościej powstrzymał bojarów, którzy przybrali postawę bojową. - On jest po naszej stronie! Pomógł mi przedostać się na wyspę!

- Co on gada? - spytał Koływan, bo Czud opowiadał o czymś z przejęciem i jednocześnie wskazywał za siebie, na drzwi.

- Że w chacie obok są nasze konie i broń - przełożył Ilja, a jego oczy zabłyśły.

- Ruszmy się więc! - krzyknął Mikuła, ale kiedy wstawał, zawiodły go zdrętwiałe nogi, z których odpłynęła wszelka krew. Pozostali bohaterzy też mieli trudność ze wstawaniem.

Kolejny mocny poryw wiatru uderzył w chatę, a z zewnątrz dobiegło głośne skrzypienie i trzaskanie. Bojarzy spojrzeli ze strachem na zniszczony przez wicher dach. Przez dziurawą strzechę dostrzegli, jak pęka pień sosny stojącej nad chatą, a spod ciemnej kory wylatują ostre, białe drzazgi.

- Uciekajmy! - wrzasnął Jegor.

Garnęli się do drzwi, pełznąco albo idąc na czworakach, podpierając się nawzajem i ciągnąc, z krzykiem i przekleństwami na ustach.

Pień sosny trzasnął ogłuszająco. Drzewo złamało się do końca. Rozłożysty wierzchołek spadł na słabą strzechę z przeciągłym jękiem przypominającym przedśmiertny krzyk olbrzymiego zwierzęcia.

- Bracia! - krzyknął Suchan, który włókł się ostatni.

Złapali go i prędko wyciągnęli przez drzwi. Tuż za nim między ściany chaty wpadła duża część pnia drzewa, cały dach i przewrócone słupy.

- Co jest, Suchan, taki koniec też ci się nie podoba? - Mikuła śmiał się z ulgą.

- Ani trochę. - Łysy Radymicz oddychał ciężko, wciąż wytrzeszczając oczy. - Widzę właśnie, że wcale nie jest łatwo o dobrą śmierć.

- Mylisz się - wtrącił Ilja, któremu udało się wstać. - Słyszycie tę wrzawę? To bitwa. Tam będzie mnóstwo okazji, by zginąć śmiercią godną bohatera. Pospieszmy się!

Z chaty, do której wszedł Targyltysz, dobiegło przenikliwe rzenie.

- Buruszko, mój wierny druhu! Już biegnę!



Baba Jaga podniosła się na kolana i chwyciła Krwawy Kostur. Tugarin zbliżał się do niej, ale wyprzedził go Burmelak, który także spieszył do czarodziejki. Był żądny zemsty.

- Naczelniku, nie! Z drogi! - krzyknął Drakowicz z wysokości siodła, ale krępy Czud nie posłuchał. Przebiegł resztę drogi, zamachnął się toporem...

Jaga uniosła kostur. Laska i topór uderzyły o siebie wśród białego blasku, z broni wodza odleciało parę rozpalonych ułomków. Naczelnik z okrzykiem bólu padł w błoto. Jaga skoczyła na równe nogi i z dzikim warkotem rzuciła się na Tugarina.

- Ty dziwko! - wrzasnął czarodziej, pochylił się w siodle i trzymając Żelazny Kostur za dolny koniec, wziął szeroki zamach.

Jędza uchyliła się zręcznie i metalowa laska o włos minęła jej głowę. Wiedźma wyprostowała się błyskawicznie, odwróciła się za galopującym dalej Tugarinem i uderzyła go Krwawym Kosturem w plecy. Błysnęło, Drakowicz zawył, zachwiał się w siodle i spadł z konia.

Obydy zauważyły to i wydały okrzyk zwycięstwa, natomiast Czudowie zaczęli żałośnie lamentować, ponieważ myśleli, że to już koniec Tugarina, a bez niego nie mieli szans. Rzeczywiście, z Krwawego Kostura znów trysnęło srebrzyste światło i osłoniło żywe czarownice przed gradem grotów. Biczem znów dziarsko zaświszczały, mali ludzie wylatywali w powietrze wśród deszczu krwi, strzępów mięsa i urwanych kończyn. Czudowie zaczęli ustępować, wielu ciskało broń i rzucało się do ucieczki.

Nie odbiegli daleko. Już parę kroków dalej odkryli, że dziedziniec jest otoczony. Zawyli ze zgrozy i cofnęli się, prosto pod bicze obydom.

Nad dworzyszczem rozległ się ryk tak straszliwy, że zamierały od niego serca, a trzewia zwijały się w supeł. Na śmierć wystraszeni obrońcy Parangi spoglądali w stronę rozbitej bramy. Żądne zemsty wycie wiedźm uwięzło nagle w ich ściśniętych gardłach. Walka na moment ustała.

W przejściu między chatami, prowadzącym od bramy na dziedziniec, olbrzymi niedźwiedź stanął na tylnych łapach. Był bardziej czarny niż ciemność wokół niego, a jego czerwone oczy świeciły demonicznie. Kiedy znów zaryczał, jakby kolejny poryw wiatru przeleciał przez osadę, tyle że nie czochrał włosów i nie szarpał za odzież. Gnał przez serca i myśli. Był jeszcze zimniejszy niż nadprzyrodzony wichur towarzyszący obydom.

Stał przed nimi Konsyng, straszne niedźwiedzie bóstwo, władca demonów. Wszędzie

wokoło roilo się od jego widmowych drużynników. Czarne bestie z groźnym pomrukiem wchodziły na dziedziniec, nie tylko uliczkami, ale też przenikając przez ściany chat, jakby te były zwykłymi zjawami. Wprost trudno było uwierzyć, że jest odwrotnie. Czudowie cofali się, zdjęci grozą, rzucali broń, klękali w błocie i z czołami przyciśniętymi do ziemi prosili niedźwiedzie bóstwa o litość. Przecież to oni je upolowali i wysłali w drogę ku niebieskiemu łańcuchowi, do Toruma. Nie było wątpliwości, że duchy wróciły, by się zemścić.

- Odwagi, córki! - krzyknęła Jaga do pozostałych przy życiu czarownic. - Przecież nie złękniecie się zwierzaków wyczarowanych przez cudzkiego kolduna! Zaczniecie trzaskać z biczami i przetrzepcie im te spleśniałe kozuchy!

Niedźwiedź stojący na drodze do bramy podrzucił kędzierzawą głowę, uderzył przednimi łapami w ziemię, aż trysnęło błoto, warknął gniewnie, głośno. I sapnął.

Dał rozkaz do ataku.



Czarne widma ruszyły. Czudowie uciekali przed nimi z wrzaskiem, chociaż nie było takiej potrzeby - potwory wcale nie zwracały na nich uwagi, wbijając płonące spojrzenia w cztery obydy.

Strzygi nie ociągały się i zaczęły uderzać swymi straszliwymi biczami. Ostrza na końcach rzemieni przeleciały przez zbliżające się potwory jak przez mgłę i nie wyrządziły im żadnej szkody. Kontratak niedźwiedzi był prawdziwy, skuteczny i piekielnie bolesny. Widma natychmiast dosięgły jednego tulpara i natychmiast rozszarpały mu żyły czarnymi pazurami. Zwierzę na próżno wierzgało cudownymi kopytami, tworząc wyjące wietrzne wiry. Obyda, która spadła z jego grzbietu, skończyła z szumą w niedźwiedzim pysku.

Kiedy jej dwie siostry to zobaczyły, zawyły ze zgrozy i rzuciły się do ucieczki. Oczywiście nie starały się przebić do bramy. Pierwszy tulpar wziął krótki rozbieg, odepchnął Czudów i klapiące niedźwiedzie pyski i skoczył prędko w powietrze. Drugi koń nie miał takiego szczęścia. Wprawdzie i on poleciał z powiewem chłodnego, nocnego powietrza, ale najszybszy z widmowych niedźwiedzi złapał go za tylne nogi i zacisnął zęby na jednej z kończyn, aż kość pękła z trzaskiem. Zwierzę usiłowało uciec, głośno zarżało i na moment uniosło czarnego potwora nad ziemię, ale po chwili ciężar prześladowcy pociągnął je z powrotem. Obyda spadła między dwa niedźwiedzie. Wielkie cienie otoczyły ją natychmiast i uciszyły jej szalony wrzask.

Pierwszy tulpar zdążył w mocnym porywie wiatru wzlecieć nad dziedziniec, odbić się od górnej belki na dachu chaty Burmelaka i unieść się w ciemność między chwiejącymi się

sosnami. Jaga, kręcąca się z kosturem w ręku i odpędzająca niedźwiedzie falami magicznego światła, obejrzała się i zawyla:

- Wracaj! Zdradzasz tę, która przywiodła cię na ten świat w bólu i krwi?! Przeklinam cię!

Odlatująca wiedźma nie dotarła nawet do palisady dworzyszczka, kiedy z ciemności między chatami i drzewami wyleciało kilka dobrze mierzonych strzał. Połowę z nich zmiotły porywy wiatru spod kopyt tulpara, ale pozostałe wbiły się w pierś i brzuch rumaka. Wyglądało to tak, jakby zwierzę potknęło się w powietrzu. Cudowny koń zgubił rytm biegu przez pustkę, stracił siły, przewrócił się w ciemności i już po chwili z ogłuszającym rzeniem padł w sam środek jeziora. W potężnym plusku na zawsze ucichły głosy zwierzęcia i dosiadającej go strzygi.

Jaga wrzasnęła okropnie, nie miała jednak czasu na lament. Wokół niej zbierały się niedźwiedzie, a towarzyszyli im co odważniejsi Czudowie. Zrozumiała, że jej córki miały rację - ucieczka była jedyną szansą na ratunek. Oczyszczyła przestrzeń wokół siebie kolejnym ruchem kostura i uniosła złączone palce do ust. Rozległ się przenikliwy gwizd.

Odpowiedziało jej ogłuszające rzenie. Wiatr znowu się wzmógł i nad dachem domu naczelnika wzniósł się piękny siwek. Odbił się od górnej belki i skoczył tuż za Jagę, przy czym obalił na ziemię gromadę drużynników oraz samego Burmelaka.

- Jeszcze tu wrócę, szczury! - wiedźma wrzasnęła w stronę Czudów i jednym skokiem znalazła się na grzbiecie tulpara. - Policzymy się wtedy!

Wtedy za jej plecami rozległ się tupot kopyt.

Zaskoczona, obejrzała się.

To był Muromiec. Buruszko zarżał bojowo i wyszczerzył zęby na tulpara. Jaga dźgnęła nieoczekiwanego napastnika kosturem. Ilja schował się błyskawicznie za uniesioną tarczą. Srebrzysty błysk odbił się od okucia masywnego kręgu. Po chwili Muromiec wyprostował się i natychmiast z całej siły ciął Gniewem.

Mimo prędkości i trzęsącego się siodła trafił dokładnie tam, gdzie chciał. Głowa czarownicy zatoczyła krąg w powietrzu. Wirując rozczochraną czarną grzywą, padła pod nogi Czudów i łapy niedźwiedzi. Okaleczone ciało w konwulsjach spadło z tulpara, Krwawy Kostur zgaś w błocie.

Dokładnie w tej samej chwili po dziedzińcu rozlało się magiczne światło z drugiego źródła. Ilja szarpnął wodze Buruszka i obejrzał się, tknięty złym przecuciem.

Tugarin pomалу wstawał z klęczek, opierając się na Żelaznym Kosturze. Szczerzył zęby jak kościotrup. Światło jego łuski przybierało na sile.



Spłoszony Buruszko zarżał i stanął dęba. Ilja o mało nie wyleciał z siodła. Ściskając boki zwierzęcia kolanami i ciągnąc wodze, zmusił wiernego konika, by opadł na cztery nogi. Buruszko wierzgał i kręcił się. Muromiec starał się osłonić oczy tarczą. Dobrze pamiętał, jak światło kostura obaliło go na górze przed świętym miejscem. Nadjeżdżający bohaterzy wstrzymywali konie, chronili oczy i ukrywali się między chatami. Cofały się nawet niedźwiedzie, w tym sam Konsyg - Oszlajkin.

Tugarin wstał. Porywy magii szarpały jego białe włosy. Nikt nie odważył się go zaatakować czy choćby zbliżyć się do niego.

Czarodziej podszedł do bezgłowego ciała Jagi. Nareszcie połączy wszystkie trzy złomki. Łuska Zitnytry po stuleciach znowu będzie cała i tryśnie z niej moc dawnej pramatki smoków. Chwila, o której tak długo marzył, aż czasami dusił się z tęsknoty, właśnie nadeszła!

- Nie pozwólcie na to! - wyjęczał Jegor, chowając się za tarczą i starając się uspokoić stojącego dęba konia. - Inaczej będzie po nas!

Alosza strzelił z łuku, Daniło cisnął włócznią, ale oba groty odbiły się od srebrzystej łuny jak od żelaznej blachy. Ilja rzucił tarczę, chwycił swój cudowny łuk, nałożył strzałę, ze wszystkich sił naciągnął cięciwę. Pocisk przebił chwiejną magiczną tarczę, ale w miarę zbliżania się do Tugarina zwalniał, jakby wpadł do głębokiej wody. Drakowicz zauważył go i w skupieniu zacisnął zęby. Wirująca strzała zatrzymała się piędziesiąt centymetrów od jego twarzy, a kiedy najwyższy kapłan poruszył głową, spadła na ziemię.

Tugarin ze zwycięskim uśmiechem szedł dalej.

Bezgłowe ciało Jagi leżało na plecach i ciągle jeszcze drgało. Szponiasta prawa ręka nadal zaciskała się kurczowo na Krwawym Kosturze. Drakowicz przydepnął ramię wiedźmy i pochylił się, by wyłamać rzeźbione drewno spomiędzy palców...

W tej chwili lewa ręka Jagi wzięła prędko zamach. Palce, zakrzywione jak dziób drapieżnika, dosięgły czarodzieja prosto w twarz. Długie, ostre paznokcie rozerwały skórę od oka aż do brody. Tugarin zawył i przyciskając lewą dłoń do głębokich, krwawiących szram, zatoczył się do tyłu. Światło Żelaznego Kostura zamigotało, a w srebrzystej tarczy osłaniającej Drakowicza pojawiły się szczeliny.

Ilja nie wahał się. Miał przygotowaną drugą strzałę. Błyskawicznie napiął łuk, wycelował i puścił cięciwę, zanosząc modły do samego Peruna.

Łuk ze świata bogów zadzwonił tak, że musiano to słyszeć w okolicznych lasach. Strzała wleciała do migocącego światła, a mimo że znów zwolniła, ciągle miała

wystarczająco duży impet. Grot wbił się Tugarinowi pod obojczyk i wynurzył z tyłu, obok łopatki. Czarodziej zawył, światło jeszcze bardziej osłabło. Alosza i Samson natychmiast wystrzelili, ale chybili. Kościej celował starannie. Jego strzała wbiła się w brzuch białowłosego. Zgiął się w pasie, z jego ust popłynęła krew.

Bohaterzy ucieszyli się, ale niektórzy z nich zauważyli dziwny ruch na ziemi.

- Patrzcie! - wskazał Koływan. Wytrzeszczyli oczy ze zdumienia. Głowa Jagi doturlała się z powrotem do ciała, a przecięta szyja zasklepiła się z młaśnięciem.

Po chwili strzyga, ku niezmiernemu zaskoczeniu wszystkich obecnych, wstała, mocno ściskając w rękach Krwawy Kostur. Uderzyła zataczającego się Tugarina w tył głowy i obaliła na kolana. Potem znowu gwizdnęła. Na plac boju wskoczył rosty siwek i już po chwili był przy swej pani. Jędza chwyciła złote wodze...

Ilja wypuścił następną strzałę. Mierzył w obyde, ale przybierające na sile magiczne światło odrzuciło ją w bok - grot świsnął Jadze koło ucha i przecesał jej rozczochrane włosy.

Odnowienie czaru nie było jednak dziełem wiedźmy.

Tugarin splunął krwawą śliną, wyprostował się i ciosem Żelaznego Kostura powalił obyde z powrotem w błoto. Wyciągnął rękę po laskę Jagi, ale kolejny pocisk Muromca przebił mu nadgarstek. Czarodziej wrzasnął i cofnął się. Zrozumiał, że przegrał i że jeśli chce ocalić życie, ma ku temu ostatnią okazję. Chwycił wodze tulpara, zaparł się kosturem o ziemię i wdrapał na koński grzbiet. Lśniący biała skóra zwierzęcia pokryła się plamami krwi Suwara.

- Nie może uciec! - wrzasnął Kościej przepychający się między bojarami. - Zatrzymajcie go!

Drakowicz z całej siły szturchnął siwka w boki i wicher spod końskich kopyt zwiął groty bohaterów. Wierzchowiec podbiegł kawałek w stronę bramy i odbił się z głośnym rzeniem. Przeleciał między chatami, uderzeniami czarodziejskich kopyt zachwiały starą sosną i już po chwili galopował nad rozbitą bramą. Przy brzegu skręcił szerokim łukiem i ruszył na północ.

Bohaterzy zaczęli plugawie kląć. Kościej zawył z rozczarowania, wpatrując się w słabnące światło nad lasami.

Huk wiatru cichł stopniowo, a kiedy luna bijąca z Żelaznego Kostura zupełnie zgasła nad pagórkami, Tugarin znikł na dobre.



Bojarzy spojrzeli na Jagę, która właśnie wstała chwiejnie. Czudowie również

wstawali, wyłazili z kryjówek i unosili broń. Widma czarnych niedźwiedzi warczały głucho.

- Cofnąć się! - wrzasnęła wiedźma i zakreśliła łaską. Światło z jednego złomka smoczej łuski nie mogło się równać magii Żelaznego Kostura, ale dla zebranych tutaj stanowiło śmiertelną groźbę. - Wszyscy w tył, inaczej przysięgam, że będziemy się bić aż do rana i wykończę was wszystkich po kolei! Nie możecie mi odebrać życia, ponieważ nie mieszka w moim ciele! Nikt z was nie może mnie zabić!

- Ale możemy spróbować! - burknął Ilja, zawiesił łuk na siodle Buruszka, chwycił Gniew i ruszył w stronę czarownicy. Bohatryrzy zahuczeli na znak zgody, zacisnęli dłonie na rękojeściach i w szyku ruszyli na Jagę. Obyda odwróciła się w ich stronę i uniosła kostur.

W tej chwili za jej plecami pojawił się czarny cień i powalił ją na ziemię jednym uderzeniem wielkiej łapy. Padła jak długa, z ran zadanych długimi pazurami trysnęła krew. Konsyg opadł na czworaka. Jęzka wykrzyczała straszną klątwę i próbowała go uderzyć głowicą kostura. Bestia złapała zębami jej uniesioną rękę i bezlitośnie, jednym zaciśnięciem szczęk, odgryzła przedramię. Krwawy Kostur wpadł w błoto, łuska zgasła.

- Nie zabijesz mnie, śmierdzielu! - wyła strzyga pod druzgocącymi uderzeniami Konyga, który zdierał jej mięso z kości. W jej głosie brzmiała okropna mieszanina bólu i pogardy. - Wszystkie rany się zagoją! Jestem nieśmiertelna! Słyszysz?!

Bohatryrzy ostrożnie podeszli bliżej i widzieli, że nie są to czcze groźby. Rozerwane ciało zasklepiało się na ich oczach, ślady po kłach i pazurach goiły się błyskawicznie, kości zrastały. Konsyg, z sierścią na pysku i łapach mokrą od krwi Jagi, przestał kaleczyć ciało, ustąpił i parsknął z rozdrażnieniem. Wiedźma pełzała i wiła się w błocie jak robak, śmiała urywanym głosem, a jej rany się goiły.

- Dajcie mi sznur! - rozkazał Ilja.

Mikuła zdjął z kuli siodła zwój liny i rzucił go Muromcowi.

- Widzimy, że nie możesz zdechnąć - warknął siłacz i mocno przydepnął nogą plecy strzygi - ale zobaczymy, czy twoje czary poradzą sobie z powrozem.

Wiła się i broniła, próbowała go gryźć, drapała długimi paznokciami, ale kiedy ją dokładnie związał, a skrupowane na plecach ręce połączył z pętlą wokół szyi, poznali po jej rozpaczliwych ruchach, że czarami nie da sobie rady z więzami.

- Złapaliśmy Jagę! - krzyknął Burmelak, a Czudowie uradowali się.

Konsyg stanął na tylnych łapach, otrząsnął się, zgarbił i po chwili spod niedźwiedziego futra wysunęła się blada twarz niezmiernie zmęczonego Oszlajkina. Władca Czudów spojrzał na niego. W pierwszej chwili rysy Burmelaka stwardniały, po chwili jednak srogość ustąpiła miejsca pokorze. Z szacunkiem pochylił głowę.

- Uratowałeś nas, jesteś naprawdę potężnym koldunem. Wstydzę się za to, że Czudowie odwrócili się od ciebie.

Oszlajkin poważnie pokiwał głową.

- Nie jestem jedynym wygnańcem, którego musisz prosić o wybaczenie. Kto wie, czybyśmy sobie dziś poradzili, gdyby nie twój brat.

Czudowie spojrzeli na małego łowcę, który przyszedł z bohaterami.

- Targ... - zaczął Burmelak, ale powstrzymał się i nie dokończył. - Tarsemie. Mój bracie. Skrzywdziliśmy cię. Już wiem, że naprawdę wyzdrowiałeś, że nie jesteś złośliwym widmem. Bogowie są dla ciebie łaskawi.

- Tak myślisz? Moje dotychczasowe życie jakoś na to nie wskazywało - odparł myśliwy z kwaśnym uśmiechem. - Jeśli mnie przyjmiecie między siebie, może uwierzę, że wszystko może się zmienić na lepsze.

- Oczywiście, że cię przyjmiemy. Mój dom jest od tej chwili również twoim domem.

Oszlajkin spojrział najpierw na jednego, potem na drugiego, w końcu pokiwał głową z zadowoleniem.

- Dobrze. Teraz wracam pośród skały. Ci, którzy podczas nocy duchów zeszli na ziemię, muszą udać się do swego królestwa, nim wstanie świt.

Po tych słowach znów wślizgnął się w futro, zmienił w niedźwiedzia i opadł na cztery łapy. Odwrócił się i ruszył w stronę bramy. Po drodze zwoływał swoje wojsko za pomocą szczególnych pomruków. Czarne cienie szły za nim posłusznie. Wystraszeni Czudowie ustępowali im z drogi, znów niepotrzebnie, ponieważ niedźwiedzie nie zwracały na nich uwagi.

- Zawiedliśmy - odezwał się Kościej klęczący w błocie ze zwieszoną głową. - To mógł być kres naszej wędrówki, Paranga mogła się okazać początkiem naszej drogi powrotnej, ale ten sukinsyn znowu uciekł. Musimy ruszyć dalej na północ...

- Dlaczego musimy? - warknął Ilja, schylił się i podniósł kostur Jagi. - Spójrz, mamy Krwawy Kostur. Mieliśmy zapobiec temu, by Tugarin połączył trzy kawałki łuski Zirnytry. I zrobiliśmy to. Już nie trzeba się bać najwyższego kapłana. Uciekł, ale jest ciężko ranny, pewnie zdechnie gdzieś w dziczy i będzie z nim spokój...

- Chciałbym, aby tak było... - Dawny czarodziej uniósł głowę. - Ale Tugarin nie umrze. Za pomocą czarów wyliże się z ran, i to o wiele szybciej, niż ktokolwiek z nas sobie wyobraża. Znajdzie drogę do siedziby Jagi, do bramy na Bujan, do kryjących się na wyspie źródeł mocy...

- Dość tego! - Mikuła krzyknął takim głosem, że aż się wzdrygnęli. - Mam tego

powyżej uszu! Jestem zmęczony, bracia. Strasznie zmęczony. Wystarczy, że sobie wyobrazę, jak dalej wędrujemy przez bezludne północne lasy, a już mam chęć wskoczyć do jeziora i usnąć na wieki na jego dnie. Już dość, Wołchu... czy Kościeju, czy kim ty właściwie jesteś! Zdobyliśmy przecież przeklęty kostur Jagi. Możesz dzięki niemu odzyskać dawną moc, mam rację?!

- Masz, ale...

- Milcz. Proszę, milcz. Nie chcę cię dłużej słuchać. Pragnę tylko skończyć z tą bzdurą i wrócić do Bułgaru. Przejrzałem twe zamiary, braciszku. Tu nie chodzi o Tugarina ani o to, by wszystkie trzy ułamki się nie połączyły. Przeciwnie, Kościeju, to ty chcesz je połączyć! Sam pragniesz zdobyć ich niezmierną moc! Jaką mamy pewność, że nie staniesz się takim demonem ani półbogiem, w jakiego chce się przemienić Tugarin? To wielka gra dwóch czarowników, a my jesteśmy twymi pionkami. Wykorzystujesz nas, by osiągnąć własny cel!

Po tych słowach zapanowała grobowa cisza. Bohatyrzy spochmurnieli i spojrzeli pytająco na Kościeja. Było widać, że wszyscy myślą tak samo. Oszepecony mężczyzna nie zaszczyił ich spojrzeniem. Wstał powoli i zapatrzył się gdzieś w dal.

- Dobrze - powiedział bezbarwnym, zimnym jak metal głosem. - Widzę, że naprawdę nie macie ochoty ani siły wędrować dalej. Nie będę was zmuszać. Sam pojedę w Góry Północne i spróbuję powstrzymać Tugarina. Daj mi kostur, Muromcze.

Ilja zawahał się, cofnął nawet o krok. Starał się dostrzec w oczach dawnego przyjaciela coś, czemu mógłby zaufać, ale niczego takiego nie znalazł.

- Wahasz się? - odezwał się były przywódca gorynychców. - Nawet jeśli mi go nie dasz, i tak pojedę, by przeciwstawić się Drakowiczowi. Bez kostura będę miał marne szanse, ale przynajmniej spróbuję. Dasz mi go czy nie?

Ilja spojrział pytająco na Jegora. Stary bohater sposepniał jak bóg zaświatów. Po chwili z westchnieniem skinął głową.

- Daj mu go, synku. Może wraz ze smoczą mocą przebudzi się człowiek, który kiedyś był naszym druhem.

- Wątpię - warknął Mikuła.

- Poza tym - dodał Światogor - jeśli naprawdę chce jechać na północ i walczyć, to jedyna broń, która może mu pomóc. Nie będziemy mu przeszkadzać.

Kościej nie spuszczał wzroku z Ilji i wyglądał tak, jakby nie słyszał innych bojarów. Muromiec wziął głęboki wdech i wyciągnął ku niemu rękę z kosturem.

Błada, koścista, pokryta bliznami dłoń zacisnęła się na ciemnoczerwonym drewnie. Bohatyr puścił laskę i cofnął się. Niedysiejszy czarownik trzymał kostur w lewej ręce.

Przejechał drżącymi palcami prawej dłoni po rzeźbionych łuskach aż do głowicy w kształcie rzeźbionego ogona.

- Pewnego dnia gorzko tego pożałujemy - prychnął Sielaninowicz.

Kościej nie poświęcił mu nawet odrobiny uwagi. Nic do niego nie docierało. Wpatrywał się błyszczącymi oczyma w srebrny złomek. Jego palce ześlizgnęły się z drewna i dotknęły łuski Zirnytry.

W tym momencie cudowny przedmiot ożył i rozbłysnął. Chudy mężczyzna zaskomlał i zaczął się miotać w skurczach. Konie bohaterów zaczęły parskać, jeźdźcy sięgnęli po krzyżyki lub amulety w kształcie toporków. Jaga zawyła z nienawiścią, ponieważ wiedziała, że źródło jej czarów właśnie przechodzi we władanie tego paskudnego cudzoziemca.

Rozdygotany kaleka runął na kolana. Upadłby całkiem, ale wbił tylec kostura w błoto i chwycił oburącz długie na sążen drzewce. Złapały go drgawki - niezmiernie bolesne, sądząc po głosie wydobywającym się zza zaciśniętych zębów. Wszyscy się cofnęli. Łuska migotała. Cudowie uciekali i krzyczeli ze strachu, bo myśleli, że przybył im nowy wróg władający magią.

To nie trwało długo. Fale światła przestały bić, Kościej przestał się rzucać jak na mękach i stopniowo przestał skowyczeć. Wreszcie łuska zgasła. Zdyszany, zlany potem mężczyzna ześlizgnął się po kosturze na ziemię. Upadł na twarz. Ilja, który był najbliżej, pochylił się nad nim i wyciągnął jego głowę z błota, żeby się nie udusił. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegli żadnej zmiany. Ciało czarownika pozostało wątle, oszpecone i nienaturalnie blade. Kiedy jednak Muromiec dotknął jego twarzy, ten z nieoczekiwaną siłą złapał go za nadgarstek. Po chwili otworzył oczy.

Widzieli wyraźnie, jak z jego źrenic koloru malachitu bije dawna magiczna moc. W wyrazie tych oczu nie zostało jednak nic z człowieka, którego kiedyś znali i uważali za przyjaciela.

Zupełnie nic.

Na południu niebieskawe światło rozbłysło nad skałami i złączyło ziemię ze szczeliną w obłokach. Dusze niedźwiedzich biesów wspinały się do swego niebieskiego ojca po niewidzialnym łańcuchu, przedłużeniu tego, który zwisał nad chatą Oszlajkina.



- Rozwiążę ci teraz nogi, żebyś mogła dosiąść konia - powiedział Kościej. - Ostrzegam cię - jeśli czegoś spróbujesz, przekonasz się na własnej skórze, jak bolesne mogą być czary twego kostura. Wczoraj, pod łapami Konsyga, najadłaś się bólu do syta, czyż nie?

- Nie bój się, brzydalu. - Jaga wyszczerzyła spiczaste zęby i błysnęła oczami drapieznika. - Nie będę uciekać. Nie teraz i nie tutaj. Wiem, co zamierzasz. Chcesz, żebym cię zaprowadziła do mojej siedziby w Górach Północnych, do bramy zaświatów i mostu wiodącego na Bujan. Prawda?

- Prawda - potwierdził bez wykrętów, zdjął jej pęta z kostek u nóg i pomógł wsiąść na grzbiet małego północnego konika.

- To daleka droga. - Uśmiechała się paskudnie. - Na bagnach, przez które musimy przejechać, czyhają zagrożenia, o których nie masz pojęcia. Są tam stwory, które tylko czekają, aż do ich królestwa zabłądzi jakiś głupi śmiertelnik. Wtedy polują na niego, zabierają ducha, jedzą jego mięso... I wiesz co? Te demony mi służą, ba, kochają mnie i czczą jak boginię. Wyczują, że nadchodzę, a kiedy zobaczą, że jestem w niewoli, zrobią wszystko, by mnie oswobodzić. Kiedy napadnie cię cała sfera, nawet kostur ci nie pomoże. A potem, ty wstrętna gębo - Jaga pochyliła się nad nim, aż poczuł jej śmierdzący oddech - urwę ci jaja i pożrę na twoich oczach. To będzie tylko początek.

- A co z moimi? - W otwartych drzwiach pojawił się barczysty mężczyzna, którego sylwetkę obramowało szare światło bliskiego poranka. - Na nie też masz ochotę?

Wiedźma syknęła tylko, dokładnie jak żmija, której imię nosiła. Kościej obejrzał się.

- Muromcze? - Uśmiechnął się krzywo, nieładnie. - Chyba nie przyszedłeś się pożegnać?

- Na pewno nie. - Ilja pokręcił głową i wszedł do budynku, który służył tymczasowo jako stajnia dla koni bohaterów. Poszedł prosto do Buruszka i zaczął go siodłać.

- Wybierasz się dokądś? - Czarownik zmrużył oczy.

- Słuszne przypuszczenie.

- Tak ci spieszno wrócić do Bułgaru? Chcesz skorzystać z tego, że Bragi odszedł do Walhalli i jedziesz pocieszać młodą wdowę?

- A tu się mylisz. Nie mam zamiaru jechać do Bułgaru. Żeby tam trafić, trzeba jechać za południowym słońcem, ja zaś wybieram się na północ. Jak się nazywają tamtejsze góry? Góry Północne?

Dawny wódz gorynychów milczał długo. Przyglądał się, jak Ilja dociąga popręgi i rzemienie, jak nakłada Buruszkowi ogłowie i wędzidło. Potem zapytał:

- Dobrze to przemyślałeś? Nie masz wrażenia, że jesteś tylko pionkiem, którego wykorzystuję do własnych celów?

Wojownik odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy.

- Dbam tylko o własne cele. O kijowskie też, chociaż ciągle jeszcze uczę się

wierności. Tak czy siak, jeśli spróbujesz mnie wykorzystać, omamić jakimś czarem czy podstępem, gorzko pożałujesz.

- Brzmi jak umowa. - Czarodziej uśmiechnął się ponownie.

Przed stajnią rozległo się głośnie ziewnięcie. Po chwili w drzwiach pojawił się Jegor Światogor. Siwy bohater przeciągał się po drodze, aż mu trzeszczało w stawach.

- Wszchemogący Boże, gdybyśmy mogli odsapnąć przynajmniej jeden dzień! Gdzie tam, musimy od razu galopować na północ! Kto mi osiodła konia? Hej, młodzi! Zajmijcie się tym. Ja muszę najpierw rozruszać swoje stare kości. Za długo byście na mnie czekali.

- Nie licz na mnie - parsknął Suchan, który wszedł tuż za nim.

- Ani na mnie - burknął Daniło Łowczanin, nakładając hełm.

- Aloszo, Samsonie! Jesteście chrześcijanami, wasza wiara każe pomagać bliźnim, a ja jestem teraz najbliższym bliźnim, jakiego macie! Nałóżcie konikowi potnik i siodło...

- Ja ci osiodłam konia - zaproponował Ilja, który właśnie dociągnął ostatni rzemień w rzędzie Buruszka.

Koływan wszedł do stajni ostatni. Po drodze przecierał zaspane oczy. Kościej przyglądał się towarzyszom z nieskrywanym zdziwieniem.

- Zatem... wy wszyscy...

Jegor odwrócił się i wymierzył w jego twarz grubym palcem. Chmurny wyraz oblicza starego bojara i ostrzegawczy błysk w oku zwiastowały, że cokolwiek powie, należy to brać poważnie.

- Nie waż się o nic pytać, Kościeju! Właściwie to najlepiej nic nie mów!

Siedząca na końskim grzbiecie Baba Jaga przyglądała się przygotowującym się bohaterom i uśmiechała się od ucha do ucha.

- Tyle jaj naraz? - syknęła. - To będzie prawdziwa uczta!



Jechali już pod górę, w stronę północnych wzgórz, a szara powierzchnia Jeziora Niedźwiedziego ginęła za ich plecami w gęstniejącym lesie, kiedy na ścieżce rozległ się tętent. Obejrzeni się i zauważyli Mikułę Sielaninowicza.

- Czudowie urządzili w nocy ucztę, by świętować zwycięstwo i zarazem pożegnać poległych. Była naprawdę dzika - powiedział Ilji, który jechał ostatni i przywitał go z pytającym wyrazem twarzy. - Wychłptałem tyle miodu, co dziesięciu cudzkich karzełków, a potem nijak nie mogłem rano wstać. Chcieliście jechać beze mnie, co?

Muromiec tylko się uśmiechnął, ale nie odpowiedział. Pozostali bohaterzy również się

nie odezwali, o nic nie pytali, jakby nie zauważyli przyjazdu Mikuły. Nawet Daniło nie zaczął szydzić z tego, że Sielaninowicz zmienił postanowienie.

W milczeniu jechali na północ i zastanawiali się, jakie niebezpieczeństwa na nich czyhają.

KSIĘGA CZWARTA

Wyspa
wiecznej wiosny

ROZDZIAŁ DZIESIĄCY

Żelazne pazury

N

areszcie Góry Północne! - zawołał Koływan Wygnaniec, kiedy weszli na rzadko zarośnięty stok. Po długiej wędrówce przez ponury, wilgotny las zobaczyli w końcu cel swej wędrówki.

Mikuła spojrział na niego jak na obłąkanego.

- Cieszysz się, jakbyśmy już tam byli. Przecież to jeszcze całe tuziny wiorst.

- Przynajmniej wiemy, że strzyga prowadzi nas we właściwą stronę - bronił się Koływan.

Pierwsze dwa dni po wyruszeniu z Parangi jechali ścieżką, ale skończyła się w położonej najdalej na północ cudzkiej osadzie, gdzie nocowali dwa dni temu. Potem wędrowali przez bezludną, nieprzyjazną dzicz, w której rozbrzmiewały jedynie odgłosy dzikich zwierząt i krakanie wron.

- A dlaczego miałyby wskazywać złą drogę? - Kościej uśmiechnął się. Wodze konia wiozącego Babę Jagę były przywiązane do jego siodła. - Zmierzamy przecież w stronę ziem, którymi włada. Mieszkają tam demony i potwory, które jej wiernie służą. Na pewno się cieszy, że pomogą jej uciec z niewoli. Mam rację, czarownico?

Jej oczy zaświeciły spod czarnej czupryny, która spadała wiedźmie na twarz.

- Zgadłeś, brzydalu. Właśnie tak się stanie. Nacieszcie się widokiem szczytów Gór Północnych, bo kiedy zjedziecie z tego pagórka i zanurzycie się w mgłach mokradeł, już nic więcej nie zobaczycie. Jeśli odważycie się jechać dalej, skażecie się na śmierć, a wasze dusze będą przez całe wieki błądzić w zimnej mgle.

Bohaterzy nie krzyknęli na nią, nie zaśmiali się pogardliwie, nie zaczęli odważnie uderzać się w piersi. Wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni i ponurzy. Bezsensowna - przynajmniej zdaniem większości - i niekończąca się wędrówka przez nieprzyjazne,

deszczowe, oczekujące zimy krainy wyssała z nich ostatnie krople dobrego nastroju. Mikuła już nie śpiewał po wieczerzach, Daniło nie szydził ani nie stroił sobie żartów z bohatyjskiej buńczuczności, Alosza przestał opowiadać o pięknych kobietach - zarówno wymyślonych, jak i tych, które naprawdę poznał. W trakcie jazdy milczeli, przy wieczornych ogniskach czasem zabrzmiało wyburczone słowo, czasem westchnienie zmęczenia lub żalości. Tylko Kościej wyglądał na zniecierpliwionego i z każdym dniem wydawał się bardziej przejęty. Jaga również czasami spoglądała niecierpliwie w stronę północnego widnokręgu. Wiedzieli, co ją tak cieszy. Zmierzali na jej ziemie.

Pochmurnym wzrokiem patrzyli na tę rozległą równinę okrytą paskudną, szarą mgłą, z której wystawały spiczaste wierzchołki sosen albo gołe czarne gałęzie jakichś drzew liściastych. W dali z zamglonego obniżenia terenu wyrastały ciemne, pofałdowane grzbiety pagórków. Wyglądało to tak, jakby wzgórza wznosiły się między niebem a ziemią, unoszone na poduszce z mgły, widmowe, nieprawdziwe jak przywidzenie albo kraina z posępnych baśni.

- Coś mi się widzi - westchnął Jegor - że za wcześnie się cieszyłeś, Koływanie. Przed nami najtrudniejsza część drogi. Ty, strzygo! Ile czasu potrzebujemy, by przejechać na drugą stronę bagien, do podnóża gór?

- Niepotrzebnie łamiecie sobie głowę - odparła ostro. - Nigdy tam nie dotrzecie. Na bagnach doczekam się pomsty za swe nieszczęsne córki...

- Już to mówiłaś - warknął Kościej i spojrział na północ. - Moim zdaniem to jakieś trzy dni drogi - orzekł po chwili.

- Trzy, może cztery - potwierdził Ilja, przyglądając się górom swym sokolim wzrokiem. - Przez ten czas wszystko może się zdarzyć...

- Wyraźnie zapominacie o jednej rzeczy - burknął czarownik i szturchnął konia piętami. - Że znów jestem panem kostura. Ta śmierdząca jędza liczy na pomoc biesów, ale one boją się mocy Zirnytry jak mysz sokoła. Nie będziecie musieli dobywać broni. Odpędzę wszystkie zagrożenia czarami.

Bohaterzy ruszyli za nim i jechali gęsiego w dół stoku. Koniki parskały niespokojnie, ostrzegając jeźdźców przed unoszącymi się w powietrzu niebezpieczeństwami.

- Czarami? Doprawdy? - Wiedźma uśmiechnęła się paskudnie. - Czujesz się na siłach? Masz w ręku Krwawy Kostur, to prawda, ale nie ukryjesz przede mną ani przed swymi druhami, że wciąż jesteś słaby. W twoich żyłach znowu płynie moc, lecz nie potrafisz się nią posługiwać jak kiedyś. Trochę potrwa, zanim dorównasz dawnemu Wołchowi Wsiesławiewiczowi. Myślę, że potrafisz utrzymać menkwy na bezpieczną odległość, ale jak

długo wytrzymasz? Będą na was czyhać we dnie i w nocy. Kiedy się choćby na chwilę rozluźnisz, zaatakują i rozerwą was na...

- Zamknij wreszcie pysk, jędzo! - Nie wytrzymał, odwrócił się w siodle i zamachnął się na nią laską. Złomek łuski na końcu kostura zaświecił. Kobieta schowała głowę w ramionach, ale kiedy zrozumiała, że to była tylko groźba, znów się wyprostowała, a na jej twarz wrócił grymas nienawiści.

- Nie marnuj czarów, brzydka gębo. Jeszcze ci się przydadzą.

Umilkła. Bohatry również nie byli w nastroju do rozmów. W miarę jak zjeżdżali ze stoku, drzewa rosły coraz rzadziej, a mgła gęstniała. Na spochmurniałych twarzach Kijowian malowały się obawy i wątpliwości, które Jaga zasiała swoimi groźbami. Przeklęta strzyga miała rację. Liczyli na to, że Kościej ochroni ich na mokradłach swymi czarami. Ale jak długo zdoła wytrzymać w ciągłej gotowości?



Złękli się, i to porządnie. Kiedy z mgły przed nimi wynurzyły się szczupłe, ciemne postacie ze spiczastymi głowami, przyszło im na myśl, że to straszne menkwy czyhają na nich u podnóża pagórka. Nawet konie zaczęły rzeć i wierzgać. Bohatry, klnąc, sięgnęli po broń, Alosza nawet strzelił z łuku. Kiedy grot z hukiem wbił się w drewno, zdali sobie sprawę, że demoniczni strażnicy bagien są zupełnie nieruchomi.

- Spokojnie - powiedział Koływan, ale brzmiało to tak, jakby starał się uspokoić samego siebie. - To tylko rzeźby.

Jaga śmiała się tak, że aż trzęsła się w siodle.

- Ale z was strachajły! Wystarczy parę parszywych kumirów, żeby przerazić was na śmierć! Co się z wami stanie, kiedy zobaczycie prawdziwe menkwy?

- Nic się nie martw - odezwał się Suchan Radymicz, który miał już powyżej uszu szyderstw jędzy - zetniemy im głowy tak samo, jak twoim wszawym córkom!

Uśmiech Jagi znikł, jakby ktoś starł go szmatą, a rechot zmienił się w groźny syk.

Podjechali bliżej figur. Miały kształt słupów. Niegdyś było ich siedem. Cztery jeszcze stały, chociaż krzywo, trzy gniły na ziemi - bagno się rozszerzało i masywne kumiry zapadły się w mokrą ziemię. Drewno było popękane, szerniałe, pokryte śliską powłoką, porośnięte mchem, ale ciągle jeszcze można było rozpoznać wyrzeźbione głowy ze spiczastymi czubkami i wybałuszonymi oczyma.

W Parandze Czudowie z całych sił starali się zniechęcić bohaterów do podróży na północ. Burmelak opowiadał straszne rzeczy o menkwach - twierdził, że to duchy ludzi,

którzy utonęli w bagnach. Oszlajkin się z nim nie zgadzał. Mówił, że to pierwsi ludzie, stworzeni przez niebieskiego ojca Toruma, tyle że nieudani. Okazali się straszliwie głupi - do tego stopnia, że pożerali się wzajemnie, dlatego bóg wrzucił ich do topieli i stworzył Czudów, którym dał rozum. Ci byli dokładnie tacy, jak sobie życzył, dlatego pozwolił im zejść na ziemię i zamieszkać w lasach. Wbrew oczekiwaniom Toruma menkwy się nie utopiły, wylazły na wysepki pośród błota, nauczyły się żyć na mokradłach i zaczęły się rozmnażać. Ciągłe są tępe i pożerają się wzajemnie, ale lubią też mięso innych stworzeń, zwłaszcza ludzi.

- Te figury musieli wznieść Czudowie - Ilja myślał głośno. - Miały chronić przed prawdziwymi menkwami.

- Kiedyś przynosili tu nawet ofiary, żeby udobruchać demony z moczarów - dodała z uśmiechem Jaga. - Potem zdali sobie sprawę, że menkwy najchętniej atakują ich i porywają do swych mokrych barłogów właśnie podczas tych obrzędów, dlatego przestali tu przychodzić. To było dawno temu. Przez długie, długie lata żaden śmiertelnik nie odważył się zapuścić w te okolice.

- Doprawdy? - rzucił Samson, który nieopodal zeskoczył z konia i teraz przyglądał się ziemi, na wół kucając. - To kto zostawił te ślady?

- Co znalazłeś, Ormianinie? - spytał Jegor.

- Odciski kopyt.

- Może to jeleni albo łosi? - odezwał się Mikołaj, zsiadając ze swego wierzchowca.

Samojłowicz posłał mu spojrzenie, które wyraźnie mówiło, że jeszcze potrafi odróżnić ślady łosia od końskich.

- A może to tulpar z Tugarinem na grzbiecie? - rozsądnie rzekł Muromiec. - Przecież co jakiś czas Drakowicz musi stanąć na ziemi...

Ormiański łucznik pokręcił głową.

- Tulpary nie były podkute, a tu są wyraźne ślady podków. Poza tym jest ich tu więcej.

- Więcej jeźdźców? - Światogor spochmurniał. - Kto mógł zabłądzić w te okolice?

- Ja spytam dobitniej, staruszku. - Daniło Łowczanin nie mógł się powstrzymać od uszczypliwej uwagi: - Jacy głupcy poza nami szukają tu śmierci?

- To na pewno nie byli Czudowie - stwierdził Ilja. - Oni nie podkuwają koni.

Wtem z okrytego mgłą mokradła dobiegło ich przenikliwe końskie rzenie. Bohatryrzy unieśli głowy, a ich wierzchowce zastrzygły uszami. Nasłuchiwali, wstrzymując oddech. Pełne strachu, niemal rozpaczliwe rzenie zabrzmiało znowu, tym razem nieco bliżej. Jeździec - albo może sam koń bez człowieka na grzbiecie? - galopował prosto na nich. Wkrótce usłyszeli chlupot - rumak biegł w płytkiej wodzie.

- Łapać go! - rozkazał Jegor. Bojarzy natychmiast ruszyli i rozproszyli się na boki. Starali się stanąć w półokręgu, by zbliżające się zwierzę nie mogło się wymknąć.

Koływan pierwszy dostrzegł we mgle ciemną sylwetkę.

- Stój! - wrzasnął.

Jeździec - teraz już widzieli, że na grzbiecie konia ktoś siedzi - zląkł się i skręcił prędko, ale inni bojarzy już na niego czekali. Jeszcze raz zawrócił wierzchowca i pognął skrajem moczarów na zachód.

Tam drogę przeciął mu Ilja, który zsiadł z Buruszka i z tarczą oraz włócznią w rękach pobiegł w stronę nieznanego. Jeździec zobaczył piechura i pomyślał, że to dobra okazja, by wyrwać się z okrążenia. Krzykiem zmusił konia do szybszego biegu i gnał prosto na Muromca. Zadźwięczało żelazo i w ręce obcego pojawił się długi wareski miecz.

Ilja stanął w rozkroku, wbił stopy w wilgotny mech i zacisnął w garści rzemień na wewnętrznej stronie tarczy.

Koń zarżał. Widział, że człowiek nie zamierza zejść mu z drogi, ale to, co go ścigało, było tak przerażające, że na pewno nie miał zamiaru skręcać z powrotem na moczary. Obali tę dwunogą przeszkodę! Jeździec zapewne pomyślał to samo i wzniósł miecz.

Muromiec wrzasnął, w ostatniej chwili zrobił krok w prawo i z całej siły uderzył w bok rumaka tarczą. Każdy inny po takim zderzeniu z koniem przewróciłby się na ziemię albo przefrunął parę kroków, ale Ilja tylko się zatoczył. Spłoszony wierzchowiec z rżeniem przewrócił się na mokrą ziemię, a jeździec spadł obok niego. Miecz zatoczył łuk w powietrzu i upadł pod kopyta parskającego Buruszka.

Leżący koń rżał jak szalony. Wierzgnął i prędko wstał, ale Ilja zdążył już odrzucić włócznię, tarczę i złapać go za wodze. Zwierzę chciało kopnąć i wybić mu na twarzy ślad podkowy, lecz Muromiec uwiesił się na rzemieniach całą swoją masą i mocno pociągnął. Rumak nie tylko nie stanął dęba, ale wręcz ukląkł na przednie kolana.

Tymczasem nadjechali pozostali bohaterzy i drużyna błyskawicznie otoczyła wstającego jeźdźca.

Mężczyzna podniósł z ziemi hełm z kutym nosalem. Miał na sobie pancerz ze skóry nabitej żelaznymi blaszkami. Długie, płowe włosy i równie jasna broda zdradzały Warega. Drugą rzeczą, którą Kijowianie natychmiast zauważyli, była krew na jego zbroi i brodzie oraz rozerwana odzież, przy czym przez dziury w materiale było widać świeże szramy. Jego koń, poskromiony dzięki sile Ilji, miał boki, tułów i zad podrapane do krwi.

- Kim jesteś? - krzyknął po waresku Jegor i wycelował włócznię w pierś mężczyzny.

Nieznanomy spojrział na niego ze zdumieniem - nie spodziewał się, że usłyszy w tych

okolicach ojczysty język.

- A kim wy jesteście?! - odparł ostro, nałożył hełm i wyprostował się dumnie. Wypatrywał zgubionego miecza, ale Buruszko przydepnął klingę.

Grot włóczy Światogora zadzwieczał o jedną z blaszek na piersi Warega i spowodował, że ten się zachwiał. Z rozdrażnieniem odepchnął wymierzoną weń broń i zawołał:

- Jestem Gudleif Asgrimsson, konung Waregów z grodu nad Jeziorem Białym!

- No i już wiem, skąd go znam. - Alosza przymrużył oczy. - To chyba jeden z tych zbójów, których odpędziliśmy od Złotej Baby?

- Masz rację - zgodził się Samson. - To jeden z nich.

Rysy twarzy Gudleifa stwardniały.

- Czyli to wy posłaliście strzały, które zabiły dwóch moich ludzi koło tego dziwnego świętego miejsca? Skoro zdobyliście bogactwo Złotej Baby, czemu nie wróciliście na południe? Dlaczego pojechaliście aż tu, na koniec świata?

- Nie obrabowaliśmy cudzkiej figury - odparł Jegor. - Nie przyjechaliśmy po łupy.

- No to dlaczego tam byliście? Kim właściwie jesteście? Sądząc po toporkach Peruna na piersi, jesteście Kijowianami, ale po co chciwi, nienasyceń zabijacy Światosława mieliby jechać tak daleko, jeśli nie po zdobycz?

- Słusznie się domyślasz, jesteśmy Kijowianami. Wysłał nas tu sam książę Światosław. W jakim celu, to nie twoja sprawa. Powiedz lepiej, przed czym uciekasz. Od czego masz te paskudne rany? I skąd się tu właściwie wzięłeś? Mów!

Wareg rozejrzał się po twarzach bohaterów. Przez chwilę wyglądało na to, że pośle ich do wszystkich diabłów, ale kiedy zobaczył malujące się na ich twarzach twardość i nieustępliwość, powstrzymał ciskające mu się na usta obelgi i skinął głową.

- Cóż, naprawdę powinno was to zaciekawić. To, co mnie tak urządziło i zabiło resztę mojej drużyny, na pewno mnie śledzi. Na waszym miejscu zawróciłbym konie i pognął z powrotem. Odpocząłbym dopiero na brzegu Itilu, za palisadą jakiejś wareskiej skalli...

- Nie pouczaj nas i mów, co widziałeś! - niecierpliwie przerwał mu Światogor.

- Trolle - odparł Gudleif i obejrzał się nerwowo w kierunku moczarów, jakby oczekiwał, że to słowo zwabi jego prześladowców.

- Kogo? - nie zrozumiał Mikoła.

- Albo coś podobnego - niepewnie dodał Wareg. - Ohydne potwory, które żywią się ludzkim mięsem. Wyglądają inaczej niż trolle żyjące tam, skąd pochodzą. Te tutaj mają dziwne, spiczaste głowy. Widzieliście figury pod lasem? Mają umyślnie ociosane łby. Te

demony naprawdę tak wyglądają, przysięgam na młot Thora. Już wcześniej słyszeliśmy o nich od Czudów, ale myśleliśmy, że to zwykłe bajędy, bo te śmierdzące koboldy boją się wszystkiego, co żyje w lesie, wierzą nawet, że ich żyrzec potrafi się zmienić w niedźwiedzia. Kiedy uciekaliśmy ze świętego miejsca, przypomnieliśmy sobie o tych przesądach. Myśleliśmy, że Czudowie będą nas gonić, żeby zachować tajemnicę Złotej Baby i żebyśmy nie mogli wrócić z posiłkami. Przyszło mi do głowy, że powinniśmy jechać wprost na północ, na moczary, a potem skręcić na zachód i jechać aż do domu, do lasów nad Jeziorem Białym...

- Mielicie nadzieję, że Czudowie nie odważą się jechać za wami. - Ilja pokiwał głową. - Trafiliście jednak na coś o wiele gorszego.

- Właśnie. Nagle wylazły z bagna, mamrotały coś, drapały, kłapały zębami. Najpierw były tylko dwa. Zabiły konia Halldora Pękniętej Czaszki, a jego samego zaciągnęły w bagno. Okropnie wrzeszczał. Jechaliśmy za nimi, ale to była pułapka. Zwabiły nas głęboko na swoje ziemie, a tam całe gromady wyskoczyły z trzciny. Broniliśmy się, ale na próżno. Tylko ja przeżyłem. Mówię wam, jeśli nie chcecie skończyć tak samo, jeźdźcie galopem z powrotem do Parangi.

- Chętnie byśmy to zrobili, możesz nam wierzyć - Jegor skrzywił się - ale musimy jechać dalej na północ. Zbierz resztki odwagi, bo ruszysz z nami.

Gudleif wytrzeszczył oczy. Ledwie mógł złapać oddech. Wkrótce stracił panowanie nad sobą.

- Gówno! Nawet za cały świat! - krzyknął. - Nie wrócę na te śmierdzące błota! Nie zmusicie mnie do tego, kijowskie szczury!

- Tak myślisz? - Światogor uderzył go włócznią, tym razem mocniej i bardziej boleśnie. - A ja ci mówię, że pojedziesz. Co z ciebie za Wareg, jeśli nie chcesz pomścić druhów?

- Sram na zemstę! - Od bielooziarskiego konunga biła złość i zarazem bezradność. - Oni zdechli, ja nie. Koniec sagi. Prządki Norny stały przy mnie, a ja nie mam zamiaru drugi raz nadużywać ich przyjaźni. Baranie łby, nie zdajecie sobie sprawy, co czyha w tej ciemności! Ale jeśli chcecie sami to sprawdzić, proszę bardzo! Oddajcie mi tylko konia, zaraz pojedę galopem do...

Drzewce włóczni trafiło Gudleifa w tył głowy. Padł zemdlony na mech. Bohatyrzy popatrzyli na Ilję. Ten tylko wzruszył ramionami i oparł drzewce o ziemię.

- Nie zdawało się wam, że jak na Warega strasznie dużo gada?

- Może jest nie tylko bielooziarskim naczelnikiem, ale też skaldem. - Daniło uśmiechnął się.

- W każdym razie powiedział nam wszystko, co musieliśmy wiedzieć. Nie miałem ochoty słuchać kolejnych obelg.

- Dobrze zrobiłeś, synku - pochwalił go Jegor. - Przynajmniej nie będziemy musieli go przekonywać. Przywiążcie go do siodła, jedzie z nami.

- A po co nam on, batiuszko? - zdziwił się Muromiec.

- To konung, nieprawdaż? Byle kto nie zostaje naczelnikiem Waregów, więc musi być zręcznym wojownikiem. Na mokradłach przyda się nam każdy, kto potrafi władać bronią.

- Poza tym - dodał Kościej - w najgorszym razie możemy go rzucić menkwom na pożarcie. To je zatrzyma na jakiś czas.

Bohaterzy wytrzeszczyli na niego oczy, ale czarodziej nie zwracał na nich uwagi. Z kosturem opartym o siodło ruszył pomału w stronę bagien. Za nim posłusznie szedł koń z pogardliwie uśmiechającą się Jagą na grzbiecie.

Gdzieś we mgle zakrakała wrona. Jej głos nie brzmiał jak dobry znak.



- Zastrane robale! Łby pełne gnoju! - wyzywał ich Gudleif i ze złością szarpał sznur, ale ponieważ to Ilja związał mu nadgarstki, był to próżny trud. - Przynajmniej zgaście ogień! Musi być widoczny z odległości mili! Spiczaste łby polecą do niego jak ćmy do kaganka!

- Uspokój się, Waregu - warknął Jegor. - Nie wrzeszcz. Nie zobaczą ognia, bo mgła jest gęsta, poza tym drzewa i trzciny wokoło dobrze nas chronią. Jedyne, co może przyciągnąć ich uwagę, to twoje wrzaski. Zamknij gębę!

Bielooziński konung ucichł, ale nie przestał rzucać gniewnych spojrzeń. Bohaterzy udawali, że w ogóle go nie widzą. Obozowali na zarośniętej jodłami wysepce otoczonej trzcina, jednym z niewielu suchych miejsc pośrodku rozległych mokradeł. Prawdę mówiąc, sami wahali się wieczorem, czy rozpalic ogień, w końcu jednak zdecydowali, że muszą się wreszcie rozgrzać i wysuszyć. Przejeżdżając przez bagna, w wielu miejscach musieli zsiadać z koni i prowadzić je za sobą, przy czym brodzili w wodzie, która niejednokrotnie sięgała im do pasa. O tej porze roku była już tak zimna, że dziwili się, że jeszcze nie zamarzła. O zmroku wyszli na jeden z nielicznych skrawków suchej ziemi, zdrętwiali z zimna i szcękający zębami. Zgodzili się wówczas, że z dwojga złego lepiej zginąć w walce z demonami, niż iść spać, będąc tak mokrym, więc rozpalili ogień. Niezłe się namęczyli, nim drewno trochę wyschło i przestało syczeć i kopcić, ale nie przejmowali się tym ani trochę. Grunt, że mieli przynajmniej trochę ciepła. Teraz kulili się przy głośno trzaskającym ogniu, ramię przy ramieniu, i wyciągali ku nieśmiałym płomieniom ręce i nogi.

- Na płodne łono mateczki Mocoszy - westchnął Mikuła - ciągle jeszcze nie czuję dolnej połowy ciała. Boję się, że w tej wodzie całkiem zamarzyły mi jaja.

- Nie wiedziałem, że w ogóle je masz. - Daniło Łowczanin wyszczerzył zęby, czym zasłużył na bolesny kuksaniec od siedzącego obok Suchana.

- Hej, ty! Kościeju! - Sielaninowicz spojrział na czarodzieja, który właśnie wrócił znad brzegu. Ciągle jeszcze nie przywykł do jego nowego imienia, nie chciało mu przejść przez gardło, zwłaszcza teraz, kiedy znowu widział w jego rękach magiczny kostur, a moc Wołcha Wsiesławiewicza w zielonych smoczycach oczach. - Nie mógłbyś poświęcić trochę mocy i wyczarować więcej ciepła?

- Mógłbym, ale nie zrobię tego - twardo odparł tamten. Przeszedł obok zgromadzonych przy ogniu bojarów i zbliżył się do Jagi, która siedziała pod jedną z jodeł. - Jeszcze mi podziękujecie, że nie marnowałem czarów na bzdury. Menkwy znajdą nas prędzej czy później. Na pewno jesteśmy blisko ich gniazd.

- Skąd to wiesz?

- Czuję. Widzę ślady ich demonicznej mocy wszędzie wokoło.

- Niechby je Perun wygubił - zaklął Dregowicz. - Przeklęte potwory. Jakby nie wystarczyły same niewygody, zimno i wilgoć...

- Na twoim miejscu bym się nie skarżył, chłopski synu - burknął Jegor. - Jeśli mnie pamięć nie myli, to był przede wszystkim twój pomysł, żeby tu przyjechać. To ty chodziłeś niespokojnie po bułgarskim pałacu i w kółko mówiłeś o tym, jak bardzo chcesz wsiąść na konia, ruszyć na północ, zemścić się na Tugarinie...

- Co chcesz przez to powiedzieć? - naskoczył na niego Sielaninowicz. - Że nasze kłopoty to moja wina? Że zaciągnąłem was tu wbrew waszej woli? Zapominasz, że to ja proponowałem w Parandze, żebyśmy wracali. To wy, z powodu, który niezupelnie rozumiem, postanowiliście jechać dalej, w to zapomniane przez bogów miejsce, nieprzyjazne, zimne, rojące się od biesów...

Światogor już brał głęboki wdech, by się z nim wyklócać, ale obu bohaterów uciszył inny głos. Sykliwy, szydery. Mężczyźni przy ognisku obejrżeli się na Jagę.

- Widzę - wyszczerzyła ostre zęby - że moi słudzy nawet nie będą musieli walczyć, bo pozabijacie się nawzajem. Menkwy zbiorą tylko waszą padlinę i zjedzą ją w spokoju. No już, głupcy! Dobądźcie mieczy i toporów, zacznijcie odrąbywać łby i rozpruwać brzuchy!

- Cicho, suko! - krzyknął Kościej i uderzył ją rzeźbioną nasadą kostura w zgięte kolana. Syknęła, zacisnęła zęby z bólu, ale już po chwili wyszczerzyła je w paskudnym uśmiechu. Spojrzała na czarodzieja.

- Mam nadzieję, że ty zostaniesz przy życiu. Chcę własnoręcznie wyrwać ci serce.

Bojarzy znów utkwili posępne spojrzenia w obozowym ogniu. Ilja ostrożnie dołożył na płonące gałązki trochę drewna, które do tej chwili suszyło się na skraju ogniska.

- Mam złe przeczucia... - Westchnął.

- A kto z nas ma dobre? - Koływan zaśmiał się niewesoło. - Wydaje ci się, że my tu żartujemy, śpiewamy radośnie i nie możemy się doczekać jutrzejszej jazdy przez ten niegościnnie kraj?

- Stale się zastanawiam - ciągnął Muromiec - skąd właściwie pewność, że ta strzyga rzeczywiście prowadzi nas we właściwym kierunku. Taka tu mgła, że ledwie widzimy koniuszki własnych nosów. Jak się upewnimy, że jedziemy na północ i nie kręcimy się w kółko? Jędza może nas łatwo zwabić w topiel i utoniemy jak kocięta...

- Na pewno tego nie zrobię - odezwała się Jaga. - Byłoby szkoda, gdyby wasze mięso zgniło w głębinie. Menkwy i Sjudbej muszą jeść.

- Prowadzi nas we właściwą stronę - powiedział błądy czarownik. - Wiem to dzięki kosturowi. Góry Północne są ciągle przed nami. Wygląda na to, że naprawdę jesteśmy na jakiejś ścieżce...

- Na ścieżce? - parsknął Mikuła. - Pochodzę z mokradeł, kiedy u nas ktoś mówi „ścieżka”, ma na myśli coś, po czym da się iść suchą nogą. Co to za ścieżka, jeśli stale musimy brodzić w mętnej wodzie i buty więzną nam w śliskim bagnie?

- To w każdym razie wyjaśnia, dlaczego jędze postarały się o tulpary - burknął Ilja i spojrzał badawczo na wiedźmę. Coś wyraźnie nie dawało mu spokoju.

- Co jest? - warknęła gniewnie, gdy zdała sobie z tego sprawę.

- Od paru dni próbuję to rozgryźć - odparł w zamyśleniu. - Nie wiem, o co dokładnie chodzi. Jakiś związek między tobą a pewną starą opowieścią. Słyszałem ją przed laty, chyba od matki. Odpowiesz na moje pytanie?

Czarownica tylko parsknęła. Nie dało się stwierdzić, czy to oznaka zgody, czy pogardy, ale Kościej rozwiął wątpliwości:

- Oczywiście, że odpowie, Muromcze. Nawet gdyby nie chciała, raz-dwa ją do tego zmuszę. No dalej, pytaj.

- Wspomniałaś o Sjudbeju - powiedział Ilja, patrząc prosto w drapieżne oczy Jagi. - To imię coś mi mówi. Słyszałem je u Czudów...

- Tak, wspomniał o nim Oszlajkin - potwierdził Mikuła. - To chyba jeden z demonicznych postrachów mokradeł. Podobno olbrzym. Jeśli mnie pamięć nie myli, jednooki, z żelaznymi pazurami. Ta opowieść brzmiała jak dobrze nadmuchana czudzka

bajęda...

- Tylko że ja słyszałem to imię już wcześniej - Muromiec myślał na głos. - Na pewno coś o nim wiesz, strzygo. Powiedz mi, kim jest Sjudbej.

- Cierpliwości, junaku. - Wyszczrzyła zęby. - Wkrótce się z nim spotkasz. Jest trzy razy większy niż ktokolwiek z was, sto razy silniejszy, a kiedy się dowie, jak mnie traktujecie, przekonacie się na własnej skórze, co znaczy jego gniew...

- Wiem, czym Sjudbej jest teraz - przerwał jej Ilja. - Chcę wiedzieć, skąd pochodzi i kim był przedtem.

Przestała się szczyrzyć i zmrużyła oczy. Bohatryrzy spoglądali pytająco to na nią, to na pytającego bojara. Nie wiedzieli, do czego Muromiec zmierza. Kiedy Jaga wahała się zbyt długo, Kościej mocniej chwycił kostur i ruszył w jej stronę. Wbiła w niego wzrok.

- Oszczędzaj siły, gorynyczu - syknęła. - Powiem wam. Właściwie dlaczego mam to ukrywać? Sjudbej był człowiekiem. Śmiertelnikiem. Pochodził z plemienia Wiatyczów, które mieszka w lasach nad Oką...

- Jak twoja matka, Muromcze - wtrącił Koływan. - Właściwie to twój daleki krewny.

Ilja spochmurniał, ponieważ to możliwe pokrewieństwo nie podobało mu się ani trochę, i znowu spojrzał na jędzę. Spojrzeniem nakazał jej, by opowiadała dalej. Usłuchała.

- Był drużynnikiem księcia Wiatka, praojca rodu, od którego wzięła się nazwa całego plemienia. Wiatko został ciężko ranny w czasie wojny z Chazarami i wyglądało na to, że zanim Kostroma wreszcie po niego przyjdzie, będzie całe miesiące cierpiał straszliwe bóle. Władca chciał odebrać sobie życie, ale wierny Sjudbej zatrzymał jego rękę z kubkiem pełnym jadu. Ślubował, że pójdzie na samą północ, znajdzie bramę zaświatów i przyniesie księciu wodę ze źródła pod Alatyrem. Miała go uzdrowić...

- Nie myliłem się! - rzucił Ilja. Jego twarz rozjaśniała się stopniowo z każdym słowem Jagi, aż wreszcie z głębi pamięci wydostało się wspomnienie, którego tak długo szukał. Twarz wojownika, do tej chwili porwana zmarszczkami od wytężonego myślenia, wygładziła się. - To stara wiatycka historia, mama opowiadała mi ją, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Słabo pamiętam, co było dalej...



Jak ślubował umierającemu księciu, dzielny Sjudbej wyruszył na północ. Przeszedł majestatyczny Itil i ruszył wzdłuż Wietługi w ponure czudzkie lasy. Kiedy tak kroczył, prędko pokonując wiorstę za wiorstą, nagle usłyszał, jak w jego brzuchu grają źle nastrojone gęśle. Osłabł z głodu. Wskoczył po kolana do najbliższej rzeki, zanurzył ręce w wodzie i od

razu złowił szczupaka, długiego na pół sążnia. Już się sposobił, by rozbić jego głowę o kamień, kiedy ten przemówił do niego ludzkim głosem:

- Nie zabijaj mnie, junaku, nie odbieraj mi życia. Jeśli mnie wypuścisz, odwdzięczę się, wybawiając cię w trudnej chwili.

Sjudbej najpierw się zląkł, potem długą chwilę się wahał, bo głośno mu kruczało w pustym brzuchu, w końcu jednak się zgodził i wrzucił rybę do wody. Szczupak podziękował i znikł w zielonkawej głębinie.

Drugiego dnia Sjudbej zobaczył wysoki dąb. Na jego gałęzi siedziała siwa gołębica. Woj prędko naciągnął łuk, wycelował ostrą strzałę, ale w tejże chwili ptak ludzkim językiem poprosił go o zmiłowanie. Bohater westchnął, opuścił łuk, a gołębica poleciała do nieba.

Sjudbej dalej wędrował o głodzie, tylko świeża woda z potoku dodawała mu sił do dalszego marszu. Trzeciego dnia znalazł gęsty malinowy chruśniak. Na gałązkach wisiało całe mnóstwo malin, ucieszył się więc, że przynajmniej nimi nasyci głód. Kiedy tylko zerwał pierwszą malinę, z gęstwiny wynurzył się ogromny niedźwiedź. Wiatycki bojar chwycił włócznię, w nadziei, że przebije zwierza i zagryzie maliny jego mięsem. Nie zdążył jednak zadać ciosu - olbrzym ostrzegł go gromowym głosem, by nie przelewał jego krwi.

- W nagrodę pomogę ci, gdy wpadniesz w nieszczęście, ślubuję.

Cóż miał Sjudbej zrobić? Jęknął, pogładził pusty brzuch, a potem ruszył dalej.

Był już u kresu sił, gdy dotarł nad rozległe mokradło. Czudowie, którzy mieszkali na jego skraju, przywitali go przyjaźnie i szczerze ugościli. Nareszcie nappełnił sobie brzuch. Zjadł tyle, ile Czudowi wystarczyłoby na cały tydzień. Kiedy powiedział, że zmierza na skraj północy, wystraszyli się i przysięgali na bogów, że tamte okolice zamieszkują biesy, że lepiej, by nie szedł dalej. Sjudbej upierał się przy swoim. Rano pokazali mu ścieżkę przez błota i na pożegnanie pomodlili się za jego duszę.

Pośrodku moczarów Sjudbej usłyszał chłopot i wrzaski. W tej samej chwili otoczyły go demony. Już wyciągały ku niemu swe szpony i cieszyły się, że wypiją gęstą krew bohatera, kiedy nagle woda zaczęła kipieć jak w gorącym źródle. Tysiące ogromnych szczupaków rzuciły się biesom na nogi, gryzły je ostrymi zębami i wciągały demony pod powierzchnię bajora. Szczupak, którego Sjudbej oszczędził, wynurzył się z wody i kazał mu uciekać, a sam obiecał powstrzymać biesy. Woj biegł więc, póki nie zostawił bagien za plecami.

Wreszcie stanął u stóp Gór Północnych. Łatwo znalazł ciemną górę, a u jej podnóża bramę zaświatów. Chroniły ją czary, więc Sjudbej nijak nie mógł dostać się do środka. Kiedy już stracił nadzieję i skrył złotowłosą głowę w dłoniach, nad górą rozległ się trzepot skrzydeł.

Bohater podniósł wzrok i zobaczył siwą gołębicę, którą oszczędził. Powiedziała, że czas spłacić dług, znalazła szczelinę, przez którą mogła się precyzyjnie i wleciała do wnętrza góry. Sjudbej czekał. Po jakimś czasie gołębicę wyleciała na zewnątrz i zdradziła mu zakłęcie, które poznała w zaświatach. Kiedy tylko młodzieniec je wypowiedział, brama się otworzyła.

Z duszą na ramieniu zstąpił w mrok i wkrótce stanął na żelaznym moście nad zaświatową rzeką Smorodiną. Nie dotarł nawet do połowy potężnej kładki wiodącej na wyspę Bujan, kiedy śmierdzące powietrze wzburzyło się od skrzydeł wielkiego gada i na moście przed nim przysiadł smok Rudrog, czerwony jak krew. Bohater zrozumiał, że dalej nie pójdzie, i zaczął się cofać. Wtedy właśnie, nie wiadomo skąd, pojawił się ogromny niedźwiedź, ten sam, który wypłoszył go z malin.

- Uciekaj, Sjudbeju, spiesz na Bujan, ja tymczasem zajmę łuskowatego potwora!

Przy tych słowach kudłacz rzucił się do walki ze smokiem.

W czasie gdy ogromne bestie walczyły, młodzieniec przebiegł po moście na Bujan. Z daleka widział niezmierną jasność Alatyru i spieszył ku niej przez kwitnące łąki i brzoźowe gaje. Dotarł do Wielkiego Dębu, który wspiera niebieski świat bogów, i dostrzegł między jego korzeniami cudowny kamień, olbrzymi kawał bursztynu, który świecił jak zakłęty ogień, aż oślepiał. W chwili, kiedy bohater chciał zaczerpnąć wody z cudownego źródła pod kamieniem, pojawiła się Północnica, strażniczka zaświatów...



- Północnica? - Mikuła, znający wiele starych opowieści, wyraźnie się ożywił. - Masz na myśli najstarszą z niebieskich sióstr?

Ilja kiwnął głową i rozejrzał się po twarzach zasłuchanych towarzyszy.

- Wiatycze wierzą, że sklepienia niebieskiego strzegą trzy siostry - Jutrzenka, Wieczernica i Północnica...

- Nie tylko Wiatycze - przerwał mu Sielaninowicz. - Plemiona znad Sławutyczy, Prypeci i Dźwiny też w nie wierzą. Jutrzenka pilnuje wschodniej bramy niebios, przez którą rumak Dadźboga wyjeżdża o świcie na codzienną wędrówkę po niebie. Wieczernica zamyka za nim zachodnią bramę, a Północnica strzeże go, kiedy w nocy pasie się na zaświatowych pastwiskach i zbiera siły na dalszą podróż po sklepieniu niebieskim...

- U nas nazywa się je Zorzami - dołączył Koływan, który tak jak pozostali kiwał głową na znak, że przy ogniskach jego ludu również opowiada się tę historię. - Mówi się, że to córki samego Peruna i że odziedziczyły po nim bojowe usposobienie. Podobno ukazują się w przepięknych zbrojach, Jutrzenka w srebrnej, Wieczernica w złotej, a Północnica

w pancerzu z czarnego żelaza. Mówi się też, że zbroje są cudowne i dają im niezwykle umiejętności bojowe...

- Walkirie - mruknął Gudleif.

- Co takiego? - Jegor spojrział na Warega.

- To walkirie, dzikie dziewice z drużyny Odyna. Jeżdżą na latających koniach i zanoszą dusze poległych wojowników do Walhalli...

- Cicho bądź, nie mieszaj do tego wareskich bajęd. Mów dalej, Iljo, co się stało Sjudbejowi?

- Jak mówiłem, Północnica schwytała Sjudbeja, kiedy kradł wodę ze źródła zdrowia i wiecznej młodości. Stała przed nim, czarnowłosa, dostojna, w czarnej zbroi, przy tym rozgniewana. Groziła mu surową karą, ale kiedy bohater padł na kolana i opowiedział jej, że nie przywiódło go tu samolubstwo, zmiękczył jej serce i darowała mu życie. Jako zapłaty za to, że puści go z powrotem do świata śmiertelników, zażądała, by był jej powolny. Sjudbej nie miał innego wyjścia, zdjął zbroję i legł w trawie z boską dziewczyną. Nie powinien był tego robić. Miłowanie tak jej się spodobało, że postanowiła złamać obietnicę i już nigdy nie puścić go do świata żywych. Omamiła czarami jego zmysły, opętała go swą urodą, a on został na Bujanie i miłowali się we dnie i w nocy...



Tymczasem w świecie śmiertelników nieszczęsny Wiatko umierał w okrutnych mękach. Kiedy czuł, że brakuje mu sił i zbliża się jego ostatnia chwila, rozkazał wiatyckim żyrzcom, by złożyli w ofierze białego byka. W gniewie wezwał najwyższego boga Peruna. Prosił, by ukarał Sjudbeja za zdradę i złamany ślub, za to, że kazał mu umierać w straszliwych męczarniach. Przy tych słowach wyzionął ducha.

Perun skoczył z siedziby Wiatyczów prosto na Bujan. Znalazł Sjudbeja w namiętym uścisku z Północnicą, swoją najstarszą córką. Rozgniewał się podwójnie, ponieważ boskie prawa zabraniały śmiertelnikom wstępować na Bujan. W gniewie uderzył gromowym toporem w Alatyr, od którego odprysnęły dwa ostre kawałki - jeden wybił oko Sjudbejowi, drugi przebił serce Północnicy. Nie zabił jej, ponieważ była boginią, ale kiedy Gromowładca wyrwał okruch jantaru z jej piersi, wysłał z niej również nieśmiertelność.

- To kara za twe przewinienie! Od tej chwili będziesz częściowo śmiertelna - jeśli ktoś złamie ten kawałek Alatyr, to będzie twój koniec. Prócz tego nie wolno ci nosić boskiej zbroi ani nazywać się już Północnicą. Zabraniam ci też wstępu na koronę Wielkiego Dębu i na zaświatowe stopy za Smorodina, gdzie pasie się słoneczny żrebiec. Jako

półśmiertelniczka będziesz mieszkać w ludzkim świecie i strzec bramy w zaświaty oraz żelaznego mostu na Bujan!

Nocna Zorza złąkla się i pobiegła, by dobrze schować okruch bursztynu, w którym było zaklęte jej życie.



- Co się stało ze Sjudbejem? - zaciekawiał się Kościej, który, tak jak pozostali bojarzy siedzący wokół dymiącego ogniska, bardzo uważnie słuchał prastarej opowieści.

- Jakoś nie mogę sobie tego przypomnieć. - Ilja spochmurniał i spojrzał pytająco na Jagę.

- Perun wygnał go z powrotem do świata śmiertelników - dodała z goryczą w głosie. - Zrzucił go na mokradła u podnóża Gór Północnych. Zmienił młodzieńca w potwora i dał mu żelazne pazury, żeby mógł się bronić przed żądnymi zemsty demonami. Piękny, szlachetny Sjudbej stał się ohydny straszylem z bagien. Perun, ten samolubny, nadęty bóg, właśnie tak pojmuje sprawiedliwość.

- Takie bajędy o junakach zwykle mają szczęśliwe zakończenia - wtrącił Mikuła. - Tej to nie dotyczy.

- Może dlatego, że to nie była zwykła bajęda - zauważył Ilja. - I może dlatego, że jeszcze nie znacie jej zakończenia. O Północnicy opowiada się coś jeszcze.

- Co takiego?

- Po tym, jak legła z Sjudbejem, zaszła w ciążę. Urodziła bliźnięta, dziewczynki. Na pół boginie, na pół śmiertelniczki...

- Brednie - Jaga prędko weszła mu w słowo. Ton jej głosu zwrócił uwagę wszystkich bohaterów. - Gęślarze wszystko poprzekręcali. Z boskiego miłowania pod Wielkim Dębem, w złocistej poświęcie Alatyru, wzrosło o wiele liczniejsze potomstwo. W rzeczywistości było pół tuzina córek. Północnica urodziła śliczne, zdrowe sześcioraczki.

Bojarzy gapili się na nią w milczeniu. Drewno w ognisku syczało.

- Co takiego? - spytał wreszcie Alosza i przy okazji zamknął usta, dotąd otwarte ze zdumienia.

- Pytasz, jakby ktoś uderzył cię w głowę - warknął Kościej. - Czy to nie jest jasne? Oto Północnica. - Wskazał Jagę.

- Nieprawda! - ostro zaprzeczyła jęzda. - Od chwili, kiedy przybrałam inne imię, naprawdę stałam się kimś innym. Kto jak kto, ale ty powinieneś to rozumieć, Wołchu! Byłam kiedyś boginią, ale Perun zrobił ze mnie półśmiertelniczkę. Bez zbroi nie mam nic ze swojej

dawnej bojowej zręczności. Żadna ze mnie Północnica, tylko Jaga. Żmija, pani smoka i władczyni demonów.

- Twoje córki odziedziczyły śmiertelność po ojcu - chłodno zauważył Ilja.

- Tak, były śmiertelne - potwierdziła. Głos załamał jej się na chwilę, zrozumieli, że uwaga wojownika dotknęła ją do żywego. O dziwo, tym razem nie zaczęła pałać gniewem ani miotać klątw. Jej głos stał się monotony i bezbarwny, nie słyszeli w nim ani zduszonego smutku, ani groźby zemsty, która tętniła gdzieś w głębi jej duszy. - Nie starzały się i nie słabły tylko dzięki cudownej wodzie spod Alatyru. Wy też tego pragniecie, prawda? To prawdziwy cel waszej wędrówki. Źródło wiecznej młodości, tryskające spod najświętszego kamienia. Chcecie iść ze mną na wyspę wiecznej wiosny? Wydostać się z tych zimnych, niegościnnych mokradeł, znaleźć się na zalanych słońcem kwitnących łąkach, odpoczywać i pożywiać się miodem, który płynie z liści Wielkiego Dębu?

Bohaterzy nie odpowiedzieli. Ciągle jeszcze oczarowani, gapili się na Jagę dziwnie błyszczącymi oczyma. Jej niemal łagodny głos jakby okrył cały obóz. Stopniowo przenikał do ich myśli i pieścił ich delikatnie. Gorycz, zmęczenie i wszystkie złe uczucia ustępowały przed siłą bijącą z jej gładkich słów.

- Mogę was tam zaprowadzić - ciągnęła jęcza. Powoli wsunęła spętane ręce między nogi, zacisnęła palce na podartych szatach i podciągnęła je w górę, odsłaniając szczupłe łydki i brudne, ale ładne ukształtowane kolana. - Legniemy razem pod wiecznym słońcem Bujanu i oddamy się niewysłowionej rozkoszy. Będę waszą siostrą i zarazem kochanką. Kiedy ostatnio leżeliście w objęciach namiętnej kobiety? Wystarczy, żebyście zdjęli mi pęta, a oplotę was ramionami. Wszystkich po kolei, jednego po drugim. Ogrzejecie zmarznięte członki w gorącej wilgoci mego łona. Wiem, że tego pragniecie. Wejdźcie we mnie i pozwólcie, żeby krew zaczęła szybciej krążyć w waszych żyłach. Bujan jest w zasięgu ręki...

Bojarzy patrzyli na nią jak na obraz słonecznej bogini. Nawet Gudleif zapomniał zamknąć usta. Kościej nie mógł oderwać wzroku od jej rozchylających się i coraz bardziej obnażonych ud.

- Ty będziesz pierwszy. - Przeciągała się jak mruczająca kotka. - Odłóż kostur, który tylko wysysa z ciebie siły, klękniij między moimi nogami i ssij moją wilgoć. To prawdziwe źródło szczęścia i wiecznej młodości, słodsze niż to, które bije pod Alatyrem. Chodź, nie wahaj się. Cel wszystkich twoich wysiłków jest na wyciągnięcie ręki. Mrok, który zasiano w twej duszy, rozplynie się na wieki.

Czarownik rzeczywiście klęknął, patrząc między jej nogi. Krwawy Kostur wypadł mu z dłoni. Wiedźma uśmiechała się przyjaźnie. Nawet jej spiczaste zęby wyglądały uroczo...

Był jednak ktoś, kto nie uległ urokowi i stale widział w tych wyszczerzonych zębach groźbę. Ten ktoś wytrzeszczył ze strachu wielkie, ciemne oko. Buruszko szarpnął wodze, którymi był przywiązany do gałęzi jodły i mocno uderzył kopytem w wystający korzeń drzewa. Zabrzmiało to tak, jakby uderzył w wielki bęben.

Bohaterzy drgnęli i tym prędkim ruchem zrzucili z siebie urok. Potrzęsali głowami, rozglądali się z zaskoczeniem, wymieniali spojrzenia. Kościej oderwał wzrok od całkowicie odsłoniętego łona Jagi i spojrzał w górę, oszołomiony i zaskoczony pozycją, w której się ocknął.

- Kurwa! - wrzasnął Koływan Wygnaniec, kiedy tylko zrozumiał, co się stało. - Parszywa, zdradziecka kurwa!

Były wódz gorynychców błyskawicznie sięgnął po upuszczony kostur i mocno zacisnął na nim palce. Jędza zasyczała paskudnie, jej oczy znów załśniły z nienawiści.

- Niech to diabli... - wyrwało się Jegorowi. - Prawie nas miała! Przekłeta szatańska dziwka! Kościeju, co z tobą?! Twierdziłeś, że twoje czary nas ochronią! Gdyby nie konik Ilji, chleptałaby naszą krew!

- I tak mi nie uciekniecie! - Wiedźma zgrzytała zębami. - Jeszcze dzisiaj w nocy, najpóźniej jutro, będziecie gorzko żałować, że zapuściliście się w te okolice...

- Kościeju?! - ponownie krzyknął Światogor. - Ucisz ją, inaczej sam skręcę babie kark! Jeszcze jedno zdradzieckie, podstępne słowo, a urwę jej łeb gołymi rękami, przysięgam na ognisty miecz archanioła Michała i włócznie Jerzego smokobójcy!

- Całe setki lat nikt nie odważył się targnąć na życie moich córek - parsknęła jędza. - Dopiero wy popełniliście ten błąd! Największy ze wszystkich, ostatni błąd w waszym biednym...

Czarownik z całej siły uderzył ją w twarz nasadą kostura. Padła na plecy, wypluła krew i zęby. Jęk bólu płynnie przeszedł w szyderczy rechot. Uniosła głowę i zobaczyli, jak jej paskudnie rozbite usta zaraz się zagoiły, a w miejscu wybitych zębów wyrosły nowe, tak samo lśniące białe i drapieźnie spiczaste.

Przeszywali ją spojrzeniami pełnymi złości, czekając tylko na pretekst, by i oni mogli wyrzucić na niej swój gniew, ale już nic nie powiedziała, odwróciła się tylko i skuliła między korzeniami jodły. Gdyby widzieli jej twarz, zobaczyliby mieszaninę gniewnej żądzy zemsty i smutek po stracie córek. Szczerzyła zęby, zalewając się jednocześnie łzami. Tego wieczoru już się nie odezwała.

Mokradła były ciche jak wnętrze starej mogiły.



- Sjudbejuuu!

Nawet pianie koguta pośrodku obozu nie mogłoby ich szybciej obudzić. Bojarzy wyskakiwali spod mokrych kozuchów i okryć. Klnąc, sięgali po broń. Wystraszone konie rżały, tupały, dzwoniły rzędami.

- Sjudbejuuu!

- Kościeju! - Ilja krzyknął na czarodzieja, który właśnie podniósł się z ziemi i zdezorientowany szukał wzrokiem Jagi. Pod jodłą pozostał tylko odcisk ciała, a w mchu leżały przegryzione resztki sznura.

- Gdzie jest ta suka?! - krzyknął Jegor, wyjmując Śmierć z pochwy. - Uciszcie ją!

Muromiec obrócił się wkoło i wreszcie zobaczył ciemną postać na brzegu wysepki, niewyraźną we mgle i szarym świetle świtu. Chwycił włócznię, przebiegł na skraj obozu, zamachnął się mocno i rzucił.

- Sjudbe... Ghhr!

Jaga padła twarzą w trzciny, z drzewcem włóczni sterczącym spomiędzy łopatek.

Mikuła spiorunował Kościeja spojrzeniem.

- Nie mówiłeś, że będziesz jej pilnować?! Zasnąłeś, a ona teraz sprowadziła na nas klęskę!

Czarodziej nie odpowiedział, nasrożył się i podszedł do leżącego ciała. Pospieszyli za nim. Ilja zbliżył się do wiedźmy huśtającej się na porosłej trzinami wodzie. Bezwzględnie przydepnął jej plecy i prędkim ruchem wyrwał włócznię z rany. Krwawy otwór zasklepił się natychmiast i zagoił na ich oczach. Muromiec złapał strzygę za mokre włosy i wyciągnął na brzeg. Wykaszła trochę wody, rozejrzała się po muskularnych wojach, którzy stali wokół, i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Szykujcie się, niedorajdy... To już nie potrwa długo.

Kościej zamachnął się kosturem, ale Ilja szybko złapał go za rękę.

- Daj spokój, bracie. To na nic. Szkoda sił. Powinniśmy raczej natychmiast szykować się do drogi.

Czarodziej odetchnął głęboko, opuścił Krwawy Kostur i kiwnął głową.

Zanim wrócili do obozu i zaczęli siodłać konie, przez chwilę wsłuchiwali się w odgłosy otoczenia. W ich uszach ciągle brzmiało wycie Jagi, więc mieli wrażenie, że we mgle brzmiały dziwne echa. Jakby biesy z dawnych czudzkich opowieści naprawdę się przebudziły.



Z daleka wyglądało to jak kolejna zapomniana rzeźba - wykonany z sękatego drewna kumir w kształcie słupa zwieńczonego głową jakiegoś bóstwa lub demona. Kiedy zbliżyli się, brodząc w mętnej wodzie, a owa rzecz wynurzyła się z mgły, zdali sobie sprawę, że to nie rzeźba.

Było to tylko złamane drzewo, na którego ostry pień nabito ludzką głowę. Miała wydłubane oczy i oderwaną zuchwę, więc wokół zębów wisiały krwawe strzępy policzków, ale mimo to można było rozpoznać, do kogo należała.

- Halldor - wychrypiał Gudleif. - Halldor Pęknięta Czaszka, jeden z moich drużynników. Rozwiążcie mi ręce i oddajcie mi miecz. I to zaraz, słyszycie? Nie mam zamiaru uciekać. Chcę się bronić, żeby i moja głowa nie skończyła na złamanej sośnie!

Jegor skinął na Aloszę. Ulicz wyjął nóż i przeciął Waregowi pęta. Konung pomasaował nadgarstki i chwycił miecz, który podał mu Koływan.

- Są blisko - oznajmił Samson, który zdążył podejść do drzewa i obejrzeć kawałek błotnistej ziemi pod nim. - Widzę tu dziwne ślady o trzech palcach. Wyglądają na świeże.

Zabrzmiał chrzęst kolczug i ciche, niemal melodyjne dźwięczenie żelaza dobywanego z pochw.

- Kościeju? - Jegor spojrział na czarodzieja. - Nasze życie jest w twoich rękach. Nie zawieź nas tak jak w nocy.

- Nie bój się, staruszku - warknął czarownik.

Gdzieś we mgle rozległ się plusk. Bohatryrzy ucichli i znieruchomieli. Nasłuchiwali czujnie. Przez chwilę było cicho, tylko gdzieś na niebie krakało stado wron, które uciekały przed zimą na południowy zachód.

Potem znowu coś zachlupało, tym razem blisko, a woda zafalowała, jakby atakowało mnóstwo węży. Konie zaczęły parskać i tupać. Zdezorientowani jeźdźcy rozglądali się na wszystkie strony. Jaga coś wymamrotała. Nie rozumieli jej, bo zakneblowali ją kawałkiem brudnej szmaty, ale przymrużone oczy i uśmiezek zadowolenia na twarzy mówiły same za siebie.

- Nie ciesz się przedwcześnie - burknął Kościej i uniósł kostur. Mięśnie na jego zaciśniętych szczękach zadrgały, nabrzmiały żyły na ręce, w której trzymał kostur, i w tej samej chwili zaświeciła łuska Zirnytry. Bojarzy odwrócili wzrok od źródła ostrego światła i zapatrzyli się we mgłę. Zaczęła się skręcać i stopniowo odrywała się od śliskiej powierzchni wody. W miarę jak się unosiła, mieli coraz lepszy widok...

- Tam! - wychrypiał Alosza i wskazał gdzieś między kępy trzcin i martwe drzewa.

Spojrzeni we wskazanym kierunku.

- Co widzicie? - pytał przejęty Jegor, na próżno mrużący krótkowzroczne oczy.

- Menkwy - odparł Ilja stłumionym głosem.

Zza przewróconego pnia, który dzięki wystającym nagim gałęziom przypominał ogromnego martwego owada, coś wypłynęło. Było ciemne, na górze wyciągnięte w szpic, a tuż nad wodą lśniły wytrzeszczone żółtawe oczy. Za pierwszą menkwą z trzcin i zza śliskich kamieni wynurzały się następne. Pomału, z wahaniem płynęły w stronę drużyny. Z początku rozlegał się cichy bulgot, ale w miarę jak stwory zbliżały się do Kijowian, a dno się podnosiło, usta menkw wynurzały się nad powierzchnię, a ich głosy, stłumione przez wodę, zmieniały się w głębokie, gardłowe pomruki. Na straszliwych, czarnych obliczach pałały oczy, a pod nimi widać było otwarte paszcze pełne ostrych zębów.

Ilja z trudem utrzymał przerażonego Buruszka w miejscu, nie pozwolił mu zawrócić i rzucić się do ucieczki. I tak nie zdałoby się to na nic - głosy potworów rozbrzmiewały również za nimi. Bojarzy obejrzeni się i zobaczyli, że demony zbliżają się ze wszystkich stron.

- Kościeju? - Muromiec zwrócił się do czarodzieja z naleganiem w głosie.

- Chwileczkę - były gorynycz wycedził przez zaciśnięte zęby i zgarbił się. Łuska na końcu kostura zaświeciła mocniej, luna zupełnie rozerwała mgłę okrywającą moczary, po powierzchni rozbiegły się fale o srebrzystych krawędziach. Menkwy cofnęły się ze strachem i zaczęły żałośnie jęczeć.

- Ustępują - powiedział Koływan cicho, zapewne ze strachu, by nie przełamać czaru ochronnego. - Patrzcie, wracają do wody.

- Nie odejdą na dobre - syknął Kościej. - Usuną się tylko poza zasięg moich czarów. Zaczają się w pobliżu i poczekają na okazję do ataku. Powinniśmy iść. Nie wiem, jak długo utrzymam je na bezpieczną odległość.

- Pojedziemy jak najszybciej - powiedział Jegor i ruszył.

Ruszyli. Woda tryskała spod kopyt. Czary kostura targały mgłę i oświetlały im drogę. Za nimi szczelina zasklepiła się i w zlepionym oparze, poza zasięgiem bohaterów, mnożyły się zastępy dziwnych stworzeń, które cierpliwie płynęły za zapachem świeżego mięsa. Przybywało ich z każdą chwilą, jakby schodziły się z całych bagien.

Tylko ten, którego przyzywała Jaga, nie pokazał się jeszcze. Bohatryzy nie łudzili się jednak - wiedzieli, że dawny kochanek przybędzie, by ją uratować.



Zmrok zapadł szybko - w tych ponurych, tonących we mgle okolicach nawet noc zaczynała się wcześniej niż gdzie indziej.

- Pojedziemy dalej - zdecydował Jegor. - Musimy pokonać jak największą odległość. Kostur tak czy siak oświetla nam drogę.

Nikt nie zaprotestował, mimo że nieustanne napięcie i obawa o własne życie męczyły ich okropnie. Dobrze chociaż, że koło południa dotarli na nieco wyżej położony teren - pośrodku mokradeł wyrastał z wody długi na kilka wiorst pas w miarę suchej, zarośniętej wrzosem ziemi. Zmusili konie do szybszego biegu. Nieustanne mamrotanie menkw i plusk wody, wywołany ruchami podkradających się biesów, ucichły gdzieś za nimi. Kościej z niezmierną ulgą pozwolił, by łuska Zirnytry zgasła, i starał się odpocząć, zgarbiony w siodle, ze zmrużonymi oczami.

Krótko przed zmierzchem dotarli na drugi brzeg długiej wyspy, musieli więc znowu wejść do wody. Mieli nadzieję, że zostawili demony daleko za sobą, ale już po paru sążniach we mgle wokół nich znowu rozległy się pomruki, warkot i jęki. Kostur znów zaczął świecić.

Jechali długo w noc, okryci widmowym, nadprzyrodzonym światłem. Mieli wrażenie, że już przekroczyli granice świata żywych i wędrują przez ciemne państwo duchów. Ich zmęczone twarze o podkrążonych, niezdrowo lśniących oczach wyglądały w tym świetle jak oblicza ożywionych klątwą zmarłych.

- Tam. - W pewnej chwili wskazał Jegor, jadący tuż za Kościejem i Jagą. - Tam rozbijemy obóz.

Wysepka z kilkoma iglastymi drzewami przypominała miejsce, gdzie obozowali zeszłej nocy, co przyprawiło ich o szybsze bicie serca z obawy, że zabłądzili i w ogóle nie posunęli się do przodu. Kiedy wyjechali na brzeg, zauważyli jednak, że nie ma tu ani śladu obecności człowieka.

Wychudzony woj zsunął się z siodła, a kiedy dotknął stopami ziemi, omal się nie przewrócił. Światło Krwawego Kostura zamigotało i menkwy, które zgromadziły się przy brzegu wyspy - tuziny spiczastych, czarnych głów wystających z ciemnej wody - zaskomlały niecierpliwie. Czujny Ilja podparł czarodzieja. Ten podniósł się i magiczne światło się ustabilizowało. Głosy niecierpliwych demonów załamały się i przeszły w jęk rozczarowania.

Muromiec przyjrzał się twarzy Kościeja i przeraził się. Zapadłe policzki, ściągnięta, jakby stężała skóra, otwarte usta, wyszczerzone zęby. Czarodziej wyglądał niczym wysuszony trup. Jego oczy błyszczały chorobliwie, jak przy wyniszczającej gorączce.

- Wytrzymasz? - zapytał Ilja stłumionym głosem.

- Nie wiem - odparł chudzielec na tyle cicho, by zsiadający z koni bohaterzy go nie

dosłyszeli. - Z każdym uderzeniem serca kostur wysysa ze mnie siły... Może... przeceniłem swoje zdolności...

- Nie da się z tym nic zrobić? Nie możesz rzucić na obóz stałego czaru, który odpędzi potwory i pozwoli ci odpocząć?

Kościej pokiwał głową.

- Tak... Mógłbym spróbować... Ale potrzebuję krwi...

Bohater sposepniał.

- Skąd ją weźmiemy? Nie mamy zapasowych koni, nie możemy poświęcić ani jednego...

Nagle umilkł. Wymienił spojrzenia z czarodziejem, ponieważ obaj pomyśleli o tym samym. Równocześnie spojrzeli na Jagę - wciąż związana siedziała w siodle i przyglądała się im zmrużonymi oczami. Wyraźnie starała się podsłuchać ich rozmowę.

- Nic się wiedzmy nie stanie, jeśli upuścimy jej trochę krwi - mruknął Ilja. - Poza tym na pewno jest w niej moc, więc zakłęcie ochronne może być skuteczniejsze...

Kaleka skinął głową.

- Zrobimy to. Dawaj ją.

Muromiec ściągnął strzygę z konia i przerzucił ją przez ramię. Wspólnie z Kościejem wrócili na brzeg.

- Hej, co tam szykujecie? - chciał wiedzieć Mikołaj.

- Trzymajcie się środka wyspy - nakazał drużynnikom były gorynycz. - Spróbuję stworzyć czarodziejską tarczę wokół obozu.

Wraz z Ilją doszedł do wody. Kiedy światło kostura rozlało się po powierzchni bagien, na porośniętych trzciną brzegach zaczął się ruch. Czarne stwory uciekały ze strachem od źródła znieawidzonych czarów. Pomruki i pluski oddalały się prędko.

- Zrobisz to, Muromcze? Dasz radę?

Drużynnik wahał się przez chwilę. Wiedział, że to będzie najobrzydliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił, mimo to zdecydowanie kiwnął głową. Położył Jagę na ziemi i zmusił ją, by uklęknęła. Piorunowała ich wzrokiem i mamrotała coś przez szmatę, która ciągle zatykała jej usta. Zapewne miotała swoje zwykłe klątwy i odgrażała się. Mężczyźni nie zwracali na to uwagi.

- Musimy wymalować jej krwią krąg wokół całej wyspy - wyjaśniał Kościej. - Rany wiedzmy goją się prędko, więc będziesz musiał kilka razy poderznąć jej gardło. Jesteś pewien, że wytrzymasz?

Siłacz wyraźnie pobladł, ale wyprostował się i wyciągnął długi nóż z pochwy u pasa.

- Zaczynamy. Powiedz, kiedy będziesz gotowy.

Czarodziej kiwnął głową, wziął głęboki wdech, chwycił kostur oburącz i zamknął oczy. Przez chwilę stał ze zwieszoną głową i mamrotał coś niezrozumiale, potem spojrzał na Ilję, który zobaczył w jego oczach zielony wir smoczey siły.

- Upuść jej krwi!

Muromiec zacisnął zęby, od tyłu złapał klęczącą Jagę za włosy i jednym cięciem poderznął gardło, tak jak robił to z jagniętami w domu w Karaczarowie. Włożył w to tyle siły, że ostrze noża zazgrzytało o kręgosłup. Trysnęła krew. Ilja natychmiast ruszył, ciągnąc za sobą drgające i wierzgające ciało. Ciemny strumień rozlewał się po mchu i żółtej trawie, malując na brzegu nieregularny krwawy pas. Kościej tymczasem wyraźnie wymawiał dziwne słowa i zataczał kręgi świecącym kosturem.

Uszli niecałe trzy sążnie, kiedy Jaga już nie krwawiła - rana na szyi zamknęła się, a wiedźma przestała się dusić. Ze świstem wciągała nosem powietrze. Muromiec nie wahał się ani chwili, przystawił nóż do białego gardła i znowu je poderznął. Czerwona ciecz trysnęła jak za pierwszym razem. Ciało jędzy goiło się doskonale, odzyskiwało nawet utraconą krew. Ilja przeciągnął kopiące i drgające zwłoki kolejnych dziesięć kroków, a wtedy upływ posoki znów ustał. Pochylił się i wyciągnął rękę z nożem ku szczupłej szyi. Czuł, jak w jego duszy rosła wątpliwość i zrozumiał, że wspomnienie tego okropieństwa będzie go jeszcze długo straszyć w snach.

O ile pożyje wystarczająco długo, by móc się spokojnie przespać.

Już niemal wbijał ostrze w szyję Jagi, kiedy gdzieś na moczarach, daleko za granicą srebrzystej poświaty, coś głośno chlupnęło. Ilja zamarł i spojrzał w tamtą stronę. Kościej również umilkł i nadstawił uszu.

Po chwili rozległ się ryk. Ten głos przebijał mrok, rozrywał mgłę, doprowadzał słuchających do mdłości i szczękania zębów. Także menkwy zaczęły gorzko lamentować i kłapać zębami.

Nadchodził Sjudbej.



Ryk nadal boleśnie świdrował w uszach, kiedy w mokrej ciemności coś trzasnęło. Głośno, przenikliwie, jak wtedy kiedy wichura łamie drzewo. Trzaskowi towarzyszyło głębokie, złowieszcze warczenie. Bohatryzy wychodzili z obozu i mrużyli oczy, na próżno starając się cokolwiek wypatrzeć w ciemności. Konie parskwały i rżały w przeczuciu nowego, o wiele większego zagrożenia.

Jaga zaczęła się trząść, zza szmaty dobiegały przerywane, przyduszone dźwięki. Muromiec spojrział na nią. Zrozumiał, że jęcza się śmieje.

Niski warkot rozległ się znowu, tym razem ostro i wyraźnie, jakby ktoś pospiesznie wykonywał wyczerpującą pracę. Dźwięk przeleciał przez moczary niby uderzenie w ogromny bęben.

- Co to takiego? - Ilja spochmurniał. W wilgotnym powietrzu usłyszał szczególny, szybko zbliżający się dźwięk.

Kościej spojrział ze strachem. Huk dochodził z góry.

Po chwili obaj zrozumieli.

- Uciekajmy! - wrzasnął Muromiec i bezceremonialnie rzucił na ziemię śmiejącą się szaleńczo wiedźmę.

Z odpychającej mieszanki bezgwiazdnej ciemności i wiecznej mgły wyleciało drzewo - masywny, świeżo złamany pień długości trzech sążni, rzucony na wyspę przez kogoś o niewyobrażalnej sile. Leciał prosto na nich - świecący kostur stanowił wyborny cel w panującej ciemności.

Pień wbił się w brzeg ostrym, najeżonym drzazgami końcem. Rozprysły się kawałki mchu, darni i błotnistej ziemi. Wysepka zadrżała. Drzewo nie wytrzymało w pozycji stojącej nawet jednego uderzenia serca - natychmiast przewróciło się ze skrzypieniem i trzaskiem, upadając częściowo na brzeg, a częściowo do wody. Przygniotło jęczącą głucho Jagę jak chrząszcza. Ilja w ostatniej chwili odskoczył w bok i padł na wilgotną poduszkę gęstego mchu. Kościeja dosięgły gałęzie, bijące jak kije samobije, i zrzuciły go z brzegu. Inaczej niż po przeciwnej stronie wyspy, skąd nadjechali bohaterzy, tutaj nie było płycizny. Ciemna woda otworzyła się pod oszpeconym mężczyzną niczym szerokie, łakome usta, by po chwili się zamknąć i prędko uciszyć jego bezsilny krzyk. Łuska Zirnytry jaśniała przez chwilę pod powierzchnią ciemnej wody, ale już wkrótce laska wyslizgnęła się z ręki tonącego czarodzieja, czary zamigotały po raz ostatni, po czym światło w głębinie zgasło.

Wyspa pogrążyła się w mroku.

Menkwy zawyły niecierpliwie.



- Do broni, chłopcy! - wrzeszczał w ciemności Jegor, starając się przekrzyczeć klnących bohaterów oraz końskie rzenie i walenie kopyt. - Stanać w kręgu wokół obozu! Konie na środek - nie możemy ich stracić! Cokolwiek się zbliży, potnijcie na sztuki! Iljo! Kościeju! Żyjecie?!

- Już stoję na nogach, batuszko - odezwał się Muromiec. - Nie wiem, co z Kościejem. Kościeju, bracie! Słyszysz?!

Brak odpowiedzi. Koło wyspy już rozlegały się pluski. Nieludzkie, pożądliwe głosy przybierały na sile. Tuziny biesów szeleściły w trzcinie, drapały pnie przewróconych drzew, kroczyły z chlupotem przez mech na brzegu.

Do wyspy zbliżało się coś jeszcze. Dochodzący z daleka odgłos brzmiał, jakby ktoś w jednostajnym rytmie rzucał w bagno ciężkie gązdy. W rzeczywistości był to chlupot pospiesznych kroków olbrzyma.

Nadchodził Sjudbej, ten, który zamiast włóczni ciskał całe pnie.



- Kościeju! Na wszystkich bogów, odezwij się!

Ilja obiegł drzewo i na przekór swemu wstrętowi do wody zamierzał wskoczyć w ciemną głębinę i wyciągnąć tonącego czarodzieja. W tej samej chwili powierzchnia bagna w pobliżu pnia wybuchła. Słychać było, jak ktoś głośno łapie oddech. Muromiec padł na kolana, chwycił druha za mokrą koszulę i wyciągnął na brzeg.

- Kostur... - wyrzucił z siebie czarodziej między atakami duszącego kaszlu. - Wpadł... w bagno... Muszę... go...

- Utopisz się!

- Muszę... inaczej... już po nas!

Kościej zwymiotował czymś śliskim, jeszcze raz odkaszlnął, charknął i splunął. Po chwili wyrwał się bojarowi i znikł pod powierzchnią wody, głośno wciągnawszy powietrze. Ilja z przekleństwem na ustach wstał i cofnął się od brzegu, dobywając Gniew.

Odgłosy niecierpliwych biesów dochodziły z coraz bliższej odległości. Kiedy Ilja się skupił, zdał sobie sprawę, że dzięki mgłę trochę widzi - wilgoć w powietrzu jakby delikatnie rozświetlała mrok. Z wirującego oparu wynurzały się ciemne, łakomie mlaskające stwory i wyłaziły na brzeg.

- No chodźcie, błotojady - warknął Muromiec, starając się przyciągnąć ich uwagę. Jeśli menkwy dopadną Kościeja w wodzie, zanim ten znajdzie kostur...

Nie zdążył pomyśleć nic więcej. Wokół niego kłapały zębiska, drapały pazury. Młodego bohatera próbowała dosięgnąć cała gęstwina szponów, podobnych do bezlistnych gałęzi lub ościstych kończyn owadów. Ilja wziął rozbieg i ciął oburącz, z całej siły. Czuł, jak klinga przecina miękkie i twarde części ciała, pewnie mięśnie i kości. W słabo jaśniejącej mgłę pofrunęło kilka uciętych szponów. Muromca skropił ciepły, lepki deszcz. Menkwy

zaczęły ogłuszająco wrzeszczeć. Nie czekał na nic i rzucił się na nie - rąbał niemiłosiernie, kogo tylko sięgnął. Ścinał głowy, przecinał tułowia, siekł szponiaste łapy.

Obalił na ziemię przynajmniej pół tuzina wrogów, a Kościej ciągle się nie wynurzał.



- Bić ich, bracia! Bić!

Menkwy ze wszystkich stron atakowały krąg kijowskiej stali. Wstrętny smród wilgotnej stęchlizny, przypominający fetor dawno śniętych ryb, uderzył bohaterów w nos. Stwory drapały tarcze i kolczugi. Jegor nie musiał zachęcać swoich ludzi do ataku. Miecze, topory, maczugi i młot Mikuły uderzyły, druzgocząc i tnąc niewyraźne czarne cienie. Biesy rozwrzeszczały się okropnie, ogłuszająco.

Nawet w tym hałasie bojarzy ciągle słyszeli głośnie kroki olbrzymiego stwora. Spojrzeli ponad spiczaste głowy biesów, które zgromadziły się wokół w takiej liczbie, że zdawało się, iż wyrosła tam ruchoma palisada.

- Już jest blisko! - krzyknął Suchan Radymicz i przepołowił toporem kolejną głowę.

Jakby przywołana jego głosem, z mgły, ledwie kilka sążni od bojarów, wynurzyła się olbrzymia, zgarbiona istota z długiemi rękami. Kiwający się tułów tkwił na nieproporcjonalnie umięśnionych i jakby ciągle przykurczonych nogach. Stwór wyglądał niczym ogromna ropucha, która nauczyła się chodzić na dwóch nogach.

- Łaskawi bogowie! - wystękał Daniło.

Potwór, głucho warkocząc, wyszedł na brzeg. Niecierpliwie, bezlitośnie rozrzucał menkwy - wyraźnie nie uważał ich za istoty równe sobie, ponieważ nie szczędził im druzgocących, pewnie nawet śmiertelnych ciosów. Ogromne pazury dzwoniły metalicznie.

- Sjudbejuuu! - dobiegło z przeciwległego krańca wyspy.

Olbrzym uniósł głowę i prychnął. Nawet w bitewnym hałasie poznał głos swojej pani. Rażno ruszył w jej stronę. Na jego drodze stali bohaterzy, wściekle broniący obozu i koni, ale w ogóle się nimi nie przejmował. Krzyczący ludzie byli dla niego tylko chodzącymi kawałami soczystego mięsa.

Żelazne pazury zadzwięczały, uderzając o siebie. Potwór zaatakował drużynę.



Kościej na próżno szukał kostura w mętnej, błotnistej wodzie. Między palcami prześlizgiwały mu się śliskie resztki martwych roślin i wodne stworzenia, których lepiej było nie widzieć. Wkrótce miał wrażenie, że zaraz pękną mu płuca. Szpetnie zaklął w duchu i odbił się od miękkiego dna.

Wynurzył się na powierzchnię obok drzewa, które cisnął Sjudbej. Głośno zaczerpnął tchu.

W jego pełnych wody uszach boleśnie bębniły przenikliwe dźwięki dobiegające z wyspy, przede wszystkim jęki leżącej tuż obok Jagi, która uwięzła pod pniem drzewa. W tle brzmiały krzyki bohaterów i brzęk żelaza tnącego menkwy, ale też dudnienie, niewątpliwie odgłos kroków atakującego Sjudbeja.

- Kościeju! - niedaleko rozległ się krzyk Ilji.

Czarodziej obejrzał się i zobaczył niewyraźną gromadę chuderławych istot, przez którą przedzierał się rosły bohater. Siekł ciała demonów ostrym mieczem, a z kłębowiska co chwila wylatywały rozprute ciała i odcięte kończyny.

- Jeśli mnie słyszysz, Kościeju - uparcie wrzeszczał walczący siłacz - potrzebujemy cię!

- Wytrzymajcie, bracia! - chudy mężczyzna krzyknął w odpowiedzi.

To był błąd. Kilka wyłazących na brzeg menkw spojrzało w jego stronę - Kościej wyraźnie widział ich błyszczące demonicznie oczy. Po chwili biesy rzuciły się w jego kierunku. Ludzie na brzegu bronili się zbyt uparcie - tutaj w wodzie pojawiła się łatwiejsza zdobycz.

Czarodziej słyszał, jak wszędzie wokół menkwy wślizgują się do wody. Zwymyślał się od głupców, czym prędzej wziął głęboki wdech i znowu zanurzył się w ciemnej, obezwładniająco zimnej głębinie.

Zostało mu przerażająco mało czasu.



- Na miłosierdzie Boże, wykończcie go! - krzyczał Jegor, trzymając tarczę wysoko uniesioną i cofając się przed nadchodzącym Sjudbejem.

Daniło zamachnął się potężnie i cisnął włócznię. Alosza i Samson unieśli łuki i wystrzelili w stronę ciemnego potwora dwie strzały. Wszyscy trzej dosięgli celu, ale to nie zatrzymało Sjudbeja - wprost przeciwnie, groźne pomruki oznaczały obietnicę okrutnej odpłaty.

- W głowę, Samsonie! - krzyknął Alosza, nakładając drugą strzałę na cięciwę. - Mierz w głowę! Czudowie mówią, że jego życie mieszka w oku!

Dwie cięciwy znów zaśpiewały. Strzały poleciały wyżej, ale Sjudbej jakby to wyczuł i w tej samej chwili się wyprostował. Groty wbiły się w tułów, nie wyrządzając stworowi krzywdy.

Tylko jeden krok wielkich umięśnionych nóg dzielił olbrzyma od Jegora. Siwiejący wódz drużyny przykurczył się za tarczą i uniósł Śmierć, splamioną krwią menkw. Z prawej strony przyskoczył do niego dzielnie walczący Gudleif, od lewej Suchan.

- Na niego, batiuszko! - zawołał Radymicz. - Podetniemy mu nogi! Teraz!

Dwaj Kijowianie i konung znad Jeziora Białego krzyknęli zdecydowanie i ramię w ramię ruszyli na potwora.

Sjudbej znowu się pochylił, zaryczał jak róg bojowy i machnął prawą łapą. Długie pazury zazgrzytały o tarcze i pancerze. Bohatryzy polecili na bok i padli jeden na drugiego, przysypani kawałkami połamanych tarcz. Ich śmiałe okrzyki bojowe przerodziły się w bolesne świszczenie.

Nagle rozległ się tętent i ktoś krzyknął:

- Z drogi, bracia! Z drogi!

Zaskoczeni bohaterzy obejrzel się i uskoczyli przed jeźdźcem.

- Wygnańcze?! - krzyknął Mikuła.

Koływan w siodle swego rumaka przejechał między bojarami i wciąż nacierającymi menkwami, po czym zaatakował Sjudbeja. Pchnął włócznią w głowę olbrzyma. Grot zazgrzytał na wielkich zębiskach i wbił się w paszczę. Sjudbej zacharczał, zamknął pysk i potrząsnął głową. Drzewce włóczni pękło, a szarpnięcie niemal wyrzuciło Wygnańca z siodła.

- Uciekaj, Koływanie! - krzyczał Sielaninowicz, biegnący z boku w stronę potwora.

Bohater nie posłuchał - zamiast tego odrzucił resztki broni i sięgnął po miecz. Nie zdążył go jednak dobyć. Olbrzym chwycił jeźdźcę wraz z okropnie rżącym koniem w swoje wielkie łapy o długich na dwie pięćdziesiąt pazurach i podniósł ich nad ziemię jako jeden drgający kłęb. Bojar poczuł, jak w druzgocącym uścisku ogromnej pięści pękają mu kości, a ostre pazury rozrywają pancerz i wbijają się w ciało. Krzyknął chrapliwie. Sjudbej wgrzył się w szyję źrebca i mocnym szarpnięciem wyrwał kawałek karku razem z kręgosłupem. Koływana spryskała końską krew.

Mikuła zamachnął się młotem i ze wszystkich sił uderzył Sjudbeja w lewe kolano. Chrupnęło, olbrzym zaryczał, rzucił zdobycz gdzieś na brzeg, między menkwy, i odwrócił się w stronę nowego przeciwnika.

- No chodź, ty żabia gębo! - wrzasnął Dregowicz zza uniesionej tarczy.

- Sjudbejuuu!

Stwór zamarł i spojrzał w stronę, z której dobiegał głos. Przez chwilę się zastanawiał i prychnął gniewnie, ale potem się odwrócił i ruszył do swojej pani, która wzywała pomocy.

Alosza i Samson znowu spróbowali zranić go strzałami, ale dla olbrzyma było to jak ugryzienia komara.

Na brzegu menkwy skupiły się wokół zabitego konia i leżącego jeźdźca.

- Koływan! - krzyknął Daniło, pomagając Suchanowi wstać.

- Biegnijmy na pomoc! - rozkazał Jegor, który już zdążył się podnieść. Strząsnął z lewej ręki resztki połamanej tarczy. Kości, mimo że stare, nie zawiodły go.



Kościej znów czuł ukłucia w płucach. Wiedział, że jeszcze chwila, a będzie musiał zaczerpnąć tchu. Przejmował go chłód - nie z powodu lodowatej wody, ale na myśl o tym, że mógłby na zawsze zostać w tej zimnej ciemności. Rozpaczliwie grzebał rękami po dnie bagna, starając się wymacać w śliskim mule mocne, sękaty drzewce kostura. Bez skutku...

Wokół pływały istoty przyzwyczajone do poruszania się pod wodą. Było ich coraz więcej, co jeszcze powiększało ciemności panujące w głębinie. Czarownik poczuł szorstki dotyk kościstych łap uzbrojonych w pazury - jakby ożyły utopione w mokradle drzewa i starały się go schwytać w płataninę klujących gałęzi. Menkwy rozwarły paszcze...

W tejże chwili Kościej trafił palcami na coś twardego. Z bijącym sercem zanurzył rękę głębiej w bagno i mocniej chwycił tę rzecz. Przesunął palcami po jej powierzchni i upewnił się, że nierówności to wyrzeźbione smocze łuski.

Niech będzie pochwalona Zirnytra, pramatka smoków i pani wszystkich czarów!

Wyrwał Krwawy Kostur z bagna i strząsnął z niego lepki muł.



Koło Ilji wcale nie ubywało menkw. Mimo że padło ich całe mnóstwo, nie przestały zajadle atakować. Pędził je głód i nienawiść do wszystkiego, co żyje. Kiedy któryś z biesów walił się na ziemię, na jego miejsce natychmiast wpychał się następny. Muromiec musiał się starać ze wszystkich sił, by nie runąć pod ich naporem. Wiedział, że w takim wypadku nie ocaliłaby go nawet niezwykła broń...

Nie mógł wygrać tej walki, ale rozpacz zamieniła się w gniew i siłę, które wybuchły w jednej chwili. Wrzasnął i mocnym ciosem odciął czubki aż czterech głów. Menkwy z potwornym charkotem, w deszczu śliskiej krwi, padły na ziemię. Tym razem szczelina w gromadzie napastników nie zasklepiała się nowymi biesami, przeciwnie, tłok wokół Muromca zaczął rzędnąć. Ogarnęła go dzika radość.

Po chwili rozległo się dudnienie. Ziemia się zatrzęsła, a wojownik zrozumiał, że menkwy nie cofają się przed nim. Że ustępują z drogi czemuś straszniejszemu. Zdyszany Ilja

odwrócił się.

Serce mu zamarło.

Ogromna, skulona istota różnym krokiem zbliżała się do brzegu. Gdzieś za jej plecami bohaterzy ciągle krzyczeli i walczyli. Muromiec cofnął się, potykając o rozsiekane ciała menkw.

- Sjudbeju! - wrzasnęła Jaga, przyciśnięta pniem do brzegu. - Tu jestem! Pomóż mi wreszcie!

Olbrzym posłusznie poszedł za głosem. Drogę zagroził mu jednak Ilja. Stał pewnie i oburącz ścisnął rękojeść Gniewu.

Muromscy i wiatyccy bogowie, bądźcie przy mnie!

Z gardła potwora wydobył się ostrzegawczy charkot. Uniósł łapę uzbrojoną w szpony, by bezlitośnie zmieść z drogi tę ludzką mrówkę...

W tej samej chwili z moczarów pod złamanym drzewem trysnęło jasne światło.

Muromiec jęknął ze zgrozy.

Nie przestraszył go widok menkw, rojących się wokół jak powódź czarnych, kłapiących zębami robali, ani zwałów ich rozsiekanych ciał i bladych, trzęsących się trzewi. Serce mu stanęło na widok samego Sjudbeja.

Jego ropuszą skórę bez jednego włoska pokrywała sieć blizn. Stwór prawie nie miał szyi, jego okrągła głowa była osadzona bezpośrednio na tułowiu. Miał tylko jedno wybałuszone oko, zamiast nosa dwie wielkie, pełne śluzu dziury, a paszczę tak szeroką, że kiedy wrzasnął, ukazał wszystkie zęby. Stojąc naprzeciw czarodziejskiego światła, zawahał się, zasłaniając oko długim ramieniem pokrytym brodawkami. Ilja mógł teraz przyjrzeć się jego masywnym pazurom. Wyglądały zupełnie jakby zostały wykonane z żelaza, dokładnie tak, jak w czudzkich opowieściach...

Muromiec zrozumiał, że druga taka okazja może się nie powtórzyć. Przewyciężył strach, który na moment go sparaliżował, i ruszył do ataku. Trzymał Gniew nad głową i szykował się do mocnego cięcia, jakim drwale rozrąbują grube polana.

Sjudbej, mimo że miał oko zakryte ramieniem, zauważył cień poruszający się na ziemi. Dosięgnął przeciwnika grzbietem łapy. Zbroja bohatera zadźwięczała głośnie i młodzieniec poleciał kilka sążni w tył. Legł na brzegu, nie mogąc złapać tchu, ale nie puścił Gniewu. Zaraz znowu stanął na nogach.

Tymczasem srebrzyste światło przybrało na sile. Rozlewało się nad bagnami i wyrывało z ciemności czarne ciała kręcących się w wodzie menkw. Ze strachem uciekały przed działaniem czarów niby ławice małych ryb przed atakującym szczupakiem. Głowica

laski z łuską Zirnytry wynurzyła się nad powierzchnię, a po wyspie rozlał się cudowny blask. Przerażone menkwy wrzeszczały i rzucały się do ucieczki. Bohatyrzy nie ociągali się i ruszyli za nimi - żądni zemsty, zadawali uciekającym biesom ciosy w plecy.

Sjudbej też wrzeszczał, zataczał się niepewnie na długich nogach i wahał.

- Pomóż mi! - błagała głośno ta, którą znał jako Północnicę. - Zrób to teraz!

Nie mógł nie usłuchać tego rozkazu. Z okiem stale zakrytym jedną ręką pochylił się nad drzewem i wbił w nie pazury. Jednym mocnym szarpnięciem podniósł pień z ziemi i rzucił w mokradło. Wzbił się słup wody, a drzewo rozgniotło kilka menkw.

Jaga wiła się na ziemi jak przydeптany robak, z więzami na rękach i nogach. Udało się jej tylko wypluć szmatę z ust. Sjudbej wyciągnął ku niej łapę. Nie mieli dużo czasu. Kostur unosił się coraz wyżej nad powierzchnię wody, a wraz z nim wynurzał się Kościej...

Wiedźma opuściła związane ręce na jeden z ogromnych pazurów i starała się przeciąć pęta szybkimi ruchami w dół i w górę. Właśnie w chwili, kiedy sznur puścił i jej nadgarstki wyslizgnęły się z rozciętych więzów, Muromiec znów wbiegł w krąg światła.

- Uwważaj! - krzyknęła jędza.

Ilja nie pozwolił sobie przerwać drugiego ataku. Podbiegł do schylającego się Sjudbeja i ciał oburącz, ze wszystkich sił.

Żelazo przecięło mocną kość z dźwiękiem, od którego dzwoniły zęby. Jednooka poczwara zawyla i podniosła się prędko, ale prawa łapa, ucięta w połowie przedramienia, została na ziemi. Z kikuta trysnęła ciemna ciecz, obryzgując Jagę i Muromca.

Bohater zaśmiał się szczekliwie i znowu uniósł miecz. Klinga dosięgła uda olbrzyma, ale przecięła tylko mięśnie, ze zgrzytem ześlizgując się z kości. Sjudbej zatoczył się w tył.

- Podnieś mnie! - wrzasnęła czarownica tak głośno, że aż dzwoniło w uszach.

Potwór chwycił ją zdrową łapą. Nie był zbyt delikatny, więc Jadze popękały kości, ale to nie było ważne - olbrzym i strzyga wiedzieli, że wszystkie jej rany szybko się zagoją. Muromiec zaklął, kiedy zobaczył, że tych dwoje może uciec. Odważył się podejść bliżej - wyrzył Gniewem krwawą szramę na brzuchu i w pachwinie Sjudbeja. Poczwarą kopnęła bojara, powalając go na ziemię.

- Zadepcz go! - wrzeszczała jędza z wysokości uniesionej pięści potwora. - Rozgnieć tego skurwysyna jak żuka!

Sjudbej uniósł nogę - chyba nie tylko dlatego, że tak mu kazała, raczej po to, by zemścić się za swoje okaleczenie. Ilja wiedział już, że nie zdąży wstać ani się przetoczyć, więc przynajmniej nastawił sztych miecza przeciwko zabłoconej stopie.

W tej samej chwili Kościej - niewyraźna postać okryta niespokojnie falującym

światłem - wyszedł na brzeg. Wykrzyczał zaklęcie i zamachnął się laską na potwora.

Olbrzym zatoczył się, jakby dostał w pysk od kogoś równego mu wzrostem i siłą. Mało brakowało, by się przewrócił. Jaga krzyczała wściekle w jego objęciach. Sjudbej odwrócił się z żalonym skomleniem, przebiegł kilka sążni po brzegu, zeskoczył z wyspy i z głośnym pluskiem znikł w zamglonej ciemności.

Muromiec, cały obolały, podrapany, zabłocony i zakrwawiony, wstał powoli i zmrużonymi oczami obserwował Kościeja idącego w stronę obozu. Ostatnie menkwy, które jeszcze zostały na wyspie, w panice skakały do wody i odpływały. Ranne stwory z rozdzierającym kwileniem usuwały się czarodziejowi z drogi, ciągnąc za sobą własne wnętrzności i rozsiekane lub połamane kończyny.

Ilja powłókł się do obozu. Martwił się, jak duże straty ponieśli...



- To powinienem być ja - burknął nieszczęśliwy Suchan. - Byłem gotów. Od dawna jestem.

Bohaterzy, sami ranni i zakrwawieni, stali wokół bezwładnego, drżącego Koływana. Jegor klęczał przy konającym bojarze i z posępnym wyrazem twarzy podtrzymywał jego głowę. Wiele kości Wygnańca było połamanych, a ciało w licznych miejscach przebite szponami Sjudbeja. Z paskudnych, głębokich ran ciekła krew, której nie umieli zatamować. W miarę jak z wojownika uciekało życie, jego oczy traciły blask. Trząśnięty z zimna, mimo że Mikuła przykrył go swoim futrzanym płaszczem.

Przez krąg ciemnych, milczących postaci przedarło się srebrzyste światło. Daniło i Alosza odstępili i pozwolili przejść czarownikowi oraz idącemu za nim Muromcowi.

- Kościeju... - Oczy Jegora zaślniły wilgocią. - Możesz coś zrobić? Pomóc mu jakoś?

Były gorynycz pochylił się nad rannym, odkrył go i obejrzał rany. Potem westchnął głęboko. Koływan usłyszał to i spojrzał na niego gasnącymi oczami.

- Już... po mnie... co?

Kościej niechętnie kiwnął głową.

- Przykro mi. Tutaj nie pomogą żadne czary.

Wygnańiec przymknął powieki, jakby zamierzał wydać ostatnie tchnienie, ale jeszcze raz je rozwarł.

- Mój miecz...

Położyli mu broń na piersi i zacisnęli palce na rękojeści. Do drugiej ręki włożyli toporek Peruna.

- Spalcie mnie... - wychrypiał. Z każdym słowem na jego wargi wyciekała rzadka, spieniona krew. - Nie chcę gnić... w tym paskudnym... ani karmić... demonów...

- Będziesz miał stos pogrzebowy jak każdy poległy bohater - zapewnił go Światogor. - Zabierzemy ze sobą twój popiół i wsypjemy w wody Sławutyczy, na której brzegach się urodziłeś.

Koływan przymknął oczy, na jego twarzy zagościł spokój.

- Bogini śmierci... już czeka... Pożegnajmy się... bracia...

Jegor pochylił się nad nim i powiedział uspokajająco:

- Byłeś dzielnym członkiem kijowskiej drużyny, Koływanie. Jednym z najlepszych. Już dawno powinniśmy przestać nazywać cię Wygnańcem. Odkupiłeś swoje winy, godnie służąc wielkiemu księciu. Niech twoi bogowie towarzyszą ci w ostatniej drodze. Niech brat ci wybaczy, kiedy spotkasz się z nim za Smorodina. I ty wybacz tym, którzy wypędzili cię z rodzinnego domu.

Ciało bojara wygięło się w ostatnim bolesnym skurczu, z ust wydobył się jęk.

- Tylko spokojnie, Koływanie - uciszał go Światogor. - Tylko spokojnie...

Charczący oddech ucichł, ciało znieruchomiało, a głowa w rękach Jegora opadła bezwładnie.

Przez chwilę trwali w milczeniu i rozmawiali w duchu ze swymi bogami. Potem siwy bohater wysmarkał się głośno, wytarł zakrwawioną ręką oczy i spojrzął na pozostałych.

- Opatrzcie swoje rany. Kiedy trochę odpoczniecie, zacznijcie ścinać drzewa na stos pogrzebowy. Zrobimy to, co obiecaliśmy.

Wśród ludzi, którzy chwycili za topory, był Gudleif Asgrimsson. Czuł, że wspólnie przelana krew związała go z tymi niezwykłymi ludźmi. Może na krótko, ale za to mocno.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Czołem ku mnie, tyłem do wzgórze!



ąska dolina, wrzynająca się między zarośnięte świerkami stoki Gór Północnych, z dużej wysokości przypominała bruzdę wyrytą w dawnych czasach przez olbrzymiego dzika. Wyglądała tak, jakby jeden z onarów, prastarych olbrzymów z czudzkich podań, umyślnie przeorał górskie siodła łączące stoki i rozdzielił wierzchołki gór głębokim wąwozem.

Jaga nie patrzyła dziś jednak na dolinę z góry, z grzbietu lecącego tulpara. Kulila się na skraju ponurego lasu, ciągnącego się od moczarów do podnóża gór, i przeszukiwała okolicę bystrym spojrzeniem kocich oczu. Łąki na dolnym końcu doliny, pokryte niską mgłą, przypomniały jej, jak pasła tu cudowne rumaki Wojpela. Te miejsca przez całe lata były jej wyłączną własnością, jej władztwem nietkniętym stopą obcego. To był jej dom. Teraz dolina wyglądała nieprzyjaźnie, wręcz zdradliwie. Wiedźma miała wrażenie, że spogląda w zębaty pysk pułapki. Nigdy przedtem nie czuła się tu tak niepewnie. Nawet krakanie wron i kruków, zwykła rzecz w tej okolicy, dzisiaj brzmiało jak zły znak. Dolina dosłownie czyhała na nią.

Przypomniawszy sobie martwe córki, zacisnęła zęby i wzięła głęboki wdech rozszerzonymi nozdrzami. Mimo że ze wszystkich sił starała się opanować, jej oczy się zaszkliły. W ostatnich dniach często ogarniał ją żal, który wszakże zaraz przeradzał się w gniew. Jej myśli zaprzętało wyobrażenie okrutnej zemsty. Wystarczy, by dostała się do bramy, przeszła po żelaznym moście i nabrała sił na Bujanie. Zamiast wzdychać, warknęła zdecydowanie i zwróciła się do swego towarzysza:

- Wstawaj, Sjudbeju. Coś mi się tu nie podoba, czuję pułapkę, ale miejmy nadzieję, że się myślę. Ruszajmy, dopóki jest cicho i spokojnie.

Olbrzym, kucając między drzewami, dyszał głośno. Był wyczerpany. Jaga bez chwili wytchnienia pędziła go z placu boju na moczarach w stronę gór. Czary, którymi był przesiąknięty, zagoiły wprawdzie jego rany, zmieniając ślady po mieczach i grotach w strupy i blizny, nawet kikut uciętej łapy zdążył już porosnąć nową, bladą skórą, ale z powodu utraty krwi olbrzym był o wiele słabszy niż zwykle. Nie potrafił się też pogodzić z tym, że stracił rękę. Co chwila zerkał jedynym okiem na gojący się kikut i zza jego zębów wydobywały się żalosne jęki, często przechodzące w gniewne warczenie. Teraz było tak samo.

- Słyszysz, Sjudbeju?! - Jaga podniosła głos. - Musimy iść.

- Poczekajmy... do zmroku... - powiedział. Szeroka zwierzęca morda nadawała się raczej do wydawania gardłowych pomruków i wycia niż porozumiewania się w ludzkim języku, dlatego mówił pomału, urywanie i ledwie zrozumiale. - Tak będzie... bezpieczniej.

- Gdzie tam, wcale nie. Nic nas nie ukryje przed tym skurwysynem. Wstań. Im szybciej dostaniemy się do bramy, tym lepiej.

Mruknął coś niezrozumiale i wyciągnął ku niej zdrową łapę. Ostrożnie, by nie nadziać się na pazury - w ostatnich dniach zaznała już wystarczająco dużo bólu i nie miała ochoty na więcej - weszła mu na dłoń i pozwoliła się podnieść na szerokie ramiona. Siadła okrakiem na karku, jak dziecko, które wspina się na ramiona ojca, by z tej wysokości widzieć ponad tłumem dorosłych. Olbrzym wstał ostrożnie i kołyszącym się krokiem wyszedł z lasu. Na skraju doliny zatrzymał się na chwilę i wietrzył uważnie, nasłuchując i lustrując okoliczne lasy jedynym okiem.

- Ani śladu - wycedziła przez zęby Jaga, również czujna i skupiona. - Widzisz? Drzewa są całkiem nieruchome, nawet gałązka się nie zatrząsie. Gdyby w pobliżu był mój tulpar, las na pewno by mnie ostrzegł, zaszumiał ostrzegawczo...

- Jest... blisko - nie zgadzał się olbrzym. - Widziałem go... Jasne światło nad mokradłem... Leciało w stronę gór... Szedłem za nim... Myślałem... że to ty... Dlatego nie uwolniłem cię... wcześniej...

- Wiem, Sjudbeju, wiem. Nie miej do siebie żalu. Na Bujanie nabierzemy sił i wrócimy dokonać zemsty na tym białowłosym psie i przeklętych Kijowianach. Kiedy połączę wszystkie trzy złomki łuski Zirnytry, zadziwię cię. Chciałbyś znów być człowiekiem, prawda? Pomóż mi zgnieść tych, którzy cię okaleczyli, a ja przywrócę ci ludzką postać. Obiecuję.

Nie odpowiedział, tylko odetchnął ciężko i kołyszącym się krokiem wyszedł z cienia lasu. Słowa wiedzy dodały mu otuchy i przywróciły siły. Szczupła czarownica nie była dla niego ciężarem. Kroczył dziarsko, sążeń za sążniem, brodził nogami we mgle.

Baba Jaga przytrzymała się jego gołej głowy i bez ustanku pilnie się rozglądała. Wróciły złe przeczucia. Dolina zwężała się stopniowo i ubywało z niej światła, mimo że dopiero co minęło południe. Góry Północne wyraźnie chciały zasłużyć na swoją nazwę i okrywały się szarością, jakby leżał na nich wieczny mrok. Ciemnoszare chmury opierały się ciężkimi brzuchami o wierzchołki wzgórz. Iglaste lasy, pokrywające góry gęstym ciemnym kobiercem, kłuły je spiczastymi wierzchołkami świerków i jodeł. Z ran sączyła się wilgotna szarość, ściekająca w dół zbocza.

Serce jędzy waliło z podniecenia. Sjudbej już pokonał połowę odległości między lasem u podnóża gór a celem ich wędrówki. Dolina, do tej chwili prowadząca prosto na północ, lekko skręciła na wschód. Zza zębatej ściany lasu wynurzyła się potężna góra. Właśnie ku niej zdążali. Pozostała niecała wiorsta.

Stoki były coraz bardziej strome, a drzewa, rosnące na cienkiej warstwie ziemi, pochylały się nad doliną i zmieniały ją w cienisty tunel. Pozostawały ciche, ich spiczaste wierzchołki nie poruszały się, a igliwie nie szumiało. Jaga zaczęła myśleć, że niepotrzebnie się obawiała.

- Damy radę. - Uśmiechnęła się.

Sjudbej dyszał głośno, ale nie zwalniał. Ponury masyw rósł im przed oczami. Wkrótce zauważyli cienistą niszę u podnóża góry. Wyglądało to tak, jakby onar, który wrył dolinę, zuchwale wbił się w rozłożysty stok i starał się go przepołowić, ale natrafił na zbyt grubą warstwę skał, więc bruzda się skończyła. Z daleka odnosiło się wrażenie, że u podnóża góry czernieje posępne wejście do podziemi, ale w rzeczywistości było inaczej. W cieniu sosen, które chroniły niszę sklepieniem ze splecionych koron, kuliła się chatka. Wiedźma już rozpoznawała jej kształt.

- Jesteśmy - ucieszył się Sjudbej.

- Nie zwalniaj! Odpoczniesz, kiedy będziemy bezpieczni!

Prosty częstokół z grubo ciosanych pali chronił chatkę pod stokiem. Nadejście Sjudbeja spłoszyło wielkiego kruka. Opowieści ludzi zawierały ziarno prawdy - czubki pali rzeczywiście były ozdobione ludzkimi głowami. Większość była oczyszczona do kości, ale niektóre zachowały resztki włosów lub wysuszonej skóry. Kruk rozłupał mocnym dziobem czaszkę jednej ze świeższych głów i wyjadał z niej śliskie resztki mózgu. Poszło mu to z łatwością.

- Sio, potworze, jeszcze nas zdradzisz! - syknęła Jaga, odprowadzając ptaka pełnym obrzydzenia spojrzeniem. Żalodne krakanie odbijało się echem od okrytych mgłą stoków.

Sjudbej bez ceregieli wszedł w dwuskrzydłowe wrota - dziw, że ich nie wyrwał

z łukowych zawiasów - i znalazł się na zaniedbanym podwórzu.

Chatka była niezwykła - okrągła, a jej spiczastą strzechę pokrywała gruba warstwa choiny. Tyłem przyciskała się do stoku. Ściany, wysokie mniej więcej na sześń, zbudowano ze ściśle przylegających pni, jak w domach Czudów. Słupy domostwa nie były jednak wbite w ziemię - one z niej wyrastały. Każdy zmieniał się u spodu w pęk grubych korzeni, mocno wrośniętych, jakby ściany wzniesiono z blisko rosnących drzew. Z tych pni wyrastały miejscami gałązki ze świeżym igliwem, co dowodziło, że w ścianach chatki ciągle płyną soki. Były żywe. Gruba warstwa mchu, która je porastała, zakryła wszystkie szczeliny. Nie było widać żadnych okien, drzwi ani jakiegokolwiek wejścia.

Siedziba Jagi nie została zbudowana. Ona wyrosła. Przyglądając się uważnie, można było dostrzec, że choina na dachu również wyrasta ze ścian, dlatego igliwie jest ciągle świeże i zielone.

Wiedźma nie upajała się widokiem swojej niezwykłej siedziby. Miała za mało czasu, by go marnować. Ciągle siedząc na karku Sjudbeja, wyprostowała się, rozłożyła ręce uzbrojone w długie, ostre paznokcie i skupiła się. Bez Krwawego Kostura nie mogła zdziałać wiele - kiedy rozgniewany Perun odebrał jej nieśmiertelność, straciła też większą część swej boskiej mocy. Większość, nie całą. Przebudziła owe resztki, wzięła głęboki wdech i zawołała:

- Ożyj, chałupko, otwórz mi bramę do boskiego świata! Odwróć się! Ku mnie czołem...

W tej chwili drzewa na zboczu góry zaszumiały, a głos czarownicy załamał się w samym środku zaklęcia.



Sjudbej zamrugał wielkim okiem. Jaga obejrzała się z niepokojem.

Sosny się zachwiały i znów znieruchomiały. Ich głos rozpląnął się w ciszy jak ostatni jęk umierającego.

- Jest tu - wychrypiała wiedźma. Nie dała się zwieść ciszy. Las ją ostrzegł, a ona mu wierzyła. Zaklęła szpetnie i prędko spojrzała na chatkę. Mogli się uratować tylko w jeden sposób.

- Odwróć się, chałupko! - krzyknęła. - Ku mnie czołem...

Las zahuczał dużo wyraźniej i bardziej złowieszczo niż przed chwilą. Pnie rozkołysały się ze skrzypieniem, uderzając się gałęziami. Rozwiała się mgła ściekająca z nisko wiszących chmur między drzewami.

Po chwili nad stokiem zabrzmiało przenikliwe końskie rzenie. Do niszy u podnóża

góry wlało się jasne, srebrzyste światło. Sjudbej odwrócił się z klnącą jędzą na karku i zaryczał groźnie. Światło przybrało na sile i uderzyło go w oko. Ze skomleniem zasłonił je kikutem łapy.

Wokoło zakwiliły wietrzne wiry. W powietrze wzbilo się mnóstwo gałązek, suche igliwie i żdźbła trawy. Czaszki na czubkach pali kłapały szczękami, jakby rozjuszone. Jedno z drzew na stoku przewróciło się z łoskotem pod naporem wiatru.

Jaga poczuła, jak igły srebrzystego światła kłują ją w oczy. Zebrała całą swą magiczną moc, by oprzeć się sile kostura Tugarina. Dzięki czarom mogła bezkarnie patrzeć na poruszające się źródło światła. Zobaczyła niewyraźną sylwetkę jeźdźca, który obleciał górę - aż dotąd ukrywał się po jej przeciwnej stronie - i zaczął zstępować ku podnóżu.

- To on! - warknęła wiedźma. - Broń się, Sjudbeju! Walcz!

Drakowicz zbliżał się szybko. Olbrzym wrzasnął niezrozumiale. Zasłaniając oczy kikutem, zamachnął się zdrową łapą na atakującego, chcąc go zgnieść jak dokuczliwego owada. Żelazne pazury zaświszczały w powietrzu niby dobrze naostrzone miecze. Minęły tulpara ledwie o piędź. Rumak zarżał, wierzgnął w powietrzu i wzleciał wyżej. Jeździec bezlitośnie szarpnął wodze, chcąc zmusić go do powrotu.

Sjudbej ruszył w stronę bramy. By skutecznie walczyć, potrzebował więcej miejsca. Jędza na jego plecach wykrzykiwała klątwy i rozkazy, próbując rzucić na Tugarina jakieś zaklęcie. Jednakże nawet ze swym jednym złomkiem łuski Zirnytry nie miałyby wielkich szans przeciwko Żelaznemu Kosturowi, a z gołymi rękami była skazana na klęskę. Najwyższy kapłan szarpnął wodze, przelatując nad palisadą, obleciał wymachującego potwora wokoło, starając się zaatakować go od tyłu. Olbrzym, stojący w bramie, odwrócił się dziarsko, zapominając o dawnej kochance. Strzyga z jękiem zleciała z jego ramion. Na próżno machała rękami i kopała. Spadła plecami na palisadę, prosto na jeden z zaostzonych kołów, który przebił jej ciało i odebrał dech. Głowy z przyległych pali pospadały na podwórze.

Okrzyk Jagi zmusił stwora, by obejrzał się ze strachem. Tugarin natychmiast to wykorzystał i ruszył na tulparze w stronę tysej głowy przeciwnika. Zamachnął się kosturem...

Światło oślepiło olbrzyma, który machnął łapą na ślepo, nie licząc na szczęście. Dotarł jednak żelaznymi pazurami tułowia tulpara, odciął mu przednią lewą nogę i rozpruł brzuch aż po pachwiny. Rumak zarżał ogłuszająco. Spadł na Sjudbeja, zalewając go krwią i wypływającymi wnętrznościami. Potwór nie zdołał utrzymać się na nogach i padł na wznak, aż zadudniło. Zdychający koń runął mu na pierś i na moment odebrał dech. Drakowicz spadł z grzbietu siwka, sturlał się po ciele leżącego Sjudbeja i zatrzymał dopiero na jego brodzie.

W końcu zsunął się na ziemię wzdłuż mocnego obojczyka.

Charczący olbrzym zrzucił z siebie zakrwawione truchło i zamglonym wzrokiem rozejrzał się za Tugarinem. To był błąd. Czarownik błyskawicznie wstał i oburącz uniósł kostur, którego nie puścił ani na chwilę. Mierzył jego tyłcem w dół - jak łowca, który zamierza dobić ranną zdobycz grotem włóczni. W chwili, kiedy potwór skierował na niego spojrzenie, dźgnął ze wszystkich sił, krzyząc przeraźliwie.

Oko pękło jak pęcherz wypełniony wodą. Trysnął krwawy śluz.

Sjudbej ryknął tak, że aż suche gałązki pospadały z drzew. Grzmotnął wroga kikutem. Czarodziej poleciał kilka sążni w bok. Po chwili olbrzym zebrał wszystkie siły i zerwał się na nogi. Uderzył pazurami kostur, który ciągle sterczał mu z oka. Metalowa laska z brzękiem padła na podwórze i zatrzymała się na ścianie domostwa. Łuska natychmiast zgasła.

Poczwarą wyła niczym tysiąc demonów, zataczała się i machała na oślep szponiastą łapą. W pewnej chwili uderzyła w palisadę. Rozległ się trzask i olbrzym padł na ziemię razem z kilkoma złamanymi palami. Już nie wstał. Wił się na ziemi, rył pazurami udeptaną glinę, z oczodołu lała się krew. Stopniowo skurcze słabły, głos cichł. Wreszcie Sjudbej po raz ostatni kopnął wielkimi umięśnionymi nogami, podobnymi do żabich, i znieruchomiał.

Jaga wisiała nabita na pal i charczała. Jej ręce zwisały po stronie podwórza, nogi na zewnątrz. Słyszała, co się dzieje, ale ból był zbyt wielki, by mogła się zatroszczyć o kogokolwiek oprócz siebie. Wypluła krew, podniosła ręce, złapała się sąsiednich pali i ze wszystkich sił starała się wciągnąć na górę. Dała radę - nienawiść do Tugarina dodała jej sił. Zsunęła się ze szczytu pala i spadła na wewnętrzną stronę palisady. Krwawienie natychmiast ustało, wszystkie rany błyskawicznie zaczęły się goić.

- Na zęby Zilanta... - wychrypiał Drakowicz, siadając. Był cały obolały. W poprzednich dniach za pomocą czarów jako tako zasklepił rany, które bohaterzy zadali mu swymi strzałami, ale teraz znów się otworzyły. Na jego szatach, już i tak brudnych i poszarpanych, rozrastały się kolejne ciemne plamy.

Podniósł wzrok i dostrzegł, że rana Jagi już się zagoiła. Strzyga pomału dochodziła do siebie. Zauważyła Tugarina, ich spojrzenia się spotkały. Jędza dostrzegła, że czarownik zgubił kostur. W jej oczach zapłonął ogień, obnażyła ostre zęby. Po chwili wstała i pobiegła w stronę bramy.

Drakowicz zerwał się i ruszył za nią, zapominając o bólu. Niewiele brakowało, by odebrała mu zwycięstwo...

Czarnowłosa jędza wbiegła na podwórze ledwie chwilę przed nim. Rozejrzała się i zobaczyła Żelazny Kostur leżący pod ścianą chaty. Pobiegła w jego stronę. W miejscu, gdzie

skonał Sjudbej, leżało nagie ciało zwykłego człowieka z jednym krwawiącym, a drugim zagojonym oczodołem. Nie poświęciła zwłokom najmniejszej uwagi.

Dotarła do progu budynku. Już schylała się po kostur, kiedy poczuła mocny cios w plecy. Ze zduszonym krzykiem padła na ziemię. To, czym ją uderzono, poturlało się po podwórzu. Poznała jedną ze świeższych głów, które zrzucił upadek Sjudbeja. Wyrzeszczała straszliwą klątwę i wyciągnęła rękę w stronę zakrwawionej laski. Wystarczy jedno dotknięcie...

Tugarin w ostatniej chwili kopnął kostur poza jej zasięg. Obyda zawyła z rozczarowania. Uciszył ją kopniakiem w twarz, po którym padła na plecy i wypluła kilka zębów.

Drakowicz, cały zdyszany i spocony, podniósł Żelazny Kostur. Smocza łuska natychmiast zaświeciła, czarodziej wyprostował się od napływu mocy. Splunął krwią, podszedł do skomlącej Jagi i powiedział:

- Teraz otwórz mi bramę, jędzo.

- Prędzej rzeki zaczną płynąć pod górę, ty skurwysyński... - warknęła, ale znowu ją kopnął i wymierzył w nią świecąca głowicę kostura.

- Słuchaj mnie, suko!

Srebrzysta luna wbiła się w jej oczy, przeszła głowę. Kiedy czarownica wiała się u nóg kapłana i skomlała przez gojące się wargi i odrastające zęby, zrozumiała, że nie jest w stanie się opierać. Była to jej ostatnia myśl.

Kiedy skurcze ustały, wiedźma, wciąż otoczona światłem kostura, z wysiłkiem uniosła się na czworaka. Przypominała teraz psa, skomlącego posłusznie u nóg swego pana. Właściwie nim była.

Nie pozostało jej nic innego, jak dokończyć przerwane przez Tugarina zaklęcie.



Nad Górami Północnymi powoli zapadał zmrok. Samson Samojłowicz zwinnie poruszał się w szarzejącym lesie na skraju wąskiej trawiastej doliny. Szedł krokiem drapieżcy, ale jego serce biło dziko, a sam czuł się raczej jak małe zwierzątko lub pisklę, przemykające przez las w nadziei, że nie przyciągnie uwagi czyhającego nocnego łowcy.

Nawet z daleka i w gęstniejącej ciemności widział ciągnące się środkiem doliny ślady ogromnych łąp. Prowadziły ku potężnej, ciemnej górze. Wkrótce Ormianin zbliżył się do końca doliny i zobaczył cienistą niszę u podnóża szerokiego stoku. Przemknął jeszcze między paroma drzewami i ujrzał zniszczoną palisadę. Nie miał wątpliwości - właśnie tam musiał się

znajdować cel Sjudbeja.

Samson zauważył ruch na równinie przed palisadą. Skulił się za zasłoną z iglastych gałęzi i sięgnął do kołczanu. Nałożył strzałę. Nasada dotknęła palców zaciśniętych na majdanie, cięciwa wślizgnęła się do wyżłobienia na końcu strzały. Łucznik z Kaukazu obserwował uważnie.

Parę sążni przed palisadą coś leżało w trawie. Samojułowicz zaczął uważnie węszyć. Padlina. Po strzępach białej skóry, rozrzuconych koło ciemnej kupy mięsa, łatwo poznał, że to resztki tulpara, na którym Tugarin uciekł z Parangi. Kilka gawronów i czworonożnych drapieżników biło się o resztki ścierwa. Ormianin myślał z początku, że to lisy, ale kiedy przyjrzał się dokładniej, poznał szare wilcze futra.

Wiedział, co znaczy przeszkadzać drapieżnikom w uczie, ale nie bał się wilków. Musiał z nimi walczyć już jako mały chłopiec, kiedy pasał stada koni na stokach Kaukazu. Wyprostował się, uniósł łuk i dziarsko wyszedł z lasu.

Zauważyły go już po kilku krokach. Podniosły zakrwawione pyski, cofnęły się i zaczęły warczeć. Samson nie zwolnił, nie zawahał się i w żaden sposób nie okazywał strachu. Warczenie przybrało na sile, ale wilki cofały się pomału. Bohatyr napiął łuk, wycelował i strzelił. Jedno szare zwierzę padło z przeraźliwym skowytom i zaczęło tarzać się w drgawkach między rozrzuconymi końskimi kośćmi. Pozostałe dwa wilki rzuciły się do ucieczki. Gawrony, które aż do tej chwili siedziały na wystających żebrach tulpara, wzleciały ku szaremu niebu, głośno kracząc i bijąc skrzydłami.

Samojułowicz nie podszedł do padliny. W zupełności mu wystarczył jej smród, wyczuwalny nawet z tej odległości. Skręcił do bramy, za którą widział spiczastą strzechę z choiny. Widok ludzkich głów, wbitych na koły palisady, zmroził mu krew w żyłach, ale zatrzymał się dopiero w bramie. Rozejrzał się po podwórzu. Niecierpliwe krakanie przerwało ciszę, w powietrzu zaroilo się od czarnych skrzydeł. W pobliżu przewróconych pali leżały kolejne zwłoki. Samson podszedł do nich ostrożnie, zakrywając nos rękawem, przyjrzał się uważnie i uznał, że najwyższy czas zawołać pozostałych.



- To on, prawda? - spytał Mikuła, krzywiąc się z obrzydzenia. Widok ogryzionego przez wilki i rozdziobanego przez wrony ciała nie robił na nim wrażenia, ale smród był tak silny, że chciało mu się wymiotować. Chrząknął i splunął głośno. - Mam na myśli Sjudbeja...

- Bez wątplenia - potwierdził Kościej i zsiadł z konia. - Śmierć przywróciła mu dawną postać.

- Szkoda, że już po nim. Sam chciałem pomścić Koływana - mruknął Ilja. Trzymał przy tym Buruszka za ogłowie i gładził po chrapach, uspokajając zwierzę. Przerażliwy smród leżącej przed palisadą końskiej padliny bardzo denerwował rumaki bohaterów. - Jak myślicie, co się stało?

- Jak to co? - Czarownik rozejrzał się. - Tugarin wylizał się z ran zadanych w Parandze, dokładnie tak, jak przypuszczałem. Tulpar zaniósł go prosto do siedziby Jagi. Nie zdołał otworzyć bramy na Bujan mocą Żelaznego Kostura, więc się schował i czekał na jędzę. Zabił Sjudbeja i ujarzmił wiedźmę. Zmusił ją, by mu otworzyła przejście w zaświaty, i przeszli razem.

- Sądząc po tym, jak śmierdzą te trupy, stało się to co najmniej trzy dni temu - rzekł Muromiec. - Sjudbej dotarł tu pewnie jeszcze tego samego dnia po nocnej potyczce na mokradłach.

- Dziwisz się? - odezwał się Jegor. - Miał tak długie nogi, że raz-dwa pokonał tę drogę. Cóż, bracia, co się stało, to się nie odstanie, dajmy temu spokój. Pomyślmy lepiej o przyszłości, o tym, co powinniśmy zrobić. Kościeju?

- Miałem nadzieję, że sprawy nie zajdą tak daleko. - Czarodziej westchnął. - Chciałem złapać Tugarina, zanim przejdzie przez bramę. Teraz już jest na Bujanie i pewnie czerpie siły z Alatyru i źródła wiecznej młodości. Będzie jeszcze trudniejszym przeciwnikiem.

- Prawda to... O ile będziemy tak głupi, żeby za nim iść - wtrącił Mikuła. - Czy to w ogóle możliwe? Damy radę otworzyć bramę?

- Bramę, bramę. - Daniło Łowczanin podszedł bliżej. - Stale gadacie o bramie, tylko że ja patrzę i patrzę, ale nie widzę żadnej bramy, tylko dziwny dom, który jakby sam wyrósł z ziemi, bez okien i drzwi...

- Ten dom jest bramą, głupku - odpowiedział mu Suchan Radymicz. - Prawda?

- Owszem - potwierdził Kościej. - Jak sami widzicie, nie ma drzwi. Żeby wejść do środka, trzeba znać zaklęcie.

- A po co zaklęcie? - prychnął Daniło, mierząc niezwykle budynek spojrzeniem. - Toż to drewniana chałupa. Złapiemy za topory i raz-dwa wyrąbiemy drzwi, gdzie się nam spodoba.

- Nie radzę. - Były władca kostura zmrużył oczy. - Siedzibę Jagi chronią silne czary. Czuję je wyraźnie. Gdybyście próbowali wejść do środka przemocą, toby się na nas srodze zemściło.

- Wierzę ci - zgodził się Mikuła. - Ale jak poznamy zaklęcie?

- A tak. - Oszepony mężczyzna postukał się palcem w skroń i uśmiechnął. -

Zabezpieczyłem się na wypadek, że dojdzie do podobnej sytuacji.

- Jak?

- Bardzo prosto. Wyciągnąłem to zaklęcie z Jagi jeszcze w czudzkich lasach, kiedy była w mej mocy. Za pomocą kostura wniknąłem do jej myśli i dowiedziałem się wszystkiego o jej siedzibie. Otworzę bramę, tym się nie martwicie.

- Chytry lis z ciebie. - Sielaninowicz zaśmiał się. - Jak dawniej. Chodźmy, wypróbuj zaklęcie, przekonajmy się, czy działa.

- Nie tak prędko. - Jegor wszedł między nich a chatę. - Kościeju, zanim to zrobisz, powinniśmy jeszcze raz dokładnie przemyśleć ten krok. Zdaje mi się, chłopcy, że zapomnieliście, do czego właściwie się sposobimy. Mówicie o tym tak lekko, jakbyście zamierzali wejść do wielkiej sali w pałacu księcia, wychłęptać ze Światosławem beczkę świeżego piwa i pomacać niewolnice. Tymczasem szykujemy się, by opuścić świat śmiertelników i wkroczyć do krainy bogów. Zastanawialiście się w ogóle, co nas tam czeka?

- Właśnie - wtrącił Alosza. - To nie to samo, co zdecydować, czy odważymy się wejść w czudzkie lasy albo przejść bagna zamieszkałe przez demony. Stoimy na progu świata, do którego śmiertelnicy nie mają wstępu. Strzegą go bogowie. A jeśli ściągniemy na siebie ich gniew, jak kiedyś Sjudbej?

- Trudne pytanie - zgodził się Kościej. - Ale tylko dla was. Ja na pewno pójdę dalej. Nie będę was przekonywać, a tym bardziej zmuszać. Zdecydujcie sami.

W milczeniu wymieniali spojrzenia. Nad górami zapadał zmrok. Na drzewach krakały wrony i kruki.

- Przyznaję się bez bicia, że kolana mi się trzęsą jak pannie przed nocą poślubną - odezwał się Mikuła. - Na mą duszę, jeszcze nigdy tak się nie bałem. Jednocześnie jestem niezmiernie ciekawy, jakie cuda tam zobaczymy.

Ilja pokiwał głową w zamyśleniu.

- Poza tym tłukliśmy się przez pół świata tylko po to, żeby się teraz cofnąć z podkulonymi ogonami? Co by powiedział Koływan, gdyby zobaczył, że wahamy się, będąc niemal u celu? Jego śmierć na bagnach poszłaby na marne.

- Nie powinienem tam iść - mruczał Jegor, który trzymał w garści swój złoty krzyż. - Wy też nie, Aloszo i Samsonie. Potraficie sobie wyobrazić, że jako chrześcijanie wkroczymy do władztwa pogańskich biesów? Może ściągniemy na siebie straszliwą klątwę i nasze dusze będą się wiecznie smażyć w piekle.

- A może i nie? - Mikuła wyszczerzył zęby. - Przecież nie idziesz się kłaniać starym bogom, tylko skopać im tyłki. Może właśnie dzięki temu zasłużysz sobie na zaszczytne

miejsce w tym waszym królestwie niebieskim.

Tym razem Światogor nie zaczął krzyczeć, nie zwymyślał Dregowicza od wiejskich głupców. Poważnie zastanowił się nad jego słowami. Po chwili wziął głęboki wdech i raźnie skinął głową.

- Chodźmy, bracia. Niech się stanie, co się ma stać. Mamy ze sobą Muromca, wybrańca bogów. Możliwe, że jego zbroja to dar samego Peruna i odwróci od nas wszystkich Boży gniew. Jeśli ktoś jest przeciwny, może się odwrócić i odejść. Nikt nie będzie mu tego wypominać, nie ma w tym hańby.

- A co potem? - zarechotał Łowczanin. - Może bym się i cofnął, ale mam samiuteńki wracać przez moczary? Za żadne skarby. Już wolę jechać z wami.

- Gudleifie? - zwrócił się do konunga siwy bojar. - Nie będę ci zabraniać, jeśli teraz ruszysz na zachód. Może dopisze ci szczęście i jadąc wzdłuż gór, dotrzesz do domu, do Jeziora Białego.

Wareg, do tej pory stojący na uboczu, podjechał bliżej i zwinnie zeskoczył z konia.

- Mowy nie ma - powiedział i przypasał miecz, do tej pory wiszący przy siodle. - Potem ktoś mógłby powiedzieć, że bielooziński konung pozwolił się zawstydzic bandzie Kijowian.

- A kto miałby o tym opowiedzieć? - Suchan zaśmiał się zgryźliwie. - Kiedy tylko ruszymy za Tugarinem, pewnie na zawsze znikniemy z powierzchni ziemi i nikt nigdy się nie dowie, co się z nami stało. Nie przeszkadza mi to, skądże. Jestem gotów na śmierć, od dawna marzę o przejściu Smorodiny. Wszystko mi jedno, czy zrobi to tylko moja dusza, czy również śmiertelne ciało.

- Stary dobry Suchan. - Jegor uśmiechnął się. - Zawsze gotów poprawić nastrój drużyny wzniosłymi słowami pełnymi nadziei i wizji świetlanej przyszłości! Chłopcy, zdaje mi się, że gadamy po próżnicy. Skoro odważyliśmy się dotrzeć aż tutaj, pojedziemy dalej. Niech każdy pomodli się do swego boga i poprosi go o przebaczenie, bo to, co teraz zrobimy, będzie niewyobrażalnym zuchwalstwem. Kościeju?

- Batuszko?

- Pokaż, co umiesz.

Oszpecony czarodziej tylko kiwnął głową, ale zanim odwrócił się w stronę tajemniczego domku, zobaczyli, jak w jego oczach płonie zielony ogień.

- Cofnijcie się - nakazał i oburącz ścisnął Krwawy Kostur.

Usłuchali bez słowa. Konie parskały i biły kopytami o ziemię, wietrząc w powietrzu siły nadprzyrodzone. Bohatryzy próbowali je uspokoić, mimo że sami mieli ochotę wypić po

dzbanie miodu.

Smocza łuska na końcu kostura ożyła i jasne białe światło rozegnało cienie. Kościej potrzebował dłuższej chwili, by się skupić. W podmuchach czarodziejskiej mocy powiewały rzadkie, siwe resztki jego niegdyś gęstych, czarnych włosów.

- Rozkazuję ci, chałupko, odwróć się! - zawołał i dla podkreślenia swych słów uderzył kosturem o ziemię. - Ku mnie czołem, tyłem do wzgórza!

Przez kilka uderzeń serca nic się nie działo, tylko fale srebrzystej jasności przeleciały przez podwórze i zamigotały na ubrudzonych, zniszczonych, a miejscami pokrytych rdzawymi plamami pancierzach bohaterów. Mikuła niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę i wziął głęboki wdech, by głośno wyrazić wątpliwości o zdolnościach towarzysza. W tejże chwili dom zaskrzypiał.

Konie zarżały, niejeden starał się wyrwać uzdę z dłoni bohatera. Drużynnicy również cofnęli się o krok.

Brzmiało to jak skrzypienie drzewa giętego silnym wiatrem. Choina na dachu zaszeleściła, gałązki zaczęły się kiwać, chociaż to mogło być złudzenie spowodowane przez migocące światło. Bojarzy poczuli, że ziemia drży pod ich stopami. Wierzchowce zaczęły tupać, jakby się bały, że z ziemi wyleżą węzowe demony i złapią je za nogi.

Po chwili płytko wrosnięte korzenie u dolnych krawędzi drewnianych ścian zaczęły się poruszać. Wyślizgnęły się z ziemi niczym macki morskiego potwora z głębin. Posypały się grudki gliny i kawałki mchu. Korzenie przez moment rzucały się w powietrzu jak ozdobne wstęgi powiewające na wietrze, ale potem uspokoiły się i razem wsparły o ziemię. Dom podniósł się ze skrzypieniem i trzaskiem. Bohaterzy wybałuszyli oczy, niektórzy wręcz zapomnieli zamknąć usta. Jegor i Alosza uczynili znak krzyża, jakby mieli zaraz stracić dusze.

Korzenie, zmienione w splot sprężystych nóg, zaczęły się poruszać, a chata obracała się wokół własnej osi. Budynek zdawał się tańczyć w miejscu, jakby unosił się na nogach podobnych do ptasich palców. Nie trwało długo, a bojarzy zobaczyli wejście - szeroki na pół sążnia otwór między dwoma zakrzywionymi pniami. Do tej chwili skrywał się przed ich spojrzzeniami w tylnej części budynku, przyciśniętej do górskiego stoku.

Przez owo wejście przedostawało się niesamowite zielonkawe światło. Ilja spochmurniał. Przypomniawszy sobie, że kiedyś już je widział. Otwierał się przed nim kraj, który odwiedzał w swoich tajemniczych snach z początku lata, po odejściu z Muromia...

Gdy otwór znalazł się naprzeciw bohaterów, korzenie rozluźniły się i dom z głośnym dudnieniem osiadł na ziemi. Ubrudzone gliną macki wsunęły się z powrotem w glebę jak

wielkie wyorane glizdy starające się ukryć w wilgotnej ciemności pod powierzchnią.

- A niech mnie... - Łowczanin westchnął.

Kościej rozluźnił się i przełożył kostur do prawej ręki. Obejrzał się i kiedy zobaczył drużynników, którzy stali bezbrzeżnie zdumieni, z wybałuszonymi oczyma, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Idziemy? - spytał.

Pierwszy ruszył się Suchan.

- Myślicie, że nasze konie też przejdą przez tę dziurę? - spytał z obawą.

- Muszą - burknął Jegor. - Nie możemy ich tutaj zostawić, no chyba że ktoś chciałby ich przypilnować.

Nikt się nie zgłosił. Do końca pozostali jednością.

Blady czarownik pierwszy wszedł w zielonkawą mgłę wdzierającą się do świata ludzi przez otwór w chatce. Wierzchowiec, którego za sobą ciągnął, przez chwilę się opierał, ale potem i on opuścił głowę i przeszedł przez drzwi. Wyglądało na to, że szeroki koński tułów się nie zmieści, ale ściany zaskrzypiały i bohaterzy byli gotowi przysiąc, że pnie tworzące obramowanie wejścia poddały się i trochę rozsunęły.

Podczas gdy do domku podszedł Suchan, a zaraz za nim Daniło, który starał się udowodnić, że nie ustępuje odwagą starszemu towarzyszowi, Mikuła zwrócił się do Ilji i Jegora, po czym zapytał stłumionym głosem:

- Bracia, czy my dobrze wiemy, co robimy? Czyżbyście zapomnieli o naszych wątpliwościach? Kościej odzyskał czarodziejską moc, ale Wołch się w nim nie przebudził. To ciągle ktoś obcy, nie znamy jego myśli, nie wiemy, co zamierza. Może pomagamy komuś, kto nie jest ani odrobinę lepszy od Tugarina. Jeśli połączy wszystkie trzy kawałki smoczej łuski... Kto wie, co się stanie.

- Też się tego boję - przyznał Muromiec.

- Rozumiem was. - Światogor przeczesał palcami długą brodę. - W tej chwili mamy jednak tylko dwie możliwości: albo puścimy Kościeja samego na Bujan, albo pójdziemy z nim i nie spuścimy go z oka.

- A jeżeli naprawdę nas zdradzi i zacznie postępować wbrew naszej woli? - zastanawiał się Ilja. - Czy zdołamy go powstrzymać? Przecież może nad nami zapanować mocą kostura, jak Tugarin koło Złotej Baby...

- Zdaję sobie z tego sprawę, synku, tylko że szykuje się pojedynek dwóch czarowników. Jeśli mam wybierać między Tugarinem a Kościejem, wybieram Kościeja. A ponieważ Żelazny Kostur jest mocniejszy niż Krwawy, Kościejowi na pewno przyda się

pomoc. To nasze zadanie, skupmy się na nim.

- Dlaczego mi się wydaje - sposepniał Muromiec - że jesteśmy pionkami w wielkiej partii szachów?

- Nie wiem, co to jest „partia szachów” - Mikuła pokiwał głową - ale chyba wiem, co Ilja ma na myśli i zgadzam się z nim.

- Musimy mieć nadzieję, że w Kościeju żyje przynajmniej częśćka Wołcha - powiedział, Jegor, wzdychając. - Chodźmy, bracia, teraz nasza kolej.

W otworze właśnie znikł zad konia Gudleifa. Trzej ostatni bohaterzy razem ruszyli w stronę niezwyklej chałupki.

Buruszko parsknął i żeby dobitnie wyrazić swój niepokój, spróbował ugryźć Ilję w rękę, którą ten trzymał go za ogłowie. Kiedy Muromiec pogłodził go po pysku, koń przestał dokazywać i poszedł za panem. Gdyby mógł pojąć swoim końskim rozumem, że właśnie przekroczyli bramę świata duchów, na pewno opierałby się mocniej.



Podkowa z kopyta konia Kościeja tak zadźwięczała przy kolejnym kroku, jakby zwierzę stąpnęło na żelazny pancerz poległego wojaka.

- Stać! - rozkazał czarnoksiężnik. Niepotrzebnie - słysząc ten przenikliwy dźwięk, bohaterzy zamarli i nieświadomie schowali głowy w ramiona.

Zielonkawa mgła, unosząca się w szczelinie między światami, rozpląwała się szybko. Ludzie uspokajali wierzgające rumaki, a sami rozglądali się, przejęci, czujni, ale przede wszystkim ciekawi. Oglądając się za siebie, zauważyli, że z tej strony brama wygląda jak zwykła szczelina między pniami dwóch rosnących blisko siebie drzew. Jeszcze przez chwilę mrugało w niej widmowe szmaragdowe światło, ale wkrótce zgasło i przejście do świata śmiertelników znikło. Nie widzieli już obejścia przed chatą Jagi, ale gęsty, niezwykle ponury las. Drzewa, które go tworzyły, były tak wysokie i grube, że nawet o takich nie śnili.

Tylko przez chwilę oglądali się za siebie. Bardziej interesowało ich to, co leżało przed nimi. Czarodziejska mgła się rozwiała, a to, co się z niej wynurzyło, sprawiło, że zaniemówili..

Brama między światami prowadziła na skraj przepaści. Zarówno po prawej, jak i po lewej stronie ciągnął się bezkresny, wysoki, stromy brzeg. Jego krawędź była obrębiona gęstą plątaniną korzeni, ponieważ las kończył się tuż nad przepaścią i drzewa niebezpiecznie pochyły się nad otchłanią. To cud, że kamienista ziemia nie osunęła się pod ciężarem tych olbrzymów.

- Do stu piorunów - odezwał się wreszcie Alosza w grobowej ciszy - czujecie to?

- Czujemy - potwierdził Mikuła. - Jakby naraz pierdnęło tysiąc tchórzy czy innych śmierdzieli. Co tak strasznie cuchnie?

- A jak myślisz? - odparł Ilja i z nadzwyczajną ostrożnością podszedł do krawędzi przepaści. - Myślicie, że nazwa Smorodina wzięła się znikąd?

Z duszą na ramieniu spoglądali w dół. Dobre dwadzieścia sążni pod nimi płynął gęsty, lepki nurt osławionej rzeki zaświatów. Na ciemnej powierzchni leniwie zwiły się czerwone i brązowe smugi, jakby między skałami płynęła nieobjęta wzrokiem masa chłodnej, zakrzepłej krwi. Od czasu do czasu z głębiny wynurzały się rzeczy, których nie mogli poznać z tej odległości, lecz bystrooki Muromiec był przekonany, że widział kilka ludzkich i zwierzęcych szkieletów. Jakby w Smorodinie pływały i rozkładały się zwłoki wszystkich stworzeń, które kiedykolwiek skosiła śmierć.

- Jezu Chryste i wszyscy święci - szepnęła Jegor i ścisnął swój krzyżyk tak mocno, że omal nie wygiął jego ramion wykonanych z miękkiego złota. - Co za obrzydlistwo! Chwała Bogu, że dzięki chrztowi mam zapewniony wstęp do królestwa niebieskiego, inaczej skończyłbym w tych potwornych pogańskich zaświatach!

- Nie tak głośno, staruszkule! - ostrzegł go Mikuła zupełnie poważnie. - Nie chcemy przecież rozgniewać tutejszych bogów.

Spojrzeli na wprost. Smorodina miała całe wiorsty szerokości, a jej przeciwległy brzeg ginął w zielonkawej mgle. Niebo było tego samego koloru. Ilja znów przypomniał sobie swoje dawniejsze zagadkowe sny.

Pośrodku nurtu wynurzały się strome, wysokie brzegi rozległej wyspy. Nawet z tej odległości widzieli świeżą zieleń i falujące brzoźowe gaje na powierzchni, która tworzyła wierzchołek majestatycznej skały. Cały ostrów tonął w złotawym świetle, które przebijało z góry, mimo że na niebie nie było słońca. Po przeciwnej stronie Bujanu wznosił się rozłożysty pagórek, a z jego szczytu wyrastało drzewo, przy którym wszystkie inne drzewa świata, nawet właśnie minięte olbrzymy, były jak ledwie wzeszła wiosenna trawa. Ogromny ciemny pień wznosił się ku niebiosom niczym sto suwarskich Zilantawów postawionych jeden na drugim. Na niezwyklej wysokości, w miejscu, gdzie zaczynała się korona, pień nikał w mglistym, zielonkawym świetle, które tworzyło tutejsze sklepienie niebieskie.

- Na wszystkich bogów, to Yggdrasil! - wykrztusił Gudleif. - Środek światów, boski jesion, którego korona wspiera krainę bogów. Tam, na niedosiężnych wysokościach, wznosi się Walhalla, siedziba Odyna!

- Akurat - prychnął Mikuła. - To Wielki Dąb, a w jego koronie mieści się siedziba

naszych bogów - Peruna, Dadźboga, pradawnego Swaroga...

- Przestańcie - Jegor zdusił w zarodku nadchodzącą kłótnię. - Nie wierzę, by dało się ustalić, czy to dąb, czy jesion. Nie będziemy sprawdzać, czy w jego koronie mieści się Asgard, czy słoneczny pałac Dadźboga. Musimy tylko dostać się na Bujan, prędko zrobić to, co trzeba, a potem jak najszybciej odejść.

Drużynnicy pomruczeli na znak zgody i spojrzeli na most. Brzeg, na którym stali, łączył z wyspą gruby na sążen, a szeroki na trzy sążnie pas ciemnego żelaza. Most nie miał żadnych poręczy ani ozdób, nie stały na nim posągi, nie podpierały go filary. Był prosty jak klinga kijowskiego miecza, chociaż żaden z bojarów nie pozwoliłby, aby jego broń pokryły brązowe plamy rdzy - a na moście było ich bez liku.

Brzek, który zatrzymał ich chwilę wcześniej, wziął się stąd, że koń Kościeja uderzył podkową o krawędź mostu.

- To się źle skończy. - Mikuła chmurnie spoglądał na kładkę. - Konie mogą się łatwo poślizgnąć na metalowej powierzchni.

- Pójdziemy pomału - powiedział Ilja - nadzwyczaj ostrożnie i na własnych nogach, jeden za drugim. Jeśli poprowadzimy konie za uzdy, możemy uniknąć upadku.

- Mniej się boję tego, że się poślizgniemy - odparł Kościej i rozejrzał się uważnie - martwi mnie raczej strażnik mostu.

- Smoka ani widu, ani słyhu - odezwał się Jegor. - A nawet gdyby, masz przecież kostur Jagi, prawda? Rudrog jest synem Zirnytry, która dała ludziom łuskę właśnie po to, by go poskromić...

- To prawda, ale... - Czarownik umilkł i pokręcił głową, jakby sam sobie dawał do zrozumienia, że lepiej nie mówić wszystkiego.

- Co? - burknął podejrzliwie stary bohater.

- Nic. Chodźmy. Może będziemy mieć szczęście i przejedziemy na Bujan, zanim Rudrog nas zauważy. Z tego, co wiem, nie wolno mu wejść na wyspę.

Złapał za uzdę i wszedł na most. Metal dudnił ponuro od uderzeń podków.

- Usłyszysz nas - szepnął Suchan. - Robimy taki hałas, jak baba, która wali w patelnię albo garnek, żeby zawołać chłopca na wieczerzę. Tyle że dzisiaj będzie do jedzenia kijowskie mięso.

Bojarzy wahali się. Dopiero kiedy Kościej zatrzymał się dobrych dziesięć kroków przed nimi i rzucił przez ramię pytające spojrzenie, sami złapali konie za ogłowie i ruszyli jego śladem.

Żelazny pas miał niemal sążen grubości, mimo to zaczął lekko drgać. Drużynnikom

wydawało się, że przybierające na sile dzwonienie musi być słyszalne nawet w koronie olbrzymiego drzewa na wyspie.

- Najważniejsze to nie patrzeć w dół - wychrypiał Daniło.

- Boisz się wysokości? - spytał go Alosza.

- Nie. Boję się spaść i utonąć w tym śmierdzącym świństwie.

Rdza trzeszczała pod podeszwami butów i końskimi podkowami. Drużyna stąpała ostrożnie. Most miał niemal wiorstę długości, więc kiedy dotarli do połowy, na szczyt łagodnego łuku, wydawało się im, że wyspa przed nimi i brzeg za ich plecami są strasznie daleko. Znajdowali się wysoko w pustej przestrzeni, kładka drżała i dzwoniła, a głęboko pod nimi złowieszczo bulgotała Smorodina.

- Mateczko Mokosz, chroń nas - błagalnie szeptał Mikuła, ponieważ nigdy w życiu nie bał się bardziej niż teraz.

Kościej na czele drużyny pokonał już najwyższy punkt łuku i zaczął prędko schodzić ku brzegowi Bujanu, kiedy idący na końcu Ilja się zatrzymał. Zmarszczył brwi i nasłuchiwał. Buruszko zastrzygł uszami i parsknął. Dźwięk, który przyciągnął jego uwagę, po chwili się powtórzył - gdzieś w dole, w głębinie, coś głośno chlupnęło. Muromiec ostrożnie wyjrzał przez niczym niechroniony skraj mostu.

Wybałuszyl oczy. Wyraźnie zauważył łuk łuskowatego grzbietu, który na chwilę wynurzył się ze Smorodiny. Rozciął śliską powierzchnię jak piłą, pacnął kolczastym ogonem i znikł w lekko zmaconym nurcie.

- Myślicie - Ilja zaczął pomału mówić, a drżenie jego głosu i słyszalny w nim niepokój spowodowały, że Suchan i Mikuła, którzy szli przed nim, zatrzymali się i obejrzelili ze strachem - że smoki potrafią pływać?

Po chwili otrzymał odpowiedź, tyle że nie od swych towarzyszy. Stwór, którego zobaczył, wcale nie starał się schować, wprost przeciwnie. Chodziło mu o to, by zatoczyć koło głęboko pod powierzchnią, nabrać szybkości i impetu, by mocno wybić się w górę.

Później często opowiadano o tym w Kijowie. Gęślarze stopniowo tak ubarwili bujańską przygodę, że ludzie zupełnie przestali wierzyć, że coś takiego się wydarzyło. W jednym punkcie byliny wszakże nie kłamały. Kijowska drużyna nigdy wcześniej, a właściwie też nigdy później nie zobaczyła niczego tak przerażającego, a zarazem fascynującego.

Powierzchnia rzeki zaświatów wybuchła, tryskając krwawoczerwoną cieczą. Wskoczył z niej ogromny jaszczur, przy którym nawet czarny Zilant z suwarskiej wieży wydawał się świeżo wyklutym młodym. Z wyciągniętą szyją i wyprostowanym ogonem

wyglądał jak bełt wystrzelony z wody. Wzleciał niemal na wysokość mostu. Kiedy zaczął tracić prędkość i siłę, rozpostarł szerokie błoniaste skrzydła i machnął nimi mocno. Wzniósł się nad kładkę, otworzył paszczę pełną zębów długości łokcia i ryknął ogłuszająco.

Rudrog, strażnik zaświatów, witał nieproszonych gości.



Krzyczących ze zgrozy i klnących bohaterów uderzył wichur, który niósł z sobą deszcz gnijącego paskudztwa. Na most kapały ciemnoczerwone strzępy, a wraz z nimi sypały się kości i czaszki. Ilja nie mylił się, kiedy przypuszczał, że Smorodinę tworzy olbrzymia masa gnijących ciał. Niewyobrażalnie śmierdzące paskudztwo, miotane przez smocze skrzydła, zasypało drużynę i trzecią część mostu wśród strasznego, wyjącego wichru. Bojarzy padali z wrzaskiem i rozpaczliwie machali rękami w poszukiwaniu czegoś, czego mogliby się złapać. Konie rżały, ich grzywy powiewały na wietrze wywołanym ruchem skrzydeł Rudroga, podkowy dudniły. Żrebiec Suchana wyrwał uzdę z ręki pana i stanął dęba. Poślizgnął się przy tym i padł w tył.

Właśnie tam, gdzie skulony Ilja starał się stawić opór wiatrowi.

Muromiec nie zdążył uskoczyć, wierzchowiec podciął mu nogi i obaj przelecieli przez skraj mostu. Rumak spadł w próżnię, rżąc rozpaczliwie i wierzgając, ale Muromiec w ostatniej chwili zdążył jedną ręką chwycić skraj mostu, drugą wodze Buruszka.

Konik zarżał i wybałuszył oczy, ponieważ ciężar Ilji pociągnął go na skraj żelaznego pasa. Szarpnął głową i zaparł się kopytami. Przejechał pół sążnia po gładkiej, śliskiej od smorodińskiego mułu powierzchni, ale tuż przez skrajem kopyta cudem zatrzymały się na tym samym, czego trzymał się Ilja - na szorstkiej, wyżartej rdzą rysie w jednolitym metalu.

- Muromcze! - krzyknął Suchan i rzucił mu się na pomoc. Idąc, wspierał się na włóczni, więc teraz właśnie ją wyciągnął w stronę druha. - Złap się!

Junak przez krótką chwilę wisiał tylko na wodzach, ale błyskawicznie sięgnął po podane mu drzewce. Radymicz stanął w rozkroku i zacisnął zęby. Buruszko, jakby wiedział, co trzeba zrobić, zaczął się cofać. Wspólnymi siłami wyciągnęli młodego bohatera z powrotem w bezpieczne miejsce.

Porywy wiatru ustały na chwilę. Kiedy Rudrog zauważył, że z mostu spada koń, złożył skrzydła i skoczył głową naprzód pod żelazną kładkę. Żrebiec Suchana wpadł z pluskiem do mętnej cieczy, ale nie zdążył się zanurzyć - smok wyłowił go zręcznie swą ogromną paszczą i przebił kłami. Ogromne błoniaste skrzydła plasnęły o powierzchnię rzeki i Rudrog znów wzbił się w powietrze.

Bohaterzy na moście wstawali, krzyczeli ze zgrozy i starali się poskromić spłoszone rumaki.

- Na koń! - zawołał Daniło. Starał się włożyć stopę w strzemień, ale jego wierzchowiec kręcił się jak szalony i wyglądało na to, że obaj spadną z mostu albo zrzucą z niego pozostałych. - I galopem na Bujan! To nasza jedyna nadzieja!

- Nie! - krzyknął Jegor, gdy zobaczył, że Rudrog znów leci prosto na nich. - Kościeju! Na miłość boską, co z tobą?! Użyj kostura!

Czarodziej właśnie wstawał z mostu, rozgarniając spadłe obok kości i strzępy gnijącej masy. Już unosił rękę z laską, kiedy kolejny poryw wichru powalił go z powrotem na plecy.

Rudrog unosił się koło mostu, w pysku trzymając rumaka Suchana. Bojarzy przyglądali mu się, zdjęci świętą grozą. Nie przypominał skrzydlatego węża jak Zilant. Miał potężne cielsko z muskularnymi tylnymi łapami, natomiast przednie kończyny były krótkie, karłowate. Jego głowę zdobiło kilka rogów różnej wielkości, przechodzących na karku w dwa rzędy kolców, które ciągnęły się wzdłuż grzbietu aż po ogon, uzbrojony w wyrostki podobne do rogów na głowie. Kiedy ściekł z niego smorodiński śluz, zobaczyli, że łuski smoka mają podobny, ciemnorudy kolor - i zrozumieli, skąd wzięło się jego imię.

Jakby chcąc ukazać śmiertelnym intruzom swoją siłę, Rudrog rażno zacisnął szczęki. Mimo huczącego wichru wyraźnie słyszeli pęknięcie kości i odgłos rozgniatania mięśni. Końska głowa i kopyta odpadły, a resztki znikły w gardle potwora. Smok parę razy przeżuł kęs, przechylił głowę i połknął zwierzę wraz z siodłem i wozami.

Po chwili skierował spojrzenie złych, nabiegłych krwią oczu z powrotem na istotki kręcące się po moście. Bohaterzy byli przerażeni. Mieli wrażenie, że teraz otworzy paszczę, wyrzuci z siebie ognistą powódź i upiecze ich na skwarki. Rudrog wyraźnie miał inny zamiar. Przyglądał się im łakomie, a gdyby mógł, uśmiechnąłby się złowieszczo. Rzadko trafiała mu się żywa, soczysta zdobycz pełna świeżej krwi. Nie miał zamiaru zniszczyć takiej ucztę ogniem.

Nieustannie machając skrzydłami, pochylił głowę, osadzoną na długiej szyi, w stronę mostu. Oblizwał wyszczerzone zęby masywnym jęzorem. Konie zarżały.

- Kościeju! - wrzasnął Jegor.

Czarodziej, wciąż na klęczkach, wyciągnął rękę z Krwawym Kosturem i krzyknął coś niezrozumiale. Srebrzyste światło uderzyło smoka w oczy. Ten drgnął zaskoczony i cofnął głowę. Przestał miarowo bić skrzydłami, więc opadł o kilka sążni.

- Teraz! - zawołał Kościej. - Biegnijcie na wyspę! Nie wiem, jak długo go utrzymam!

- Za mną, chłopcy, szybko, szybko! - rozkazał Światogor i mocno szarpnął uzdę, by

zmusić do posłuszeństwa rżącego i stającego dęba wronka. Potem pomógł wstać czarownikowi, a następnie dziarskim krokiem, wręcz biegiem, ruszył w stronę Bujanu. Pozostali bojarzy poszli za nim bez ociągania - Daniło, Alosza, Samson, Mikuła, Gudleif, a na samym końcu Ilja i Suchan. Radymicz, teraz bez konia, złapał wierzgającego ze strachu rumaka Kościeja i starał się go uspokoić. Nie było to łatwe, ponieważ Rudrog już się opamiętał i ze świstem skrzydeł wzleciał nad most. Nie atakował jednak, tylko warczał głucho. W nieruchomych smoczych oczach odbijało się magiczne światło kawałka łuski jego matki. Zdawało się, że czarodziej ma go w garści.

- Ruszaj, Kościeju! - zawołał Ilja. - Musisz iść z nami!

Oszpecony mężczyzna nieznacznie skinął głową i ciągle unosząc wysoko laskę, zaczął pomału iść tyłem za drużyną.

Rudrog, jakby zuroczony blaskiem łuski Zirnytry, wzleciał jeszcze wyżej i opadł na most ledwie parę sążni od byłego wodza gorynyczy. Mocarne pazury zazgrzytały o metal, a żelazny łuk nad Smorodiną zakołysał się gwałtownie. Bohatry zatrzymywali się z krzykiem, stawali w rozkroku dla zachowania równowagi i z lękiem oglądali się za siebie. Byli przekonani, że kładka, chociaż solidna, nie wytrzyma takiego ciężaru. Przecież nawet miecz wykuty przez najlepszego kijowskiego kowala może się kiedyś złamać...

Nie mieli racji. Rudrog nie pierwszy raz siedział na moście i dobrze wiedział, że pod nim się nie zarwie.

- Dalej! - rozkazał Jegor. - Nie zatrzymujcie się!

Pierwsza grupa spieszyła się, jak tylko mogła. Odległość między nią a trójką złożoną z Ilji, Suchana i Kościeja zwiększała się. Czarodziej nie odważył się iść prędeżej, by czar nie osłabł ani na chwilę, a dwójka bohaterów trzymała się przy nim na wypadek, gdyby coś poszło źle. Wystarczyło, by druh potknął się albo poślizgnął, a mógł upuścić kostur. Wtedy wszyscy byliby zgubieni...

Jegorowi, podążającemu na czele uciekających bohaterów, pozostawały dobre dwa gony do brzegu, kiedy smok, do tej chwili wpatrujący się uparcie w światło Krwawego Kostura, podniósł głowę. Kościej zatrzymał się, a jego blada twarz zbieleła jeszcze bardziej.

- Co się dzieje? - zaniepokoił się Ilja.

Czarodziej obejrzał się ostrożnie i przyjrzał badawczo wyspie.

- Niech to piorun! - zaklął. - Spójrzcie sami!

Wszyscy obejrzelili się we wskazanym kierunku. Natychmiast zauważyli. Na przeciwnym końcu wyspy, gdzie z wysokiego pagórka wyrastał Wielki Dąb, między olbrzymimi korzeniami drzewa zapłonęło światło. Było srebrzyste, tak jak luna Krwawego

Kostura, ale o wiele mocniejsze - i wciąż przybierało na sile.

- To Tugarin! - zawołał chudy Kijowianin. - Chce zagłuszyć mój czar i poszczuć na nas smoka!

Rzeczywiście, kiedy Rudrog znów na nich spojrział, już nie patrzył na kostur jak zaczarowany. Ponownie widział konie i rosłych mężów, jego spojrzenie na powrót zrobiło się złowieszczo łakome, na nowo zapragnął zdobyczy. Wściekły warkot dobywający się z jego gardła przybrał na sile.

- Stój! - Kościej wrzasnął na niego jak na psa, uniósł kostur wyżej i skupił się. Jasność przybrała na sile i smok znów się zawahał, ale już po chwili światło pod Wielkim Dębem zamigotało mocniej. Bohatryrzy idący na przedzie spostrzegli, że coś się dzieje, i obejrzeni się zaskoczeni.

- Uciekajcie! - wrzasnął do nich Ilja. - Galopem, inaczej już po nas!

Rudrog potrząsnął rogatą głową, starając się oswobodzić ze splotu czarów, które walczyły o władzę nad jego umysłem. Częściowo mu się udało. Zrozumieli to w momencie, kiedy się uniósł, prędko wypiął pierś i cofnął głowę. Dobrze znali tę pozę gada szykującego się do ataku. Tak samo wyglądał Zilant, kiedy zamierzał zionąć ogniem.

Smok na dobre wyzwolił się spod mocy Kościeja.

- Do mnie! - krzyknął czarodziej do Ilji i Suchana. - Schowajcie się za mną!

Bohatryrzy znajdujący się daleko na przedzie również zrozumieli, do czego szykuje się potwór.

- Na koń! - krzyknął Jegor i sam prędko wskoczył na siodło. - Jedźcie, bracia, jeśli wam życie miłe!

Bojarzy natychmiast usłuchali. Zwierzęta, na pół oszalałe ze strachu, zrobiły to, z czym w razie śmiertelnego zagrożenia radziły sobie najlepiej - ruszyły galopem. Kopyta zadźwięczały przenikliwie na żelaznej kładce.

- Bogowie, bądźcie miłosierni! - wrzasnął Mikuła, kiedy z wysokości rozkołysanego końskiego grzbietu spojrział w dół, w przepaść, i wyobraził sobie, że jego źrebiec ślizga się, a on kończy w obrzydliwym nurcie Smorodiny.

Ilja i Suchan skoczyli w stronę Kościeja, ciągnąc za sobą konie.

Rudrog wyrzucił głowę do przodu i rozwarł paszczę, z której trysnął czerwony płomień. Płynny ogień lał się po moście jak fala przyboju, przeciekał przez jego brzegi i padał na powierzchnię Smorodiny. Kościej, stojąc twarzą w twarz ze zbliżającym się zagrożeniem, wrzasnął przenikliwie, a Ilja i Suchan poszli w jego ślady. Łuska Zirnytry na wysuniętym do przodu kosturze świeciła tak jasno i mocno, że dziwili się, iż jeszcze się nie roztopiła.

Fala płomieni uderzyła o tarczę ze srebrzystego światła i rozprysła na boki. Byłego gorynycza i jego druhów owionęło ciepło tak silne, że skręciło im brody i końcówki włosów. Buruszko i koń czarodzieja rżały rozpaczliwie.

Napór gorąca się zmniejszył. Trzej mężczyźni podnieśli głowy i otworzyli oczy. Ciecz ze smoczego pyska płonęła na moście, ognisty deszcz padał w przepaść. Rudrog popatrzył na trójkę ludzi przez zasłonę dymu, a kiedy zdał sobie sprawę, że ogień nie zrobił im krzywdy, najpierw z zaskoczeniem odwrócił głowę w bok, po czym z jego gardła dobyło się wściekłe warczenie. Zrozumiał, że jeśli chce upolować tę zdobycz, musi polegać na kłach i pazurach. Rozłożył skrzydła, by zachować równowagę i ruszył po moście na tylnych łapach.

- Wynośmy się stąd! - krzyknął Ilja i wskoczył na Buruszka. Kościej najwyraźniej uznał, że to dobry pomysł, bo odwrócił się i też wspiął na koński grzbiet.

- Suchanie, prędko, złap się! - krzyknął Muromiec i wyciągnął rękę ku towarzyszowi.

Okryty bliznami bohater odwrócił wzrok, popatrzył na zbliżającego się smoka i chwycił oburącz drzewce swojej włóczni.

- Suchanie! Bądź rozsądny! Buruszko uniesie nas obu!

- To będzie wystarczająco dobra śmierć - oświadczył spokojnie Radymicz i ruszył w stronę Rudroga. - Galopem! Spróbuję zatrzymać tego potwora przynajmniej na chwilę!

Kościej nie czekał dłużej, spojrział na Bujan i ruszył. Ilja zaklął siarczyście, rzucił Suchanowi jeszcze jedno spojrzenie, po czym i on pozwolił, by Buruszko pobiegł w stronę wątpliwego bezpieczeństwa.

Pół tuzina mężów z Jegorem na czele zdążyło już dotrzeć na brzeg, gdzie trawa zagłuszyła brzęczącą pieśń podkutych kopyt. Bohatryrzy ściągnęli wodze i spojrzeli z powrotem na most.

- Suchanie! - wrzasnął Daniło, gdy zdał sobie sprawę, że Radymicz został w tyle. - Co ty wyprawiasz?!

Smok szedł po moście, jego kroki dudniły. Okryty bliznami bohater nie mógł słyszeć przyjaciela. Ścisnął włócznię jeszcze mocniej, skulił się, a kiedy Rudrog pochylił ku niemu rozwartą paszczę, krzyknął: „Już idę, synku!” i rzucił się między długie zęby. Potwór zamknął pysk. Usłyszeli trzask i pęknięcie kości, jednocześnie zobaczyli grot sterczący Rudrogowi spomiędzy łusek tuż pod okiem. Bestia wyprostowała się z bolesnym rykiem. Miotła głową, kręciła pyskiem pełnym tego, co zostało z Suchana Radymicza i próbowała sięgnąć włóczni krótkimi przednimi łapami. Przypominała kota, któremu kawałek kurzej kości uwiązł między zębami, stara się więc wyciągnąć go niezgrabną łapką.

Ilja i Kościej gnali na wyspę ile sił w końskich nogach. Kopyta migały, rumaki

połykały szań za szańem, podkowy krzesaly na moście cale snopy isker. Kiedy pozostal juz tylko gon do skraju Bujanu, Ilja sie obejrzal. W pysku Rudroga cos chrupnelo. Smok wypchnal jezykiem zlomki drzewca i spojrzal na uciekajacych jezdzcow z zadzaz zemsty w oczach. Ryknal okropnie, rozlozyl skrzydla i odbil sie od kladki, az zadzwonilo, przez co galop Buruszka zmienil sie w niebezpieczny taniec na skraju przepasci. Tylko dzieki ogromnemu szczesciu kon odzyskal rownowage i znow pobiegł przed siebie.

Rudrog wyprostowal sie, uniosl nad mostem i smagnal powietrze ościstym ogonem. Wysunął do przodu mocne tylne łapy, zapewne po to, by chwycić nimi zdobycz.

Kościejowi brakowało pół gonu do wyspy, Ilji nieco więcej.

- Teraz, bracia! - wrzasnął Jegor i puścił cięciwę.

W rękach bohaterów zadzwieczyły łuki - nawet Mikuła, który nie lubił tego rodzaju broni, dołączył swoją strzałę do kłującego roju. Pociski poleciały nad Ilją i Kościejem, dosięgając Rudroga i wbijając się w jego odkrytą pierś. Przynajmniej jeden grot wbił się między czerwone łuski, ponieważ smok drgnął, a z jego gardła wydobył się ryk bólu.

Ilja i Kościej zyskali trochę czasu.

- Znowu! - rozkazał Światogor i ponownie naciągnął cięciwę.

Kolejny rój wzleciał nad mostem i tym razem Rudrog zwinął się z bólu, opadł gwałtownie, a jedno skrzydło z ogromną siłą uderzyło o most. Żelazna kładka się zatrzęsła, ale Ilja i Kościej znajdowali się już blisko brzegu, a tam most był mocny i bardziej odporny na wstrząsy.

Po chwili Buruszko i drugi rumak wbiegły na bujańską trawę. Czarodziej ściągnął wodze, pochylając się w siodle, i zawrócił konia, który najchętniej pogalopowałby dalej, by skryć się w gaju brzozowym. Muromiec również zatrzymał głośno protestującego Buruszka i sięgnął po łuk oraz strzały.

Kościej uniosł kostur i jasność ponownie przybrała na sile.

- Módlcie się do wszystkich bogów tego świata, żebym miał rację i Rudrog nie mógł wchodzić na wyspę!

Smok wyleciał z otchłani pod mostem. Z rozdrażnieniem machał skrzydłami, aż wiatr szarpał bojarów za włosy i płaszcze, a ich konie za grzywy. Unieśli łuki. Rudrog otworzył paszczę. Złękli się, że zamierza zalać brzeg płynnym ogniem, ale z czerwonego gardła wydobył się tylko nienawistny ryk z domieszką rozczarowania. Potwór wznosił się nad mostem i pochylał głowę to w prawo, to w lewo, jakby szukał jakiejś szczeliny w magicznej tarczy wyspy. Na próżno.

- Nie myliłeś się - powiedział Jegor, opuścił łuk i schował strzałę z powrotem do

kołczanu. - Nie może tu wejść. To święta ziemia, chroniona przez bogów.

- Tak czy owak wolałbym jak najprędzej ruszyć dalej, ku wnętrzu wyspy - odezwał się Mikuła.

- Jedźmy - rzucił były wódz gorynyczy i zawrócił konia. Kostur zgasł, a wyczerpany czarodziej zgarbił się w siodle.

- Suchan... - odezwał się Ilja, ale głos zamarł mu w gardle. Nie wiedział, co właściwie powiedzieć. Zauważył Daniłę, którego twarz była wykrzywiona z żalu. Oczy Łowczanina lśniły i było wyraźnie widać, że ze wszystkich sił powstrzymuje łzy. Mimo częstych słownych potyczek z Radymiczem drużynnicy wiedzieli, że ci dwaj byli jak ojciec i syn.

- Zginął męźnie - rzekł Jegor. - W walce ze smokiem, jak bohaterzy z najstarszych bylin albo święci smokobójcy z chrześcijańskich legend. Ocalił nas wszystkich. Jestem pewien, że pragnął właśnie takiej śmierci. Oplaciło mu się na nią czekać.

I tak kijowscy bohaterzy - ze zwieszonymi głowami, zmarszczonymi czołami i smutkiem w sercach - weszli na rajską wyspę wiecznej wiosny.

Okruch bursztynu



ugarin opuścił kostur i pozwolił, by łuska Zirnytry zgasła. Wyspa miała więcej niż wiorstę szerokości, więc na razie bohaterzy byli zbyt daleko, by marnował moc na ich powstrzymywanie. Kiedy jednak ci wszawi barbarzyńcy znajdą się w jego zasięgu, uderzy z całej siły.

Miał już powyżej uszu tych nieznośnych robaków. Najwyższy czas raz na zawsze skończyć z Kijowianami. Żadnego powalania na kolana, panowania nad myślami, udowadniania przewagi i tym podobnych dziecinnych gier. Niepotrzebnie dotąd tracił czas. Tym razem nikogo nie oszczędzi. Wrzuci ich zakrwawione, okaleczone ciała do Smorodiny i nasyci się duszami, jak to mają w zwyczaju robić bogowie, bo on sam wcześniej stanie się bóstwem. Już niewiele mu brakuje. Kiedy będzie miał do dyspozycji moc całkowicie zrośniętej smoczej łuski, Alatyru i źródła wiecznej młodości, stanie się równy istotom, które mieszkały w koronie olbrzymiego drzewa, wysoko na zamglonym zielonkawym niebie. Ba, będzie nawet silniejszy. W tym miejscu panowali prymitywni, dzicy bogowie o zapitych, nieprzytomnych mordach ulepionych z miodu i krwi. Nie byli wiele lepsi od zwykłych demonów. Już wkrótce zaśmieje im się w twarz. Jeśli tak postanowi, przewróci to ich drzewo i wrzuci je do paskudnej cieczy płynącej pod skałami Bujanu...

W Tugarinie niebezpiecznie wrzało. Był wyczerpany, rozdrażniony i pozostały mu resztki cierpliwości. Oczywiście od początku zdawał sobie sprawę, że jego cele nie są łatwe do osiągnięcia, ale dziś wydało mu się, że wszystko to trwa zbyt długo, że spotkał na swej drodze za dużo przeszkód. Większość, właściwie prawie wszystkie, tych kłód rzuciła mu pod nogi banda Kijowian. Byli niezłomni i uparci, a do celu dążyli tak samo twardo jak on. Może nawet zasłużyli na jego szacunek, ale nigdy nie zniżyłby się do tego, by im go okazać. Byli

godnymi przeciwnikami, lecz nie mogli mu się równać. On był istotą wyższą, która już dawno oswoiła się ze zdradzieckiej pajęczyny zwykłych ziemskich potrzeb i pragnień - już nie interesowały go kobiety, bogactwa ani zdobywanie ziem. Śnił tylko o wejściu do wyższych sfer świadomości i bytu, przy których świat śmiertelników wygląda jak zwykłe mrowisko. A oni? Nie mieli pojęcia o podobnych rzeczach. Parszywe psy, wgryzły się w kość i nie chciały jej puścić, mimo że przez to zmierzały nieodwołalnie ku klęsce...

Daleki hałas, podobny do dźwięku ogromnego rogu, wyrwał go z myśli, które bulgotały w nim jak lawa wewnątrz wulkanu. Tugarin uniósł głowę i popatrzył na ogromnego skrzydlatego stwora, który stale unosił się nad mostem i potrząsał zakrwawioną paszczą.

- Zawiodłeś, Rudrogu. - Drakowicz zazgrzytał zębami i z rozdrażnieniem uderzył tyłcem Żelaznego Kostura w kamień u swoich stóp. - Miałeś ich rozgnieść, zmiażdżyć, zmieść do rzeki falą ognia. Nawet z tym sobie nie poradziłeś. Kijowianie przejechali i sam muszę się nimi zająć. Ładny mi strażnik zaświatów! Co cię powstrzymało? Naprawdę boisz się magicznej mocy wyspy?

Słowa czarodzieja padały w próżnię. Nie miał mu kto odpowiedzieć. Musiał się pozbyć Baby Jagi i teraz pewnie gniła gdzieś na dnie Smorodiny. Nie planował zabijać jej tak szybko, mogła mu się jeszcze przydać, ale nie pozostawiła mu wyboru. Doszło do tego, ledwie przeszli przez most i dotarli do pagórka z Wielkim Dębem. Przedwczoraj... albo może wczoraj? Nie umiał dokładnie określić czasu - na tutejszym niebie nie było słońca, dzień nie różnił się od nocy, światło zawsze było takie samo... Kiedykolwiek to było, właśnie wtedy okazało się, że pozornie złamana Jaga jeszcze niezupełnie poddała się władzy Tugarina i gdzieś w najdalszym zakątku jej świadomości tliła się isierka oporu...



Tugarin szedł niecierpliwie w stronę złotawego światła Alatyru, ojca wszystkich świętych kamieni. Korzenie Wielkiego Dębu obejmowały pagórek jak olbrzymie macki. Im wyżej, tym były grubsze, aż wreszcie przypominały pomarszczone mury wyższe niż człowiek. Dzielily zbocze na kilka cienistych wąwozów, więc czarodziej musiał wybrać właściwą drogę już u podnóża pagórka. Nie pomylił się. Alatyr wznosił się teraz nad nim, wtulony w zbocze tuż pod pniem. Grube korzenie skrywały go od strony wnętrza wyspy. Rzucal migotliwy, złoty blask, podobny do odbicia słońca w płynnym miodzie. Czarodziej słyszał też plusk wody - to musiało być cudowne źródło, które tryskało bezpośrednio spod Alatyru. Miał w zasięgu ręki zasób niezmiernej mocy...

- Potężny...

Zatrzymał się i obejrzał. Już żałował, że kazał Jadze tak się do siebie zwracać. Z początku było to zabawne, ale szybko mu się sprzykrzyło...

- Potężny... - zaczęła znów, oddychając głośno. Została nieco w tyle, jakby wspinaczka na zbocze była dla niej niezwykle wyczerpująca. Miała zapadnięte, śmiertelnie blade policzki, jej oczy błyszczały chorobliwie. Tłuste, przyklapnięte włosy splatały się ze strzępami odzieży i podkreślały mizerny wygląd jędzy. Tugarin nie dziwił się temu - wiedział, że nieustannie świecący kostur stopniowo wysysa z niej siły żywotne. - Nie powinieśś...

- Co? - warknął gniewnie. - Boisz się, że odkryję twoją tajemnicę? Czyżbyś uważała mnie za głupca? Już dawno się domyśliłem, że twoje życie jest zakłete w samym Alatyrze. Jeśli go zniszczę silnym uderzeniem Żelaznego Kostura, to będzie twój koniec. Mam rację?

Wytrzeszczyła oczy.

- Proszę... nie... Alatyr jest zbyt cenny...

- Dlaczego mi to mówisz? - niecierpliwie przerwał jej szept. - Bardzo dobrze wiem, jak jest wyjątkowy. Nie myślisz chyba, że zniszczę go tylko po to, żeby z tobą skończyć?!

Podniosła rękę i szponiastymi palcami wskazała w górę, ku płonącej zehrze.

- Uważaj...

- Przestań mnie zatrzymywać, śmieciu! - Splunął w jej stronę, odwrócił się z rozdrażnieniem i podpierając się kosturem, wszedł wyżej. Kiedy tylko odwrócił się do niej plecami, w mętnych oczach wiedźmy pojawił się na chwilę przebłysk wolnej woli, może nawet myśl o oporze. Nie została jednak pośrodku zbocza, łapiąc dech. Opamiętała się i podreptała za Tugarinem.

Czarodziej dyszał z przejęcia. Podania nie kłamały. Alatyr rzeczywiście był ogromnym kawałem bursztynu. Miał więcej niż sążeń wysokości, na górze był zastrzony, u dołu rozszerzał się i zaokrąglął. Prawie nie miał ostrych krawędzi, przez co przypominał wielką kroplę. Drakowicz przypominał sobie twierdzenia niektórych mędrców, że jantary to skamieniała żywica pradawnych drzew - kształt Alatyru to potwierdzał. Był przejrzysty, a jego nieskazitelnie czyste wnętrze świeciło, promienie niemalże oślepiały. Podstawę świętego kamienia oplatała gęstwa grubszych i cieńszych korzeni. Właśnie spomiędzy nich tryskał przejrzysty, radośnie pluszczący strumień. Światło Alatyru błyszczało w wodzie, wskutek czego potok wypływający spod Wielkiego Dębu wyglądał jak pełen złocistego miodu. Tugarin śledził wzrokiem cudowny strumień. Strome koryto pełne gładkich kamieni odprowadzało go w tył, na krawędź skały, na której wznosił się pagórek z boskim drzewem. Tam woda ze źródła przelewała się przez gładko wyszlifowaną krawędź. Wysokość zmieniała wodospad w delikatną białą mgłę osiadającą na powierzchni obrzydliwej, mętnej Smorodiny.

Takie marnotrawstwo! - pomyślał Drakowicz i niecierpliwie ukląkł nad źródłem. Wyraźnie czuł magiczną moc bijącą z Alatyru i wody. Wnikała w niego falami, odświeżając go i dodając mu sił. Mówiono, że woda ta leczy wszystkie rany i wlewa do żył siłę, która stawia na nogi nawet umierającego starca, by uczynić go tak dziarskim, że może natychmiast wskoczyć na koński grzbiet i pogalopować do boju przeciwko stukrotnie większym siłom. Czarownik nabrał wody w dłonie. Nie była wcale zimna, jakby nie pochodziła z chłodnych ciemności wnętrza ziemi, ale z jeziora stale ogrzewanego gorącym letnim słońcem. Pochylił głowę...

Przenikliwy syk powstrzymał go na krótko przed tym, zanim zwilżył usta. Zaskoczony spojrzał w kierunku, z którego dobiegał dźwięk. Woda przeciekła mu przez palce. Za Alatyrem coś się poruszyło, coś ciemnego i złowieszczonego, zniekształconego przez widok poprzez wnętrze kamienia. Tugarin skoczył na równe nogi i oburącz chwycił kostur.

- Wsstrzymaj się! - syk przeszedł w ludzką mowę, a zza Alatyru wysunęła się trójkątna głowa ogromnego węża. Szmaragdowozielone łuski szeleściły na korzeniach. - Ussłuchaj zakazu!

Drakowicz niewyraźnie przypomniał sobie opowieści o tym, że Alatyr i źródło mają zwierzęcych strażników. Wycelował w węża łuskę Zirnytry i srebrzysta tarcza smoczych czarów połąkła złotawe światło bursztynowej zehry.

- Nie zbliżaj się! - krzyknął władczo.

Gad rzeczywiście cofnął głowę, nerwowo wysunął język i zafalował grubymi na piędź zwojami ciała.

- Nie próbuj na mnie ssswych ziemssskich czarów...

- Te czary powstrzymały Rudroga i zmieniły go w posłusznego domowego pieszczocha - warknął Tugarin. - Dlaczego nie miałyby działać i na ciebie?

- Bo jessstem Garafena, ssstrażnik źródła! Nie wysstraszysz mnie ssswoimi czarami...

- Nauczę cię strachu. - Przybysz ze świata ludzi wyszczerzył zęby, a łuska zaświeciła mocniej.

W tej chwili od mocnego pnia nad Alatyrem odbił się przenikliwy ptasi krzyk, z daleka przypominający pisk jastrzębia. Po grubym pniu na lewo od czarodzieja przesunął się cień. Drakowicz obejrzał się błyskawicznie i zobaczył szeroko rozpostarte skrzydła, wysunięte ku sobie pazury i zakrzywiony dziób drapieżnika. Zaśniły dziwnie, a w umyśle człowieka pojawił się strzęp wspomnienia - coś o ptaku z żelaznym dziobem i miedzianymi pazurami, który lata nad zaświatami...

Zanim zdążył skierować kostur w stronę nowego napastnika, przekonał się, że to nie

były bajędy. Metalowe pazury wbiły mu się w głowę, zazgrzytały o czaszkę. Ptak krzyknął, machnął skrzydłami i bezlitośnie zerwał z ciemienia Tugarina strzęp skóry wraz z kosmykiem białych włosów.

Drakowicz wrzasnął. Jego oczy zalala krew, więc nie widział wyraźnie prostujących się prędko zwojów węzowego ciała. Poczul uderzenie wielkiej głowy i spadł na kamienie przy potoku. Nie upuścił kostura, mimo to łuska zgasła na chwilę. Garafena wyprostował się nad przybyszem i otworzył paszczę. Z grotów ogromnych zębów skapnęły krople jadu...

- Nie! Garafeno! - krzyknęła Jaga, wspinająca się na górę. - Przestań, Gagano! - Wyciągnęła rękę w kierunku ptaka, który już powracał. - Należy do mnie! Sama chcę go zabić!

- Z drogi, Północnico - syknął gad nieprzyjaźnie. - To nasza sssprawa.

- Ale ja muszę się zemścić! - Wiedźma chwyciła jeden z kamieni leżących na brzegu strumienia - musiał ważyć co najmniej pół puda, ale ona, żadna zemsty, podniosła go łatwo i odwróciła ostrą krawędź w kierunku leżącego Tugarina. W jej szeroko rozwartych z nienawiści oczach zamajaczyła wizja roztrzaskanej czaszki i zmiażdżonego mózgu prześladowcy...

Wtedy czarodziej otworzył zalane krwią oczy i spojrzał prosto na kobietę. Znów mocno zacisnął omdlałe wcześniej palce na kosturze i łuska Zirnytry natychmiast zaświeciła. Srebrzyste grotostrego światła ukłuły w oczy Jagę i strażników źródła. Jęzda krzyknęła i zatoczyła się, kamień wypadł jej z rąk i wpadł do strumienia. Garafena zwinął się z sykiem. Nadlatujący Gagana krzyknął, stracił władzę nad skrzydłami i wpadł na twarde korzeń.

Tugarin usiadł dziarsko i ze wszystkich sił machnął laską. Dosięgnął karku Garafeny. Chrupnęło i łuskowate ciało zaczęło drgać przedśmiertnie. Czarodziej wstał. Z okrwawioną twarzą wyglądał jak dziki szaman ludów północy, który maluje ciało, by wyglądać jak demon. Strzyga padła na kolana, skomląc i zasłaniając oczy zakrzywionymi palcami.

- Dostyc tego, sssuko - syknął, jakby chciał naśladować głos Garafeny. Zamachnął się z całej siły i uderzył jej uniesione ręce. Trzasnęły łamane nadgarstki, chrupnęła miażdżona twarz. Jaga wpadła do strumienia, tryskając krwią. Bezwładnie poturlała się po wygładzonych wodą kamieniach, potem chwycił ją zaskakująco mocny prąd. Ciało wiedźmy ślizgało się w dół po kaskadach, dopóki nie znalazło się na krawędzi cypla nad Smorodiną. Zatrzymało się tam i przez chwilę wyglądało na to, że jego wędrówka się skończyła, ale Jaga ocknęła się i uniosła rozbitą głowę. Wskutek tego ruchu zsunęła się z krawędzi urwiska. Z przerażającym wyciem znikła w głębinie. Dopiero Smorodina ją uciszyła.

Tugarin odwrócił się. Gagana bił skrzydłami o ziemię i próbował wzlecieć. Dawny

najwyższy kapłan Zilanta uniósł kostur i dźgnął ptaka wąskim końcem laski. Potem odwrócił ją i szybkim ruchem zrzucił skrzydlatego strażnika, nabitego na metalowy szpikulec, w ślad za Jagą. Później zwrócił się ku wijącemu się gadowi. Garafena spróbował go ugryźć, ale Drakowicz zręcznie włożył mu koniec kostura do rozwartej paszczy, odwrócił go w dół i przybił dolną szczękę węża do ziemi. Kiedy z kolei górną podważył kosturem, rozległ się trzask i kąciki potwornego pyska rozerwały się, a złamane szczęki osłabły. Ciało niebiańskiego zwierza jeszcze raz zafalowało i znieruchomiało. Wciąż rozwścieczony Tugarin wyciągnął go zza Alatyru i posłał w dół potoku. Zdechły wąż ześlizgnął się po kamieniach na skraj wyspy i wraz ze strumieniem wodospadu spadł do głębiny.

Białowłosy splunął, padł na kolana przy źródle i nabrał wody w dłonie. Już nie było nikogo, kto mógłby go powstrzymać. Pił chciwie, gasząc raczej ból niż pragnienie. Niemal natychmiast miał uczucie, że zamiast wody wypił ogień - lecz ożywczy, nie niszczący. Ciepło rozlało się żyłami po całym ciele. Jego zmysły się wyostrzyły, opadło zmęczenie, w mięśniach zaczęło pulsować. Sięgnął do czubka głowy, ku ranie, i zdał sobie sprawę, że nie dotyka obnażonej czaszki, ale wygojonej skóry. Nawet wyrwany kosmyk włosów znów był na swoim miejscu.

Przez chwilę rozkoszował się wrażeniami, którymi cudowna woda wypełniła nie tylko jego ciało, ale również umysł, po czym się roześmiał. Głośno, zwycięsko i zupełnie szaleńczo.



Kopyta koni bohaterów tonęły w świeżej zielonej trawie i pstrych kwiatach - przeraźliwie żółtych podbiałach i mleczach, fioletowych dzwoneczkach, niebieskich niezapominajkach. Tuż obok kwitły dzikie czereśnie i rajskie jabłonie, a w ich koronach szczebiotały ptaki. Pod dębem, okrytym młodymi liśćmi, całe łany majówek wystawiały kapelusze. Na jednej z łąk drużynnicy spłoszyli stadko saren z młodymi kroczącymi niepewnie na cieniutkich nóżkach.

W okrytych mgłą lasach świata śmiertelników panowała lodowato zimna plucha i szalały wichury, tutaj zaś lekki wiosenny wietrzyk delikatnie gładził twarze zmęczonych bojarów. Nie czuli nawet paskudnego odoru Smorodiny, mimo że opływała całą wyspę. W powietrzu unosiła się odurzająca woń wiosennych kwiatów, jakby czary chroniły Bujan przed wszystkim, co było brzydkie i nieprzyjemne.

Bohaterzy nie rozweselili się, ich wyblakłe oczy nie rozbłysły, zmarszczone czoła się nie wygładziły. Może stałoby się tak w innych okolicznościach, ale nie tym razem. Wszystko

wokół było skąpane w ciepłej jasności lejącej się z wysokiego niebieskiego sklepienia, ale nad drużyną jakby ciągle wisiała chmura, a wojowie nie potrafili oswobodzić się z jej cienia. Przejeżdżali przez rajską wyspę posępni, pogrążeni w milczeniu, nie dostrzegając kuszącego piękna okolicy.

Kiedy znaleźli się na wprost Wielkiego Dębu i od jego podnóża dzielił ich ostatni gaj brzozowy, jadący na czele drużyny Kościej zatrzymał się. Nie musiał nic mówić ani dawać znaku - jego druhowie również ściągnęli wodze.

- Dalej powinienem jechać sam - mruknął, spoglądając na widoczną między brzozami sylwetkę drzewa, które wspierało niebo.

Bojarzy unieśli głowy i wymienili spojrzenia.

- A to dlaczego? - nieprzyjaźnie spytał Mikuła.

Czarodziej zawrócił konia i przebiegł spojrzeniem po zmęczonych, bladych twarzach towarzyszy.

- Tę walkę można wygrać tylko czarami, bracia. - To słowo wciąż brzmiało dziwnie w ustach tego człowieka, w którym nie widzieli najmniejszych śladów Wołcha. - Żelazo, odwaga, sztuka wojenna w starciu z Tugarinem są bezwartościowe. Już się o tym przekonaliście. Nie ma sensu narażać waszego życia. Pojadę tam i sam stawię mu czoło.

- Brednie - odparł Dregowicz, może zbyt gniewnie i ostro. - Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz? Sam nie masz najmniejszych szans z Drakowiczem. Jego kostur jest dwukrotnie mocniejszy niż twój, poza tym na pewno napił się wody z cudownego źródła i zaczerpnął mocy z tego... jak się nazywa...

- Alatyr - dokończył Ilja. - Sielaninowicz ma rację, Kościeju. Poza tym Jaga pewnie ciągle jest z Tugarinem. Zawładnął nią i może ją wykorzystać przeciwko tobie. Jest nieśmiertelna i tym razem nie zapanujesz nad nią za pomocą kostura, bo Drakowicz ma większą moc.

- Nawet razem mamy niewielkie szanse - przyłączył się Jegor. Teraz, w jasnym świetle, nie mogli nie zauważyć, że jego włosy i długa broda w ciągu ostatnich dni wyraźnie posiwiały, niemal zbiełały. - Sam nie masz żadnych.

- Może wymyślimy jakiś podstęp - zaproponował Alosza, ale niepewność w jego głosie świadczyła, że sam za bardzo w to nie wierzy.

- A jakie niby pomysły mogą nam tu przyjść do głowy? - odparł Kościej z ironicznym uśmiechem. - Tugarin wie, że nadjeżdżamy. Wie dokładnie, gdzie teraz stoimy. Pewnie nawet słyszy nasze myśli. Czeka, pewny siebie i dumny ze swojej niezmiernej mocy. Nic już nie wymyślimy. Pozostaje nam bezpośrednie starcie. Twarzą w twarz, kostur przeciw

kosturowi.

- Tak będzie najlepiej - warknął Daniło i wyciągnął zza pasa topór. - Nie wypada mścić się podstępem. Najlepszy jest otwarty atak. Bezlitosna walka w imieniu taty Suchana - głos mu się załamał - w imieniu Koływana, Diwlana, Boroweja i innych.

- Sam chciałem to powiedzieć - zgodził się Ilja. Nałożył tarczę na lewą rękę, a w prawą chwycił Gniew. - Coś mi mówi, że jesteśmy u kresu drogi, bracia. To będzie ostatnia walka. Zginiemy albo my, albo ta czarodziejska gawiedź.

Kościęj znów obrzucił spojrzeniem towarzyszy. Widział ich zdecydowanie, więc tylko westchnął i kiwnął głową.

- Pewnie nie ma sensu dalej wam odradzać...

- Zdzierałbyś gardło na próżno - powiedział Światogor grobowym tonem i dobył Śmierć.

- Dobrze. Spotkam się z Tugarinem w otwartym boju. Postaram się na jakiś czas odwrócić jego czary, żeby nie zapanował nad nami od razu, jak koło Złotej Baby. Jest teraz silniejszy, więc pewnie nie wytrzymam długo. Wy postarajcie się w tym czasie podkraść jak najbliżej i przynajmniej go zranić. W pobliżu może być Jaga, więc najpierw nią trzeba się zająć.

- Jak możemy ją pokonać? - spytał Mikuła. - Jest nieśmiertelna.

- Przypominacie sobie opowieść o Sjudbeju? Jej życie jest zaklęte w złomku bursztynu, który Perun ukruszył z Alatyru. Moim zdaniem, okruch ten został schowany gdzieś w pobliżu. Na pewno ma wielką magiczną moc, więc jest łakomym kąskiem dla zdolnego czarodzieja. Dlatego Jaga schowała go gdzieś, gdzie jest wiele źródeł mocy i czary jednego zaklętego żywota kryją się wśród nich. Gdybym nie musiał walczyć z Tugarinem, sam spróbowałbym go znaleźć, ale w tym wypadku wy musicie to zrobić.

- Świetnie. - Mikuła wydał z siebie dziwny dźwięk. Nie wiedzieli, czy to gniewny warkot, czy niewesoły śmiech. - Myślę, że idziemy na pewną śmierć.

Łowczanin splunął pogardliwie i szturchnął konia piętami.

- Takie głupstwa przecież nas nie powstrzymają. - Użył słów Suchana i bohaterzy ruszyli za nim tak samo zdecydowanie, jak gdyby dodał im odwagi śmiałym bojowym okrzykiem.



Tugarin siedział z podkurczonymi nogami na grubym korzeniu tuż koło pnia. Żelazny Kostur oparł o prawe ramię. Z wyraźnym zainteresowaniem - ale bez niepotrzebnego

podniecenia i zupełnie bez obaw - patrzył, jak bohaterzy wyjeżdżają z brzozowego lasu, zatrzymują konie przed pagórkiem i spoglądają w górę, ku niemu. Już nie czuł gniewu ani rozdrażnienia - teraz nagle wydali mu się śmieszni w tych żelaznych zbrojach i ze swoją naiwną wiarą, że zdołają stawić mu opór.

- Witajcie! - zawołał. - Witajcie na progu zaświatów. Już wkrótce powędrujecie dalej, na drugi brzeg rzeki... o ile nie postanowię pochłonąć waszych dusz. Myślę o tym poważnie już od dłuższego czasu.

- Gdzie Jaga? - dźwięcznie zapytał Kościej. Łuska na Krwawym Kosturze nie obudziła się jeszcze, podobnie jak ta na Żelaznym.

- Nie martwcie się, nie poszczuję jej na was. - Tugarin zaśmiał się. - Wrzuciłem ją do Smorodiny i cuchnący nurt połknął ją na zawsze. Nie cieszcie się jednak zbyt, bo i bez niej będę dla was godnym przeciwnikiem. Właściwie to jestem pewny, że nie macie najmniejszych szans.

- Zabiłeś Jagę? Jesteś pewien? Znalazłeś jej życie i zламаłeś je?

- Jej życie jest zaklęte w Alatyrze, a on należy teraz do mnie. Kiedy na was czekałem, wysysałem jego magiczną moc oraz piłem wodę ze źródła siły i wiecznej młodości. Nie mogę się doczekać, aż rzucę na wasze głowy całą zgromadzoną we mnie lawinę czarów. Zbyt długo mi umykaliście...

- Wprost przeciwnie - warknął ze złością Mikuła. - To ty umykałeś przed nami! Ale stąd już nie uciekniesz, szcurze! Wreszcie wyrównamy rachunki!

Drakowicz roześmiał się szczerze, oparł kostur o korę i wstał powoli.

- To, co słyszę, to tylko beczenie owiec w mocnych wilczych szczękach.

Były wódz gorynyczy pochylił głowę i syknął w stronę towarzyszy:

- Życie Jagi nie jest zaklęte w Alatyrze, to bzdura. Drakowicz się myli. Może zrzucił wiedźmę z wyspy, ale jej nie zabił. Uważajcie, może się tu zjawić w najmniej odpowiedniej chwili!

- Nie wahaj się i podejdź bliżej, Kościeju! - szyderczo zawołał Tugarin. - Widzę, że zostałeś moim niewolnikiem i posłusznie przyniosłeś trzeci złomek łuski Zirnytry. Podejdź i oddaj go. Siła pramatki smoków wreszcie wybuchnie jasnym płomieniem, jak za dawnych czasów!

- Mam już powyżej uszu tego pomiotu szatana! - niespodziewanie warknął Samson Samołowicz. Do tej chwili chował się za pozostałymi bohaterami i niepostrzeżenie przygotowywał łuk do strzału. Teraz uniósł się w strzemionach, błyskawicznie wycelował i posłał w stronę Wielkiego Dębu złowieszczą świszczącą strzałę.

Grot znajdował się ledwie parę łokci od piersi Drakowicza, kiedy czarodziej machnął kosturem i tryskające z łuski światło rzuciło strzałę Ormianina gdzieś między ogromne korzenie.

- Dobra próba! - Tugarin wyszczerzył zęby.

- Teraz, bracia! - krzyknął Kościej i wymierzył w przeciwnika Krwawy Kostur. Od pewnego czasu przygotowywał się w duszy do jak najsilniejszego magicznego ataku - i teraz było to widać. Fala światła, lecąca w górę po grubym korzeniu, uderzyła Suwara tak mocno, że aż się zatoczył. Warknął, ale prędko odzyskał równowagę, Żelazny Kostur zaświecił mocniej.

- Kijóóów! - wrzasnął Jegor i ruszył do ataku.

- Kijóóów! - odpowiedzieli chórem bohaterzy, a do ich krzyku przyłączył się nawet Gudleif z Biełooziera, i razem, podzwaniając żelazem, popędzili konie. Jeszcze u podnóża rozdzielili się na dwie grupy, każda pojechała po innej stronie korzenia, na którym stał Tugarin. Z lewej jechał Jegor, a za nim Alosza i Mikuła, po prawej galopowali Ilja, Daniło, Samson i Gudleif. Im wyżej, tym korzeń był grubszy, więc niedługo wznosił się między nimi jak ściana.

Tugarin zamachnął się kosturem, chcąc zmieść wszystkich jednym uderzeniem magii. Kościej krzyknął śmiało, jego rzadkie włosy się rozwiały, w oczach zaświeciły zielone ognie. Zacisnął palce na rzeźbionym drzewcu Krwawego Kostura tak mocno, że prawie się złamał. Światło tryskające z łuski uderzyło we wszystko oślepiającym srebrnym przypiływem. Kijowski czarodziej zaatakował Drakowicza z taką siłą, że najwyższy kapłan musiał natychmiast stawić mu czoło i na moment zapomnieć o bohaterach. Kostury zaświeciły porażająco, wypływająca z nich jasność zmieniła się w migoczące białe płomienie, a cały pagórek i znaczna część ogromnego pnia znikły w powodzi światła.

Rumaki bohaterów jechały w górę zbocza niemal na oślep, wielkimi skokami wspinały się na stopnie stworzone z płataniny korzeni i kamieni. Podkowy dudniły na korze i dźwięczały na skałach. Ilja już rozpoznawał w górze, pośród wirów światła, sylwetkę Suwara. Mocniej zacisnął dłoń na rękojeści Gniewu. Tym razem musi się udać. Musi!

Wtem kłęb walczących fal magii przeraźliwie zawył i jednolita powódź światła rozerwała się na kawałki, które prędko rozplywały się w powietrzu. Wycie nie ucichło, a bojarzy zrozumieli, że to krzyczy Kościej, spadając z siodła.

Tugarin wrzasnął niezrozumiale. Wreszcie uwolnił się od skupionego naporu wroga i mógł się zwrócić przeciwko bohaterom. Już byli w jego zasięgu. Zatoczył krąg kosturem. Przypiływ magii dosięgnął jeźdźców jak spieniona fala morska podmywająca przybrzeżne

urwisko. Konie padały z rzeniem, ludzie krzyczeli, żelazo zgrzytało o kamienie, kości pękały. Pod Buruszkim ugięły się kolana, a spadający z siodła Ilja zawył wściekle, z rozpaczą. Nie mógł uwierzyć, że znów tak się stało, że znów przegrywają w walce z tym samym upartym przeciwnikiem. Czyżby naprawdę był nie do pokonania?!

Nagle nad pagórkami zawiął inny wiatr. Tak samo silny, ale bez czarów, zwykły prąd pędzący z hukiem powietrza. Szarpnął strzępy poszarpanej odzieży Drakowicza i wmiótł jego białe włosy na twarz. Zaskoczony czarodziej obejrzał się. Bojarzy też patrzyli i wytrzeszczali oczy ze zdumienia.

Zza wyspy, z głębiny, w którą spadały kaskady wody z cudownego źródła, na swych majestatycznych skrzydłach wzleciał Rudrog. Tugarin ani Kijowianie nie przyglądali się jednak samemu potworowi, ale komuś, kto siedział tuż za jego głową, między kolcami na giętkiej szyi. Smoczy jeździec miał na sobie łuskowatą zbroję koloru podobnego, jak skóra Rudroga - czarną z krwawoczerwonym połyskiem. Jego głowę i twarz okrywał dziwny hełm, ozdobiony po bokach ostrymi grotami. Wojownik zerwał się i bez najmniejszych kłopotów z utrzymaniem równowagi stanął na szerokiej głowie bestii. Trzymał w ręku solidną włócznię z grotem ozdobionym groźnymi zębami i hakami. Krzyknął nieoczekiwanie wysokim głosem, na który Rudrog pochylił łeb tak blisko wyspy, jak tylko mógł. Wojownik skulił się i rzucił do przodu. Przebiegł między dwoma rzędami kolców i rogów, po czym odbił się mocno od czoła smoka. Skoczył i jednocześnie z całej siły cisnął włócznię. Broń zaświszczała nad Alatyrem, cudownym strumieniem i pomarszczonymi korzeniami. Tugarin odwrócił się w kierunku jeźdźcy. Jego kostur zaświecił, jednak ku niezmiernemu zdumieniu czarownika grot przeleciał przez magiczną tarczę, jakby w ogóle jej tu nie było, i z całym impetem wbił się w chude ciało Suwara. Ostrze wyszło plecami, krew trysnęła na sążeń daleko. Tugarin nawet nie krzyknął, siła ciosu zaparła mu dech w piersiach, padł bezwładnie w tył, między korzenie dębu. Żelazny Kostur sturlał się ze stoku.

Tajemniczy wojownik zeskoczył na jeden z korzeni, aż jego ciemna zbroja zadźwięczała głośno. Gdyby zwykły śmiertelnik tak skoczył w ciężkim pancerzu, połamałby sobie kości, ale on natychmiast uniósł głowę, jego oczy płonęły w otworach hełmu. Wstając, dobywał broni. W lewej ręce załśnił miecz z metalu równie ciemnego jak cała zbroja, z ostrzem po jednej stronie klingi, a zębami i hakami po drugiej. Jeszcze straszniejszy był widok bicia w prawej ręce jeźdźcy - kiedy smagnął nim zręcznie, kolce na jego końcu wyrwały kilka sporych kawałków z kory Wielkiego Dębu.

Bohaterzy zdali sobie sprawę, że niedawno widzieli podobną broń - i straszliwe podejrzenie, które w tej chwili przyszło im do głowy, po chwili zmieniło się w pewność.

- Nastal czas zemsty, gównojady! - zawołał ciemny bohater dziwnie wysokim głosem.
- Za moje córki!

Wtedy Ilja, który był najbliżej nieznanomego, przyjrzał się uważnie i zauważył, że spod hełmu spływają gęste, kruczoczarne włosy, a napierśnik pancerza wykuto stosownie do kobiecych kształtów.

- Jaga! - krzyknął porażony. - To Jaga!

- Nie! - warknęła. - Znów jestem Północnicą, strażniczką zaświatów! Przyjrzyjcie się mojej prawdziwej postaci, zaznajcie mego gniewu i posmakujcie mego żelaza!

Wróciła. Już nie jako obdarta czarodziejka strzegąca bramy zaświatów, ale jako boska wojowniczką, którą kiedyś była.

Stała przed nimi prawdziwa smocza pani.

Mieli u niej dług, który można było spłacić jedynie krwią.



Z ust Tugarina wydobywał się ohydny charkot, na omszałe kamienie kapiała spieniona krew. Czarodziej wpatrywał się w Żelazny Kostur leżący niżej na stoku, ledwie sążeń od niego, wbijał w ziemię zakrzywione palce i próbował pełznąć do źródła swej mocy. Drzewce wbitej w jego ciało włóczni zaczepiło o płataninę drobniejszych korzeni. Każdy ruch powodował powiększenie rany i silniejszy upływ krwi.

To przecież niemożliwe! Nie może umrzeć w ten sposób! On, który był o krok od tego, by stać się bóstwem, on, który jeszcze przed chwilą upajał się wizją pewnego zwycięstwa, pełnie po ziemi jak przydeptany czerw, a moc wypływa z niego tak samo szybko, jak wcześniej ją wsysał. Musi dać sobie radę! Wystarczy dosięgnąć kostura i obudzić czary potężnej Zirnytry. To postawi go na nogi, a cudowne źródło pod Alatyrem zagoi wszelkie rany...

Obok czarodzieja rozległ się tupot kopyt, a w pobliżu jego głowy ktoś zeskoczył na ziemię.

- Popatrzmy - odezwał się złowieszczym tonem Mikuła. - Czy to nie ten potężny kapłan, który pragnął zostać bogiem? Czemu wiesz się tu jak robak, przyciśnięty kołem wozu na skraju drogi?

Drakowicz dostrzegł kątem oka sylwetkę barczystego mężczyzny, który stał tuż przy nim. Gorączkowo starał się obudzić czary. Ma przecież dość mocy nawet bez tej przeklętej laski!

Nie miał. Boska broń, która przeszła go na wylot, wypuściła z niego całą moc wraz

z krwią. Włócznia była jak żywe stworzenie, chciwie wysysające jego siły żywotne.

Zaskomlał - bezsilny, zrozpaczony i zarazem wściekły. Drapieźnie zakrzywił palce i drapał kamienie.

- Mam przed sobą coś, co ten mędrak Jegor nazwałby dymelatem... czy jakoś tak. - Sielaninowicz mocno przydepnął Tugarina, przez co grot włóczni jeszcze bardziej uszkodził wnętrzności. - Ślubowałem naszemu gosударowi Światosławowi, że przywiozę mu twój gnijący łeb podziobany przez wrony. Obawiam się, że nie dotrzymam słowa i księżę nie ozdobi oparcia swego stolca tym trofeum. Mam bowiem zbyt wielką ochotę zrobić to.

Dregowicz chwycił oburącz stylisko swego młota, uniósł go wysoko nad głowę i uderzył tak mocno, jak tylko mógł.

Głowa Drakowicza pękła jak zgniłe jabłko ciśnięte z całej siły w kamienną ścianę. Kawalki mózgu, oczy, zęby, okruchy czaszki i strzępy skóry z kosmykami białych włosów rozprysnęły się na odległość pół sążnia. Ciało zadrgało i znieruchomiało.

Mikuła starł z twarzy plamę krwi i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że pozostali druzynnicy coś do niego krzyczą.

- Sielaninowicz! - wrzeszczał Jegor. - Nie stój tak! Chłopaki potrzebują pomocy!

Dregowicz usłyszał wrzawę, łoskot i rzenie koni po drugiej stronie grubego korzenia. Jegor i Alosza przełazili z siodeł na pomarszczoną przeszkodę.

Sielaninowicz kopnął bezgłowe zwłoki, zatknął poplamiony młot za pas i zaczął się wspinać na korzeń.

Krzyk po przeciwnej stronie przybrał na sile.



Północnica przebiegła po korzeniu, na który zeskoczyła z głowy Rudroga, odbiła się mocno i zarazem zręcznie jak atakująca wilczyca. Ilja, z tarczą na przedramieniu i Gniewem w dłoni, ale wciąż na kolanach, starał się wstać. Samson błyskawicznie i cudownie celnie strzelił z łuku, ale grot skrzesał tylko iskry o napierśnik Jagi i rozprysnął się na kawałki.

Ciemna wojowniczką doskoczyła do nich i smagnęła biczem. Kolce na końcu rzemienia zaświszczały i omotały się wokół szyi Buruszka, który właśnie w tej chwili przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności - albo może umyślnie? - wpadł między Północnicę a Muromca.

- Buruszko, nie! - wrzasnął Ilja, w tej chwili stojący już na nogach.

Konik zarżał i stanął dęba. Wiedźma prędko szarpnęła bicz i ostre kolce rozcięły szyję Buruszka na pół piędzi głęboko. Konik zarżał tak strasznie, że aż się serce ścisnęło,

i w deszczu własnej krwi padł w tył, uderzając rumaka Gudleifa. Tym samym rzucił go wraz z jeźdźcem z powrotem na stok. Konung zaczął miotać wareskie przekleństwa.

- Niecee! - zawył Ilja. - Ty suko!

Odpowiedzią był krwiożerczy śmiech. Samson znowu wystrzelił, ale kiedy strzała odbiła się od hełmu Jagi, która nawet się nie zatoczyła, odrzucił łuk i dobył miecza o zakrzywionej, zaostromej tylko z jednej strony klindze.

Pierwszy dotarł do Północnicy Daniło, siedzący na grzbiecie swego konia. Woj znajdował się zbyt blisko, by jędrza mogła użyć bicia, więc mieczem sparowała cios jego topora. Lewą ręką posługiwała się tak samo zręcznie jak prawą - pierwszym druzgocącym ciosem odbiła broń Łowczanina, aż ten zachwiał się w siodle, drugim zaś rozcięła mu kolczugę na prawym boku, jakby nie była spleciona z żelaznych, lecz łykowych kólek. Trysnęła krew i Daniło z krzykiem spadł z siodła.

Wtedy już podbiegł Ilja, wcielenie siły i wściekłości. Północnica smagnęła biczem. Kolce nieszkodliwie zadźwięczały o okucie tarczy Muromca. Bohater pokonał resztę dzielącej ich odległości i uderzył.

Gniew i zębaty czarny miecz zderzyły się z ogłuszającym łoskotem, jaki mogły wydać tylko główne wykute na boskich kowadłach.

Jegor, Mikuła i Alosza zeskakiwali właśnie z korzeni i ile sił w nogach biegli druhom na pomoc.



Po upadku z konia Kościej przez chwilę łapał dech i walczył z mdłościami, ale wreszcie się ocknął i za pomocą wbitego w ziemię Krwawego Kostura wstał chwiejnie.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by zorientować się w sytuacji. Przed nim leżały okaleczone zwłoki Tugarina, a kawałek dalej Żelazny Kostur walał się jak bezwartościowy śmieć. Łuska Zirnytry była matowa i czekała spokojnie, aż połączy się z ostatnim kawałkiem i wyleje się z niej rzeka smoczyc czarów...

Kościej spojrział na prawo od korzenia. Właśnie tam bohaterzy ze wszystkich sił walczyli z Północnicą. Dźwięczało żelazo, w powietrzu unosiła się krwawa mgła. Czarodziej usłyszał rozdzierający, bolesny okrzyk Mikuły. Po chwili Sielaninowicz wypadł z wojującej gromady i stoczył się parę łokci ze stoku, pozostawiając za sobą krwawy ślad.

Były przywódca gorynychów znów spojrział na Krwawy Kostur. Serce biło mu żywo z pragnienia, by połączyć kawałki łuski i sprawdzić, co się stanie... Ale teraz drużyna potrzebowała pomocy. No i co z tego? - krzyczał jego głos wewnętrzny. - Niech Jaga ich

pobije, przynajmniej nie będą przeszkadzać. Co będzie, jeśli nie zechcą dopuścić, byś połączył okruchy? Już przecież mówili, że boją się twego pragnienia mocy!

Przestąpił z nogi na nogę. Nawet jeśli zyska całą moc Zirnytry, może nie poradzić sobie z Północnicą. Znowu stała się boginią i była niezwykle niebezpieczną przeciwniczką.

Musi ją zniszczyć, i to zaraz, dopóki jest zajęta zemstą na bohaterach. Miał wyjątkową okazję, by znaleźć jej zaklęty żywot.

Nie ociągał się dłużej i pobiegł w prawo, gdzie między korzeniami, na górze stoku, magiczne światło Alatyru jaśniało jak złotawa mgła. Był pewien, że Jaga ukryła swoje życie tam, gdzie magiczna moc bursztynowego okruchu była trudna do wykrycia - czyli pośród innych źródeł czarodziejskiej siły.



- Gudleifie, uwaga! Broń się! - wrzasnął Jegor w stronę bieloozierskiego konunga. Wareg chciał wykorzystać okazję, że Północnica, dzierżąca w lewej ręce zębaty miecz, powstrzymywała nacierającego Muromca, i zaatakować ją z prawej strony. Ale Jaga jakby miała oczy z tyłu głowy. Silnym ciosem w tarczę zmusiła Ilję do cofnięcia się, spojrzała na Asgrimssona i uderzyła batem. Okuty rzemień owinął się Waregowi wokół szyi. Gudleif zacharzał i spróbował przeciąć bicz mieczem, ale bestia w ciemnej zbroi była szybsza. Szarpnęła z całych sił.

Ohydny dźwięk mięsa rozdieranego żelaznymi szponami zmieszał się z głośnym chrupnięciem karku. Głowa wojownika Północy poleciała wysoko, z rozerwanej szyi trysnęło rubinowe źródło.

- Ty gnido! - warknął Jegor, przebiegł przez ulewę wareskiej krwi i zamachnął się Śmiercią.

Jędza znowu zręcznie i z zaskakującą siłą odrzuciła Muromca, po czym smagnęła Światogora batem. Siwy bohater skulił się i nastawił lewą rękę. Najeżony ostrzami rzemień owinął się wokół przedramienia. Ostrza przebiły rękaw kolczugi, krew polała się na żelazne kółka, ale Jegor nie czekał, aż Północnica urwie mu rękę. Wyprostował się błyskawicznie, precyzyjnie wymierzył cios i przeciął bicz Śmiercią. Uzbrojona w metalowe ciernie końcówka spadła na ziemię jak martwe zwierzę.

Wiedźma zakłęła. Ilja wykorzystał jej chwilową nieuwagę i z całej siły ciął, mierząc między głowę a ramię. Zadźwięczało tak, że bohaterzy na chwilę ogłuchli. Iskrzący Gniew pozostawił w boskiej zbroi długą szczelinę. Trysnęła krew i Północnica się zatoczyła. Jegor chciał ją ciąć z drugiej strony, ale smagnęła go skróconym batem w twarz i powaliła na

ziemię, zalanego krwią tryskającą z rozsiekanego policzka i ust. Potem puściła rączkę bicia, zręcznie uniknęła kolejnego ciosu Ilji, przerzuciła miecz do prawej ręki i uderzyła nim w tarczę Muromca. Z okucia na jej brzegu, którego żadna ziemaska broń nie mogła uszkodzić ani nawet zadrapać, odpadł kawałek długości pół piędzi, a tarcza pękła aż do umba. Bohatyr wybałuszył oczy i zatoczył się w tył.

Północnica skuliła się i skoczyła. W powietrzu zrobiła obrót w tył i wylądowała na wysokim korzeniu. Alosza strzelił w jej stronę - mierzył w szczelinę między hełmem a metalowym kołnierzem łuskowatej zbroi, ale ona niemal z pogardą odbiła strzałę mieczem. Krwawienie już ustało - rana na ramieniu zagoiła się natychmiast. Napierśnik unosił się w rytm szybkiego oddechu, co świadczyło o tym, że bohaterzy ją zmęczyli, ale to nie mogło się równać z pogromem, którego dokonała - Gudleif nie żył, a Mikuła i Daniło leżeli we krwi. Pozostali również byli poranieni, oddychali z wysiłkiem i garbili się, jakby ich zbroje stały się kilkakrotnie cięższe i wbijały ich w ziemię. Na stoku dogorywał Buruszko - wierzgał nogami, bił kopytami o kamienie i korzenie, jakby chciał odpędzić od siebie śmierć.

- Gdzie, u licha, jest Kościej? - Jegor splunął krwią, która płynęła mu z rozciętego aż do zębów policzka. Czerwony strumyk ściekał też po długiej brodzie, jakby chciał zamaskować starczą siwiznę. - Przydałyby się nam jego czary...

- Pewnie zajął się kosturem Tugarina - warknął Ilja, zaciskając palce na rękojeści Gniewu. - Ma to, czego chciał, my już się nie liczymy. Właśnie tak, jak się spodziewaliśmy.

Strzyga wywinęła młynka mieczem i skuliła się jak drapieznik tuż przed atakiem. Już odzyskała oddech i miała zamiar znów rzucić się między bohaterów. Jej ciemną sylwetkę otaczało złotawe światło płynące zza korzenia, na którym stała. Tam właśnie znajdował się bajeczny Alatyry.

- Skończmy to, psy - zabrzmiało spod czarnego hełmu.

Bojarzy przybrali pozycje bojowe. Nagle za Jagą zachrzęściły kamienie. Obejrzała się zaskoczona.

- Ty?! - zawyła z nienawiścią.

Po chwili się odwróciła, zeskoczyła z korzenia i znikła z oczu zaskoczonych bohaterów. W tej chwili zza Alatyru wystrzeliło srebrzyste światło - tak prędko, że zupełnie połknęło złotą jasność świętego kamienia. Zabrzmiało głośnie uderzenie, Północnica wrzasnęła i nagle wszystko ucichło.

- Kościeju? - zawołał Ilja.

- Tu jestem... - usłyszeli przerywany, zdyszany głos. - Potrzebuję... pomocy...

Ruszyli w stronę zapory z korzenia. Ilja pomógł się wspiąć pozostałym, dosłownie

podrzucił ich, po czym z ich pomocą również wspiął się na górę. Ujrzeni Alatyr, zasadzoną pod drzewem ogromną kroplę bursztynu, i na źródło, z którego woda ściekała po stromym zboczu w tył, w stronę urwiska i w białawym wodospadzie opuszczała Bujan. Przede wszystkim jednak zobaczyli Kościeja klęczącego koło potoku. Krwawił z głębokiej szramy rozcinającej ramię i górną część piersi. Krwawy Kostur leżał koło niego. Drzewce było złamane na kilka najeżonych drzazgami kawałków. Wiedźma leżała trochę niżej, z rozrzuconymi rękoma i nogami. Nie ruszała się. Czarny miecz spadł między mokre kamienie.

- Kościeju! - zawołał Ilja i skoczył ku cudownemu strumieniowi. Pozostali prędko szli w jego ślady.

- To się... zagoi... - wychrypiął czarodziej, nabrał w zakrwawione dłonie wody z potoku i napił się, siorbiąc.

Skutek działania cudownej wody był natychmiastowy. Rana przestała krwawić i zasklepiała się.

- Nie stójcie tak... Obaliłem Jagę kosturem, ale lada chwila się ocknie... Musimy znaleźć jej życie... Na pewno jest blisko Alatyru...

Ilja i Alosza bez zbędnych pytań ruszyli w stronę świętego kamienia.

- Samsonie. - W oczach Jegora załśnił zbawczy pomysł. - Nabierz trochę wody! Możesz ocalić pozostałych. Kościeju, prawda, że to możliwe?! - W jego głosie pobrzmiwała rozpaczliwa nadzieja.

- Nie ożywi martwych, ale dopóki w człowieku tli się choćby iskierka życia, woda uleczy nawet najgorsze rany.

- Nabrać? - Samojłowicz rozejrzał się bezradnie. - Ale do czego?!

- Wleź na korzeń! - rozkazał Światogor i zerwał hełm z głowy. Ormianin zrećnie wspiął się z powrotem, a siwy druzynnik napełnił szłom wodą ze źródła i podał go druhowi. - Na wszystkich świętych, tylko nie rozlej! Musi wystarczyć dla wszystkich!

- I dla Buruszka! - zawołał Ilja, a głos mu się załamał z obawy o życie konika.

Samson tylko skinął głową, usiadł i zsunął się na przeciwną stronę korzenia.

- Mam coś! - zawołał Alosza, pchający się gdzieś za Alatyr. - Tu jest dziura w ziemi...

- Uwważaj! - ostrzegł Kościej. - To gniazdo węża Garafeny, strażnika źródła...

- Jest puste... Czeka!

- Co?!

Muromiec wpełznął się koło Aloszy i wetknął Gniew do otworu. Klinga zadźwięczała o coś metalowego. Przerzucił miecz do lewej ręki, padł na kolana i sięgnął do dziury. Przez

chwilę macał, a potem pociągnął mocno.

- Co to?! - niecierpliwie huknął Jegor. Spoglądał nerwowo to na Alatyr, to na Północnicę. Widział, jak strzyga porusza ręką i maca palcami w poszukiwaniu rękojeści miecza.

- Skrzynka - odparł Ilja i po chwili wyciągnął zza wielkiej bryły jantaru niepozorną, ubrudzoną gliną i bardzo ciężką metalową szkatułę.

- To na pewno ona! - ucieszył się czarownik. - W niej musi być schowane życie Jagi!

- Zamknięta! - Alosza jęknął, patrząc na masywny zamek, który warstwa rdzy dawno złączyła z wiekiem i obręcała na dolnej części, zmieniając w jedną grudę.

Muromiec odłożył tarczę, oburącz chwycił Gniew, zamachnął się i uderzył. Zadźwięczało, zaiskrzyło i zamek odleciał wraz z kawałkiem wieka.

W tej chwili Jaga złapała rękojeść czarnego miecza i uniosła głowę w kolczastym hełmie.



- Ruszcie się! - krzyknął Jegor, zwrócił się w stronę wstającej Północnicy i wznosił Śmierć.

Ilja niecierpliwie zanurzył palce w wybitej dziurze i jednym szarpnięciem oderwał przyrdzewiałe wieko.

- Neeee! - zawyła Jaga, skoczyła na równe nogi i ruszyła w górę stoku.

Muromiec, Alosza i Kościej patrzyli z otwartymi ustami na zawartość skrzynki.

- Co to, kurwa, jest... - wychrypiał czarownik.

W skrzynce stała dzika kaczka na niezgrabnych nogach. Zaszleściła szaro-brązowymi piórami i potrząsnęła głową z jaskrawym dziobem. Mimo że siedziała w środku całe stulecia, była żywa, zdrowa i... wyglądała zupełnie zwyczajnie. Rozejrzała się i zakwakała, jakby chciała zapytać, czy dostanie jeść.

Śmierć i miecz jędzy uderzyły o siebie z przenikliwym brzękiem.

Kaczka złękła się, z zaskakującą siłą odbiła się błoniastymi nogami od dna szkatuły, zamachała skrzydłami i wzleciała.

- Nie! - zawył Kościej. - To jest w niej! Aloszo!

Książewicz spiesznie uniósł łuk, sięgnął do kołczanu i nałożył strzałę na cięciwę. Kaczka wlatywała coraz wyżej wzdłuż majestatycznego pnia Wielkiego Dębu, jakby chciała się dostać aż do świata bogów w jego koronie.

- Aloszooo!

Ulicz spojrzął, wycelował, wstrzymał dech i...

Cięciwa zadźwięczała.

Strzała przebiła ptaka na wylot.

Wiedźma wrzasnęła, w rozpaczliwym przyptywie sił odbiła miecz Jegora i przecięła mu pancerz na brzuchu, aż żelazne łuski i strzępy kolczugi poleciały na wszystkie strony. Siwy bohater padł na kolana, jego uda i pachwiny spłynęły krwią.

Kaczka wpadła prosto do strumienia. Natychmiast porwał ją drapieżny prąd. Woda niosła zabitego ptaka na skraj urwiska. Północnica rzuciła się w jej stronę w tej samej chwili co Ilja.

Truchło kaczki ześlizgnęło się na skraj wzgórza i wydawało się, że jeszcze chwila, a porwie je wodospad i zdobycz zginie w głębinach. Jednak lotki strzały w ostatniej chwili zaczepiły o splot cienkich korzeni i ptak zatrzymał się pięć od krawędzi.

Ilja stał się z Jagą w połowie stoku. Gniew i czarny miecz zderzyły się mocno. Muromcowi ujechał spod nogi jeden z kamieni na skraju strumienia. Bohater upadł i sturlał się ze stoku. Północnica również straciła równowagę i spadła za nim.

Bojar runął plecami na wąską, wygładzoną przez wodę powierzchnię na skraju urwiska. Pod nim szumiał wodospad, a głęboko w dole bulgotał smorodiński muł. Wiedźma zatrzymała się na Ilji, uniosła się na lewej ręce, wspartej o jego szeroką pierś i zamachnęła się prawą ręką z zębatym mieczem.

Muromiec kopnął mocno. Strzyga z wrzaskiem przeleciała mu przez głowę i spadła w głębinę. Gwałtowny ruch sprawił, że sam drużynnik ześlizgnął się z krawędzi wyspy. W ostatniej chwili zdążył złapać lewą ręką płataninę korzeni, tę samą, o którą zawadziła strzała Aloszy. Zawisnął na nim i zmącił nogami wodospad.

W prawej ręce ciągle ścisnął Gniew. Uniósł się, wrzucił miecz na bezpieczne miejsce między kamieniami na stoku i oburącz złapał się korzeni. Cieńsze zaczęły pękać pod ciężarem rosnącego mężczyzny w pełnej zbroi. Wiedział, że musi się pospieszyć.

Zacisnął zęby, napiął mięśnie i dzięki nadludzkiej sile, zwiększonej jeszcze pragnieniem zachowania życia, wdrapał się z powrotem na śliską, zdradliwą, ale raczej bezpieczną powierzchnię nad wodospadem. Odpelzł jak najdalej od krawędzi. Dysząc, uniósł się na kolana i ostrożnie spojrzął w dół.

I zaklął.

W stronę Bujanu ze świstem skrzydeł znów leciał Rudrog. Północnica siedziała na jego karku i wskazywała kierunek.

Ilja złapał kaczkę i wyrwał z niej strzałę.

- Otwórz ją! - krzyknął Kościej spod Alatyru.

Muromiec sięgnął po Gniew i przejechał martwym ptakiem po wiecznie ostrej klindze. Na jego ręce trysnęła krew.

Rudrog zbliżał się bardzo szybko. Bohatyr słyszał już jego warczenie i wypełniony nienawiścią krzyk Północnicy. Włożył rękę do rozciętej kaczki i wyrwał jej wnętrzności. W krwawym strzępie coś zalśniło metalicznie, żółto. Wyjął to, a wypatroszonego ptaka wyrzucił.

Trzymał w ręku jajko. Niezwykle duże i ze złotą skorupką - świadczyła o tym jego waga.

- Rozbij je! Prędko! - wrzeszczał Kościej.

Smok wzniósł się nad skraj wyspy, Ilję uderzyły porywy powietrza wywiewanego spod ogromnych skrzydeł. Jaga dostrzegła złote jajko w rękach wojownika i jej okropny wrzask jeszcze przybrał na sile.

Ilja prędko uderzył jajkiem o najbliższy kamień. Pękło. Trzasnął jeszcze raz, potem rozciągnął palcami metalową skorupkę i wyjął z białka ostry, cienki, długi mniej więcej na trzy palce okruch bursztynu. Spojrzał na niego ze zdumieniem.

Po chwili uniósł wzrok i na smoczym karku zobaczył duszącą się z nienawiści wiedźmę. Wyszczerył zęby w zwycięskim uśmiechu, chwycił okruch kciukami i palcami wskazującymi obu rąk. Miał zamiar złamać go na jej oczach. Przeszywała go zrozpaczonym spojrzeniem spod ciemnego hełmu...

W tejże chwili wszystko wokół utonęło w oślepiającym złotym świetle, lejącym się skądś z góry - jakby z korony Wielkiego Dębu nagle wyrzało słońce, aż do tej chwili skrywające się wśród listowia...

Wydawało się, że czas zwolnił. Bicie smoczych skrzydeł osłabło, dźwięki wyciągnęły się do głębokiego mamrotania, a jednolity prąd wody pod urwiskiem zmienił w tysiące pojedynczych kropli, podobnych do sypiących się kamieni szlachetnych.

- Wstrzymaj się, Iljo! - zabrzmiał delikatny, ale przy tym stanowczy żeński głos.

- Aż do tej chwili pozwoliłyśmy wam działać po waszemu, ale na to nie możemy wyrazić zgody - dodał drugi, bardzo podobny głos. Oba rozbrzmiewały z dziwnym brzęczącym echem, jakby dobiegały z zupełnie innego miejsca.

Muromiec, ciągle klęczący na skraju bujańskiego urwiska, ze zdumieniem podniósł wzrok. Na skalnej krawędzi po obu jego stronach stały dwie niezwykle piękne istoty. Oślaniało je oślepiające światło, ale mimo to zauważył, że jedna ma włosy jak ze złotych włókien, a okrywa ją pysznie wykuta zbroja z czystego srebra. Włosy drugiej lśniły niczym

złotoruda miedź, a jej pancerz i hełm były wykute z czystego złota.

Jutrzenka i Wieczernica - pomyślał, przejęty świętą bojaźnią, od której drżało serce.

- Tak, to my. - Złotowłosa kiwnęła głową i wyciągnęła ku niemu rękę. - Daj nam ten kawałek bursztynu.

Zawahał się.

- Północnica już was nie krzywdzi, ślubujemy - dodała Jutrzenka.

Wziął głęboki wdech i... usłuchał. Kiedy kładł okruch z życiem Jagi na dłoni Zorzy, koniuszki ich palców zetknęły się na chwilę. Przez jego ciało i świadomość przeleciała gorąca fala niezmiernej mocy.

Rudrog machnął skrzydłami, których cień wdarł się na chwilę do zalewającej wszystko boskiej jasności.

- Oddajcie mi go! - zajazgotała wiedźma. - I wydajcie mi te śmiertelne czerwie. Zamordowali moje córki i muszą za to zapłacić!

- Nie, siostrzyczko! - zdecydowanie odparła rudowłosa Zorza Wieczorna i złotawa tarcza znów przybrała na sile. - Oddaliśmy ci twoją zbroję i dawne umiejętności, byś powstrzymała smoczego czarodzieja! On był dla nas niebezpieczny. Ci zwykli ludzie nie są!

- Przekroczyli granicę światów i obrazili bogów! Przecież nie pozwolicie im wrócić do krainy śmiertelników?!

- Dlaczego nie? Ich los dopełni się gdzie indziej - nie widziałaś przyszłości w Alatyrze? A twoje życie - Wieczernica spojrzała na okruch w rękę złotej siostry - oddamy naszemu ojcu. On zdecyduje, co z tobą zrobić. I wybierze karę.

Ruda Zorza dobyła miecz, przypominający kawałek słonecznego promienia, i zamachnęła się nim na głowę Rudroga. Zahuczało jak wtedy, gdy pozornie wygasłe ognisko nagle wybucha płomieniem. Tajemna siła rozerwała zbroję Jagi - czarne kawałki poleciały na wszystkie strony. W tej samej chwili smok boleśnie szarpnął głowę i Północnica, zupełnie naga, blada, zziębnięta i bezsilna, spadła z jego szyi i z cichnym skomleniem poleciała w głąbinę. Ciemna powierzchnia Smorodiny połknęła ją, nawet się nie marszcząc.

- Uważaj, Iljo. - Wieczernica spojrzała na Muromca. - Nasz ojciec ci sprzyja, czego dowodem jest ta boska broń, ale dobrze przemyśl, co chcesz osiągnąć! Już nigdy nie wchodź do świata bogów! Twoim zadaniem jest zdobyć sławę wśród śmiertelników. Rozważnie korzystaj z boskich darów i niezwykłej siły, inaczej zwrócą się przeciwko tobie. A wtedy znów zaznasz cierpienia i poniżenia, w którym dorosłeś!

- Czyli to prawda - westchnął wojownik - że ta zbroja i miecz to dar samego...

Nie dokończył pytania. Obie Zorze bez pożegnania uniosły się z krawędzi urwiska

i znikły w przybierającej na sile jasności. W chwili gdy światło osiągnęło nieznośną moc i bohater musiał zakryć oczy dłońmi, zgasło i wszystko wokół było takie, jak przedtem.

Muromiec rozejrzył się ostrożnie. Nigdzie ani śladu Rudroga, Północnicy, a tym bardziej innych Zórz. Obejrzał się. Kościej i Alosza stali koło otwartej skrzynki. Jegor klęczał na brzegu cudownego strumienia i pił wodę ze złączonych dłoni. Rany goiły się na nim w okamgnieniu. Samson, Mikuła i Daniło, zdrowi i w pełni sił, wdrapali się na korzeń. Wszyscy ze zdumieniem spoglądali w dół, na Ilję. Muromiec sam wytrzeszczał oczy, starał się uciszyć burzę myśli i uczuć, które huczały w nim dziko. Wydawało mu się, że nie da rady wstać.

Potem gdzieś między korzeniami Wielkiego Dębu przenikliwie zarżał Buruszko i Ilja wrócił do rzeczywistości. Zaśmiał się wesoło, złapał odrzucony Gniew i wstał.

Samson zdążył.



W Górach Północnych padał śnieg. Najpierw w powietrzu zawirowało kilka samotnych płatków - polatywały nieśmiało nad stromymi stokami i opadały lekko na ciemnozielone drzewa. Wrony i kruki, gniewnie bijące dziobami zamarznąłą padlinę koło na pół obalonej palisady, przywitały je nieprzyjaznych krakaniem. Potem dmuchnął wiatr - mocno, jakby sam Wojpel przybył z lodowego pałacu na szczytach Uralu i w pełnym galopie rozpruł niewidzialną klingą brzuchy ciężkich chmur. Gęsta śnieżycą wysypała się z nich niczym pierze z rozdartej poduszki, a ciemna zieleń świerków na zboczach zaczęła znikać pod grubiejącą białą kołdrą.

Dziwna chatka w niszy pod potężną górą zaskrzypiała, uniosła się na ożywionych czarami korzeniach i obróciła się wokół własnej osi. Z wejścia wylała się świecąca, zielonkawa mgła, a z niej zaczęli się wynurzać ludzie prowadzący konie za uzdy.

- Co my tu mamy - zrzędził Mikuła, kiedy wilgotna, biała pokrywa zachrzęściła pod jego stopami. - Przyszła do nas zima, niech ją diabli. Zasypie drogi, uniemożliwi przejście, a my aż do wiosny będziemy siedzieć po próżnicy u Czudów i drapać się po jajach.

- Chciałbym mieć twoje zmartwienia... - Daniło przeszył go spojrzeniem. - Właśnie cudem wyszliśmy ze świata, w którym smoki latają nad rzeką zgnilizny i ukazują się niezwyciężone boskie wojowniczkę, a ty się martwisz śniegiem? - Łowczanin westchnął głęboko. Nie musiał wymawiać jego imienia, by wiedzieli, że myśli o biednym Suchanie. - Na wszystkich bogów, bracia, to było jak sen. Zły sen. Powiedzcie, to się stało naprawdę czy może ciągle jeszcze siedzimy w chatce czudzkiego kolduna i rzucamy się w szalonych

wizjach, bo domieszał nam do picia jakichś cudownych grzybków?

- Wszystko mi jedno - ostro odparł Jegor. - Chcę tylko znowu znaleźć się w ciepłym, suchym miejscu, dostać kubek miodu albo grzanego piwa. Jestem zmęczony jak wół roboczy po całodziennym orce.

- Rzeczywiście - wtrącił Ilja. - Nie jestem pewien, czy te miesiące, które zostały do wiosny, wystarczą, żebyśmy porządnie odpoczęli.

- Nie ciesz się tak na odpoczynek, synku. - Światogor natychmiast się ożywił. - Obiecałem ci, że przez zimę dokończymy naukę szermierki.

- I strzelania z łuku - dodał Samson Samojłowicz. - Na razie marnie ci idzie.

- Za to Alosza świetnie sobie radzi - Muromiec mruknął z uznaniem. - Książewiczu, pewnie ocaliłeś nas wszystkich.

- Nie przesadzaj, bracie. Nikt z nas nie stał z boku i nie dłuwał w nosie.

- Prawda - zgodził się Jegor. - Tworzymy drużynę jak się patrzy. Jestem z was dumny, chłopcy. Nawet z tego, w którego najbardziej wątpiliśmy.

Jak na rozkaz odwrócili się i patrzyli w milczeniu, jak z przejścia między świątami wychodzi Kościej. Trzymał w ręku Żelazny Kostur. Wyprostował się, odwrócił czołem do chaty, uderzył laską o ziemię i zawołał:

- Odwróc się, chałupko! Czołem do wzgórza, do mnie tyłem!

Chatka jęknęła, zaskrzypiała i odwróciła się pomału. Z choiny na dachu posypał się świeży śnieg. W końcu ściany opadły z hukiem, a korzenie, które je podtrzymywały, wsunęły się pod śnieg. Nastąpiła cisza, zakłócana tylko szumem wiatru na zarośniętych stokach i cichym szelestem opadających płatków.

Kościej odwrócił się i odkrył, że sześciu bohaterów patrzy na niego pytająco. Nie speszył się ani nie zawahał, sięgnął pod potarganą odzież i wyjął z zanadrza złomek srebrnej łuski, pochodzącej ze zniszczonego Krwawego Kostura.

- Już czas - powiedział.

Bojarzy spochmurnieli, na ich twarzach odmalowały się wątpliwości.

- Nie jestem pewien, czy ci na to pozwolimy - mruknął najstarszy z nich.

- Wszystko do tego zmierzało. Cała nasza wędrówka, wszystkie walki, polegli druhowie...

- Mylisz się, chłopcze. Walczyliśmy i ginęliśmy po to, by do tego nie doszło.

- Właśnie tak - dołączył Mikuła, który miał na twarzy wypisany niepokój, a także wrogość. - Powinniśmy byli zostawić tę rzecz tam, na Bujanie. I tak nie należy do naszego świata. Gdyby jej nie było, nie doszłoby do tego wszystkiego. Siedzielibyśmy na poduszkach

w bułgarskim pałacu i wlewali w siebie słodkie wino. Suchan, Koływan, Diwlan i Borowej piliby z nami. Bragi Halvorsson nie gnąłby na dnie czeremiskiego mokradła, a Gudleif może by wrócił nad Jezioro Białe. Ta rzecz wyrządziła zbyt wiele szkód.

- Nie zapominaj o tym, że kilka razy ocaliła wam życie, ani o tym, że droga powrotna do Bułgaru prowadzi przez mokradła biesów, czudzkie lasy, wiedzie też niebezpiecznymi czeremiskimi ścieżkami... Bez czarów polegnie nas jeszcze więcej, może nawet nikt z was nie przejrzy się już w pofalowanej powierzchni Itilu.

- Jakoś sobie poradzimy - rzucił Ilja.

- Poza tym - dodał Mikuła i zmrużył oczy - boimy się nie tyle smoczej łuski, ile ciebie, Kościeju. Gdyby chodziło o Wołcha, bez wahania pozwolilibyśmy, by przebudził moc Zirnytry, ale ty... jesteś kimś innym. Twoje serce zżera ciemność. Wiesz o tym, sam to przyznałeś.

- A jeżeli - czarownik spojrzał mu prosto w oczy - właśnie to jest światło, które rozjaśni ten mrok? Nie przyszło wam do głowy, że pragnę mocy Zirnytry, by wreszcie pomogła mi stać się tym, kim byłem przedtem?

To uciszyło bohaterów, ale nie rozproszyło chmur na ich twarzach.

- Te kawałki - ciągnął Kościej, obracając w palcach mniejszy z błyszczących srebrno złomków - miały chronić ludzi przed dzikością synów Zirnytry, ale czas smoków się skończył. Zilant nie żyje, Goryn jest zaklęty na wieki w jakiejś nowogródzkiej górze, a Rudrog już nigdy nie opuści zaświatów. Smocza magia, rozdzielona na trzy części, spełniła swoje zadanie. Może już czas znów ją połączyć? Jeśli my tego nie zrobimy, za jakiś czas spróbuje ktoś inny. Wiecie, ilu jest na świecie takich marzących o potędze Tugarinów? A Baba Jaga ciągle żyje, wróci, nim się obejrzyście. Gdziekolwiek schowamy łuskę, znajdzie ją. Nawet gdybyśmy ją wrzucili do Smorodiny, Rudrog by ją dla niej wyłowił. Nie, bracia, ta rzecz nie jest nigdzie bezpieczna. Zniszczyć jej nie można, ukryć nie ma gdzie, więc jedyne, co można zrobić, by nikt nie wykorzystał jej do niecznych celów, to zawładnąć nią. Tylko ja jestem w stanie to zrobić. Zapłaciłem za to cierpieniem w lochach Koksziagi, zapłaciłem też za przegraną na suwarskim Zilantawie. To moja nagroda, moje odszkodowanie.

Drużyna w milczeniu przewiercała go wzrokiem.

- Jaką mamy pewność - po długiej chwili odezwał się Sielaninowicz - że to ty zyskasz władzę nad tą niezmierną mocą, a nie odwrotnie? Co będzie, jeśli jej ulegniesz? Po czym poznamy, że nie zaraziłeś się złem Tugarina i że to nie jest podstęp, że nie staniesz się potworem, w którego zmieniłby się Drakowicz? Powiedz, czy mamy pewność?

- Nie macie - przyznał czarodziej. - Ale polegam na was, bracia. Wierzę, że na czas

zauważycie budzące się zło i zrobicie, co będzie trzeba...

- Bądź pewien, że będziemy cię uważnie obserwować - odezwał się Ilja i postąpił krok do przodu, zaciskając dłoń na rękojeści Gniewu. - Przy najmniejszych oznakach, że zamierzasz użyć mocy Zirnytry przeciwko nam...

- Albo przeciw Kijowowi - dodał Jegor.

-...tym mieczem, wykutym na kowadle Peruna - Muromiec obnażył klingę - bez miłosierdzia wytnę ci serce z ciała. Przysięgam ci to, Kościeju, tu, przy wszystkich!

Oszpecony mężczyzna poważnie pokiwał głową.

- Uważam to nie za ostrzeżenie, ale za obietnicę przyjaciela. Jeśli ciemność zyska nade mną władzę, sam cię poproszę, byś skończył ze mną bez chwili wahania.

Kościej zbliżył trzeci okruch do głowicy Żelaznego Kostura. Oba kawałki łuski natychmiast zaświeciły. Rumaki bohaterów zaczęły parskać ze strachu i szarpać uzdy, a zaniepokojeni mężczyźni ustąpili.

Błady mężczyzna przytknął złomek do miejsca, z którego go oderwano. Łuna zamigotała i łuska Zirnytry natychmiast się zrosła, nie pozostawiając najmniejszej blizny po dawniejszym złamaniu. Nadprzyrodzona jasność przybrała na sile. Bojarzy zakryli oczy. Kostur zaczął drżeć, pod Kościejem ugięły się kolana i czarodziej ukląkł z bolesnym skowytem. Ilja mocniej chwycił rękojeść Gniewu, ale nie odważył się zbliżyć, wprost przeciwnie, cofnął się.

Żelazny Kostur zadzwonił przeraźliwie. Na całej długości pojawiły się pęknięcia, jakby był ze świeżo wypalanej gliny i ktoś polał go zimną wodą. Z metalowej smoczey łapy odłamały się dwa pazury i łuska wysunęła się z objęć ciemnego metalu. Kościej puścił pękające resztki łuski i chwycił spadający płat srebra.

W tej chwili z łuski smoczey pramatki trysnęło stukrotnie jaśniejsze światło, zaalało wszystko wokół. Czarownik zawył z bólu, jakiego nigdy nie zaznał zaden śmiertelnik. Bohatryrzy odwracali się, uciekali z krzykiem, potykali i przewracali. Kruki zlatywały się z nieba. Nadprzyrodzony wiatr wiał przez dolinę w stronę moczarów, zmieniając śnieżycę w niszczącą zawieję. Drzewa na zboczach pękały jak źdźbła trawy i spadały w dolinę z ogłuszającym trzaskiem.

Potem światło, tryskające między wierchami aż do szarego nieba, osłabło i rozpląnęło się z wolna w tumanach śniegu. Zginający drzewa wiatr uspokoił się. W dolinie zagościła cisza.

Wstrząśnięci bojarzy wstawali, strzepywali z ubrań śnieg, łapali i uspokajali konie. Kiedy odwrócili się z powrotem w stronę niszy i popatrzyli przez zwałoną palisadę na

podwórko Jagi, wytrzeszczyli oczy w niezmiernym zdumieniu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kościej Nieśmiertelny

N

astała niezwykle sroga zima. Nawet najstarsi mieszkańcy lasów na północ od Kamy i Itilu nie pamiętali, by kiedykolwiek spadło tyle śniegu. Wiosenna odwilż przyszła jednak szybko, jakby mieszkający na szczytach Uralu bogowie mrozu i lodowatego wichru zbyt szybko wyczerpali swą gniewną moc. W innych latach śnieg trzymał się w tych okolicach aż do miesiąca dębów, ale w tym roku już w połowie miesiąca brzoź powiały ciepłe wiatry z południa i wschodu. Zima ustąpiła tak samo szybko, jak przed czterema miesiącami zaatakowała.

Kiedy tylko zamrznięta powierzchnia Czerwonej Rzeki zaczęła pękać i kry ruszyły z łoskotem w szybko przybierającej mętnej wodzie, Wargan, wielki kugurak Czeremisów, kazał wezwać do Kokszaży naczelników wszystkich rodów, całą starszyznę i dostojników. Kiedyś niektórzy odważyli się mu opierać, teraz wszyscy usłuchali. Po krwawym zimowym zwycięstwie nad wareskim wojskiem wielu uważało Wargana za półboga, niezwyciężonego i zdolnego rozkazywać keremetom, szyrtom i innym złym duchom. W długie zimowe wieczory przy ognisku mówiło się tylko o tym, że naprawdę jest wcieleniem Kuguraka sprzed wieków.

Zanim nastał dzień wiosennej równonocy, w Kokszażdzie zgromadzili się wszyscy, których słowo coś znaczyło wśród Czeremisów. Naczelnicy niemal trzech tuzinów rodów dokonali wraz z Warganem obrzędu powitania wiosny, ofiarowali bogom pięknego białego źrebca i wieczorem zasiedli do sutej uczyty w głównej sali dworzyszczu władcy. Oczywiście naczelnicy przybyli ze swymi drużynami i krewnymi, ale tylko głowy rodów miały prawo wziąć udział w naradzie wojennej. Wargan nie chciał, by jego plany przedwcześnie doszły do

niepowołanych uszu - a szpiegzy i zdrajcy czyhali wszędzie.

- Wiecie, dlaczego was wezwałem - zaczął, kiedy tylko zaspokoiли pierwszy głód pieczonym mięsem z ofiarowanego rumaka i zapili go potokami miodu, gorzkiego piwa i drogiego chazarskiego wina. - Zwycięstwo, które jesienią zesłali nam bogowie, to tylko przedsmak wielkiej wiosennej wyprawy. W tym roku wszystkie plemiona nad Itilem poznają naszą siłę. Podbijemy Udmurtów na południowym wschodzie, przekroczyemy Kazankę, spalimy pograniczną twierdzę Kazań, a potem uderzymy na bułgarskie osady i miasta. Wiem od swoich szpiegów, że bułgarski władca Ahmed ma zamiar osobiście wziąć udział w kijowskiej wyprawie na Chazarów. Weźmie ze sobą dużą część bułgarskiej jazdy i najemników z podbitych plemion - Burtasów, Baszkirów, Bilarów, Suwarów i wielu innych. To oznacza, że krajem będzie zarządzał któryś z jego synów albo może tylko wezyr, a jego możliwości obrony będą marne. Poza tym większość Waregów mieszkających nad Itilem dołączy do Światosława, więc górny bieg rzeki będzie na naszej łasce i niełasce. Czeremisi staną się najpotężniejszą siłą w tej okolicy. Podporządkujemy sobie wszystkie plemiona, które mówią podobnym językiem do naszego - Mokszów, Merjów, Wesów, Muromców - i połączymy je w jeden wielki lud...

Płomienną przemowę Wargana przerwało ciężkie metaliczne dudnienie. Wódz obejrzał się zaskoczony, a puchar w jego ręku, już przygotowany, by opróżnić go za powodzenie śmiałego planu, przechylił się i wylało się z niego trochę wina, nieumyślna obiata dla bogów. Drużynnicy władcy, stojący na obwodzie sali, wymieniali zaskoczone spojrzenia.

Zabrzmiało dalsze uderzenie, tym razem jeszcze dźwięczniejsze i groźniejsze. Dobiegło skądś z podziemia, jakby pod sklepieniem dworzyszczą ktoś bił w dzwony, które chrześcijanie wieszali na swoich świątyniach. Naczelnicy nadstawiali uszu, wstawali z ławek i szeptem wymieniali domysły o pochodzeniu dźwięku.

- To jest... - wychrypiął kugurak i opanowały go przecucia tak złowieszcze, że nawet nie dokończył. Zrozumiał, co to za łoskot. Zaraz po powrocie z jesiennej wyprawy wojennej kazał wykonać masywną żelazną kratę i osadzić ją w podziemnym przejściu, którym jego permiańska żona, ta zdraziecka suka, uciekła z lochu pod dworem i wyprowadziła cennego jeńca Tugarina. Po jej ucieczce rozniosło się, że tajne przejście wiedzie ze świętych jaskiń do siedziby wodza, więc Wargan musiał je dobrze zamknąć, by nie musiał się bać ataku nieprzyjaciela ani podstępного mordercy.

A teraz ktoś uderzał w tę kratę.

Kugurak w nagłym podejrzeniu skierował wzrok na naczelników i omiółł ich twarze płonąym spojrzeniem. Szukał świadectwa zdrady, ponieważ przyszło mu do głowy, że to

bunt i że chcą wykorzystać naradę, by go obalić.

Nie zobaczył jednak ani jednej twarzy, na której nie malowałoby się takie samo zaskoczenie i strach, jak na jego własnej. Klnąc, cisnął pucharem o stół, aż drogie wino trysnęło na ogryzione końskie kości, dobył miecza i zwrócił się do drużynników:

- Na co czekacie, głupcy? Ktoś usiłuje się dostać podziemnym przejściem do dworzyszczu! Zatrzymajcie ich! Brońcie Kokszaży!

Wojowie natychmiast przezwyciężyli początkowe odrętwienie, chwycili za broń i zaczęli się przepychać w stronę tylnej części budowli, gdzie mieściło się wejście do podziemi. Wargan biegł za nimi, a niektórzy naczelnicy, chcąc okazać kugurakowi swoje oddanie i odwagę, także złapali włócznie, topory i szable, po czym przyłączyli się do pokrzykującej drużyny.

Łoskot w podziemiach zastąpiły trzaski, zgrzyty i dźwięk sypiącego się kamienia. Nieznany napastnik w końcu wyrwał kraty.

- Na dół, szybko! - krzyknął władca u wejścia do podziemi, podczas gdy jego bojarzy wyjmowali pochodnie z uchwytów na kamiennych ścianach i jeden za drugim zbiegali po szybko opadających schodach. - Ktokolwiek to jest, musicie go zatrzymać! Napelnijcie loch krwią!

Zbrojni pogrążali się w ciemności, ich broń i pancerze zgrzytały o ściany wąskiego tunelu zanurzającego się we wnętrzu skały.

Właśnie w chwili, gdy ostatni drużynnik wbiegł na schody, z podziemi dobiegł ogłuszający krzyk, w którym brzmiało najpierw zaskoczenie, a już po chwili ból. Zadzźwięczało żelazo. Pierwsi obrońcy starli się z tajemniczym nieprzyjacielem. Straszliwy łoskot świadczył o niezwykle zaciętej walce. Dźwięk był coraz głośniejszy. Wojownicy nie zepchnęli napastników z powrotem do lochu, wprost przeciwnie - musieli ustąpić. Plac boju nieubłaganie przesunął się w górę schodów.

Wargan spojrzał w dół. Pochodnie, które oświetlały schody, spadały na ziemię i gasły. Poruszający się szybko, krzyczący ze strachu Czeremisi jeden za drugim pogrążali się w ciemności. W końcu jedynym źródłem światła w ciemnej dziurze zostały iskry krzesane przez uderzenia metalu o metal. Potem nawet one zgasły.

Kugurak z lękiem cofnął się od otworu, zasłaniając się ciężkim mieczem. Pozostali naczelnicy przesunęli się w bok i stworzyli półokrąg najeżony włóczniami i klingami szabel.

Krzyk ostatniego drużynnika umilkł wśród ohydnych dźwięków rozpruwanego mięsa i pękających kości. Z podziemi wyleciała zakrwawiona ludzka głowa i potoczyła się pod nogi wystraszonych naczelników.

Zapadła cisza. Roztrzęsieni Czeremisi wpatrywali się w ciemność przymrużonymi oczyma i starali się cokolwiek dostrzec w wąskim przejściu. Usłyszeli tylko odgłos kroków na schodach i chrapliwy oddech.

- To musi być demon - wykrztusił jeden z dostojników. - Wielki kuguraku, tylko ty możesz go zatrzymać! Przecież potrafisz rozkazywać biesom! Zagnaj go z powrotem w ciemność!

Wargan skrzywił wargi i pokazał zęby.

- Lepiej wezwijcie pomoc. Wasze drużyny...

Zamilkł. W ciemności otworu zaświeciły oczy. Były niehumaniczne, a światło pochodni płonących w komnacie odbijało się w nich jak w oczach nocnego drapieżcy.

Po chwili dostrzegli w ciemności czarną sylwetkę i na najwyższy schodek wszedł mężczyzna.

Warganowi opadła szczęka.

- Ty?! - wykrztusił. - Żyjesz?

- Ja. Żyję - potwierdził śmiertelnie blady człowiek o bezwłosej skórze pokrytej siecią paskudnych blizn. Nie było wątpliwości, że to dawny jeńiec Tugarina, mimo że pod niektórymi względami wyraźnie się zmienił - był teraz niemal o głowę wyższy i dużo potężniejszy. A jego oczy... Wielki Kugu Jumo! Kiedy Wargan patrzył w nie ostatnim razem, były wodniste, mętne, na pół ślepe i odbijała się w nich tylko rozpacz i słabość. Teraz była z nich nadprzyrodzona siła i groza. Nie były ludzkie, o nie. Żółtawe tęczówki i pionowe źrenice przypominały raczej oczy węża, jaszczurki albo...

Albo smoka.

W ciszy rozlegał się przyspieszony oddech śmiertelnie przerażonych Czeremisów. Nieznajomy miał na sobie jedynie brudne okrycie z prymitywnie wyprawionych skór i zniszczonych materiałów, a na ramionach futrzany płaszcz. Nie miał broni ani pancerza, a mimo to było jasne, że to on zabił drużynników Wargana - jego ręce były umazane krwią aż po łokcie, czerwone smugi lśniły też na twarzy i pozostałych częściach ciała, także na ubraniu. Było też pewne, że nawet kropla owej krwi nie należała do niego.

- Kto... Kto to? - wyjąkał jeden z naczelników.

- Kościej - odparł Wargan. Wziął głęboki wdech i wrzasnął: - Zabijcie go!

Jeden z młodszych naczelników natychmiast odpowiedział czynem. Rzucił masywną włócznię, służącą do polowania na łosie albo nawet zubry. Z tej odległości obcy nie mógł się wywinąć.

Nawet nie próbował. Zamiast tego skulił się i naprężył jak metalowa sprężyna. Na

oczach wystraszonych wojów jego oszpecona, okryta bliznami skóra błyskawicznie okryła się drobnymi łuskami. Ciało od stóp do głów pokrył pancerz przypominający węzową albo smoczą łuskę - tyle że te łuski musiały być metalowe, ponieważ grot rzuconej włóczni złamał się i broń z brzękiem spadła na podłogę.

Czeremisi krzyknęli ze zdumienia i zgrozy.

- Jest nieśmiertelny! - wyjęczał ktoś.

Kościej odpowiedział warknięciem, przy którym w jego ustach zabłysły ostre kły. Jednocześnie z tyłu czaszki, tak samo jak z pleców i łokci, błyskawicznie wyrosły metalowe kolce. Kiedy rozłożył ręce, jego palce wydłużyły się i zmieniły w szpony - masywne, a przy tym na końcach ostre jak igły.

Zaatakował - on, potwór, ucieleśnienie siły, nieludzkiej wściekłości i żądzy krwi. Wargan cofnął się, wykrzykując rozkazy i puszczając przed siebie pozostałych naczelników. Kościej rzucił się między nich i już po chwili zmienił cizbę w krwawy wir urwanych kończyn i wyrwanych wnętrzności. Broń pękała na jego cudownej łuskowatej skórze, jakby nie była z żelaza, a ze źle wypalanej gliny. Kwiat plemienia padał na ziemię w deszczu tryskającej krwi.

W towarzystwie okropnego krzyku mordowanych naczelników - gdyż nie była to już walka, a zwykła jatka - władca wbiegł z powrotem do głównej sali.

- Na pomoc! - wrzeszczał. - Wszyscy do broni! Drużynnicy, kolduni, żyrzcy, gdzie jesteście?

W tej chwili za jego plecami trysnął potok krwi i wybiegł z niego Kościej. Wskoczył na stół, odbił się od grubej deski i długim skokiem znalazł się naprzeciw Wargana. Kugurak wrzasnął i uskoczył w bok, ale czarownik odwrócił się i zamachnął ostrymi szponami. Otworzyły się cztery głębokie rany biegnące przez tułów wodza Czeremisów od prawego do lewego boku. Wnętrzności wylały się z mlaśnięciem. Władca padł na kolana.

Kościej wciągnął szpony lewej ręki, która znów wyglądała jak normalna ludzka kończyna. Demoniczny wojownik chwycił nią charczącego, krwawiącego Wargana za włosy i brutalnie odwrócił jego twarz w swoją stronę.

- Za Iszorę - wycodził przez szpiczaste zęby. - I za wszystko inne.

Przy tych słowach wbił pazury prawej ręki w szyję kuguraka i jednym prędkim ruchem urwał mu głowę.

Wewnętrzne drzwi otwarły się z hukiem i do sali wtargnęli wrzeszczący drużynnicy pomordowanych naczelników. Ich zdecydowany krzyk wkrótce przeszedł w przerażone skomlenie, kiedy zobaczyli na środku izby wysoką istotę. Spod jej potarganej odzieży

przebłyskiwało coś jakby przylegająca do całego ciała łuskowa zbroja. Stworzenie uniosło czerep Wargana, odchyliło własną głowę do tyłu i szeroko otwarło usta, by pić krew. Bezgłowe ciało kuguraka leżało w kałuży własnych wnętrzności u nóg biesa.

Kościej przez chwilę głośno chleptał gorącą czerwoną cieczą. Kiedy z szyi władcy przestała ciec, obojętnie odrzucił głowę i spojrział smoczymi oczami na ludzi tłoczących się na progu.

Zaśmiał się pogardliwie, wyszczerzył zakrwawione kły i rozłożył ręce, przy czym palce lewej ręki znów wyciągnęły mu się w ostre szpony.

- Tak... - warknął z wyraźnie słyszalnym rozbawieniem w głosie. - Który pierwszy?

W tym momencie wielu uwierzyło, że patrzą na samego Azyrena. Tak jak demon śmierci, tajemniczy napastnik nie znał litości. Nad Kokszałą do późna w nocy rozbrzmiewało przerażające wycie, skomlenie i przedśmiertny charkot.

Tej wiosny Czeremisi nie zaatakowali Bułgarii, przeciwnie, jeszcze przed kolejną zimą większość miejscowych rodów padła ofiarą sąsiednich plemion i itilskich Waregów. Wargan pozostał w pamięci jako ostatnie wcielenie mitycznego kuguraka. Z czasem zapomniano o jego wielkim zwycięstwie nad helgardzkimi zabijakami. Przyćmiła je straszliwa opowieść o tym, jak ohydny demon, zdolny zmienić się w smoka, wymordował wszystkich w Kokszałde. I zrobił to zupełnie sam, mimo że podobno przyjechało z nim kilku innych jeźdźców - pozostali jednak za umocnieniami grodu i tylko beznamiętnie przyglądali się okropnej jatce.

Nawet po latach wszyscy Czeremisi wymawiali imię potwora szeptem, a ich wargi drżały ze strachu.

Nazywali go Kościej Nieśmiertelny.

Dodatki

BOGOWIE, DEMONY ORAZ BOHATEROWIE MITOLOGII UGROFIŃSKIEJ I TURKO-TATARSKIEJ

Azyren - czeremiski bóg śmierci. Na jego wyobrażenie wpłynął najprawdopodobniej wizerunek Azraela, islamskiego anioła śmierci. Azyren ukazywał się pod postacią wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny z widmowym nożem lub szablą, którą podrzynał gardło zmarłego, w ten sposób uwalniając jego ducha z ciała. Czeremisi zostawiali przy zwłokach miskę z wodą, by Azyren mógł przed tą czynnością obmyć klingę. Azyren odprowadzał dusze w zaświaty, przed oblicze Kijamata, strażnika krainy umarłych.

Czudowie - rosyjska nazwa na wiele różnych plemion ugrofińskich, żyjących w okolicach wielkich jezior na północy dzisiejszej Rosji. Wzmiankowani w związku z kilkoma wydarzeniami historycznymi (jak powołanie pierwszego wareskiego wodza Ruryka, wojna księcia Jarosława Mądrego z Czudami). W średniowieczu Rusini określali nazwą Czudzi (od *czużije* - „obcy”) różnojęzyczne, w większości ugrofińskie, ludy żyjące na północnym wschodzie dzisiejszej Rosji i pod Uralem. W niniejszej powieści wykorzystano wierzenia Komi-Permiaków, wedle których Czudy (ta forma ich nazwy sugeruje nie ludzkość, potworność Czudów - w przeciwieństwie do normalnej, „ludzkiej” formy „Czudowie”) to tajemnicze karły mieszkające w ciemnych lasach, posługujące się czarami, przyjaźniące się z demonami i zdolne zmieniać się w zwierzęta. Opowieść o boskim darze w postaci sierpa, który Czudowie próbowali utopić w rzece i sami przy tym zginęli, do dziś jest opowiadana w lasach pod Uralem.

Dzudzja - pramatka Komi-Permiaków, wielka bohaterka. Miała sześciu synów. Bóg niebios En wyczarował jej dodatkowe cztery piersi, by mogła karmić wszystkich jednocześnie. Zgodnie z mitem, krótko po tym, jak jej synowie się ożenili, ich państwo w dorzeczu Kamy zostało zaatakowane. Wrogowie zniszczyli osady i porwali wszystkie

kobiety. Mądra Dzudzja kazała synom nałapać dużo wron. Posłuchali jej i razem ruszyli na gród nieprzyjaciół, gdzie wypuścili wrony. Wrogowie strzelali do nieprzeliczonego stada i zużyli przy tym wszystkie strzały. Wtedy Dzudzja i jej synowie rzucili się na nich, pokonali i wyzwolili porwane niewiasty.

Kaltasz-ekwa - według plemion mieszkających pod Uralem i nad rzeką Ob jest ona boginią ziemi, małżonką najwyższego boga Numi-Toruma. Właśnie z nią najczęściej łączy się opowieści o Złotej Babie, figurze przystrojonej drogocennymi futrami, amuletami i kosztownościami. Na wspomnianych obszarach podczas ludowych uroczystości do dziś pojawiają się tego typu figury.

Keremet - czeremiski bóg zła, władca wrogich duchów leśnych i wodnych (które również są nazywane keremetami). Był bratem najwyższego boga Kugu Juma, który ukarał go za nieposłuszeństwo, zrzucając w głębiny praoceanu. Dualistyczny kształt mitu może świadczyć o uleganiu wpływom chrześcijańskim i muzułmańskim (Bóg i szatan), ale więcej przesłanek wiąże go z miejscowym, szamanistycznym dualizmem.

Kijamat - czeremiski bóg zaświatów, sędzia zmarłych. Decydował, która dusza ma prawo wejść na kładkę cienką jak źdźbło słomy i podążyć do raj, a która zostanie zrzucona w piekielną przepaść. W tym obrazie wyraźne są wpływy islamu, jednak podobne wyobrażenia charakterystyczne są też dla szamanizmu eurazjatyckiego.

Konsyg (Konsyg-ojka) - według plemion żyjących pod Uralem i nad rzeką Ob to pranieźwiedź, syn władcy niebios Numi-Toruma. Ojciec zabronił mu wychodzić z rodzinnego domu w niebie, ale pewnego dnia Konsyg złamał zakaz, zobaczył rozległe lasy na ziemi i zapragnął w nich zamieszkać. Uprosił najwyższego boga, który spuścił z nieba łańcuch i pozwolił synowi zejść do świata śmiertelników. Obrzęd uwalniania duszy upolowanego niedźwiedzia poprzez obdarcie go ze skóry oraz wiarę w powrót niedźwiedziej duszy po łańcuchu do nieba opisano w powieści zgodnie z istniejącą tradycją.

Kudym - według Komi-Permiaków starożytny bohater, który potrafił przyjąć postać niedźwiedzia.

Kudyrzo (Kudyrzo-jumo) - jeden z siedemdziesięciu siedmiu bogów rozbudowanego czeremiskiego panteonu. Odpowiednik słowiańskiego Peruna lub skandynawskiego Thora - gromowładca, który za pomocą piorunów zabijał złe duchy, strażnik trzód i plonów. Warto wspomnieć kilku bogów, o których nie było mowy w powieści: Tunia-jumo rządził wiatrem i chmurami, Kawa-jumo był bogiem sklepienia niebieskiego, Saksze-jumo był bogiem-obrońcą, Purysz-jumo przepowiadał przyszłość.

Kugu Jumo - najwyższy bóg w panteonie Czeremisów, dosłownie: „Wielki Bóg”.

Panował na niebie, gdzie pasł swoje stada. Wiatr to jego oddech, a tęcza - łuk myśliwski. Jego bratem był Keremet, bóg sił nieczystych i złych duchów.

Kugurak - bohater czeremiskich mitów, pierwszy wódz plemienia, jego imię dosłownie znaczy „Starzec”. Według mitów miał wielką magiczną moc, mógł rozkazywać samemu Azyrenowi, bogu śmierci, a służyły mu szyrty - złe duchy. Ożenił się z Piambar, córką najwyższego boga Kugu Juma. Czeremisi czcili go później jako boga wojny, którego biały koń miał jeździć przed szeregami zbrojnych. Opowieść o ukryciu Kuguraka pod kamieniem i wcielaniu się w wodzów, którzy złożyli w ofierze konia i trzykrotnie obiegli tenże kamień, nie została wymyślona na potrzeby niniejszej książki - do dziś opowiada się ją w republice Mari El.

Mamont - według Komi-Permiaków oraz plemion spod Uralu i znad Obu to starodawny olbrzym, jeleń lub renifer. Był tak ogromny, że idąc, złościł kopytami koryta rzek i głębiny jezior.

mankurt - według koczowników ze stepów Azji Środkowej bezrozumny niewolnik czarodzieja, który odebrał mu wolę i zdolność myślenia. Postać podobna do zombi z folkloru haitańskiego.

menkwy - złe leśne duchy, występujące w podaniach ludów mieszkających pod Uralem i nad rzeką Ob. Były bardzo silne, pożerały ludzi, jednocześnie jednak były bardzo głupie. Według chantyjskich i mansyjskich mitów menkwy to nieudani pierwsi ludzie. Bóg Torum, ich stwórca, uznał, że są zbyt głupi i wrzucił ich do morza (w powieści morze zastąpiono moczarami). Menkwy zdołały jednak wydostać się na brzeg i do dzisiaj straszą w lasach i polują na zabłąkanych ludzi. Według innych mitów menkwy to duchy ludzi, którzy zginęli w lesie i których ciał nigdy nie znaleziono. Menkwy mają spiczaste głowy, więc ich figury, często znajdowane przez archeologów, mają ostro zakończone górne końce.

Mland-awa - Matka Ziemia w czeremiskim panteonie.

obyda (owda) - według większości plemion ugrofińskich, zwłaszcza Permów i Czeremisów, siła nieczysta, ukazująca się pod postacią obrzydliwej, ludożerczej czarownicy. Najstraszniejszą z obyda była Baba Jaga. Według jednego z przypuszczeń rosyjskie baśnie o Babie Jadze są pochodzenia ugrofińskiego, nie słowiańskiego (czemu jednak przeczą podobne opowieści ludowe o Jędzy z wierzeń polskich).

onary - wedle Czeremisów, Udmurtów oraz innych Ugrofinów starodawne olbrzymy, które panowały na ziemi przed pojawieniem się ludzi. Były tak wielkie, że przechodziły w bród najszersze rzeki, a kiedy walczyły ze sobą, wyrzywały dęby i ciskały nimi jak włóczniami.

Parma - według Komi-Permiaków uosobienie tajgi, pradawnej puszczy, jednocześnie matka pierwszego człowieka, bohaterskiego łowcy Pery.

Pera - główny bohater permiackich mitów. Jego matką była sama Parma - tajga. Pera był pierwszym człowiekiem i myśliwym. Pewnego dnia szedł przez las i zobaczył tęczę, która „piła wodę z rzeki”. Wspiął się po tęczy do nieba, gdzie zobaczył prześliczną Zarań, córkę Szondiego, boga słońca. Szondi rozgniewał się i odwrócił od macierzystej tajgi Pery, gdzie nastał wielki mróz. Dopiero narodzenie siedmiu synów i siedmiu córek Pery i Zarani zdołało zjednać słonecznego boga. Wtedy światło wróciło do lasu.

Piambar - według czeremiskich mitów córka najwyższego boga Kungu Juma, która zstąpiła na ziemię i stała się śmiertelniczką, by móc poślubić ukochanego Kuguraka, pierwszego wodza plemienia.

Sjudbej - według Komi-Permiaków olbrzym ludożerca, przypominający greckiego Cyklopa. Miał tylko jedno oko, w którym było zaklęte jego życie. Miał też groźne żelazne pazury. Istnieje opowieść o sierocie, który odebrał mu pazury i został bohaterem, ponieważ ta straszna broń uczyniła go niezwyciężonym.

szyrty - w wierzeniach Czeremisów złe leśne duchy.

Szondi - według Komi-Permiaków uosobienie słońca, krewny najwyższego boga niebios, Ena.

szurale (dokładnie **szüräle**) - leśny demon występujący w mitach ludów nadwołżańskich. Włochaty stwór z długimi palcami i rogiem na czole. Swoje ofiary zabijał w ten sposób, że zaciągał je w gęstwinę i tam łaskotał na śmierć. Z zasady polował na mężczyzn, co ma wyraźny podtekst homoseksualny. Szurale nieprzypadkowo jest symbolem gejów w dzisiejszym Tatarstanie.

szuwgej - według Ugrofinów zła siła, której manifestacją był silny wiatr.

targyltysz - w wierzeniach niektórych plemion ugrofińskich (przede wszystkim Czeremisów) szkodliwy duch człowieka, który zmarł z powodu choroby. Wierzono, że wraca do świata żywych, aby dalej rozsiewać zarazę.

Torum (Numi-Torum) - dla plemion mieszkających pod Uralem i w dorzeczu Obu to po prostu najwyższy bóg, władca niebios.

tulpar - według ludów nadwołżańskich pochodzenia turko-tatarskiego mityczny latający koń, w odróżnieniu od greckiego Pegaza pozbawiony skrzydeł.

Wakul (Wa-kulj) - według Komi-Permiaków zły wodny demon, niebezpieczny dla rybaków i ludzi przechodzących przez mosty, ponieważ lubił wciągać ich do wody i topić. Często ukazywał się pod postacią bobra lub szczupaka. Zazwyczaj walczył z Worsą, duchem

lasu.

Wojpel - w wierzeniach Komi-Permiaków bóg północnego wiatru, opiekun myśliwych. Jego siedziba, Gniazdo Wichrów, znajdowała się na wysoko położonym miejscu na Uralu.

Worsa (Wor-kulj) - w wierzeniach Komi-Permiaków leśny duch, którego bali się wszyscy myśliwi. Worsa uważał wszelkie leśne zwierzęta za swoją własność i pasał je, a ptaki były jego kurami, dlatego gniewał się na ludzi, którzy na nie polowali. Często ukazywał się pod postacią dzikiego kota. Jego głównym wrogiem był Wakul, wodny duch. Często ze sobą walczyli, Worsa pod postacią niedźwiedzia, a Wakul - wielkiego bobra.

Zarań - według Komi-Permiaków córka Szondiego - słońca, która śmigła na chmurach w saniach ciągniętych przez srebrnego rumaka do czasu, gdy myśliwy Pera wspiął się po tęczy na niebiosa. Zarań zeszła z nim na ziemię i urodziła mu siedmiu synów i siedem córek, pierwszych ludzi.

Złoty Wiek - wyobrażenie dawnych czasów, pojawiające się w mitach większości plemion ugrofińskich. W czasie Złotego Wieku niebo było tak nisko, że ludzie mogli dotknąć go ręką i spotykać się z bogami, kiedy tylko chcieli. Był to okres dobrobytu, kiedy nikt nie cierpiał głodu (wszelkie rośliny jadalne rosły wysokie i potężne jak drzewa), wszyscy nosili lśniące białe ubrania i błyszczeli od złotych ozdób. Poszczególne plemiona podają różne przyczyny końca Złotego Wieku, ale zawsze chodzi o jakiś zły uczynek. Po tym, jak ludzie popełnili pierwszy grzech, bogowie oderwali niebiosa od ziemi. Przez siedem dni niebo wznosiło się na dzisiejszą wysokość, a towarzyszyły temu grzmoty i ogłuszający łoskot. Z wyobrażeniem łączyła się wiara, że Złoty Wiek powróci, kiedy zostaną pokonane wszystkie nieczyste siły, zniszczone złe duchy, a ludzie przestaną grzeszyć i dopuszczać się nieprawości.

POSTACIE I POJĘCIA Z MITOLOGII SŁOWIAŃSKIEJ I FOLKLORU ROSYJSKIEGO

Alatyr (Jatyr) - w rosyjskim folklorze magiczny kamień, „ojciec wszystkich świętych kamieni”. Znajduje się na wyspie Bujan, leży pod cudownym drzewem i ma właściwości lecznicze. Czasami jest opisywany jako biały, czasem jako ognisty lub wręcz płonący.

Pochodzenie samego słowa *alatyry* nie jest jasne. Niewykluczone, że ma związek z jantarem (bursztynem) - dlatego w tekstach staroruskich Bałtyk (który obfituje w bursztyny) bywa nazywany Morzem Alatyryjskim. Może też mieć związek z łacińskim słowem *altar* - „ołtarz”, co z kolei świadczy o jego znaczeniu rytualnym. W mitach Alatyry łączy się z dwiema postaciami - przede wszystkim Zorzą, dziewiczą boginią, która siedzi na Alatyry i zaszywa rany bohaterów, a także z Perunem. W niektórych podaniach Perun stoi na Alatyry i strzela ognistymi strzałami (piorunami), w innych uderza kamień gromowym toporem i w ten sposób krzesze błyskawice. Spod Alatyry wypływa źródło żywej wody. Kamienia pilnują wąż Garafena i cudowny ptak Gagana.

Baba Jaga - demoniczna postać, pojawiająca się w baśniach wielu ludów słowiańskich. Według jednej z teorii słowo „Jaga” może pochodzić od dawnej nazwy zaskrońca - w takim wypadku określenie Baba Jaga oznaczałoby matkę węży, co jest podbudowane w niektórych baśniach stwierdzeniem, że służy jej syn-smok (ta teoria została wykorzystana w powieści). Sama postać pojawia się w starych, wywodzących się z mitów, opowieściach ogólnosłowiańskich, czego dowodzi na przykład słowacka baśń o Słonecznym Koniu, którego postać w oczywisty sposób wskazuje na rumaka Dadźboga, boga słońca. Baba Jaga strzeże go razem ze stadem cudownych latających koni. Jest prawdopodobne, że nasi przodkowie myśleli o Jadze jako o potężnej bogini, która dopiero z czasem stała się baśniową leśną wiedźmą. Odległość jej siedziby (chatka na kurzej nóżce) od świata zwykłych ludzi, a także konieczność przejścia żelaznego, srebrnego i złotego mostu zdaje się świadczyć o tym, że w pierwotnych wierzeniach mogła być strażniczką zaświatów lub nawet samą śmiercią. Istnieją także inne wytłumaczenia mitycznego i demonologicznego znaczenia postaci Baby Jagi.

Gagana - w folklorze rosyjskim cudowny ptak z żelaznym dziobem i miedzianymi pazurami, jeden ze strażników Alatyry na wyspie Bujan.

Garafena - w folklorze rosyjskim magiczny wąż, który strzeże Alatyry na wyspie Bujan.

koldun (wołchw) - staroruski wyraz oznaczający pogańskiego kapłana, żyrzca, szamana, czarodzieja.

kumir - staroruski wyraz oznaczający pogańskiego bałwana, wyobrażenie bóstwa lub zwierzęcego demona z kamienia lub drewna.

Wiatko - mityczny praojciec słowiańskiego plemienia Wiatyczów (podobnie jak Radym był protoplastą Radymiczów).

Wilczyniec - według ruskich bylin jeden z trzech grodów (najprawdopodobniej

fikcyjnych), które wielki książę kijowski podarował Wołchowi Wsiesławiewiczowi. Mówi się, że dar nie był zbyt szczodry, ponieważ gród był biedny i zamieszkały przez rabusiów i innych złoczyńców.

Zirnytra - zagadkowy, bardzo słabo znany smok, opisywany jako czarny, kiedy indziej srebrny. Słowianie połabscy mieli nosić jego wizerunek na sztandarze podczas walki z Sasami.

Zorza - w słowiańskiej mitologii dziewicza bogini-opiekunka, mieszkająca w niebie lub na mitycznej wyspie Bujan. Według niektórych ruskich wersji mitu chodziło o dwie boginie, znane jako Zorza Poranna i Zorza Wieczorna. Czasami mowa o jeszcze jednej siostrze - Zorzy Północnej. Zorza Poranna otwierała o świcie wschodnią bramę niebios, aby słoneczny rumak Dadźboga mógł wyruszyć w drogę. Zorza Wieczorna zamykała po jego powrocie zachodnią bramę. Żrebiec (Słońce) ginął w objęciach Zorzy Północnej po to, by rano znów się narodzić. Trzy Zorze wyobrażano sobie też jako wojowniczkę w pysznych zbrojach. Zachowały się nawet modlitwy dawnych wojowników, którzy wzywali ich pomocy przed bitwami.

POSTACIE HISTORYCZNE I RZECZYWISTE MIEJSCA

Abbasydzi - wybitna dynastia, rządząca Kalifatem Bagdadu. W roku 750 przejęła władzę po Umajjadach i aż do roku 1258 była najbardziej wpływową dynastią świata islamu. Swoje pochodzenie wywodziła od Al-Abbasa, stryja proroka Mahometa.

Bielooziero (Bielojeziersko, Białe Jezioro) - osada kupiecka i gród nad Jeziorem Białym (położonym na odległych, lesistych obszarach na północny wschód od dzisiejszej Moskwy). Bielooziero należało do najważniejszych wareskich osiedli w Gardariki - „Królestwie Grodów”, jak Skandynawowie nazywali tereny dzisiejszej Rosji, Ukrainy, Białorusi i okolicznych ziem. W *Powieści minionych lat* wymienia się Białe Jezioro (wraz z Ładogą, Nowogrodem, Połockiem i Rostowem) jako jedno z pięciu najstarszych ruskich miast.

Czerwona Rzeka - jeden z lewobrzeżnych dopływów Wołgi, płynący przez czeremiską republikę Mari El. Miejscowa nazwa rzeki brzmi Kokszağa, co znaczy „Czerwona Rzeka”. W powieści użyto przetłumaczonej nazwy, by rzeka nie myliła się Czytelnikom

z miastem Kokszağa, które leży na jej brzegu i zostało nazwane jej imieniem. Pozostałe ważne rzeki płynące przez ziemie Czeremisów to wzmiankowane w powieści Juszut i Kundysz.

Jan Tzimiskes - wybitny wódz, a później cesarz bizantyjski (panował w latach 969-976). Pochodził z wpływowego rodu Kurkuasów, pochodzenia armeńskiego. Odznaczył się w walce na wschodnich granicach Bizancjum (głównie w historycznej Armenii), na które wciąż napierali Arabowie z kalifatu Abbasydów. Kiedy w roku 963 zmarł cesarz Roman II, Tzimiskes pomógł w zdobyciu tronu swemu wujowi Niceforowi Fokasowi. Sam kontynuował bohaterską obronę wschodnich granic, ale z powodu dworskich intryg (oskarżono go o romans z cesarzową Teofano) popadł w niełaskę i został zdegradowany. Tzimiskes nie poddał się jednak i wspólnie z Teofano (co świadczy o tym, że rzeczywiście mieli romans) uknuł spisek. Potajemnie przeniknął do cesarskiego pałacu w Konstantynopolu i zamordował Nicefora, po czym sam ogłosił się cesarzem. Następnie kontynuował wojny z ościennymi państwami. Wdał się w konflikt z księciem Światosławem o Trację i Bułgarię Naddunajską. Zmarł najprawdopodobniej na tyfus w początkach roku 972.

Nicefor II Fokas - cesarz bizantyjski, rządził w latach 963-969. Zakompleksiony, zawistny człowiek, który w ciągu sześcioletniego panowania zdążył zrazić do siebie większość wcześniejszych stronników, w tym wybitnego generała Jana Tzimiskesa, któremu w istocie zawdzięczał tron i który też odebrał mu władzę razem z życiem, mordując go w roku 969 przy współdziałaniu cesarzowej Teofano. Napis na grobie Nicefora głosi otwarcie: „Zdobyl wszystko prócz własnej żony”. Zasadniczo w owym czasie właściwą władzę nad Bizancjum sprawowała Teofano, bardzo ambitna i wpływowa kobieta. Była małżonką kolejnych trzech cesarzy (Romana, Nicefora i Jana Tzimiskesa), przy czym pierwszych dwóch sama kazała zamordować, a trzeci zmarł w nie do końca jasnych okolicznościach. Wreszcie na tron wstąpił jej syn, Bazyli II Bułgarobójca. Teofano była również matką Anny, późniejszej małżonki kijowskiego księcia Włodzimierza Wielkiego.

Prypeć - jeden z dopływów Dniepru (Sławutyczy) na terenie dzisiejszej Białorusi i Ukrainy. Wzdłuż brzegów tej rzeki ciągną się podmokłe lasy, które w dawnych czasach były ojczyzną słowiańskiego plemienia Dregowiczów (od *dregva* - „moczary”).

Turów - dawny gród stołeczny słowiańskiego plemienia Dregowiczów, leżący na bagnistych terenach w dorzeczu Prypeci na terenie dzisiejszej Białorusi.